

ŚWIĘTO RÓŻ

INDU SUNDARESAN



Świat Książki

Historia miłości cesarza Dżahangira i Mihrunnisy, opisana w *Dwudziestej żonie*, znajduje kontynuację w nowej, wspaniałej powieści Indu Sundaesan

Święto róż to egzotyczna, zmysłowa powieść epicka, kolejny dowód zadziwiającego talentu i wyobraźni Sundaesan.

„Publishers Weekly”

Mihrunnisa, od dnia ślubu z cesarzem Dżahangirem zwana cesarzową Nurdżahan, przybyła do haremu jako dwudziesta i ostatnia żona władcy. Była pierwszą kobietą, którą Dżahangir poślubił z miłości i jedyną, która odważyła się przekroczyć tradycyjne normy i sięgnąć po władzę. Obdarzona wielkim uczuciem i zaufaniem cesarza, zaczyna rządzić zza murów haremu, choć o swoje wpływy musi walczyć nie tylko z innymi faworytami, ale także z przeciwnikami na cesarskim dworze. Ministrowie uważają ją jedynie za pozbawioną ambicji kochankę władcy i ani przypuszczają, że mają do czynienia z kobietą o wyjątkowej inteligencji i ogromnej sile charakteru.

Indu Sundaesan urodziła się i wychowała w Indiach. Przejechała do Stanów Zjednoczonych, aby rozpocząć studia, ale od 1993 roku całkowicie poświęciła się pisarstwu. Oprócz debiutanckiej powieści *Dwudziesta żona* publikowała także opowiadania w „The Vincent Brothers Review”. Mieszka wraz z mężem w Bellevue w Waszyngtonie.

Nowości i zapowiedzi
www.swiatksiazki.pl

ISBN 83-7391-073-5



9 788373 910737

Cena 34,90 zł

Nr 4241

ŚWIĘTO RÓŻ

INDU SUNDARESAN

Z angielskiego przełożyła
Maciejka Mazan




Świat Książki

PODZIĘKOWANIA

Pragnę jak zwykle podziękować moim krytykom, a szczególnie tym, którzy tak życzliwie odkładali własną pracę i czytali mój rękopis: Louise Christensen Zak, Laurze Hartman, Joyce O'Keefe, Julie Jindal i Janet Lee Carey.

Uważam, że każdy powinien mieć swojego agenta literackiego i to najlepiej takiego jak moja agentka, Sandra Dijkstra. Praca z nią dostarcza mi samej radości; Sandra angażuje się we wszystkie etapy mojego pisania, od czytania pierwszych szkiców po reklamowanie gotowej książki. Jestem także wdzięczna za wysiłek, jaki w mój projekt włożyła cała agencja Sandy.

W wydawnictwie Adria Books moją książkę spotkały trzy błogosławieństwa. Wydawca Judith Curr okazuje mi ogromne wsparcie i przyjaźń - i nadal we mnie wierzy; oraz dwie redaktorki - Rosemary Ahern, która pracowała nad pierwszymi wersjami książki i której wskazówki wpłynęły na jej ostateczny kształt, a także Malaika Adero, która z radością adoptowała to moje dziecko i otacza je czułą opieką. Jestem głęboko wdzięczna wszystkim trzem.

Sprostowanie: nie umiem grać w szachy. Jeśli scena szachowa w „Święcie róż” w ogóle wydaje się wiarygodna, to dzięki wymienionym niżej osobom: Santoshowi Zachariahowi, który „wynałazł” dla mnie tę rozgrywkę, otrzymawszy wyraźne instrukcje co do liczby ruchów i prostoty gry; Davidowi Hendricksowi z Klubu Szachowego Microsoft, który pewnego popołudnia rozłożył szachownicę na kawiarnianym stoliku i z mozołem wyjaśnił mi kolejne ruchy i motywy graczy; a także moim wspaniałym siostrzeńcom Gautamowi i Karthikowi, którzy rozgrywali partie w tak piorunującym tempie, że biedna stara ciotka musiała ich błagać o zwolnienie tempa, by mogła cokolwiek zrozumieć. Jeśli pomimo ich wysiłków w opisie nadal są błędy, to chętnie uznaję je za własne.

Nie mogłabym się obyć także bez trzech kobiet, które nieustannie obdarzają mnie miłością i siłą, a przy okazji stanowią moją rodzinę: Ammy, Anu i Jai.

I wreszcie muszę wyrazić podziękowania dla bibliotek z sieci King County Library, a także biblioteki Uniwersytetu Waszyngtona Suzzallo and Allen za udostępnienie mi bezcennych zbiorów z czasów Indii Mogołów - listów, dokumentów, pamiętników, książek i map, dzięki którym mogłam odbyć podróż w czasie i przestrzeni, nie opuszczając domu.

GLÓWNE POSTACI

(w porządku alfabetycznym)

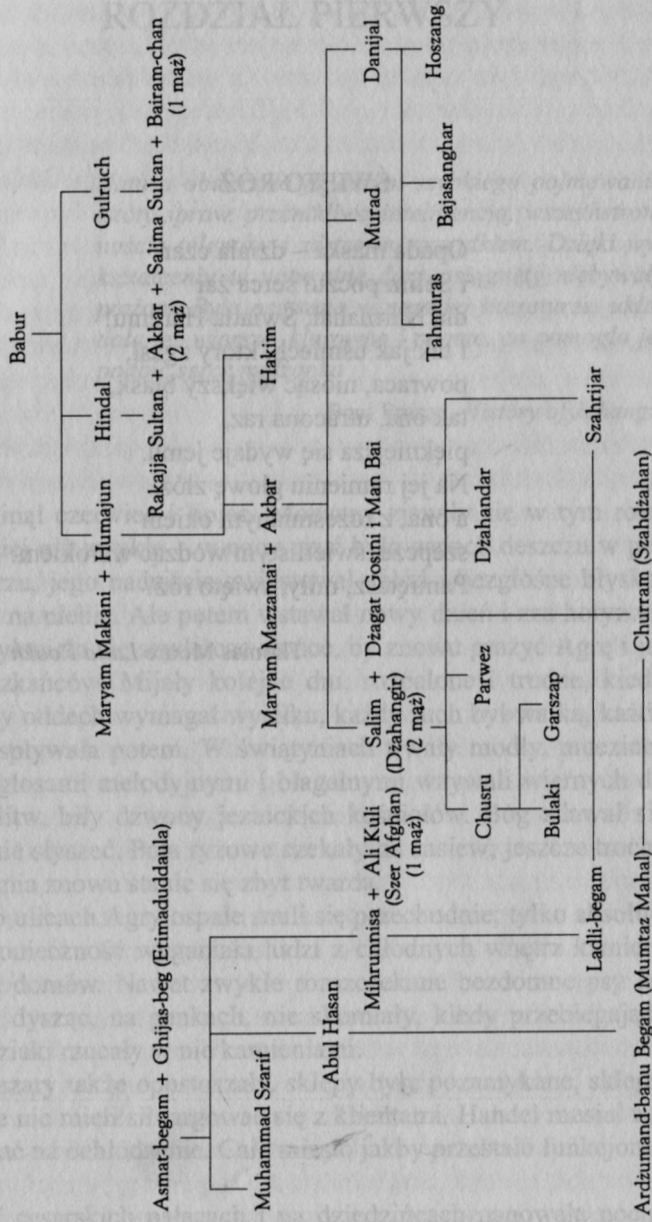
Abdur Rahim	chan-i chanan, główny dowódca cesarskiej armii
Abul Hasan	brat Mihrunnisy
Ardżumand Banu	bratanica Mihrunnisy, córka Abula, później cesarzowa Mumtaz Mahal
Akbar	trzeci cesarz z dynastii indyjskich Mogołów
Ali Kuli-chan Istajlu	pierwszy mąż Mihrunnisy
Churram	trzeci syn Dżahangira i Dżagat Gosini
Chusru	pierworodny syn Dżahangira i Man Bai
Dżagat Gosini	druga żona Dżahangira
Dżahangir	syn Akbara, czwarty cesarz z dynastii indyjskich Mogołów
Ghijas-beg	ojciec Mihrunnisy
Hoszijar-chan	główny eunuch haremu Dżahangira
Ladli	córka Mihrunnisy i Ali Kulego
Mahabbat-chan	przyjaciół Salima z czasów dzieciństwa, obecnie minister
Mihrunnisa	córka Ghijas-bega, później znana jako Nurdżahan
Muhammad Szarif	przyjaciół Dżahangira z czasów dzieciństwa, obecnie wielki wezyr cesarstwa
Nurdżahan	imię Mihrunnisy po otrzymaniu godności cesarzowej
Parwez	drugi syn Dżahangira
Rakajja Sultan Begam	pierwsza małżonka Akbara, czyli Padi-szah Begam, obecnie cesarzowa wdowa
Szahrijar	czwarty syn Dżahangira
Thomas Roe	pierwszy oficjalny ambasador Anglii i dworu Jakuba I

Cesarstwo Mogolów ok. 1601



Wybrani członkowie rodziny Mihrunnisa

Wybrani członkowie dynastii Mogołów



Ardżumand-banu Begam (Mumtaz Mahal) ————— Churram (Szahdżahan)

ŚWIĘTO RÓŻ

Opada maska - działa czar
i Selim poczuł serca żar
dla Nurmahal, Światła Haremu!
I tak jak uśmiech, który zgasł,
powraca, niosąc większy blask,
tak ona, utracona raz,
piękniejsza się wydaje jemu.
Na jej ramieniu głowę złoży,
a ona, z roześmianym okiem
szepcze, świetlistym wodząc wzrokiem:
Pamiętasz, miły, święto róż?

Thomas Moore *Lalla Rookh*

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Natura obdarzyła ją darem szybkiego pojmowania istoty spraw, przenikliwą inteligencją, wszechstronnością talentów i zdrowym rozsądkiem. Dzięki wykształceniu te naturalne dary osiągnęły niebывały poziom. Była odczytana w perskiej literaturze, układała też wiersze, klarowne i płynne, co pomogło jej podbić serce małżonka

Beni Prasad, *History of Jahangir*

Minął czerwiec i lipiec. Monsuny zjawiły się w tym roku później niż zwykle - w nocy czuć było zapach deszczu w powietrzu, jego nadejście zwiastował chłód i bezgłośnie błyskawice na niebie. Ale potem wstawał nowy dzień i zza horyzontu wyłaniało się szydercze słońce, by znowu prażyć Agrę i jej mieszkańców. Mijały kolejne dni, rozpalone i trudne, kiedy każdy oddech wymagał wysiłku, każdy ruch był walką, każda noc spływała potem. W świątyniach trwały modły, mueziniwie głosami melodyjnymi i błagalnymi wzywali wiernych do modlitw, biły dzwony jezuickich kościołów. Bóg zdawał się ich nie słyszeć. Pola ryżowe czekały na zasiew; jeszcze trochę i ziemia znowu stanie się zbyt twarda.

Po ulicach Agry ospale snuli się przechodnie; tylko absolutna konieczność wyganiała ludzi z chłodnych wnętrz kamiennych domów. Nawet zwykle rozszczekane bezdomne psy leżały, dysząc, na gankach, nie skomlały, kiedy przebiegające łobuziaki rzucały w nie kamieniami.

Bazary także opustoszały, sklepy były pozamykane, sklepikarze nie mieli sił targować się z klientami. Handel musiał czekać na ochłodzenie. Całe miasto jakby przestało funkcjonować.

W cesarskich pałacach i na dziedzińcach panowała nocna

cisza, w korytarzach nie rozlegały się niczyje kroki. Niewolnice i eunuchowie poruszali lśnącymi wachlarzami z pawich piór, drugą ręką wycierając twarz z potu. Haremowe damy spoczywały w nieustannym tchnieniu wachlarzy, mając pod ręką kielichy zimnych sorbetów z *chusem* i imbirem. Od czasu do czasu niewolnica ponownie napełniała kielich, dodając do niego świeżych okruchów lodu. Kiedy jej pani się zbudzi, a budziły się wiele razy, napój będzie gotowy. Lód, sprowadzany w wielkich blokach z Himalajów, przykryty workami i transportowany w wozach zaprzęgniętych w woły, był błogosławieństwem dla wszystkich, szlachetnie urodzonych i prostaczków, ale w tym upale zbyt szybko topniał, zbyt szybko wsiąkał w trociny i jutę.

Przez okna apartamentów cesarza Dżahangira sączyła się muzyka z dziedzińca; biegle palce muzyka wyczarowywały drżące tony z sitaru.

Dziedziniec był kwadratowy, skomponowany z klarownych linii z mogolską i perską precyzją. Po jednej jego stronie znajdowała się weranda z kolumnami i łukowatym sklepieniem, wzdłuż drugiego boku rosły drzewa i krzewy - niewyraźne, czarne sylwety w mroku nocy. Na środku znajdował się kwadratowy zbiornik, milcząca i spokojna tafla wody. Piaskowcowe stopnie werandy prowadziły w dół, ku marmurowej platformie, wdzierającej się w wodną taflę jak ząb. Tu, pod dobrotnym spojrzeniem nocnego nieba, leżały dwie uśpione postacie. Muzyka spływała ku nim z zasłoniętego balkonu nad łukami werandy.

Mihrunnisa otworzyła oczy i ujrzała roziskrzone niebo. Wszędzie lśniły gwiazdy, jak brylanty na czarnym aksamicie. Obok spał cesarz Dżahangir. Opierał czoło na ramieniu ukochanej. Jego ciepły oddech miarowo muskał jej skórę. Mihrunnisa nie widziała jego twarzy, tylko czubek głowy. Tam gdzie za dnia znajdował się turban, na włosach odcisnął się krag.

Mihrunnisa lekko dotknęła twarzy męża, musnęła opuszkami kości policzkowe, brodę szorstką od zarostu. Nie chciała go obudzić, pragnęła tylko odnaleźć znajome rysy, choć miała je wryte w pamięci.

Do snu położyła się samotnie. Czekwała na Dżahangira, czytała przy lampie olejnej, ale wkrótce upał ją zmęczył, słowa zaczęły się rozplýwać i zasnęła z książką w ręku. Cesarz prawdopodobnie przyszedł później, zabrał książkę i przykrył ją cienutkim bawełnianym prześcieradłem.

Cofnęła rękę, położyła ją na jego piersi.

Po raz pierwszy od wielu lat obudziła się, nie czując niczego. Ani strachu, ani niepokoju, ani poczucia niedosytu. Po raz pierwszy także nie wyciągnęła ręki, by dotknąć Ladli. Wiedziała, że jej córka jest bezpieczna w sąsiednim apartamencie. Była przekonana, że cesarz zajrzał do niej, by sprawdzić, czy niczego jej nie brakuje.

Oparła policzek o jego głowę; nozdrza wypełnił gęsty zapach drewna sandałowego - kojarzył się jej z Dżahangirem, wygodą, miłością. Miłość. Tak, to była miłość. Inna, której istnienia nawet nie podejrzewała, której nie spodziewała się kiedyś przeżyć. Przez lata pragnęła dziecka i w końcu doczekała się Ladli. Przez lata pragnęła także Dżahangira, nie wiedząc dlaczego. Na jego widok wszystko się w nie rozświetlało, ocieplało, on był światłem jej życia, bo nadawał mu znaczenie, pełnię, cel. Siła tego uczucia ją zaskakiwała. Przestraszyła ją świadomość, że być może będzie tak zauroczona Dżahangirem, iż po ślubie nie zdoła zapanować nad życiem, które tak starannie zbudowała.

Od ślubu minęły dwa miesiące, dwa leniwe miesiące, kiedy czas zdawał się z wolna krążyć wokół nich. Nawet cesarstwo i jego sprawy zeszło na dalszy plan, znalazło się gdzieś poza zasięgiem wzroku. Ale wczoraj, w porze spoczynku, Dżahangir po raz pierwszy został odwołany. Cesarstwo nie mogło dłużej czekać.

Delikatnie położyła głowę cesarza na jedwabnej poduszce, uniosła jego rękę ze swojego brzucha i usiadła. Eunuchowie pełniący straż po lewej stronie dziedzińca, pod kolumnami, wyprężyli się. Siedziała, przyglądając się im, tym półmężczyznom, którym powierzono pieczę nad cesarską osobą. Było ich piętnastu, po jednym pod każdym łukiem. Stali na rozstawionych nogach, z rękami za plecami, wzrokiem wbitym gdzieś

poza zbiornik wodny. Strażnicy zmieniali się co dwanaście godzin, w różnych kombinacjach, tak by żaden z nich nie mógł się spotykać z innym na tyle długo, by zacząć knuć spisek.

Kiedy tak siedziała i im się przyglądała, oni ją ignorowali, a spod jej ciężkich włosów na karku zaczął spływać pot, przesycający cienką bawełnę *kurty*. Rozplotła warkocz, włosy rozsypały się kaskadami na ramiona. Ominęła śpiącego cesarza, podeszła na skraj platformy i usiadła z nogami nad wodą. Przez podwórzec tchnął wietrzyk, wystawiła twarz na jego dotyk, podniosła ręce, by złapać go w długie rękawy tuniki. Wiatr przywiał zapach palących się w piecyku na werandzie liści *neem*, na tyle nieprzyjemny, że odstraszał komary.

Na wodnej tafli unosiły się lampki z liści figowca, tak zszytych, że tworzyły mały zbiornik na olej sezamowy, w którym zanurzono knot. Nad brzegiem zbiornika rosnęło drzewo *paridzat*, z wolna sypiące białymi kwiatuskami na wodę. Tam gdzie nie sięgało światło lampek, w tafli basenu odbijały się gwiazdy. Mihrunnisa ześliznęła się z marmurowej platformy w wodę ciepłą i gęstą jak miód, choć chłodniejszą od powietrza. Zanurzyła się z głową, czując wirujące wokół niej długie pasma włosów.

- Nurdżahan - powiedziała głośno. Gęsta woda zniekształciła głos, bańki powietrza uleciały z jej ust i popłynęły ku powierzchni, muskając jej policzki.

Stała się Nurdżahan, „Światłością świata”. W jej postaci odbija się wspaniałość niebios. A przynajmniej tak powiedział Dżahangir, nadając jej imię w dniu zaślubin. „Od dziś moja ukochana cesarzowa będzie nosiła imię Nurdżahan”. Nie była już zwykłą Mihrunnisa, jak nazwał ją ojciec. Nurdżahan było imieniem dla całego świata, dla innych ludzi. Było imieniem rozkazującym, budzącym respekt i domagającym się uwagi. I takie cechy powinno mieć imię. Cesarz dał do zrozumienia dworowi, cesarstwu i innym kobietom z haremu, że Mihrunnisa nie jest zwykłą miłośką.

Odepchnęła się od platformy, zaczęła płynąć. Dotarwszy do *paridzatu*, oparła się o cembrowinę i zaczęła się przyglądać białym kwiatom, spływającym w dół jak płatki śniegu. Nie od-

wróciła się w lewo, w stronę mrocznych postaci na werandzie, a jeśli na nią patrzyły, nie zdradziły tego żadnym gestem. Gdyby zbyt długo nie wypływała na powierzchnię, któryś podbiegłby, żeby ją wyłowić. Uważali Nurdżahan za najcenniejszy przedmiot będący w posiadaniu Dżahangira. Unosiła się pod powierzchnią, spragniona ruchu, który umknie oczom eunuchów, o którym jutro z samego rana nie będzie głośno w całej *zenanie*.

Wszechobecne spojrzenia męczyły ją, niepokoiły, zmuszały do myślenia, czy zawsze postępuje jak należy. Dżahangir nie zwracał uwagi na otaczających go ludzi - wychował się wśród nich i wiedział, że nie można się ich pozbyć. Poświęcał im równie niewiele uwagi jak dywanom, poduszkom czy kielichom.

Odwróciła się i mokrą dłonią starła kwiaty z kamiennej cembrowiny basenu. Ułożyła je w rządku. Potem zrobiła drugi rząd, z płatkami zwróconymi w jej stronę. Oto dziedzińiec *diwan-i am*, sali audiencji publicznych. W głębi stoją słonie, przed nimi pospólstwo, kupcy, dostojnicy, a na samym przedzie znajduje się tron, na którym zasiada Dżahangir. Wokół dwóch ostatnich kwiatków położyła ich pomarańczowe łożyczki, jedną obok drugiej. Oto balkon haremu, a łożyczki to ekran z marmurowego ażuru, za którym ukrywa się cesarska *zenana*. Niewidzialna dla mężczyzn w dole. Niesłyszana przez nich.

Dżahangir dopiero rozpoczął codzienne *darbary*, publiczne audiencje, spotkania z dworzanami. Mihrunnisa siedziała za jego plecami na balkonie *zenany*, przyglądając się, jak cesarz załatwia codzienne sprawy. Czasami korciło ją, żeby przemówić, gdy przychodził jej do głowy jakiś pomysł, ale powstrzymywała się, wiedząc, że miejsce na balkonie wyznacza jej zupełnie inną pozycję. Pozycję kobiety. Istoty pozbawionej opinii.

Ale gdyby... podniosła haremowy kwiat i położyła go na dziedzińcu, przed tronem. Przez wiele lat, kiedy była żoną Ali Kulego, kiedy Dżahangir był dla niej tylko nierealnym marzeniem, buntowała się przeciwko ograniczeniom swojego życia.

Chciała się *znaleźć* na haremowym balkonie nie jako obserwator, lecz mieszkanka haremu. Nie jako dama dworu, lecz cesarzowa. Przeniosła swój kwiat w pomarańczowe granice balkonu. To za mało. Czy mogła prosić o więcej? Ale o ile i jak? Czy Dżahangir spełni jej pragnienie? Czy sprzeciwi się tym niepisanim zasadom, które ograniczały jej życie jako cesarzowej, żony, kobiety?

Drżącą ręką znowu podniosła kwiat i położyła obok Dżahangira. Zasiedli razem, dwa rozkwitłe kwiaty na cesarskim tronie. Oparła brodę na cembrowinie i zamknęła oczy. Od zawsze chciała żyć jak mężczyzna, móc iść tam, gdzie zechce, robić, co zechce, mówić, co jej przyjdzie do głowy, nie troszcząc się o konsekwencje. Do tej pory była obserwatorką własnego życia, nie mogła wpłynąć na jego koleje. Ale teraz...

Delikatnie cofnęła nieco kwiat, tuż za Dżahangira, lecz wciąż na oczach całego dworu.

Z daleka rozległ się głos nocnego strażnika i stukanie jego laski.

- Jest druga i wszędzie panuje spokój!

Mihrunnisa usłyszała stłumione kaszlnięcie; odwróciła się i ujrzała eunucha, który zasłaniał usta dłonią. Na jej czole pojawiła się mała zmarszczka. Z czasem będzie bezpieczna przed wścibskimi oczami służących i szpiegów - kiedy zostanie Padiszah Begam, pierwszą damą królestwa. Na razie ten tytuł piastowała Dżagat Gosini.

Podpłynęła w ciepłej wodzie do platformy. Oparła łokcie na marmurze i spojrzała na Dżahangira. Przesunęła palcem po jego czole, włożyła go do ust, by poczuć smak skóry męża. Cesarz się poruszył.

- Nie możesz spać?

Zawsze się tak budził. Nie musiał się otrząsać ze snu. Niegdyś spytała, dlaczego tak jest. A on odpowiedział, że jeśli czuje jej pragnienie, sen go opuszcza.

- Jest zbyt ciepło, najjaśniejszy panie.

Odgarnął jej z czoła mokre włosy, przytrzymał dłoń na krągłości jej policzka.

- Czasami trudno mi uwierzyć, że jesteś przy mnie. - Spoj-

rzał uważnie w twarz małżonki, potem sięgnął po lampkę z listka sunącą po tafli wody. Przysunął ją bliżej.

- O co chodzi?

- Nic. To tylko ten upał. To nic.

Cesarz położył lampkę na wodzie i odepchnął ją. Chwytał Mihrunnisę za rękę, pomógł jej wyjść z basenu. Eunuch zbliżył się dyskretnie z jedwabnym ręcznikiem. Mihrunnisa przyklekła na skraju platformy, podniosła ręce i pozwoliła cesarzowi rozebrać się z *kurty*. Wytarł ją powoli, pochylając się tuż nad jej skórą, by wdychać pizmowy zapach. Potem wytarł włosy ukochanej, każde pasmo z osobna. Wszystko to robił bardzo starannie. Mihrunnisa czekała posłusznie, aż skończy. Ciepłe nocne powietrze muskało jej ramiona, talię, nogi.

- Chodź tutaj. - Dżahangir pociągnął ją na swoje kolana. Oplotła go nogami. Wziął jej twarz w dłonie, przysunął do siebie. - Tobie zawsze o coś chodzi. Czego pragniesz? Naszyjnika? *Dżagiru*?

- Pragnę, żeby stąd odeszli.

- Już ich nie ma - odparł, rozumiejąc ją w pół słowa. Odsunął dłoń od jej twarzy, by dać znak eunuchom, nawet nie oglądając się w ich stronę, ale chwyciła ją i powstrzymała.

- Najjaśniejszy panie, chciałabym to zrobić sama.

- Masz do tego takie same prawo jak ja, moja droga.

Podniosła rękę, nie odrywając spojrzenia od jego tonącej w mroku twarzy. Kątem oka dostrzegła, że eunuchowie sztywnieją, spoglądają na siebie. Nie wolno im było zostawiać cesarza, chyba że on sam im to rozkaże... i nikt oprócz niego. Takiego prawa nie miała żadna jego żona, konkubina, matka. Ale ta żona była inna. Czekali na znak Dżahangira, lecz on nie zrobił żadnego ruchu, nie skinął przyzwalająco głową. Minęła minuta, po czym jeden z eunuchów wystąpił z szeregu, skłonił się cesarskiej parze i opuścił werandę. W ślad za nim poszli następni, nagle zdjęci lękiem - bali się usłuchać, a jeszcze bardziej - nie usłuchać.

Mihrunnisa opuściła rękę.

- Odeszli - odezwała się ze zdziwieniem.

czo. Nawet nie myśl, że ktoś mógłby się nie zastosować do twego polecenia, a nigdy nie spotkasz się z nieposłuszeństwem.

- Dziękuję.

W ciemności błysnęły jego zęby.

- Gdybym miał ci dziękować za wszystko, co mi dajesz, robiłbym to do końca życia. - Jego oddech musnął ucho żony. - Czego pragniesz? Powiedz, bo nigdy nie przestaniesz się tym gryźć.

Milczała, nie wiedząc, jak to powiedzieć ani o co właściwie chce poprosić. Pragnęła brać większy udział w jego życiu, nie tylko tutaj, w murach *zenany*.

- Pragnę... - zaczęła powoli. - Pragnę jutro wejść wraz z tobą do *dżharoki*.

W początkach panowania Dżahangir ustanowił dwanaście zasad postępowania. Wielu nie przestrzegał - między innymi zakazu używania alkoholu - uważał bowiem, że zasady te mają wzmacniać cesarstwo, nie jego. On był ponad nie. Pragnąc traktować swoich poddanych sprawiedliwie, ustanowił rytuał *dżharoki*, którego nie znano za czasów jego ojca cesarza Akbara.

Obyczaj ten nazwał *dżharoką* - zerknięciem - ponieważ po raz pierwszy od stu lat, gdy Mogołowie podbili Indie, każdy poddany mógł ujrzeć cesarza.

Dżharoką była specjalnym balkonem na zewnętrznej stronie murów fortu w Agrze, gdzie Dżahangir trzy razy dziennie udzielał publicznych audiencji. Co rano o wschodzie słońca ukazywał się na balkonie po wschodniej stronie fortu, w południe po jego południowej stronie, a o piątej po południu, gdy słońce zaczynało się skłaniać ku horyzontowi, po stronie zachodniej. Uważał to za swój najważniejszy obowiązek. Zjawiał się, by poddani mogli zwracać się do niego z petycjami, apelami i prośbami. Na balkonie pojawiał się sam, ministrowie i przybyli stali u jego stóp. Dzięki temu jego występom towarzyszyła mniejsza pompa, zdawał się mniej odległy na dalekim tronie.

- Ale przecież przychodzisz ze mną do *dźharoki* - powiedział. Czuł, że to nie wszystko. Zaczął bardziej zważać na jej słowa. Od paru tygodni Mihrunnisa stała za łukiem balkonu obok strzegących go eunuchów, nasłuchiwała, a potem rozmawiała z nim o petycjach.

- Chcę stanąć z tobą na balkonie, przed wielmożami i ludem. - Powiedziała to cicho, lecz bez wahania. Sam rzekł, że ma rozkazywać władczo, a jej rozkazy zostaną spełnione.

Gwiazdy skryły się za nadciągającymi chmurami. Za ich zasłoną zamigotały błyskawice, srebrne gałęzie światła za szarym welonem. Mihrunnisa siedziała w ramionach Dżahangira, naga, osłonięta jedynie szybko schnącymi włosami, spływającymi po plecach i ramionach aż do pasa.

- Tego dotąd nie było - odezwał się w końcu Dżahangir. I miał rację. Kobiety z jego *zenany*, bez względu na swoją pozycję, zawsze pozostawały za murami haremu. Słyszano je, ich rozkazy wydawane służącym, niewolnicom i eunuchom, słyszano także, gdy cesarz spełniał ich pragnienia.

- Dlaczego tego pragniesz?

- Dlaczego nie? - odpowiedziała pytaniem.

Cesarz się uśmiechnął.

- Widzę, że będziesz mi sprawiać kłopoty. Spójrz. - Podniósł wzrok ku niebu. Zrobiła to samo. - Myślisz, że zaczniesz padać?

- A jeśli zaczniesz... - zrobiła pauzę. - Jeśli zaczniesz, czy jutro mogę przyjść do *dźharoki*?

Chmury zasłoniły niebo nad ich głowami. Były takie jak poprzednie, ciężkie, nabrzmiałe deszczem, czasami roniące krople wody. Potem podmuch wiatru przepędzał je dalej, torując drogę dla rydwanu boga słońca. Mihrunnisa wydała rozkaz monsunowi. Uśmiechnęła się nieznacznie. Dlaczego nie? Najpierw eunuchowie, potem chmury.

- Zamknij oczy - powiedział cesarz.

Usłuchała. On także zamknął oczy i pochylił się ku jej szyi, kierując się zapachem. Osłoniła go włosami. Nie otworzyła oczu, chłonęła ciepło oddechu męża, poczuła jego język, sma-

kujący strużkę potu, która wymknęła się spod jej włosów i pociekła po łopatce, zadrżała, gdy szorstkie palce przesunęły się po jej piersiach. Nie wypowiedzieli już ani słowa więcej.

Potem zasnęli.

Następnego ranka obudziło ich słońce, płaska złota linia za fioletowymi chmurami nad horyzontem. Mihrunnisa leżała z głową na aksamitnej poduszce, spoglądając na refleksy światła na niebie. Chmury wisiały nisko, ale deszcz nie padał. Powietrze nasiąkło wilgocią, ale deszcz nie nadciągnął.

Eunuchowie wrócili na swoje miejsca pod łukami werandy, niewolnice przemykały bezszelestnie z brązowymi naczyniami na wodę. Mihrunnisa i Dżahangir wyczyścili zęby gałązką drzewa *neem*, a kiedy z meczetu rozległ się głos muezina, wzywający do modlitwy, uklękli obok siebie na dywanikach modlitewnych twarzą na zachód, w stronę Mekki, i unieśli ręce.

A potem, jak co dzień, cesarz i jego nowa żona opuścili apartamenty i ruszyli korytarzami pałacu na pierwszą *dżharkę* tego dnia.

Szli ręką w rękę, w milczeniu, nie patrząc na siebie. Bosi służący posuwali się za nimi bezszelestnie, fałdy *ghagary* Mihrunnisy szeleściły na gładkich marmurach posadzki. Mihrunnisa nie odzywała się, nie potrafiła się zmusić, by poprosić jeszcze raz; nie wiedziała, czy ma stanąć pod łukiem balkonu, czy też u boku cesarza? Jeszcze raz spojrzała na niebo, ale nie, chmury trwały w miejscu, potężne i nieruchawe. Wielki ciężar przygniótł jej serce.

Dotarli do wejścia na balkon, po którego obu stronach eunuchowie cesarskiej *zenany* stali w dwóch rzędach. Kiedy Dżahangir na niego wejdzie, zewrą szeregi.

Na przedzie stał Hoszizar-chan, wyższy od reszty mężczyzn. Nawet o tej wczesnej porze był ubrany z nieskazitelną elegancją niczym król. Włosy miał ułożone gładko pod turbanem, twarz poważną, maniery nieskazitelne. Już od dwudziestu pięciu lat był głównym eunuchem haremu cesarza Dżahangira. I niemal równie długo pełnił funkcję cienia cesarzowej

Dżagat Gosini. Stał u jej boku, służąc radą i pomocą. Na miesiąc przed ślubem Mihrunnisa zaryzykowała i spytała, czy chce zostać jej osobistym eunuchem. Hozsijar przeszedł na jej stronę, i to z własnej woli, gdyż gdyby tego nie chciał, znalazłby sposób nawet na zlekceważenie rozkazu samego Dżahangira.

Uklonił się nisko.

- Ufam, że najjaśniejsi państwo mieli dobrą noc?

Wiedział o wszystkim, co zaszło, wiedział, że Mihrunnisa oddaliła jego ludzi z werandy, że musieli usłuchać jej rozkazu i dlaczego. Odniosła wrażenie, że skinął jej lekko głową i uśmiechnął się przez ułamek sekundy, bardziej oczami niż ustami, zanim odwrócił się do cesarza.

Hozsijar wychylił się i uniósł rękę. Cesarska orkiestra zaczęła grać, obwieszczając przybycie cesarza. Rozległ się tryl *szehnai*, łomot bębnow, a w oddali działa oddały niegroźną salwę.

Mihrunnisa otworzyła usta... i znowu je zamknęła. Cesarz sięgnął za jej głowę. Welon w kolorze indygo leżał niczym szal na jej ramionach; Dżahangir narzucił jeden jego rąbek na twarz małżonki. Wychodząc na balkon w blask rozjaśniającego się nieba, mocniej chwycił ją za rękę i pociągnął za sobą.

W pierwszej chwili dostrzegła tylko jedną nieważną rzecz: że marmurowa balustrada balkonu, rzeźbiona w pnąca jaśminu, sięga jej do pasa. Zastaniała ich splecione dłonie. Potem spojrzała na morze pochylonych w ukłonie postaci, dziesiątki pleców w cienkich bawełnianych szatach haftowanych złotym *zari*. Dostojnicy i lud, z boku orkiestra, niewolnicy i strażnicy z włóczniami i muszkietami - nikt nie podniósł na nich oczu.

Nawet mir tozak, mistrz ceremonii, stał ze schyloną głową. Ale to on ją podniósł pierwszy, to on pierwszy zobaczył cesarza i damę u jego boku. Kiedy przemówił, w jego głosie słychać było lekkie drzenie.

- Wszyscy oddają cześć Dżahangirovi Padiszahowi!

Wielmoże wyprostowali się i ujrzeli zawołowaną postać obok Dżahangira. Nie mogli powstrzymać mimowolnego westchnienia. W ciszy dziedzińca, wolnej od dźwięku trąbek

i bębnow, to westchnienie zaszumiało jak wiatr i zaraz ucichło.

Mihrunnisa mocno ścisnęła Dżahangira za rękę. Oboje wiedzieli, że cesarz obdarzył ją przywilejem, a ona milcząco go przyjęła. Takiego przywileju nie wolno zmarnować. Serce pękało jej z wdzięczności na myśl, że Dżahangir zabrał ją na *dżharokę* pomimo całego chaosu, jaki musiał się rozpuścić w wyniku tej decyzji.

Spoglądała na mężczyzn u swych stóp, wiedząc, że żaden nie widzi jej twarzy. Życie za zasłoną miało także swoje plusy. Dłonie miała lodowate. Po raz pierwszy kobieta z cesarskiego haremu pojawiła się publicznie, co prawda za zasłoną, lecz wszyscy ją widzieli. Dżahangir zrobił krok do przodu, wyprostowany dumnie, z turbanem mocno osadzonym na głowie. Przez całą *dżharokę* był cesarzem, nie mężczyzną, który tak ufnie spał w jej ramionach. Musiała się szybko nauczyć przybierania oficjalnej maski.

- Ludu mój - zaczął władczo. - Jak widzicie, jestem zdrow i spałem dziś dobrze. - Zwrócił się do mir arza, urzędnika do spraw petycji. - Wprowadzić petentów.

Przez pół godziny mir arz wywoływał nazwiska zgromadzonych na dziedzińcu wielmożów, którzy przedstawiali cesarzowi swoje prośby. Podchodzili, składali mu trzykrotny ukłon, a potem ofiarowywali cesarzowi jakiś dar. Zależnie od jego wartości i oryginalności Dżahangir dawał im znak, czy mogą przemówić. Prostych ludzi wybierał, kierując się ich wyglądem, kolorem turbanu, zajmowanym miejscem albo tym, czy stali zwrócenii twarzą w stronę wschodu czy zachodu. Tylko dzięki takiemu systemowi mógł wysłuchać dostatecznie wielu petycji w tym krótkim czasie. Większość petentów musiała odejść z kwitkiem. Będą wracać dzień po dniu w nadziei, że ich twarze w końcu staną się na tyle znajome Dżahangirowi, iż w końcu zwrócą jego uwagę.

Mihrunnisa stała w milczeniu, przyglądając się dwóm mężczyznom po prawej stronie *dżharoki*. Mahabbat-chan i Muhammad Szarif byli najbardziej wpływowymi wielmożami na dworze. Obaj mieli władzę i wpływ na cesarza. Mahab-

bat-chan był inteligentny, przebiegły i podstępny. Podobno odmówił przyjęcia funkcji, którą obecnie piastował Szarif-amira ul-umry, premiera i wielkiego wezyra, wołąc rządzić z za kulis.

Przed cesarzem stanął pierwszy petent. Mihrunnisa słuchała jego słów. Zdawało jej się, że zna jego nazwisko. Ach, to kuzyn Mahabbat-chana. I tak było podczas każdego *darbaru*. Kuzyni, przyjaciele, bracia, wszyscy otrzymywali zaszczyty, posiadłości i kontrakty, podczas gdy inni musieli odejść z kwitkiem.

Nie mogła się powstrzymać. Położyła dłoń na ramieniu Dżahangira.

- Najjaśniejszy panie...

Cesarz obejrzał się na nią.

- Być może byłoby lepiej, gdyby ta sprawa poczekała. Są inne, pilniejsze. Ten człowiek już ma *mansab* sześciuset koni, zwiększenie go nie przyniesie nic dobrego - powiedziała cicho. Dżahangir zawahał się, po czym spojrzał na mir tozaka. Był to znak do odprawienia petenta.

Mahabbat-chan odwrócił się wściekle w stronę Mihrunnisy. Wytrzymała jego spojrzenie bez jednego drgnięcia.

Po zakończeniu *dżharoki* Mihrunnisa i Dżahangir wyszli razem; zebrani milczeli, bojąc się powiedzieć cokolwiek. Mihrunnisa wróciła do swoich apartamentów pogrążona w myślach. Wystąpiła przeciwko Mahabbat-chanowi, który nie zapomni publicznej odmowy jego prośbie. Mahabbat może być groźnym wrogiem, którego należy traktować ostrożnie.

Zmyliła krok. Dlaczego odezwała się podczas posłuchania? Zrobiła to nieznacznie - dotknęła ramienia Dżahangira, wyszeptła mu coś do ucha, lecz konsekwencje tego czynu mogą być katastrofalne. Świadczyło o tym płonące spojrzenie Mahabbata, zdolne, zdawałoby się, przesyć na wylot jej zasłonę. Ale nie mogła się oprzeć pokusie ostentacyjnego zademonstrowania władzy tym wszystkim potężnym wielmożom - tym wielmożom u jej stóp. Mahabbat nigdy nie zapomni tej *dżharoki*. Ja też, pomyślała.

Przeszła przez szerokie podwoje swojego apartamentu i sta-

nęła spokojnie i pokornie niczym oswojona łania, podczas gdy niewolnice zaczęły ją rozbierać do kąpieli.

Niegdyś Hoszijar powiedział, że Mahabbat usiłował nie dopuścić do jej małżeństwa z cesarzem. Dlaczego? Dlaczego Mahabbat interesował się kobietami z cesarskiego haremu? Nie żywił urazy do jej ojca czy brata... a jednak opowiedział się przeciwko niej. Dlaczego?

Można by pomyśleć, że to on, nie Dżahangir, jest cesarzem. Nie piastował żadnej szczególnej godności, ale czasami wyraźnie odwodził cesarza od jego zamiarów. Wystarczyło jedno jego słowo, a całe cesarstwo zmieniało kurs na ten, który wyznaczył. Zapomniała o tym, zbyt pośpiesznie przemawiając podczas *dżharoki*. To bez znaczenia, powiedziała sobie. To nie może mieć znaczenia. Jeśli mam zdobyć władzę w *zenanie* i na dworze, przysporzę sobie wrogów. To było wiadomo od samego początku.

Poczuła chłodny powiew, odwróciła się do okna. Młoda niewolnica - nie mogła mieć więcej lat niż Ladli - wybiegła zżywieniem na balkon. Chmury, czarne i rozjątrzone, zasłoniły blade poranne słońce. Jakby wysały skwar z rozprażonych pałaców. Deszcz zaczął padać, kiedy Mihrunnisa rozpoczęła kąpiel. Nie był to zwykły deszczyk, lecz potężna, gniewna ulewa przy akompaniamencie grzmotów.

Mihrunnisa leżała w wodzie, nasłuchując i przyglądając się burzy. Powoli przestawała się troskać. Zerwanie więzi Mahabbata z cesarzem nie będzie łatwe, umacniała się bowiem przez wiele lat. Ale, pomyślała, tak samo jest z moim zrozumieniem Dżahangira. Wszystko wymaga czasu.

Dżharoka jeszcze się nie skończyła, a już cała *zenana* wiedziała, że Mihrunnisa ukazała się na balkonie. Eunuchowie i służący mieli pełne ręce roboty. Kiedy nowa cesarzowa opuściła balkon, wszystkie pałace szumiały od plotek o tym bezprecedensowym wydarzeniu.

Pałace cesarskiego haremu były liczne i rozproszone, a łączył je labirynt zachwycających dziedzińców i bujnych ogrodów wewnątrz Czerwonego Fortu w Agrze. W haremie

mieszkało trzysta kobiet, mających bezpośredni związek z cesarzem.

Panująca tu hierarchia rządziła się prostymi prawami. Żony panującego cesarza miały wyższą pozycję niż inne kobiety z *zenany*. Nad nimi znajdowała się tylko jedna - Padiszah Begam. Z tym tytułem łączyła się władza nad całą *zenaną*, prawo do obserwacji, knucia intryg, wpływania na losy innych kobiet, kontrolowania ich finansów i życia.

Cesarzowa Dżagat Gosini, druga żona Dżahangira, stała się Padiszah Begam dwadzieścia pięć lat temu, gdy cesarz był jeszcze księciem. Wówczas była dziewczyną o klasycznych rysach i wyniosłym sposobie bycia. Padiszah Begam panującego wówczas cesarza Akbara, Rakajja, dostrzegła sztywność *taslimu* Dżagat Gosini, gdy ta skłoniła się przed nią po raz pierwszy, dostrzegła uniesienie brwi, gdy coś nie przypadło jej do gustu, i uznała to za przejaw arogancji.

W ten sposób zaczęła się wojna między nimi. Nigdy nie starły się publicznie, każda jednak prowadziła subtelną kampanię przeciwko drugiej - dokuczały sobie sarkastycznymi, bolesnymi docinkami. Za życia cesarza Akbara Rakajja miała w *zenanie* władzę absolutną, ale kiedy na tronie zasiadł Dżahangir, musiała ustąpić miejsca Dżagat Gosini. W owych czasach Dżahangir miał już wiele nowych żon, ale Dżagat Gosini, księżniczka z domu, poślubiona potężnemu władcy, bez trudu zdobyła w haremie czołową pozycję.

Wieczorem, tego samego dnia, kiedy odbyła się pamiętna *dżharoka*, Mihrunnisa odwiedziła cesarzową wdowę w jej pałacu. Nad rzeką Dżamną w Agrze, za murami fortu stało sześć pałaców, każdy w stylu odzwierciedlającym osobowość jego mieszkańca. Niektóre miały marmurowe balkony i werandy między blankami muru, inne zbudowano z tego samego czerwonego piaskowca co sam fort. Mihrunnisa jeszcze nie miała własnego pałacu, ale z czasem na pewno go otrzyma. Pragnęła nadzorować kładzenie każdego kamienia z osobna, doglądać polerowania marmurowych posadzek.

Wśród symboli cesarskiego splendoru największym był właśnie taki budynek z cegieł, piaskowca, marmuru, emalii

i luster. Jednak pałac stanowił tylko pożyczkę na czas życia cesarza; czasami, jeśli kobieta była na tyle głupia, by utracić łaski władcy, nawet na krócej. A kiedy na tronie zasiadał cesarski potomek, damy z jego haremu wyganiały dotychczasową lokatorkę z pałacu.

A jednak cesarzowa wdowa Rakajja - która nie była nawet matką Dżahangira, a jedynie ulubioną żoną jego ojca - zachowała własny pałac.

Rakajja leżała w zwykłej pozie na otomanie, pałac *hukkę* i przyglądając się figlom pekińczyka, którego dostała od kogoś w prezencie. Fajka wodna bulgotała przy każdym zaciągnięciu, dym wił się błękitnymi spiralami i mieszał ze słodkim zapachem opium.

Rakajja zauważyła wejście Mihrunnisy - trudno było go nie zauważyć, gdyż wszystkie służące wstały, by się pokłonić, i w komnacie zapanowało ogólne zamieszanie. Ale cesarzowa wdowa zajęła się pieskiem, odłożyła *hukkę* i klasnęła w dłonie, zachwycona jak dziecko. Przywołała do siebie małe brzydactwo, żeby je pogłaskać. W ten sposób minęło parę minut, a Mihrunnisa nadal stała na progu, czekając, aż Rakajja przestanie się interesować psem. Szczekanie i skomlenie brzmiało bardzo głośno w komnacie, w której ucichły wszystkie głosy.

Wreszcie cesarzowa wdowa odezwała się do eunucha:

- No proszę, wreszcie się zjawia, a minęło już tyle czasu. Można by pomyśleć, że po ślubie z cesarzem porosła kolcami dumy. Niektórzy zapominają, że byłam cesarzową dłużej niż oni.

Mihrunnisa roześmiała się i skłoniła Rakajji w dobrze opanowanym *taslimie*, dotykając czoła prawą ręką.

- Jak mogłabym zapomnieć, najjaśniejsza pani? A nawet gdybym chciała, nie pozwoliłabyś mi.

Wyprostowała się i spojrzała w twarz usiłującej zachować powagę Rakajji. Zaraz potem cesarzowa wdowa poddała się i parsknęła śmiechem. Na jej pyzatej twarzy pojawiły się głębokie zmarszczki.

- Ach, Mihrunniso, jak miło cię widzieć. Czy musiałaś

zwlekać dwa miesiące, by odwiedzić starą przyjaciółkę? Czy cesarz jest w tobie aż tak rozkochany?

Mihrunnisa usiadła obok niej.

- Tylko trochę. Podobno w *zenanie* mówi się, że to ja go w sobie rozkochałam. Nie tylko rozkochałam, ale w dodatku przy użyciu czarów, którymi go do siebie przyciągnęłam. Jestem prostą kobietą, najjaśniejsza pani. Gdzie miałabym się nauczyć takich sztuczek?

Rakajja znowu wybuchła głębokim, gardłowym śmiechem.

- Ty? Prosta? W tobie nie ma nic prostego, Mihrunniso. Wiedziałam o tym od samego początku, kiedy miałaś dziewięć lat i nie rozplakałaś się, gdy uderzyła cię konkubina.

- A ty mnie uratowałaś, ganiąc ją.

- To prawda. - Małe oczka Rakajji błysnęły przebiegle. - Nie ma o czym mówić, ale to, że zostałam cesarzową, także mnie zawdzięczasz. Zawsze o tym pamiętaj.

- Nigdy nie zapomnę, najjaśniejsza pani.

Służąca przyniosła *hukkę* z miedzi i srebra i postawiła ją przed Mihrunnisa. Rakajja wyciągnęła się na otomanie, podparła się na łokciu.

- Zechcesz zapalić ze mną opium?

- Nie, najjaśniejsza pani, przyszedłam porozmawiać. Czy słyssałaś już o dzisiejszej *dżharoce*?

Rakajja skinęła głową.

- Wszyscy o niej słyszeli. Czekał. - Strzeliła palcami, a niewolnice i eunuchowie skłonili się i wyszli, zabierając ze sobą pekińczyka. Dopiero kiedy drzwi się za nimi zamknęły, cesarzowa wdowa dodała: - Czy to było mądre? Miejsce kobiety jest w haremie, za ścianami *zenany*. Nawet ja nigdy nie prosiłam cesarza Akbara o taką łaskę.

- Ale prosiłaś o inne - odparła cicho Mihrunnisa. - Na przykład o Churrama.

Księżę Churram był synem cesarzowej Dżagat Gosini. Kiedy skończył rok, bezdzietna Rakajja poprosiła o prawo do opieki nad dzieckiem Dżagat Gosini i otrzymała je, gdyż cesarz Akbar prawie niczego jej nie odmawiał. I tak Churram dorastał w towarzystwie Rakajji, uważając ją za swoją matkę,

a Dżagat Gosini za podległą jej księżniczkę. Zmiana układu sił w haremie nie miała wpływu na uczucia Churrama, choć miał już dwadzieścia lat i wiedział, że Dżagat Gosini jest jego matką, a Rakajja tylko opiekunką. Nadal zwracał się do Rakajji „mamo”. A tego Dżagat Gosini nie mogła wybaczyć Rakajji.

Cesarzowa wdowa przyglądała się przez jakiś czas Mihrunnisie, potem uśmiechnęła się.

- Jesteś przebiegła. Ale zdaje się, że to ja cię tego nauczyłam. Masz wobec mnie kolejny dług. I uważaj na Dżagat Gosini, nadal jest Padiszah Begam.

- Wiem o tym, najjaśniejsza pani. Dziś weszłam do *dżharoki*. Jutro, kto wie, może nawet ten tytuł będzie należeć do mnie. Czas pokaże. - Wzięła dwa orzechy ze srebrnej miseczki stojącej koło cesarzowej wdowy. - Ale przecież tego zawsze sobie życzyłaś, prawda?

Rakajja odsunęła się nieco i pyknęła z *hukki*, wydmuchując leniwe kręgi dymu. Ostatnio rzeczywiście tego właśnie chciała. Ale niegdyś poparła cesarza Akbara, który oddał Mihrunnisę Ali Kulemu, choć Dżahangir, wówczas książę, pragnął jej dla siebie. Jedno słowo mogło zmienić wszystko... ale cesarzowa wdowa miała skłonność do okrucieństwa i czasem zwracała się nawet przeciwko tym, których kochała.

Gdy jednak Mihrunnisa wróciła do stolicy po śmierci Ali Kulego, to właśnie Rakajja przyjęła ją do swej *zenany* jako damę dworu, choć Dżagat Gosini była temu przeciwna. I to Rakajja zaaranżowała spotkanie Dżahangira z Mihrunnisa na bazarze Mina. I chciała, żeby tak to się utrwaliło w pamięci Mihrunnisy. Dawała jej do zrozumienia: „Nie zapominaj, kto cię osadził na tronie. Gdyby nie ja, nadal byłabyś służącą w cesarskiej *zenanie*”.

I dlatego zwracała się do niej jej dawnym imieniem.

Ale Mihrunnisa zjawiła się tutaj także z innej przyczyny.

- Najjaśniejsza pani, opowiedz mi historię mirzy Mahabat-chana.

Rakajja się ożywiła.

- Ach! Rozgniewałaś go dzisiaj.

Mihrunnisa skinęła głową.

- Dlaczego jest moim wrogiem? Nie mogę zagrozić jego pozycji. A jednak sprzeciwił się mojemu związkowi z cesarzem. Dlaczego?

- Nie jestem pewna - powiedziała wolno Rakajja, żując ustnik fajki. - Ale słyszałam, że ma to związek z Dżagat Gosini. Nigdy nie chciała twojej obecności w *zenanie*, musisz o tym wiedzieć. Ciekawe, czy mogła zapewnić sobie jego poparcie. Ale jakim argumentem mogła go przekonać? Że boi się twojej inteligencji? Twojej urody? Czy potężny minister dałby się przekonać takim słowem? Hmmm...

Rozmawiały do późna. Cesarzowa wdowa miała niemal idealną pamięć. Przypomniała sobie wszystkie sytuacje z życia cesarza, kiedy Mahabbat zrobił lub powiedział coś wyjątkowego. Opowiedziała o jego oddaniu Dżahangirowi, o głębokim oddaniu, które cesarz do niego żywił i które czasami kazało mu nie dostrzegać przewin przyjaciela. Mihrunnisa słuchała uważnie.

W końcu zapadła noc i pałac ucichł. Rakajja spytała niespodziewanie:

- Już późno, dlaczego nie idziesz do cesarza?
- Powinien się wyspać, najjaśniejsza pani.

Rakajja uśmiechnęła się znacząco. Dotknęła twarzy Mihrunnisy.

- Wiesz, że to nie będzie trwało wiecznie.

Mihrunnisa cofnęła się.

- Moja uroda czy związek z cesarzem?
- Obie te sprawy. Musisz mieć o wiele więcej, zatem uważaj. Uważaj na oznaki wieku, uważaj na to, co mówisz. Cesarz Dżahangir nie lubi kobiet zbyt dowcipnych i inteligentnych.

Małżonka panującego cesarza zachowała kamienną twarz, ale słowa Rakajji obudziły jej gniew. Mogłaby opowiedzieć cesarzowej wdowie wiele rzeczy, których nie wiedziała lub nie chciała wiedzieć o cesarzu. Rakajja była do niego uprzedzona z wielu powodów, głównie ze względu na jego rebelię przeciwko ojcu w czasach, gdy Dżahangir był jeszcze księciem. Według niej ten bunt przyspieszył śmierć Akbara. Ale Mihrunnisa nie mogła protestować z obawy, że może Rakajja miała

rację. Żadna inna kobieta z *zenany* nie uzyskała takiej łaski od Dżahangira... Znowu nawiedziło ją zwątpienie, jak zawsze podczas rozmów z cesarzową wdową.

Rakajja leżała na otomanie, przyglądając się bystro Mihrunnisie.

- Odejdź - powiedziała. - Idź do swoich apartamentów. Ty też musisz się wyspać.

Mihrunnisa ucałowała jej rękę i wstała.

- Dobrze było znowu z tobą porozmawiać, Mihrunniso.

Skłoniła się cesarzowej wdowie. W drzwiach się odwróciła.

- Najjaśniejsza pani, mam teraz nowy tytuł. Nie nazywam się już Mihrunnisa.

- Uważaj, Mihrunniso. Uważaj, jak się do mnie odnosisz. Pamiętaj, co dla ciebie zrobiłam.

Najnowsza żona Dżahangira pokręciła głową. Jeszcze dwa miesiące temu przestraszyłaby się, ale sytuacja nie wyglądała już jak niegdyś.

- Nigdy nie zapomnę, jaki mam wobec ciebie dług, ale teraz nazywam się Nurdżahan. Być może pozwolę ci zwracać się do mnie starym imieniem. Jednak nie jestem już Mihrunnisa. Nie wolno ci o tym zapomnieć.

ROZDZIAŁ DRUGI

Jednak miała jedną niewybaczalną wadę. Była kobietą... A zgodnie z przesądami owych czasów kobiety nie mogły pełnić żadnej funkcji publicznej, a ambicja była cechą wyłącznie męską.

Abraham Eraly, *The Last Spring: The Lives and Times of the Great Mughals*

Tej samej nocy, gdy Mihrunnisa i Rakajja rozmawiały do późna, do wewnętrznych drzwi Hathi Pol, Bramy Słonia, na zachodnim krańcu fortu w Agrze, zbliżył się mężczyzna. Przez chwilę stał, przyglądając się dwóm uspionym strażnikom, opartym na wbitych w ziemię włóczniach. Na tle murów wyglądali jak marionetki bez sznurków. Mężczyzna odkaszlnął; strażnicy się poderwali. Jeden skierował włócznię w stronę mężczyzny, ostrze zatrzymało się kilka centymetrów od płaszcza wyszywanego *zari*.

- Kto idzie?

Mężczyzna podniósł ręce. Jego namaszczone olejkiem, sięgające karku włosy lśniły w blasku lamp.

- Mahabbat-chan - powiedział zwięźle, wiedząc, że to wystarczy.

Strażnik opuścił broń i skłonił się głęboko.

- Mirzo Mahabbat-chanie, błagam o wybaczenie, nie poznałem cię - wybełkotał nerwowo. - Ale jak... myślałem, że już opuściłeś fort...

Mahabbat łagodnie pokręcił głową pobłaźliwie, jak ktoś nieprzyzwyczajony do przesłuchań.

- Chwali ci się ta docieklivość, bo wypływa z troski o cesarza, ale bacz, do kogo się zwracasz. Otwórz bramę.

- Oczywiście, oczywiście. Błagam o wybaczenie. Chciałem tylko... - Strażnik popędził do bocznych drzwi koło wielkiego skrzydła bramy i otworzył je. Mahabbat-chan ruszył, nie słuchając jego dalszych gorączkowych tłumaczeń. Szedł równym krokiem, spokojnie, słuchając, jak pod podszewkami skórzanych butów chrzęści piach.

Jego ręka lekko spoczywała na sztylcie za pasem. Omiatał spojrzeniem tonące w mroku uliczki, wypatrując jakiegoś poruszenia zwiastującego niebezpieczeństwo. Poczuł smród araku i skwaśniałego wina. Minął bezpieczeństwa psa, który warknął cicho. Nie podszedł do niego nikt, ani człowiek, ani zwierzę. Żaden głos nie krzyknął ku niemu, żadna ręka nie sięgnęła ku sznurowi wielkich pereł na jego szyi czy rubinowi wielkiemu jak gołębie jajo. Tak jakby całe miasto wiedziało, że Mahabbat-chan jest ulubionym ministrem cesarza, zaufanym powiernikiem. Mahabbat szedł spokojnie w stronę domu Muhammada Szarifa.

Jego posiadłość znajdowała się w pewnym oddaleniu od głównej ulicy Agry, koło Dżamny, w cieniu starych drzew mango. Miała płaski dach, a od frontu cieniastą werandę o kolumnach koloru brzoskwini. Mahabbat wszedł po schodach i zapukał do grubych drewnianych drzwi ozdobionych płatkami srebra. Mały służący, który zwykle sypiał na progu, z plecami opartymi o drzwi, wyjrzał i skłonił się głęboko na jego widok.

- Proszę do środka, *hazur*. - Cofnął się z drogi. - Powiem mojemu panu, że przybyłeś.

- Nie ma potrzeby. Zaprowadź mnie do niego. - W tej samej chwili z głębi domu dobiegł niski, głuchy dźwięk *tabli*. Nie towarzyszyła jej muzyka instrumentów.

- Na wewnętrznym dziedzińcu - powiedział chłopiec.

- Śpi?

- Nie, panie.

Jak widać, Szarif także nie mógł zasnąć. Mahabbat zdjął buty i ruszył przez labirynt korytarzy i dziedzińców do prywatnych apartamentów. Szarif nie przebywał w towarzystwie żon, w przeciwnym razie mały niewolnik by o tym wspo-

mniał. Będą mogli się spotkać. Mahabbat dotarł do dziedzińca, zatrzymał się i oparty o kolumnę zaczął się przyglądać Szarifowi.

Wielki wezyr cesarstwa Mogołów leżał z głową na poduszce, ręce oparłszy na piersi. Jego krótkie, umięśnione nogi ledwie sięgały do końca otomany. Cała jego postać zdradzała niedbałość i odprężenie, może nawet gnuśność. Leżał bezwładnie, ale Mahabbat wiedział, że to tylko poza.

Niewolnica odziana w spódnicę z cienkiego muślinu, stanik i welon kołysała się do rytmu *tabli*. Muzyk siedział za kolumną, niewidoczny, a dudnienie bębnów rytmicznie wstrząsało ciężkim powietrzem, powolne, natarczywe, wyzywające. Dziewczyna była szczupła, niezbyt ładna, z dużym nosem, ale kosmetyki sprawiły, że wszystkie jej braki przestały być widoczne. Oczy, powiększone *kohlem*, zyskały głębię i blask, karmin rozpałił usta, dłonie i stopy zdobiły kwiaty z henny. Jej ciało zdawało się ledwie poruszać, a jednak gesty były idealnie zgrane z rytmem. Mahabbat poczuł wokół siebie pulsowanie powietrza. Z zapiętym tchem przyglądał się, jak dziewczyna dotyka stanika, rozpina drewniany guzik, potem drugi i trzeci, przesuując palcami po surowym niebieskim jedwabiu. Odwróciła się od wielkiego wezyra i ujrzała Mahabbata.

Znieruchomiała, a potem, lekko kołysząc biodrami i nie spuszczać z niego oczu, zdjęła wiotki jedwabny strzępek. Była młoda, lecz dobrze przyuczona. Mahabbat roześmiał się głośno i chrapliwie, opadło z niego napięcie. Pod stanikiem dziewczyna miała jeszcze jedną muślinową szmatkę, ledwie zakrywającą piersi. Widział jaj Szarif, wpatrujący się w plecy tancerki, mógł jej nie zauważyć. Mahabbat klasnął w dłonie.

- Doskonale! Mnie także nabrałaś.

Spojrzał na Szarifa. Na czole przyjaciela lśnił pot, krople zebrały się też na górnej wardze, przemoczyły cienkie pasemko zarostu, które Szarif lubił nazywać wąsami. Wielki wezyr poderwał się wściekły, szukając intruza; jego spojrzenie przyćmił gniew, do którego zawsze był skłonny. Zobaczył Mahabbata i natychmiast się rozchmurzył.

- Za chwilę... - zaczął karcąco.

- Nic byś nie zobaczył, przyjacielu - odparł Mahabbat. Podszedł do dziewczyny i odwrócił ją, kładąc jej rękę na ramieniu. Potem sięgnął za pas i rzucił jej trzy złote *mohury*. Monety zakreśliły łuk w powietrzu. Dziewczyna pochwyciła je zręcznie, jedną po drugiej. Skłoniła się obu mężczyznom.

Muhammad Szarif ją odprawił.

- Ale nie odchodź daleko. - Odwrócił się do przyjaciela. - Co cię sprowadza?

Mahabbat-chan przeszedł przez marmurową posadzkę dziedzińca i usiadł na otomanie koło Szarifa. Służący podsunął mu kielich wina. Mahabbat oddał go gestem ręki, po czym skinął muzykowi. Rytm ustał; służący wycofali się szybko, bijąc półkłony. Mahabbat ujął kielich i spojrzał w wino.

- Czy nowa cesarzowa sprawi kłopoty, Szarifie?

Przez twarz wielkiego wezyra przemknęło zaskoczenie i rozbawienie.

- Kobieta? Kłopoty? Raczysz żartować.

- Widziałeś, co się stało dziś rano podczas *dżharoki*. Stała przed nami bezczelnie niczym ulicznica. Widziałeś to i nie sądzisz, że powinniśmy się martwić?

Muhammad Szarif oparł się na łokciu.

- Ach, jesteś zły, bo najjaśniejsza pani przemówiła przeciwko twojemu protegowanemu. Jej obecność na *dżharoce* była zaskakująca, to wszystko. Najprawdopodobniej jest to wyraz zadowolenia cesarza po udanej nocy. To się nie powtórzy.

- Nie jestem zły - zaprzeczył minister, ale w jego głosie brzmiała gorycz, ponieważ dręczyła go niepewność. Gdyby nie to ciche, łagodne słówko wyszeptane do ucha Dżahangira, nie czułby teraz niepokoju. - A ty nie dostrzegasz, że ten związek jest inny od pozostałych. Cesarz Dżahangir poślubił ją z miłości. - Skrzywił się. Kobiety miały dla niego pewną wartość, ale nie obdarzyłyby ich uczuciem. - W żyłach tej cesarzowej nie płynie królewska krew.

- Jest córką cesarskiego *diwana*. Ghijas-beg jako skarbnik jest odpowiedzialny nawet za nasze wynagrodzenie. Jest lubiany i na ogół uważa się go za człowieka honoru.

Szarif miał rację. Ghijas-beg uciekł z ojczystej Persji i przy-

był do Indii jako szlachcic bez grosza. Cesarz Akbar przyjął go na swój dwór, a po śmierci ojca Dżahangir mianował go skarbnikiem cesarstwa. Nowa żona cesarza była czwartym dzieckiem Ghijas-bega, urodzonym trzydzieści cztery lata temu podczas wędrówki z Persji. Mahabbat uważał ją za staruszkę; rzadko zaszczycił swą uwagę kobiety powyżej trzydziestki. Małżeństwo z nią było jak ślub z własną matką czy ciotką. A jednak cesarz był wyraźnie zakochany.

- Na czym polega jej czar? - spytał Szarif, jakby czytając mu w myślach.

W odpowiedzi minister sięgnął do wewnętrznej kieszeni *kaby* i wyjął zwój papieru. Rozwiązał czerwony aksamitny sznurerek, rozwinął kartę i położył ją przed Szarifem. Wielki weszcz westchnął głośno. Portret, akwarela, iskrzył się od złota. Kobieta na złotym tle siedziała półprofilem do obserwatora, przegładając się w wysadzonym klejnotami lustrze, trzymanym wysoko w rękach delikatnych niczym stulone pąki lilii. Jej przeguby zdobiły jaszczurcze bransolety. Miała na sobie małe *czoli* opinające piersi oraz obfity *ghagarę*. Brzuch miała nagi, po jej odkrytych plecach spływała czarna kaskada włosów. Ale to wyraz jej twarzy najbardziej przykuwał uwagę. Oczy w lustrze miały piękny odcień błękitu, wpadający niemal w indygo.

Nie była klasyczną piękną - zbyt szczupła, o wątpliwych ramionach i za bardzo wyrazistych rysach oraz wystających kościach policzkowych. Miała twarz wyrazistą, z której biła energia. Brakowało jej łagodności. A jednak było w niej coś, co przykuwało wzrok.

Szarif powoli powiodł palcem po jej sylwetce, nieco dłużej, niż to było konieczne, zatrzymując palec na ramieniu. Dotykał portreciku delikatnie, jakby farba jeszcze nie wyschła.

- To jest nowa cesarzowa? Czy portret oddaje podobieństwo?

- Tak sądzę. Tak wygląda pod welonem - odparł Mahabbat, przyglądając się przyjacielowi. Teraz pewne sprawy nabrały sensu, zrozumiał, dlaczego cesarz poślubił tę kobietę, na czym polegał jej czar. Plotki o urodzie cesarzowej, nadające

jej niemal boski czar, były bliskie prawdy. Można było uwierzyć w to, co przedstawiał portret.

- Skąd to masz? - spytał cicho Szarif.

Mahabbat odwrócił wzrok.

- Im mniej wiesz, tym lepiej. Cesarz Dżahangir nie wybaczyłby mi... hm... wypożyczenia tego portretu. Ale chciałem ci to pokazać. Chciałem, żebyś zobaczył, jak wygląda.

- Ukradłeś to?

Mahabbat skinął głową.

- Przed chwilą. Poszedłem do mieszkania malarza. Ja też chciałem zobaczyć.

Ostrożnie zrolował portret i schował go za *kabę*.

- Ale to tylko kobieta - powiedział Szarif.

- No nie wiem - mruknął Mahabbat. Na jego ogorzałej twarzy pojawiło się zmęczenie. Odrastający zarost nosił ślady siwizny. Mijające lata znalazły odbicie w zmarszczkach na twarzy ministra, w siwych włosach - ale to nie miało znaczenia, ponieważ był mężczyzną a jego wartość nie zależała od urody ani urodzenia dziecka. Miał tę przewagę, że Dżahangir dawał mu posłuch. No tak, ale teraz cesarz słuchał także Mihrunnisy, swojej dwudziestej żony. Mahabbat wyciągnął się na otomanie.

- Pamiętasz, że cesarzowa Dżagat Gosini nie życzyła sobie jej obecności w haremie?

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, przyglądając się wąskiemu sierpowi księżyca, który uparcie wisiał nad horyzontem, nie chcąc zblednąć. Dżagat Gosini, druga żona, parę razy spotkała się w tajemnicy z Mahabbatem, łamiąc zasadę niewidywania się z mężczyznami ze świata zewnętrznego. Mahabbat nie widział cesarzowej, ale znalazł się na tyle blisko, że mógłby jej dotknąć, czuł zapach kamelii, w których się kąpała, widział błysk uśmiechu pod welonem. Podczas każdego spotkania rozmawiali o Mihrunnisie.

- Ile lat minęło, odkąd cesarz ujrzał ją po raz pierwszy? - spytał Szarif.

- Po raz pierwszy? Chyba siedemnaście. Miała wtedy siedemnaście lat i jeszcze nie była żoną Ali Kulego, choć jej zaręczyny już wówczas sfinalizowano.

Szarif potarł w zamyśleniu brodę.

- Cesarz usiłował je zerwać. I nie udało mu się.
- A wiele lat później chciał unieważnić to małżeństwo.

Wtedy właśnie cesarzowa Dżagat Gosini zwróciła się do Mahabbat-chana o pomoc. Mahabbat, zaintrygowany, odpowiedział przychylnie. Potrzebował sojuszniczki w murach haremu, gdyż wiedział, że w chwili zmęczenia czy słabości mężczyzna da kobiecie wszystko, czego ta zapragnie. Dlatego Mahabbat wyruszył na spotkanie z cesarzową.

Jej rozkaz był prosty. Dopilnuj, żeby cesarz zapomniał o Mihrunnisie. Nie wolno mu jej sprowadzić do haremu.

Wtedy Mahabbat omal się nie uśmiechnął. Uznał, że Dżagat Gosini ma przywidzenia, a on sam jest głupi, skoro zgodził się z nią spotkać, ryzykując utratę łask Dżahangira. A wszystko przez jakąś miłośćkę; Mahabbat sądził, że chodzi o coś więcej, kwestię polityczną, być może związaną z dworem, coś, w czym mógłby się przydać. Potem dowiedział się, że Ghi-jas-beg otrzymał od cesarza ziemię, ponieważ był ojcem Mihrunnisy. I w końcu stało się jasne, że Dżahangir postanowił poślubić Mihrunnisę, chociaż jej mąż zabił Kokę.

Mahabbat, Szarif i Koka dorastali razem z Dżahangirem w cesarskiej *zenanie*. Zostali dobrani specjalnie, by dotrzymać towarzystwa młodemu księciu. Bawili się razem, sypiali w tej samej komnacie, jedli z tego samego talerza, nigdy się sobą nie męcząc, jak to dzieci. Byli najbliższymi przyjaciółmi Dżahangira, a kiedy został cesarzem, nagrodził ich lojalność tytułami. Koka pragnęła pojechać do Bengalu jako jego gubernator; tam zginął z ręki męża Mihrunnisy. Ku zdumieniu Szarifa i Mahabbata po tym wypadku cesarz zapragnął tej kobiety jeszcze bardziej.

- Więc cesarzowa Dżagat Gosini miała rację, nie chcąc jej widzieć w haremie? - spytał cicho Szarif, nie otwierając oczu.

- Powiedziała, że Mihrunnisa będzie zagrażać nawet nam.
- A jednak pozwoliła na to małżeństwo.
- Kto mógł przewidzieć, że cztery lata po śmierci męża Mihrunnisy cesarz spotka ją na bazarze i znów się nią zachwy-

ci? - Mahabbat uśmiechnął się nieco cynicznie. - Najjaśniejszy pan nie słynie ze stałości, Szarifie... więc i my straciliśmy czujność.

Szarif dotknął lekko piersi Mahabbata, gdzie w wewnętrznej kieszeni spoczywał portrecik.

- Jest piękna. Piękne kobiety są zbyt oczarowane własną urodą, zbyt wiele czasu zabiera im czarowanie innych. Mogą być głupie.

- No nie wiem - mruknął Mahabbat. Pokręcił głową. - Nie, jej wystąpienie podczas *dżharoki* nie było głupotą. Ale nawet jeśli jest głupia, ma ojca i brata, którzy pragną władzy i bogactw. - Potarł policzek, czując pod palcami szorstką, odrastającą szczecinę. - Widzę przed nami kłopoty. Nie wiem tylko jakie. - Wstał z otomany i spojrzał na przyjaciela. Przez lata znajomości to on zawsze pierwszy dostrzegał niebezpieczeństwo i snuł plany jego uniknięcia, to on wyniósł Muhammada Szarifa na wyżyny. Szarif oczywiście widział to zupełnie inaczej. Uważał siebie za głos rozsądku, a Mahabbata za człowieka kapryśnego i impulsywnego. - Muszę już wracać. Byłoby lepiej, gdybyś ty także się nad tym zastanowił, zamiast dokazywać z niewolnicą.

Oczy Muhammada załśniły. Bardzo niewiele osób miało odwagę tak się do niego odnosić. Mahabbat należał do wyjątków. Obaj byli nieustraszeni, obaj mieli skłonność do okrucieństwa. Tylko przypadek zrządził, że w ich żyłach nie płynęła królewska krew. Nawet jako dzieci wiedzieli, że przymierze z przyszłym cesarzem zaprowadzi ich daleko, dlatego powściągnęli instynkt i postanowili czekać na sukces, który słusznie im się należał. Teraz stali się najbardziej wpływowymi ludźmi w cesarstwie i żadna kobieta nie mogła im tego odebrać. Dlatego Szarif nie zamierzał poświęcać Mihrunnisie wiele uwagi.

Mahabbat wiedział to wszystko. Znowu pokręcił głową i odwrócił się. Szarif strzelił palcami. Niewolnica, która przez cały czas siedziała pod kolumną poza zasięgiem ich głosów, podeszła do amira ul-umry. Poklepał otomanę koło siebie. Dziewczyna przysiadła obok niego.

- Ta żąda... - powiedział powoli Szarif. - Tyle się już nauczyłem. Lepiej pragnąć, niż spełnić swoje pragnienie. Kiedy jest spełnione... nic nie znaczy. Tak samo będzie z cesarzem.

- Być może - zgodził się Mahabbat, odchodząc. - A jeśli nie... Co wtedy?

Szarif pociągnął za spódnice błękitnej *ghagary* niewolnicy, zatrzepotał nimi delikatnie, jakby bawił się z dzieckiem. Mahabbat był już przy drzwiach, kiedy wreszcie dobiegła go odpowiedź.

- To tylko kobieta. Pamiętaj o tym. Kobiety bywają dobre jedynie w nielicznych sprawach.

Mahabbat odwrócił się jeszcze raz. Szarif właśnie zdejmował stanik dziewczyny. Jego pulchna dłoń lekko dotknęła krągłości piersi, gruby palec przesunął się po zaróżowionym sutku. Dziewczyna siedziała ze spuszczoneymi oczami. Niedawna brawura gdzieś znikła - taniec, gesty, uwodzicielskie spojrzenia były wyuczone. A tego, co z tych lekcji wynikało, nikt jej nie nauczył, nikt nie dał jej żadnej rady. Jej wargi zadrżały. Oczy wypełniły się łzami, ale nie cofnęła się, kiedy Szarif rozwiązał jej *ghagare*. Tasiemka puściła łatwo, zawiązana z myślą o kochanku.

Mahabbat opuścił dom Szarifa. Było mu nieco lżej na sercu, teraz kiedy podzielił się myślami z przyjacielem, ale niepokój pozostał. W ich świecie Dżahangir był wszechmocny. Ich władza pochodziła od niego. Czy tak samo nie mogłoby być z Mihrunnisą? Jeśli Szarif nie ma racji, jeśli cesarz nie znudzi się nową żoną, jeśli da jej władzę, a ona dowie się o jego - Mahabbata - intrygach z Dżagat Gosini, by nie dopuścić do jej małżeństwa... Ta myśl spieszyła go najbardziej, gdyż w cesarskiej *zenanie* nic nie mogło pozostać tajemnicą wszystko wychodziło na jaw. Jeśli Mihrunnisą zechce, jeśli jest mściwa...

Szarif powiedziałby leniwie: „Zbyt wiele tu «jeśli», mój przyjacielu”. I rzeczywiście, wiele spraw było niejasnych. Ale niekiedy fortuna się odwraca. I jeśli tak się stanie... Mahabbat zadrżał. Nowa cesarzowa bez trudu może zagrozić ich pozycji na dworze.

*

Cesarzowa Dżagat Gosini przechadzała się szybko, nerwowo po grubym perskim dywanie.

Przez dwa miesiące czekała cierpliwie, aż Dżahangir ją odwiedzi. Codziennie sprzątano salę audiencyjną w jej pałacu, trzepano dywany, o dziesiątej rano zaciągano zasłony w oknach, by w komnatach utrzymał się wieczorny chłód. Codziennie jej eunuch biegł do kuchni, by zamówić ulubione dania cesarza: kokosowe *barfi* posypane cienkimi płatkami srebra lub ryżowe *biriani* gotowane w baranym rosole. Wino czekało w złotych flaszach, *hukka* rozgrzewała się na węglach. Cesarzowa znała upodobanie Dżahangira do drobiazgów. Aż do tej pory nigdy jej nie zawiódł. Zwykle tydzień po każdym nowym ślubie przychodził z wizytą, potwierdzał jej pozycję w *zenanie*. Dżahangir od lat nie spędził w jej pałacu żadnej nocy, od lat nie obudziła się, by go rano ujrzyć, ale taki całkowity brak zainteresowania był bez precedensu.

Poza tym inne żony także ją obserwowały. Zawsze gdy przekraczała progi haremu, dokładała starań, by wiedziały, w czyich rękach znajduje się władza. To było łatwe. Wystarczyło słówko, które szeptały im do ucha niewolnice. A jeśli nie posłuchały wskazówki niewolnicy, wskazana była wizyta ciotki lub kuzynki. Ale Mihrunnisa ją zignorowała. Umyślnie trzymała się z boku. Tego Dżagat Gosini była absolutnie pewna.

Zatrzymała się przy oknie i wyjrzała. Nadeszła pora monsunów. Od wczoraj deszcz chłostał Agrę, lał się z nieba kaskadami, a Dżamna pod murami jej pałacu stała się wezbrana i burzliwa jak morze. Chwila odpoczynku od upałów sprawiłaby jej przyjemność, czerpałaby radość z oddychania powietrzem bez piasku, ale dziś Dżagat Gosini oparła się o framugę okna, drżąc z gniewu. Słyszała o *dżharoce*. Czy w cesarstwie był jeszcze ktoś, kto o niej nie słyszał? Mihrunnisa ośmieliła się stanąć u boku cesarza podczas porannej audiencji. Czyżby nie wiedzieli, że kobiecie nie przystoi ukazywać się publicznie? Jak Dżahangir mógł na to pozwolić?

Objęła się rękami, wbiła paznokcie w miękkie ramiona, tuż poniżej rękawów *czoli*, aż do oczu napłynęły jej łzy bólu. Dla czego jej nie przyszło do głowy, by poprosić Dżahangira

o taką łaskę? Dlaczego nawet o tym nie pomyślała? Bo tego jej nie nauczono. Skąd miała wziąć śmiałość, by uznać coś takiego za możliwe? I dlatego to właśnie Mihrunnisa sięgnęła po ten przywilej, nie żadna inna kobieta z *zenany*, której Dżagat Gosini mniej nienawidzi?

Nie chciała jej widzieć w haremie od tej pierwszej chwili, gdy spotkała ją w ogrodach Rakajji pewnego letniego popołudnia w Lahaur. Mihrunnisa musiała mieć zaledwie szesnaście lub siedemnaście lat. Dżagat Gosini chciała odwiedzić Churrama w czasie popołudniowej sjeisty Rakajji. Miała nadzieję, że zdoła spędzić trochę czasu z synem. Był sam, pilnowała go tylko Mihrunnisa. I Mihrunnisa odesłała ją, Dżagat Gosini, przebiegłym: „Cesarzowa wkrótce się obudzi, najjaśniejsza pani, i spyta o księcia. Proszę odejść”. I położyła władczo rękę na kędzierzawej główce Churrama. Jakby należał do niej!

Wściekłość, której cesarzowa nie ośmieliła się skierować przeciwko Rakajji, przelała na Mihrunnisę. Parę dni później Dżahangir zaczął marzyć o Mihrunnisie, jakby Dżagat Gosini była nikim. Jakby nie urodziła mu Churrama. Usiłowała się pozbyć tego gniewu - powinna tak zrobić jako księżniczka. Jako córka i żona władcy.

Dlatego postanowiła się nie spieszyć. Mijały lata, ona umacniała swoją pozycję jako Padiszah Begam, a jej szpiedzy informowali ją o wszystkich poczynaniach Mihrunnisy. Haftuje, czyta swojemu dziecku, piele cesarskie ogrody. Nieszkodliwe zajęcia, myślała Dżagat Gosini. Niech spędza czas na słońcu, ono ją postarzy.

Ale słońce nie odebrało jej młodości. Mijający czas nadał jej pewien szczególny rodzaj urody, właściwy tylko niektórym kobietom. Dżahangir nadal znajdował się pod jej urokiem, zaczął mówić o sprowadzeniu jej do cesarskiego haremu. Dżagat Gosini zasugerowała, by uczynił ją konkubiną - jeśli Mihrunnisa miała się pojawić w życiu cesarza, to przynajmniej na podległej pozycji. Ale Dżahangir powiedział dobitnie: „Ona będzie moją żoną nikim innym”.

Po tych słowach, po wieloletniej walce ogarnął ją wielki smutek. Poniosła klęskę.

Dżagat Gosini zawsze wiedziała, że będzie Padiszah Begam w *zenanie* Dżahangira. Dołożyła starań, by otrzymać tę pozycję, ukorzyła się przed starszymi księżniczkami, uczyła się od nich rządzenia, które mogło się jej kiedyś przydać. Pobierała nauki u mułłów, żeby inteligentnie rozmawiać z cesarzem. Nauczyła się strzelać z łuku i broni palnej, gdyż cesarz lubił polowania. A co najważniejsze, dała mu Churrama. Pięknego, jasnookiego Churrama, który pewnego dnia zasiądzie na tronie. A ona, jako jego matka, także będzie rządzić. A jednak zadowalała się sprawowaniem rządów w *zenanie*, nie wtrącała się do spraw dworu. Skąd mogła wiedzieć, że ta parweniuszka zagrozi jej, Dżagat Gosini, córce radży?

Szajsta-chan, jej nowy eunuch, odkaszlnął cicho w drzwiach, by zwrócić na siebie uwagę. Odwróciła się od okna, roztarta ramiona. W miejscu, gdzie wbiła paznokcie, czuła ból. Obciągnęła rękawy *czoli*.

- Jakie wieści? - spytała ostro.

- Najjaśniejsza pani... - zawahał się. - Nie najlepsze.

- Mów.

- Nowa cesarzowa nie była milczącym świadkiem podczas *dżharoki*. Cesarz odwrócił się do niej i wysłuchał jej rady w sprawie petycji i darów. Nie przemówiła publicznie, lecz jej wpływ był oczywisty. I, najjaśniejsza pani, mirza Mahabbat-chan prosi o posłuchanie.

Cesarzowa skinęła głową, słuchając Szajsty jednym uchem. Walczyła z gniewem. Sprawy wymknęły się jej spod kontroli. Mihrunnisę należało powstrzymać.

- Możesz odejść.

Szajsta-chan skłonił się i wyszedł. W drzwiach potknął się o skraj dywanu. Dżagat Gosini syknęła z irytacji. Szajsta był nowy, nie zdążyła się do niego przyzwyczaić. Bardzo brakowało jej Hoszijar-chana, głównego eunucha haremu, który trwał u jej boku od dwudziestu pięciu lat. Hoszijar był wyjątkowo inteligentny, delikatny, oględny, a w razie potrzeby okrutny. Dżagat Gosini pamiętała, jak raz zabił nożem psa, który czekał przez pół nocy. Wysłała Hoszijara, żeby go uciszył. Chciała tylko, żeby go gdzieś zaniósł, tymczasem on

spokojnie chwycił zwierzę za wysadzaną brylantami obrozę i poderżnął mu gardło, starannie unikając chlustającego strumienia krwi. Następnego ranka księżniczka, do której należał ów pies, wszczęła awanturę, ale zamilkła, dowiedziawszy się, że psa zabił Hoszijar. Cesarz nigdy nie usłyszał o tym incydencie. W haremie Hoszijar-chan był niekwestionowanym władcą.

Słuchał rozkazów tylko jednej kobiety, jedynej, którą szanował niemal tak, jak samego siebie. Cesarzowej Dżagat Gosini. Razem stanowili prawdziwą potęgę, ponieważ Hoszijar mógł sięgnąć tam, gdzie jej zabroniono wstępu, widzieć rzeczy dla niej zakazane. I raz, na tydzień przed dwudziestym ślubem Dżahangira, zjawił się w jej apartamentach z przeprosinami.

- Nowa cesarzowa zażyczyła sobie, bym jej służył, najjaśniejsza pani.

Odszedł do Mihrunnisy, a ją zostawił z idiotą Szajstą-cha-nem.

Pozwoliła mu odejść, ponieważ wiedziała, że interwencja u Dżahangira nic by nie dała. Hoszijar miał olbrzymie wpływy w haremie, owszem, ale ona im jeszcze pokaże, kto ma tu większą władzę.

Lecko klasnęła w ręce. Szajsta-chan, nigdy nieodstępujący od swojej pani, zjawił się momentalnie.

- Kiedy cesarz wyrusza na polowanie?

- Za trzy dni, najjaśniejsza pani. Zamierza zabrać ze sobą nową cesarzową.

- Powiedz cesarzowi, że proszę o pozwolenie przyłączenia się do polowania - rzekła powoli, starannie wymawiając każde słowo; w przeciwnym razie eunuch mógłby coś przekreślić.

- Natychmiast, najjaśniejsza pani.

Uśmiechnięta Dżagat Gosini odprowadziła go wzrokiem. Cesarz był miłośnikiem polowań, a ona doskonale strzelała. Prawdę mówiąc, była najlepsza w całej *zenanie*. Mało prawdopodobne, by Mihrunnisa potrafiła jej dorównać.

Nie zapomniała o drugiej wiadomości. A więc mirza Ma-

habbat-chan zapragnął się z nią spotkać? Wyznaczy mu spotkanie. Potrzebowała go bardziej niż kiedykolwiek, ale oczywiście nigdy mu tego nie wyjawi.

Było popołudnie i Dżahangir właśnie oddawał się drzemce, kiedy przyniesiono mu wiadomość od Dżagat Gosini.

Strażniczki zatrzymały Szajstę-chana przy wejściu do cesarskich apartamentów. Były to dwie potężne kobiety z Kaszmiru, znane z wyjątkowej odwagi i bezwzględnej lojalności wobec cesarza. Od lat Kaszmirki strzegły wewnętrznych apartamentów cesarza Indii, gdyż w murach *zenany* nie mogli przebywać żadni mężczyźni z wyjątkiem eunuchów.

Jedna wystąpiła naprzód, górując nad Szajstą niczym wieża, i wycelowała czubek włóczni w jego pierś.

- Co cię sprowadza?

- Przybywam z wiadomością od cesarzowej Dżagat Gosini.

Strażniczka spojrzała na swoją towarzyszkę, która kiwnęła głową. Rozpoznała go.

- Cesarz śpi, nie wolno mu przeszkadzać - oznajmiła. - Wróć za dwie godziny.

- Najjaśniejszy pan z pewnością czeka na wiadomość od swojej głównej małżonki.

Strażniczki zachichotały złośliwie.

- Zanieś wiadomość do pałacu nowej cesarzowej. Ona na nią odpowie.

Szajsta zrobił krok do tyłu.

- Nie... wolę przekazać ją osobiście cesarzowi.

Strażniczka przyparła go do ściany, ukłuła go w pierś grotem włóczni.

- Idź do apartamentów cesarzowej Nurdżahan, jeśli ci życie miłe - wysyczała. - Już!

Odepchnęła go.

Zatroskany Szajsta-chan stawił się u bram pałacu Mihrunnissy. Myślał powoli, ale metodycznie. Jeśli sprzeciwi się strażniczkom, nowa faworyta cesarza zemści się na nim, ale jeśli jego pani się o tym dowie... wzdrygnął się. Wolałby nie nara-

zić się żadnej z tych dwóch kobiet, ale nawet on wiedział, czy-
je wpływy w haremie szybko rosną.

Poza tym dręczyła go ciekawość. O Mihrunnisie krążyło
wiele plotek. Była piękna, przebiegła i podstępna, i miała
urok, o jakim nie mogły marzyć inne kobiety. Jak to możliwe?
Miała trzydzieści cztery lata. W *zenanie* było tyle młodszych,
szczupłych, lekkich, śmiejących się w sposób, od którego kur-
czyły się palce u stóp. Jak cesarz mógł się zakochać w kobie-
cie, która miała dziecko z innym? To niepojęte. Dlatego mu-
siał się przekonać na własne oczy.

Cesarzowa brała właśnie kąpiel. *Hammam* - łaźnia - mie-
ściła się w wysokim pomieszczeniu na najwyższym piętrze,
z otwartymi po jednej stronie werandami, z łukami i ażurowy-
mi ekranami z piaskowca. Przez okna wpadał lekki wiatr, któ-
ry niósł chłód płynącej w dole Dżamny. Pomieszczenie było
zupełnie puste, białe marmurowe posadzki lśniły. Na środku
stała czarna wanna wykonana z jednego kamienia.

Szajsta wszedł. W łaźni panowała cisza, słychać było tylko
głosik dziewczynki siedzącej na brzegu wanny z *ghagarą* pod-
ciągniętą do kolan. Stopy trzymała w wodzie, na kolanach zaś -
tomik poezji. Eunuch stanął z boku i zaczął się przyglądać
dziewcyńce, która odwróciła stronę i powiedziała:

- Jest jeden Hafiza. Mam przeczytać? - I nie czekając na
odповідź, zaczęła: - Żniwa. Widzę księżyc koszący na nie-
bie zielonym, i myśl o polu życia przyszła mi do głowy, a gdy
twe pole skosi ten nóż księżycowy, czy się domyślasz, jakie
zbierze plony?

Czytała jednym tchem, nie robiąc pauz. Spojrzała na kobie-
tę w wannie.

- To za trudne. Co to znaczy? Co to za nóż księżycowy?
Nóż to nóż, księżyc to księżyc. Dlaczego on to połączył? Nie
kąp się już, mamó, chodźmy się pobawić na dworze. Już mam
dość czytania.

Szajsta uważniej przyjrzał się dziewczycyńce. Więc to jej cór-
ka... Była drobna, chudziutka, z grubym warkoczem, który
spływał po plecach aż nad krawędź wanny. Siedziała dum-
nie niczym królowa, wyprostowana, z władcą minką. Co za

małe brzydactwo, pomyślał Szajsta. Nie lubił dzieci; na szczęście wyrastały na znośnych dorosłych. Ile mogła mieć lat? Sześć? Siedem? Mniej więcej. A dama w wannie musi być cesarzową.

W tej samej chwili chwycił go za ramię wysoki eunuch.

- Co tu robisz? - syknął. - To prywatne apartamenty cesarzowej. Jak minąłeś strażę?

Szajsta cofnął się i pospiesznie złożył mu ukłon. Miał przed sobą wielkiego Hoszijar-chana. W *zenanie* jego reputacja była niemal legendarna. Szajsta jeszcze nigdy go nie widział, słyszał o nim tylko liczne opowieści. Pragnął się stać, tak jak Hoszijar, sługą faworyty Dżahangira, kimkolwiek by była. Wszyscy eunuchowie chcieli być tacy jak Hoszijar.

- Błagam o wybaczenie, *hazur* - przemówił poważnie, ze stosownym szacunkiem. - Przychodzę od cesarzowej Dżagat Gosini z wiadomością dla cesarza.

Chwył na jego ramieniu nieco zelżał. Hoszijar przyjrzał mu się surowo. Potem go puścił.

- Możesz się zbliżyć do cesarzowej.

Mihrunnisa podniosła głowę; Szajsta złożył przed nią *taslim*, mając nadzieję, że Hoszijar nadal mu się przygląda.

- Co on tu robi? - spytała cesarzowa.

- Najjaśniejsza pani, Szajsta jest eunuchem cesarzowej Dżagat Gosini. Przychodzi z wiadomością dla cesarza.

Mihrunnisa uniosła brew.

- Najjaśniejsza pani - wybełkotał Szajsta. - Cesarzowa prosi o pozwolenie na wzięcie udziału w polowaniu.

Mihrunnisa zanurzyła rękę w chłodnej wodzie i przesunęła nią; brylantowe pierścienie zamigotały w popołudniowym świetle. Na wodzie unosiły się płatki róż zebrane tego ranka, jeszcze z kroplami rosy. Ladli obrzuciła Szajstę przelotnym spojrzeniem jasnych oczu i odwróciła się natychmiast znudzona.

Ale Szajsta-chan przyglądał się cesarzowej z fascynacją. Jeszcze nigdy nie znalazł się tak blisko niej. Teraz rozumiał, dlaczego Dżahangir oszalał z miłości. Dama leżała w wannie z zamkniętymi oczami i głową opartą na poduszce wyszywanej drogimi kamieniami. Jej włosy spływały aż na podłogę ni-

czym jednolite czarne skrzydło. Woda delikatnie muskała pierś, skóra lśniła niczym perła. Z wody wystawała jedna wdzięczna stopa z paznokciami pomalowanymi czerwoną henną.

Hoszijar wstrzymał oddech, bo Mihrunnisa podniosła głowę i obdarzyła go uśmiechem. Gdzie są zmarszczki, które na jej twarzy powinna odcisnąć ręka czasu? Twarz cesarzowej była niemal doskonała. Oczy nie straciły blasku, lśniły krystalicznym błękitem niczym obmyte deszczem monsunowe niebo. Dar po perskich przodkach.

- Cesarz będzie rad, widząc cesarzową Dżagat Gosini na polowaniu. - Głos miała niski. - A ja będę miała okazję spotkać moją siostrę. Przekaż cesarzowej moje pozdrowienia. - Odprowadziła go leniwym ruchem ręki.

Szajsta się skłonił.

W drzwiach zatrzymał go jeszcze głos Mihrunnisy.

- Dobrze zrobiłeś, przychodząc do mnie. Pamiętaj, cesarza nie wolno trudzić błahostkami, od tej pory lepiej zawsze zwracaj się do mnie.

- Rozumiem, najjaśniejsza pani.

- Hoszizarze, daj temu człowiekowi pięćdziesiąt rupii. To dobry sługa.

Pięćdziesiąt rupii! Była to kwota pięciokrotnie przewyższająca jego miesięczną pensję. Szajsta skłonił się czterokrotnie, wdzięczny za wiele - za to, że mógł na nią patrzeć, że Hoszizar-cha go zauważył - i wycofał się za próg.

Mihrunnisa położyła się w wannie i znowu zamknęła oczy. Więc Dżagat Gosini chciała się zjawić na polowaniu. Po co? Co znowu knuje? Odrzucenie jej prośby byłoby nierozsądne, a jednak Mihrunnisa nie mogła powstrzymać nagłego lęku. Do tej pory się nie spotkały, ale tak nie mogło być zawsze. Jako nowa żona powinna złożyć wyrazy szacunku rządzącej Padi-szah Begam, choć tego nie zrobiła. Najpierw z powodu cesarza, z którym spędzała tak wiele czasu. Potem dlatego, że zrozumiała, co oznacza wezwanie do cesarskiej *zenany* - rozkaz, nie zaproszenie. Manifestację posłuszeństwa wobec kobiety, która nie chciała jej widzieć w *zenanie*.

Jeśli jej obecność w cesarstwie ma zostać zauważona, to po-

winna zacząć działać. Dopóki Dżagat Gosini jest uważana za najważniejszą żonę Dżahangira, dopóki dzierży pieczęć cesarza, Mihrunnisa nie będzie mieć znaczenia, choćby Dżahangir spędzał z nią cały czas. Tytuł Padiśzah Begam i pieczęć oznaczały władzę, której nie mogły podważyć nawet rozkazy cesarza - to był prawdziwy bastion władzy w haremie.

Dzisiejszego ranka znowu zjawiła się na *dżharoce*. Dziś nie odezwała się, jedynie patrzyła. Na dziedzińcu czekało więcej mężczyzn niż wczoraj, niektórzy zaciekawieni, inni zaniepokojeni. O ile wczoraj byli pełni niedowierzania i niechęci, o tyle dziś wydawali się zrezygnowani. Jutro, za parę dni, za parę miesięcy zaczynają witać z radością.

- Mamo!

Otworzyła oczy i spojrzała na córkę.

- O co chodzi, *beta*?

- Nie śpij! Skończ kąpiel i chodź się bawić!

Naburmuszona mina dodawała uroku buzi Ladli. Mihrunnisa ujęła rączkę córki i pocałowała. Niegdyś sądziła, że nie będzie miała dzieci z małżeństwa z Ali Kulim. A to ją bolało okropnie, długo. Ból odzywał z nową siłą za każdym razem, kiedy widziała kobietę wpatrzoną z zachwytem w swoje dziecko. Wszyscy nieustannie ją pytali o przyczyny bezdzietności. Co miała odpowiadać? Że niewolnice rodziły dzieci prawdopodobnie poczęte przez jej męża? Że mąż odwiedza ją w nocy, ale dziecka nadal ani śladu? Osiem lat po ślubie wreszcie zjawiła się Ladli - tej samej nocy, gdy wygnani przez Dżahangira dotarli do Bengaluru. Nieważne, że urodziła się dziewczynka, że po ośmiu latach bezdzietności Mihrunnisa powiła jedynie dziewczynkę. Ali Kuli był rozczarowany, ale nie ona. Stąd imię córeczki. Ladli. Ukochana.

Ladli cofnęła rączkę.

- Chodźmy, mamo. Hoszijarze, pomóż mamie wstać.

Mihrunnisa uśmiechnęła się nieznacznie. Dziewczynka już teraz zachowywała się jak księżniczka, rozkazywała Hoszijarowi bez chwili wahania.

- Teraz jestem zajęta, *beta*. Idź do siebie, Dai się z tobą bawi.

- Ale... - Ladli skrzywiła się, jakby zamierzała się rozpłakać.

- Żadnego ale, *beta*. - Mihrunnisa odgarnęła jej włosy z buzi. - Idź już. Mama musi się czymś zająć. Wieczorem do ciebie przyjdę.

Skinęła na Hoszijara, który podniósł Ladli, wytarł jej mokre stopy i przekazał innemu eunuchowi. Ladli wyrwała mu się i pobiegła do drzwi. W progu jeszcze się odwróciła.

- Ale przyjdiesz?

- Tak - powiedziała Mihrunnisa, już daleka myślami.

Ladli znikła. Mihrunnisa wyprostowała się i strzeliła palcami. Hoszijar-chan wyjął korek z wanny. Mihrunnisa przyglądała się płatkom róż, które wirując, spadały w odpływ. Niewolnica przyniosła szatę. Wstając, cesarzowa spojrzała na Hoszijar-chana, który patrzył w inną stronę.

Oto jedyny mężczyzna, który może opowiedzieć o Dżagat Gosini. Do tej pory przydał się jej jako skarbnica wiadomości o cesarzu, jego nastrojach i słabościach. Do tej pory nie spytała go o cesarzową. W ten sposób ujawniłaby swą słabość. I na razie nie spyta. Pewnego dnia sam jej opowie.

- Kiedy cesarz się obudzi? - spytała.

- Za godzinę, najjaśniejsza pani.

Pozwoliła się zaprowadzić na leżący na podłodze bawełniany materac. Niewolnice oblały dłonie olejkim piżmowym i delikatnie wymasowały ciało swojej pani. Następnie namaściły długie, czarne włosy i sploty wokół głowy niczym koronę. Białe kwiaty jaśminu, jej symbol, kontrastowały z czernią splotów.

Potem przyszła pora na makijaż. *Kohl* podkreślił błękit oczu i przyciemnił brwi. Karmin zaakcentował usta. Ręce i stopy już były ozdobione delikatną koronką henny.

Weszła garderobiana z pięcioma niewolnicami, z których każda niosła inny strój. Mihrunnisa wybrała po namyśle *gha-garę* i *czoli* z cieniutkiego muślinu, zielonego niczym niedojrzała limonka, tak przezroczyściego, że widać było przez niego nogi. Jeszcze przed przybyciem niewolnic wiedziała, co włoży, ale ten odegrany namysł - którego nauczyła się, obser-

wując Rakaję - był ważny, miał podkreślić jej prawo do wyboru, do narzucenia własnej woli. Garderobiana znalazła odpowiedni welon i wyszła, a niewolnice pomogły cesarzowej się ubrać.

Garderobiana wróciła z trzema eunuchami. Każdy z nich otworzył szkatułkę, z której wysypały się klejnoty wszystkich rodzajów i kolorów. Mihrunnisa starannie wybrała perły różowe niczym zachodzące słońce. Szeroki pas, haftowany setkami pereł, otoczył smukłą talię. Na ramionach zapięła szerokie bransolety. We włosy wpięto jej złoty krąg z perłami zwisającymi na cienkim złotym łańcuszku - krąg znalazł się na środku czoła. Przeguby ozdobiła dziesięcioma perłowymi bransoletkami, a na końcu mała, piękna, doskonała perła ozdobiła skrzydełko nosa.

Zjawił się eunuch z *paanem* na złotej tacy. Mihrunnisa włożyła kawałek do ust i zaczęła żuć. Wszystkie te zabiegi zajęły godzinę, a przez cały czas, uwolniona od przeszkadzającej Ladli, mogła się zastanawiać. To polowanie będzie ważne, może nawet zaważy na jej losie.

Nadeszła pora spotkania z największą rywalką w cesarskiej *zenanie*.

ROZDZIAŁ TRZECI

Niegdyś Dżahangir polował w towarzystwie Dżagat Gosain i Nur Dżahan... Obie damy siedziały u jego boku... Nagle zjawił się ryczący lew.

Muhammad i Razia Shujauddin, *The Life and Times of Noor Jahan*

Cesarskie tereny łowieckie były pilnie strzeżone przez cały rok i nikt nie miał prawa polować na żadne zwierzęta z wyjątkiem przepiórek, kuropatw i zajęcy, które łapano w sieci. Dlatego tereny obfitowały w zwierzynę; antylopy nilgau i lwy przechadzały się spokojnie, nie bojąc się nikogo. Tereny były otoczone lasem porośniętym wysoką trawą, czasem sięgającą dwóch i pół metra, w której mógłby się ukryć nawet jeździec na koniu.

Od dwóch tygodni naganiacze szukali lwa dla cesarza. Wytropili go w jego ulubionym miejscu, na polance, na którą dochodziły tylko przesiane plamy światła. Chodzili za nim już od paru dni, niedostrzegalni w zaroślach dzięki strojom z zielonej bawełny, usmarowani błotem, by lew nie poczuł ich zapachu. Kiedy zwierzę opuściło polankę, naganiacze sprowadzili osła i przywiązali go do kołka. Potem zaczęli czekać, przycupnąwszy na gałęziach drzew. Pierwszego dnia lew zatrzymał się na skraju polanki, zdziwiony, że posiłek sam pcha mu się w łapy. Na widok lwa osioł zaryczał i rzucił się na postrońku tak gwałtownie, że omal się nie udusił. Po paru godzinach lew zbliżył się ostrożnie, obszedł go wokoło. Wyciągnął łapę, uderzył, wytaczając krew. Osioł zamilkł, sparaliżowany strachem. Drżał, ponieważ zrozumiał, że to koniec.

Sytuacja powtarzała się dzień po dniu, aż lew stał się zbyt niedbały i zapomniał o ostrożności. Wskakiwał z krzaków i spadał na osła, który nie miał czasu nawet ryknąć czy się przestraszyć.

Dzień polowania był jasny i pogodny. Chmury rozproszyły się na chwilę, słońce opromieniło bujną zieleń po paru dniach ulewy. W pałacach fortu ruch wszczął się na długo przed świtaniem, jako że polowanie miało się rozpocząć, zanim nastanie upał.

Jak zwykle na polance przywiązano osła, ale tego nakarmiono przemocą dwoma garściami opium. Kiedy lew znowu się zjawi, oczekując darmowego posiłku, i znowu skoczy na nieszczęsne zwierzę, najpierw rozerwie jego miękki brzuch i zje niestrawione opium. Oszołomiony stanie się łatwiejszym łupem.

O wschodzie słońca trzy tysiące żołnierzy z bębnami otoczyło las pierścieniem. Wszyscy trzymali wielkie sieci z grubej juty. W miarę jak krąg się zaciskał, cała leśna zwierzyna zaczęła uciekać w głąb zarośli. Kiedy krąg ograniczy się do paru kilometrów, pojawi się cesarz ze świtą, a zwierzęta będą już czekały na śmierć.

Mihrunnisa przygotowywała się w swoich komnatach. Bose niewolnice przemykały bezszelestnie, poprawiały pościel, rozkładały stroje cesarzowej, szeptały między sobą. Mihrunnisa stała przed wysokim lustrem i przyglądała się swojemu odbiciu. Do komnaty wpadł nagły podmuch porannego wietrzyka, zakołysał płomykami lamp oliwnych, sprawił, że na jej ramiona wystąpiła gęsia skórka. Dżahangir nie był na polowaniu od dnia ich ślubu, choć łowy należały do jego ulubionych zajęć. Nie mogła go dzisiaj zawieść.

Przez sporą część nocy leżała bezsennie, od czasu do czasu tylko stawała przy oknie. Po wewnętrznych uliczkach fortu krążyli nocni strażnicy w butach o miękkich podszewach, by ich kroki nie mąciły nocnej ciszy. O świcie, kiedy nad horyzontem pojawiły się pierwsze zorze, Mihrunnisa stanęła na balkonie. W *dhobi ghat* na drugim brzegu Dżamny prano białinę. Widać było kołyszący się rząderek małych punkcików

lampek *dhobi*, które szły szeregiem nad wodę. Potem rozległy się rytmiczne kłaśnięcia bielizny o kamienie. A jeszcze później, kiedy w mroku już było widać zarys kucających postaci, zjawiły się niewolnice, by obudzić Mihrunnisę.

Wszedł Hoszijar-chan z muszkietem w pokrowcu z czerwonego aksamitu.

- Z pozdrowieniami od najjaśniejszego pana. Pragnie, pani, byś strzelała z jego ulubionego muszkietu.

Mihrunnisa sięgnęła po broń. Ręce opadły jej pod niespodziewanym ciężarem. Odczytała perski tekst wygrawerowany na żelaznej lufie. Był to muszkiet myśliwski, nie bojowy - wiersze opiewały polowanie. Mihrunnisa podniosła broń do ramienia, tak jak niegdyś nauczył ją Ali Kuli, położyła palec na spuście. Muszkiet nie był nabity; dobrze naoliwiony spust naciskało się bez trudu. Oddała broń Hoszijarowi i wytarła mokre dłonie o jedwabne spodnie.

- To wielki przywilej, najjaśniejsza pani.

Odwróciła się do niego.

- Wiem.

Twarz miał nieprzeniknioną. Otworzyła usta, ale zaraz je zamknęła. Nie, to nie pora, by wyjawić swoje lęki. Na to nigdy nie ma odpowiedniej pory. Nawet jeśli chodzi o Hoszijara. Zwłaszcza przy nim musi zachować ostrożność.

- Już pora, najjaśniejsza pani - powiedział Hoszijar cicho.

Słońce stało nad horyzontem, kiedy orszak zebrał się na głównym dziedzińcu fortu. Nadchodząca Mihrunnisa z daleka ujrzała Dżahangira i Dżagat Gosini, stojących blisko siebie i rozmawiających przyciszonymi głosami. Od dawna nie widziała z bliska pierwszej małżonki cesarza. Cesarzowa była zaledwie parę lat od niej starsza, ale czas był dla niej surowszy - sześćdziesięcioletnie rządy w *zenanie*, urodzenie dziecka, obecnie dwudziestodwuletniego mężczyzny, jeszcze dłuższy związek małżeński... A jednak kiedy cesarzowa uśmiechała się do cesarza, wydawała się młodą zalotną dziewczyną o lśniących, czarnych włosach i oczach płonących równie mrocznym blaskiem jak czarny marmur.

Rozmawiali, a potem zamilkli. Dżahangir odwrócił się,

przemówił do stajennego i wskazał na wysadzane drogimi kamieniami zasłony na oczy araba, cesarzowa także się odwróciła, powiedziała coś, a Dżahangir skinął głową. Rozmawiali ze sobą bez wahania, ze swobodą płynącą z dwudziestu pięciu lat wspólnego życia. Mihrunnisa potknęła się o kamień i zatoczyła. Przytrzymała się ramienia Hoszijara. Jak może walczyć z czymś takim? Z czasem ona także zyska coś podobnego, ale związek Dżagat Gosini i cesarza zawsze będzie dojrzały.

Cesarzowa coś powiedziała; Dżahangir odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się. Mihrunnisa stanęła, słysząc ten śmiech. Przez głowę przebiegły jej setki pytań. Jak długo tu stoją? Gdzie cesarz spędził tę noc? Z cesarzową? Z pewnością nie z Mihrunnisa. Wiedziała, że nie ma prawa do wszystkich godzin dnia Dżahangira, a nawet do jego nocy. Wiedziała o tym, zanim jeszcze zgodziła się zostać jego żoną: spodziewała się, że będzie się musiała nim dzielić. Żaden cesarz nie mógł się poświęcić tylko jednej żonie, kiedy miał wokół siebie tyle dworzan, dyplomatów, żon, konkubin, siostr, ciotek i matek.

Ciepła dłoń dotknęła jej obnażonych pleców pomiędzy krótkim *czoli* i obszernymi spodniami układanymi w fałdy.

- Pójdź, najjaśniejsza pani. Cesarz pragnie wcześniej rozpocząć polowanie. Będzie szczęśliwy, jeśli i ty będziesz zadowolona - szepnął jej Hoszijar do ucha. Mihrunnisa skinęła głową. Znowu zaczęła iść.

Cesarz usłyszał kroki i odwrócił się.

- Ach, jesteś! Już się zastanawiałem, co się z tobą dzieje.

Mihrunnisa powitała go wdzięcznym *koniszem*, przykładając prawą rękę do czoła.

- Przygotowywałam się, najjaśniejszy panie. - Wskazała muskiet, który spoczywał w dłoniach Hoszijar-chana. - Dziękuję ci za ten dar.

- Sprawił mi przyjemność, ukochana.

Mihrunnisa nabrała powietrza w płuca i odwróciła się do Dżagat Gosini. Po raz pierwszy spotykały się jako równe sobie. Przez te wszystkie lata Dżagat Gosini z racji urodzenia i pozycji znajdowała się o krok przed nią ale pewnego razu opiekująca się Churramem Mihrunnisa zyskała przewagę. To

musiało zabołec cesarzową. Mihrunnisa nie potrafiła sobie wyobrazić, że mogłaby komukolwiek oddać Ladli. Dżagat Gosini nadal miała władzę, rządziła w haremie. Stanęły, wpatrując się w siebie uważnie. Zapadło ciężkie milczenie.

Eunuchowie i niewolnice zamarli. Stajenni, krzątający się wokół wierzchowców, znieruchomieli, wpatrzeni w scenę. Wszyscy czekali na jakiś ruch, słowo, cokolwiek, co uniosłoby welony dwóch cesarzowych.

Mihrunnisa skłoniła się Dżagat Gosini, ale sztywno, ledwo pochylając głowę. Nie odrywała oczu od twarzy cesarzowej.

- Przyjmij, pani, wyrazy szacunku.

Twarz Dżagat Gosini zapłonęła rumieńcem. Słowa Mihrunnisy, choć zwyczajne, obraziły ją. Przede wszystkim Mihrunnisa powinna jej złożyć *konisz* lub *taslim*; po drugie, nie powinna się odezwać pierwsza, a tak bezczelne słowa były... były jak policzek.

- A ty moje - odparła bardzo wyraźnie, wkładając w każde słowo cały płonący w niej gniew.

Mihrunnisa odwróciła się do Dżahangira. Przyglądał się im z kamienną twarzą, nie zdradzając swoich myśli. Nie kochał Dżagat Gosini szaleńczą miłością, ale nie pochwaliłby publicznej demonstracji braku szacunku dla niej. Nigdy nie wyraził tego wprost, ale nie lubił konfliktów w *zenanie*. W czasie swego pobytu w jej murach Mihrunnisa zdołała się o tym przekonać. Mogła być uprzejmiej sza, ale nie chciała.

- Ruszajmy - przemówił Dżahangir. Odezwał się cicho, ale po jego słowach na dziedzińcu zapanowało poruszenie, jakby tej chwili napięcia w ogóle nie było. Wszyscy słyszeli wymianę słów między dwoma damami, wiedzieli, że pogwałcono zasady etykiety i że Dżahangir nie zrobił nic, by temu przeciwdziałać. Wszyscy zerkali na nową cesarzową z podziwem - w tak oszczędnych słowach zdołała pogięć Dżagat Gosini! Jaka była odważna, jaka dumna, jaka szlachetna... jak na córkę perskiego uchodźcy. Po polowaniu będzie o czym rozmawiać.

Kornak przyprowadził cesarskiego słońa. Chwycił go za ucho, przez chwilę zawisł w powietrzu niczym kolczyk, po

czym zeskoczył na ziemię. Uderzył słońca trzcinką w trąbę, rozkazując mu uklęknąć.

Na grzbiecie słońca znajdowała się cesarska lektyka, drewniana ze złotymi okuciami. Jej podłogę wyścielał gruby ałtaso- wy materac, zarzucony górą poduszek haftowanych rubinami. Cztery smukłe złote kolumny podtrzymywały haftowany srebrem baldachim o frędzlach z pereł i brylantów.

Dżahangir pierwszy zajął miejsce w lektyce. Za nim po- dążyła Mihrunnisa. Żaden z eunuchów nie ośmielił się pomóc Dżagat Gosini. Został ustanowiony nowy porządek. Rozdano muszkiety i kornak wskoczył na kark słońca. Zwierzę powoli dźwignęło się z klęczek, najpierw prostując przednie nogi. Lektyka zakołysała się do przodu i tyłu. Kiedy słoń minął dziedziniec, obie damy odchyliły welony.

Za chwilę do cesarza dołączyło pięciuset ahadi. Zajęli miej- sca po obu bokach cesarskiego słońca, przed nim i za nim, ni- czym mur obronny. Reszta orszaku jechała za żołnierzami, uzbrojona w muszkiety i włócznie.

Niebo dopiero różowiało, kiedy orszak przemierzał ulice Agry. Jak zwykle niemal całe miasto chciało zobaczyć cesa- rza. Tłum wyciągał szyje, by dostrzec dwie damy u boku wład- cy. Zewsząd słychać było okrzyki radości; Dżahangir rzucał srebrne rupie, zadowolony z przyjęcia.

Wreszcie jakaś dziewczynka krzyknęła:

- Która z nich to piękna cesarzowa Nurdżahan?

Ukryta za welonem Mihrunnisa uśmiechnęła się i poma- chała wdzięcznie małej. Tłum ryknął z zachwytu, a Dżagat Gosini zagryzła wargę. Jej nigdy nie witano w taki sposób.

Dżahangir podał Mihrunnisie torbę ze złotego brokatu.

- Rzuć tej dziewczynce parę srebrnych rupii, kochanie.

Mihrunnisa zanurzyła dłoń w worku i rzuciła monety w tłum. Zebrani krzyknęli jeszcze głośniejsze. Nowa cesarzowa z całą pewnością zdobyła ich serca.

Słoń człapał wolno ulicami Agry, czasem zatrzymując się, kiedy strażnicy torowali mu drogę.

W końcu orszak opuścił miasto i zaczął sunąć w stronę tere- nów łowieckich. Tropiciele zdążyli już zapędzić lwa do jego

kryjówki w środku lasu. Na widok cesarza mir szikar, główny łowczy, podbiegł i padł na kolana.

- Lew jest gotów na spotkanie z najjaśniejszym panem.

Dżahangir obsypał go deszczem srebrnych rupii. Łowczy gorączkowo pozbierał je i przeliczył. Piętnaście! Wystarczy na utrzymanie rodziny przez parę miesięcy.

Słoń zaniósł cesarza i jego żony w głąb lasu. Kiedy dotarli do żołnierzy z sieciami, cesarz dał znak, by zaczęły zacieśniać krag.

Las był gęsty, a jego sklepienie dobrze chroniło przed słońcem. Panował w nim chłodny, wilgotny cień, pachniało zgniętymi liśćmi. Słysząc było tylko trzaskanie gałązek i szelest trawy pod stopami żołnierzy. Z kępy zarośli z furkotem wyleciała przepiórka, stadko antylop śmignęło przez polanę. Lufy muszkietów uniosły się i opadły. Dziś polowano na lwa.

Dżahangir oparł się wygodniej i zamknął oczy. Zwykle w takich wypadkach zachowywał ostrożność, wypatrywał lwa, błysku jego złotej grzywy w zieleni lasu. Jednak dzisiaj strzelać miały te dwie kobiety, sztywno wyprostowane, siedzące po dwóch stronach lektyki. Odkąd Mihrunnisa zjawiła się w jego życiu, wszystko go cieszyło. Gdyby teraz mógł rozmasować jej ramiona, uwolnić ją od napięcia, zrobiłby to. Jednak w haremie było wiele innych kobiet, które miały do niego prawo, co właśnie demonstrowała Dżagat Gosini. Wiedział, że Mihrunnisa pragnie posiadać cesarską pieczęć i tytułu Padiszah Begam, ale musiała na niego zasłużyć. Nie zamierzał wtrącać się w sprawę *zenany*, choć miał prawo dać Mihrunnisie wszystko, czego tylko zapragnie.

Mihrunnisa kołysała się w rytm lektyki. Wdychała aromat lasu, wsłuchiwała się w jego nienaturalną ciszę. W zwilgotniałych dłoniach trzymała wyslizgujący się muskiet. Wytarła ręce o spodnie i znowu ujęła broń. Nie spojrzała na cesarzową Dżagat Gosini. Nie zamieniły ze sobą ani słowa. Słowa nie miały znaczenia, ponieważ obie wiedziały, czego chcą. I tylko jedna z nich mogła to dostać.

Dżagat Gosini wyprostowała się, osłoniła oczy, wprawnym ruchem chwyciła broń, położyła palec na spuście.

Wiatr zmienił kierunek, choć niemal niewyczuwalny sposób; kobiety tego nie zauważyły, ale słoń uniosł trąbę, poruszył nią na boki, zatrzymał się, a kornak zawołał:

- Wyczuwa lwa!

Obie kobiety stężały, podniosły muszkiety do strzału. Jednak trawy były nieruchome, nic nie wskazywało na to, że może się w nich kryć jakieś zwierzę. Słoń zaczął drżeć; obie czuły wibracje jego potężnego cielska. Lew był blisko, to nie ulegało wątpliwości, ale gdzie? Dlatego czekały, żołnierze stali bez słowa, słoń drżał, a cesarz przyglądał się im bez słowa.

Potem usłyszały głos lwa, na prawo od słońca, za wielkim kamieniem. Ryk nie był głośny ani agresywny, ale zmaćcił ciżbę lasu. Oszołomiony narkotykiem lew jeszcze ich nie zobaczył, nie usłyszał ani nie wyczuł. Wyszedł zza skały i stanął zaskoczony. Ujrzał słońca, ludzi na jego grzbiecie, ludzi wokół niego. Żołnierzy podnieśli broń, wycelowali ją w zwierzę.

Mihrunnisa drgnęła. Raz widziała lwa w cesarskim zoo. Wydał się jej chudy, wynędzniały, nerwowy. Krążył po klatce. Ten tutaj był trzy razy większy, grzywa lśniła mu złotem, mięśnie prężyły się pod skórą. Więc to tak wygląda prawdziwy lew? Przyglądała się mu jak zahipnotyzowana, a zwierzę usiłowało się otrząsnąć z oszołomienia. Potem skoczyło w powietrze ku gardłu słońca.

Słoń natychmiast się cofnął, zatrał ze strachu, stanął dęba, niemal zrzucając z grzbietu lektykę. W tej samej chwili Mihrunnisa oparła ramię o barierkę i siłą woli zmusiła dłoń, by uniosła muszkiet.

Strzał odbił się w lesie echem, zlał się z rykiem lwa i słońca. Lew leżał u stóp słońca. Strzał trafił go w połowie skoku, kula rozerwała mu serce. Leżał z przekrzywionym łbem; widać przy upadku skreślił kark. Pod żebrami widniała czerwona okrągła plamka, z której spływała strużka krwi.

- Cesarzowa zastrzeliła lwa! - krzyknęli żołnierze.

Bębny zadudniły, milczący las zawibrował ludzkimi głosami i śmiechem.

Mihrunnisa siedziała nieruchomo, drżącymi rękami ścisła-

jąc muszkiet, nie zdążyła jeszcze nacisnąć spustu. Dżagat Gosini podniosła się; ruch słońia rzucił ją na plecy, na Dżahangira. Na wpeł leżąc na swoim małżonku, przyciągnęła muszkiet, przycisnęła go brodą i wystrzeliła. Broń Mihrunnisy była zimna, z muszkietu Dżagat Gosini unosiły się smużki dymu. Jej twarz, ręce, nawet ręce Dżahangira, który trzymał ją w chwili strzału, były obsypane czarnymi płatkami prochu. Cesarz wytarł jej twarz, a ona uśmiechnęła się nieznacznie i z wdzięcznością.

- Dobrze się spisałaś, moja droga. Ten lew mógłby nas zabić. Rzeczywiście doskonale strzelasz.

Potem odwrócił się do Mihrunnisy, która już zdążyła odstawić nagle ciężący jej muszkiet. Wszystko wydarzyło się zbyt szybko, bez ostrzeżenia. Jeszcze przed chwilą lew był tuż obok, zaraz potem już nie żył. Ale nie dlatego, że to ona go zastrzeliła.

- Masz rację, najjaśniejszy panie. Cesarzowa sprawiła nam wszystkim wielką radość - odpowiedziała. Nadal nie patrzyła na Dżagat Gosini. W powietrzu przesyconym gryzącym zapachem prochu wyczuła, że przez twarz cesarzowej przemyka nieznaczny uśmieszek.

Polowanie trwało dalej. Nagonka wypłaszała z zarośli antylopy nilgau, które wielmożowie z wprawą zabijali. W południe towarzystwo wróciło do fortu, ciągnąc za sobą łupy.

Mihrunnisa siedziała w lektyce. Przez cały ranek Dżahangir wychwalał umiejętności Dżagat Gosini, jej odwagę i refleks w obliczu zagrożenia. Miał rację. Mihrunnisa nie trafiła ani razu. Wielmożowie śmiali się otwarcie, kiedy pudłowała. Nawet cesarz się uśmiechał, pokazywał jej, jak się trzyma muszkiet, jak się pociąga za spust, jak amortyzować odrzut broni. I kazał jej brać przykład z Dżagat Gosini. *Przeglądaj się jej, moja droga, spójrz, jak celuje...*

Kiedy wrócili do fortu, zakurzeni i zmęczeni, Dżahangir zostawił je bez słowa. A przedtem, kiedy przy pomocy eunuchów schodzili z lektyki na grzbiecie słońia, obok stanęła niewolnica ze srebrną tacą. Dżahangir uniósł przykrywający ją atłas. Na aksamitnej serwecie leżał cudowny naszyjnik ze zło-

ta i pereł. Cesarz uniósł go i zapiął na pochylonej szyi Dżagat Gosini, na welonie. Zastłona otuliła twarz cesarzowej, perły zaś lśniły chłodnym blaskiem w popołudniowym słońcu. Wszyscy się skłonili, a Dżahangir opuścił orszak. Podczas polowania rzadko się odzywał, teraz odszedł, nie spojrzawszy na Mihrunnisę. Służące Dżagat Gosini otoczyły ją niczym stadko gołębi, zachwycając się naszyjnikiem. Cesarzowa odeszła, również nie przemówiwszy do Mihrunnisi.

Mihrunnisa stała sama na środku podwórza, patrząc za odchodzącym mężem i słuchając niewypowiedzianych słów Dżagat Gosini: *Czego innego się spodziewać po parweniuszce, która nie zna się na etykietce ani na rozrywkach ludzi szlachetnie urodzonych? Jesteś prostytutką, Mihrunniso. Zwykłą prostytutką.*

Polowanie ją zmęczyło. Było gorąco, słońce poparzyło jej skórę, usta miała spękane, a zwilżanie ich językiem jeszcze bardziej je wysuszało. I czuła, że traci wpływ na cesarza.

- Pójdź, najjaśniejsza pani - odezwał się Hoszizar-chan. Wziął ją pod ramię, a ona pozwoliła się odprowadzić, opierając się na ramieniu eunucha jakby nagle przybyło jej lat.

Na cały wieczór zaplanowano tryumfalną ucztę w apartamentach Dżagat Gosini. Przygotowania rozpoczęto jeszcze przed powrotem cesarskiego orszaku z polowania, w chwili gdy cesarzowa wystrzeliła z muszkietu. Było to możliwe, ponieważ między żołnierzami wokół słonia znajdowali się słudzy Dżagat Gosini. Czekali tylko, by zobaczyć, kto wystrzelił, po czym pobiegli z wieścią do pałaców. Dwadzieścia minut po nich ruszyli cesarscy posłańcy z zadaniem znalezienia w skarbcu naszyjnika z pereł, by czekał na powrót świty z polowania.

Dlatego cała *zenana* wiedziała już o przebiegu polowania, o tym, kto zabił lwa, kogo należy sławić, a kogo ignorować. Harem trząśł się od plotek. Plotkowały te, które zazdrościły Mihrunnisi, te, które przewidywały zmierzch uczuć Dżahangira, i te z obozu Dżagat Gosini, które nienawidziły cesarzowej wdowy Rakajji - te ostatnie pospieszyły powiadomić Ra-

kaję o najnowszych wypadkach. Jakaż smutna wiadomość. Najjaśniejsza pani tak bardzo zawierzyła Mihrunnisie i zda-
wało się, że ta wiara jest uzasadniona. Ale cesarz - tu następo-
wało westchnienie, przeciągłe i teatralne - woli kobiety odwa-
żne, potrafiące strzelać.

Dlatego powracająca z polowania Mihrunnisa zastała w swo-
ich apartamentach czekającą na nią Rakajję z nieodłączną *huk-
ką*. Była to zaskakująca wizyta; Rakajja nie odwiedzała niko-
go, wszyscy ją odwiedzali. Przez jakiś czas rozmawiały, pod-
czas gdy służące przygotowywały Mihrunnisie kąpiel. Potem
rozstały się, a Mihrunnisa przespała całe popołudnie. Wieczo-
rem, zapowiedziała Rakajja, kiedy będą miały przy sobie Ho-
szijar-chana, porozmawiają naprawdę.

Cesarzowa Dżagat Gosini także ucięła sobie drzemkę, ale
dopiero wtedy, gdy wydała szczegółowe polecenia związane
z wieczorną ucztą. W cesarskich kuchniach pod jej rozkazy
oddano piętnastu kucharzy, którzy wyruszyli pieszo do jatki na
peryferiach miasta. Wybrali kozę, kurczaki i kaczkę, które za-
rżnięto, umyto i zapakowano na ich oczach. W kuchni wozi-
woda nalał rzecznej wody ze skórzanych sakw do glinianych
dzbanów, które obwiązano białym płótnem. Każdy rytuał nad-
zorował mir bakawal, kuchmistrz.

Ryż na pilaw płukano trzy razy i namaczano przez dwadzie-
ścia minut, dopóki ziarna nie zaczęły przypominać pereł z no-
wego naszyjnika cesarzowej. Kardamon, cynamon, goździki,
kolendra, anyżek, kozieradka - wszystkie te przyprawy tłuczo-
no w moździerzu na mokro i sucho. Kiedy kucharze przygoto-
wali się do sporządzenia posiłku, dobrze umyli ręce, nałożyli
na nosy i usta maski z białego muślinu, a włosy ukryli pod
białymi płóciennymi czapkami. Posiłku cesarza nie mogła za-
nieczyć ani kropla potu. Mir bakawal nie spuszczał kucha-
rzy z oczu i jeśli któryś z nich kichnął, oddalano go, przygo-
towaną przez niego potrawę wyrzucano, a jego miejsce
zajmował inny kucharz. Szykowano ulubione potrawy Dża-
hangira - a miał ich wiele. Tego popołudnia na piecu warzyło
się, gotowało, piekło, smażyło i gotowało pięćdziesiąt jeden
różnych dań. Cesarz nie zdołałby ich zjeść, może nawet spró-

bować każdego z osobna, ale gdyby zapragnął czegoś wyjątkowego, nie mógł się zawieść.

Gotowe potrawy ułożono w złotych, srebrnych, porcelanowych i glinianych naczyniach, przynoszonych codziennie ze spiżarni. Naczynia ze złota i srebra owinięto czerwoną materia, pozostałe - białą. Położono na nich cesarską pieczęć, a mir bakawal przez godzinę precyzyjnym charakterem pisma opisywał wszystkie potrawy na kartce dołączonej do pieczęci. Kiedy cesarz i cesarzowa Dżagat Gosini zechcą się posilić, mir bakawal osobiście złamie pieczęć i stanie nieopodal, czekając na komentarze.

Tak nadszedł wieczór. Słońce skryło się za horyzontem, złoćąc brzegi monsunowych chmur. Wraz z chmurami nadeszła wilgoć, we wszystkich pałacach w ruch poszły wachlarze. Zapalono lampy, niektóre na ścianach, inne w małych glinianych miseczkach z olejem sezamowym; płomyki paliły się nieruchomo w stojącym powietrzu, jakby przytrzymywała je jakaś niewidzialna ręka. Za murami *zenany* tancerki w towarzystwie swoich opiekunek walczyły o przywilej wystąpienia w najbardziej widocznym miejscu. Wszystkie były młode i ładne jednakową urodą, z oczami mocno obrysowanymi *kohlem* i twarzami ubielonymi pudrem, migoczącymi cekinami na krótkich *czoli* i haftowanych *ghagarach*. Towarzyszyli im śpiewacy i muzycy, kobiety i mężczyźni; tylko mężczyznom wykonującym muzykę pozwalano na wstęp do haremu. Przynosili damom historię ze świata za murami, mocno przy okazji upiększając prawdę. Ahadi trzymali straż na zewnątrz, panowali nad tłumem i uciszali go, dopóki Szajsta-chan nie wyszedł na zewnątrz, by wybrać odpowiednią grupę dla swojej pani.

Cesarz Dżahangir szedł wolnym krokiem do apartamentów Dżagat Gosini. Za nim podążali milczący niewolnicy. Jeden z nich już pobiegł do pałacu cesarzowej, by obwieścić nadejście cesarskiej świty. Dżahangir przemierzał korytarze i dziedzińce, kiwając głową kłaniającym się postaciom, uśmiechając się do konkubin zabiegających o jego uwagę. Dobrze znał tę trasę, którą do ślubu z Mihrunnisą przemierzał tak wiele

razy. Powinien ją przejść znacznie wcześniej. Jako cesarz wiedział, że powinien potwierdzić pozycję Dżagat Gosini; była to niepisana zasada jego *zenany* - każdej *zenany* na świecie. A jednak nie potrafił opuścić Mihrunnisy. Nie zatrzymywała go, nie prosiła, by został, ale uśmiechała się i znowu było tak, jakby zakochał się po raz pierwszy, wybuchała śmiechem, a on czuł, że musi przy niej trwać. Nawet teraz... nawet teraz nie chciał iść do tamtych apartamentów.

W drzwiach pałacu stała Dżagat Gosini ze srebrną tacą, na której stała złota lampka i kopczyk cynobru. Dżahangir pochylił się, a cesarzowa zatoczyła trzy kręgi lampą wokół jego głowy, by odpędzić złe spojrzenia. Potem namalowała mu na czole cynobrową kreskę.

- Witaj, najjaśniejszy panie - powiedziała.

Uśmiechnął się nieznacznie. Witała go, jakby wybierał się na wojnę, a ona polecała go opiece swym hinduskim bogom.

Cesarzowa zaprowadziła Dżahangira do sali audiencyjnej i cofnęła się, by mógł wejść pierwszy. W przygotowaniach przeszła samą siebie. W komnacie unosił się słodki zapach cybetu z kadzielnicy, na węglach tliły się szczapki drewna sandałowego. Marmurową posadzkę wyściełały grube dywany, sięgające od ściany do ściany. W głębi komnaty otomany ustawiono w półksiężyc, a niewolnice czekały skromnie, ze spuszczoneymi oczami i muślinowymi zasłonami w kolorze błękitu i zieleni, trzymając w dłoniach wachlarze z delikatnych pawich piór.

Wieczór mijał, kielichy jakby same się napełniały, Dżagat Gosini siedziała u boku Dżahangira, radosna i przymilna. Włożyła nowy naszyjnik z pereł. Dżahangir go dotknął.

- Pięknie w nim wyglądasz - powiedział.

- Dziękuję, najjaśniejszy panie - odparła ze lśnącymi oczami.

Po kolacji zwróciła się do niego:

- Czy mogę cię o coś prosić, najjaśniejszy panie?

- Oczywiście - przyzwolił, od razu zaniepokojony. Czego zażąda? Przypomniał sobie, że w początkach małżeństwa zawsze go o coś prosiła. Nie o klejnoty, ziemie, pałace czy base-

ny, lecz inne, drobne rzeczy. Zawsze pod pozorem, że chce mu pomóc, że wypełnia swoje obowiązki. „Pozwól mi wybrać kobietę, która najbardziej spodoba ci się tej nocy”. Albo: „Człowiek pochodzący, jak ty, od samego Timura Kulawego, nie mógłby zasmakować w gwajawach z tego sadu. Natomiast te spełniają twoje wymagania”. Były to dziwne prośby: jakby odbierała mu wolną wolę. Pozwalał jej na to, ponieważ wydawało mu się, że to drobiazgi, rzeczy nieistotne, a zdradzają uczucie, którego spodziewałby się raczej po matce niż żonie. Ale z czasem się zorientował, że to uczucie nie jest prawdziwe. Nigdy się o nic nie kłócili, Dżagat Gosini zgadzała się z nim we wszystkim, czasami aż zbyt słodkim głosem. Kiedy jego ojciec, cesarz Akbar, rozkazał odebrać jej syna i powierzyć go opiece Rakajji, nie zaprotestowała. Nie odezwała się ani słowem. Dżahangir dostrzegał jej wzburzenie, ale nauczono ją - zbyt dobrze - ukrywać przed nim uczucia.

- Czego pragniesz, Dżagat? - spytał.

- Nasz syn, księżę Churram, prosi o audiencję - odparła, wstając z otomany, by klasnąć w dłonie.

- Niech wejdzie - zezwolił, ale ona już zdążyła dać znak. Drzwi z rzeźbionego drewna rozchyliły się i do komnaty wkroczył Churram. Niemal podbiegł do otomany ojca i opuściwszy prawą rękę, skłonił się przed nim. Prostując się, dotknął dłonią czoła w tradycyjnym *koniszu*.

- *Bapo...* najjaśniejsza pani... ufam, że zastaję was w dobrym zdrowiu.

Dżahangir wstał, objął syna, pocałował w gładkie czoło. Cofnął się, by na niego spojrzeć. Churram wyrósł na przystojnego chłopca - nie, mężczyznę, który już miał żonę i któremu dwa miesiące temu urodziło się dziecko. Oczy miał przejrzyste i czarne, lśniące niczym głęboka studnia - oczy swojej matki. Miał także brwi Dżagat Gosini i jej brodę. Wychował się w otoczeniu cesarza Akbara. Kiedy Dżahangir mieszkał z dala od dworu, czy to zajęty kampanią w Mewarze, czy też buntując się przeciwko Akbarowi, kiedy zasiadł na własnym „tronie” w Allahabadzie, Churram pozostawał z Rakajją. Dżahangir nie znał go wtedy zbyt dobrze, ale uważał go za urocze-

go chłopca, zawsze uśmiechniętego, zawsze traktującego go z szacunkiem.

Churram odwrócił się do swojej matki. Skłonił się jej.

- Najjaśniejsza pani, dziękuję, że pozwoliłaś mi odwiedzić ojca.

Dżagat Gosini skinęła głową poważnie, ale jej ręka, jakby wbrew woli, sięgnęła ku głowie syna, żeby pogładszyć go po włosach. Churram się odsunął. Wszystko zaszło w niemal nieodróżnialny sposób - odsunął się, żeby spojrzeć na ojca, ale Dżagat Gosini zeszytywniała. Churram zwracał się do Dżahangira jak dziecko do ojca, ale ją nazywał najjaśniejszą panią. Do Rakajji nadal mówił „mamo”. Dżagat Gosini poprosiła go raz - miał wtedy osiem lub dziesięć lat - by nazywał ją mamą, na co on odpowiedział poważnie i z zaskoczeniem: „Ale ja już mam mamę, najjaśniejsza pani”. Po tych słowach nie miała już nic do powiedzenia. Nie mogła się zmusić. Z pewnością nie mogła krzyknąć, że to ona jest jego matką.

I tak wieczór zmienił się w noc. Muzyka rozbrzmiewała, dziewczęta tańczyły, strojąc zachęcające miny. A oni siedzieli we troje, zamyśleni, zażenowani, uśmiechając się do siebie, dopóki Dżahangir nie wstał, by odejść.

- Czy zostaniesz na noc, najjaśniejszy panie? - spytała Dżagat Gosini. Położyła rękę na ramieniu Churrama, by nie wyszedł wraz z ojcem.

- Nie dziś - odparł Dżahangir. Opuścił komnatę szybko, zanim zdołała się odezwać.

Ale nie zamierzała nic mówić. Pozwoliła mu odejść. Mocniej zacisnęła palce na ramieniu Churrama, który odsunął się delikatnie.

- Najjaśniejsza pani...

Odróciła wzrok.

- Wybacz mi. Idź, jeśli tego pragniesz.

Ale został, na parę chwil. Opowiadał o swojej córce, jej wnuczce. Powiedział, że ma dobry apetyt, że ładnie się rozwija ku ucieście rodziców, że znaleźli dla niej odpowiednią mamkę. Dżagat Gosini kiwała głową, w ogóle go nie słuchając. Oczami duszy widziała Dżahangira idącego do Mihrunnisy.

Widziała, jak rywalka wybiega na jego powitanie. Ten wieczór był okropny, samo milczenie i wymuszone rozmowy. I przez cały czas Dżagat Gosini czuła, że cesarz myśli o Mihrunnisie. Jej wysiłki nie przykuły uwagi Dżahangira, nawet sprowadzenie Churrama, nawet pokazanie mu syna, którego wspólnie spłodzili, jego następcy.

Ale Dżahangir odszedł do własnych komnat. Był zmęczony, głowa bolała go po winie, kadzidle, fajce i zbyt obfitej kolacji. Z Dżagat Gosini spędził pięć godzin, pięć godzin, a ona ani słowem nie skarciła go za to, że tak długo jej nie odwiedzał. A wieczór był taki sam jak wszystkie inne - muzyka, tańce, hałas i zgiełk, który zagłuszał rozmowę. Na widok Churrama jego serce wezbrało uczuciem. Ten chłopiec był zachwycający, ciągle jeszcze nieporadny w ruchach, wciąż bardzo młody i śmieszny, ale ta jego nieporadność, to, że zwracał się do niego *bapa*, była czarująca. Churram był otwarty, prostolinijny, tak jak Mihrunnisa. I jego myśli jak zwykle zwróciły się ku ukochanej - nie dlatego, że była jego żoną czy konkubiną, lecz po prostu dlatego, że pragnął jej przez siedemnaście lat, zanim ją poślubił. A po ślubie wciąż jej pragnął.

Mihrunnisa nie była podstępna. Przynajmniej on tego nie dostrzegał. Kiedy czegoś chciała, prosiła o to bez lęku. Kiedy czytała, nie chciała, żeby jej przeszkadzał, a on lubił, gdy była taka skupiona. Nie traktowała go jak dziecka. Kochała go i okazywała to. A jeśli nie spodobał się jej jakiś postępek męża, nawet jeśli nie mówiła tego wprost, potrafiła znaleźć sposób, by przekazać mu to bez słów. Nie miała skłonności do intrygowania.

Powoli rozebrał się, zdjął haftowaną *kabę* i spodnie, włożył wykrochmalony bawełniany strój nocny. Przesunął dłonią po hafcie na piersi. Czy to tę *kurtę* lubiła wkładać Mihrunnisa? Powąchał materiał, ale nie poczuł jej zapachu, praczki zbyt dobrze wykonały swoją pracę; czuł tylko zapach rzeki, mydła, słońca. Położył się na plecach, spojrzał na powolnie obracający się wachlarz pod sufitem, ciemny, prostokątny kształt. Mihrunnisa pragnęła mieć to, co Dżagat Gosini. Chciała być Padiszah Begam. Pragnęła cesarskiej pieczęci. Nadając jej

tytuł Nurdżahan, którego nie miała żadna inna kobieta z jego *zenany*, wyjawiał światu swoją miłość. I da jej wszystko, czego tylko ona zapragnie.

Nikt nigdy nie kwestionował jego rozkazów. Jeśli zapragnie, by Mihrunnisa rządziła haremem, doprowadzi do tego. Ale najpierw będzie musiała na to zasłużyć. Udowodnić, że jest godna tego zaszczytu.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Dżahangir, nie zważając na swą osobę i pozycję, oddał się bez reszty przebiegłej żonie skromnego pochodzenia albo dzięki jej talentom, albo też darowi przekonywania. Ona zaś to wykorzystwała i wciąż to wykorzystuje, dzięki czemu zgromadziła przebogate skarby i zapewniła sobie pozycję ponad cesarski stan.

Jahangir's India, tłum. W. H. Moreland i P. Geyl

Kiedy cesarz Akbar po raz pierwszy przybył do Agry, na brzegu Dżamny znalazł mały fort o kruszących się murach, zbudowanych niedbale i bez planu. Zburzono go, a na jego miejscu - gdyż położenie było znakomite - wzniesiono nowy fort o trzech bramach. W najdłuższym miejscu, wzdłuż rzeki, liczył ponad dwa kilometry. Mury z czerwonego piaskowca z miejscowych kamieniołomów wznosiły się na dwadzieścia metrów. Burząc stary fort, Akbar zamierzał wznieść budowlę świadczącą o potędze cesarstwa mogolskiego i cel swój osiągnął. Z zewnątrz mury były zupełnie pionowe, najeżone blankami, przerażająco piękne, majestatycznie groźne. Od strony ładu fort opasywała fosa, niemal tak głęboka, jak wysokie były mury. Nie było w niej wody - woda stanowiła luksus, którym nie należało szafować nawet na potrzeby potężnych cesarzy. Wypełniały ją kolczaste zarośla, w których kryły się węże, a czasem nawet tygrysy. W nocy szakale odzyskiwały odwagę, której brakowało im za dnia, i zaczynały wyć do księżyca. Ich głos niósł się echem w murach fortu. Strażnicy na murach strzelali do nich z łuku - na oślep, kierując się tylko wyciem.

W *zenanie*, pałacu cesarza Dżahangira i paru innych pałacach nad Dżamną pierwsze promienie wstającego słońca

wpadały do komnat przez ekrany z marmurowego ażuru. Przy największym upale znad Dżamny unosił się chłodny powiew, a nawet jeśli monsuny kapryśnie nie chciały nadejść, jej wody lśniły błękitem. Dżamna była dawczynią życia, symbolem stabilności.

Po stronie zachodniej, z dala od Dżamny, znajdowała się główna brama, Hathi Pol - publiczne wejście do Czerwonego Fortu. Znajdowała się wysoko nad wałami obronnymi, piaskowiec inkrustowano białym marmurem i błękitnymi płytkami. Jej szczyt ozdabiały otwarte krużganki o łukowatych sklepieniach - była to *nakkarchana*, mieszcząca cesarską orkiestrę. Hathi Pol widać było z daleka, rzucała się w oczy niemal natchmiast, kiedy na horyzoncie ukazała się Agra, ale w miarę jak podróżny się do niej zbliżał, stawało się oczywiste, że fort nie jest tak gościnny, jak się wydaje. Wszystkie trzy bramy miały fałszywe fasady - maleńkie wejście, wydające się jeszcze mniejsze w sąsiedztwie innego, ogromnego, albo kilka bram o stromych rampach i wysokich murach, niczym korytarz prowadzący do rzeźni, na wypadek gdyby gość nie był mile widziany.

Tuż za Hathi Pol na płaskim terenie rozciągały się strzelnice cesarskich pałaców. Znajdowały się na zamkniętym podwórku, огоłoconym z roślinności i kamieni. Chodziło się tu po spieczonym na kamień błocie, z którego każdy podmuch podnosił tumany kurzu. Na skraju tego wymarłego terenu rósł zagajnik drzew rozpaczliwie czepiających się życia, korzeniami sięgających głęboko w ziemię w poszukiwaniu wody. Tutaj nie zapuszczały się żadne zwierzęta ani ptaki z obawy przed strzelcami.

Mihrunnisa siedziała na skraju strzelnicy z uniesioną do oka rusznicą. Czekwała na znak mir szikara.

- Już! - ryknął.

Sługa po drugiej stronie strzelnicy wypuścił w powietrze rzutek. Gliniany krążek zatoczył łuk nad drzewami, zaślnił w promieniach zachodzącego słońca. Mihrunnisa przesunęła się, przenosząc dwuipółmetrową rusznicę całym ciałem, nie samymi rękami. Nie spuszczała oczu z celu, śledziła jego lot.

Lont rusznicy, zanurzony w saetrze, tlił się z wolna, gryzący dym drażnił nozdrza. Mihrunnisa nacisnęła spust. Lont opuścił się do lufy, proch się zapalił. Rusznica huknęła, kopnęła ją, eksplozja wyrzuciła kulę z lufy. Pocisk minął rzutek, który plasnął o ziemię.

Mihrunnisa westchnęła i z ulgą odłożyła broń. Kolejne pudło. Od polowania ani razu nie udało jej się trafić. Rozdarła ramię. Widziała, że pod skórą już występują jej maleńkie wybroczyny, jak na skórze oskubanej kury. Tak samo było po polowaniu, kiedy stanęła nago przed lustrem. Jej ręce płonęły z bólu, prawe ramię zdrętwiało, palce straciły czucie, ból pełzył po ramieniu na kark i plecy.

- *Beta...*

Odwróciła się. W pobliżu stał Ghijas-beg, osłaniając oczy przed słońcem.

- *Bapa...*

Podszedł i objął ją, pocałował w czoło.

- Jesteś zmęczona. Usiądź na chwilę.

- Dobrze, ale tylko dopóki mir szikar nie naładuje broni.

Podążyła rusznicę służącemu i poszła za ojcem w cień drzewa. Z jego gałęzi zwisały kiście fioletowych owoców, oszalałymi wonnych w ciepłe. Pod drzewem rozłożono dywan. Podczas gdy ona strzelała, służąca wspięła się na drzewo, by nazbierać owoców do srebrnej misy. Mihrunnisa usiadła z ojcem i podała mu misę. Jedli w milczeniu, a sok w kolorze indygo ściekał im po palcach i ramionach.

Ghijas rozmasował kark Mihrunnisy. Oparła się o niego, położyła głowę na jego ramieniu.

- Dlaczego tak się trudzisz? Czy to warto? *Madzi* mówi, że od tygodnia co rano chodzisz na strzelnicę. Spójrz na siebie. - Odwrócił jej dłonie, pełne czerwonych, rozognionych pęcherzy. - Czy to są ręce władczyni? Cesarzowej?

- *Bapo* - odparła - słyszałeś, co się wydarzyło na polowaniu. Co noc budzę się i widzę lwa, który skacze na słońca. Lektyka się przechyla... wypadam... - Mocniej przytuliła się do niego, a on objął ją tak jak w dzieciństwie.

- Czemu dręczysz się tym, co się nie wydarzy?

- Próbuję przestać, ale nie potrafię. To tylko sny, *bapa*, nie są mi posłuszne. - Odsunęła się i spojrzała na ojca. Kiedy na jego twarzy pojawiły się te zmarszczki zatroskania? I kiedy posiwiały mu brwi? Ghijas-beg zdjął turban i położył go na dywanie. Mihrunnisa lekko dotknęła jego czoła.

- Włosy ci się przerzedziły.

- To oznaka mądrości, *beta*. Siwe włosy, hm... no i brak włosów. I zmarszczki. Wszystko to daje innym do zrozumienia, że jestem starym, żonatym mężczyzną ojcem cesarzowej, dziadkiem wielu wnucząt, *diwanem* cesarstwa Mogołów. Nie mógłbym się przecież pokazać ludziom bez zmarszczek na twarzy i z włosami ciemnymi jak te owoce. Wyśmieliby mnie. Nikt by mnie nie potraktował poważnie. - W jego oczach pojawiły się wesołe iskierki.

Mihrunnisa odwróciła się i spojrzała na dalekie postacie na krańcu strzelnicy. Słońce już zaszło, na świat opadła brudnobłękitna mgiełka zmierzchu.

- Nie spisałam się na polowaniu, *bapo*. Cesarzowa Dżagat Gosini bardziej spodobała się najjaśniejszemu panu. - Zniżyła głos. - Odjakiegoś czasu cesarz wcale się ze mną nie widuje.

- Spójrz na mnie, Mihrunniso. - Kiedy znowu podniosła głowę, po policzku wolno spływała jej łza. Ghijas wytarł ją wierzchem dłoni. - Czy tego cię nauczyłem? Uciekać przed przeciwnościami losu? Poddawać się, zanim gra się rozpocznie? A przecież jesteś tutaj, od tygodnia ćwiczysz strzelanie.

- I nie idzie mi lepiej niż przed tygodniem. Widziałeś, że właśnie spudłowałam. I tak jest niemal co dzień. Stoję z bronią na ramieniu, śledzę lot rzutka i przeważnie nie trafiam. Jeśli nie umiem trafić w gliniany krążek, to jak mam zastrzelić na przykład ptaka?

- Pewnego dnia trafisz w rzutka, a następnego dnia w ptaka. Ale tak się nie stanie, dopóki nie spróbujesz. Jeśli nie będziesz ponawiać prób. Pomyśl, ile przeżyłaś przez ostatnie lata, kiedy każdy dzień był wysiłkiem, kiedy popadliśmy w niełaskę cesarza, kiedy wydawało się, że nigdy nie odzyskamy naszej wspaniałej pozycji. Dziś mamy o wiele więcej. Ty jesteś cesarzową, żoną najpotężniejszego człowieka w impe-

rium. Człowieka, od którego zależy nasze życie. Nie spodziewałem się tego, kiedy przybyłem do Indii. Chciałem tylko, żeby cesarz mnie zauważył, może przydzielił mi pomniejszą funkcję na dworze. Chciałem tylko móc utrzymać rodzinę.

- I dostałeś wszystko. Miałam nadzieję, że kiedy zostanę cesarzową zdołam zrobić dla naszej rodziny coś więcej, ale zostałam skarbnikiem, zanim wyszłam za cesarza. Nic dla was nie zrobiłam.

Ghijas roześmiał się i wyciągnął rękę po następny owoc.

- Nic? Nowa godność dla twojego brata Abula. Większy *mansab* dla mnie. To nic? Widziałem cesarza po zawarciu innych małżeństw. Żadna żona nie oczarowała go tak jak ty, w żadnej nie był tak zakochany. - Tym razem w jego śmiechu zabrzmiała nuta zażenowania. - Proszę, rozmawiam z tobą o miłości cesarza, co nie wypada ojcu. Muszę o tym wiedzieć i tyle. Ty także musisz wiedzieć. Czy wiesz, że cesarz Dżahangir cię kocha?

- Tak... ale... nie przychodzi do mnie... jestem samotna, *bapo*.

Jej głos brzmiał cicho, bezradnie. Serce Ghijasa ścisnęło się boleśnie.

Cykady zaczęły ćwierkać, najpierw jedna, potem wszystkie, jak wielka, niezborna orkiestra. Ghijas miał ochotę znowu przytulić Mihrunnisę, powiedzieć, że wszystko się ułoży, że może wrócić do domu, żeby nie czuła się samotna. Zawahał się jednak; teraz była już dorosła, jego miłość i miłość matki już jej nie wystarczały. Przez cztery lata wdowieństwa jej skóra nieco stwardniała. Chciał - i nalegał - by z nim zamieszkała. W końcu, gdzie mogłoby zamieszkać dziecko, jeśli nie ze swoim ojcem? Ale ona poszła do *zenany*, by służyć cesarzowej Rakajji. Zarabiała, szyjąc i projektując stroje, nie odzywała się do nich, a on jej na to pozwalał - ponieważ sam ją tego nauczył: nigdy nie błagać nikogo o łaskę. Mihrunnisa nie mogła wrócić do domu, teraz tu był jej dom, u boku cesarza. To z pewnością tylko drobna sprzeczka, nieporozumienie. Tak, na pewno. Z całą pewnością. Objął ją, a łzy córki przemoczyły mu bawełnianą *kabę*.

- W strzelaniu możesz nigdy nie dorównać cesarzowej Dżagat Gosini, ale będziesz niemal tak dobra jak ona. Wiem, że to potrafisz. Nie wolno ci inaczej myśleć. Nawet kiedy cię niemal zostawiłem - byłaś wówczas maleńka - krzyczałaś tak głośno, że znowu cię znaleziono. Pamiętasz tę historię?

- Opowiedz mi jeszcze raz - odezwała się po długim milczeniu.

Więc opowiedział. Jeszcze raz opisał zimową burzę piaskową pod Kandaharem, kiedy Asmat zległa w połogu. Opowiedział, jak siedział osłonięty kamieniami, piasek wirował dokoła, lodowaty wicher przestał na chwilę wyć i wtedy usłyszał jej pierwszy krzyk. A wiele tygodni później, kiedy ciągle zmierzali do Indii, doszedł do wniosku, że najlepiej będzie ją komuś oddać. Była słaba, nie chciała pić koziego mleka, Asmat nie mogła jej wykarmić, a mamka żądała pieniędzy, których nie mieli... Problemy piętrzyły się ze wszystkich stron. Dlatego zostawił ją, owiniętą w szal, pod drzewem w pobliżu wioski, modląc się z całego serca: Allahu, niech ktoś znajdzie moją córeczkę i zapewni jej dobry dom. Niech będzie dobrym człowiekiem, Allahu. I ktoś rzeczywiście ją znalazł i oddał mu ją. Nie wszystko wydarzyło się tak zwyczajnie, ale się wydarzyło.

Kiedy Ghijas-beg kończył opowieść, Mihrunnisa ujęła jego dłoń i ucałowała.

- Skąd wiesz, że zwrócono ci prawdziwą córkę? - spytała. - Może ktoś ją zamienił na dziecko jakiegoś biednego wieśniaka.

Diwan pokręcił głową.

- Masz błękitne oczy swego dziadka, jego uśmiech. Masz upór swojego brata Abula.

- A czy po tobie coś odziedziczyłam?

- Rozum.

Roześmiała się, mącąc ciszę strzelnicy.

- A po *madżil*

Ghijas przywołał obraz swojej żony.

- Masz jej łagodność, powściągliwość i dobroć.

- A nie mam nic własnego?

Bawili się w tę zabawę za każdym razem, kiedy opowiadał tę historię. Ostatnio opowiadał ją częściej niż zwykle, ponieważ zdumiewało go, jak daleko zaszli. W dniu jej urodzin cały jego majątek stanowiły cztery złote *mohury* za pasem. Kiedy ją oddawał, nie miał już nic. Kiedy została mu zwrócona, ich serca się radowały, a bogactwo znowu zawitało w ich życiu.

- Masz. Umiejętność zdobywania wszystkiego, czego pragniesz, *beta*.

Cofnęła się, by na niego spojrzeć. Jeszcze nigdy nie kończył swojej opowieści w ten sposób. Po raz pierwszy powiedział jej, że może zdobyć wszystko, czego pragnie.

- Najjaśniejsza pani - odezwał się mir szikar. Oboje odwrócili się w jego stronę. Stał, trzymając w dłoniach nabitą rusznicę.

Mihrunnisa wstała. Łzy znikły, a w świetle pochodni jej twarz nie zdradzała żadnych uczuć.

- Muszę ćwiczyć.

- Dobrze - powiedział Ghijas. Wyciągnął do niej rękę. Przytrzymała go za łokieć i pomogła mu się podnieść. - Ale z umiarem. Nie zmęcz się zanadto.

Nagle jakby same jego słowa sprawiły, że opadło ją wielkie zmęczenie. Fala mdłości ścisnęła jej żołądek, poczuła smak owoców w gardle. Nogi ugięły się pod nią, ruchy stały się powolne i niezdarne. Wzięła rusznicę z rąk mir szikara i znowu podniosła ją do ramienia. Chwilę potem służący zapalił drewnienko *palas*, używane przy nocnych ćwiczeniach. Uniósł rękę ponad głowę i zamachnął się. Rzutek wyprysnął w mrok nocy, ciągnąc za sobą smugę złota. Świetlista kreska zataczała kręgi. Mihrunnisa prześledziła wzrokiem jego drogę, a gdy zaczął opadać ku ziemi, nacisnęła spust. Pocisk wyprysnął z lufy, odrzut broni omal jej nie przewrócił, ale udało się jej nie spuścić oka z ognistego kłębu. Rzutek przez chwilę jakby trwał nieruchomo, a potem wybuchł, pryskając na wszystkie strony płonącymi drzazgami - tysiącami złotych igieł.

Mihrunnisa odwróciła się uśmiechnięta, zachwycona, by

sprawdzić, czy Ghijas-beg był świadkiem jej tryumfu. Tak! Uniósł rękę, pomachał jej, a z oddali dobiegł jego głos:

- A teraz traf dziesięć razy z rzędu, *beta*. Wtedy będziesz miała prawdziwy powód, by się cieszyć.

Następnego dnia, gdy w *diwan-i amie*, sali audiencji publicznych, rozmawiano o aktualnych sprawach, Ghijas-beg wystąpił i złożył *taslim* przed cesarzem. Skłonił się cztery razy, dopiero po ostatnim pokłonie unosząc wzrok.

- Słucham cię, mirzo Ghijas-begu - odezwał się Dżahangir.

- Najjaśniejszy panie, błagam o wybaczenie... czy mogę prosić o prywatną audiencję? Nie jest to sprawa dotycząca dworu.

Poczuł na plecach zaciekawione spojrzenia innych wielmożów. Mahabbat-chan i Muhammad Szarif stali kilka kroków od niego. Obaj zachowywali pozory, ale ich spojrzenie wypalało mu dziurę w plecach. Ghijas przemówił cicho, zbliżając się do tronu na tyle, na ile się odważył. Nie wiedział, jak inaczej mógłby dotrzeć do Dżahangira. Był jego teściem, ale ta pozycja była dla niego tak nowa, że nawet nie zdawał sobie sprawy, iż mógłby wysłać wiadomość bezpośrednio do cesarza.

- Oczywiście - odparł natychmiast cesarz, wstając. - Możesz mi towarzyszyć w drodze do *zenany*, porozmawiamy.

Ruszyli korytarzem o łukowatym sklepieniu. Ghijas-beg szedł parę kroków za Dżahangirem; służący podążali za nimi w pewnym oddaleniu. Przez jakiś czas szli w milczeniu. Ghijas-beg zastanawiał się nad tym, co chciał powiedzieć. Jak miał to wyrazić? Nagle Dżahangir zatrzymał się i odwrócił w jego stronę.

- Jak się miewa Mihrunnisa? Słyszałem, że wczoraj złożyłaś jej wizytę na strzelnicy. Czy zdrowie jej dopisuje? Po polowaniu wydawała się niezdrowa.

- Miewa się dobrze, najjaśniejszy panie, ale...

- Ale co? Powiedz, czy coś ją dręczy? Czy służba sprawia jej kłopoty?

- Nie chodzi o służbę - odparł ostrożnie Ghijas-beg. Zasta-

nawiał się. Jakimi słowami prosić, by cesarz zechciał wrócić do jego córki?

- Z całą pewnością chodzi o służbę - oznajmił Dżahangir zdecydowanie. - Pod moją nieobecność pewnie nie słuchają jej rozkazów.

- Można temu zaradzić, najjaśniejszy panie.

- Tak. - Dżahangir zatrzymał jedną ze służących. - Powiadom Nurdżahan-begam, że dziś wieczorem złożę jej wizytę.

- Dziękuję, najjaśniejszy panie. - Ghijas skłonił się i wycofał tyłem z korytarza. Jak łatwo przyszło mu uzyskać tę łaskę, nie prosząc o nią! Przez całą noc martwił się o córkę. Była nieszczęśliwa. Usiłowała to ukryć, ale płakała, a to zdarzało się jej rzadko, nie tak jak innym kobietom, które potrafią rozsłochać się na zawołanie. A jeśli nawet czasem płakała, Ghijas nigdy tego nie widział. Ani po poronieniach, ani po śmierci Ali Kulego... choć to akurat ją wyzwoliło. Dlatego po całonocnych rozmyśleniach postanowił nad ranem, że zwróci się do cesarza.

Po jego odejściu Dżahangir szedł po marmurowych schodach na dziedziniec. Na jego widok niewolnicy, eunuchowie i konkubiny, wypoczywający w cieniu drzew mango, wstali i wycofali się. Odczekał, aż wszyscy znikną, po czym usiadł na skraju basenu. Karpie podpłynęły do jego cienia, czekając na pokarm. Cesarz machnął ręką nad wodą; ryby odpłynęły, wachlując się płetwami.

Znowu będzie mógł zobaczyć Mihrunnisę. Wreszcie! Przez ostatni tydzień nie wiedział, jak ma do niej wrócić. Co rano budził się w pustym łożu, w samotności. Jego dni były wypełnione obowiązkami państwowymi, wieczory - wizytami w apartamentach cesarzowej Dżagat Gosini, podczas których brał udział w ciągnących się w nieskończoność rozrywkach i biesiadach. Tak bardzo pragnął być z Mihrunnisą, że aż go to bolało. Kazał eunuchom, by informowali go, co cesarzowa robi przez cały dzień. Dlatego wiedział, że zjawiła się na *dżharoce* podczas dwóch poranków, kiedy on zaniedbał tego obowiązku, że resztę dnia spędziła na strzelnicy. Wysłuchał tych wszystkich wiadomości z kamienną twarzą, ale w środku wszystko w nim płonęło.

Zdjął turban, symbol cesarskiej władzy, położył go na cembrowinie. Po południowe słońce lśniło w marmurowej posadzce dziedzińca. Będzie musiał poczekać do wieczora, żeby się spotkać z Mihrunnisą. Dlaczego powiedział, że przyjdzie wieczorem, czemu nie od razu? Wystarczyłoby jej dwadzieścia minut, żeby się przygotować.

Niegdyś Mahabbat, Szarif i nawet Dżagat Gosini usiłowali go rozłączyć z Mihrunnisą, przeszkodzić mu w spotykaniu się z nią, w małżeństwie, przypominali o nielojalności jej rodziny, o perfidii jej męża, twierdzili, że Mihrunnisą musi z pewnością żywić do niego urazę. Wszystkie te uwagi wróciły do niego w zeszłym tygodniu. Głosy Mahabbata i Szarifa zyskały na sile, a Dżagat Gosini pokazała mu *farmany*, na których przyłożyła cesarską pieczęć. Nie zauważyli, że cesarz jest smutny. Zachowanie Mahabbata i Szarifa było niepokojące. Czego się obawiali? Że rodzina Mihrunnisy zyska na znaczeniu? Że Mihrunnisą będzie zabierać głos podczas *dżharokil* Ale dlaczego?

Siedział długo, z odsłoniętą głową, pławiąc się w upale. Po wieczornych modlitwach i ostatniej audiencji wykapał się i pospiesznie przebrał, w biegu rzucając rozkazy służącym. Podszedł do apartamentów Mihrunnisy, która czekała na niego, poważna. Nie zrobiła nic, za co powinna go przeprosić. On, jako cesarz, także nie mógł jej przeproszać. Żadne z nich nie popełniło błędu.

W darze przyniósł jej haftowany aksamitny woreczek. Dziś po południu posłał po ten najcenniejszy kawałek metalu w całym cesarstwie. Złożył go w dłoni ukochanej i zacisnął na nim jej palce.

- Co to? - spytała.

Nie odpowiadał przez jakiś czas. W oczach lśniło mu dziwne ożywienie.

- To, czego chciałaś - odezwał się w końcu.

- Chciałam ciebie.

Znowu zamilkł.

- Bez tego nie będziesz mnie miała bez reszty.

Czy to możliwe... ale nie, tak nagle, tak niespodziewanie...

zerknęła na woreczek. Krył coś małego, lecz ciężkiego. Wyczuła przez aksamit gładkie, chłodne kształty. Przyłożyła woreczek do piersi; chłód metalu przeniknął przez cienki materiał.

- Dziękuję - powiedziała. Zabrakło jej słów, by wyrazić ogromną wdzięczność. Dzięki temu kawałkowi metalu stała się panią całego cesarstwa. Zdobyła władzę nad każdym zakątkiem tych ziem, nad wszystkimi mieszkańcami, ach, nawet nad trawą, drzewami i niebem!

Dżahangir spędził tę noc w jej apartamentach. Zasnęli spleceni ze sobą, przerażeni tym, co się wydarzyło. Ta kłótnia... nie, nie kłótnia... nieporozumienie. Jakże łatwo się to wydarzyło, drobny wypadek rozrósł się do nieproporcjonalnie wielkich rozmiarów i ich poróżnił.

Co noc do komnaty, w której cesarz spędzał noc, przynoszono miecz, za każdym razem inny, z pochwą inkrustowaną rubinami i perłami lub perłami i szmaragdami. Dżahangir spał, mając go u boku - był to zwyczaj zapoczątkowany przez jego ojca; cesarz z dynastii Timurydów nie zamyka oczu bezbrony, niezależnie od tego, ilu strażników pilnuje jego komnaty. I tak tej nocy miecz trafił do apartamentów Mihrunnisy i legł w zasięgu ręki Dżahangira.

Eunuchowie, którzy spełnili ten obowiązek, opowiedzieli o nim innym. Zgaszono lampy, co z zasady robiono dopiero wtedy, kiedy stało się jasne, gdzie cesarz spędzi noc. Wszystkie kobiety poszły spać ze świadomością, że dzięki jakimś czarom najnowsza cesarzowa znowu zdołała uwieść cesarza.

I gwiazda Mihrunnisy znowu zajaśniała.

Abul Hasan oparł się o ścianę z założonymi na piersi rękoma. Przyglądał się profilowi siostry na tle okna. Promienie słońca, przenikające przez ażur drewnianych okiennic, otaczały ją aureolą. Mihrunnisa czytała pergamin, podnosząc go do światła. Abul czekał na jej słowa, siląc się na cierpliwość.

- Co to? - spytał w końcu z odrobiną niepokojem.

Mihrunnisa podniosła rozświetlone oczy.

- Cesarski*farman*.

- Co tym razem podarował ci cesarz? - Wyjął jej pergamin z rąk i zmarszczył brwi. - Nadanie *mansabu* jednemu z dworzan. Dlaczego trafił do ciebie? Co ma z tobą wspólnego?

- Wszystko, mój drogi. - Poklepała otomanę. - Usiądź.

Posłuchał jej. Dopiero teraz zobaczył mały woreczek z haftowanego perłami zielonego aksamitu. Mihrunnisa dotykała go nawet wtedy, gdy czytała. Jej palce przesuwały się po perłach.

- Co to?

- Ile pytań... - Uśmiechnęła się. - Zbyt wiele, Abulu. Powiedz, jak się czujesz, mogąc przekraczać zakazane progi *zenanyl*

Tydzień temu rozkazała strażniczkom wpuścić Abula. Opisano im jego wygląd w najdrobniejszych szczegółach; poznały każdy pieprzyk na jego twarzy, każdy włos na głowie, każdy ruch. I kiedy stanął przed bramą, kaszmirskie kobiety i ahadi obejrzeni go dokładnie, po czym posłali wiadomość do Hoszizar-chana, który zjawił się i przeprowadził następne badanie. Przyjrzał się mu starannie, zadał mu liczne pytania o wujów i dziadka - gdzie mieszkali w różnych okresach swego życia, jakie pojęli żony, kto był ich rodzicami. Zasłonięto mu głowę i tors grubym szalem, a następnie zaprowadzono, na wpół oślepionego, widzącego tylko własne stopy, przez dziedzińce z piaskowca, przez ogrody, których trawniki lśniły od porannej rosy, a marmurowe posadzki były tak gładkie, że jego stopy się na nich ślizgały. Raz bez słowa minęła go kobieta, czuł jej zaciekawienie. Prawie przystanęła koło niego, rąbek jej jedwabnej *ghagary* znieruchomiał. Słońce zamigotało w setkach rubinowych guziczków, tkwiących w złotym hafcie. Stała bardzo blisko i nawet przez gruby szal, pod którym spływał potem, poczuł zapach jaśminu w jej włosach i jeszcze jakiś inny, nieuchwytny. Hoszizar zacisnął palce na jego łokciu, ale tylko po to, by go zatrzymać. Kim była ta kobieta, że mogła mu rozkazywać? Minęło parę długich chwil. Kobieta i Hoszizar-chan nie zamienili ze sobą ani słowa, a jeśli nawet ze sobą rozmawiali, Abul nic nie słyszał. Wydawało mu się, że kobieta ogląda go jak wielbłąda na targu, oceniając kształt garbu, stan nóg,

grację ruchów. Nie ośmielił się podnieść szala i spojrzeć na nieznajomą. Był bratem Nurdżahan-begam, ale jego głowa nadal nie miała wielkiej wartości.

Straszne zamieszanie, pomyślał i odwrócił się, by popatrzeć na siostrę. Pamiętał dobrze jej przyjście na świat, choć tamtego zimowego wieczora na pustyni pod Kandaharem był czteroletnim chłopcem. Pamiętał strach, głód i zmęczenie, pamiętał wyjąca wokół nich burzę, pamiętał słabe jęki matki, dochodzące do niego przez płócienną ścianę namiotu. W ten sposób Mihrunnisa zjawiła się na świecie. Początkowo nie nawidził jej za to, że ciągle czegoś chce, ciągle płacze, że wszystkich absorbuje.

Nie pamiętał, kiedy *bapa* postanowił ją porzucić i kiedy ją odzyskał, ponieważ wszystko wydarzyło się w ciągu paru godzin. Dopiero później, w Agrze i Lahaur, gdzie przenieśli się wraz z dworem cesarza Akbara, zaczął zauważać siostrę. Nauczył ją grać w *gilli-dandę*, śmiał się, kiedy usiłowała się wspiąć na drzewo, z *ghagarą* podwiązaną między nogami na podobieństwo *dhoti*. Oczywiście dorastali z dala od siebie, jak zwykle chłopcy i dziewczynki z tego samego domu. Ich miłość i sympatia przetrwała mimo oddalenia i czasu.

- Zmieniłaś się - odezwał się cicho. Sięgnął ku haftowanemu woreczkowi.

Dała mu klapsa.

- Dlaczego? Czy to... - ogarnęła gestem chłodny pokój - i to... - dotknęła swojego turbanu z długim piórem czapli, przysługującym jedynie tym, których cesarz wyróżnił - aż tak mnie odmieniło?

- Nie - odparł. Przechylił złoty wazon z różami herbacianymi na stoliku z drewna różanego. Szyjka wazonu pochyliła się niczym w ukłonie, a kiedy Mihrunnisa sięgnęła ku niej, by złapać naczynie, Abul zbliżył rękę do woreczka na jej kolanach. - To tylko zewnętrzne oznaki. Dary cesarza Dżahangira. Dobrzeje mieć, ale to coś innego...

Mihrunnisa padła na otomanę, trzymając wazon w ramionach, z twarzą wtuloną w kwiaty, ale woreczek odsunął się razem z nią ponieważ go nie puszczała. Abul odebrał jej ciężkie

naczynie i ceremonialnie odstawił na stolik. Roześmiała się, położyła na wznak, a woreczek umieściła na brzuchu. Jego troczki miała oplatanie wokół przegubu.

- Chcesz zobaczyć, co jest w środku?

- Tak.

- Musisz tylko poprosić. - Rzuciła w niego woreczkiem, który schwytał niecierpliwie i z zaskoczeniem. Był cięższy, niż się spodziewał, a jego zawartość mocno uderzyła Abula w palec.

Otworzył sakiewkę; na dłoń wypadł mu mały, ciężki srebrny dysk. Obrócił go. Ujrzał dziewięć kręgów, a na każdym wypisaną po persku nazwę domu Timura. Pierwsza brzmiała: „Emir Timur, pan pomyślnego Złączenia, boski posiadacz czterech stron świata” i tak dalej, a na końcu „Akbar Padi-szah, najpotężniejszy cesarz” i wreszcie „Nuruddin Muham-mad Dżahangir Padi-szah Ghazi, światło Religii i Zdobywca Świata”.

Zadrżały mu ręce. Metal był chłodny, zawile pismo - czar-ne, w wyżłobienia wgryzł się tusz, który brudził mu palec. Przytulił dysk do policzka, przesunął językiem po jego chłodnej gładkości.

- Cesarska pieczęć - szepnął z szacunkiem.

- Nie zjedz jej, mam tylko jedną - odezwała się Mihrunni-sa z otomány, na której nadal leżała, lekko złożywszy ręce na brzuchu. Abul spojrział na nią wzrokiem, który wyrażał nie tyl-ko zdumienie i zachwyt, lecz także wdzięczność. Słyszał o tej pieczęci - w tym cesarstwie nie było liczącego się dostojnika, który by nie wiedział o jej istnieniu i który nie pragnąłby jej ujrzeć na *farmanie* lub edykcje zaadresowanym do niego; *far-man* przechowywano by latami, z pokolenia na pokolenie.

- Jak to... dlaczego... skąd to masz?

Obróciła się na bok, podparła na łokciu.

- Za wcześniej? Nie prosiłam... ale pragnęłam ją mieć. A cesarz pragnął mi ją dać. Czy powinnam czekać dłużej?

Abul wytarł pieczęć o przód *kaby*, a potem znowu potarł nią policzek, wdychając metaliczny zapach, pragnąc ją zapamię-tać. Ta pieczęć miała moc poruszania gór, niszczenia miast,

zawracania rzek. Dzięki niej można było kupić wszystko, nawet głowę niemal każdego wielmoży. A teraz posiadała ją Mihrunnisa. Ale jak to się stało? Pieczęć podobno znajdowała się w rękach cesarzowej Dżagat Gosini, w jaki sposób trafiła do Mihrunnisy? Spojrzał na siostrę z nagłą podejrzliwością.

- Nie bądź idiotą nie ukradłam jej. - Mihrunnisa usiadła. - Oddaj.

- Jeszcze tylko kilka minut. - Odsunął się i założył ręce. Pieczęć znalazła się pod jego pachą, twarda i przyjemnie ciężka.

- Możesz ją oglądać, trzymać, nawet lizać - to ostatnie powiedziała ze śmiechem - kiedy tylko zechcesz. Nie stracę jej na rzecz żadnej innej kobiety. Będzie tu, kiedy znowu złożysz mi wizytę.

Abul położył pieczęć na jej dłoni. Mihrunnisa zwilżyła grudek atramentu wodą z wazonu, rozmieszała go na gęstą masę w jadeitowym kałamarniu. Zanurzyła pieczęć, osuszyła na brzegu kałamarniu i przycisnęła do *farmanu*. Obciążyła arkusz na wszystkich czterech rogach, by atrament wysechł.

Abul zapatrzył się w lśniący czarny odcisk pieczęci.

- Czy jesteś Padiszah Begam?

Nie spojrzała na niego.

- To tylko tytuł.

Wreszcie zdołał oderwać wzrok od pieczęci. W jej głosie usłyszał skrywane szorstkie tony.

- Więc zaczekaj. Spotka cię wszystko, co najlepsze, ale musi nadejść stopniowo. Jeśli będzie tego zbyt wiele, przynicie cię swoim ciężarem. Nie będziesz wiedziała, co zrobić. A ta pieczęć, czy to nie dość?

- Na razie. Na razie mi wystarczy.

- Opowiedz, jak to się stało.

- Słyszałeś o polowaniu? - Skinął głową. - Kiedy tydzień później cesarz złożył mi wizytę, dał mi tę pieczęć.

Abul przysunął się do niej.

- Co powiedziałaś?

- Początkowo nic. - Pochyliła się i dmuchnęła na *farman*. - No, właściwie w ogóle nic. Zastanawiałam się, czy powinnam

otrzymać tę pieczęć teraz... czy później. Czy powinnam czekać, dopóki nie nawiążę... przymierza z *zenaną*, kiedy kobiety, eunuchowie, niewolnice i konkubiny rozumieją, kim jestem.

- Już to wiedzą - powiedział Abul cicho. - Teraz nikt nie będzie cię mógł zignorować.

Abul przyglądał się siostrze i znowu pomyślał o tym, jak bardzo - i jak szybko - się zmieniła. Mówiła o innych *farmanach*, które wydała w związku ze swymi statkami. Zdumiało go i zachwyciło to słowo: jej statki. Przed miesiącem wysłała Hoszijara do Suratu na zachodnim krańcu cesarstwa, by nadzorował budowanie trzech statków. Pieniądze pochodziły z jej *dżagirów*, ziem, które otrzymała od Dżahangira. Cesarz podarował jej najwspanialsze dystrykty cesarstwa, gdzie gleba była żyzna i płodna, gdzie wystarczyło na nią rzucić garść ziarna, by wyrosło urodzajne zboże. Mihrunnisa była właścicielką całych miast - sklepów, bazarów, domów, pól, ludzi, wszystkiego. Sikandara nad rzeką Dżamną na południe od Agry stanowiła gigantyczną komorę celną, do której dostarczano towary ze wschodnich rejonów cesarstwa. I wszystko to należało do Mihrunnisy.

Abul zazdrościł jej; trudno było nie pożądać takiego szczęścia, ale jednocześnie cieszył się ze względu na Mihrunnisę. Dzieliła się z nimi bogactwem. Dzięki niej dostał nowy tytuł: Asaf-chan. Ich ojciec otrzymał większy *mansab*, bardziej eksponowane stanowisko. *Madzi* była matroną haremu. Wystarczyło tylko o coś poprosić, aby to dostali. Lata, które spędzili z sobą od siebie jako dorośli ludzie, nie zniszczyły bliskości zrodzonej w dzieciństwie.

Ciekawiło go, czy Mihrunnisa może coś zrobić w sprawie jego córki. Ardzumand miała już dziewiętnaście lat i była jego oczkiem w głowie. Pięć lat temu, dzięki pozycji *bapy* na dworze, odbyły się jej zaręczyny z księciem Churramem. Jednak od tego czasu wydarzyło się wiele rzeczy, które położyły się cieniem na ich nazwisku. O zaręczynach zapomniano. Abul patrzył bezradnie, jak córka staje się milcząca, jak jej radość znika, odchodzi. Nadal była wesoła, kiedy ją o to prosił, nadal

podawała mu *czaj*, kiedy wracał do domu, nadal pytała go, jak minął mu dzień, ale wszystko to robiła bez przekonania. Stała się kobietą i potrzebowała męża. Swoje nadzieje związała z księciem Churramem, może nawet się w nim zakochała, jak przystoi dziewczynie, która po raz pierwszy ujrzy swojego narzeczonego.

Abul chciał zapytać Mihrunnisę, czy to małżeństwo może dojść do skutku, ale nie potrafił się do tego zmusić. W każdym razie jeszcze nie teraz.

Dlatego powiedział tylko:

- Powiniennem już odejść. Dano mi tylko dwie godziny na rozmowę z tobą.

Poklepała go po ramieniu.

- Więc idź. I wróć szybko.

Podniósł się z otomany. Staął, wpatrzony w swoją siostrę, niepewny. Sięgnął po mały czerwony woreczek, który miał za pasem.

- Co to? - spytała Mihrunnisa z nagłym niepokojem.

- Nic... - Odwrócił się, by odejść, ale znowu zawrócił. Wyjął woreczek zza pasa i pokazał siostrze.

- Co tam masz?

W odpowiedzi rozsypał troczki i wysypał na dłoń zawartość sakiewki. Czarnobrzowe ziarna zalśniły niczym pszczoły.

Mihrunnisa skinęła na niego głową. Podszedł bliżej. Dotknęła palcem ziaren.

- *Datura* - powiedziała. I dodała bardzo cicho: - Czy prosisz mnie o przysięgę wierności?

- Tak - rzekł, choć w ustach mu zaschło.

- Dlaczego? Czy nie dość uczyniłam?

- Uczyniłaś wiele. Ale czy przysięgniesz? Na te ziarna?

Niegdyś, dawno temu, gdy oboje byli dziećmi, bawili się w tę głupią grę; przysięgli sobie wzajemną lojalność po głupim incydencie, o którym żadne z nich miało nie pisać ani słowa. Mihrunnisa nie pamiętała już, co to było... zaczęła się zastanawiać. Czy chodziło o to, że Abul poszedł do domu publicznego? Czy że poszli razem? Coś w tym rodzaju. Coś takiego, o czym nie powinni się dowiedzieć ani *bapa*, ani *madzi*.

Abul podał jej utłuczone na biały proszek ziarna *datury* i oboje je zjedli. Były gorzkie i oleiste, później przez wiele godzin ślaniali się jak pijani. Wypili morze wody, potem zaczęło ich razić światło, Mihrunnisa dostała skurczów żołądka i wtedy Abul zawołał *madzi*. Matka podała jej pastę z tamaryndowca i węgla drzewnego z wierzby i Mihrunnisa zwymiotowała na kamienną posadzkę dziedzińca. Dopiero wtedy bóle ustąpiły, dopiero wówczas mogła znieść światło dnia. Żadne z nich nie wyznało, co zjedli; to także sobie obiecali.

- Mogliśmy wtedy umrzeć, wiesz? - odezwała się. Teraz wiedziała już, że prawdopodobnie omal nie umarła z powodu *datury*, że zjadła jej za dużo.

- Wiem - odparł Abul, ale nie schował ziaren. - W ten sposób składamy sobie przysięgi, Mihrunniso. Boisz się?

Uśmiechnęła się nieznacznie.

- Nie, boję się bardzo niewielu rzeczy. Ale teraz jesteśmy dużo starsi i powinniśmy być mądrzejsi.

Abul otworzył kolejną sakiewkę, którą ze sobą przyniósł. Wyjął z niej marmurowy moździerz i tłuczek. Włożył do niego jedno ziarno i utłukł je na proszek. Potem otrzepał tłuczek z pyłu i położył go między nimi.

- Łączy nas więź, której nikt i nic nie może zerwać - rzekł. Takie same słowa wypowiedział chyba i poprzednim razem. Zawsze miał dobrą pamięć. Zwilżył śliną palec wskazujący i zanurzył go w proszku. Potem włożył palec do ust.

Mihrunnisa przyglądała się mu bez słowa. Zaczekała, aż Abul wyjmie z ust palec.

- Łączy nas więź, której nikt i nic nie może zerwać - powtórzyła z mocno bijącym sercem.

Palcem, który niespodziewanie zaczął drżeć, zgarnęła nieco ziarnistego proszku i włożyła go do ust. Przykry, gryzący odór *datury* podrażnił jej nozdrza, ale nie zawahała się. Proszek rozpląnął się na jej języku, był taki gorzki jak dawniej, z tłustym posmakiem. Zamarła; Abul chwycił i wyciągnął jej palec z ust, by sprawdzić, czy zjadła proszek.

- Co teraz? - spytała.

Sięgnął do torby i wyjął słoik z pastą z tamaryndowca i węgla.

- Zjedz to natychmiast.

Nakarmił ją pastą i sam zjadł trochę. Wkrótce potem oboje poczuli mdłości; rzucili się ku złotemu wazonowi, wyrzucili z niego róże, wylali wodę za okno i razem do niego zwymiotowali.

Mihrunnisa oparła się o ścianę, jeszcze drżąca.

- Żyjesz, Niso? - Abul pogłaskał ją po twarzy, wytarł pot z czoła. - Czy mam wołać *hakimal*

Roześmiała się trochę histerycznie i objęła go mocno.

- Jesteś głupi! Mogliśmy umrzeć, wiesz?

- Dziękuję. - Odsunął się i spojrzał w jej błękitne, uśmiechnięte oczy. - Teraz już wiem.

Piętnaście minut później przestali wymiotować, ale nie mogli przestać się śmiać. Dzięki Allahowi nie był to dziki śmiech zrodzony z wpływu *datury*, ale radość ludzi, którzy hardo spojrzeli w twarz śmierci i nie stchórzyli

Farman już wysechł; Mihrunnisa zrolowała go i związała. Potem strzeliła palcami. Drzwi otworzyły się bezgłośnie i na progu pojawił się Hoszizar-chan. Przyjął *farman* i nie mrugnawszy nawet okiem - wazon.

- Trzeba to umyć.

- Tak, najjaśniejsza pani.

Odsunął go od siebie jak najdalej i zatrzymał się w drzwiach, czekając na Abula.

Mihrunnisa ujęła dłoń brata i ją pocałowała

- Od paru miesięcy nie widziałam się z Ardzumand - powiedziała. - Czy poprosisz ją żeby wkrótce złożyła mi wizytę?

Wiele osób, w *zenanie* i poza jej murami, przyglądało się szybkiemu awansowi Mihrunnisy. Przeważnie były to kobiety, które nigdy jej nie widziały, gdyż kwatery haremu były wielkie, lecz słyszały o niej od niewolników i eunuchów. Wszystkie kobiety dzieliły się na obozy. Były takie, które lubiły Mihrunnisę - albo dlatego, że dzięki niej mogły coś zyskać, albo też dlatego, że nie lubiły cesarzowej Dżagat Gosini, albo też, co najbardziej prawdopodobne, dlatego iż wszystkie, żony czy konkubiny, matki synów Dżahangira czy też nie, nie

czuły potrzeby walczyć o pierwszeństwo. Wystarczyło im, że przypadło Mihrunnisie, pod warunkiem że one same nadal mogły żyć w takim samym spokoju i wygodzie. Oczywiście były także takie, które przyglądały się Mihrunnisie z coraz większym lękiem i dezaprobatą. Dżagat Gosini odczuła ten cios na własnej skórze, natychmiast i boleśnie. Niemal straciła swoją pozycję na rzecz Mihrunnisy, dlatego niektóre damy z *zenany* stanęły po jej stronie, tym samym opowiadając się przeciwko Mihrunnisie.

Była także cesarzowa wdowa Rakajja Sułtan Begam. Nadal wściekała się na Dżagat Gosini za obcięcie jej dochodów - z bajecznych do zaledwie luksusowych - dlatego awans Mihrunnisy ją zachwycił. Jeśli nie było jej wolno rządzić *zenaną*, mogła to robić przez Mihrunnisę. A przynajmniej tak się jej wydawało.

Parę miesięcy później spotkały się jeszcze kilka razy: albo późno w nocy, albo po południu, kiedy haremowe damy schroniły się w swoich komnatach. Rakajja nauczyła Mihrunnisę, że warto lokować pieniądze w różnych miejscach - w ziemiach, *dżagirach* i tym podobnych, w miastach o wielkiej handlowej wartości, a czasem w statkach pływających z Indii do Mekki i Medyny.

Siedząc w apartamentach Rakajji, Mihrunnisa przyglądała się szeregowi eunuchów i niewolnic, które szeptały coś do ucha cesarzowej wdowy. Po ich odejściu Rakajja powiedziała: „Czy wiesz, że córka mirzy Kamrana, która za dwa tygodnie ma wyjść za mąż, straciła swój posagowy naszyjnik? Kosztował pięćdziesiąt tysięcy rupii i zniknął! Tak po prostu! Za to syn ich krawca, który zawsze gapił się na nią podczas przyjmiarek, zaczął budować nowy dom”.

Ta informacja rozbawiła Mihrunnisę. Kim właściwie był ten mirza Kamran? Ach, jednym z dworzan z pierwszego rzędu na *diwan-i am*. Kim jeszcze? Nie potrafiła sobie przypomnieć, a jednak ta wiadomość z jakiegoś powodu została uznana za godną uszu Rakajji, podczas gdy mirza Kamran pewnie nadal uważał, że syn krawca siedzi w domu, szyjąc stroje dla jego rodziny.

Ręce Rakajji niczym złote rybki śmigały do sakiewki u jej boku i kładły nagrodę na dłoni informatora - złotego *mohura*, srebrną rupię, czasami bransoletę, zależnie od wagi informacji. Zwykle była skąpa, użalała się nad swoją sytuacją ale na to miała pieniądze. Nie na statki, *dżagiry*, ogrody czy seraje, ale na wiedzę. To była najpotężniejsza broń we wszystkich arsenałach świata.

Za murami *zenany* dworzanie, angielscy kupcy i jezuici również rozmawiali o Mihrunnisie. Oni także zdumiewali się i niedowierzali. Jak zwykła kobieta mogła zyskać aż taką władzę? Nie uważali, że jest inteligentna czy wpływowa, a jednak podczas każdej *dżharoki* gromadzili się tłumnie, zaciekawieni.

Znacznie bliżej, w *mardanie* - kwaterach mężczyzn, książę Churram także zastanawiał się nad Mihrunnisą.

Jego zainteresowanie nie było przypadkowe. Do tronu pretendowało czterech synów cesarza Dżahangira: Chusru, Parwez, Churram i Szahrijar. Wszyscy mieli równe prawa do cesarskiej władzy. Liczne żony rodziły Dżahangirovi wielu synów, ale nikt nie mógł być pewien ich przeżycia. Dziecko często umierało na zwykłą gorączkę. W tym samym roku, gdy na świat przyszedł Szahrijar, urodził się także inny chłopiec, Dżahandar, który przeżył zaledwie parę miesięcy.

Czterej książęta byli synami różnych kobiet; pierwsi trzej - cesarskich żon, a Szahrijar - konkubiny, która miała szczęście przyjmować Dżahangira przez jedną noc. W cesarstwie Mongołów nie istniało wyraźne prawo pierworództwa; kiedy synowie osiągną wiek męski, będą czekać na koniec panowania Dżahangira, walcząc o jego tron. Tak samo było wówczas, gdy na tronie zasiadał Dżahangir, a także cesarz Akbar i jego pradziad cesarz Humajun.

Teraz, do roku 1611, wszyscy czterej książęta przeszli różne koleje losu.

Chusru był synem nieszczęsnej Man Bai, pierwszej żony Dżahangira. Był też jego pierworodnym, pierwszym kandydatem do tronu, którego narodzin oczekiwano z wielką niecierpliwością. We wczesnej młodości budził wielkie nadzieje. Był przystojnym młodzieńcem o łagodnym obejściu i darze pięk-

nej wymowy. Z jego osobą wiązano przyszłość cesarstwa. Miał także potężnych sprzymierzeńców. Jego wujem był radża Man Singh, radźpucki wojownik, którego Akbar darzył wielkim szacunkiem - tak wielkim, że powierzył mu dowodzenie najważniejszą kampanią w Mewarze i gubernatorstwo w Bengalu. Kiedy Chusru skończył siedemnaście lat, zaaranżowano jego małżeństwo z córką innego wielmoży, mirzy Aziza Koki. Mając za doradców tak potężnych ludzi, Chusru nie powinien zbłądzić, ale w końcu to właśnie oni doprowadzili do jego upadku. Gdy Dżahangir był jeszcze księciem, radża Man Singh i mirza Koka podburzyli Chusru do buntu przeciwko ojcu. Namawiali go, by zagarnął tron dla siebie, jednak jakby nie zauważyli, że ich władza ma związek także z wpływem Dżahangira na cesarza Akbara.

Właśnie wtedy matka Chusru, Man Bai, zmarła z powodu przedawkowania opium. Kiedy jej błagania przestały przynosić skutek, ograniczyła się do obserwacji walki syna z ojcem. W końcu zabiła się, zmęczona tą sytuacją. I tak osiemnastoletni Chusru musiał żyć ze świadomością, że przyczynił się do śmierci matki.

Dżahangir zasiadł na tronie i pokonał popleczników swego syna. Mirza Koka utracił wszystkie tytuły i ziemie, radża Man Singh - gubernatorstwo. Chusru jedynie trafił do więzienia. Ale wtedy znowu się zbuntował... i uciekłszy z niewoli, usiłował zebrać armię, by wyruszyć na bój z ojcem, a nawet usiłował go uśmiercić. Cesarz nie mógł pozwolić na stracenie własnego syna, toteż rozkazał go tylko oślepić. Później wezwał lekarzy, by spróbowali przywrócić mu wzrok i udało im się - ale tylko w jednym oku i jedynie częściowo.

A zatem był Chusru, dwudziestoczteroletni, na wpół ślepy i szalony. Snuł się po ogrodach swojego pałacu, wciąż planując przewrót, lecz nie miał już sprzymierzeńców. Był także inny syn, książę Bulaki, potencjalny następca tronu, przed którym czekali jeszcze inni bracia.

Książę Parwez był synem Sahib Dżamal, trzeciej żony Dżahangira, poślubionej tego samego roku co Dżagat Gosini. Parwez niedawno oddał się pladze gnębiącej wielu członków tej

rodziny - picciu. Z czterech książąt był jedynym, który wolał pozostać w Dekanie pod opieką chan-i chanana Abdur Rahima, gdzie rzekomo dowodził niekończącą się kampanią wojenną na południu. Jeśli nawet Parwez pożył tronu, nie miał dość sił, by o niego poprosić lub się go domagać. Łatwiej było mu szukać zapomnienia w pieszczotach kobiet z *zenany*, a jeszcze łatwiej topić smutki w winie.

Książę Szahrijar był synem konkubiny, zrodzonym w roku, w którym Dżahangir wstąpił na tron. Miał dopiero sześć lat, bawił się ze swymi niańkami, kąpał się w falach Dżamny, jadł do woli i wszystko to go uszczęśliwiało. Czego więcej może pragnąć chłopiec?

Był także Churram, trzeci syn Dżanahgira, syn Dżagat Gosini, wychowany przez Rakajję. Imię nadał mu sam cesarz Akbar, ponieważ takie właśnie były jego narodziny - radosne. Churrama kochali niemal wszyscy. W przeciwieństwie do starszego brata Chusru miał tę przewagę, że zdołał przypodobać się dziadkowi i nie zrazić do siebie ojca. Co więcej, zdawał sobie sprawę, że ta przychylna okoliczność jest zupełnie przypadkowa. Gdyby dano mu bogactwa jak Chusru albo wino jak Parwezowi, albo choćby proste niańki, jak Szahrijarowi, on także traciłby czas. Na szczęście los był dla niego łaskawszy.

Churram przebywał z Rakajją w *zenanie*, dopóki nie osiągnął dojrzałości i nie został przeniesiony do męskich kwater w forcie. Dobrze znał skomplikowane układy haremowego życia, wiedział, w jaki sposób walczą ze sobą kobiety - podstępnie, dyplomatycznie, usiłując wywalczyć choćby odrobinę władzy. Obserwował Rakajję, która łamała wolę tak wielu osób, a jego dziadka traktowała niczym narzędzie.

Książę wiedział także, że Mihrunisa zyskuje na znaczeniu w *zenanie* ojca, że prześcignęła już nawet Dżagat Gosini. Churram miał dwadzieścia lat, jego ojciec - czterdzieści dwa. Gdyby tron opustoszał już teraz, to właśnie Churram mógłby na nim zasiąść. Ale za dziesięć, może nawet dwadzieścia lat, kiedy ojciec w końcu umrze, wszystko może się zmienić niczym po przejściu burzy piaskowej. Dawne przymierza mogą się rozsypać w proch. A biorąc pod uwagę coraz większe zna-

czenie Mihrunnisy, może to właśnie ona będzie decydować o nowych układach.

Dlatego księżę, najlepszy z czterech synów cesarza Dżahangira, świadom własnego znaczenia i jego ulotności, jeśli nie będzie pracować nad jego umocnieniem, postanowił udać się do Mihrunnisy.

Tymczasem w jednym z pałaców haremu cesarzowa Dżagat Gosini zastanawiała się nad swoim spotkaniem z Mahabbat-chanem. Jeszcze nie przestała walczyć, choć nie wiedziała o bliskiej zdradzie swego syna.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Zdobywca świata był niewolnikiem pewnej kobiety - swej małżonki Nur Mahał lub Mihrunnisy, jak ją nazywano. Jej ojciec... oraz brat... mieli wielkie znaczenie na dworze, podczas gdy jej bratanica... była żoną sułtana Churrama... Wszystkie te osobistości pozostawały w owym czasie w bliskim związku...

*Embassy of Sir Thomas Roe to India,
red. William Foster*

W 1570 roku cesarz Akbar skończył budować Lal Kiłę, Czerwony Fort, na brzegu leniwej Dżamny w Agrze. Rok później przystąpił do budowy całego miasta w Sikri. Nazwał je Fatehpur Sikri na cześć pognębnienia Gudżaratu. Fatehpur Sikri znajdowało się na brzegu wielkiego jeziora, trzydzieści kilometrów od Agry. W pobliżu nie było żadnego innego źródła wody. Miasto zostało zbudowane w hołdzie sufickiemu świątobliwemu mężowi, do którego cesarz Akbar udał się z pielgrzymką, modląc się o następcę tronu. Świątobliwy powiedział mu, że będzie miał trzech synów. Dziesięć miesięcy później w Sikri urodził się Dżahangir. Akbar doczekał się jeszcze dwóch synów, ale to Dżahangir zasiadł na tronie.

Piętnaście lat po przeniesieniu dworu Akbara z Agry do Fatehpur Sikri miasto opustoszało, gdy cesarz wyruszył do Lahaur, skąd miał prowadzić kampanię przeciwko władcy Uzbekistanu. Już z niej nie wrócił na dawne miejsce. W 1611 roku miasto trwało w palącym żarze słońca, jego budynki z czerwonego piaskowca spłówiały, na dziedzińcach nie było słyhać głosów, ogrody więdły w upale, kurz zasnuł okna. Ścieżek nie wydeptywały już kopyta koni, wielbłądów i wołów.

To tutaj, gdy słońce przybrało kolor pomarańczy i mandarynek, samotna postać przejechała przez pusty bazar, kierując się

ku *diwan-i chass*, sali audiencji prywatnych. Drzewa wzdłuż brzydkiej drogi rozcapierały gałęzie ku niebu. Mahabbat-chan, jadący na wierzchowcu, spod którego kopyt unosiły się chmury brązowego pyłu, dostrzegał czasem migające jezioro. W mroku jego wody wydawały się błękitne i głębokie, ale przy brzegach wyłoniły się już łaty gliny, która mąciła przejrzystość jeziora. Za parę lat pałace słońce wysuszy jezioro aż do dna. A Fatehpur Sikri, kaprys wielkiego cesarza, stanie na krawędzi zagłady.

Miasto niegdyś tętniło życiem, było cesarską stolicą. Jego liczne place rozbrzmiewały śmiechem haremowych dam, pomiędzy kolumnami wiły się smużki dymu z płonącego drewna sandałowego, na marmurowych posadzkach pyszniły się perskie dywany, w cienistych niszach w ścianach paliły się lampki olejne, a kochankowie spotykali się potajemnie w głębokim cieniu tamaryndowców. Trzydziestokilometrowa droga łącząca Fatehpur Sikri z Agrą stanowiła jeden długi bazar z serajami dla zmęczonych podróżnych, sklepami i domami. To tutaj cesarz Dżahangir i Mahabbat spędzali dzieciństwo, dorastając w cesarskiej *zenanie* pod czujnym okiem wielu opiekunek. Tu razem wyprawiali się na polowania, bawili się, siadywali nad jedną książką u tego samego mułły. Ich przyjaźń okrzepła i umocniła się po wielu dziecinnych bójkach i przeprosinach, psotach i szaleństwach. Później Mahabbat, Szarif i Koka nakłonili Dżahangira, by się zbuntował przeciwko cesarzowi Akbarowi. Twierdzili, że jedynym sposobem na przejęcie władzy jest zdobycie skarbcza w Agrze. Dżahangir posłuchał ich jak zwykle, rozpaczliwie pragnąc tronu, który i tak przypadłby mu w udziale po śmierci Akbara. Przyjaciele byli przy nim w trudnych czasach, gdyż wiedzieli, że teraz nie ma już odwrotu. Jeden fałszywy krok i cesarz Akbar kazałby ozdobić mury fortu w Agrze ich nabitymi na piki głowami.

Wkrótce pojawiły się piaskowcowe minarety *diwan-i chass* i Mahabbat skierował konia na dziedziniec. Rozejrzał się dookoła. Fatehpur Sikri stało się wymarłym miastem; niektórzy twierdzili nawet, że zamieszkują je duchy, krążą po dziedzińcach i pałacach, nucąc strzępy piosenek, o których już nikt

nie pamięta. Ale Mahabbat nie przybył tu na spotkanie z duchami. Serce biło mu mocno, z nadzieją, jakby czekała go romantyczna schadzka z żoną innego wielmoży, miłością tym słodsza, że zakazaną. Zeskoczył z konia i rzucił wodze na ziemię.

Przebiegł przez dziedziniec, wszedł po schodach. Przystanął na chwilę, by przyzwyczaić wzrok do chłodnego mroku. W narożnej niszy mrugała lampka. Mahabbat podniósł wzrok ku misternie rzeźbionej marmurowej kolumnie na środku pomieszczenia; znajdował się na niej balkon, na którym Akbar zasiadał podczas audiencji dla wybranych wielmożów. Nawet w tym stanie upadku *diwan-i chass* nosiła piętno olśniewającej wizji Akbara.

- Witam cię, mirzo...

Ciche słowa dobiegły z głębi komnaty, odbiły się echem od ścian. Mahabbat odwrócił się w stronę, skąd rozległ się głos. Kobieta była ubrana na biało. Biały muślinowy welon zakrywał jej twarz, biała *ghagara* muskała zakurzoną podłogę, srebrne bransolety ześliznęły się z brzękiem. W mroku wyglądała jak duch. Bezszelstnie przekroczyła próg i weszła do komnaty. Mahabbat podniósł prawą rękę do czoła i skłonił się w *koniszu*.

- Najjaśniejsza pani...

- Dziękuję, że zechciałeś przyjechać - powiedziała cesarzowa Dżagat Gosini.

- To ja dziękuję, najjaśniejsza pani. Dobrze pamiętam, że prosiłem o to spotkanie.

- Tak jak ja kiedyś, wiele lat temu.

- Tak. - Mahabbat usiłował dostrzec wyraz jej twarzy, ale welon był zbyt gęsty. - Dlaczego Fatehpur Sikri? Czy nie byłoby łatwiej spotkać się w Agrze w którymś z cesarskich ogrodów?

Poruszyła się, a jej ukryte pod welonem dłonie zatrzepotały.

- W Agrze nie ma już bezpiecznych miejsc. Wszędzie są szpiedzy Mihrunnisy. Wydaje mi się, że donoszą o wszystkich moich poczynaniach. Wybrałam Fatehpur Sikri, bo jest tak daleko. Poprosiłam cesarza, by pozwolił mi odwiedzić grób szajcha.

Dżagat Gosini usiadła pod główną kolumną pośrodku sali. Mahabbat przyglądał się jej przez chwilę, po czym zajął miejsce naprzeciwko, pod ścianą. Cesarzowa jest osobą prawdziwie królewskiej krwi, pomyślał. Tylko władczyni potrafi usiąść w pyle i kurzu, nie martwiąc się, że pobrudzi szatę.

Z zewnątrz dobiegło parsknięcie konia; Mahabbat drgnął, nadstawił ucha. Podkraść się na palcach do drzwi i wyjrzał. Nikogo. Dziedziniec pławił się w płynnym błękitcie zmroku, w którym trudno było cokolwiek dostrzec, ale na pewno nikogo na nim nie było.

- Trzeba coś postanowić, mirzo.
- Czy ktoś cię śledził, najjaśniejsza pani? - spytał cicho.
- Nie.
- A twoje służące? Gdzie są?
- Przy grobie szajcha, modlą się. Usiądź, mirzo.

Mahabbat wrócił do sali i przykucnął pod ścianą, z rękami niedbale złożonymi na kolanach. Nieustannie nasłuchiwał, czekając, czy z zewnątrz dobiegną go znowu jakieś hałasy. Tak, przyjechał tu na cudzym koniu, ale zostawił go na dziedzińcu, a jego wierzchowiec był zbyt zadbany i odżywiony, by wyglądać na mieszkańca tego miasta duchów. Gdyby ktoś tędy przechodził...

- Nie trap się. Kto mógłby tu trafić? Moim służącym można zaufać. Nikt inny nie ma powodu, by dziś przyjechać do Fatehpur Sikri.

Wreszcie zwrócił na nią oczy.

- Czym tak się wyróżnia nowa cesarzowa? - spytał. - Urodą?

Powiedział to, uśmiechając się w duchu. Widział przecież jej portret, wiedział, że Mihrunnisa jest piękna - a raczej, że malarz zdołał uchwycić coś, co spodobało się Dżahangirowi. Ale portrecik od dawna spoczywał już na swoim miejscu w pałacowej pracowni. Mahabbat pamiętał tylko, że Mihrunnisa wydała mu się wyjątkowa.

- Jest uważana za piękną. Ale jest stara i z czasem utraci ten swój czar.

Mahabbat skinął głową. Kobieta nie może chwalić kobiety,

zwłaszcza kiedy obie konkurują o serce cesarza. Pochylił głowę w geście zgody i przeprosin.

- Ona zasiada na *dżharoce*, najjaśniejsza pani.

Znowu powiedział coś nie tak. Poczul, że cesarzowa zesztyniała.

- Pierwszego dnia odrzuciła twojego protegowanego - odparła zimno.

Mahabbat machnął ręką.

- Nieważne. Ten człowiek jest moim kuzynem, a przynajmniej tak utrzymywał. Ostatnio zgłasza się do mnie wielu kuzynów, dalekich i bardzo dalekich. Pozwalam na to - to jeden z wątpliwych przywilejów mojej pozycji. Nie chodzi o to, że zlekceważyła mego kuzyna, lecz że sprzeciwiła się mnie, najjaśniejsza pani. Cesarz nigdy przedtem mi nie odmówił. A teraz to zrobił z jej poduszczania.

- Ostrzegałam cię przed tym wiele lat temu, kiedy mówiłam, że będzie dla nas śmiertelnym zagrożeniem. Nie tylko dla mojej pozycji Padiszah Begam, lecz także dla ciebie.

- Nadal tego nie pojmuję. Jej mąż zabił Kutubuddina Kokę, którego cesarz kochał jak brata. Taką więc niełatwo zerwać. A jednak cesarz jakby zapomniał o śmierci Koki.

- Usiłowaliśmy mu przypomnieć, ty i ja - odparła cesarzowa. - Ale nie osiągnęliśmy niczego, prawda? A to dlatego, że nie stanąłeś na wysokości zadania.

Zignorował tę zaczepkę.

- Kto mógł się tego spodziewać? W jej rodzinie było tak wiele nieodpowiednich osób; popadli w niełaskę, nikt nie mógł przypuszczać, że najjaśniejszy pan im przebaczy. W tych okolicznościach po prostu nie mogło dojść do małżeństw. Przeszkody były zbyt potężne, by miłość mogła zwyciężyć. Jeśli to miłość.

Cesarzowa milczała, wpatrzona w swoje dłonie, owijając welon wokół nagle zesztyniałych palców. Znowu sprawił jej przykrość. Ale dlaczego? To pytanie nie powinno jej zranić. Oboje wiedzieli, że miłość to tylko słowo, które pojawia się w poezji, w romantycznych historiach, i które nie ma wiele wspólnego z cesarskimi związkami.

- Może sam nigdy nie kochałeś?

Uśmiechnął się.

- Kocham moje żony, najjaśniejsza pani. A także niewolnice i inne kobiety.

Pochyliła się ku niemu.

- A one? Czy one także cię kochają, mirzo?

- Oczywiście - odparł bez wahania. - Nie mają nikogo innego.

Cesarzowa się roześmiała. Ten śmiech przejął Mahabbata dreszczem. Brzmiał nieprzyjemnie, przypominał mu, że tak jak on spotykał się z żonami innych wielmożów, jego kobiety także mogły się spotykać - może nawet w tej chwili - z innymi mężczyznami. Sama myśl o tym doprowadziła go do szału.

I dlatego pozwolił sobie powiedzieć:

- Słyszałem, że cesarska pieczęć trafiła w ręce cesarzowej Nurdżahan.

Dżagat Gosini przestała się śmiać. Zapanowało wrogie milczenie.

- Doskonale się spisałeś - odezwała się w końcu cesarzowa. - Wydaje się, że oboje mamy powód nie sprzyjać Mihrunnisie. Należy ją powstrzymać.

- Wiem. I to teraz albo bardzo szybko. Co było, to było, i nie liczy się, jeśli nie możemy tego użyć przeciwko niej. Usiłowaliśmy powstrzymać cesarza przed poślubieniem jej, ale nam się nie udało.

- Sam nie dokładałeś starań - rzekła cesarzowa kąśliwie.

Nie odpowiedział. Starął się, choć nie wierzył w słuszność jej obaw, dlatego nie dał z siebie wszystkiego. Nie obchodziło go, czy Mihrunnisa znajdzie się w haremie. Ale *dżharoka*... o, to było coś zupełnie innego.

„Nie mam wpływu na sprawy haremu, najjaśniejsza pani”, powiedział kiedyś.

„Ja się ty zajmę - odparła. - Twoje miejsce jest na dworze”.

Ale nie zajęła się niczym. Słyszała o polowaniu, o jej sukcesie, a jednak tak szybko po tym wydarzeniu, ledwie parę tygodni później, straciła cesarską pieczęć. Kiedyś ostrzegła go przed Mihrunnisa i teraz wreszcie jej uwierzył. Ale straciła

wszystkie atuty - nawet Hoszijara. Więc dlaczego poświęcał jej czas, czemu się narażał, czemu się tak zbliżył do kobiety z *zenanyl* Wystarczyłoby jedno słowo, wyszeptane do ucha cesarza Dżahangira, i długa przyjaźń nie uchroniłaby go przed utratą głowy.

Jednak Dżagat Gosini miała coś, czego Mihrunnisa mieć nie mogła.

- Dworzanie często mówią o przyszłości księcia Churrama - powiedział.

Uśmiechnęła się. Kiedy się odezwała, w jej głosie brzmiała miłość.

- To dobre dziecko. A kiedyś, gdy zostanie cesarzem, będzie potrzebować dobrego doradcy.

- I jest twoim synem.

- Tak, po wielu latach mój syn wreszcie do mnie wrócił. Nieważne, co zrobi Mihrunnisa; kiedy Churram zasiądzie na tronie, ona utraci władzę.

- Najjaśniejsza pani, jesteś matką następcy tronu. Nikt ci tego nie odbierze. Ona nigdy nie zdoła ci zagrozić.

Koń przestąpił z nogi na nogę, podkute kopyta zgrzytnęły o kamienie dziedzińca. Mahabbat skoczył do drzwi sali, z niepokojem zdając sobie sprawę, że na dworze zrobiło się jeszcze ciemniej, a jego turban rysuje się na tle słabo oświetlonego wnętrza *diwan-i chass*. Nie widział swego konia. I znowu nie usłyszał niczych kroków. A potem na dziedzińcu poruszył się jakiś cień.

- Kto tam? - krzyknął. - Kto idzie?

Ale ów człowiek, jeśli był to człowiek, zniknął już w cieniu krużganków. Koń Mahabbata zarżał i potrząsnął łbem.

- Co się stało?

Dżagat Gosini stanęła za jego plecami. Odwrócił się i po raz pierwszy spojrzął na jej twarz, choć nadal kryła się za zasłoną. Cesarzowa była przerażona, zdradzały ją oczy.

- Musimy natychmiast stąd odejść - oznajmił i pobiegł do lampki oliwnej, by ją zdmuchnąć. Zaczekał, aż wzrok przyzwyczai mu się do nagłych ciemności, po czym wyciągnął rękę do Dżagat Gosini. Wyszli z *diwan-i chass*; on szedł

pierwszy, osłaniając ją własnym ciałem. Była ubrana na biało, jej strój niemal świecił w ciemnościach.

Razem przebiegli dziedziniec, potykając się o korzenie drzew i zdziczałe pnącza. Dotarli do Dżami Masdzid, głównego meczetu Fatehpur Sikri.

Grób szajcha znajdował się wewnątrz meczetu. Oświetlały go liczne lampki, palące się na otwartej werandzie przed nim i w samym grobowcu. Ich płomyki migotały za ekranami z ażurowego marmuru.

- Muszę odejść, najjaśniejsza pani. - Mahabbat skłonił się i zniknął w mroku, zostawiwszy ją w miejscu osłoniętym przed ludzkim wzrokiem.

Dżagat Gosini oparła się o ścianę głównej bramy, czekając, aż uspokoi się jej przyspieszony oddech. Mahabbat-chan wykazał się niezwykłą odwagą, odprowadzając ją do grobowca. Zadziałał bez wahania. Wytarła twarz ręką welonu. Nie była tak głupia, żeby przypisywać to trosce o jej bezpieczeństwo. Myślał o sobie.

Z grobowca dochodziły głosy. Noc była jeszcze ciepła, ale przepocone na plecach ubranie zaczęło ją ziębić. Zadygotała. Co Mahabbat zobaczył na zewnątrz? Człowieka? Ducha? Przebiegła przez dziedziniec na frontowe schodki grobowca szajcha Czistiego i usiadła przy lampce oliwnej za marmurowym ekranem. Światło rzucało na nią półkolisty cień. Z odległości słyszała głosy służących i Szajsty-chana, głośniejszy i pikliwszy od pozostałych.

Nadeszła pora powrotu do Agry, a raczej do seraju oddalonego o dwa kilometry stąd - w nocy niełatwo przebyć trzydzieści kilometrów. A jednak siedziała w bezruchu, rozmyślając. Gniew już dawno ją opuścił - a raczej: już dawno kazała mu odejść. Czasami powracał, tak jak teraz, kiedy najmniej się go spodziewała. Dzień, kiedy zjawił się u niej Hoszizar-chan, już na zawsze utrwalił się w jej pamięci. Kiedy wyjaśnił powód swojej wizyty, była tak wstrząśnięta, że nie mogła myśleć.

- Kto... kto o to prosi?

- Najjaśniejszy pan - odparł Hoszizar.

Posiadała tę pieczęć od sześciu lat, od 1605 roku, kiedy wydarła ją Rakajji po śmierci Akbara i wstąpieniu na tron Dżahangira. A teraz wyjęła ją z tekowej skrzyni w swym apartamencie. Oddała ją eunuchowi, ale on nadal czekał. Więc po kolei oddawała mu drewniane pióro *kalam*, którym podpisywała *farmany*, nefrytowy kałamarz, kawałek atramentu w złotym puzderku, a także złoty nożyk o rękojeści wysadzonej rubinami i perłami, którym rozdrabniała atrament. Zatrzymała ciężką srebrną czarę, w której robiła atrament. Hoszijar oczywiście wiedział o istnieniu czary, ale jej nie zażądał - Mihrunnisa także. Pozwolili jej zachować przynajmniej tyle godności.

Hoszijar rzucił na odchodnym:

- Najjaśniejsza pani prosiła o pozwolenie na wizytę brata. Za dwa tygodnie przejdzie on przez dziedziniec przed twoimi apartamentami, najjaśniejsza pani, w trzecim *pahrze* dnia.

Dzięki tej informacji cesarzowa Dżagat Gosini zatrzymała Hoszijara i Abula. Była ciekawa brata Mihrunnisy. Stojąc tak blisko niego, usiłowała dostrzec pod szalem rysy twarzy gościa, oceniła jego wzrost - był zaledwie o łokieć wyższy od niej - oceniła jedwab jego spodni i haft na *kabie*. Wszystko to nie powiedziało jej nic, a jednocześnie jednak coś zdradziło. Abul był zdenerwowany, poruszał głową, usiłując ją dostrzec; był człowiekiem wybuchowym, niecierpliwym.

Ciekawe, jak bliska była mu siostra. Jego wizyta nie świadczyła o niczym; każdy odwiedziłby siostrę, która zdobyła serce cesarza. Dżagat Gosini pamiętała, że córka Abula była zaręczona z Churramem. Tego faktu nigdy nie zdołałaby zapomnieć; było to coś, co powinna rozegrać bardzo ostrożnie. Gdyby doszło do tego małżeństwa, Abul zostałby teściem jej syna, a jeśli jego córka ma tyle samo wdzięku co jej ciotka, Dżagat Gosini znowu straci Churrama.

- Najjaśniejsza pani... - Szajsta-chan stanął u jej boku.

Podniosła na niego wzrok.

- Pora wracać. Wezwij konie.

Służące niosły latarnie, by mieć czym oświetlić drogę. Przed orszakami biegli strażnicy; spod końskich kopyt unosił się pył.

Dżagat Gosini, jadąca z welonem oblepiającym twarz i mocno ściągniętymi cuglami, przez cały czas się zastanawiała.

Churram nigdy nie poślubi bratanicy Mihrunnisi - nigdy, jeśli ona ma tu coś do powiedzenia. Nigdy nie wejdzie do jej rodziny. A bez Churrama - i syna, w którym można by pokładać nadzieję - Mihrunnisa była nikim.

Pod koniec lutego, gdy księżyc znalazł się w pełni, w cesarskich pałacach Agry rozpoczął się festiwal Holi. Dni były coraz gorętsze, noce jeszcze przyjemnie chłodne. Zakończono zimowe żniwa, zboże wymłócono i sprzedano, więc nadszedł czas, by świętować.

Holi było świętem hinduistycznym, sięgającym korzeniami legend o królach, demonach i bogach. Było radosne, niezależnie od tego, czy brali w nim udział hinduiści, muzułmanie, czy też wyznawcy innych religii. Nie zawsze w cesarstwie panował taki liberalizm. Kiedy w roku 1526 - osiemdziesiąt pięć lat temu - cesarz Babur podbił Indie, nikomu nie przysłoby nawet do głowy obchodzić hinduistyczne święto. Cesarz ustanowił *dżizję* - podatek płacony od głowy przez wyznawców hinduizmu. Zniósł go dopiero Akbar, ustanawiając równy status hinduistów i muzułmanów na dworze. Była to decyzja wybitnie polityczna, gdyż hinduizm wyznawała większość mieszkańców Indii, wszyscy radżpucy wojownicy na dworze i wiele żon Akbara.

Po zniesieniu tej przeszkody każdy mógł brać udział w święcie. Pozwolono jezuitom na odprawianie mszy i propagowanie rzymskiego katolicyzmu wśród ludu Hindustanu. Nawet cesarz znosił próby nawrócenia go na ich religię. Oczywiście do tego nie mogłoby nigdy dojść, gdyż żaden cesarz mogolskich Indii nie mógł wyznawać religii innej niż islam, ale misjonarze nie dawali za wygraną.

Holi trwało pięć dni. Pierwszego wieczoru haremowe damy wyszły na dziedzińce pałaców i miotłami o złotych kijach zamiotły suche liście i gałązki, ułożone tam przez *mali*. Tak zachowywały się chłopki, sprzątające otoczenie swego domu z zimowych śmieci. Zmiały gałązki i liście na sterty, które

podpalały. W całej Agrze chłodne nocne niebo zajęło się łuną od płonących wszędzie ognisk. Symbolizowały one koniec długiej zimy, powitanie wiosny, niosącej nowe życie. Bazary były czynne do późna, sprzedawano srebrne orzechowe *barfi*, złote krążki *džalebi*, barwione szafranem *kheery* i inne słodkie i przysmaki.

W cesarskiej kuchni mir bakawal czuwał nad wielkimi kadziami *bhangu* - konopi - marynujących się w wodzie. Naza-jutrz kucharze utną je na białą kleistą pastę, którą ugotują z mlekiem, cukrem, migdałami i rodzynkami. Nie będzie w niej czuć smaku konopi, jedynie słodkie, pachnące migdałami mleko, którego jedna szklanka wystarczy, by przez osiem godzin widzieć świat za przyjemną, tęczową mgiełką.

Pałace ożywały po pierwszym deszczu w roku. Dzieci biegały po ulicach, rozchlapując wodę, krzycząc z radości, obrzucając się *gulagiem* - kolorowym proszkiem. W cesarskiej *zenanie* ranek rozpoczynał się od tradycyjnej szklanki *bhangu*, po czym damy wychodziły do ogrodów, by się bawić. Malowały sobie nawzajem twarze czerwienią granatu, słonecznikową żółcienią, błękitem indy go, zielenią ryżowych pól. Małe sikawki napełniały barwioną wodą. Chodziło o to, by zakraść się do niepodejrzewającej niczego ofiary i oblać ją zniecka. Na twarzach, rękach, nogach, ubraniach zostawały tęczne plamy, utrzymujące się jeszcze przez kilka dni, odporne na szorowanie i mycie - dumne świadectwo wzięcia udziału w Holi. Po południu, gdy ustawał deszcz, kadzie z *bhangu* były już na ogół puste, a damy snuły się po haremie oszołomione, beztroskie i szczęśliwe.

Kiedy słońce stało jeszcze wysoko nad Agrą książę Churram wyruszył na poszukiwanie Mihrunnisy. Pierwsza euforia poranka już opadła; kobiety leżały w cieniu drzew mango i tamaryndowców, rozmawiały przyciszonymi głosami, słuchały muzyki i jadły południowy posiłek. Churram szedł z wolna dziedzińcami z garścią fioletowego *gulagu*, wodząc wzrokiem wśród zebranych. Zaczepiano go niemal przy każdym kroku, oblewano kolorową wodą od tyłu, z werand, balkonów, a on wesoło odpłacał pięknym za nadobne. Pobiegł za niewolnicą,

przyparł ją do kolumny, chichoczącą rozkosznie, i natarł jej ciało *gulagiem*. Starszym kobietom okazywał więcej szacunku. Pochylał się, by mogły pomalować mu twarz i kosztował *bhangu* z podawanych mu szklanek.

Wreszcie po godzinie krażenia wśród pałaców *zenany* ujrzał Mihrunnisę, siedzącą wraz z jego ojcem w cieniu drzewa mango o smukłych liściach. Cesarz Dżahangir opierał się o pień, Mihrunnisa pochylała się ku niemu z łokciem wspartym na jego kolanach. Nie rozmawiali. Churram przyglądał im się przez chwilę. Ojciec dotknął pleców Mihrunnisy, która odwróciła się do niego z uśmiechem. Byli sami, co zdziwiło księcia. Jeszcze nigdy nie widział swojego ojca w towarzystwie tylko jednej małżonki - zawsze w otoczeniu licznych żon, eunuchów i niewolnic.

Księżę podszedł do cesarskiej pary i złożył trzykrotny *taslim* przed cesarzem. Potem pocałował go w policzek, a Dżahangir pogłaskał go po ramieniu.

- *As-salam alajkum* - powiedział Churram.
- Witaj, synu - odpowiedział Dżahangir. - Usiądź z nami.
- Nie chciałbym przeszkadzać, *bapo*.

Cesarz zerknął na Mihrunnisę ledwie dostrzegalnie, ale Churram to zauważył. Zanim jednak zdążył odwrócić się do Mihrunnisy, ojciec powiedział:

- Nie widzieliśmy cię od wielu dni, Churramie.
- Wesołego Holi, najjaśniejszy panie. - Księżę naniósł z szacunkiem nieco *gulagu* na twarz Dżahangira. Odwrócił się do Mihrunnisy, która uniosła twarz ku niemu. Uśmiechała się, błękitne oczy miała szkliste od *bhangu*. Oboje byli dość pijani, jak zauważył. Jej pokryte farbą włosy straciły blask, na skórze próżno by szukać miejsca wolnego od barwników, pył wbił się nawet pod paznokcie. Jej *ghagara* nabrała jakiegoś trudnego do określenia koloru, welon mienił się dziwną zielenią, która powstała ze zmieszanych ze sobą farb. Dżahangir wyglądał podobnie; jedwabna kurta nie była już biała, a skóra szyi płonęła alarmująco nienaturalną czerwienią.

- Wesołego Holi, wasza wysokość - odparła Mihrunnisa. Zanurzyła palec w proszku w dłoni Churrama i namalowała

fioletową kreskę na jego czole i nosie. - Teraz wyglądasz zdecydowanie lepiej, Churramie.

Wzruszył ramionami.

- Mogę się tylko zgodzić z najjaśniejszą panią. Być może tak właśnie jest.

Roześmiała się cicho, przeciągle.

- Kiedy nabrałeś takiej pokory? Zawsze byłeś władczy i arogancki. A znam cię dobrze, pamiętaj.

Skinął głową, usiadł obok nich, wysypał *gulag* z dłoni. Przez jakiś czas milczeli. Popołudnie wlokło się hipnotycznie, każda minuta mijała powoli, choć im nie ciążyła. Churram wyczuł, że Mihrunnisa odwraca głowę, przygląda mu się przez parę minut, znowu się odwraca. Obok przeleciała pszczoła; machnęła ręką i przyjrzała się powolnemu łukowi, jaki zakreśliła w powietrzu. Wypił więcej *bhangu*, niż sądził.

- Opowiedz nam, jak ci się wiedzie - powiedział Dżahangir.

- Jak zwykle, najjaśniejszy panie. Przepraszam, że nie złożyłem wam wizyty wcześniej, ale sądziłem, że pragniecie spokoju.

- A jak twoje dziecko? Ufam, że dobrze.

- Ardżumand jest cudowna, najjaśniejszy panie. Przyprawdę ją do ciebie.

I tak cesarz rozmawiał z synem; Churram ze wszystkich sił starał się koncentrować na swoich słowach, ale w głowie czuł zamęt. Mihrunnisa włożyła dłoń w rękę Dżahangira, który ucałował z roztargnieniem jej palce, a potem przytulił je do piersi. Ta jawna czułość, tak pozbawiona wahań, wprawiła go w zakłopotanie. Same pieścizny go nie krępowały, wychował się w *zenanie*, a i teraz były mu dobrze znane. Widywał, jak ojciec udaje się do sypialni, obejmując biodra niewolnicy i tego gestu nie sposób było wziąć za coś innego niż wyraz pożądania. Ale to... ta bliskość nie ciał, lecz dusz, świadcząca o zjednoczeniu, którego nie znał, wytrąciła go z równowagi. Wiedział, że tej dziwnej bliskości nie było między cesarzem i jego matką. Poczuli się zazdrosny o Mihrunnisę - nie ze względu na matkę, lecz na siebie. Chciał także poczuć to poro-

zumienie, jakie istniało między jego ojcem i Mihrunnisa. A ponieważ nie wiedział, co to takiego ani jak to zdobyć, zaniepokoił się. Rozmawiając z ojcem, nieustannie się poruszał, strzepywał z dywanu źdźbła trawy...

Żałował, że nie zastał Mihrunnisy samej. Chciał z nią porozmawiać, powiedzieć, że w każdej sprawie może liczyć na jego poparcie - no, w granicach rozsądku.

- Po co przyszedłeś? - spytała nagle Mihrunnisa. Wpadła Dżahangirowi w słowo, a on, co jeszcze bardziej zdumiewające, pozwolił jej na to. I także spojrzął na niego wyczekująco.

- Najjaśniejsza pani, przyszedłem cię powitać w haremie mojego ojca.

Powiedział to bez wahania. Był to wyraz uprzejmości, ale w tym wypadku okazał się niewystarczający.

- Tylko tyle? - spytała cicho, opierając się o cesarza. Churram nie wiedział, jak na to zareagować. Dawała mu do zrozumienia, że cesarz i ona stanowią jedno, że jeśli mają coś do powiedzenia, powinien to zrobić w obecności ojca. Ale jak miał zacząć? Że myśli o wstąpieniu na tron, zanim ojciec w ogóle pomyśli o zrezygnowaniu z niego? Że nie planuje przewrotu, lecz jedynie chce sobie zabezpieczyć przyszłość? Jak można to wyrazić tak, by nie zabrzmiało to dwuznacznie?

- Najjaśniejsza pani - zaczął, szukając odpowiednich słów, które sprawiłyby Mihrunnise przyjemność i nie uraziły jej uczuć. - Gościsz w haremie najjaśniejszego pana od niedawna. Chciałem cię tu powitać. Jeśli zapragniesz ode mnie czeokolwiek, będę twym uniżonym sługą.

Dżahangir parsknął śmiechem.

- Dobrze powiedziane, synu. Jesteś dumny z twoich komplementów.

- To nie komplement, najjaśniejszy panie - rzucił pospiesznie Churram. - To słowo budzi nieprzyjemne skojarzenia. Nie, ja jedynie mówię o moim uczuciu do nowej matki.

Dżahangir otworzył usta, ale Mihrunnisa położyła mu rękę na ramieniu, uciszając go.

- On ma rację, najjaśniejszy panie - powiedziała. - Oto

syn, z którego w rzeczy samej możemy być dumni. Odejdź już, musimy odpocząć. Zapamiętam twoją uprzejmość. Ja ją zapamiętam, Churramie.

Książę podniósł się z trawy i złożył ukłon cesarskiej parze. Odchodząc, czuł na sobie ich wzrok, ale kiedy się odwrócił, Mihrunnisa siedziała z głową opartą na piersi Dżahangira i zamkniętymi oczami. Churram wymamrotał pod nosem przekleństwo pod adresem wypitego *bhangu*, przez który wyrażał się tak kwiecicie i niekonkretnie. Ale jak miał prosić i nie wydać się chciwym? I właściwie o co prosić?

Mihrunnisa i Dżahangir przez godzinę spali na siedząco pod drzewem mango. Mihrunnisa obudziła się, gdy wyczuła, że cesarz także nie śpi, choć się nie poruszył; bicie jego serca brzmiało mniej miarowo, nie tak spokojnie jak we śnie.

- Churram uczy się uprzejmości - odezwał się. - Ale dziś przyszedł się dowiedzieć, czy spełnisz jego marzenia.

- Czy mam to zrobić, najjaśniejszy panie?

- Jeszcze nie umarłem, Mihrunniso.

Podniosła głowę, zasłoniła mu usta dłonią.

- Nawet tak nie mów. Co by się ze mną stało, gdyby cię zabrakło? Co bym bez ciebie zrobiła?

Uśmiechnął się do niej.

- Zostało mi jeszcze wiele lat życia, ale pamiętam, jak długo pragnąłem zasiąść na tronie. Uważałem, że mój ojciec jest samolubny i niesprawiedliwy, nie ustępując i nie przekazując mi władzy. Co więcej, bałem się, że Murad i Danijal zechcą się ubiegać o tron, choć to ja byłem pierworodnym synem.

- Najprawdopodobniej to Churram będzie twoim następcą. Tamci trzej... w niczym nie mogą się z nim równać.

- To prawda. W nim mam następcę - przyznał Dżahangir twardo. Nadal nie mógł przeboleć sprawy Chusru, ukochanego syna, który zwrócił się przeciwko niemu. Nie mógł mu przebaczyć. Chusru za bardzo przypominał mu samego siebie z czasów rebelii przeciwko Akbarowi i to sprawiało mu ból, ponieważ nie chciał się czuć winny. Parwez był pijakiem i sła-beuszem, niegodnym cesarskich insygniów. On także pod wie-

loma względami przypominał Dżahangira - na przykład pod względem pijaństwa. Dżahangir przyjmował opium od wczesnej młodości i wiele już godzin utopił w winie. Mihrunnisa powstrzymywała go, gdy tylko mogła, na ile jej pozwalała, ale alkohol nadal czasami go pociągał ponad wszelką miarę. I wówczas Dżahangir aż nadto przypominał Parweza.

- Czy zatem mam porozmawiać z księciem Churramem, najjaśniejszy panie?

Dżahangir pocałował ją w głowę. Barwiona woda wyschła już w upale, zostawiła na jej włosach drobne płatki brązu i czerwieni. Zrozumiał, że dopóki żyje, Mihrunnisa dostanie wszystko, czego pragnie - musi tylko poprosić. Ale kiedy jego zabraknie, sytuacja się zmieni. Mihrunnisa zostanie cesarzową wdową, pozbawioną syna, od którego mogłaby żądać pomocy, pozbawioną prawa zajmowania pierwszego miejsca za zasłoną *zenany* na dworze, pozbawioną głosu. Ale dzięki Churramowi... Jeśli Churram otrzyma wsparcie ojca dzięki Mihrunnisie, zyska ona w jego oczach znaczenie. Księżę uzna, że Mihrunnisa umocniła uczucia ojca. A Dżahangir pragnął, by po nim na tronie zasiadł Churram - tylko on spośród jego synów potrafiłby otoczyć opieką cesarstwo i jego lud.

- Musisz się wykapać albo te barwniki nie zejną ci ze skóry przez wiele dni - powiedział. Strzelił palcami; Hoszijar-chan nadbiegł zza jednej z kolumn dalekiej werandy. - Przygotuj nam kąpiel, Hoszijarze.

- Tak jest, najjaśniejszy panie.

Poszli za nim, choć wolniej niż on. Rozdzielili się w drzwiach swoich apartamentów.

- Churram byłby najlepszym następcą tronu, Mihrunniso - powiedział Dżahangir. - Ale nadal jest surowy, to jeszcze dziecko. Trzeba go oszlifować, potrzebuje dobrego doradcy. Nie wyobrażam sobie w tej roli nikogo lepszego od ciebie, moja droga.

- Dziękuję, najjaśniejszy panie - odparła z uśmiechem. Poszła do swych komnat, nadal nieco chwiejnie, bo czuła wpływ *bhangu*. Za kilka godzin znowu się spotkają, wykapani i odświeżeni, ze skórą jeszcze zabarwioną *gulagiem*. Wybrała

ghagare i *czoli* w kolorze tak współgrającym z barwą jej skóry, że wydawało się, iż jest naga. Nie piła już *bhangu*. Zastanawiała się nad Churramem.

Znała swoje ograniczenia - a raczej szybko jej o nich przypomniano. Władza: publiczne zabieranie głosu na dworze, zmiana obyczajów w społeczeństwie wymagającym od kobiet posłuszeństwa, rządzenie *zenaną* i jej mieszkankami - wszystko to w rzeczy samej stanowiło delikatną kwestię. Mogła to robić, dopóki pozwalał jej na to Dżahangir, ale gdyby u jej boku znalazł się Churram, mogłaby więcej. Dworzanie i wielmoże już teraz zastanawiali się, kto będzie następcą - i podobnie jak Churram mieli w tym swój interes. Tam gdzie w grę wchodziła korona, zastanawiano się, czyją głowę następnie ozdobi, choćby obecny właściciel nosił ją dopiero kilka lat.

Niektórzy spośród dworzan spoglądali na Mihrunnisę z dezaprobatą, zwłaszcza radżpucy wojownicy, lojalni wobec domu Dżagat Gosini. Jednak wesprą oni Churrama, syna Dżagat Gosini, toteż była to naturalna kolej rzeczy. Co ważniejsze, gdyby Churram miał zostać cesarzem, byłoby głupotą nie wspierać go od samego początku.

Jeśli Churram stanie po stronie Mihrunnisy, a ona zacznie wspierać jego sprawę, wkrótce wielmoże będą musieli zabiegać o jej łaski. To naturalny sposób myślenia twardegołowego dyplomaty. I kolejny powód, by zostać doradczynią Churrama: Dżagat Gosini wpadnie w furję, a Mihrunnisa chciała ją wyprowadzić z równowagi, gdyż cesarzowa była bardziej niebezpieczna, kiedy zachowywała spokój.

Biedny Churram, pomyślała Mihrunnisa, słuchając orkiestry z nietkniętą szklanicą *bhangu* w zasięgu ręki. Nie miał pojęcia, jaki jest dla niej ważny. I nigdy się nie dowie. Niech myśli, że to on potrzebuje jej bardziej; zresztą w tej chwili, pozbawiony korony, dzierżąc zaledwie tytuł książęcy, naprawdę potrzebował jej bardziej niż ona jego. Jej plany wybiegały daleko w przyszłość.

Ale nie chciała przystępować do tego sama, polegając jedynie na księciu, w którego jeszcze nie wierzyła. Byli również inni, których mogła przywołać na pomoc. Nawet gdyby Chur-

ram mógł ją wprowadzić w błąd, tym dwóm, ojcu i bratu, zawsze mogła ufać. Byli tej samej krwi.

I tak kilka tygodni później, kiedy wiosna utraciła pierwszą świeżość i w powietrzu czuło się już nadchodzące lato, na zewnętrzny dziedzińcu domu Ghijas-bega nad brzegiem Dżamny zatrzymał się palankin.

Służba poderwała się na równe nogi, wszczęło się zamieszanie, mężczyźni odwracali oczy od córki pana domu, która tak nagle - w cesarskim turbanie, z nowym tytułem - stała się nieosiągalna. Najjaśniejsza pani przyjechała! Szybko, zaprowadzić konie do stajni, poczęstować strażników, pobiec po pana!

Mihrunnisa wbiegła do domu, osłonięta welonem, oczarowana atencją, z jaką ją przyjęli nawet starzy słudzy, którzy ganiłi ją i tulili, kiedy była jeszcze dziewczynką. To ona poprosiła o to spotkanie. Łatwiej było jej przybyć do domu ojca, niż sprowadzić Abula i *baq* do *zenany*. Ich spotkanie w rodzinnym domu nie mogło wywołać plotek, ale obecność Churrama stanowiła zupełnie inną sprawę. Abul już przybył, księcia jeszcze nie było. Czekali na niego w sali przyjęć, rozmawiając o rodzinie. Mihrunnisa dostrzegła Asmat, przebiegającą nerwowo koło otwartych drzwi. Matka nie była zadowolona - to potajemne spotkanie ją niepokoiło.

Wówczas zjawił się Churram. Początkowo był nieśmiały, przyjął hołd Ghijasa i Abula, pokłonił się przed żoną swego ojca. Wszyscy zaczęli czekać, aż Mihrunnisa przemówi. To ona musiała im wyjaśnić, dlaczego wezwała ich tutaj tak potajemnie. Ale kiedy się odezwała, zaczęła mówić o zwyczajnych sprawach.

- William Hawkins opuścił dwór i wyruszył do swego kraju - powiedziała. - Nasz klimat go męczył, było mu zbyt gorąco. Ci *firandzi* mają bardzo cienką skórę.

Zaczęli więc rozmawiać o Williamie Hawkinsie, kupcu podającym się za ambasadora Anglii. Pragnął on, by Dżahangir przystał na pewne przywileje handlowe dla Anglików. Trzej obecni dziś mężczyźni wiedzieli, że Mihrunnisa i cesarz zasta-

nawiali się nad tym przymierzem, lecz od niechcienia, tylko na tyle, by zatrzymać kupca w Indiach. Bawił ich, bawił wszystkich, ponieważ posługiwał się płynnie dworskim językiem tureckim, ale maniery miał grubiańskie. Przeklinał szpetnie, nie składał przepisowej liczby *taslimów*, a jego głos czasami brzmiał nieprzyjemnie, lecz na ogół Hawkins był zabawny. Kiedy zapragnął wrócić, Dżahangir zaproponował mu pensję i dom w Agrze dopóty, dopóki zechce pozostać. Podarował mu nawet *mansab* czterystu koni i tytuł angielskiego chana, ale Hawkins uparł się, ponieważ stracił nadzieję, że Dżahangir podpisze układ. Dlatego pozwolono mu odjechać, żegnając go uprzejmie wieloma darami.

- A jezuici, najjaśniejsza pani? - spytał Churram.

- O co chodzi?

Jezuici z Portugalii zjawili się w Indiach wiele lat temu, jeszcze przed pierwszym mogolskim podbojem. Przybyli tu nawracać - a przynajmniej tak twierdzili. W Agrze pojawiły się ich świątynie, cesarz dał im pieniądze i ziemie na budowę kościołów. Księża nawrócili trzech bratanków Dżahangira, dzięki czemu zyskali dostęp do rodziny cesarskiej, lecz na tym ich sukcesy się skończyły. Jako katolicy bratankowie nie śmieli już marzyć o koronie. Pomimo wszystkich zewnętrznych oznak bogobojności jezuici opanowali trasy na Morzu Arabskim i zapewniali ochronę statkom pielgrzymów, płynących do Mekki i Medyny, za co żądali opłat i podatków.

- Koszty handlu stały się zbyt wysokie - rzekł Churram z wahaniem. - Ale czy mamy innych kandydatów? Dlaczego samo cesarstwo nie może zapewnić ochrony własnym statkom? Dlaczego musimy polegać na innych?

- Może na Anglikach? - odezwał się Abul. Dobrze poznał Williama Hawkinsa podczas jego pobytu w Agrze. Hawkins zawsze sławił angielskie panowanie na morzu. Opowiadał niestworzone rzeczy o zwycięstwie nad hiszpańską armadą przed dwudziestu pięciu laty - ale dwadzieścia pięć lat to bardzo dużo. Czy teraz także są do tego zdolni, i to na obcych wodach, gdzie wieją inne wiatry, a lądy mają inne zarysy?

Ale wszyscy znali historię innego Anglika, który ledwie za-

wadził o ziemi cesarstwa, niejakiego Henry'ego Middletona. On także wracał do Anglii i zabrał ze sobą Hawkinsa. Kiedy po raz pierwszy zjawił się w Indiach, pozwolono mu wyładować towary w Suracie, a potem bezceremonialnie spławiono je rzeką Tapti do Morza Arabskiego. Rozwścieczony Middleton napadł - nie było na to innego słowa - na indyjskie statki, które spotkał w Zatoce Adeńskiej w drodze do Anglii i wymusił na nich potężny okup lub transakcję zawartą na bardzo niekorzystnych warunkach. Statki wróciły niechlubnie do Suratu, pozbawione ładunku, co na nowo wzbudziło niechęć do Anglików. Wśród nich znajdował się *Rahimi*, który oprócz pełnego ładunku mógł przewieźć tysiąc pięćset osób. W cesarskich pałacach cios zadany *Rahimi* został odebrany jako największy afront wobec cesarstwa - właścicielką tego wspańskiego statku była Rakajja, którą ta strata bardzo zabolęła. Middleton zniweczył wszystkie wysiłki Hawkinsa.

- Nie oceniajcie Middletona zbyt surowo - powiedziała Mihrunnisa. - Mukarrab-chan go sprowokował, obrabował z dobytku.

- John, Mihrunniso - przemówił po raz pierwszy Ghijas-beg. Przez cały czas obserwował córkę, podziwiając jej wiedzę.

Odwróciła się do niego.

- Wiem, *bapo*. Mukarrab nawrócił się na katolicyzm, teraz nosi imię John. Postąpił wobec Middletona tak, jak sobie życzyli Portugalczycy. Oni nie chcą tu obecności Anglików.

- Dlaczego? - spytał Ghijas, a kiedy Abul i Churram dali znak, że chcą przemówić, unióś rękę, prosząc ich o milczenie.

- Jeśli Anglicy naprawdę są tak doskonałymi żeglarzami, jeśli ich flota naprawdę jest tak potężna, możemy skorzystać z ich usług. To oni, nie Portugalczycy, mogą chronić nasze statki - a raczej dostać równe szanse i ciągnąć z tego zyski. Dopóki Portugalczycy nie czują konkurencji, będą nam okazywać coraz większą arogancję - powiedziała Mihrunnisa. Po-tem pokręciła głową. - Ale zachowanie Middletona, jego wystąpienie przeciwko naszym statkom, nie wróży dobrze. Gdzie tu demonstracja potęgi? Napadł na bezbronne statki handlowe.

- Jednak nie bez powodu, jak powiedziałaś, najjaśniej-

sza pani - odezwał się Churram. - Wiemy, że Mukarrab-chan nie jest całkiem lojalny. Niech Anglicy wrócą do Indii, jeśli taka jest ich wola. Powitamy ich przyjaźnie.

Rozmawiali do późna; świecek wypaliły się w srebrnych lichtarzach. Rozmowa dotyczyła głównie *firandżich*. Nie wspomniano o *zenanie*, prawie Churrama do tronu albo o tym, czego Ghijas-beg i Abul Hasan spodziewają się po nowym władcy. Wszyscy czegoś pragnęli, nawet Ghijas, który był zadowolony z pozycji swojej córki, ale chciał także bogactw, które ta pozycja mogła mu przynieść. Była to jego jedyna słabość, o której wiedziała Mihrunnisa. Na razie wystarczyło im tylko to, że mogli porozmawiać na osobności w miejscu, gdzie ściany nie mają uszu.

W ten sposób powstało sprzysiężenie.

I tak Mihrunnisa wkroczyła nieśmiało na karty historii, zapisując swoje imię obok imion mężczyzn.

Być może zbyt pospiesznie powołała do życia przymierze, zbyt szybko udzieliła poparcia księciu Churramowi. Nikt o tym jeszcze nie wiedział, a najmniej sama Mihrunnisa, lecz istniała jeszcze jedna osoba, która miała takie same prawo do tronu jak Churram. I która o wiele, wiele bardziej zasługiwała na uczucie i lojalność Mihrunnisy.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

W poligamicznych domach niewiele było równie szczęśliwych związków... Ardżumand-banu (...) bez reszty oddała umysł i duszę swemu mężowi. Ale małżeństwo to zostało zawarte głównie z powodów politycznych. Symbolizowało ono przymierze Mihrunnisy, Etimaddauli i Asaf-chana z następcą tronu.

Beni Prasad, *History of Jahangir*

Dwór zebrał się w *diwan-i am*, sali audiencji publicznych, w forcie Agry. Codziennie z wyjątkiem piątków cesarz Dżahangir zwoływał tu posiedzenia - załatwiano oficjalne sprawy cesarstwa, wysłuchiowano wiadomości ze wszystkich stron tego wielkiego kraju, odczytywano petycje. Było późne popołudnie, słońce toczyło się w stronę zachodniego krańca horyzontu, coraz bardziej tracąc siły. Przez zachodnią Bramę Słonia wjeżdżali do fortu wielmoże i zwykli śmiertelnicy. Najpierw mijali strażników, którzy sprawdzali ich przepustki, następnie oddawali konie do stajni na frontowym dziedzińcu i szli brukowaną ścieżką ku *diwan-i am*. Znajdowali wyznaczone im miejsca na kwadratowym marmurowym dziedzińcu, gdzie posadzka była zasłana od ściany do ściany najwspanialszymi jedwabnymi kobiercami, jakie kiedykolwiek utkano w Persji, a czterdzieści marmurowych kolumn podtrzymywało sufit z piaskowca wykładanego cienkimi listkami kutego złota. Przed wejściem na dziedziniec goście zdejmowali obuwie, co stanowiło zasadę nakazaną dworską etykietą.

Diwan-i am była otwarta z trzech stron. Czwarta ściana stykała się z murami cesarskich pałaców. Tutaj, na wysokim marmurowym tronie, pod wspartym na złotych słupach baldachimem ze złotej materii o frędzlach zakończonych szmaragdami,

siadywał cesarz Dżahangir. Po jednej stronie tronu znajdowały się wbudowane w ścianę balkony *zenany*, oddzielone od dziedzińca ekranami z misternie rzeźbionego ażurowego marmuru.

Mihrunnisa zasiadła na haremowym balkonie za Dżahangirem. Jej miejsce znajdowało się z przodu, koło ekranu, tak blisko tronu, że gdyby wsunęła w otwory ekranu palce, mogłaby dotknąć pleców cesarza. Pochyliła się, by spojrzeć na wielmożów, którzy przybyli do *diwan-i am*. Oni oczywiście jej nie widzieli. U stóp tronu znajdowali się dwaj niewolnicy, siedmioletni chłopcy. Stali na wielkich drewnianych słońiach, by móc wachlować cesarza. Obok czekali dworzanie; Mihrunnisa przypominała sobie ich funkcje: powiernicy cesarskich insygniów, czyli złotej kuli spoczywającej pomiędzy złożonymi rękami na łańcuchu, sztandaru - czyli ogona jaka, flagi cesarskiej, przedstawiającej lwa na tle wschodzącego słońca, a także innych proporców.

Wokół stali najdostojniejsi wielmoże cesarstwa - Mahabat-chan i Muhammad Szarif, radżowie - władcy jedynie z tytułu, gdyż ich królestwa stanowiły własność cesarstwa... a także zagraniczni ambasadorzy. Byli także Ghijas-beg i Abul Hasan, tuż za księciem Churramem, pięć centymetrów nad Mahabbatem i Szarifem. Ich miejsca zostały wyznaczone w dniu, gdy Mihrunnisa stała się żoną Dżahangira. Osoby te zasiadały w pierwszym rzędzie, wyniesionym ponad inne i oddzielone od pozostałych grubą, sięgającą bioder srebrną balustradą. Za nią znajdował się następny rząd dla kupców i przedsiębiorców, oddzielony od pospólstwa z trzeciego rzędu balustradą z pomalowanego na czerwono i polakierowanego drewna. Za pospólstwem stały cesarskie słońie; kornacy na ich karkach tylko czekali na rozkaz.

Nad zewnętrznym dziedzińcem rozpięto złotą materię, osłaniającą przed słońcem tych, którzy nie byli na tyle ważni czy dostojni, by otrzymać zaproszenie do *diwan-i am* czy też znaleźć się chociażby przed słońiami. I codziennie, bez względu na pogodę i na upały, publiczne audiencje cesarza Dżahangira zawsze przyciągały tłumy liczące ponad tysiąc, a czasem i dwa tysiące osób.

Balkony *zenany* także były pełne - każda kobieta, która zdołała odmówić sobie godziny wypoczynku czy nauki, przybyła na dwór. Mihrunnisa zawsze zjawiała się z Rakajjaj wtedy siadywały w głębi balkonu, posłuszne hierarchii haremu. Głowy innych dam zasłaniały widok, słowa z *diwan-i am* dochodziły do nich zniekształcone. Oczywiście cesarzowa Dżagat Gosini siedziała na przedzie. Tak jak teraz.

Mihrunnisa odwróciła się w jej stronę. Dżagat Gosini zajmowała miejsce po prawicy cesarza, Mihrunnisa po lewicy, choć uważała, że to jej należy się bardziej eksponowane miejsce. Cesarzowa nie odwróciła się w stronę rywalki, ale zesztyniała i Mihrunnisa zrozumiała, że Dżagat Gosini czuje na sobie jej spojrzenie, choć nie odrywa oczu od *diwan-i am*. Co znowu knuje? Czy wie o zdradzie Churrama?

Odpowiedź na to ostatnie pytanie interesowała Mihrunnise bardziej niż jakakolwiek inna. Odebrała cesarzowej księcia tak skutecznie i pewnie, jakby była jego żoną lub matką. Uśmiechnęła się do siebie. Niech cesarzowa spotyka się do woli z Mahabbat-chanem, niech z nim rozmawia, niech nawet trzyma go za rękę, rzekomo uciekając. Gdyby Mihrunnisa opowiedziała o tym cesarzowi, tych dwoje nie miałyby już przyszłości. Ale nie zamierzała o tym informować Dżahangira, w każdym razie nie od razu. Może później... jeśli będzie potrzebowała czegoś od cesarzowej albo po prostu postanowi ją złamać.

Spotkali się, by porozmawiać o niej, wiedziała o tym, ponieważ służące powtórzyły jej fragmenty ich rozmowy. Nie wiele, tylko tyle, ile udało się im podsłuchać. Hoszizar przyniósł jej wiadomość o tym spotkaniu dzięki Szajście-chanowi, eunuchowi Dżagat Gosini. Czy wiedziała, że w murach jej pałacu mieszka demon? Że w Fatehpur Sikri usłyszała właśnie kroki Szajsty?

Bicie w bębny obwieściło przybycie Dżahangira. Wszyscy na balkonach *zenany* wstali i wszyscy - kobiety z haremu, wielmoże z sali, nawet słońie, złożyli cesarzowi *konisz*. Kiedy się wyprostowali, cesarz Dżahangir siedział już na atłasowej sofie tronu. Wielmoże nie usiedli. Nikt nie miał przywileju zginania nóg w obecności cesarza, a przepisy etykiety okreś-

łały nawet postawę, jaką należało przyjąć: palcami prawej ręki należało objąć lewy łokieć, prawy zaś - palcami lewej. Głowa powinna być lekko pochylona, co oznaczało pokorę. I nikomu nie wolno się było odezwać.

Z tysięcy osób w sali audiencji publicznych żadna nie wypowiedziała ani słowa. Goście mogli zwracać się jedynie bezpośrednio do Dżahangira. Nie wolno im było opuścić sali przed jego odejściem; gdyby się na to odważyli, przed zachodem straciliby miejsce w *diwan-i am* - oraz głowę.

Te nienaruszalne zasady podkreślały rolę Dżahangira. Cesarz był cesarstwem. Co do tego nie pozostawało wątpliwości.

Dżahangir skinał mir tozakowi, mistrzowi ceremonii. Ten skłonił się i rozwinął pergamin. Pierwszym punktem dnia było sprawdzenie, czy wykonano wczorajsze rozkazy. Następnie przystąpiono do odczytania wieści z cesarstwa.

- Najjaśniejszy panie, w Lahaur wykuło się kurczę o trzech dziobach, po jednym z obu stron głównego - powiedział mir tozak.

Dżahangir pochylił się ku niemu.

- Gdzie? Sprowadźcie je na dwór, by wszyscy mogli zobaczyć to dziwo.

- Nie przeżyło nawet dwóch dni, najjaśniejszy panie, lecz owi gospodarze usiłują znowu skrzyżować tę samą kurę i koguta, więc może znowu wykluje się podobne.

- Kurczę o trzech dziobach - powtórzył Dżahangir. - Czegoś takiego jeszcze nie widziano, prawda?

Wszyscy wielmoże pokręcili głowami, choć cesarz odruchowo odwrócił się w lewo, zwracając się do Mihrunnisy, jakby nie mieli przed sobą całego *darbaru*. Mihrunnisa uśmiechnęła się, widząc zdumienie swego małżonka. Raz spytała go, dlaczego wymaga, by podczas audiencji powiadamiano go o takich drobnostkach - czy nie powinno się wówczas rozmawiać tylko o sprawach wagi państwowej? Dżahangir odparł, że nic nie jest drobnostką. On powinien interesować się wszystkimi sprawami cesarstwa, małymi i wielkimi. Wieści z odległych rejonów kraju, lokalne i ważne jedynie dla tamtego *dżagiru* czy okręgu, należy odczytywać przy całym dwo-

rze, gdyż wielmożom i *amirom* zbyt łatwo uwierzyć we własne znaczenie, zbyt szybko zaczynają gardzić wszystkim, co dzieje się gdzie indziej, za chętnie wierzą, że tylko Agra ma znaczenie. On sam także mógłby zapomnieć, że jest cesarzem nie tylko Agry, lecz także wszelkich miast, wiosek i osiedli w tym kraju. Wiadomości z całego kraju uświadamiały o tym wszystkim. I jeszcze raz Mihrunnisa przypomniała sobie słowa Rakajji - że wiedza to prawdziwa władza.

I tak odczytywano inne ciekawostki, które Dżahangir komentował, a których dworzanie wysłuchiwali. Dżahangir wydał rozkazy w paru sprawach i wygłosił przemówienia w kilku innych. Wreszcie odczytano petycje - komu przydzielić większy *mansab*, kogo nagrodzić za odwagę, kogo publicznie pozbawić ziem i tytułów. Paru wielmożów wystąpiło naprzód, by prosić Dżahangira o pozwolenie na ślub córek. Cesarz musiał zatwierdzić każdy zaplanowany związek.

W tych sprawach Dżahangir często radził się Mihrunnisy. Raz nawet wymienił jej imię, mówiąc:

- Co o tym sądzisz, Nurdżahan-begam?

Nie odpowiedziała; cały dwór natężył słuch, by wychwycić choćby szept. Jednak jej milczenie wystarczyło. Dżahangir zwrócił się do petenta:

- Twoja córka jest zbyt młoda, mirzo Czingaz-chanie, powinieś poczekać jeszcze kilka lat.

Czingaz-chan skłonił się i wycofał na swoje miejsce. Chciał się sprzymierzyć z jednym z wielkich panów zaprzyjaźnionych z Mahabbat-chanem, o *mansabie* większym od jego dochodów. I właśnie z tego powodu Mihrunnisa nie zamierzała dopuścić do tego małżeństwa. Im mniej osób ma powód być wdzięcznym Mahabbatowi, tym lepiej. Tę petycję, jak wszystkie inne, przyniesiono jej poprzedniego wieczora; przeczytała je i rozmawiała z Rakajją i Hoszijarem o motywach, jakie kierują petentami, i o zyskach, jakie by im przyniosły. Nie miała przy sobie spisu swoich postanowień, musiała zaufać własnej pamięci. Nie chciała, by zachował się jakikolwiek fizyczny dowód jej głębokiego namysłu i motywów.

Pod koniec *darbaru* zaprezentowano musztrę cesarskich

słoni. Dżahangir spytał o imię każdego z nich, miejsce urodzenia, ile trzciny zjada codziennie. Po nich wystąpiły konie, a potem wielbłądy.

Mihrunnisa nie obserwowała musztry; jej uwagę przyciągnęli dwaj jezuici, ojcowie Xavier i Pinheiro. W przeciwieństwie do dostojników nie nosili sztyletów ani mieczy. Stanowili dworską ciekawostkę - a właściwie było tak wtedy, gdy po raz pierwszy zawitali na dwór, pomimo upału odziani w długie czarne szaty, z ogolonymi twarzami i głowami, w okrągłych czarnych czapczkach. W tłumie odzianym w jedwabie, brokaty, rubiny i szmaragdy wyglądali jak polne kamienie między perłami.

Jezuici zjawili się prosić o podwyższenie miesięcznej pensji. W prezencie przynieśli jedynie parę rękawiczek z koźlecej skóry, nieozdobionych ani haftami, ani drogimi klejnotami.

Mihrunnisa widziała, że policzki Dżahangira czerwienieją. Powstrzymywał wybuch gniewu siłą woli. Księża nie złożyli mu *koniszu* ani *taslimu* - twierdzili, że religia im tego zabrania. Prośbę wygłosili bezczelnym tonem. Zarówno Mihrunnisa, jak i Dżahangir byli uprzedzeni o ich dzisiejszej petycji; ich prośba miała zostać spełniona, to już zostało postanowione. Cały dwór wiedział już, że Middleton napadał na indyjskie statki na Morzu Arabskim i że teraz tylko Portugalczycy ochraniają statki przed piratami. Dlatego też Dżahangir podniósł im pensje, czerpiąc pieniądze z cesarskiej szkatuły, i dał im większą wolność nawracania jego poddanych, byle zmiana wiary następowała dobrowolnie. Ta decyzja była mu nie w smak, ale musiał ją podjąć.

Po zakończeniu *darbaru*, kiedy cesarz Dżahangir już wrócił do swoich pałaców, Mihrunnisa podniosła się, by odejść. Nagle niespodziewanie poczuła zmęczenie; osunęła się na otomanę. Legła na niej drżąca, z dygocącymi rękami. Usiłowała bronić się przed spieszącymi jej z pomocą damami i niewolnicami. W pomieszczeniu na zmianę robiło się bardzo ciemno i oślepiająco biało. Raptem zdała sobie sprawę, że jej miesięczne krwawienie spóźnia się już o dziesięć dni. To zmęczenie było jej znane; przydarzało się jej wiele razy przed urodze-

niem Ladli. Tak bardzo pochłoneły ją sprawy umysłu, że nie słuchała własnego ciała. Nie przyszło jej do głowy, że mogła zajść w ciążę.

Przyzwyczajając się z wolna do myśli o nowym dziecku, doszła do wniosku, że pragnie syna. Miała już Ladli, teraz to powinien być chłopiec. Przed Ladli to nie miało dla niej znaczenia, ale teraz, kiedy w jej dłoniach spoczywa całe imperium, powinna urodzić chłopca. Zdjął ją strach; Dżagat Gosini przyglądała się jej bacznie. Temu dziecku nic nie powinno zaszkodzić, żadna złośliwa ręka, żadne złe oko. Jeśli to prawda...

A jeśli tak... to co z łaską, jaką okazała Churramowi?

Ladli pobiegła, podkasawszy *ghagare*, w stronę kolumny, by się za nią ukryć. Wyjrzała zza niej ostrożnie. Ardżumand zatrzymała się nieco dalej. Stała tyłem do Ladli, spoglądała w dół, najwyraźniej niczego nie widząc. Dziewczynka, wciąż zdyszana po biegu, jako że usiłowała dogonić Ardżumand, stanęła nieruchomo. Ostatnio Ardżu często się tak zachowywała - stawała nieruchomo, z zamyślonym, nieobecny spojrzaniem.

Pot sływał maleńkimi strużkami po skroniach dziewczynki i gromadził się obficie na karku pod warkoczem. Wytarła buzię jedwabną *ghagary*, na której została duża ciemna plama. Kiedy się wyprostowała, Ardżumand gdzieś znikła. Łuk, pod którym się zatrzymała, był pusty, na podłogę werandy nie padał jej cień. Ladli wymknęła się zza kolumny i raptem z kimś się zderzyła. Upadła na ziemię i spojrzała, oszołomiona, na Hoszijar-chana.

- Co robisz? - spytał - Dlaczego nie jesteś w swoich apartamentach?

- Nic - odparła, wciąż leżąc.

Hoszijar pochylił się i podniósł ją jedną ręką, chwyciwszy za pasek *ghagary*. Potem otrzepał ją porządnie.

- Wracaj do siebie. Natychmiast.

Położył jej rękę na ramieniu, ale Ladli mu się wymknęła.

- Jest zbyt gorąco, nie mogę spać. Nie wyjdę z *zenany*, obiecuję. Pozwól mi się bawić, proszę... - To ostatnie słowo

powiedziała najżałośniej, jak potrafiła, robiąc wielkie oczy i uśmiechając się słodko.

- Nie możesz biegać bez opieki po haremie, Ladli. Wiesz o tym. Gdzie twoje służące? - Rozejrzał się, ale nie zobaczył nikogo. Słońce przepłoszyło wszystkich do chłodnych komnat. Korytarz świecił pustkami. - Zapłać mi za to. Co by powiedziała twoja mama, gdyby wiedziała, że biegasz samopas?

Ladli chwyciła go oburącz za pas i zawisła na nim, z kolanami dyndającymi nad ziemią.

- Ja chcę się bawić w ogrodach, w cieniu figowców! Proszę, proszę, proszę! Pozwól! Nikt się nie dowie, jeśli wrócę przed popołudniowym *czajem*. Proszę!

Eunuch uwolnił się i odsunął ją od siebie. Znowu uśmiechnęła się błagalnie.

- Dobrze - rzekł z wahaniem. Zostawił ją i ruszył na poszukiwanie jej służących. Zaraz zacznie krzyczeć, każe im się nią zająć. A one pewnie gdzieś śpią w cieniu, nie pamiętając o obowiązkach wobec córki cesarzowej.

Ladli odprowadziła go wzrokiem i wolno ruszyła przed siebie, choć miała ochotę pobiec. Podczas gdy ona usiłowała wynegocjować nieco wolności, Ardżu mogła daleko zawędrować. Ale dlaczego Hoszizar snuje się tu o tej porze? Hoszizar był eunuchem mamy; jego jedynym zadaniem było służenie mamie, a jednak znajdował jakoś czas, żeby deptać Ladli po piętach. Zaglądał do niej nawet wtedy, gdy uczyła się z mułką, zwłaszcza kiedy żartowała z niego, śpiewając bezsensowną piosenkę albo pisząc wszystkie wypracowania od tyłu - aż biedak drapał się strapiiony w głowę. W takim wypadku - jeden Allah wie, w jaki sposób się o tym dowiadywał - Hoszizar zaglądał do pokoju i mówił „Nie dokazuj, Ladli”.

Niedopowiedzianą drugą częścią tego zdania było: „Bo powiem mamie”.

Ladli obejrzała się. Hoszizar już zniknął. Uniosła spódnice *ghagary* i popędziła po schodach ogrodów, niczym pszczoła śmigając od jednego krzaku do drugiego. Gdzie ta Ardżu?

Wreszcie zmęczona upałem usiadła w cieniu figowca i objęła się rękami. Tęskniła za matką. Odkąd Mihrunnisa wyszła za

cesarza, nie miała już dla niej tyle czasu. I prawie zawsze była zmęczona. Niegdyś słuchała z uwagą każdego jej słowa, teraz ledwie zwracała na nią uwagę, zawsze pochłonięta lekturą jakiegoś *farmanu* albo rozmową z Hoszjarem. To cesarz miał dla Ladli więcej czasu. Wieczorami, czytając, pozwalał, by siadała mu na kolanach, ale nie wolno jej było się odzywać. Pewnego razu zasnęła, a kiedy się obudziła, jego perłowy naszyjnik odcisnął na jej policzku małe, okrągłe wgłębienia. Ale cesarz zawsze ładnie pachniał - tytoniem, winem i drewnem sandałowym. I był dla niej miły, nadal dawał jej prezenty, choć mama była już jego żoną i nie musiał zabiegać o jej sympatię.

Ale gdzie ta Ardżumand? Otrzymała pozwolenie, by raz na tydzień przychodzić do *zenany*. Ladli zawsze czekała z niecierpliwością na te wizyty, bo kuzynka przynosiła wieści z zewnątrz, wiadomości o swojej matce, braciach i siostrach. Ale ostatnio przestała przychodzić lub przychodziła bardzo spóźniona, kiedy na wizytę zostało jej zaledwie kilka minut.

Ladli była jej wdzięczna za każdą chwilę; inni kuzyni nigdy jej nie odwiedzali. A Ardżumand miała dziewiętnaście lat, była więc bardzo dorosła. Mimo to była ładna, pełna wdzięku, umiała pięknie szyć, a kiedy razem bawiły się w gotowanie, robiła najpyszniejszy na świecie pilaw na niby. O wiele lepszy niż Ladli, która zawsze zapominała o liściu laurowym lub rodzynkach smażonych na *ghi*. I była taka cicha... Kiedyś Hoszjar powiedział, że powinna brać przykład z Ardżumand, uspokoić się i usiedzieć na jednym miejscu dłużej niż minutę. Ale Ardżumand była aż zbyt spokojna. Bił od niej jakiś smutek; kiedy za drzwiami komnaty rozlegały się głosy, zaczynała nasłuchiwać, a jeśli usłyszała mężczyznę, zaczynała się niepokoić. Później, kiedy mówiący zbliżał się do nich, Ardżumand znowu się uspokajała.

Ladli uznała, że Ardżumand jest smutna, bo w *zenanie* zawsze się gubi. Tak właśnie kuzynka tłumaczyła swoje spóźnienia. Więc dziś Ladli wyszła jej na spotkanie do bramy. Ardżumand minęła ją, nie dostrzegając, i od razu ruszyła w stronę ogrodów. Ladli zaczęła ją śledzić, nagle ogarnięta podejrzenia-

mi. Ardżumand miała kochanka! Tylko tak można było wytłumaczyć to dziwne zachowanie.

- A, tu jesteś, Ladli *baba*!

Ladli podniosła oczy na niewolnicę, zbliżającą się ku niej przez trawnik. Zmarszczyła nos; dziewczyna się uśmiechnęła. Uszczypnęła Ladli w policzek, dość boleśnie. Dziewczynka wyszarpnęła się jej.

- Jakie słodkie dziecko. Nie krzyw się, dziecino. Wróc do domu, pora na drzemkę.

- Nie chcę.

- Jak pięknie to powiedziałaś! Idziemy - zarządziła niewolnica. Chwyciła Ladli za warkocz i pociągnęła.

Dziewczynka stawiała opór. Odkąd mama wyszła za cesarza, nagle wszyscy zaczęli się nią zachwycać. Przytulali ją, całowali, szczypali w policzki, strzelali palcami tuż przy uszach, rzekomo po to, by odpędzić złe spojrzenia. Kiedy mieszkały w *zenanie* z cesarzową wdową Rakajją, nikt nawet nie zauważał Ladli. Teraz wszyscy ją znali i pragnęli wyrazić, jak bardzo jest cudowna w nadziei, że dzięki temu wkradną się w łaski mamy.

- Chodź - powtórzyła niewolnica o twarzy zapuchniętej po drzemce i uszach jeszcze płonących po reprimendzie, jaką dostała od Hoszijara.

Ladli wzięła zamach i tak kopnęła dziewczynę w goleń, że aż zabołały ją palce. Niewolnica zawyła i puściła warkocz Ladli, która rzuciła się do ucieczki pomiędzy korzeniami figowca. Wybiegła na zalaną słońcem otwartą przestrzeń.

I tam, za krzakiem jaśminu, a raczej niemal w nim, dostrzegła Ardżumand. Kuzynka przechylała się przez krzak, oparta o jego gałęzie, ze stopami nad ziemią.

- Co robisz?

Ardżumand wyprostowała się błyskawicznie; policzki spururowiały jej ze wstydu.

- *Ćśśś...* cicho bądź, Ladli. - Wyplątała się z krzaka; gałęzie nie chciały puścić *ghagary* i welonu. Na krzaku zostały małe strzępki zielonego jedwabiu.

- Podarłaś suknię - zauważyła Ladli.

- Cicho! - niemal wrzasnęła Ardżumand. Skoczyła na Ladli i przewróciła ją na ziemię, zasłoniwszy jej usta ręką. Pochyliła się nad nią. - Kiedy zabiorę rękę, nie wolno ci się odezwać. Jasne? - Ladli skinęła głową z oczami rozszerzonymi ze strachu. - Wiem, że lubisz gadać, i to bez przerwy, ale teraz ani słówka!

- Puść mnie - pisnęła dziewczynka stłumionym głosem. Kuzynka jakby o niej zapomniała; odwróciła się w stronę czegoś, co widziała za krzakiem.

- Przepraszam. - Cofnęła rękę.

Ladli podniosła się z trawy. Pod powiekami zapiekły ją łzy. Jak Ardżu mogła zrobić coś takiego? Ta cicha Ardżu, która zawsze odnosiła się do niej tak łagodnie, która nigdy dotąd nie podniosła na nią głosu. Usiadła, nie bacząc na to, że trawa zaplami jej *ghagare* i rozpłakała się. Chlipała, pociągała nosem i czekała, aż Ardżumand to zauważy.

Kuzynka spojrzała na nią ale z roztargnieniem, i powiedziała tylko:

- Cicho bądź, Ladli.

Potem odwróciła się i wyciągnęła do niej rękę.

- Chodź tutaj. Przepraszam, naprawdę. Chodź, kochanie.

Ladli, nadal chlipiąc, pozwoliła się przytulić. Oparła głowę na piersi Ardżumand, moczac łzami jej jedwabne *czoli*. Tylko Ardżumand - oprócz mamy i cesarza - nazywała ją kochaniem. I mogła przytulać Ladli do woli. Ładnie pachniała potem, słońcem i jaśminem. Pocałowała ją w czubek głowy.

- Przeprosiłam cię.

- Dobrze, ale nie rób tego więcej.

Siedziały tak przez jakiś czas. Ardżumand kołysała siedmiolatkę w ramionach.

- Na co patrzyłaś, Ardżu? - spytała niespodziewanie Ladli.

Kołysanie ustało, a w głosie Ardżumand znowu zabrzmiało rozdrażnienie.

- Nie twoja sprawa. Wracaj do siebie. Właściwie dlaczego tu biegasz?

Ladli zerwała się na równe nogi i stanęła nad kuzynką podparta pod boki.

- Miałaś się ze mną spotkać, dlaczego nie przyszedłaś? Co tu robisz?

- Nie... - zaczęła Ardżumand, ale Ladli już podeszła do krzaku jaśminu. Była pora kwitnienia i jego kwiaty, białe i małeńkie, przesycały powietrze wonią. Dziewczynka rozsunęła ostrożnie gałęzie, które natychmiast zadrasnęły jej skórę, gdzieś tam nawet do krwi. Za krzakiem znajdowała się sadzawka z kwiatami lotosu. Miały one kolor pereł z lekkim różowym rumieńcem. Sterczały sztywno na smukłych łodygach nad grubymi, okrągłymi i zielonymi liśćmi. Po drugiej stronie basenu znajdowała się ławeczka, na której siedział książę Churram z odkrytą głową, rzucając do stawu kamienie. Jakaś niewolnica stanęła za plecami księcia, dotknęła jego karku. Odwrócił się i ze śmiechem pociągnął ją na swoje kolana.

Ardżumand stanęła obok Ladli.

- To Churram - powiedziała dziewczynka. - Co oni robią? Czy ona nie potrafi jeść sama? - Churram właśnie wziął czerstwie z srebrnej czary i włożył ją między zęby. Tak podał ją niewolnicy, która przejęła owoc z jego ust. Po brodzie pociekł jej sok, który Churram starł palcem.

- Patrz, Ardżu. - Ladli się zdziwiła.

Ale Ardżumand miała już dość patrzenia. Dopóki Churram siedział sam, syciła oczy jego widokiem. Usiadła na trawie i pociągnęła Ladli ku sobie.

- Usiądź i nie ruszaj się - nakazała.

Ladli usiadła, wpatrzona w kuzynkę.

- Idź do niego, Ardżu.

- I co mam mu powiedzieć? Najjaśniejszy panie, to ja jestem kobietą, z którą się zaręczyłeś! O której zapomniałeś. - Powiedziała to powoli, z trudem. Zaręczyny odbyły się przed pięciu laty, Churram nie miał powodu o nich pamiętać. Ona pamiętała, bo to ona widziała go podczas ceremonii - dla niego była tylko zawoalowaną postacią politycznym przymierzem. Dlaczego to małżeństwo ciągle nie dochodzi do skutku? Rodzina znowu odzyskała łaski cesarza, ciotka była jego żoną. A jednak Ardżumand nie mogła iść do ojca i poprosić go o... właściwie o co? Wszyscy wyśmieliby jej niecierpliwość.

Czy można się zwrócić do kogoś starszego i spytać: jak idą przygotowania do mojego małżeństwa? Czy o takich rzeczach w ogóle godzi się rozmawiać? Tego się po prostu nie robi. Pewnego dnia *bapa* przyszedł do niej i poinformował o jej zajęciach z księciem Churramem. Skłoniła głowę na znak zgody. Zatem pewnego dnia zostanie jego żoną. To także wydarzy się bez jej udziału. Ale to... to czekanie... ta niepewność... nikt jej na to nie przygotował.

Wszystkie przyjaciółki były już mężatkami, miały dwoje lub troje dzieci, a ona, dziewiętnastolatka, nadal była narzeczoną mężczyzny, który nawet nie wiedział o jej istnieniu. A jeśli on jej nie poślubi, to już nikt jej nie zechce. Poza tym, pomyślała, ja także nie chcę nikogo innego. Kocham księcia.

Przez jakiś czas siedziały w cieniu krzaka jaśminu. Od czasu do czasu dobiegał ich chichot, wybuch śmiechu czy ciche rozmowy. Ardżumand coraz niżej pochylała głowę. Ocierała oczy, a Ladli popatrzyła uważnie, czy płacze. Nie, powiedziała kuzynka, to tylko kurz.

- Churram to idiota - odezwała się nagle Ladli. - Kto by nie chciał cię poślubić? Musi tylko na ciebie spojrzeć.

Ardżumand uśmiechnęła się słabo.

- Dziękuję.

Ladli pokiwała głową. Ardżu była rodzinną pięknoscią. Poruszała się, jakby płynęła w powietrzu, miała łagodny głos, a kiedy się śmiała, Ladli także musiała się roześmiać, tylko po to, żeby dołączyć do niej. A ten Churram siedzi tam z jakąś prostaczką która nie może otworzyć ust, żeby nie było słychać jej ciężkiego wiejskiego akcentu. Co go w niej pociąga?

- Powiem mamie - zdecydowała Ladli. - Ona sprawi, że Churram cię poślubi.

- Nie... - zaczęła odruchowo Ardżumand. Raptem spojrzała błagalnie na kuzynkę. - Myślisz, że możesz o tym porozmawiać z mamą? Ona może tego dokonać, cesarz obdarza ją swymi łaskami. Ale... czy to nie za wielka prośba? Churram i tak jest moim narzeczonym.

- Mama może wszystko.

- Tak, ona ma... to dziwne... władzę. Jak mężczyzna. Cza-

sami żałują, że nie jestem taka odważna jak ona. - Usta Ardżumand zdrzętały. Gdybyż tylko potrafiła wyrazić swoje pragnienia! Pragnąc to nie wszystko.

Ladli poderwała się i wybiegła zza krzaka. Jej bose stopy bezszelestnie mknęły po piaskowcowych płytach cembrowiny. Churram dostrzegł ją dopiero wówczas, kiedy stanęła u jego boku. Niewolnica ukryła twarz na jego ramieniu, odwrócona obnażonymi plecami do Ladli.

- Czego chcesz? - spytał. - Idź do cesarzowej i nie przeszkadzaj mi.

- Och, wasza wysokość, błagam o wybaczenie, ale moja kuzynka skręciła kostkę i ktoś musi jej pomóc! - pisnęła Ladli, łamiąc ręce w doskonale odegranej rozpacz.

- Więc idź po jakiegoś eunucha. - Churram odwrócił się do niewolnicy.

- Ale, wasza wysokość - Ladli pociągnęła go za pas - bardzo proszę, tu nikogo nie ma, a ona bardzo cierpi.

- Dobrze. - Churram wstał, zepchnąwszy dziewczynę z kolan. I tak nie miał już nastroju. Niewolnica będzie musiała poczekać na jego łaskę.

- Wezwij pomoc - rzucił jej i odwrócił się do Ladli. - Gdzie ta twoja kuzynka?

Ladli pomaszerowała w stronę krzaka, ciągnąc niechętnego Churrama za rękę. Tymczasem Ardżumand ze zgrozą przysłuchiwała się ich rozmowie. A to smarkata! Zbije ją przy najbliższej okazji. A na razie musi udawać, że naprawdę skręciła kostkę.

Churram i Ladli wyłonili się zza krzaka. Ujrzeni Ardżumand siedzącą z pochyloną głową i twarzą oblaną rumieńcem.

- To ona! - obwieściła tryumfalnie Ladli.

Churram przykląkł obok Ardżumand.

- Boli cię kostka?

- Hm... tak, wasza wysokość. - Ardżumand rzuciła złe spojrzenie Ladli, która w odpowiedzi puściła do niej oko.

- Która?

Ardżumand wskazała z wahaniem na prawą nogę. Churram lekko unióś jej spódnice, zauważył rozdarty materiał i dotknął

jej stopy. Doskonałe kształty, pomyślał, smukłe kostki objęte złotymi bransoletami i podkreślone ornamentami z henny. Przesunął palcami po skórze, ale nie wyczuł obrzmienia. Spojrzał na twarz dziewczyny, by się przekonać, czy jest piękna. Nie patrzyła na niego. Zauważył szlachetną linię brody, promienną cerę, rumieniec, długie rzęsy, kładące się na policzkach.

- Bardzo boli? - spytał cicho. Ardżumand zdrząła pod jego pieszczotliwym dotykiem. Skinęła głową bez słowa, oszłamiona jego obecnością. Kiedy w końcu podniosła na niego oczy, uśmiechał się. Ladli stała z boku, obserwując ich. Jakby zapomnieli o jej obecności, ale przynajmniej teraz Churram nie zapomni jej kuzynki tak łatwo.

Książę wziął Ardżumand na ręce i zaniósł do pałacu. Polecił, by go objęła, więc usłuchała, jakby zahipnotyzowana jego bliskością, zapachem, biciem serca, będącego tak blisko jej serca. Nie mogła wydobyć z siebie głosu, pragnęła, by ta chwila trwała wiecznie. Churram spytał ją o imię; Ladli czym prędzej wyjaśniła mu, kim jest Ardżumand.

Hoszijar-chan wybiegł z apartamentów Mihrunnisy i przejął Ardżumand. Spojrzał na jej kostkę - podobnie jak Churram nie dostrzegł obrzmienia, ale w przeciwieństwie do księcia nabrał podejrzeń. Rzucił Ladli groźne spojrzenie, na co dziewczynka uśmiechnęła się z satysfakcją.

- Zajmij się nią dobrze, Hoszijarze - przykazał Churram.

- Tak się stanie, wasza wysokość, zabiorę ją natychmiast do cesarzowej - odparł eunuch i odwrócił się. Ladli pobiegła za nim, zatrzymała się i pomachała księciu.

- Dziękuję, Churramie!

Spojrzał na nią z roztargnieniem, ale myślał tylko o dziewczynie, którą przed chwilą trzymał w ramionach. Mihrunnisa była piękna - ale druga piękność w tej samej rodzinie? W rzeczy samej Allah patrzy na nich łaskawie, co do tego nie ma żadnych wątpliwości. Jak to możliwe, że do tej pory nie zwracał na nią uwagi? I jak może ją zdobyć?

Odwrócił się w zamyśleniu; potem znowu zawrócił i pobiegł po schodach do apartamentów Mihrunnisy. Kiedy raz coś przyszło mu do głowy, chciał to zrealizować natychmiast.

Churram wszedł do ciemnego pokoju. Panował w nim chłód, ciężkie zasłony były zaciągnięte, broniąc dostępu popołudniowemu upałowi. Książę zatrzymał się na chwilę w progu, czekając, aż oczy przyzwyczają mu się do mroku. Po chwili dostrzegł Mihrunnisę. Leżała na otomanie z głową opartą na ręce.

- Co się stało, Churramie?

- Najjaśniejsza pani - przemówił gwałtownie. - Poznałem najpiękniejszą kobietę na świecie. Pragnę ją poślubić.

- Co cię powstrzymuje? - Mihrunnisa uniosła brew. - Dlaczego przychodzisz do mnie? Powinieneś się zwrócić do cesarza.

- Najjaśniejsza pani, to twoja bratanica.

- Tak? - Przypomniała sobie wszystkie swoje kuzynki. O której mówi Churram?

- Ardżumand-banu.

Cesarzowa odchyliła głowę i roześmiała się serdecznie.

- Chcesz poślubić Ardżumand? - Na widok zaskoczonej miny Churrama roześmiała się jeszcze weselej.

- Tak, najjaśniejsza pani, proszę... nie mów, że ona jest już zaręczona - powiedział z rozpaczą.

- Ależ jest, Churramie.

- Och... - Książę spuścił głowę. Jak mógł sądzić, że taka piękność jest jeszcze wolna? Taka uroda, taki wdzięk... taka piękna kobieta.

Mihrunnisa przyglądała mu się dziwnym wzrokiem.

- Nie masz pojęcia z kim, prawda?

- Poznałem ją dopiero dzisiaj, najjaśniejsza pani. - Churram podniósł oczy. - Czy te zaręczyny trwają od dawna? Czy to mężczyzna z dobrej rodziny? Czy jest jej godny?

- Tak, na wszystkie te pytania odpowiadam: tak. Naprawdę nie pamiętasz?

- Ale czego, najjaśniejsza pani?

Mihrunnisa zamilkła. Dobrze pamiętała o pakcie, jaki cesarz zawarł z Abulem - że ich dzieci zawrą związek małżeński. Abul wytrwale przypominał jej o nim, zanim wyszła za cesarza. Ale przez ostatni rok nic nie zrobiła w tej sprawie. Zajmowały ją własne sprawy - zdobycie pieczęci, przeciąg-

nięcie Churrama na swoją stronę, nadanie znaczenia *bapie*, Abulowi i matce, nie wspominając już o czasie spędzonym z Dżahangirem. A teraz pojawiła się nadzieja, że może im się urodzić dziecko. A jeśli tak się stanie i będzie to syn... należy zadbać o niego, zatroszczyć się o jego przyszłość. Jak poparcie tego związku wpłynie na jej dziecko?

- To twoja narzeczona - powiedziała wreszcie. Musiała to wyjawić i lepiej było, żeby Churram dowiedział się tego od niej.

- Moja?

- Tak, wasza wysokość. Ceremonia zaręczyn odbyła się przed pięciu laty w domu mojego ojca.

Teraz sobie przypomniał. Ale matka powiedziała mu, żeby nie spodziewał się wiele, a także, że dziewczyna jest podobna do świni i ma nogi ciężkie jak z żelaza. Churram podczas ceremonii usiłował się jej przyjrzeć przez dwie zasłony - jedną oddzielającą mężczyzn od kobiet, drugą zasłaniającą jej twarz. A potem o wszystkim zapomniał. Miał wtedy piętnaście lat, był nieśmiały i zażenowany uwagą, którą nagle wszyscy zaczęli mu poświęcać. Musiał mieć żony, to było nieuniknione - niejedną, lecz tyle, ile uzna za stosowne jego ojciec, dla dobra cesarstwa. Dla następców tronu, których mu urodzą, dla przymierzy, jakie zawrze rodzina cesarska. Małżeństwa zawiera się z myślą o cesarstwie. Poza tym po słowach Dżagat Gosini szybko zapomniał o Ardżumand.

- Jest taka piękna - powiedział zadziwiony. I tak było. Czy matka mogła się tak pomylić? Czy pokazano jej inną dziewczynę? A może Ardżumand zmieniła się z czasem? - Nie miałem o tym pojęcia, najjaśniejsza pani.

Mihrunnisa przyglądała się mu uważnie.

- Tak, jest śliczna. Będzie dobrą żoną.

Churram spojrzał na nią uwielbieniem. Oczy załśniły mu szczęściem. Nagle wydał się bardzo młody i pełen nadziei, bardzo zakochany. Ukląkł przed Mihrunnisa i gorąco ucałował jej dłoń.

- Czy mogę mieć nadzieję, że do tego małżeństwa dojdzie rychło? Będę ci zawsze wdzięczny, jeśli porozmawiasz o tym z moim ojcem.

Poklepała go po dłoni.

- Tak się stanie. Dziś wieczorem porozmawiam o tym z najjaśniejszym panem. I wkrótce, bardzo niedługo, wejdiesz do naszej rodziny.

Księżę wybiegł z pokoju, niemal unosząc się w powietrzu ze szczęścia. Mihrunnisa położyła się na otomanie i zamknęła oczy. Wszystkie lęki, wszystkie niepokoje na myśl o małżeństwie Churrama i Ardżumand ulotniły się bez śladu. Ten związek tylko umocni ich więzi. Teraz będą połączeni małżeństwem i krwią. Przez Ardżumand - jeśli zachwyt Churrama mógł o czymś świadczyć - Mihrunnisa będzie mogła zdobyć poparcie księcia. Ardżumand była zobowiązana do lojalności wobec ciotki i ojca.

A co do dziecka... lekko dotknęła brzucha. Miesięczne krwawienie jeszcze się nie pojawiło, ale zdarzało się, że występowało nieregularnie. Ciągle była zmęczona, musiała odpoczywać popołudniami albo nawet spać przez parę godzin, kiedy słońce stało wysoko na niebie.

Ceremonia zaślubin odbyła się w domu Ghijas-bega. Od wielu dni z cesarskiego pałacu do domu panny młodej przynoszono prezenty. Pan młody był zobowiązany przysłać suknię ślubną, by jego żona opuściła dom ojca w stroju wybranym przez męża na znak, iż teraz należy wyłącznie do niego. W apartamentach Mihrunnisy odbyła się uroczystość, podczas której kobiety śpiewały i malowały sobie nawzajem ręce i stopy pastą z henny. Zjawił się na niej Churram, który pozwolił pomalować sobie dłonie na ten sam kolor, co zdobił jego żonę.

Prezenty były wspaniałe - perły, rubiny, szmaragdy i brylanty zawinięte w czarny aksamit; *ghagary* i *czoli* z haftowanego jedwabiu i atłasu; skrzynie win i likierów; słodycze na ogromnych srebrnych tacach. Z cesarskiego skarbca wydzielono ogromne sumy na kucharzy i sprzątaczy, muzyków i innych artystów, a także na *szamiany*, które miały osłonić dziedziniec.

Całe cesarstwo radowało się ze ślubu księcia Churrama. Do wszystkich miast i wiosek rozesłano wieści o wielkiej urodzie

nowej żony, a co więcej - o jej związku z cesarżową i o pozycji jej ojca i dziadka na dworze. Czy jest coś bardziej naturalnego od takiego związku?

Cesarz Dżahangir także był rad, ponieważ widział, jak bardzo zadowolona jest Mihrunnisa. To małżeństwo sprawiło, że znalazła się w centrum zainteresowania, jako że wszyscy byli zadowoleni: Ghijas, gdyż kolejna kobieta z jego rodu wchodziła do rodziny cesarza, Abul - ponieważ jego córka nie będzie dłużej smutna, Churram - dlatego że był zakochany w Ardżumand. To małżeństwo nie miało złych stron.

Wszystkie ewentualne lęki Mihrunnisy rozplynęły się bez śladu. Teraz miała inne sprawy na głowie, nabrała bowiem pewności, że jest brzemienna. Powiedziała o tym cesarzowi w nocy poprzedzającej ślub. Niemal natychmiast zaczął szukać imienia dla chłopca - ponieważ to musiał, oczywiście, być chłopiec - wybierać dla niego mułkę i zastanawiać się, czy syn będzie bardziej podobny do Mihrunnisy, czy do niego. Za miesiąc ogłoszą to całemu cesarstwu, na razie był to ich wspólny sekret, którym zamierzali się cieszyć tylko we dwoje.

Następnego ranka Mihrunnisa dołączyła do modlitw z *kadim*, który prowadził ceremonię. Nie sądziła, żeby ktoś mógł być szczęśliwszy od niej. Jak mogłaby zazdrościć bratanicy?

Nie wiedziała i nigdy się nie dowiedziała, że błogosławiąc ten związek, zapoczątkowała łańcuch wydarzeń, które w rezultacie doprowadziły do wymazania jej imienia ze stronic historii.

Nie wiedziała też, że Ardżumand zostanie jedyną kobietą z rodu Mogołów, o której będą pamiętać przyszłe pokolenia. Łagodna, ustępliwa i niekłopotliwa Ardżumand miała zaćmić nawet Mihrunnisę, rzucić na nią swój cień - za sprawą pomnika, który na jej cześć wybudował Churram - świątyni Tadž Mahal.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Miała niezwykle zdolności, gdyż zyskała władzę absolutną w państwie, w którym uważano, iż kobiety nie są zdolne do pełnienia żadnej funkcji... Noordzehan zaprezentowała się publicznie; złamała wszystkie zakazy i obyczaje i zdobyła władzę bardziej dzięki własnym staraniom niż słabości Dżehangira.

Alexander Dow, *The History of Hindostan*

Thomas Best stał na pokładzie *Czerwonego smoka*, podparty pod boki. Statek kołysał się na falach, a on kołysał się razem z nim, na ugiętych kolanach, z wprawą, jakiej nabył przez lata. Osłonił oczy dłonią i spojrzął na płonącą portugalską pinasę *Ozeander*, na tle czarnego nocnego nieba wyglądająca jak pochodnia. Na twarzy Besta z wolna pojawił się uśmiech. Marynarze z *Ozeandra* spuszczały na wodę szalupy i skakali w ciemne wody. Ładowali z cichym pluskiem, a przez fale do uszu Besta dochodziły przekleństwa i krzyki. Kusiło go, by rzucić załogę przeciwko tym ludziom, ale wówczas zmarnowałyby zbyt wiele czasu. Nawet podziwianie zagłady *Ozeandra* było marnotrawstwem, ale nie potrafił sobie tego odmówić.

- Kapitanie, powinniśmy się wycofać, zanim Portugalczycy ściagną posiłki.

Best odwrócił się do pierwszego sternika, niskiego młodzieńca liczącego zaledwie siedemnaście wiosen, którego skóra niemal przybrała od słońca kolor hebanu.

- Tak. Podnieść kotwicę. Wypływamy na otwarte morze. Tam zaczekamy. - Obejrzał się jeszcze na płonący statek. Głośny wybuch obwieścił, że ogień dotarł do kolejnej baryłki prochu. Nowe języki ognia liznęły kil *Ozeandra*, który przechylił się na bok.

Rozkaz przekazano załodze, która w milczeniu podniosła kotwicę. Lekki wiatr od wschodu wydał żagle i statek wypłynął z Zatoki Kambajskiej.

Thomas Best przybył nad Tapti parę miesięcy temu. Płynąc do Suratu nie wiedział jeszcze, jak przyjęto sir Henry'ego Middletona w Gudżaracie, jakie były konsekwencje jego potraktowania indyjskich statków w Zatoce Adeńskiej, ani nawet, że Middleton na nie napadł. Wówczas opuścił już Anglię i przed powrotem do domu nie miał nadziei na otrzymanie nowych wiadomości ze statków Kompanii Wschodnioindyjskiej - na otwartym morzu nieczęsto spotykało się przyjaciół Anglików. Wrogowie byli liczniejsi.

Best natychmiast powiadomił Dżadu, indyjskiego pośrednika, z którego usług korzystali także Hawkins i Middleton. Dżadu przybył uniżony z listem od Middletona. Z niego Best dowiedział się o afroncie, jaki spotkał Middletona ze strony Mukarrab-chana, gubernatora Gudżaratu, w związku z którym kupiec postanowił wrócić do Anglii. Co do reszty nowin, Dżadu powiadomił Besta o wszelkich wydarzeniach. Best słuchał go zdumiony. Czy ma wrócić do Anglii, nie próbując nawet osiągnąć porozumienia? Czy Indie były już dla nich stracone?

Postanowił wybrać się do Suratu, by osobiście ocenić sytuację. Chroniony przez strażników, z ręką na sztylcie za pasem, ruszył ulicami gwarne go miasta. Tłum rozstępował się przed nim - i to nie tylko dlatego, że wzrostem górował nad wszystkimi mężczyznami. Kupcy i handlarze pozdrawiali go i kłaniali się jakby lękliwie. Zdawali się go rozpoznawać, wiedzieli także o potężnym *Czerwonym smoku*, zakotwiczonym w zatoce. Best przedostał się do Suratu rzeką Tapti na małej łódce. Po paru dniach zdał sobie sprawę, że Middleton podczas krótkiego i bezowocnego pobytu w Suracie sterroryzował tubylców. Tam gdzie dyplomacja nie przynosi skutku, trzeba sięgnąć po przemoc. Best szybko zabrał się do działania; zwrócił się do Mukarrab-chana i przekonał go - dzięki hojnej łapówce ze swych ładowni - do podpisania formalnego traktatu, pozwalającego Anglikom na handel z Gudżaratem.

Dokument ten, pełen kwiecistych sformułowań, które nie-

wiele wyrażały i jeszcze mniej znaczyły, nie miał wielkiej mocy prawnej, ale zawsze było to coś. Po raz pierwszy Kompania Wschodnioindyjska działała w Indiach legalnie. Best zdołał osiągnąć to, co nie udało się Hawkinsowi i Middletonowi - a przecież szczęściarz Hawkins był niegdyś ulubieńcem cesarza.

Best uśmiechnął się ponuro. Atak *Ozeandra* był reakcją na zawarcie traktatu. Oczywiście ostrzeżono go przed nim - ostrzegał go Hawkins, Middleton, a nawet Dżadu, któremu, co prawda, nie przyszło do głowy wspomnieć o Portugalczycach, dopóki nie poczuł w dłoni złotych monet Besta.

Z traktatem w kieszeni Best popłynął wraz z załogą do *Czerwonego smoka* i reszty floty. Następnego dnia do zatoki wpłynął *Ozeander* z zamiarem posłania Besta i *Czerwonego smoka* na dno morza wraz z fatalnym dokumentem.

Best obejrzał się w stronę lądu. *Ozeander* tonął z wolna, wciąż płonąc. Marynarzy nie było już widać. Pewnie już płynęli do brzegu niczym szczury uciekające ze statku.

Wesołych świąt, pomyślał szyderczo Best; od płonącego statku biła łuna niczym od choinki. Best powinien teraz siedzieć w swoim domu w Anglii z kubkiem cydru w dłoni, przyglądając się płatkom śniegu, łagodnie szybującym za oknami o małych szybkach. Tymczasem musiał tkwić w tym pogańskim kraju, walcząc ze starym wrogiem.

Nawet tu, tak daleko od lądu i w nocy, panował wściekły upał. Powietrze było wilgotne, wino, które pił w ormiańskich winiarniach w Suracie, parowało przez pory jego ciała, a słońce spaliło mu skórę i wybieliło włosy. Ale ta niewygodność była niczym, będzie niczym, kiedy wróci do Anglii z traktatem - dyrektorzy Kompanii z pewnością hojnie go za to wynagrodzą.

Jeśli wróci do Anglii z traktatem. Nie był głupcem, wiedział, że portugalski wicekról Goa natychmiast wyśle posiłki, by zatrzymały Anglika. To dlatego wyprawił się wraz z flotą na otwarte morze - dzięki temu zyskiwał większe pole manewru, a gdyby, nie daj Boże, zgubili drogę, mogli uciec i nie wpaść w ręce wroga.

Oczywiście następnego dnia majtek w bocianim gnieździe krzyknął ostrzegawczo. Na horyzoncie pojawiło się pięć portugalskich okrętów, uzbrojonych i obciążonych działami. Walka trwała przez dwa dni - obie strony poniosły poważne straty, ale Portugalczycy przegrali. Wysłali do Goa rozpaczliwe wieści. Po paru dniach zjawiła się kolejna flota, którą Anglicy znowu pokonali. Portugalczycy uciekli jak niepyszni, z okaleczonymi statkami i ledwie zdolni do oddania salwy.

Best - wiedząc, że jego załoga musi odpocząć - skierował flotę do wybrzeża w okolicach Suratu. Po raz pierwszy od trzech tygodni postawili stopę na stałym lądzie; ci marynarze, którym nie dolegało nic oprócz zmęczenia, otrzymali pozwolenie na zabawienie się w Suracie. Sam Best został w pobliżu statków, gdzie doglądał ich napraw i opatrywania rannych marynarzy.

Od czasu ślubu księcia Churrama do pałacu cesarzowej Dżagat Gosini codziennie przychodzili wróżbici i magowie. Przed *zenaną* czekały tłumy: umazani popiołem asceci z żelaznymi kolcami w policzkach, stare bezzębne wiedźmy twierdzące, że potrafią czytać w myślach, dotykając głowy badanego, oraz astrologi, którzy bez końca stawiali nowe horoskopy, wyznaczali domy i konfigurację gwiazd w chwili jej przyjścia na świat.

Szajsta sprowadzał ludzi, którzy obiecywali zdziałać cuda, ponieważ cesarzowa mu na to pozwalała. Od wielu dni nie ruszyła się z pałacu - od dnia, kiedy musiała się pojawić na ceremonii zaślubin Churrama. Z każdym rytuałem Churram coraz bardziej wchodził do domu Ghijas-bega i jego rodziny, a Dżagat Gosini musiała się przyglądać, jak po raz drugi traci syna. Bolało tak samo jak za pierwszym razem, kiedy Rakajja wyrwała go z jej ramion - a może nawet bardziej. Kiedy tylko dowiedziała się, że Churram w końcu zaślubi Ardżumand, natychmiast po niego posłała. Z początku nie reagował na jej wezwania. Potem zjawił się, ale tak niechętnie, jakby się zmuszał. Miał obcą twarz. Nieustannie odwracał się od niej, odpowiadał, mamrocząc, ale nie dał się odwieść od podjętej decy-

zji. Dżagat Gosini usiłowała go przekonać, że ten związek nie przyniesie mu pożytku - tak, ciotka Ardżumand może i cieszy się w tej chwili przelotnymi łaskami cesarza, ale to nie potrwa długo i jaką wartość będzie miał wówczas ów związek?

Cesarzowa przemawiała do syna długo w nocy, ale on jej nie słuchał. Postanowił poślubić Ardżumand. Wreszcie, kiedy serce pękało jej z bólu, a oczy piekły od łez i niewyspania, Churram podniósł się do wyjścia. W drzwiach odwrócił się i spytał:

- Najjaśniejsza pani, czy wiesz, jak wygląda Ardżumand?

Dżagat Gosini odzyskała nieco nadziei.

- Nie jest dla ciebie odpowiednia.

- Rozumiem.

Z tymi słowami wyszedł, a cesarzowa znowu spojrzała pogodniej w przyszłość. Ale nie na długo. Małżeństwo zostało zawarte, a ona musiała być obecna na ceremonii. Od tej pory Churram ani razu nie złożył jej wizyty.

Szajsta-chan odkasznął dyskretnie. Pochyliła się ku niemu. Kolejny wróżbita czeka na posłuchanie, najjaśniejsza pani. Błagał o audiencję. Cesarzowa wyprostowała się i narzuciła welon na głowę. Niech i ten wróżbita obieca jej szczęście, tak jak pozostali. Teraz zostały jej już tylko obietnice, nic konkretnego.

W progu pojawił się mężczyzna, który złożył jej ukłon. Niósł drewnianą klatkę z metalowymi prętami i talie kart. Dżagat Gosini nabrała powietrza w płuca i zaraz pożałowała, że to zrobiła. Wróżbita nie kapał się od paru dni, cuchnął na odległość. Jego długie włosy lepiły się od potu i brudu, twarz poczerniała od słońca, a zęby jaśniały czerwienią od nadmiaru *paanu*. Jak na człowieka, który tak pogardza swoim ciałem, że o nie nie dba, miał wyjątkowo jasne i żywe, lśniące dziwną inteligencją oczy.

Wróżbita rozłożył karty na dywanie i wypuścił papugę z klatki. Podreptała przed siebie - nie mogła latać, gdyż podcięto jej skrzydła - wyciągnęła jedną kartę i odwróciła ją. Na kartoniku widniał jaskrawy rysunek kobiety. Pasara, powiedziała, służąca Indry, Króla Bogów. Ona wniesie piękno w życie najjaśniejszej pani.

I tak trwało przez parę minut. Jedna karta po drugiej, odczytywane z nich wiadomości. Po chwili Dżagat Gosini przestała słuchać. Pragnęła, by ten dzień się już skończył i by mogła się udać na spoczynek.

- Odwagi, najjaśniejsza pani.

Gwałtownie podniosła głowę. Czy naprawdę to powiedział? Nie, przemawiał do papugi, czule jak do kochanki.

- No, kochanie, wybierz jeszcze jedną kartę... Czy już wszystko stracone, najjaśniejsza pani?

Teraz wróżbita podniósł głowę i uśmiechnął się do niej. Cesarzowa poznała Mahabbat-chana. Wstała.

- Co ty tu robisz?

- Mam nowe wieści, najjaśniejsza pani. - Mahabbat zaczął tasować karty. Rozłożył je. - Cesarzowa Nurdżahan jest brzemienna.

Dżagat Gosini przeszyła go wzrokiem.

- Z pewnością się mylisz, Mahabbacie. Nie słyszałam nic podobnego.

- Ale to prawda. I proszę nie zwracać się do mnie po imieniu.

- Od kiedy?

Mahabbat wytrząsnął z brudnego woreczka za pasem nieco migdałowych okruszków i podał je papudze. Zaczęła je wyjadać prosto z jego dłoni.

- Nie wiem, najjaśniejsza pani, ale od niedawna. To dopiero początek.

Cesarzowa wyciągnęła się na otomanie. Mihrunnisa jest w ciąży. Urodzi dziecko, z pewnością chłopca, a cesarz pokocha ją za to jeszcze bardziej. Dlaczego tak musi być? Co z Churramem?

- Dzieci - powiedział Mahabbat, nadal patrząc na papugę - mają zwyczaj wracania tam, gdzie ich miejsce, najjaśniejsza pani. Książę Churram jest młody, łatwo mu zawrócić w głowie okazany z zainteresowaniem. To dziecko zmieni sytuację. I książę to zrozumie.

Po raz pierwszy od wielu dni letarg opuścił Dżagat Gosini, w której głowie zahuczało od nowych myśli. To prawda, Chur-

ram do niej wróci. Ale dziecko Mihrunnisy zagrażało im wszystkim, a najbardziej Churramowi. Czy tylko ona to dostrzegą?

- Mahabbacie, ona nie może urodzić. - Wypowiedziała te słowa bez namysłu, a potem nie mogła ich już cofnąć. Rozzejrzała się, ale byli sami, bo Szajsta poszedł po wodę dla wróżbity.

- Byłoby lepiej, gdyby do tego nie doszło, najjaśniejsza pani. W tym czasie kobieta jest zawsze najwrażliwsza. Jej ciało i rozum poświęcają się tylko tworzeniu dziecka. Gdyby cokolwiek się z nią stało... kogo można by za to obwinie? Zwłaszcza gdyby załatwić to dyskretnie.

Za drzwiami rozległy się kroki. Mahabbat pospiesznie rozkazał papudze ciągnąć karty. Pojawił się Szajsta, prowadząc ze sobą trzech nowych wróżbitów. Mahabbat zgarnął karty, szybko zagonił papugę do klatki. Po chwili zniknął, bijąc pokłony do ziemi, z opuszczoną głową. Wróżbici odprowadzili go wzrokiem, a potem zaczęli zadawać pytania. Kto to? Z jakiej wioski pochodzi? Z czego wróży?. Dżagat Gosini odmówiła odpowiedzi i przepędziła wróżbitów. Rozkazała Szajście nie sprowadzać ich już więcej.

Następnie zasięgnęła języka, czy wiadomość o ciąży Mihrunnisy jest prawdziwa. Otrzymawszy potwierdzenie, rozpuściła wieści w innych kwaterach *zenany*. Kobiety przeraziły się, a wraz ze strachem pojawił się gniew. Zaraz potem rozpoczęły się intrygi, knucie, spiski. Wiele kobiet zachodzi w ciążę... a potem pewnego dnia traci dziecko, zanim ktokolwiek ujrzy jego twarz.

- Posłańcy z Suratu, najjaśniejsza pani.

- Jakie wieści? - spytała Mihrunnisa z ożywieniem, sięgając po futerał na list.

Rozwinęła zwój i przeczytała go w milczeniu. Anglik zdołał pokonać Portugalczyków trzy razy w ciągu ostatnich paru miesięcy. Rzecz niebywała; Portugalczycy od ponad stu lat dzierżyli palmę pierwszeństwa na Morzu Arabskim - a teraz pokonał ich ten kapitan, Thomas Best! Czy wieści były prze-

sadzone? Wyglądziła kartę na kolanie. List podpisał sam Mukarrab-chan, gubernator Gudżaratu. On by jej nie okłamał. Przeszedł na chrześcijaństwo pod wpływem nauk Portugalczyków.

- Gdzie cesarz?

- W Ibadat-chana, najjaśniejsza pani. Na naradzie z jezuitami.

- Poślij wiadomość, że proszę o natychmiastową audyencję. - Mihrunnisa schowała list do futerału i wstała. Ibadat-chana, Dom Modlitw, został zbudowany wewnątrz pałacowego kompleksu fortu Agry. Pierwszy Ibadat-chana - i jego pomysł - był dziełem cesarza Akbara w Fatehpur Sikri. Nie była to świątynia, lecz ośmiokątny pawilon o przeszklonym suficie, przez który wpadało światło, i wewnątrz z nieskazitelnie białego marmuru. Wszystko lśniło tu bielą - kolumny, posadzki, nawet promienie słońca. Tutaj Akbar zapraszał elitę kapłanów najróżniejszych religii, by rozmawiać o sprawach wiary. Przyjmował tu mnichów buddyjskich i dżinistów, jezuitów z Goa, kapłanów hinduistycznych, przywódców wszelkich sekt mużmańskich oraz zoroastrian.

Pod sufitem Ibadat-chana biegł balkon osłonięty marmurowym ażurem sięgającym aż po sufit. Tu przychodziły damy z *zenany*, by przysłuchiwać się filozoficznym dyskusjom. Zawsze zachowywały milczenie, gdyż wiedziały, że mężowie, którzy przychodzili do tego pawilonu, uważali bardziej subtelne zagadnienia teologiczne za sprawę, którą mogą się zajmować jedynie oni; kobietom pozwalali tylko na postępowanie zgodnie z wolą męża, ojca lub nawet syna. Pytania były zakazane - mężczyźni nawet nie zdawali sobie sprawy, że słuchają ich kobiety, ale gdyby o tym wiedzieli, i tak by je zignorowali.

Mihrunnisa weszła na balkon i przytuliła twarz do marmurowego ażuru. Nastąpiła noc, pomieszczenie było oświetlone jedynie małymi pochodniami na ścianach. Mężczyźni spierali się - niektórzy głośno, z animuszem, inni ciszej, lecz z takim uporem, że powtarzali swoje kwestie tak długo, aż zostali wysłuchani. Obecni byli także jezuici, Pinheiro i Xavier.

Nagle stracili na znaczeniu, pomyślała Mihrunnisa. Od tak

wielu lat usiłowali przekonać najpierw Akbara, potem Dżahangira do subtelnych problemów chrześcijaństwa, ale obaj cesarze widzieli w ich religii zbyt wiele minusów. Monogamia była nie do zaakceptowania. Jak monarcha może poślubić tylko jedną kobietę? Cesarstwem należy rządzić zgodnie z zasadami polityki, a jeśli Bóg kieruje władcą, to wszystko, co czyni władca, jest wolą Bożą także wielożeństwo. Ponadto cesarstwo zyskuje na licznych związkach cesarza. Były także inne niepojęte kwestie. Co to jest niepokalane poczęcie? Jak coś takiego jest w ogóle możliwe?

Mihrunnisa i Dżahangir rozmawiali o argumentach najróżniejszych kapłanów. Nawet hinduizm był nie do pojęcia. Wdowa nie może ponownie wyjść za mąż, dusza przeżywa wiele wcieleń i najstraszniejszy zwyczaj - *sati*, kiedy kobieta ginie na stosie pogrzebowym swego męża. Ale w *zenanie* mieszkały damy wyznające hinduizm; to była ich wiara, choć wiedziały, że nie powinny o tym dyskutować z Dżahangirem. Wystarczy - prawdę mówiąc, to aż zbytnia wspaniałośćomyślność - że zezwolił im dalej praktykować swą wiarę w haremie.

Mihrunnisa przyglądała się ojcu Pinheiro, który pochylił się do ojca Xaviera. Rozmawiali ze sobą w gwarze sali. Czy już wiedzą o Beście? Jeśli słyszeli o nowym Angliku w Indiach, chyba musieli wiedzieć o klęsce swej floty na Morzu Arabskim. Hoszjar wszedł do pomieszczenia; cesarz podniósł się z otomany stojącej na środku.

- Muszę się oddalić - powiedział, gdy kapłani ucichli i złożyli mu pokłon. - Ale proszę, kontynuujcie.

Odczekali do wyjścia Dżahangira, po czym znowu zaczęli dyskusję, ale zaraz w sali pojawiło się piętnastu groźnych ahadi, osobistych strażników cesarza, ze sztyletami za pasem i włóczniami w dłoniach. Pod nieobecność cesarza w Ibadat-chana łatwo było o rozlew krwi w imię Boga, tak skorzy do zwady byli święci mężowie. Ahadi mieli utrzymać porządek; ktokolwiek zagrozi swemu rozmówcy, bez względu na swoją godność i pozycję, miał trafić do więzienia, a po wypuszczeniu otrzymywał zakaz wstępu do Ibadat-chana. Pozwalano na podnoszenie głosu, lecz nie rąk.

- Mihrunniso... - Cesarz stanął u boku swojej żony. - Przynajmniej nas posłuchać?

- Najjaśniejszy panie, otrzymałam wieści z Suratu. - Pokazała mu list. - Angielskie statki pokonały portugalską flotę nie raz, lecz trzy razy.

Przeczytał list uważnie.

- Tak, to prawda. Mukarrab-chan twierdzi, że cesarstwo powinno udzielić pomocy Portugalczykom. - Pokręcił głową. - To niemożliwe.

- Myślisz, że wiedzą?

Oboje przytulili czoła do ekranu i spojrzeli w dół. Ojciec Xavier uniósł głowę, ale nie mógł niczego dostrzec.

- Portugalczycy są zbyt aroganccy, Mihrunniso, zanadto skąpią mi darów. Są moimi gośćmi w Agrze i należy się im cały szacunek, jaki okazujemy gościom, lecz oni go źle wykorzystują - oznajmił cesarz. Mówił cicho, lecz nawet gdyby krzyczał, nikt by go nie usłyszał we wrzawie, jaka wypełniła salę. Znowu spojrzął na list. - Mukarrab zawarł z tym Bestem układ handlowy. Czy powinniśmy rozszerzyć terytorium?

- Aż taka łaska, najjaśniejszy panie? I tak szybko?

Roześmiał się.

- Pozwólmy im tak myśleć. Traktat nie zobowiązuje nas do niczego konkretnego. Możemy pójść za godnym podziwu przykładem Mukarraba, wypowiedzieć wiele pięknych słów, które nic nie znaczą.

- Tak - zgodziła się Mihrunnisa. - Należy także wezwać na dwór angielskiego ambasadora. Nie takiego - skinęła głową w stronę sali na dole - który udaje kapłana, a para się ziemskimi sprawami, lecz człowieka szlachetnie urodzonego, godnego twojej uwagi. To może być początek...

- Zobaczymy. Nie potrzebujemy Portugalczyków ani Anglików na Morzu Arabskim. Chcemy, żeby tam byli, ale na razie ich nie potrzebujemy. - Dżahangir objął żonę i przyciągnął. - Pamiętam o twoich statkach, moja droga. Czy już powróciły z pierwszego rejsu?

Pokręciła głową.

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- Powrócą, i to wkrótce. - Odsunął żonę nieco, by spojrzeć jej w twarz. Nie miała welonu; mógł ją zobaczyć tylko on i Hoszizar. Cesarz ujął jej twarz w dłonie i delikatnie pocałował: w usta, nos i zamknięte oczy. Potem przytulił ją do siebie, oplótł ją szyję ramionami, a głowę oparła o jego pierś tak, że czołem dotykała miejsca, w którym biło serce. - Jak się czujesz, ukochana?

Powiedział to nieco ciszej; Hoszizar, stojący w drzwiach balkonu, nie mógł go usłyszeć w gwarze dochodzącym zza ekranu.

- Zmęczona - odpowiedziała. Uśmiechnęła się w haftowaną materię jego szaty *nadiri*. - Zmęczona, kiedy sobie o tym przypominam.

- Czy Hoszizar wie?

Pokręciła głową.

- Dlaczego?

- Nie jestem pewna. Może... - Głos jej zadrżał. - Chodzi o tamte, które utraciłam. Może dlatego, że to dziecko jest - będzie - tak ważne dla historii. Czasami się boję o jego bezpieczeństwo.

Przytulił ją jeszcze mocniej. Obciągnięte jedwabiem guziki jego *nadiri* wbiły się w policzek Mihrunnisy. Była zmęczona, zbyt zmęczona, by ustać na własnych nogach, stanęła więc na stopach Dżahangira, a on uściśnął ją jeszcze mocniej.

- Nie lękaj się niczego, Mihrunniso, nie wolno ci. Dopóki jestem przy tobie, to, co moje - armia, skarbiec, wszystko - jest na twoje usługi. A co do dziecka, musisz się zwierzyć przynajmniej Hoszizarowi. Ale z pewnością się domyślił.

Uśmiechnęła się, rozmarzona i senna. Jeśli Hoszizar się domyślił, był bardzo dyskretny. Gdy zgłodniała, przynosił jej tace orzechów i rodzynek, ale ani razu nie zjawił się z mieszanką *ghi*, cukru i migdałów, która miała utuczyć kobietę na czas ciąży, a także dziecko w jej łonie. Wychodząc z Dżahangirem z Ibadat-chana w ciepły spokój nocy, wsunęła palce w dłoń cesarza. Razem wrócili do jej apartamentów.

Mihrunnisa sporządziła cesarski *farman* w imieniu Dżahangira. Przyznawał on Anglikom mało istotne przywileje

handlowe na terenie całego cesarstwa i był sformułowany równie zawile jak traktat Mukarrab-chana. Posłużyła się jego dokumentem jako wzorem i dodała tylko jeden nowy rozkaz - powołując na dwór mogolskich przedstawiciela króla Jakuba.

Mimo to Thomas Best był zachwycony. Cesarz po raz pierwszy oficjalnie zaakceptował obecność Anglików w Indiach - cztery lata po przybyciu Williama Hawkinsa. Szybko zakończył wszystkie swoje sprawy i postawił żagle, wyruszając do Anglii.

Ale to wszystko wydarzyło się następnego ranka. Tamtej nocy Mihrunnisa nie myślała - ani czuwając, ani we śnie - o Beście, Churramie, Ardżumand czy Abulu i *bapie*. Cały swój czas poświęciła synowi. Jaki będzie? Podobny do Ladli? Było to bardzo możliwe, ponieważ Ladli bardzo niewiele odziedziczyła po swoim ojcu. A co Ladli pomyśli o braciszku? To jeszcze tak wcześnie, jeszcze nie ma żadnych zewnętrznych oznak, jeszcze nie poczuła w sobie nowego życia. Jedynymi objawami było to nagłe zmęczenie, które zmieniało kończyny w ciężkie kłody, a także głód, szarpiący kłami jej żołądek, l żółć, napływająca do ust na widok każdej potrawy - nawet woda miała jej wyraźny, obrzydliwy posmak - a także nagła wrażliwość na wszystkie zapachy. Nawet perfumy Dżahangira, których zawsze używał, a potem przestał ze względu na nią, nagle zaczęły ją drażnić. Wyczuwała drewno sandałowe, które dodawano do jego kąpieli, czuła mydło, w którym prano jego rzeczy, słońce, które je suszyło - i wszystko to przejmowało ją równą odrazą.

Teraz nie miała już wątpliwości, że jest brzemienna. Nie chciała mówić nikomu, by uniknąć złych oczu i zazdrosnych języków, lecz w *znanie* z pewnością podniesie się wrzawa. Słyszała już o próbach wywołania poronienia u innych kobiet - próbach zakończonych sukcesem. Zepchnięcie ze schodów, mikstura dodana do wina, rzucony urok. Ona obroni swoje dziecko przed tym wszystkim. Dżahangir nie uwierzyłby, że kobiety z jego haremu są zdolne do takich rzeczy, ale ona wiedziała, że zbyt wiele kobiet pała do niej gniewem, ponieważ

odebrała im przywileje, które uważały za swoje. I nie chodzi jedynie o Dżagat Gosini, lecz również o inne.

Ale to nieważne, pomyślała. Obronię moje dziecko. Niech tylko spróbują mi je odebrać.

Parę dni później, kiedy księżyc był w nowiu, Mihrunnisa otworzyła oczy. Serce biło jej gwałtownie, a między piersiami zebrał się rześisty pot. Coś ją obudziło, ale co? Jakiś dźwięk? Czy ktoś zakradł się do komnat? Nie, to sen, dziwny, przerażający sen, w którym goniła ją postać bez twarzy. Mihrunnisa potknęła się i upadła, ręce wyciągnęły się w jej stronę...

Podniosła się z materaca i wyszła do ogrodów. Wszyscy trzymający straż eunuchowie spali twardo, oparci o kolumny werandy. To także wydawało się snem - że mogli być tak nieostrożni, by zamknąć oczy, strzegąc cesarza. Mihrunnisa nie obudziła ich. Zeszła po schodach na trawnik. Niebo było czarne jak atrament. Wietrzyk szeptał w gałęziach tamaryndowca, jakaś postać, biała i upiorna, śmigała między krzakami. Mihrunnisa stanęła na środku trawnika, nie czując lęku, nie wiedząc, czy to jawa, czy jeszcze sen.

Hoszijar dotknął jej ramienia. Mihrunnisa się odwróciła. Co on tu robi? Zwykle przebywał przy niej przez cały dzień. Nigdy dotąd nie zjawiał się w nocy.

- Nie mogę spać, Hoszijarze.

- Może spacer po ogrodach, najjaśniejsza pani?

Ucieszyła się, że może się wesprzeć na jego ramieniu. Ruszyli przez mokrą trawę; rąbek jej *ghagary* natychmiast zwilgotniał. Dotarli do ubitej ścieżki; była gładka, o fakturze śliskiego materiału. W pewnej chwili jej bawełniana *ghagara* uwięzła w gałęziach jakiegoś krzaka; Hoszijar ostrożnie ją wyplątał, ale na gałązce został strzępek materiału. Mihrunnisa szybko się zmęczyła i powiedziała o tym eunuchowi. Ruszyli drogą w stronę werandy, ale nie tą, którą tu przyszła. Ta była wyłożona płaskimi marmurowymi płytami. Mihrunnisa zauważyła, że lśnią nawet tej bezksiężycowej nocy, jakby wypolerowane.

Postawiła stopę na najwyższym schodku, który jakby zapadł się pod jej stopą. Hoszijar szedł tuż za nią.

- Co się stało, najjaśniejsza pani? - spytał.

Mihrunnisa krzyknęła; usiłowała chwycić jego *kabę*. Wpiła palce w jego klapę, ale zostały w nich tylko guziki. Runęła na werandę i prześliznęła się po niej wraz z Hoszijarem, którego przewróciła. Pod plecami czuła chłód kamieni - były gładkie, zbyt gładkie. Wreszcie uderzyła o kolumnę, prawa kostka wykręciła się i znalazła pod jej udem, kolano wbiło się w kamień, wstrząs przeszył brzuch i pierś. Usłyszała, że Hoszijar także o coś uderzył, gdzieś blisko niej.

Pomimo bólu poczuła jakiś dziwny zapach, coś nietypowego. Aromat nocnego ogrodu, wygrzane słońcem kamienie ścieżek, chłodna woń marmuru... ale także coś innego. Coś kojarzącego się z kuchnią, z kosmetykami, z płukankami dodającymi włosom blasku. Gryzący zapach oleju sezamowego.

Jakie to dziwne, pomyślała, gdy ciało zaczęło zapadać w letarg, który przyniósł ulgę. A tracąc przytomność, poczuła nowy ból, potężny i przeszywający. Poruszyła wargami.

- Dziecko...

ROZDZIAŁ ÓSMY

Wielce ganił jego sposób rządzenia i mówił mu, że nie godzi się pozwalać kobiecie władać cesarstwem.

Niccolao Manucci, *Storia do Mogor*

- Czy życzysz sobie następnego sorbetu, przyjacielu? Ze świeżym lodem?

Na dźwięk głosu amira ul-umry Mahabbat-chan podniósł głowę znad kielicha.

- Tak, proszę.

Muhammad Szarif dał znak służącym. Ładna niewolnica podbiegła, by spełnić jego rozkaz.

Mahabbat-chan zabełtał sorbet z *chusu*, przesunął palcem po wzorach na chłodnym srebrnym kielichu. Zanurzył w nim palec, wyłowił okruch lodu i włożył go do ust. Chłodna strużka spłynęła mu w głąb gardła. Smakowała jak woda z górskich rzek na północy, w Himalajach, w krainie króla Himawara, którego córka - zgodnie z wierzeniami hinduistów - była żoną Pana **Siwy**.

Ale tu nie było gór, które zasłaniają słońce. Tutaj równiny rozciągały się jak okiem sięgnąć, spieczone i bezkresne. Nocne powietrze stało, ciężkie od zapowiedzi kolejnego monsunu. Upał przygniótł Agrę, dławił każdy oddech, otepiały zmysły. Mahabbat otarł spocone czoło i spojrzął w rozgwieżdżone niebo. Jeszcze parę dni, pomyślał, a nadejdą monsunowe deszcze. Zacznie się ulewa, która napoi spragnioną, wyschniętą, spękana ziemię i przyniesie życie. Pola znowu się zazielenia

kwiaty rozkwitną, ludzie będą szczęśliwi, radośni. Monsuny radowały wszystkich. Jeśli zjawiały się późno, zbiory ryżu, zależne od opadów, także się spóźniały, co oznaczało, że ziarno będzie miało złą jakość, albo - jeszcze gorzej - że nie obrodzi.

Dwaj przyjaciele siedzieli na zewnętrznej werandzie w domu Szarifa, z której rozciągał się widok na ogród. Lampiony z kolorowego papieru na drzewach *czenar* mżyły łagodnym blaskiem. Kamienna posadzka była przykryta tylko trzciniowymi matami. Co pół godziny służący spryskiwał je wodą różaną i przez chwilę czuli wokół siebie wonny chłód, który zaraz roztapiał się w upale.

Przed Szarifem i Mahabbatem kołysały się trzy tancerki. Wyglądały żałośnie, płynnie poruszając ramionami, kiedy po ich drobnych ciałach spływały strugi potu. Ich ruchy były nierytmiczne, jak marionetek, miotanych bez gracji i sensu.

- Wystarczy. Idźcie do kuchni, niech wam dadzą coś chłodnego. Nie chcę, żebyście umarły z upału - powiedział Szarif. Od samego patrzenia na te dziewczęta robiło się gorąco.

- I odeślij niewolników - dodał Mahabbat.

Szarif skinął głową. Wszyscy opuścili dziedziniec.

- Co cię dręczy? - spytał Szarif. - Jesteś zamyślony od samego obiadu. Czy to przez ten upał?

Mahabbat położył się na otomanie.

- Monsuny złagodzą upał - rzucił z rozdrażnieniem. - Ale na moje troski nie ma rady.

- O? - Szarif uniósł brew. - Kobieta? Mężatka?

- Tak - burknął Mahabbat-chan, a widząc uśmiech przyjaciela, dodał pospiesznie: - Nie, nie chodzi o romans. Mówię o kobiecie, która zmieniła moje życie w piekło. Przez nią straciłem łaski cesarza.

Szarif spoważniał.

- Spokojnie, przyjacielu. To, co mówisz, trąci zdradą stanu. - Ostrożnie rozejrzał się dookoła z niepokojem. - Gdyby ktoś nas usłyszał...

- Kto by mógł nas usłyszeć? Czy nie jesteś bezpieczny we własnym domu?

- Jestem... - powiedział Szarif powoli. - Ale ona ma wielkie wpływy i wie wszystko.

- *Sahib*, wiadomość od najjaśniejszego pana.

Obaj mężczyźni podskoczyli. Za ich plecami stał służący z listem.

- Nie skradaj się! - rzucił Szarif ze złością i sięgnął po list. Zerknął na Mahabbata; obaj pomyśleli o tym samym. Czy służący podsłuchiwał ich rozmowę?

Szarif przeczytał list.

- To do ciebie, przyjacielu - powiedział. - Cesarz wzywa cię do *zenany* w przyszłym tygodniu.

- Przekaż cesarzowi, że przybędę - zwrócił się Mahabbat do służącego.

Po jego odejściu obaj ministrowie zamilkli. Wiele się zmieniło od czasu, gdy Mihrunnisa poślubiła Dżahangira. Teraz to ona bez reszty rządziła cesarzem, a co za tym idzie - cesarstwem. Tego nie mogli znieść. Przez sześć lat byli najpotężniejszymi ludźmi w cesarstwie, ustępowali jedynie Dżahangirovi, aż raptem, z dnia na dzień, znaleźli się na marginesie. Dżahangir nie zwracał się już do nich o radę, nie konsultował się z nimi w sprawach wagi państwowej; wszystko przechodziło przez ręce Mihrunnisy. Teraz do angielskiego kapitana wysłano traktat podpisany przez samego najjaśniejszego pana. A oni nie mieli o tym pojęcia, dopóki z Agry nie wypadł posłaniec z *farmanem* owiniętym wokół srebrnej pałeczki.

- Znowu spotkałem się z cesarzową Dżagat Gosini - odezwał się Mahabbat.

Wielki wezyr cesarstwa nie spojrzął na swojego przyjaciela.

- Jesteś głupcem, Mahabbacie. Głupcem po dwakroć. Wiem, że tym razem poszedłeś do *zenany*, do jej komnat, że usiadłeś przed jej obliczem. Myślisz, że nikt się o tym nie dowie? I ja - kiemu to celowi posłużyły te daremne spotkania?

Mahabbat zerknął z zaskoczeniem na przyjaciela. Ile furii, jak wiele słów! Szarif rzadko się odzywał, wołał przemawiać spojrzeniami i językiem ciała. Przez wszystkie lata ich znajomości mówienie było sprawą Mahabbata. A Szarif wykonywał to, co mu kazał. Jeśli czasem zgłaszał protest, to słaby.

- Nazywasz mnie głupcem? - spytał cicho Mahabbat. Wyjął sztylet z pochwy i położył go na otomanie między nimi.

Szarif roześmiał się - bardzo nieprzyjemnie. On także wyjął sztylet - większy, szerszy, grubszy, o obosiecznej klindze, tak ostrej, że przesuwając się, rozcięła aksamitną tapicerkę otomany.

- Gdybyś wysłuchał moich słów, sam uznałbyś się za głupca, którym jesteś.

Obaj przez parę chwil mierzyli się wzrokiem; Mahabbata świerzbiały ręce, by chwycić za sztylet, ale wiedział, że Szarif jest szybszy i zwinniejszy. Bez względu na całą ich przyjaźń, Mahabbat skończyłby z ręką przygożdżoną do otomany. Ten upał odebrał im obu rozsądek, to dlatego Szarif tak na niego napada.

- Masz rację - powiedział Mahabbat stłumionym głosem. - Chciałem wejść do *zenany*, do komnat cesarzowej... po prostu dla zabawy. Poszedłem, by ją pocieszyć w związku z małżeństwem Churrama. Ale, Szarifie... - Zaczekał, aż przyjaciel schowa sztylet do pochwy, dopiero potem uczynił to samo ze swoim. - Cesarzowa Nurdżahan jest brzemienna.

- Więc dlaczego poszedłeś? Nie masz własnych dzieci?

- Wiesz, że mam, przyjacielu.

- I jakie były twoje kobiety w tych miesiącach? I przez wiele miesięcy potem, kiedy opiekowały się wrzeszczącymi noworodkami?

Mahabbat się uśmiechnął. Zdarzało mu się to tak rzadko, że jego twarz nie potrafiła przybrać nieznanego wyrazu. Zwykle pozostawała spokojna, a jego gładkiej śniadej skóry nie znaczyła żadna zmarszczka.

- Jak więdźmy i strzygi. Nie chciały, by ich dotykać, nie chciały rozmawiać, a jeśli już rozmawiały, to po to, by jęczeć, płakać i żalić się na upał albo na zbyt mocne zapachy, albo na głód, choć przed nimi leżały sterty smakołyków. Musiałem je od siebie oddalać i pozwalałem im na powrót dopiero wówczas, gdy odzyskały dobry humor i zwracały na mnie więcej uwagi niż na dziecko.

- Naprawdę? - Szarif położył się na wznak i uniósł głowę,

by pociągnąć łyk sorbetu z kielicha. - Martwisz się o ciążę nowej cesarzowej tak bardzo, jakby twoje kobiety były bez wyjątku anielicami.

- Co...? - zdziwił się Mahabbat i usiadł. Tym razem jego uśmiech był szczerzy i pełen zachwytu. - Cesarz nigdy tego nie zaakceptuje. Nie lubi płaczących kobiet, a kiedy je od siebie oddala, przeważnie o nich zapomina.

- Najjaśniejszy pan ma, w przeciwieństwie do nas, wiele kobiet do wyboru.

- Więc mówisz, żebyśmy zostawili ją w spokoju? Dlaczego wcześniej nie przyszło mi to do głowy?

- Bo przy każdej zmianie sytuacji chcesz działać, nie zastanawiając się, czy to ma sens. Nie zastanawiając się, czy ta zmiana nie posłuży naszym interesom - odparł Szarif opryskliwie.

Mahabbat położył mu rękę na ramieniu.

- Przepraszam, że wyjąłem sztylet. Obaj jesteśmy dziś rozdrażnieni.

- Co powiedziałaś cesarzowej Dżagat Gosini?

- Opowiedziałem jej o tej ciąży. - Mahabbat zniżył głos. - Powiedziałem jej... nie, zasugerowałem, że można by jakoś zaradzić tej sytuacji. Inne kobiety także będą zazdrosne, a zawiść dodaje sił nawet najśłabszemu z wrogów. Coś mogłoby się wydarzyć...

- Jesteś idiotą - przerwał mu Szarif. Usiadł i odkleił od pleców przeпоconą białą kurtę. - Teraz naprawdę coś się wydarzy. Kobiety tego dopilnują. Cesarz da się wciągnąć w ich niesnaski, a wtedy, jak myślisz, ile będzie miał dla nas czasu? Dlaczego niepotrzebnie zwracasz uwagę na nową cesarzową?

- Wystarczy tych wyzwisk. - Mahabbat podniósł głos. - A jeśli ona naprawdę urodzi? I jeśli to będzie chłopiec? Zostanie następcą tronu, a ona zyska jeszcze większą władzę niż w tej chwili.

- Zastanów się... - Szarif pochylił się ku swemu przyjacielowi. - Zastanów się przez chwilę nad tym, co mówisz. Nawet jeśli to będzie chłopiec, dorosłość osiągnie dopiero za piętnaście lat. Do tej pory będzie jedynie materiałem na następcę

tronu. A kto będzie go chronił? Pozostali synowie cesarza są dużo starsi. Czy sądzisz, że księżę Churram tak łatwo zrezygnuje ze swoich praw do tronu?

- Nie powinienem nic mówić - odezwał się cicho Mahabbat.

Siedzieli w milczeniu przez chwilę. Teraz Mahabbat poczuł prawdziwą skruchę. Szarif miał rację. Niech Mihrunnisa urodzi to dziecko, niech się nim zajmuje, nie będzie miała wówczas czasu na mieszanie się do spraw państwa. Wczoraj w *diwan-i chass* Dżahangir powiedział: „Zanim ją poślubiłem, nie wiedziałem, co naprawdę znaczy małżeństwo. Powierzyłem jej prawo do sprawowania rządów”. Po jego słowach w sali zapadła cisza. Co można było rzec? Powierzenie takiej władzy kobiecie, choćby i cesarzowej, było po prostu obrazą.

- Miałeś rację co do mojego spotkania z Dżagat Gosini. Powinienem się raczej udać do cesarza - odezwał się Mahabbat, myśląc na głos. - Tak... - Pokiwał głową. - To z cesarzem należy porozmawiać.

- Nie. - Szarif położył mu na ramieniu rękę. - Kiedy chodzi o cesarżową Nurdżahan, cesarz staje się ślepy. Nie mów nic przeciwko niej.

- Ktoś musi mu przemówić do rozsądku. - Mahabbat zerwał się z otomany i zaczął krążyć wokół niej z rękami splecionymi na plecach. - Wiesz, co cesarz powiedział w obecności wszystkich wielmożów. Wiesz, że śmiali się z jego obsesji. Muszę go o tym poinformować. Trzeba mu uświadomić, że stał się pośmiewiskiem. - Zatrzymał się przed przyjacielem i wyciągnął do niego rękę. - Widzisz, gdzie teraz jesteśmy? Ty jesteś amirem ul-umrą cesarstwa, wielkim wezyrem. I jakież to decyzje ostatnio podjąłeś? Kiedy ostatnio odezwałeś się podczas audiencji? Ustanawiasz tylko budżet *zenany* - który i tak aprobuje nowa cesarzowa. Czy tak wyglądają obowiązki premiera? Jeśli cesarz jest śmieszny, to my tym bardziej, gdyż pognębiła nas kobieta!

Szarif przyjrzał się przyjacielowi. Mahabbat był tak wzburzony, że nie mógł ustać spokojnie; nieustannie przestępował z nogi na nogę. Zawsze był taki; nie zaznał spokoju, dopóki

czegoś nie zrobił. Zawsze czymś się trapił, zastanawiał się, jak naprawić sytuację, nie potrafił się zmusić do cierpliwości. I dlatego właśnie pakował się w kolejną kabałę.

- Usiądź i okaż choć tyle uprzejmości, by mnie wysłuchać - powiedziała Szarif. Mahabbat pokręcił gwałtownie głową toteż jego przyjaciel ciągnął: - Nie rozmawiaj z cesarzem 0 cesarzowej Nurdżahan. Kiedy zdołaliśmy go odwieść od raz powziętego zamiaru? Zaczekaj, niech sprawy się ułożą i zobaczymy, co się stanie.

Mahabbat w odpowiedzi znowu zaczął krążyć po dziedzińcu; jego bosc stopy stapały bezszelestnie po płytach z czerwonego piaskowca. Szarif przyglądał mu się przez parę minut. W końcu zmęczony chodzeniem Mahabbat powiedział:

- Dobrze. Zaczekam.

- Udajmy się na spoczynek - zaproponował Szarif. - Już późno.

Na werandzie pojawił się służący i tym razem zobaczyli go obaj. Przyniósł kolejną wiadomość, zaadresowaną do Mahabbata kobiecą ręką, choć nie był to charakter pisma cesarzowej Dżagat Gosini. Mahabbat głośno odczytał list Szarifowi, nie czytając go uprzednio samemu. Mihrunnisa była poważnie chora; zeszłej nocy pośliznęła się w *zenanie*. Cesarscy lekarze nie rokują pomyślnie ani jej, ani dziecku.

Parę następnych dni minęło bardzo powoli. Na porannej 1 popołudniowej *dżharoce* nic się nie działo, jeszcze mniej w *diwan-i am*. Przez pierwsze dwa dni cesarz Dżahangir nie zjawił się na *dżharoce*, co się do tej pory nie zdarzyło. Wielmoże i zwykli śmiertelnicy, którzy przybyli na poranną audiencję, poczuli się urażeni i zaniepokojeni. Cesarz zawsze przychodził na posłuchania - zdrowy czy chory, wyspany czy nie, zawsze stawał na balkonie, nieogolony, zirytowany czy po prostu chory, rozgorączkowany i blady. Tak bardzo przywykli do widywania Dżahangira i Mihrunnisy, że czekali dwie godziny na audiencję i przez cały ten czas nikt nie wypowiedział ani słowa, jak w obecności władcy.

Mogłoby się zdawać, że na Agrę spadła zaraza. Na baza-

rach zaczęła krążyć pogłoska o śmierci Mihrunnisy, a potem o jej cudownym ozdrowieniu. Rozmawiano o naparach i eliksirach. Gdyby wzięła nieco kurkumy i imbiru w bawolim mleku, gorączka by spadła. A na wzburzony żołądek najlepsza jest woda *adżwain*, nasiona prażone na suchej patelni, a potem gotowane z cukrem palmowym, w celu usunięcia goryczy. Na każdą możliwą chorobę znano lekarstwo, przekazywane z pokolenia na pokolenie, a także przywiezione przez podróżników i kupców z dalekich krajów. Nikt nie wiedział, co naprawdę przydarzyło się cesarzowej. Cesarskie pałace i dziedzińce były jak kosze do łowienia ryb, z których woda wycieka strumieniami - tak wiele osób wchodziło do fortu i wychodziło z niego, że przynosili pod dostatkiem wieści. Ale od czasu wypadku Mihrunnisy pałace zamknięto. Nie słuchano już muzyki, muzycy więc beczynnie siedzieli pod ścianami, nie załatwiano interesów, toteż służący czekali na rozkazy swoich pań, nie wpuszczano posłańców. Wszystkie informacje o chorobie Mihrunnisy były zmyślane. W nocy, kiedy upadła, wezwano cesarskich *hakimów* - i do tej pory nie opuścili pałacu.

W komnatach Mihrunnisy cisza, jaka zapadła w cesarstwie, wydawała się najgłębsza. Było późne popołudnie, okna zasłonięto kotarami z grubego niebieskiego aksamitu. Nie stykały się dokładnie i słoneczna strzała zdołała się wedrzeć do komnaty.

Mihrunnisa otworzyła oczy; słoneczny promień ujrzała pierwszy. Był prosty niczym włócznia i celował prosto w otomanę, na której leżała. Podstawiła pod niego dłoń; brylantowe pierścienie na jej palcach strzeliły tęczowymi iskrami. Leżała na brzuchu, z twarzą odwróconą w stronę okien. Wczoraj ocknęła się z głębokiego snu i rozkazała Hoszizarowi dopilnować, by w komnacie zawsze paliło się światło.

Obok, u jej stóp, czuwał cesarz. Siedział po turecku na podłodze, z książką na kolanach i spojrzeniem wbitym w jej karty, ale jego usta się poruszały. Dżahangir się modlił. Przez jakiś czas przyglądała mu się, lekko obróciwszy głowę. Serce wypełniła jej ogromna, gorąca miłość. Jak kiedykolwiek zdoła mu się odwdziżyć za to poświęcenie? Bo to było prawdziwe

poświęcenie. Za każdym razem, gdy się budziła, widziała obok siebie Dżahangira. Przez kilka pierwszych dni ból tłumił wszystkie inne uczucia. Jeśli zjawiali się *hakimowie*, nie widziała ich ani nie słyszała. Hoszizar, a czasem Dżahangir, zmuszał ją do zjedzenia *chiczri* i wypicia wody; jadła i piła, ponieważ jej kazano, nie dlatego że chciała. Przeprowadzono jej także Ladli. Rozkazała, by trzymać córkę z daleka od niej, aż wydobrzeje. Teraz nie miała dla niej czasu i nie potrafiła sprawić, by z oczu córki zniknął strach. Każdą myśl, każde życzenie poświęciła dziecku w swym łonie.

Wsunęła rękę pod ciało, dotknęła brzucha. Czuła, że ta wilgoć między nogami nie jest naturalna. Przez parę pierwszych dni krwawiła, to nieuniknione, jak orzekli lekarze. Ale teraz... po policzkach potoczyły się jej łzy, wsiąkły w jedwabną powłóczkę poduszki. Krwawienie nie ustało aż do dziś. Żółądek kurczył się jej boleśnie, wszystko w środku ją bolało, życie, które w niej rosło, wydarto z niej, wybito tak, jak praczki tłuka ubraniami o kamienie na brzegach Dżamny. Dlaczego, Allahu? Dlaczego to się musiało stać? Dlaczego to się stało jeszcze raz?

- Mihrunniso... - Cesarz Dżahangir odłożył książkę i przysunął się do niej. Ukląkł u jej boku, wtulił twarz w jej szyję. Szybko otarł łzy, które stanęły mu w oczach, nie zdołał ich powstrzymać. - Wszystko będzie dobrze. *Ćśśś...*

Nie wiedział, co jeszcze mógłby zrobić, co rzec. *Hakimowie* powiedzieli mu, że Mihrunnisa pozbędzie się smutku tylko wtedy, kiedy go wypłacze. Wówczas ból ustąpi. Ale minęło wiele dni i łzy się nie pojawiły. A kiedy płakała, a robiła to niemal za każdym razem, kiedy się budziła, serce mu się łamało. Był bezradny. Przyglądał się jej, szeptał słowa pociechy albo takie, jakie mu się nimi wydawały, przytulał ją do piersi. A ona ciągle płakała. Znowu przytulił policzek do jej twarzy i poczuł wystające kości policzkowe. Nie miała już siły na nic, spoglądała na niego mętnym, nieprzytomnym wzrokiem, jakby był obcy.

Usiadł na otomanie obok niej, położył się. Tym razem odwróciła się do niego, chwyciła kołnierz jego *nadiri* i po kilku

minutach jej szloch utracił gwałtowność i ustał. Dżahangir odgarnął jej włosy z czoła, zlepione, przesiąknięte potem, zmatowiałe od brudu.

- Najjaśniejszy panie... - szepnęła i spojrzała na niego pytająco.

Pokręcił głową.

- Nie. Było za dużo krwi.

Przeraził się, że Mihrunnisa znowu pograży się w smutku, że smutek mu ją zabierze, że ta przekłeta choroba sprowadzi na nią śmierć. Ale nie mógł jej okłamać; nie tego się po nim spodziewała, zatem nie powinien kłamać.

Nie rozpłakała się znowu.

- Rozumiem... jak to się stało, że upadłam?

Tego pytania bał się najbardziej. Ale tu także nie mógł jej powiedzieć nieprawdy.

- Posadzka została natłuszczona sezamowym olejem, Mihrunniso.

- Ach... więc to spisek.

Po raz pierwszy od wielu dni obudził się z niej gniew. Nie mogła opanować drżenia. Kto się ośmielił? Jak? Tak trudno było jej utrzymać ciężę - Ladli była darem Allaha, cudem po tak wielu poronieniach. Ktoś rozlał na posadzce olej, dlatego lśniła nawet w bezksiężycową noc, dlatego właśnie tuż przed utratą przytomności pomyślała o nasionach sezamu.

- Kto? - spytała z płonącymi oczami.

Dżahangir pokręcił głową.

- Ale to się już nie powtórzy, Mihrunniso. Daję ci słowo.

Cofnęła się i próbowała usiąść, ale kończyny miała zbyt ciężkie, zbyt osłabione po tylu dniach leżenia, i znowu opadła na posłanie.

- Odpocznij, moja droga - powiedział Dżahangir. - Jestem tu, by nad tobą czuwać. Chcesz coś zjeść?

- Tak. - Nie chciała jeść, ale chciała żyć. Dopadnie tych, którzy jej to zrobili, każde ich zakopać w ziemi na palącym letnim słońcu, by jego promienie ugotowało im mózgi, by umarli, wiedząc, że z cesarzową Nurdżahan lepiej nie zaczynać.

Zjadła posłusznie wszystko, co jej przyniesiono, oparta

o Dżahangira. Hoszizar karmił ją własnoręcznie. Potem cesarz kazał jej zasnąć i usłuchała, ponieważ musiała nabrać sił.

Przespała cały ten dzień i noc, a Dżahangir czuwał u jej boku. Zostawił ją jedynie na czas wieczornego posiłku. Do jej komnaty wchodził wyłącznie Hoszizar, wszyscy inni mieli zakaz wstępu. Cesarz przyglądał się żonie w świetle lamp oliwnych. Oddychała regularnie, nie poruszała się, chyba że po to, by zmienić pozycję. Był to zdrowy sen, pozbawiony oznak choroby.

Kiedy muezini z meczetów wokół Agry wezwali wiernych do ostatniej modlitwy dnia, Dżahangir rozłożył swój modlitewny dywanik i odwrócił się na zachód, w stronę Mekki. *Allahu Allahu Akbar*. W płynnych głosach muezinów brzmiał spokój. Słońce zachodziło, malując niebo na złoto i pomarańczowo, po uliczkach Agry snuł się dym z palenisk po wieczornym posiłku.

Dżahangir skończył się modlić i znieruchomiał na klęczkach, z rękami opartymi na kolanach. Przez parę ostatnich dni szalał w pałacach *zenany*. Każda kobieta z haremu musiała zeznać, gdzie była ostatniej nocy, z kim rozmawiała, kogo przyjmowała w ciągu kilku ostatnich miesięcy, kto trzyma olej sezamowy wśród swoich kosmetyków. Tych ostatnich było wiele, ale Hoszizar pobrał od każdej próbkę oleju i porównał je z tym z posadzki. Dżahangir w pierwszej chwili nie mógł uwierzyć. Kto ośmieliłby się skrzywdzić jego żonę? Kto się odważył? Dlaczego nikt nie spostrzegł, co się święci? Ktoś musiał przynieść wiadro oleju i natrzeć nim podłogę - tylko tak można to było załatwić.

Dżahangir nie spał od wielu dni. Dopilnował, by każda osoba z haremu - żony, konkubiny, niewolnice, eunuchowie, strażniczki - także nie zaznała chwili odpoczynku. Obciążł ich dochody o połowę, by i oni poczuli ból. Nie taki jak Mihrunnisy, ale zawsze. Jej dochód potroił - kiedy leżała nieprzytomna na otomanie, nadał jej więcej *dżagirów* i dystryktów, a w suchych dokach Suraturozkażał zbudować dla niej jeszcze trzy statki. Wszystko to robił otwarcie, dbając, by wszyscy dowiedzieli się o jego darach dla Mihrunnisy.

Podniósł się z dywanu i zrolował go. Usiadł przy oknie i spozjrzał na sierp księżyca. Gdzie był księżyc, kiedy Mihrunnisa go potrzebowała? A gdzie był on sam? Spał w swojej komnacie i sądził, że ona także śpi w pobliżu. Zaniebawił swój obowiązek, nie troszczył się o nią. Obiecał jej to i nie dotrzymał obietnicy. Ale to się więcej nie powtórzy. Pochylił głowę. Dziękuję, Allahu. Dziękuję, że mi ją oddałeś.

Położył się obok Mihrunnisy, a ona odwróciła się do niego we śnie. Zamknął oczy. Po raz pierwszy od wielu dni zrobiło mu się lżej na sercu. Nie będzie miał dziecka. *Hakimowie* powiedzieli, że Mihrunnisa nie będzie mogła więcej urodzić.

Ale nadal miał ją. I to mu wystarczy.

- Gdzie najjaśniejsza pani?

- Pojechała odwiedzić matkę - odpowiedziała strażnik.

Serce Mahabbat-chana zabiło mocniej. To z pewnością dobry znak. Skoro Mihrunnisy nie ma w pałacu, on może się swobodnie zwrócić do cesarza.

- Możesz wejść, panie - powiedział strażnik, otwierając drzwi do komnaty Dżahangira.

Mahabbat wszedł i złożył cesarzowi *konisz*. Kiedy się wyprostował, ujrzał z zaskoczeniem, że Dżahangir wygląda zdrowiej niż poprzednio. Była to pierwsza prywatna audyencja u cesarza od wielu miesięcy. Niegdyś Szarif i on mogli do woli odwiedzać Dżahangira, nie prosząc o pozwolenie. Teraz Mahabbat stał w progu i czekał, a Dżahangir jeszcze nie podniósł głowy znad księgi.

Twarz cesarza lśniła zdrowym rumieńcem, nie gorączkową czerwienią po nadmiernej ilości opium; jego oczy błyszczały pod krzaczastymi brwiami, tym razem wolne od szklatego blasku alkoholu. Mahabbat zawahał się, stracił pewność siebie. Jeśli Mihrunnisa zdołała odwieść Dżahangira od przyjmowania opium i picia wina, to w rzeczy samej była zdolna do czynienia cudów. Jakie miał szanse przeciwko takiej przeciwniczce?

- *As-salam alajkum*, najjaśniejszy panie.

- *Walejkum as-salam* - odparł Dżahangir, dopiero teraz podnosząc oczy. Uśmiechnął się promiennie. - Miło cię widzieć.

- Najjaśniejszy pan mnie wzywał?
- Tak. Pójdź, drogi przyjacielu, usiądź. Mamy sobie wiele do powiedzenia.

Mahabbat przyspieszył kroku. Cesarz zwracał się do niego z takim samym uczuciem jak niegdyś. A pozwolenie na siedzenie w jego obecności było prawdziwą łaską. Było także zapowiedzią długiej rozmowy. Mahabbat skłonił się raz jeszcze i przysiadł na brzeжку otomany.

- Jak się miewasz? - spytał Dżahangir.

- Jestem zdrow, najjaśniejszy panie - odparł Mahabbat. - Ty także wyglądasz zdrowo, chwała Allahowi. Trudno to zauważyć podczas *dżharoki* lub audiencji w *diwan-i am*, lecz jestem bardzo wdzięczny, że mnie na nie wzywasz.

Dżahangir pochylił głowę.

- Mam za co dziękować Allahowi. To radosne dni, Mahabbacie. Najjaśniejsza pani odzyskała zdrowie.

- Najjaśniejszy panie, całe cesarstwo raduje się wraz z tobą - odparł Mahabbat ostrożnie. Mówił dwornie, ale serce zabiło mu ze strachu. Czy powiedział coś złego? Czy lepiej nic nie mówić, tak jak doradzał mu Szarif? Na samą myśl o przyjacielu zaczęły go dręczyć wyrzuty sumienia, ponieważ amir ul-umra nie wiedział, że Mahabbat po raz kolejny nie usłucha jego rady.

- Zaniebaliśmy wiele moich obowiązków - ciągnął Dżahangir - i dlatego cię tu wezwałem. Czy słyszałeś o najnowszych wieściach z Dekanu?

- Tak, najjaśniejszy panie. Ambar Malik z powodzeniem odparł ataki na Ahmadnagar - powiedział Mahabbat-chan.

Ambar Malik był abisyńskim niewolnikiem na usługach Czingaz-chana, zdobywcy Beraru, kraju na południe od granic cesarstwa mogolskiego. Awansował i okazał się niezwykle sprawnym i dzielnym żołnierzem. Odkąd Dżahangir wstąpił na tron, Ambar Malik wiele razy napadł z zaskoczenia armię mogolską, strzegącą południowych granic cesarstwa.

Zagrożenie było nieuniknione. Przy tak wielkim kraju zmiana panującego była sygnałem dla wszystkich innych władców. Oczywiście wszyscy wysłali posłańców z gratulacjami, lecz

pisząc jedną ręką, drugą sięgnęli po miecz. Szukali słabych punktów nowego państwa, słabości nowego cesarza, czegokolwiek, dzięki czemu mogliby rozszerzyć granice własnych krajów. I tak rok po koronacji Dżahangira na północno-zachodniej granicy cesarstwa doszło do konfliktu. Szach Persji, który nazywał Dżahangira bratem i wysłał do niego mdląco słodki list, kazał swoim gubernatorom stanąć w szyku bojowym na granicy cesarstwa. Dlatego Dżahangir wysłał potężną armię, by „odwiedziła” graniczne miasteczko Kabul, jedynie po to, jak wyjaśnił swojemu bratu szachowi, by tam odzyskała kondycję i formę dzięki manewrom.

Jednak z Ambarem Malikiem takie dyplomatyczne zabiegi spełzały na niczym. On nie zadowolął się pogroźkami; wpadł z rykiem w środek bitwy i zmusił cesarskie wojska do odwrotu.

Dwa lata temu Ahmadnagar wpadł w ręce Ambara Malika. Chan-i chanan Abdur Rahim, główny dowódca cesarskiej armii, ruszył do Dekami, by zająć się tą sprawą - a jednak oddał miasto Ambar Malikowi. Potem chan Azam chwalił się, że odzyska utracone terytorium w dwa lata, jeśli tylko otrzyma dowództwo nad cesarskimi siłami. Dżahangir zgodził się i wysłał Azama Salabat-chana do Dekanu na miejsce Abdur Rahima.

- Chan Azam chełpił się swoimi zdolnościami w dowodzeniu armią. Nie widzę żadnych oznak zwycięstwa nad tym przybłądą Malikiem - powiedział Dżahangir.

- W rzeczy samej, najjaśniejszy panie. Malik to groźny przeciwnik. Nie ma wielkich sił, lecz podobno władcy Bidżapuru i Golkondy wspierają go zapasami żywności i swoimi siłami.

- Tak, ale armia cesarska musi pokonać Malika raz na zawsze. Samo jego istnienie jest dla nas uciążliwe. Poprosiłem cię tutaj, by wezwać chan-i chanana do powrotu do Dekanu i zwolnienia chana Azama z jego obowiązków. Natychmiast wyślij Abdur Rahima w drogę. Niech odzyska to, co stracił, jeśli chce zasłużyć na moje poparcie.

- Jak sobie życzysz, najjaśniejszy panie - rzekł radośnie Mahabbat. Była to oznaka łaski. Dżahangir mógłby bez trudu

osobiście wysłać wiadomość do Abdur Rahima, ale postanowił przekazać ją przez starego przyjaciela. Jeszcze raz zwrócił się do niego, znowu szuka jego pomocy. Tak jak kiedyś. Tak jak być powinno. Szarif również będzie zadowolony. Teraz pokaże cesarzowi, że jego dobro oraz dobro jego rodziny zawsze mu leży na sercu.

- Warto także wysłać do Dekanu kogoś, kto by czuwał nad księciem Parwezem. Najjaśniejszy pan musiał słyszeć o jego zachowaniu.

- Tak, tak. - Dżahangir machnął ręką z irytacją. - Mój syn jest pijakiem, wiem o tym. Ale chan-i chanan okazał się kiepskim opiekunem. Czy mamy posłać kogoś innego, by opiekował się Parwezem?

Mahabbat zadygotał z rozkoszy. Czyli jednak miał rację! Opowie o tym Szarifowi i zamknie mu tym usta. Kolejna prośba cesarza.

- Być może powinienes surowo upomnieć Abdur Rahima, najjaśniejszy panie. Słowo ostrzeżenia z twoich ust sprawi, że zaczniesz pełnić swe obowiązki z większym przekonaniem.

- Nie chcę się widzieć z Abdur Rahimem. Powiedz mu, że ma oduczyć Parweza picia wina. - Dżahangir odprawił Mahabbata skinieniem głowy i wziął książkę.

Mahabbat-chan skłonił się nisko i powoli wycofał się z pokoju. W progu jeszcze się zatrzymał.

- Najjaśniejszy panie...

Cesarz podniósł wzrok znad książki.

- To dość delikatna kwestia. Jeśli mogę...

- Oczywiście, wróć, Mahabbacie.

Mahabbat, ośmielony tonem cesarza, powoli zbliżył się ku niemu.

- Najjaśniejszy panie, mówię w imieniu większości szlachetnie urodzonych. Proszę, nie zrozum mnie źle. Kieruję się jedynie lojalnością i miłością do ciebie. Tyś moim cesarzem, władcą i panem. Troszczę się o twoje zdrowie i szczęście...

- Tak?

- Chodzi o cesarżową Nurdżahan. - Twarz Dżahangira stężała. Cesarz zamknął książkę. Mahabbat szybko zaczął mówić

dalej: - To niebywałe, by sprawy tak wielkiego cesarstwa powierzyć kobiecie. Cały dwór jest wstrząśnięty, że tak mądry cesarz zostawił sprawy administracyjne swojej cesarzowej. - Zamilkł i czekał, ale odpowiedzi nie było. Dlatego dodał: - Wszystkich nas bardzo zasmuciła niedawna słabość najjaśniejszej pani. Proszę przekazać umiłowanej cesarzowej nasze wyrazy współczucia z powodu jej kobiecych słabości. Jednak może dałoby się uniknąć tego nieszczęścia, gdyby najjaśniejsza pani zajmowała się tylko sprawami *zenany*.

Nie miał już nic więcej do powiedzenia, przynajmniej na razie. Umilkł i czekał, z oczami wbitymi w ziemię, na odpowiedź cesarza.

- Godna podziwu jest ta troska o mnie i moją *zenanę* - przemówił Dżahangir. Mahabbat wsłuchał się w jego głos, szukając śladów niesmaku czy sarkazmu - ale nie, cesarz zdawał się mówić z aprobatą. Teraz dopiero Mahabbatowi rozwiązał się język. Gdyby był przy nim Szarif, pewnie przemocą wywłókłby go z komnaty - ale przyjaciela nie było u jego boku, a w głowie Mahabbata nie pozostało już nawet echo jego ostrzeżeń.

- Najjaśniejszy panie - zaczął pewny siebie. - Rządziłeś mądrze i sprawiedliwie. Okazałeś się bardziej niż odpowiednim następcą swego wielkiego ojca. Jak możesz teraz rezygnować z władzy? Czy ludzie mają mówić, że wielki cesarz Dżahangir jest posłuszny rozkazom zwykłej kobiety? Błagam o wybaczenie, jeśli obraziłem najjaśniejszą panią, ale fakty mówią same za siebie: wszyscy chcemy znowu znaleźć się pod twymi rozważnymi rządami, by cesarstwo mogło ponownie rozkwitnąć.

Zamilkł i spojrzął na Dżahangira. Przebił się przez oficjalną fasadę i dotknął jego najczulszych miejsc. Dwóch rzeczy Dżahangir pragnął najbardziej: po pierwsze, idąc w ślady ojca, chciał poczuć się godnym tronu. Teraz Mahabbat zapewnił go, że jest nie tylko równie dobrym władcą jak Akbar, ale może pod pewnymi względami mógłby go przewyższyć, gdyby wyrwał się spod wpływu Mihrunnisy.

Po drugie Dżahangir pragnął, by nie tylko współcześni, ale

i potomni znali go jako dobrego i sprawiedliwego cesarza. Chciał, by obywatele Indii jeszcze przez lata po jego śmierci sławili go jako wielkiego władcę. A tu, proszę, jak go zapamiętają? Jako mężczyznę, którym rządziła własna żona?

- Mahabbacie - przemówił cesarz cicho - czy chcesz objąć dowodzenie nad armią w Dekanie?

- Nie, najjaśniejszy panie - odparł zaskoczony Mahabbat. - Ale... oczywiście... jeśli najjaśniejszy pan sobie życzy, natychmiast usłucham. Jednak jeśli mogę to powiedzieć, nie pragnę tego.

- Rozumiem. Możesz odejść. Dziękuję za radę, możesz być pewien, że ją rozważę.

Mahabbat-chan wycofał się do drzwi, bijąc pokłony. W progu skłonił się jeszcze raz, po czym wyszedł. Miał rację, że chciał rozmówić się z cesarzem. Wskazywało na to wszystko, a zwłaszcza to, że Dżahangir zaproponował mu dowództwo w Dekanie. Niemal pobiegł do domu Muhammada Szarifa na brzegu Dżamny. Po drodze nie zapomniał wysłać wiadomości do chan-i chanana Abdur Rahima, by na rozkaz cesarza ponownie zajął się kampanią w Dekanie.

Ale rozmawiał z cesarzem tak, jak żaden poddany nie śmiał rozmawiać ze swym władcą. W desperacji przekroczył niewidzialną granicę - tę, która dzieli króla od zwykłego śmiertelnika.

Czyżby nagle obrzydło mu życie?

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

...do końca panowania Dżahangira to ona miała ostateczne słowo we wszystkich sprawach cesarstwa.

Alexander Dow, *The History of Hindostán*

Raz rzucone oskarżenie, choćby najokrutniejsze, zaczyna drażyć umysł - i tak też było w przypadku cesarza. Początkowo był wściekły na Mahabbata. Po jego odejściu znowu chciał czytać, ale nie rozumiał słów, styl go nie wciągnął, a oczy zasnuła mu czerwona mgła. Dwa razy niemal przywołał Hoszijara, omal nie wydał rozkazu, by do zachodu słońca uwolnić Mahabbata od ciężaru jego głowy - i za każdym razem się powstrzymywał. Co by na tym zyskał?

Tej nocy nie spał; sąsiednie puste łóżce zbyt przypominało mu o Mihrunnisie. Rzucił się niespokojnie i rozmyślał. Skąd u Mahabbata ta bezczelność, by zwrócić się do niego z takimi słowami? Tak, od dzieciństwa łączyła ich przyjaźń, ale jedynie w pierwszych latach życia Mahabbat, Koka i Szarif mogli nie wiedzieć, że Dżahangir pochodzi z rodziny cesarskiej, oni zaś są zwykłymi plebejuszami. Ich przyjaźń była zbudowana na bardzo kruchej podstawie. Nie łączyły ich więzy krwi, małżeństwa ani nic podobnego. I nigdy o tym nie zapominali, a jeśli im się zdarzyło, Dżahangir natychmiast im o tym przypominał. To on był ich cesarzem. To od niego zależał ich dobrobyt, fortuna, tytuły, życie. Nie mogli podważać jego decyzji. Ot i wszystko.

Do powitania słońca zostało jeszcze parę godzin, a cesarz

Dżahangir wciąż nie mógł zasnąć. Za oknami kłębiły się chmury monsunowe - sine, rozognione, ciężkie od wilgoci. Do świtu zacznie padać. Już teraz zrobiło się chłodniej. Dżahangir podniósł się z posłania i podszedł do okna. Wychylił się przez balkon w chłodne nocne powietrze, odetchnął głęboko, by uspokoić myśli. Czy Mahabbat powiedział prawdę? Czy wielmoże otwarcie śmieją się z jego obsesji na tle Mihrunnisy? Czy tym ohydny mianem nazywają jego miłość? Czy stracili dla niego szacunek?

Cios spadł na niego niespodziewanie. Przez wiele nocy czuwał nad Mihrunnisą, kiedy leżała i pragnęła umrzeć. Za dnia pojawiał się na audiencjach, lecz bez przekonania. To były jego obowiązki, z których musiał się wywiązać, lecz pragnął jedynie być z żoną. Teraz przypomniał sobie, że kilku wielmożów okazało mu brak szacunku, opierając się o kolumny, niewłaściwie trzymając ręce; wówczas zauważył to, lecz nie przywiązywał do tego wagi. Kiedy było zagrożone szczęście cesarza, etykieta przestawała się dlań liczyć.

I znowu pomyślał o Mahabbacie, który przyszedł z nim porozmawiać, który się na to odważył. Czy mogłoby dojść do czegoś takiego, gdyby Dżahangir nie utracił szacunku swego ludu?

Gryzł się tymi myślami, dopóki następnego dnia Mihrunnisą nie wróciła do pałacu. Podczas audiencji okazał więcej surowości - nie pozwolił na rozluźnienie dyscypliny, karał wszelkie uchybienia przeciwko sobie lub etykietce, znowu zaprowadził porządek. Umilkły szepty, w sali zapanowało milczenie i słychać było tylko jego głos.

Tego wieczoru główna kronikarka haremu odczytywała cesarskiej parze dziennik. Jej zadaniem było prowadzenie codziennych zapisków na temat życia w *zenanie*. W kronice odnotowywano wszystko: nazwiska i stopień pokrewieństwa gości, którzy odwiedzili damy w haremie, zakupy pań, ich prośby o pieniądze, a nawet długość ich prywatnych rozmów z eunuchami. Ten system wywiadowczy był ze wszech miar skuteczny; damy codziennie znajdowały się pod obserwacją i żaden ich krok nie uchodził uwagi szpiegów, od których roiło się

w *zenanie*. Trudno było się zorientować, kto nim jest. Równie dobrze mogłaby to być służąca, wiernie towarzysząca swej pani od dwudziestu lat, nowy eunuch, zatrudniony specjalnie w tym celu, ogrodnik... każdy.

Mihrunnisa niespokojnie przesiewała rubiny na srebrnej tacy, obracała je w palcach. Dżahangir przyglądał się żonie w zamyśleniu. Wydawała się zadowolona z daru, ale nie słuchała jego wskazówek, kiedy mówił, jak należy oprawić kamienie. Umieścić je na turbanie? Wspaniale. W naszyjniku? Także świetnie. Na sześciu jadeitowych kielichach? Ależ tak.

Już nie zwracała na niego uwagi, przygnieciona smutkiem. Śmiała się wesoło, a Dżahangir jej wtórował, a zaraz potem wpadała w przygnębienie i siedziała ze spuszczoną głową.

Teraz także nie zwracała uwagi na kronikarkę, choć niegdyś wsłuchiwała się uważnie w jej słowa, kiwając głową.

- Mihrunniso - odezwał się łagodnie. - Czy odprawić kronikarkę?

- Jak rozkażesz, najjaśniejszy panie.

- Chcesz posłuchać muzyki?

- Nie.

Jej odpowiedź go zirytowała. Wziął ją pod brodę i zmusił, by na niego spojrzała.

- A ja chcę. Hoszizarze, daj znak orkiestrze.

- Nie, Hoszizarze - odezwała się Mihrunnisa. - Muzyka mnie zmęczy.

- Teraz wszystko cię męczy, moja droga. Muzyka cię ukoi - rzucił cesarz z rozdrażnieniem.

Mihrunnisa pokręciła głową. Hoszizar stał między nimi, niepewny, co robić.

- Gdybym tylko mogła uwierzyć, że dbasz o moje zdrowie, najjaśniejszy panie. - Powiedziała to cicho, pochylając się ku niemu.

- Co? - zaperzył się Dżahangir. Usiłował sobie wytłumaczyć, że te zmienne nastroje w końcu ją opuszczą że za kilka dni wszystko się uspokoi. To dla niej robił to wszystko, dla niej znosił bezczelność wielmożów, dlaczego była tak niewdzięczna? Jak może myśleć, że nic dla niej nie uczynił?

- Słyszałam, że Mahabbat-chan złożył ci wizytę, najjaśniejszy panie. Słyszałam także, że okazywał wiele troski tobie, a mało mnie. I że nic w tej sprawie nie uczyniłeś.

- Mihrunniso... - Otworzył ramiona, ale odsunęła się. - Proszę, ukochana, chodź tu, wysłuchaj mnie.

Do oczu napłynęły jej łzy. Pokręciła głową. Łzy powoli potoczyły się po policzkach i na ten widok Dżahangir poczuł, że coś go boli w piersi. Nadal była taka piękna, tak pełna gracji, jej *ghagara* migotała maleńkimi szmaragdami... Na jej przegubach błyszczały złote bransolety, które od niego dostała, ale rzęsy miała mokre od łez. Dał jej wszystkie materialne skarby, jakie znajdowały się w jego cesarstwie, wszystko to było na jej skinienie, a ona nadal nie była szczęśliwa. Jak miał jej dać dziecko, którego pragnęła?

- Przecież masz Ladli, Mihrunniso.

Spojrzała na niego gniewnie.

- Jest dziewczynką, tylko dziecko, które miałam w łonie, mogło mieć znaczenie. Wiesz o tym, najjaśniejszy panie. Do czego ci się teraz przydam? - W jej głosie brzmiała gorycz.

Raptem ogarnęła go furia. Odwrócił się i skinął na Hozzjara. Eunuch kiwnął głową i orkiestra na balkonie nad ich głowami zaczęła grać. Niewolnice 'wniosły wino, podały cesarzowi napełniony kielich. Dlaczego się wysiłał? Po co usiłował przekonać upartą żonę? Jeśli pragnie rozpaczać, niech rozpacza.

Pił metodycznie, w milczeniu. Mihrunnisa przestała płakać. Czekwała, aż ból w jej sercu ustąpi, aż odejdzie, zniknie, ale on nie znikał. Ona także się rozgniewała i to gniew kazał jej powiedzieć:

- Nie powiedziałaś jeszcze nic o swoim gościu, najjaśniejszy panie.

- Czego się spodziewasz? Prosił mnie o audiencję, chciał powiedzieć to, co mu leży na sercu. Pozwoliłem na to. I pozwoliłbym jeszcze raz; Mahabbat-chan jest moim zaufanym ministrem, przyjacielem z dawnych lat i chodzi mu jedynie o moje dobro.

Wypił wino i wyciągnął kielich po jeszcze.

Hoszijar-chan odkaszlnął dyskretnie.

- Najjaśniejszy panie, księżę Szahrijar prosi o audiencję.

Dżahangir machnął ręką. Drzwi sali otworzyły się i do środka wszedł chłopczyk - a raczej wciągnęła go nianka, żona jednego z wielmożów. Szahrijar miał dziewięć lat; urodził się tego samego roku co Ladli. Przez całe swoje krótkie życie pozostawał pod opieką nianiek, zmieniających się niemal co roku. Ledwie zaczął się przywiązywać do którejś z nich, ledwie wracał mu spokojny sen bez koszmarów, znowu zmieniano mu opiekunkę. Był to rozkaz cesarzowej Dżagat Gosini. Wiedziała, że Szahrijar nie może zagrozić Churramowi, ale chciała się upewnić, że z drogi jej syna usunięto wszelkie przeszkody. Zdarzyło się już, że piastunka zdobyła władzę przez swego podopiecznego - cesarz Akbar miał mamkę, która przez parę lat rządziła cesarstwem, dopóki jej nie odprawił. Dlatego Dżagat Gosini dbała, by Szahrijar nie zaznał spokoju. Księżę już w tak młodym wieku wiedział, że nie może ufać nikomu, że piastunki będą mu towarzyszyć w zabawach przez krótki czas, a potem znikną.

Księżę Szahrijar jest pięknym dzieckiem, pomyślała Mihrunnisa. Włosy miał nadal kędzierzawe i długie jak dziewczynka, oczy - lśniące i czarne, lecz nie sądziła, żeby za tą urodą kryło się coś więcej. Księżę był niczym dobrze wyrobione ciasto, bez trudu dostosowywał się do woli innych. Nie miał własnego zdania. Piastunka szepnęła mu coś do ucha. Szahrijar zrobił parę kroków naprzód i wykonał *taslim*, niezręcznie, bez wdzięku.

- *As-salam alajkum*, najjaśniejszy panie - powiedział. Rozejrzał się po komnacie.

Była to wielka, prostokątna sala o sklepieniu w postaci wysokiej kopuły. Tuż pod sufitem biegł balkon, wsparty na łukowatym krużganku. Korytarz z jednej strony stanowił rząd otwartych łuków, prowadzących do ogrodów. Księżę zaczął wiercić palcem stopy w gęstym runie czerwonego kobierca spoczywającego na marmurowej posadzce. W kącie komnaty stała otomana kryta jedwabiem, zarzucona aksamitnymi wałkami oraz poduszkami wyszywanymi drogimi kamienia-

mi. Mihrunnisa i Dżahangir siedzieli w otoczeniu dam dworu, służących, eunuchów i niewolnic. Przed nimi stały złote i srebrne tace z flaszami wina, *paanem* i słodyczami z cesarskich kuchni.

Szahrijar łakomie spojrział na przysmaki. W swoich komnatach nie widywał takich delikatesów. Każda piastunka postępowała zgodnie z własnymi zasadami, a obecna uważała, że słodycze są niezdrowe. Chłopiec starał się okazać cesarskiej parze szacunek i nie podnosić głowy, ale taca nieustannie przyciągała jego spojrzenie. *Gulab dżamuny* były takie pulchne i miękkie, z pewnością pełne słodkiego syropu, który rozlałby się mu w ustach przy pierwszym kąsie. Ozdobione pistacjami *son papadi* były kruche - te rozpułyłyby mu się w ustach. I *barfi*, we wszystkich możliwych kolorach, z mąki i orzechów kokosowych, złote, fioletowe, zielone, białe... posypane orzechami i rodzynkami smażonymi w *ghi*. Wpatrywał się w tacę, nie zdając sobie sprawy z tego, że otworzył buzię.

- Masz ochotę na słodycze? - spytała Mihrunnisa, nie mogąc znieść widoku dziecka tęsknie wpatzonego w tacę.

Szahrijar cofnął się pospiesznie, potknął się o krawędź dywanu i upadł. Piastunka pomogła mu wstać. Szahrijar skłonił się macosze.

- Jak najjaśniejsza pani rozkaże - powiedział.

- Och, zabierzcie go, zabierzcie go natychmiast! - rzuciła Mihrunnisa. Czy to dziecko nie wie nawet, czego chce? Wcisnęła chłopcu tacę z łakociami. - Masz, weź to i odejź.

Szahrijar poczerwieniał. Piastunka chwyciła go za kołnierz i zaczęła ciągnąć w stronę drzwi. Mihrunnisa podniosła się z otomany i poszła za chłopcem. Pogłaskała go po głowie; cofnął się, nieprzyzwyczajony do czułych gestów.

- Idź, Szahrijarze - powiedziała już łagodniej. - Odwiedz nas o innej porze, ta jest nieodpowiednia.

- Proszę o wybaczenie, najjaśniejsza pani - wykrztusił książę przez łyzy.

- Nie masz za co przepraszać. Odejź.

Chłopiec opuścił komnatę, pociągając nosem. Mihrunnisa wróciła na otomanę. Wstydziła się za siebie. Przez cały czas

wizyty chłopca cesarz nawet nie drgnął - a jeśli, to po to, by podnieść kielich do ust. Ile ich już wypił? Pięć? Sześć? Może więcej, lecz dziś Mihrunnisa nie miała ochoty z nim walczyć, brakowało jej siły woli, by go powstrzymać. Siedziała, dygocząc, z głową pełną myśli. Skąd to skrępowanie? Nigdy przedtem go nie czuła, nawet po poprzednich poronieniach. Ale w jakiś sposób nadzieja, że przyjdzie na świat dziecko i że będzie to syn, że będzie go mogła nauczyć rządzić cesarstwem... przez te dwa krótkie miesiące, kiedy nosiła dziecko w łonie, wszystkie te uczucia były tak silne, że nie chciały jej opuścić. Nawet teraz, kiedy dziecka już nie było.

Zwątpiła w siebie. *Hakimowie* powiedzieli, nie zostawiając jej żadnej nadziei, że nie będzie mogła więcej rodzić. Wyjaśnili jej przyczyny, ale prawie ich nie słuchała. Skupiła się na wcześniejszych słowach: nie będzie mogła rodzić. Dlaczego ją to spotkało? Dlaczego ciało ją zdradziło? I co o tym myśli cesarz? Od czasu wizyty Mahabbata coś się zmieniło. Hoszijar opowiedział jej o tym spotkaniu i o słowach, które podczas niego padły. W innej sytuacji, mniej bezbronna, mniej lękliwa, wpadłaby pewnie w gniew, ale teraz...

Kiedy Hoszijar opowiedział jej o wizycie Mahabbata, wróciła do *zenany* najszybciej, jak mogła, choć w domu ojca miała pozostać jeszcze parę dni. Musiała się znaleźć u boku Dżahangira - a jednak za każdym razem, kiedy otwierała usta, by mu odpowiedzieć, padały z nich same gorzkie słowa. Zdenerwował ją nawet ten nieśmiały osiołek Szahrijar, który nie mógł wyrządzić żadnej szkody. Patrząc na niego, myślała o dziecku, które mogła mieć. Jej syn powinien żyć; jeśli ten chłopiec mógł chodzić po świecie, to dlaczego nie jej dziecko?

Potarła twarz i oparła się o jedwabny wałek. Nie powinna zadrećcać się myślami o swoim synku, o tym, jaki mógłby być, co by z nim robiła. Prawda wygląda tak, że jej synka już nie ma i nigdy nie będzie. Gdzie jej zdecydowanie? Gdzie siła? Jeśli je straciła, straci także Dżahangira.

Znowu zaczęła płakać i tym razem cesarz nie zwrócił na nią uwagi. Siedział u jej boku, bardzo blisko, a jednak nie odzywali się do siebie, nie mieli sobie nic do powiedzenia. Coś, na

co żadne z nich nie miało wpływu, zaczęło z wolna nadwątlać mocną więź między nimi.

Mihrunnisa usłyszała, że Dżahangir żąda następnego kielicha wina i nagle, po wszystkich tych dniach żałoby, gniewu, rozpacz i życia na peryferiach życia, coś w niej pękło. Podebrała się i położyła rękę na ramieniu Dżahangira.

- To będzie dziś ostatni kielich, najjaśniejszy panie.

Pokręcił głową.

- Nie zapominaj, że nie godzi ci się mówić mi, co mam robić. Jestem twoim cesarzem. Musisz być mi posłuszna. Jeśli chcę pić, to tak uczynię. - Szybko dopił wino, niemal się krztusząc, i wyciągnął kielich po dolewkę. Wyzywającym gestem uniósł go do ust.

Mihrunnisa wyszarpnęła mu kielich z ręki, rozlewając wino na jego haftowaną kabę, i cisnęła go o kolumnę. Kielich z białego jadeitu roztrzaskał się na drobne okruchy, wino zostawiło ślad na marmurze.

Dżahangir chwycił ją za ramię i szarpnął ku sobie. Jego dłoń zatoczyła łuk w powietrzu i uderzyła ją w policzek. Kląśnięcie rozległo się w całej komnacie, w której natychmiast zapanowała głucha cisza. Muzycy na balkonie przestali grać, niewolnice i eunuchowie zamarli w pół ruchu. Nikt nie wiedział, jak zareagować. Podobnie jak Mihrunnisa - przez parę sekund. Potem zamachnęła się i jej pięść uderzyła od dołu w podbródek Dżahangira.

Po chwili oboje tarzali się po podłodze, wrzeszcząc i rycząc. Pluli na siebie, usiłowali wydrapać sobie oczy, tłukli się pięściami. Welon spadł Mihrunnisie z głowy, jej włosy się rozsypały. Dżahangir bezskutecznie usiłował się osłonić przed jej uderzeniami. Już zaczęły go gnębić wyrzuty sumienia. Nie powinien uderzyć kobiety, uczono go, że tego nie wolno i do tej pory, nawet bardzo pijany, nigdy tego nie zrobił. Ale tym razem... coś pękło mu w głowie, coś zapanowało nad jego rozumem. Przestał walczyć, poddał się, usiłował powiedzieć Mihrunnisie, że powinni przestać, ale była zbyt rozwścieczona, a on nie potrafił jej powstrzymać.

Damy dworu patrzyły ze zdumieniem na tarzającą się po

podłodze królewską parę. W końcu Dżahangir znieruchomiał na podłodze, a Mihrunnisa usiadła na nim okrakiem. Cztery razy uderzyła go otwartą ręką.

Służące przestępowały z nogi na nogę. Nikt nie ośmielił się uderzyć cesarza, nawet w dzieciństwie czy młodości. A on potulnie znosił razy swojej żony. Czy mają wkroczyć i przerwać bójkę? Był to wypadek bez precedensu; dotąd żaden cesarz mogolski nie toczył z żoną tak haniebnej walki. Co począć?

W tej samej chwili z balkonu orkiestry dobiegły wrzaski i głucho uderzenia.

Mihrunnisa podniosła głowę. Kto umiera? Zeskoczyła z Dżahangira i podała mu rękę. Razem pobiegli po schodach na balkon. Jeden z muzyków, grający na sitarze, leżał na podłodze, wykrzykując słowa bez znaczenia.

- Panie, ratuj, o panie!

Wił się, bił w piersi i za każdym razem krzyczał. Na ich widok wstał i złożył im *taslim*.

- Najjaśniejszy panie, najjaśniejsza pani, ufam, że walka jest zakończona.

Cesarz i Mihrunnisa stali zdyszani w wejściu. Teraz oboje się zawstydzili. Orkiestra bardzo skutecznie przerwała ich zwadę.

- Hoszjarze, obsyp złotem tych ludzi, zasłużyli na to - rozkazał Dżahangir. Odwrócił się do Mihrunnisy. - Pójdźmy, moja droga.

Mihrunnisa skinęła głową i zeszła za nim po schodach do komnaty. Jej warkocz się rozplótł, potylicą bolała ją od szarpnięcia. Bolała ją także prawa kość policzkowa, a oko już puchło. Oboje ochlapali się winem, które zaczęło cuchnąć. Gniew Mihrunnisy nieco ustąpił. Nie czuła też cierpienia - ulotniło się gdzieś podczas tej bójki.

Dżahangir kulał.

- Skręciłeś kostkę, najjaśniejszy panie? - spytała.

Obejrzał się na nią.

- Idź do swoich komnat, Mihrunniso, zajmę się sobą. Wezwij Hoszijara, by się o ciebie zatroszczył. - Otworzyła usta, ale przerwał jej w pół słowa. - Zapomnieliśmy, kim jesteśmy.

Walczyliśmy jak zwierzęta, bez żadnej godności... Co naród na to powie? Przyjdź do mnie tylko wtedy, gdy zechcesz prosić o wybaczenie, nie wcześniej. Będę czekać. Ale tylko przez jakiś czas...

Stała oniemiała, oszołomiona, nie wierząc, że mógł się do niej tak odezwać w obecności wszystkich służących. Odeszła powoli. Zajrzała do pokoju Ladli. Jej córka spała w poprzek otomany, odrzuciwszy jedwabne przykrycie; szerokie spodnie zadarły się do kolan. Mihrunnisa położyła się obok niej. Rączka dziecka drgnęła, uniosła się do jej włosów.

- Mama? - spytała dziewczynka ze zdziwieniem, rozespana.

- Tak, *beta*. - Wzięła ją w ramiona. Ladli westchnęła. Nie spytała, dlaczego matka przychodzi do niej w środku nocy po tak długiej nieobecności. Mihrunnisa była zmęczona, zbyt udręczona wszystkim, co ją spotkało.

Pewnego wieczoru, kiedy leżała bezwolnie, dochodząc do siebie po stracie dziecka, Hoszijar przyprowadził jej Ladli. Dziewczynka stanęła w progu z oczami lśnącymi od strachu i łez. Podbiegła dopiero wówczas, kiedy Mihrunnisa ją zawołała. Uścisnęła matkę tak mocno, że Mihrunnisa prawie nie mogła oddychać.

- Przykro mi, mamó - powiedziała. - Bardzo chciałaś tego dziecka, prawda?

- Tak - szepnęła Mihrunnisa. - Tak, *beta*. Bardzo go pragnęłam.

- A czy... - spytała Ladli, nadal tuląc twarz do szyi matki. - Czy kochałabyś je bardziej?

- Nie - odparła Mihrunnisa machinalnie, z roztargnieniem i znowu zaczęła płakać.

Córka delikatnie otarła drobną rączką jej łzy.

- Lepiej mieć dziewczynkę, mamó. Chłopiec... Musiałyby walczyć o wiele rzeczy. Chłopcy zawsze walczą prawda?

Mihrunnisa przypomniała sobie, że odwróciła się wtedy od córki i zawołała na Hoszijara, żeby ją wyprowadził. Te słowa, na które prawie nie zwróciła uwagi - czy kochałabyś je bardziej? - nagle przygniotły ją swoim ciężarem. Uznała, że La-

dli jest nieważna. Co z niej za matka? Co z niej za człowiek? Niezależnie od wszystkiego zawsze będzie miała Ladli. Zaczęła płakać, a Ladli przez sen pogłaskała ją odruchowo. Mihrunnisa zamknęła oczy, przerażona i samotna. Ladli ją pocieszyła, ale ona pragnęła także pociechy Dżahangira.

Co się z nimi dzieje?

Eunuchowie i niewolnice zostali w komnacie tylko po to, by sprzątnąć okruchy kielicha i uporządkować otomanę i dywany. Zdmuchnęli lampy olejne i wyszli z ciemnego pomieszczenia. Czym prędzej pobiegli przez pałace *zenany*, budząc wszystkie damy, by opowiedzieć im, co się wydarzyło. Historia pofrunęła z komnaty do komnaty, budząc śmiech i radość. Za każdym razem wydarzenia przybierały coraz bardziej monstrualne rozmiary. Mihrunnisa spoliczkowała cesarza, uderzyła go w brzuch, on jej oddał - wszystko to wydarzyło się naprawdę, ale opowieść wzbogacano wesołymi szczegółami. Powiedzieli sobie straszne rzeczy. Dżahangir nie chce jej nigdy więcej widzieć. Zostanie wyrzucona z haremu, zamieszka z rodzicami. Ten stukot końskich kopyt za oknami oznacza, że powóz z nią właśnie wyrusza w drogę.

Plotki trafiły też do komnat księcia Churrama, gdzie spał wraz z Ardżumand. Za dwa miesiące miało się im urodzić pierwsze dziecko; w przeciwieństwie do Mihrunnisy jej bratanica nie miała problemów z utrzymaniem ciąży. Miała już wielki, okrągły brzuch oraz wszystkie oznaki zdrowej ciąży - nabrzmiałą twarz, ciężkie stopy, brak apetytu, gdyż dziecko uciskało jej żołądek.

Ardżumand obudziła się, słysząc eunucha, który szeptał Churramowi o bójce cesarskiej pary. Leżała plecami do męża, ale słuchała uważnie. Churram objął ją i lekko pomasaował jej brzuch.

- Słyszałaś? - spytał cicho.
- Tak - powiedziała. - Nie śpię.
- Stała się rzecz haniebna. Gdybyś wdała się w bójkę ze mną, nie zniósłbym tego.

Odwróciła się z wysiłkiem - najpierw podniosła się, obró-

ciła, a dopiero potem legła twarzą do męża. Dotknęła w ciemnościach jego twarzy.

- Jesteśmy różne, wasza wysokość. Musisz wiedzieć, że nigdy nie okazałabym ci takiego braku szacunku, jak moja ciotka cesarzowi. Moja ciotka nie wypełnia swoich obowiązków. Znalazła się w *zenanie*, by rodzić dzieci, a powiadają, że nie może już tego robić. Ja nigdy bym ci tego nie zrobiła. Znam swoje miejsce.

- Tak, i właśnie to w tobie kocham. Mihrunnisa sprawiła, że mój ojciec przestał być mężczyzną, ponieważ uparła się grać jego rolę. - Churram przygarnął ją do siebie na tyle, na ile pozwalał mu jej wzdęty brzuch.

Ardzumand robiła to, czego od niej wymagał, czego ją nauczono. Jej kobiecym obowiązkiem było posłuszeństwo rozkazom męża, bycie taką, jaką ją chciał widzieć. Początkowo dziwiło ją, że ta uległość jest dla niego nowością. Potem zdała sobie sprawę, że wszystkie kobiety wokół niego - Rakajja, jego matka i Mihrunnisa - przywykły łamać konwenanse. Churram uważał takie zachowanie za naturalne, dopóki Ardzumand nie nauczyła go, że jest inaczej. Postawiła go na piedestale, poddała się mu bez reszty, każdego ranka dotykała jego stóp, by otrzymać błogosławieństwo. Ona nigdy by nie zdominowała swego męża, co sobie postanowiła, widząc, jaką reputację zyskują kobiety, które tak czynią. Nikt nie uważał Rakajji, Dżagat Gosini czy Mihrunnisy za kobiece, były kłopotliwe, gwałtowne, niemal męskie. A na to Ardzumand nigdy nie zamierzała sobie pozwolić.

- Churramie - odezwała się. - Nie chcę, żebyś tak często rozmawiał z moją ciotką. Wybacz, że to mówię, ale musisz polegać na moim ojcu i dziadku. To mężczyźni mądrzy, doświadczeni, oni doradzą ci najlepiej, z pewnością lepiej niż cesarzowa. Nie sądzisz?

- Oczywiście. Ale cesarzowa jest obecnie w kłopotcie. Bójka z moim ojcem nie mogła być przyjemna. Co się z nimi stanie? Ciekawi mnie, czy ta plotka jest prawdziwa, czy cesarzowa naprawdę zostanie odesłana. Nie mogę uwierzyć, że najjaś-

niejszy pan pozwoli jej odejść. Był tak niespokojny, kiedy chorowała.

- Nie mów o niej. - W głosie Ardżumand zabrzmiała opryskliwa nutka.

- Ale to twoja ciotka. Nie jest ci droga?

- Oczywiście - odrzekła Ardżumand pospiesznie. - Ja także martwię się o nią, lecz to wszystko jej wina. Gdyby szanowała cesarza jak należy, nie doszłoby do tego. Jeśli nadal będzie sprawiać kłopoty swoją osobą, nie będziemy mogli jej pomóc. Pamiętaj, panie mój, że gdyby urodziła to dziecko i gdyby był to syn, nie byłaby tak miła dla ciebie.

Churram wybuchnął śmiechem.

- Ardżumand, zanadto się martwisz. Nikt nie odmówi mi prawa do tronu.

- To nie jest już tylko twoje prawo. Pomyśl o synu, którego noszę w łonie, o twoim pierwszym synu, który wstąpi po tobie na tron. Nie sądzę, by cesarzowa brała pod uwagę ciebie lub jego, gdyby miała syna.

Churram zamilkł zamyślony. Oddech Ardżumand uspokoił się, stał się miarowy, lecz Churram nie mógł zasnąć. Dobrze było przystąpić do przymierza, dobrze było, gdy kierowała nim Mihrunnisa... aż do dziś. Dziś jego ojciec stał się z jej powodu pośmiewiskiem. Ile minie czasu, zanim śmieszność dotknie i jego? A jego prawo do tronu nie było aż tak nienaruszalne, jak starał sobie wmówić - jeśli wielmoże uważali, że daje sobą kierować kobiecie, nie udziela mu poparcia. Jego ojciec miał przynajmniej tę przewagę, że nosił tytuł cesarza. Ardżumand miała rację - ta kobieta drwiła z praw natury.

Dlatego on sam pozwolił się prowadzić innej kobiecie - kobiecie o łagodnej dłoni i subtelnych metodach. I nie zdawał sobie sprawy, że to ona go prowadzi. Ardżumand nie posiadała się z wściekłości, widząc, że Mihrunnisa ma taką władzę, choć nie dała cesarzowi dziecka. Tylko matka przyszłego następcy tronu mogła i powinna rządzić cesarstwem. Dlatego powtarzała to Churramowi i żadne z nich nie pamiętało, że gdyby nie Mihrunnisa, gdyby nie jej wsparcie, ich małżeństwo -

niosące ze sobą tyle nadziei i obietnic dla cesarstwa - nie doszłoby do skutku.

Przez następne dwa tygodnie, jakby wynagradzając sobie ciszę, jaka zapadła na czas choroby Mihrunnisy, wszyscy nieustannie szeptali między sobą. Dżahangir przestał odwiedzać małżonkę, a ta nie zrobiła nic, by go przeprosić. Dzięki temu plotkarze mieli o czym mówić, a wszyscy nabrali nadziei, że w haremie nastąpi zmiana sił, która przyniesie im rozrywkę.

Nadszedł koniec rządów cesarzowej.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Lecz królowa, zwyczajem rozpieszczonych kobiet, okazywała więcej złości i urazy niż dotąd... w końcu przez osobę trzecią dała Dżahangirowi do zrozumienia, że może ją przeprosić za ten afront, jedynie padając jej do stóp.

Nicolao Manucci, *Storia do Mogor*

- W mieście panuje spokój! Pora wstawać! - zawołał wartownik. Zastukał kijem w ubitą ziemię ulicy przed pałacem - jedno uderzenie na każdą godzinę.

Mihrunnisa usłyszała stuknięcia przez sen i nie otwierając oczu, policzyła. Nastął drugi *pahr* dnia. Usłyszała, że do komnaty wchodzi Hoszijar. Otworzyła oczy.

- Jak to dziś wygląda?

Eunuch dotknął skóry na jej czole, pomiędzy brwiami; poczuła jego stwardniały kciuk.

- Sińce zbladły, najjaśniejsza pani, ale blizna pozostanie.

- Przynieś mi lustro.

Hoszijar podsunął jej zwierciadło. Przyjrzała się sobie. Niebo za oknem było jeszcze szare, do komnaty wpadało niewiele światła. Wszystkie rany zabliźniły się z wyjątkiem jednej na czole, gdzie pierścień Dżahangira rozciął skórę. Rana krwawiła jeszcze następnego dnia, a kiedy skóra zaczęła się zraścić, Mihrunnisa czuła, jak się ściąga. Nie była to duża rana, mniejsza niż koniec jej małego palca, lecz zabliźniając się, zaczęła się wybrzuszać i przybrała kształt włóczni.

Sińce już zniknęły. Na policzku, blisko linii włosów, ręka cesarza zostawiła jej wyraźny odcisk czterech palców. Podczas bójki Mihrunnisa uderzyła o coś głową i łuk brwiowy zaczął

jej tak puchnąć, że nie mogła otworzyć oka. Następnego ranka na widok swojego odbicia zaczęła szlochać. Teraz straciła już wszystko. Jak kiedykolwiek odważy się stanąć przed Dżahangirem z taką twarzą?

Ale Hoszijar dokonał cudów. Co rano kazał jej pić kozie mleko z szafranem, a na twarz nakładał jej gęstą pastę z wapna i mąki z ciecierzycy. Przynosił też dziwnie wyglądające i pachnące okłady, od których brały ją mdłości, ale które zносиła, siedząc godzinami, gdy zasychały na twarzy.

Teraz pozostała jej tylko jedna blizna. I, jak powiedział Hoszijar, pozostanie na zawsze.

- Czy to już pora się ubierać?

- Panowie zbiorą się na *dżharoką* za pół godziny, najjaśniejsza pani.

Hoszijar przyniósł jej miedziane naczynie z wodą. Uniosła ku niemu twarz, on zaś zaczął ją myć. Do komnaty weszły bezszelestnie dwie niewolnice. Złożyły jej ukłon.

Mihrunnisa umyła zęby i stanęła nieruchomo, pozwalając się ubrać. Każdego ranka wymagało to od niej sporego trudu; wysiłkiem było każde przebudzenie. Parę dni po bójce powróciła na *dżharoką*; początkowo było niewiele osób, wielmoże zachowywali się arogancko, mówili głośniej niż zwykle i nie kłaniali się tak głęboko jak niegdyś. Ale ona nie pozwoliła się zastraszyć. Mówiła twardo, żaden komplement nie sprawiał jej przyjemności, żaden afront nie denerwował. Codziennie wracała bardziej zmęczona. I codziennie musiała się zmuszać, by wstać z łoża.

Idąc korytarzami swoich apartamentów, spojrzała przez dziedziniec na pałac Dżahangira. Cesarz także już nie śpi i przygotowuje się na *dżharoką*. Od dawna przyzwyczaili się udzielać audiencji w różnych częściach fortu, przyjmować różnych petentów. Czy dziś go zobaczy? A jeśli tak, to czy on na nią spojrzy? Potknęła się, choć jedyną przeszkodą na drodze były tylko jej myśli. Hoszijar chwycił ją za łokieć.

- Odwagi, najjaśniejsza pani - szepnął jej do ucha.

Skinęła głową. Nie brakowało jej odwagi nawet po tylu tygodniach słabości. Straciła dziecko, i co z tego? Miała Ladli.

Miała swoją dumę. Nadal była cesarzową Nurdżahan. Ale... tylko pod warunkiem, że cesarz do niej wróci. Takie życie ją prze-rażało. Czuła się samotna. Początkowo wciąż się złościła, choć gniew niemal całkiem wyparował podczas bójki. Nie chciała przeproszać, być tą osobą, która pochyli głowę, przyzna, że popełniła błąd. Wszyscy ją do tego namawiali, a w niej z każdą chwilą rósł opór. *Bapa* przysyłał wiadomości, Abul z niej szydził, Rakajja zaczęła traktować ją uszczypliwie, sądząc, że Mih-runnisa straciła wszelkie szanse. Ale kiedyś - Mihrunnisa do-brze pamiętała te czasy - także wszyscy usiłowali ją przygiąć do ziemi. A jednak sprzeciwiła się, tak jak po bójce.

Samotność najbardziej dokuczała jej w nocy. Miała przy so-bie Hoszijara, czasami Ladli przychodziła, by z nią spać, ale ona tęskniła za Dżahangirem. Impertynencje podczas *dżharoki* powtarzały się codziennie. Niewolnice wychodziły z komnaty tyłem tylko do progu. Ktoś położył cesarską pieczęć pod biur-kiem, jakby dając do zrozumienia, że niedługo przestanie być jej własnością.

Gdyby miała wrócić do cesarza i błagać go o wybaczenie, w *zenanie* nie miałyby już czego szukać - tyle wiedziała. Jej imię, tytuł, cesarska pieczęć - nic by już nie znaczyły. Ale wiedziała także, że postąpiła źle, a Dżahangir okazał jej coś więcej niż jedynie pobłażliwość. Wiedziała, że trzymanie się od niego z dala jest głupotą, i bała się, że właśnie w tej chwili jakaś kobieta usiłuje go oczarować. Jak mogłaby to znieść? Po tych wszystkich latach, kiedy pragnęła zostać żoną Dżahan-gira, jak mogłaby żyć z taką świadomością? Ale z kolei, jak mogłaby prosić o przebaczenie, nie tracąc twarzy? Cesarz nie okazał w żaden sposób, że przyjąłby jej przeprosiny...

Ale tego ranka podczas *dżharoki* Dżahangir okazał jej swo-ją łaskę. Wchodząc na balkon, ujrzała ahadi, cesarskich osobi-stych strażników, stojących po obu stronach dziedzińca. Kapi-tan zapowiedział jej nadejście, jego ludzie uważnie patrzyli na kłaniających się dostojników. Ogłoszono jej przybycie trzy razy, choć już stała przed zebranymi, aż wreszcie kapitan uznał, że *taslim* złożono zgodnie z wymogami obyczaju, tak jak przed samym cesarzem Dżahangirem.

Po zakończeniu audiencji Mihrunnisa pobiegła korytarzami pałaców, ciągnąc za sobą rozwiany welon. Wpadła do apartamentów Dżahangira. Wrócił wcześniej i leżał już, gotów do dwugodzinnej drzemki przed rozpoczęciem obowiązków dnia.

Uklękła przed nim i ucałowała jego dłonie.

- Przepraszam, najjaśniejszy panie. Proszę, wybacz.

Dotknął blizny na jej czole.

- Czy to zniknie?

- Hoszijar mówi, że nie. Więc teraz noszę twoje piętno. - Roześmiała się i objęła go.

- Przeszkadza ci to?

- Nie, jeśli i tobie nie przeszkadza.

- Bez ciebie byłem w rozpacz, moja ukochana. Przyjdź do mnie taka, jaka jesteś, z bliznami, brodawkami i nawet grymasami... choć może nie, bez grymasów, ale przyjdź do mnie i już nigdy więcej nie odchodź. - Odsunął się, zrobił jej miejsce na otomanie.

Legli razem, biodro przy biodrze, ramię przy ramieniu, Mihrunnisa w bezpiecznych objęciach Dżahangira. Rozpoczęły się monsunowe ulewy; za oknem słychać było jednostajny szum deszczu. Do komnaty wpadał chłodny wietrzyk, zasłony z cienkiego jedwabiu koloru wody w stawie wydymały się i zwisały bezwładnie.

- Mihrunniso - wyszeptał cesarz.

Mruknęła coś, ukołysana już do snu szumem deszczu.

- Zrób z Mahabbatem, co chcesz.

- Mogę? - spytała ochryple.

Potem zasnęli tak, jak to się działo od dnia ślubu, oddychając spokojnie i łagodnie, pewni, że nikt ich nie rozdzieli. Ale zanim zamknęli oczy, Mihrunnisa poprosiła o łaskę.

Późnym popołudniem deszcz przestał padać, ale na niebie jeszcze wisały brzemienne, ciężkie chmury. Trawniki były mokre, liście tamaryndowców i *czamp* lśniły. Tafla kwadratowych stawów była nieskazitelna, bez jednej zmarszczki, wstawała z nich mgła. Anguri Bagh, ogród winogron, został tak nazwany nie dlatego, że jego obrzeża porastały winne pnącza,

lecz dlatego że jego dziedziniec był podzielony na kwatery wypełnione różami damasceńskimi posadzonymi tak, by naśladowały kształtem winne grona.

Tego lata róże były w pełnym rozkwicie; cesarscy *mali* starannie i z miłością oczyścili je z uschniętych gałązek. W każdej kwaterze rosły róże innego rodzaju: róże z Ispahanu, różowe róże damasceńskie ze wzgórz Isfahanu w Persji. Wszędzie kipiały gęste, lśniące, zielone liście, a różowe pąki zwracały głowy ku słońcu.

Kobiety wyległy tłumnie z pałaców haremowych. Usiadły na schodach wiodących na dziedziniec i przyglądały się, jak ich dzieci huśtają się na niskich gałęziach tamaryndowców i uciekają z piskiem, gdy z liści spadał na nie deszcz kropel. W łagodnych promieniach słońca pory monsunowej na różach z Ispahanu lśniły krople deszczu, niczym brylanty na różowym atłasie. Kobiety z *zenany* pochylały się ku sobie, pytając, dlaczego je tu wezwano. W popołudniowej ciszy zrywały się szepty, mieszające się z krzykami i śmiechem dzieci. Jedno słowo powtarzało się szczególnie często. *Mihrunnisa*. To musi mieć coś wspólnego z Mihrunnisa... ale co? Czy zostanie publicznie upokorzona?

Kobiety umilkły, bo do Anguri Bagh wkroczyli eunuchowie z wielkimi złotymi i srebrnymi tacami z różowymi płatkami róż. *Co to? Ofiara?* Eunuch zamiótł marmurową ścieżkę biegnącą przez środek dziedzińca. Miotła przesuwiała się bezszelестnie po płytach. *Po co to?* Potem dwóch eunuchów uklękło na wschodnim krańcu ścieżki i rozłożyło płatki, każdy odwróciwszy zagłębieniem do góry. Za nimi szła niewolnica, nakładająca krople wody różanej w sam środek odwróconych miseczek różanych płatków. Wszystkie działania były męcząco drobiazgowo - każdy płatek oglądano uważnie, szukając zadraśnięć lub przebarwień, a jeśli je znaleziono - odrzucano go. Każdy układano dokładnie centymetr od poprzedniego, aż wreszcie cała ścieżka stała się różowym, pachnącym, lśniącym dywanem, rozdzielającym żywe róże po obu stronach.

Minęła godzina, potem druga, zaczął zbliżać się wieczór. Kobiety czekały, czując, że wkrótce wydarzy się coś istotnego.

W popołudniowym upale płatki róż uwalniały swój mocny aromat, gęsty i uderzający do głowy.

Kobiety nie zauważyły Mihrunnisy, dopóki między nimi nie stanęła. Pojawiła się na szczycie schodów po wschodniej stronie fortu, z Dżamną za plecami, pylistymi równinami w tle. Czekała, aż na nią spojrzą. Potem powoli zeszła po schodach na skraj ścieżki. Kiedy po raz pierwszy dotknęła stopą płatków, wszystkie kobiety pomyślały: Uważaj, gdzie stawiasz nogi. To róż z Ispahanu. Ale żadna nie odezwała się ani słowem.

Mihrunnisa była odziana w biel - kolor wdowieństwa. *Ghagara* z szyfonu była prosta niczym strój wieśniaczki. *Czoli* także było białe, ale gęsto naszywane brylantami, twarz cesarzowej lśniła odbitym światłem klejnotów. Kobiety chłonęły je łapczywym wzrokiem. Mihrunnisa nie miała welonu, osłaniała się jedynie włosami, które gładką czarną falą sięgały jej do pasa. Kiedy szła, spódnice *ghagary* muskały różane płatki, burząc ich misterne ułożenie na marmurowych płytach. Mihrunnisa dotarła na środek ścieżki i stanęła w pełnym słońcu. Przy każdym oddechu brylanty migotały osłepiająco.

Cesarz Dżahangir nadszedł z przeciwnej strony, od zachodniego krańca dziedzińca. Nie dostrzegał ukłonów kobiet z *zenany*, nie odpowiadał na nie. On także wkroczył na ścieżkę i ruszył na spotkanie Mihrunnisy.

Kobiety wychyliły się ze swoich miejsc. Wyraźnie było to wyreżyserowane przedstawienie, jakaś demonstracja, rytuał; ale jaki? Dżahangir zbliżył się do Mihrunnisy, cień z wdziękiem tańczył u jego stóp. Zatrzymał się, a cień znieruchomiał wraz z nim. Dżahangir i Mihrunnisa stali wpatrzeni w siebie. Wszyscy wyteżyli słuch, by usłyszeć ich słowa. Ale nie, nie było słów. Tylko... cesarz znowu ruszył do przodu i wtedy wszystkie kobiety pomyślały to samo: Odsuń się, Mihrunniso! Odsuń się! Zejdź mu z drogi! Ale ona nie drgnęła. Nie spuściła też oczu, kiedy cień Dżahangira - głowy i piersi - padł na górną połowę jej *ghagary*.

Przez dziedziniec przetoczyło się westchnienie. Osoba cesarza była tak święta, że jego cień nie mógł paść na nikogo w pobliżu. Gdyby tak się stało, oznaczałoby to, że cesarz padł

tej osobie do stóp, skłonił się przed nią - a to było nie do pomyślenia.

Mihrunnisa cofnęła się i podeszła do męża. Stanęli ramie w ramie, by cała *zenana* dobrze ich widziała.

- Dziękuję, najjaśniejszy panie - odezwała się. - Dzięki tobie odzyskałam dobre imię.

Ścisnął jej rękę i razem wrócili do apartamentów, krocząc wśród płatków róż.

- Niech wszyscy się dowiedzą że nikt nie jest dla mnie ważniejszy od ciebie. I tak będzie zawsze.

Kobiety z cesarskiego haremu opuściły Anguri Bagh, przejęte tęsknotą i porażone tym, co ujrzały. Każda z nich pragnęła iść tak ścieżką zarzuconą płatkami róż, każda pragnęłaby poczuć pod stopami aksamitną pieśczętę płatków, stanąć w pełnym słońcu i znaleźć się w cieniu Dżahangira. Być najpiękniejszą różą wśród cesarskich kwiatów. Zostać bohaterką takiego święta. O, cóż to było za święto! Nikt jeszcze nie widział podobnego. Oczywiście kwiatami przystrajano łoża nowożeńców, wieszano je w girlandach na sztychach lub ozdabiano nimi włosy. Ale to? Tak niedbale rzucić je na ziemię i to tyle, że z pewnością ogołoco cały ogród tylko po to, by je podeptać... Coś takiego było wydarzeniem bez precedensu.

Przez kilka następnych tygodni kobiety nie rozmawiały o niczym innym. Te, które widziały spotkanie cesarskiej pary, opowiadały o tym, przekręcając niemal wszystkie fakty. *Czoli* Mihrunnisy wyhaftowano tysiącami identycznych brylantów. Jej stopy nie zajęły się ogniem, kiedy padł na nie cień cesarza, ponieważ Mihrunnisa jest czarownicą. Jak inaczej zdołałaby przekonać cesarza, żeby ogołocił cały różany ogród dla kilku chwil przyjemności?

Księżę Churram także usłyszał o tym wydarzeniu. Nie widział go na własne oczy i aż do ostatniej chwili nie wierzył, że ojciec mógłby się tak poniżyć, ale kiedy przyniesiono mu wieści, zawałał się. Tego popołudnia siedział wraz z Ardżumand w komnacie, czytając jej, podczas gdy ona biedziła się nad robotką. Palce miała obrzmiałe i igła nieustannie się jej wyslizgiwała.

- Cały różany ogród - powiedziała Ardżumand cicho, wyobrażając sobie tę scenę. - Zrobiłbyś to dla mnie, Churramie?
- Oczywiście - odparł, lecz myślami był daleko.
- Zrobiłbyś? - Obróciła ku sobie jego twarz.

Roztarł jej plecy jedną ręką, w drugiej nadal trzymając książkę.

- Tak, moja droga. Ogród, las, co tylko zapragniesz.

- Najjaśniejszy pan uwielbia moją ciotkę - dodała Ardżumand z nutą żalu. Przecież Churram także ją kochał... prawda? Ale taki gest dla ciotki, która była stara; no owszem, także piękna... zakłuła ją zazdrość, najpierw lekko, potem z nagłą furią. - Jak najjaśniejszy pan może się tak poniżyć, i to publicznie?

Ale Churram odwrócił się od żony i spoglądał w okno. Ardżumand mówiła bez przerwy przez pół godziny: ona nigdy by tego nie zrobiła Churramowi, nigdy by nie zażądała takich przeprosin, zawsze dba o jego reputację. Wszystkie te deklaracje były podszyte zazdrością. Podobnie jak inne kobiety z *zenany*, Ardżumand sama pragnęła, by to święto róż zawsze kojarzono z jej imieniem, nie Mihrunnisy.

Churram słuchał jej tyrady jednym uchem. Rozmyślał i nie zamierzał się dzielić myślami z żoną. Postanowił wybrać się do Mihrunnisy z od dawna odkładaną wizytą. Nie był głupi, pomimo całej ambicji i dumy musiał dostrzec, że Mihrunnisa znowu wróciła do łask i panuje nad *zenaną* oraz dworem. Święto róż nie wydało mu się bajecznym hołdem zakochanego mężczyzny, lecz tym, czym było naprawdę - przekazaniem władzy Mihrunnisie, teraz i na zawsze. Sama Mihrunnisa także w jakiś sposób stała się silniejsza. Po wypadkach minionych tygodni zyskała jakby drugą skórę - cienką jak skorupka jajka, twardą jak żelazo.

W wewnętrznej części fortu Agry, za murami cesarskiej *zenany* znajdował się Chel Aangan. Był to dziedziniec wykładany sześćdziesięcioma czterema kwadratami z nieskazitelnego czarnego i białego marmuru, wypolerowanego ręcznie do blasku. Dziedziniec nie był kryty dachem. W upalne dni, kiedy

słońce prażyło wszystkie pałace, czarne kwadraty pochłaniały światło, białe odbijały je niczym perły w mozaice czarnych otchłani i białych świetlistych stawów. Boki kwadratów miały po trzy metry. Z boku, na podwyższeniu znajdował się marmurowy balkon z otomanami pełnymi poduszek haftowanych perlami.

Po zachodzie słońca, które zawisło nad horyzontem na chwilę, zanim zanurkowało w dół, na kolumnach wokół dziedzińca zapalono pochodnie.

Hoszijar wprowadził Mahabbat-chana na balkon i puścił jego rękę.

- Możesz otworzyć oczy, panie.

Mahabbat powoli uniósł powieki. Serce biło mu mocno. Najpierw spojrzął na Hoszijara, siłą woli powstrzymując się od zerknięcia na boki, gdyż wiedział, że znajduje się w murach cesarskiej *zenany*, gdzie wstęp mieli bardzo nieliczni mężczyźni niespokrewnieni z cesarską rodziną. Oczywiście on sam bywał czasem na peryferiach haremu, gdzie spotykał się z cesarzem, a także w ogrodach, gdzie wyznaczała mu spotkanie Dżagat Gosini, ale jeszcze nigdy nie trafił tak daleko.

Eunuch skinął głową.

- Możesz się rozejrzeć, mirzo.

- Dziękuję, że mnie tu przyprowadziłeś.

Hoszijar uśmiechnął się lekko.

- Najjaśniejsza pani po ciebie posłała. Wyświadcza ci wielką łaskę, mirzo, pozwalając wkroczyć w mury haremu. A jeszcze większą łaską jest to, że mogłeś tu wejść jedynie z zamkniętymi oczami, a nie nakryty prześcieradłem jak lekarze. Zaufała ci.

- Wiem - odparł Mahabbat cierpko. Hoszijar przypominał mu - niezbyt delikatnie - jego dawne spotkania z cesarzową Dżagat Gosini. Wówczas Hoszijar był jej eunuchem, a ona miała posłuch u wiernego jej cesarza. Teraz służył innej pani. Jak wiele opowiedział jej o jego spotkaniach z Dżagat Gosini? Machnął ręką.

- Możesz odejść.

Hoszijar skłonił się.

- Z całą pewnością odejdę, mirzo. Należy poinformować cesarzową o twoim przybyciu.

Po jego odejściu Mahabbat rozejrzał się uważnie. Zapadł już mrok, niebo zmieniło się w aksamit nabijany brylantami gwiazd, ale on patrzył tylko na dziedziniec. Światło pochodni i lamp oliwnych lśniło złotem w ciepłym powietrzu. Mahabbat przechylił się przez balustradę. Krew krążyła mu żywiej z podniecenia. Żaden znany mu mężczyzna nie widział na własne oczy owego słynnego Chel Aangan, dziedzińca gier. Legenda głosiła, że kiedy robotnicy ukończyli prace, cesarz Akbar zesłał ich na wygnanie, by nikomu nie mogli o nim opowiedzieć, w poważnej rozmowie czy też w żartach. I nikt nie zbudował drugiego takiego.

A on, Mahabbat-chan, ogląda go na własne oczy! Poprzedniego wieczoru, kiedy dostarczono mu wezwanie, długo patrzył na okrągłe pismo, nie wierząc świadectwu własnych oczu. *Na Chel Aangan... napisała. Czy zechcesz mnie zaszczyścić swoją obecnością, mirzo Mahabbat-chanie? Najjaśniejszy pan pragnie nagrodzić cię za wiele lat oddania, dlatego zostaniesz zaproszony do zenany jako mój gość. Wiele słyszałam o twojej biegłości w szatrandżu; może zechcesz zagrać ze mną partijkę?*

Mahabbat dotknął papieru, nie zważając na czekającego na odpowiedź eunucha. List był dobrze napisany, liryczny, niemal poetycki. A jednak był również uprzejmym rozkazem, któremu nie mógł się sprzeciwić. Po odejściu eunucha z odpowiedzią Mahabbat pociągnął spory łyk wina. Odstawił kielich i zastanowił się, czy coś podobnego już się kiedyś zdarzyło. Mogolscy cesarze nie mieli zwyczaju zapraszać do *zenany* obcych mężczyzn, chyba że wasali lub innych dostojników. Była to oznaka łaski, na ogół czyniona w nadziei, że wdzięczny gość chętniej podpisze traktat bądź udzieli swego wsparcia cesarstwu. Tylko w jednym wypadku łaskę taką wyświadczone zwykłemu śmiertelnikowi. Cesarz Dżahangir rozkazał haremowym damom wyjść bez welonów na spotkanie Ghijas-bega. Ale mirza Ghijas-beg był ojcem Mihrunnisy, dziadkiem żony księcia Churrama. Z haremem łączyły go więzy krwi.

Mahabbat nie mógł się tym pochwalić. A teraz to wezwanie... żaden tytuł, żaden dar, żadne ziemie nie mogły się równać z tym zaszczytem.

Od rozmowy z cesarzem minął miesiąc, pomyślał Mahabbat. Poczuł, że nogi się pod nim uginają. Usiadł na otomanie krytej aksamitem. Ręce mu nagle zlodowaciały. Wezwanie jest reakcją na tamtą rozmowę, tego był pewien. Ale dlaczego? Z pewnością, zwracając się ze skargą do cesarza, musiał rozgniewać Mihrunnisę. Mimo to został nagrodzony.

W pobliżu cicho zatrąbił słoń; Mahabbat podniósł się z otomany i znowu spojrzął na dziedziniec, mając jego widok jeszcze w pamięci, przechowując w niej każdy wspaniały szczegół.

Przed nim lśniła posadzka, w której odbijały się płomienie lamp. Na szachownicy zjawiły się żywe szachy; Mahabbat powiódł zaciekawionymi oczami po figurach. Jako wieże po obu stronach szachownicy występowały młode słonie z małymi lektykami na grzbietach. Obok nich stali kornacy z rękami na karkach swoich podopiecznych. Były to słonie specjalnej rasy, zrodzone w cesarskich stajniach, o nieskazitelnym rodowodzie, sięgającym czasów cesarza Humajuna. Tresowano je specjalnie do tej gry. Za parę lat staną się zbyt duże, by zmieścić się na kwadratach szachownicy. Skoczkami były żrebaki w cesarskiej liberii, z uzdami, wędzidłami i siodłami zdobionymi prawdziwym złotem i srebrem. Obok znajdowali się dowódcy cesarskiej armii - *mansabdarzy* - posiadający *mansaby* dziesięciu tysięcy żołnierzy piechoty i kawalerii. Mahabbat przyjrzał się z zaskoczeniem ich dziwnym strojom. Eunuchowie przebrani za dowódców mieli na sobie długie szaty z grubej bawełny, bardzo przypominające stroje jezuitów z kościoła w Agrze.

Na samym środku, za rzędem ośmiu żołnierzy piechoty, stał szach i jego wielki wezyr. Figury te były ubrane w biały atłas i czarny aksamit, z kontrastującymi białymi i czarnymi perłami naszytymi na stroje i na czapraki słoni. Mahabbat zamknął oczy i znowu je otworzył. Nie, to nie sen. Naprawdę jest tutaj, w Chel Aangan, naprawdę widzi szachownicę i figury lśniące w świetle lamp niczym klejnoty. Do tej pory tylko o nich słyszał, teraz ujrzał je na własne oczy. Nagle przejął go

dreszcz. Jedno było pewne: choć zaproszenie na partyjkę *szatrandża* z faworytą cesarza było przywilejem, nie pozwoli jej wygrać i niech diabli biorą etykietę.

- Witam cię, mirzo.

Odwrócił się, automatycznie opuszczając dłoń ku ziemi, skłaniając głowę w *koniszu*. Kiedy się wyprostował, spojrzął na nią - niemal z niedowierzaniem.

Żadna opowieść o jej urodzie, żaden portret - nawet ten skradziony z cesarskiego atelier - nie oddawały sprawiedliwości stojącej przed nim kobiecie. Była wyższa, niż się spodziewał, sięgała mu niemal do ramienia. Przywdziała głęboką czerwień zachodzącego słońca, jej *czoli* opinało piersi, długie rękawy muskały przeguby. *Ghagara* miała kolor akwamaryny; przy każdym ruchu połyskiwała w świetle bijącym z dziedzińca. Cesarzowa była osłonięta welonem z cienkiego czerwonego muślinu, lecz jej twarz była przez niego doskonale widoczna. Mahabbat zareagował instynktownie, jak mężczyzna przed piękną kobietą: obciągnął *kabę*, przesunął dłonią po namaszczonych olejkiem włosach.

Mihrunnisa uśmiechnęła się niespodziewanie. Jej zęby błysnęły i Mahabbat znowu stracił dech. Więc to dlatego cesarz Dżahangir był w niej tak rozkochany, to dlatego była jego obsesją dlatego miała nad nim tak wielką władzę.

- Dziękuję, że odpowiedziałeś na moje zaproszenie, mirzo - powiedziała cesarzowa miękkiem, czarującym głosem.

Mahabbat złożył jej ukłon.

- Nie mógłbym odmówić, najjaśniejsza pani.

Skinęła w stronę otomany.

- Usiądź, proszę.

Zawahał się.

- Najjaśniejsza pani, nie godzi mi się siadać w twojej obecności.

Roześmiała się i usiadła z wdziękiem, schowawszy stopy pod migoczącym wachlarzem *ghagary*.

- Proszę, mirzo, jesteśmy przyjaciółmi. Zawsze pozwalam przyjaciółom siadać w mojej obecności. Poza tym będziemy długo grać. Usiądź.

Mahabbat usiadł z zażenowaniem na puchowej otomanie, sztywno wyprostowany.

- Czy najjaśniejszy pan do nas dołączy?

Pokręciła głową.

- Najjaśniejszy pan jest dziś niezdrów. Nic poważnego, zwykły ból głowy. Mam nadzieję, że moje towarzystwo ci wystarczy, mirzo.

- Najjaśniejsza pani, to dla mnie wielki zaszczyt. Słowa nie wyraża, jak bardzo...

- Wiem - przerwała mu w pół słowa. - To istotnie wielki zaszczyt. I nie zapominaj o tym. - Klasnęła w dłonie. Na jej sygnał figury skłoniły się w stronę balkonu. Na rozkaz kornaków słonie przyklęły niezdarnie na jedno kolano.

- Czy nie uroczy widok? Sama zaprojektowałam kostiumy. Mahabbat skinął głową.

- W rzeczy samej, wspaniałe. Figury, ich liberia... ale nie rozumiem, dlaczego *mansabdarzy* są odziani w takie stroje.

Poruszyła się; do jego nozdrzy dopłynął zapach cybetu i piżma.

- Zechciej mi pozwolić na jedno, mirzo. Przyszło mi do głowy, że powinniśmy dziś zagrać według portugalskich zasad. Być może wtedy lepiej zrozumiemy, dlaczego przysparzają nam tyle kłopotów. Słyszałam, że znasz ich grę? *Mansabdarzy* zostali zastąpieni biskupami*.

Mahabbat poczuł, że pochyła się ku niej. Cofnął się pośpiesznie.

- Faktycznie, znam tę grę. Wieża i wielki wezyr poruszają się w niej o nieograniczoną liczbę pól w każdym kierunku.

Mihrunnisa spojrzała na niego przeciągle.

- Na ich szachownicy wielki wezyr jest nazywany królową. To jej dali taką władzę. Bardzo to mądra polityka, musisz przyznać. Zwykły wezyr nie otrzymał aż tyle możliwości.

Mahabbat zrozumiał, w jakim celu go wezwano. Jeśli chciała dać królowej tyle władzy, niech się tak stanie. Zagra z nią według jej zasad - i pokona ją. Ta partia *szatrandża* miała być

* *Bishop* (ang.) - goniec, ale też biskup (przyp. tłum).

symbolem ich osobistych wpływów w cesarstwie. Teraz udowodni, jak potrafi być potężny.

- Pozwolę sobie na odmienne zdanie - powiedział uprzejmie. - Wielki wezyr jest najważniejszym sprzymierzeńcem szacha. To on go osłania. I bez wątpienia był przy nim przez całe życie. Takie związki trudno zerwać.

Mihrunnisa parsknęła śmiechem. Mahabbat przyglądał się zafascynowany, jak odgarnia welon z twarzy. Skórę miała cudownej piękności, niczym perła, aż zapragnął jej dotknąć. Oczywiście Mihrunnisa załśniła.

- Jesteś godnym przeciwnikiem, mirzo, jednak nie zgodzę się z tobą. Związki przyjacielskie, nawet trwające od czasów dzieciństwa, można bez trudu unieważnić. Widzisz, dla mężczyzny to żona musi być wszystkim, nie jego przyjaciele. I tak dla szacha wszystkim jest królowa.

Mahabbat jeszcze nie ochłonał po wstrząsie na widok jej twarzy; słowa cesarzowej nie zapadły mu w serce. Welon leżał na jej ramionach niczym czerwona chmura. Teraz dostrzegł zmarszczki wokół ust i oczu Mihrunnisy. Nie była młoda, nie miała świeżej cery, a jednak doświadczenie dodało urody jej oczom. Raptem przypomniał sobie pierwszego męża cesarzowej, Ali Kulego, którego nie znosił z całego serca. Był to zwykły perski żołnierz, który uciekł do Indii, a cesarz Akbar uhonorował go ręką tej kobiety. Co za strata, pomyślał Mahabbat, nadal nie mogąc wydobyć z siebie głosu. Wpatrywał się w nią tak długo, aż Hoszijar-chan odkaszlnął.

- Zagramy? - spytała.

Mahabbat spuścił wzrok. Przez chwilę nie słyszał jej słów, ale teraz do niego wróciły. Królowa jest wszystkim. Pokręciła głową. Widział i znał wiele pięknych kobiet, a jednak cesarzowa była doprawdy olśniewająca. Kiedy podniósł wzrok, welon znowu zasłaniał jej twarz.

Cesarzowa trzymała dwie misternie rzeźbione figury, jedną z kości słoniowej, zdobioną rubinami, drugą z hebanu inkrurowanego brylantami. Schowała obie ręce za plecami.

- Wybieraj, mirzo.

- Najjaśniejsza pani...

- Nalegam, jesteś moim gościem. Musisz wybrać.

Wskazał na prawą rękę. Wyjęła ją zza pleców i rozchyliła palce. Na dłoni leżał król z kości słoniowej.

Roześmiała się cicho.

- Masz przewagę, mirzo. Dobrze ją wykorzystaj.

- Z całą pewnością tak zrobię. - Mahabbat odwrócił od niej wzrok, przysięgając sobie, że nie pozwoli, by uroda cesarzowej go rozpraszała.

Mihrunnisa znowu spojrzała na dziedziniec. Wszystkie figury stały nieruchomo, patrząc na cesarski balkon, choć wydawało się, że tego nie robią. Skinęła głową.

- Powiedz, jaki ruch pragniesz uczynić. Hoszijar przekaże twój rozkaz dalej.

Mahabbat przechylił się przez niską balustradę balkonu i powiódł wzrokiem po szachownicy. Białe figury stały po jego prawej ręce, czarne po lewej. Usiłował sobie przypomnieć, czy Mihrunnisa jest biegła w *szatrandżu*, lecz nie pamiętał. Plotka głosiła, że obecnie doskonale strzela, a także pisuje wiersze i pieśni, ale nikt nie wspominał o jej znajomości szachów. Jeśli życzy sobie rozegrać partię zgodnie z zasadami Portugalczyków, niech tak się stanie. Przebiegł w pamięci wszystkie partie, jakie rozegrał z jezuitami.

- Pionek na czwarte pole od szacha.

Hoszijar-chan zbliżył się do balustrady i głośno powtórzył słowa Mahabbata. W odpowiedzi żołnierz piechoty, eunuch stojący przed szachem, przeszedł dwa pola do przodu. Nie spojrzał na balkon, nie zastanawiał się ani chwili. Dobrze wyuczony, pomyślał Mahabbat, ale przecież gra się dopiero rozpoczęła.

Cesarzowa zrobiła podobny ruch. Oba pionki stanęły naprzeciw siebie.

- Skoczek na trzecie od gońca szacha - powiedział Mahabbat.

Mihrunnisa wychyliła się z balkonu, kładąc dłoń na balustradzie.

- Skoczek na trzecie od gońca królowej.

Mahabbat zareagował szybko, umieszczając gońca szacha

cztery miejsca przed gońcem królowej. Cesarzowa powtórzyła jego ruch.

- Powiedz mi, mirzo, co sądzisz o ambasadorze, który przyjechał do nas z Anglii?

- O sir Thomasie Roe? - spytał Mahabbat, robiąc ruch wieżą. Kornak stuknął słońca w głowę, a ten zgrabnie przesunął się o cztery pola w bok. Jego szach był obecnie chroniony przez wieżę i trzech piechurów.

- Skoczek na trzecie pole od gońca szacha - powiedziała cesarzowa, patrząc nie na szachownicę, lecz na Mahabbata. - Tak... Ten sir Thomas Roe. Przywiózł ze sobą list od króla Jakuba, potwierdzający, że jest on przedstawicielem korony.

Mahabbat odwrócił się do niej.

- Najjaśniejsza pani, podobno jest to oficjalny przedstawiciel króla Anglii...

- Wiem o tym - przerwała mu Mihrunnisa. - Ale Anglicy pragną by najjaśniejszy pan wydał *farman* pozwalający im na handel z cesarstwem. Dlaczego król angażuje się w sprawy handlowe? Cesarz tak nie robi. Więc dlaczego angielski król postępuje inaczej? Za długo się zastanawiasz, mirzo. Twój ruch.

Mahabbat znowu spojrzął na dziedziniec, nie mogąc znaleźć odpowiednich słów, zajęty nową sprawą.

- Błagam o wybaczenie, najjaśniejsza pani. Tak szybko zrobiłaś ruch, że nie miałem czasu się zastanowić.

Przechyliła głowę z uśmiechem.

- I tak musi być. A teraz zrób ruch, mirzo, i opowiedz więcej o tym ambasadorze i jego kraju. Gdzie on leży?

Mahabbat przesunął wieżę o jedno pole od szacha. Teraz chronił pionek szacha przed zbiciem.

- Jest to mała wyspa w Europie - wyjaśnił. - Ambasador nie mówi po persku ani arabsku, lecz nauczył się, podobnie jak etykiety i sposobu, w jaki należy się zwracać do najjaśniejszego pana. Ty także powinnaś go zobaczyć. Jaka szkoda, że damy z cesarskiej *zenany* nie mogą się ukazywać obcym mężczyznom.

Mihrunnisa jeszcze raz powtórzyła jego ruch. Kiedy się odezwała, jej oczy lśniły rozbawieniem.

- W rzeczy samej, wielka to szkoda, mirzo. I dlatego dla najjaśniejszego pana i mnie bardzo jest ważne, by mieć na swe usługi tak znakomitych ministrów jak ty.

Gniew uderzył Mahabbatowi do głowy. Cesarzowa zwracała się do niego jak do jakiegoś mało ważnego urzędnika, jakby nie był Mahabbat-chanem, jednym z najbardziej zaufanych i lojalnych sług cesarza. A kimże ona była? Zwykłą kobietą, wyniesioną z prochu na wyżyny.

- Najjaśniejsza pani jest zbyt łaskawa - wymamrotał, robiąc ruch. Pionek przesunął się o jedno miejsce. Na razie grali automatycznie. Mahabbat inicjował ruchy jako gracz otwierający rozgrywkę, ona zaś reagowała na nie lub je powtarzała.

Teraz przesunęła królową naprzód po przekątnej. Mahabbat zauważył to, ale widział, że jego szach jest bezpieczny. Przesunął pionek królowej o dwa kwadraty.

W odpowiedzi cesarzowa kazała swemu pionkowi zbić pionek Mahabbata. Mahabbat przyglądał się beztrosko, jak piechur w czarnym aksamicie wyciąga miecz i udaje, że ścina głowę białemu żołnierzowi. Ten upadł, odpełzył na bok, gdzie po raz pierwszy uniósł głowę i spojrzał wprost na Mahabbata.

- Nie darzę zaufaniem tego ambasadora, mirzo - odezwała się Mihrunnisa głosem miękkim i uwodzicielskim. Mahabbat słuchał jak w transie. Mówiła o sprawach państwa, choć tonem stosownym w sypialni. - Anglicy wiele nam obiecali, głównie chronić nasze statki na Morzu Arabskim przed korsarzami i Portugalczykami. I nie dotrzymali słowa. Czy temu ambasadorowi można zaufać?

- Tak sędzę - odparł Mahabbat, przesuwając pionka na pozycję zagrażającą skoczki cesarzowej. Usunęła go na bezpieczne piąte pole od skoczka szacha. Mahabbat kazał pionkowi gońca królowej pokonać pionka cesarzowej; po chwili sytuacja się powtórzyła. Czarny pionek niemal wdał się w bójkę z białym, zanim zszedł z szachownicy. Na skraju dziedzińca skłonił się cesarzowej, a ona skinęła do niego głową. - Angielski ambasador może nie być godny zaufania, ale Anglicy dowiedli, iż na morzu są silniejsi od Portugalczyków. Być może warto będzie przez jakiś czas pozostawać z nimi w przyjaznych

stosunkach - dopóki najjaśniejszy pan nie zdecyduje, co robić. Najjaśniejsza pani jest bardzo uprzejma, pytając o te sprawy, lecz na dworze jest wielu ministrów, pragnących i potrafiących służyć cesarzowi, nawet życiem, jeśli to będzie konieczne.

Mihrunnisa parsknęła śmiechem.

- To prawda. Jednak ministrowie mają do ofiarowania tylko własne życie. Tymczasem królowa, cóż... królowa może zapewnić sir Thomasowi Roe zezwolenie na handel z Gudżaratem. To przyniesie cesarstwu więcej pożytku, nie sądzisz, mirzo? - Rozkazała skoczki swojej królowej pokonać pionka, niedawnego zwycięzcę.

Mahabbat spojrział na nią twardo; znowu zapłonął w nim gniew. Przez ostatnie cztery lata, od czasu małżeństwa z cesarzem, Mihrunnisa nieustannie odmawiała mu zaszczytów i przywilejów. Namówiła Dżahangira, by postępował odwrotnie z życzeniami Mahabbata, robiąc z niego głupca w oczach dworzan. Jak śmiała tak się do niego odzywać? Cały zachwyt i wdzięczność za zaproszenie do *zenany* uleciały bez śladu. Zaproszono go tu, by go upokorzyć, pomniejszyć w obliczu tej kobiety, której się zdawało, że może wodzić za nos cesarza i cały kraj. Spojrział na przeciwległy kraniec dziedzińca, gdzie stały zbite figury. Dwa jego pionki, jeden cesarzowej. Na szachownicy skoczka królowej, który niedawno skosił jego pionka, bronił jedynie goniec. Którego z pewnością cesarzowa nie odważy się poświęcić. Głupi ruch, pomyślał Mahabbat ponuro. Ruch godny kobiety, której jedynym atutem jest uroda i ciało.

- Skoczek na czwarte pole królowej - zawołał ostro; jego głos nieprzyjemnie zabrzmiał w ciszy dziedzińca. Skoczek pomknął, by pokonać skoczka cesarzowej.

Kiedy figury znów znieruchomiały - jeśli nie liczyć żrebaków i słoni, od czasu do czasu strzepujących ogonami - Mihrunnisa spojrzała na Mahabbata.

- Doskonale, mirzo. W rzeczy samej, doskonale. Wiesz, nie ufam szachowi perskiemu Abbasowi.

- Dlaczego, najjaśniejsza pani? - spytał z nieznacznym uśmiechem. Jeśli usiłuje zdobyć trochę czasu na zastanowienie, niech go ma.

- Nieustannie zagraża Kandaharowi. Pragnie przyłączyć go do swojego kraju. To ważna twierdza naszego cesarstwa. Gdybyśmy stracili Kandahar, reszta cesarstwa znalazłaby się w zagrożeniu.

Teraz Mahabbat słuchał jej już z uwagą. Czy szach Abbas naprawdę mógł sprowadzić na nich kłopoty? Przypomniał sobie, jak bardzo zagrażał Kandaharowi w początkach panowania cesarza. Ale wówczas groźbę tę skutecznie unieszkodliwiono, a szach Abbas przytomnie zrzucił winę za napad na gubernatorów prowincji granicznych.

- Nie słyszałem o żadnych zamieszkach na północno-zachodniej granicy cesarstwa, najjaśniejsza pani.

- Nie wątpię w to. Zastanawiałam się jedynie nad taką możliwością. Nie możemy sobie pozwolić na utratę żadnego miasta, zwłaszcza Kandaharu.

- Twój ruch, najjaśniejsza pani - powiedział. - Jeśli mogę zauważyć, zastanawiasz się za długo.

Skinęła głową.

- Ale... - Pochyliła się nad szachownicą, wpatrzyła się intensywnie w figury. - Królowa na piąte pole wieży króla.

Mahabbat spojrział na szachownicę. Na czoło wystąpiły mu drobne perełki potu. Nagle poczuł duszności. Słońce już zaszło, ale upał pozostał. Ktoś parsknął cichym śmiechem: to szach Mahabbata. Wszystkie figury się uśmiechały. Królowa cesarzowej była zbyt blisko jego szacha, a chroniły go tylko trzy pionki. W panice cofnął skoczka swego króla.

- Jak mówiłam - odezwała się cicho cesarzowa - żywię do Kandaharu specjalną życzliwość, gdyż tam się urodziłam.

Mahabbat zapomniał o uprzejmości.

- Dziwna to życzliwość, skoro najjaśniejsza pani nie była w Kandaharze od dnia swych narodzin - warknął. Przegrywał i już o tym wiedział. Ta kobieta jakimś cudem przyparła go od muru. Najpierw angielski ambasador, teraz szach Persji. Co to ma być, lekcja dyplomacji? Jak może uczyć kogoś, kto gra w tę grę lepiej niż ona?

- W rzeczy samej - odparła Mührunnisa, zdając się nie dostrzegać braku szacunku w głosie Mahabbata. Zbiła pionka

gońca króla i postawiła królową w pobliżu jego szacha. - Ale do Kabulu także mam wielką słabość. Mój ojciec był tam przez cztery lata skarbnikiem. - Położyła się na otomanie, spokojna i odprężona. - Szach, mirzo.

Mahabbat wytarł twarz rękawem *kaby*. Gdzie popełnił błąd? Teraz rozumiał, że poświęciła skoczką, a on nabrał się jak idiota. Przesunął szacha na miejsce wieży; kiedy wypowiedział komendę, usłyszał drżenie swego głosu.

- Cesarz i ja jesteśmy zatroskani plotkami o gubernatorze Kabulu, mirzo. Cesarz wezwał go na dwór, by mógł się wytłumaczyć. Jednak Kabul nie może pozostać bez silnego przywódcy, który obroni interesy cesarza i będzie strzec granic.

- Znajdę takiego człowieka, najjaśniejsza pani - obiecał Mahabbat z desperacją, gdyż królowa cesarzowej zbliżyła się do jego szacha. Groziło mu niebezpieczeństwo. Zbił królową skoczkiem, lecz jego szach znalazł się w pułapce bez wyjścia.

Spojrzał boleśnie na Mihrunnisę. Do jutra cała Agra dowie się o jego porażce, a za parę tygodni - całe cesarstwo. Mirza Mahabbat-chan dał się pobić cesarzowej, zwykłej kobiecie. Cesarzowa uśmiechała się, ukryta za welonem; jej skoczek zbliżył się na siódme pole od gońca szacha. Teraz szach Mahabbata był uwięziony między trzema jego pionkami i gońcem.

- Ach, nie trudź się - powiedziała. - Już cię wyręczyłam. Zasugerowałam najjaśniejszemu panu, że najlepszym kandydatem jesteś ty. - Zrobiła pauzę. - Szach mat, mirzo.

Głos miała łagodny, ale on usłyszał w nim groźbę. Miał opuścić dwór i objąć obowiązki gubernatora w Kabulu. Cesarzowa go pokonała, i to nie tylko w tej partii *szatrandża*. Skłonił głowę w krótkim, niechętnym ukłonie. Więc Szarif miał rację, ostrzegając go przed uczuciem Dżahangira do tej kobiety. Pamiętał, jak cesarz spytał go, czy chce pojechać do Dekanu, by nadzorować tam działania wojenne - Dżahangir ostrzegał go, by zachował swoje myśli dla siebie, ale Mahabbat nie rozumiał aluzji. A teraz wysyłano go do Kabulu, tak daleko od Agry, niemal na drugim krańcu cesarstwa. To było jak śmierć bez umierania.

Wzjął głęboki oddech.

- Dziękuję za zaufanie, najjaśniejsza pani. Ta misja to wielki zaszczyt.

W jej oczach pojawił się cień.

- Naprawdę? Ciekawe. Musisz wyjechać wkrótce, mirzo, w ciągu tygodnia.

Wstał i skłonił się.

- Stanie się zgodnie z twoim rozkazem. Być może w przyszłości najjaśniejszy pan znowu wezwie mnie na dwór.

Odprawiła go gestem ręki, jakby był zwykłym sługą.

- Możliwe... choć mało prawdopodobne.

Po jego odejściu zanurzyła dłoń w haftowanym woreczku i rzuciła na dziedziniec garść *mohurów*. Zaśniły złotem w powietrzu. Figury *szatrandża* rzuciły się w ich stronę.

- Sprawiliście się dobrze - zawołała. - Jutro zostaniecie wynagrodzeni sowiciej.

Eunuchowie skłonili się i opuścili dziedziniec. Mihrunnisa przyglądała się, jak służące gaszą pochodnie na kolumnach. W końcu zostały tylko dwie lampki olejne koło otomany. Zatem jedna przeszkoda została pokonana. Kabul był tak daleko od dworu, że Mahabbat nie zdoła podburzyć cesarza przeciwko niej - ale nie tak daleko, by szpiedzy nie mogli jej informować o jego ruchach.

I tak Mahabbat wyruszył w długą podróż, uwożąc w sercu głęboką i zapiekłą nienawiść do Mihrunnisy. Przez najbliższe miesiące i lata będzie miał mnóstwo czasu, by zastanowić się, gdzie popełnił błąd i kiedy mógł sprawić się lepiej. I tylko jednego będzie zawsze pewien: jeśli kiedykolwiek nadarzy mu się szansa, by zniszczyć Mihrunnisę, nie zawaha się.

Nie wiedzieli, że taka szansa rzeczywiście kiedyś nadejdzie.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Nigdy nie widział oblicza tak spokojnego... choć również pełnego krańcowej dumy i pogardy dla wszystkich. Jeśli wolno mi o tym wyrokować, zostawił on (Churram) serce wśród kobiet swego ojca, z którymi wolno mu było rozmawiać do woli. Normahall... złożyła mu wizytę... Darowała mu opończę całą haftowaną perłami, dyjamentami i rubinami i odwróciła, jeśli się nie mylę, jego uwagę od innych spraw.

The Embassy of Sir Thomas Roe to India,
wyd. William Foster

- Piękny jest Zahara Bagh, najjaśniejszy panie.

Mihrunnisa i Dżahangir szli ramię w ramię na czele świty. Ona obejmowała cesarza w pasie, on trzymał rękę na jej ramieniu.

- Został tak nazwany na cześć córki cesarza Babura. - Rozejrzał się. - Założył go mój pradziad. Kiedy po raz pierwszy znalazł się w Indiach, nic go nie cieszyło. Panował straszny upał, który pozbawiał go sił, nie było się gdzie schronić przed słońcem. Ponieważ nie mógł wrócić do Kabulu, swój ulubiony ogród sprowadził tutaj.

Cesarski orszak z wolna przemierzał ogród, gdzie cień rzucały drzewa mango. Owoce były już niemal dojrzałe, na uginających się gałęziach wszędzie było widać przebłyszki lśniącej, żółtej skórki. Kiedy mijali drzewa, z ich czubków zrywały się z wrzaskiem stada zielonych papug.

Na środku ogrodu, w miejscu gdzie spotykały się cztery kanały, znajdował się *baradari*, pawilon z czerwonego piaskowca. Był to wielki, otwarty budynek przykryty kopułą podtrzymywaną przez spięte ozdobnymi łukami kolumny. Pomimo skwaru w trawie kwitły róże, stokrotki i goździki, pieczołowicie podlewane przez ogrodników.

Główną rolę w ogrodach Mogołów odgrywała woda; cza-

sem spokojna, czasem rwąca i szumiąca, cieszyła oczy i uszy, a niekiedy dawała się odczuć jako wodny pył. Wodne kanały, biegnące ze wschodu na zachód i z północy na południe, a spotykające się na środku ogrodu, dzieliły Zahara Bagh na cztery kwatery. Dlatego ogród ten nazywano *czarbagh* lub - dosłownie - czterema ogrodami. Kanały nie tylko nawadniały kwiaty i drzewa, lecz zapewniały chłodne ukojenie podczas upału. Przed podbojem Indii cesarz Babur był zaledwie hersztem nomadów, lecz potem zyskał całe cesarstwo pełne naturalnych bogactw, klejnotów niewiarygodnej urody i żyznej ziemi, rodzącej złotą pszenicę i ryż. Ale wodę trudno było znaleźć, a przed nadejściem monsunów w całym kraju szalały wiatry *tufan* - straszne, suche wichry, które wysysały wilgoć ze skóry każdego człowieka. Dlatego cesarz stworzył ogród, który przywodził mu na myśl wizję raj, gdzie wody było pod dostatkiem.

Dżahangir i Mihrunnisa właśnie wrócili z polowania. Uporcorzenie tamtej pamiętnej wyprawy z Dżagat Gosini stanowiło już przeszłość. Dziś Mihrunnisa - z zakurzoną twarzą, obsypana prochem, nadal pachnąca nim i potem - była szczęśliwa. Zabiła sześć tygrysów, i to sześcioma kulami. Dotknęła dwunastu złotych bransolet na nadgarstku. Maleńkie, idealnie oszlifowane szmaragdy koloru spokojnego oceanu migotały w świetle słońca. Była to nagroda od Dżahangira za strzelecki kunszt. Jej szkatuły były pełne dowodów uczucia cesarza.

- Jak tu spokojnie - powiedziała. Po raz pierwszy widziała Zahara Bagh; cisza ogrodu wydała się jej kojąca po kakofonii polowania.

- Przyszło mi do głowy, że moglibyśmy tu zostać na noc. Dziś będzie pełnia. - Dżahangir spojrział w pogodne niebo.

- Jak ci się tu podoba, Churramie? - spytała Mihrunnisa księcia, idącego u ich boku w pełnym myśliwskim rynsztunku. Pozbył się tylko muszkietu.

- Bardzo, najjaśniejsza pani.

Ale patrzył na jej bransolety. Przyglądał się, jak przy każdym ruchu rąk szmaragdy stają się ciemne i znowu rozblyszują. Uśmiechnęła się i podsunęła mu dłoń, by mógł dotknąć

klejnotów. Zrobił to z szacunkiem i fascynacją. On także świetnie się sprawił na polowaniu, lecz jemu przychodziło to równie łatwo jak oddychanie. Oko miał bystre, ramię pewne i potrafił ustrzelić nawet gazelę w biegu.

Dotarli do *baradari*. Łagodny wietrzyk wpadł do otwartego pawilonu, chłodny od cienia drzew mango. Na podłodze pawilonu leżały trzciniowe maty i aksamitne wałki. Mihrunnisa, Dżahangir i Churram usiedli, czekając na obiad.

Mir bakawal zjawił się na czele służących. Kuchnię przeniesiono na tereny za ogrodem, od zawietrznej, żeby dym z palenisk i zapach potraw nie zepsuły powietrza w pawilonie. Teraz kuchmistrz wniósł wielki obrus z czerwonego atłasu, który ceremonialnie rozpostarł na ziemi przed cesarzem. Dwudziestu niewolników wkroczyło ze złotymi i srebrnymi naczyniami pełnymi potraw. Postawili je, a służący postawił obok stertę porcelanowych talerzy. Potem pojawił się stolnik, który ukląkł i zaczął unosić ozdobne przykrywkę naczyń. W powietrzu rozszedł się zapach delikatnie przyprawionego curry i ryżu. Była także jagnięcina marynowana w jogurcie, z czosnkiem i kolendra, przepiórki i dziki ubite podczas polowania, jeszcze skwierczące w gęstym brązowym sosie z cebuli i imbiru, a także pięć rodzajów ryżu barwionego szafranem i hojnie wzbogaconego orzechami i rodzynkami.

Stolnik nakładał na talerze sterty potraw, a tymczasem służący wnieśli złote kielichy, inkrustowane rubinami i brylantami. Nalali do nich sorbetu z *chusu*.

Dżahangir wskazywał potrawy, na jakie miał ochotę. Służący czekali w milczeniu. Podczas posiłków nie rozmawiano. Jedzenie smakuje najlepiej, gdy rozmowa nie rozprasza uwagi. Jedzono palcami, używając jedynie prawej ręki, delikatnie biorąc potrawy, by palce brudziły się tylko do kłykci. Ubrudzona dłoń była oznaką złego wychowania.

Mihrunnisa żuła ryż z kurczakiem w sosie. Co to za sos? Imbir - ten świeży smak eksplodował na języku - kminek i coś jeszcze... coś gryzącego. Ach, proszek z suszonego mango. Kiwnęła głową mir bakawalowi, który stał nieopodal ze splecionymi rękami, przyglądając się im z niepokojem. Jedze-

nie było doskonałe jak zwykle, sosy lekkie i świetnie przyrządzone, ryba miękka, namoczona w czosnku i soku limonki. Kuchmistrz pochylał głowę, dziękując za komplementy, którymi darzono go po każdym daniu. Ale w tym wypadku należy mu się dwukrotnie więcej podziękowań, pomyślała Mihrunnisa. Przeniesienie całej kuchni z fortu do ogrodu musiało być niełatwe - trudno jest gotować na otwartym powietrzu, gdzie każdy kubeł wody należy przydźwigać. Zasugerowała Dżahangirowi, że mogliby wrócić do *zenany* na posiłek, lecz on wyśmiał jej obawy. Mieli tylu służących, że mogliby przenieść z fortu do Zahara Bagh każdy talerz, garnek i łyżkę z osobna. Mieli tylu niewolników, że mogliby przynosić wodę łyżkami. Ale czy dla kuchni nie będzie to niewygodą? - spytała, wciąż jeszcze nieprzyzwyczajona, że nawet najbardziej wymyślne wydarzenia zachodzą tu jakby od niechcenia. Co innego mają do roboty? - odpowiedział cesarz. Od tego są, to ich praca, ich życie. Dlatego Mihrunnisa obecnie zaszczycała mir bakawala komplementami - mógł je przekazać kucharzom, czekającym w milczeniu za murami ogrodu, wyęzającym słuch z ciekawości, czy ich dania zyskały aprobatę.

Mihrunnisa jadła i przyglądała się Churramowi. Odkąd Ardżumand powiła pierwsze dziecko, minął zaledwie rok. Teraz była brzemienna po raz drugi. Urodził się im chłopiec, którego Dżahangir nazwał Dara Szikoh. Tym razem także będzie chłopiec, pomyślała, sądząc po tym, jak łatwo Ardżumand nosi go w sobie. Na tę myśl znowu odezwał się w niej ból, ale zdusiła go. Takie myślenie tylko ją osłabiało, odbierało wolę życia. To bez sensu. Miała Ladli. I to sobie powtarzała, najpierw niemal co parę minut, potem każdego dnia, a wreszcie tylko czasami, kiedy złe myśli opadały ją zniecka. Miała Ladli.

Od narodzin Dary coś się między nimi zmieniło. Churram nie zjawiał się już tak często na ich spotkaniach; czasem bywali na nich tylko ona, *bapa* i Abul, który przekazywał prośbiny od swego zięcia. Churram nie chciał się zjawić także na tym polowaniu, ale Mihrunnisa wysłała do niego list, w którym grzecznie, lecz stanowczo oznajmiła, że cesarz byłby rad go zobaczyć.

Churram nie podnosił głowy znad jedzenia. Kiedy wreszcie to zrobił, posiłek się zakończył, a służący wnieśli ciepłą wodę, by biesiadnicy mogli w niej umyć ręce.

Minęła godzina. Dżahangir leżał z głową opartą wygodnie na poduszce. Muzycy przed *baradari* grali kojąco. Cesarz spał od paru minut.

Mihrunnisa skinęła na Churrama. Wstał i wyszedł w ślad za nią. Ruszyli przez bujny, zielony trawnik, dotarli do kwadratowego zbiornika wodnego, pełnego złotych rybek i białych lilii. Nad jego taflą wdzięcznie pochylała się wierzba, chroniąca ich przed słońcem. Mihrunnisa usiadła nad brzegiem sadzawki, zdjęła sandały ozdobione klejnotami. Włożyła stopy do chłodnej wody i przyglądała się, jak złote rybki z zaciekawieniem skubią ją w palce. Churram siedział obok w milczeniu, czekając na jej słowa.

- Jak się miewa Ardżumand? Mam nadzieję, że jest zdrowa.

- Tak. - Twarz księcia rozpromieniła się szczęściem. - Czuję się doskonale. Wróżbici twierdzą, że to znowu będzie syn. Dla mnie to nie ma znaczenia, ale Ardżumand jest zadowolona.

- Bardzo ją kochasz.

- Nad życie, najjaśniejsza pani - rzekł księżę gorąco. - Może to brzmi pompatycznie - dodał po chwili - ale tak jest. To prawda.

- Dobrze jest kochać swoją żonę. - Mihrunnisa zawahała się. - Ale pamiętaj, twoim obowiązkiem jako księcia cesarskiej krwi jest poślubić więcej kobiet i żadnej nie wywyższać nad inne. Masz inną żonę, którą poślubiłeś przed Ardżumand. Słyszysz, że odwiedzasz ją rzadziej.

- I to ty mi to mówisz, najjaśniejsza pani? - spytał Churram z krzywym uśmiechem. - Błagam o wybaczenie, ale znam cię, odkąd byłem dzieckiem, i czuję, że mogę ci to powiedzieć. Cesarzowa Dżagat Gosini także się skarży, że cesarz ją zaniedbuje. Inne małżonki również.

Mihrunnisa parsknęła śmiechem, który zabrzmiał bardzo głośno w cichym ogrodzie. Eunuchowie w *baradari* odwrócili się w ich stronę, ale nie słyszeli słów. Mihrunnisa dotknęła ramienia Churrama.

- Dobrze powiedziane. Ale sprawy z cesarzem wyglądają inaczej. On ma zbyt wiele obowiązków; dwór, lud, cesarstwo, wszystko to pochłania jego uwagę. Kiedy wraca do *zenany*, przychodzi do mnie. Nie muszę ci o tym przypominać.

- Proszę o wybaczenie, najjaśniejsza pani.

Skinęła głową i zamilkła. Nie spodziewała się usłyszeć wymówki z ust Churrama. Jednak ten kpiący, lekki ton od dawna zniknął z ich rozmów i powitała go z radością. Ale... za tymi słowami kryła się bezczelność. Nawet jeśli niezamierzona. A może zamierzona? Churram także zdjął sandały i razem usiedli na brzegu basenu.

- Nie pojmę już żadnej innej żony - powiedział. - Ani z powodów politycznych, ani dla wygody. Wszystko, czego pragnę, znalazłem u Ardżumand.

- Bardzo dobrze, że ją kochasz - szepnęła Mihrunnisa - ale pomyśl o związkach, które musisz zawrzeć dla dobra cesarstwa, związkach, które połączą nas z innymi władcami. Nie możesz przedkładać miłości nad obowiązek.

Churram zmarszczył brwi.

- Dlaczego książę musi być posłuszny tym zasadom? Dlaczego nie mogę wybrać zgodnie z własną wolą?

- Skarżysz się na brak wolności, Churramie? Pragniesz prawa wyboru? Czy dla tych rzeczy zrezygnujesz ze swego szlacheckiego urodzenia i prawa do tronu?

Odwrocił się gwałtownie.

- Mogę je mieć i pozostać wolny. Mój ojciec tak zrobił. Wybrał ciebie, najjaśniejsza pani.

Gniew, który przez cały czas tlił się w niej gdzieś głęboko, wybuchł z nową siłą. Churram wypominał jej pochodzenie, fakt, że jej ojciec był zbiegiem z Persji, a ona nie miała żadnych koneksji. Jego żona była wnuczką tego perskiego uchodźcy!

- W Ardżumand płynie moja krew. Już o tym zapomniałaś? - Książę zaczął coś mówić, ale go uciszyła - Wiem, że twoja pierwsza żona jest spokrewniona z szachem Ismailem z Persji, ale nie zauważyłam, żeby była ci droższa ze względu na swe pochodzenie. Tak jak cesarz ukochał mnie, kobietę po-

ślubioną po dziewiętnastu innych, ty kochasz Ardżumand. Czy teraz okazujesz jej brak szacunku?

Odsunął się zarumieniony. Wymamrotał bezładne słowa przeprosin. Nie chciał nikomu okazać braku szacunku, najjaśniejsza pani chyba tak nie sądzi. Jest jej bardzo wdzięczny, jej rodzinie również zawdzięcza tak wiele... Mihrunnisa pozwoliła mu się wygadać. Nie przerywała mu, czekała, aż i jej gniew się uspokoi. Chciał być uszczypliwy, ale nie zauważył faktu, że każde słowo, które wypowie, może mieć wpływ i na jego sytuację. Łączyły ich więzy małżeństwa z Ardżumand. Niech nie czuje się zbyt pewnie, pomyślała. Dzięki temu łatwiej mi będzie powiedzieć to, co mam do powiedzenia. Nie wolno mu zapominać, kim jestem i co mogę dla niego zdziałać.

- Więc zgodzisz się ze mną, Churramie, że trzeba przystać na pewne nieprzyjemności, by móc się cieszyć przyjemnościami.

- Tak, najjaśniejsza pani, oczywiście. Ale co masz na myśli? Czy zaproponowano mi inny związek?

- Tak - powiedziała po chwili milczenia. - Pragnę, twój ojciec i ja pragniemy, byś pojął następną żonę.

- Kim ona jest?

Koniec protestów, pomyślała. Bardziej go interesowała nowa wybranka niż opowiadanie o wiecznej miłości do Ardżumand.

- Ktoś, kogo dobrze znasz. I kto będzie dla ciebie dobrą żoną. Ladli.

- Ladli? - powtórzył. - Ależ to jeszcze dziecko.

- Majuż jedenaście lat. Nie twierdzą, że to małżeństwo powinno zostać zawarte już teraz, chodzi jedynie o zaręczyny. Możemy poczekać, aż Ladli dorośnie.

- Jak mogę poślubić kuzynkę Ardżumand?

- Już były takie wypadki, czy muszę ci przypominać? Cesarzowa Rakajja była bliską kuzynką cesarza Akbara, inna jego żona też była jego krewną. Skąd ta nagle obudzona moralność?

Churram spojrzał na nią ostro. Kimże była, by przypominać

mu o jego obowiązkach względem cesarza? Zachowywała się tak, jakby jego wstąpienie na tron zależało od jej łaski. Tron należał mu się w naturalny sposób; jego starsi bracia Chusru i Parwez nie rokowali nadziei, a Szahrijar był jeszcze dzieckiem. Przecież nawet cesarz Akbar nazywał go najukochańszym z wnuków. Kto dał tej kobiecie prawo dyktowania mu, co powinien zrobić, i wyśmiewania jego moralności?

- Zastanowię się - mruknął.

- Dobrze się zastanów - odparła, wstając i wsuwając mokre stopy w sandały. - Pamiętaj, kim jesteś. - Zatrzymała się i dodała łagodniej: - Nie chcę ci narzucać tej decyzji, ale co w niej złego? Ladli jest uroczą dziewczynką - a mówię to nie tylko jako jej matka - i wyrośnie na uroczą kobietę, taką jak Ardżumand. - Roześmiała się. - Teraz naprawdę mówię jak matka panny młodej. Sławię zalety mojej córki. Ale myślę, że to cię nie zniechęci.

Wrócili do pawilonu w milczeniu. Churram nie odezwał się już ani słowem, zamyślony. Mihrunnisa zostawiła go w spokoju. Myśl, którą mu poddała, musi zapuścić korzenie. Nie żądała od niego wielkiego poświęcenia. Był mężem jej brataniicy, dlaczego nie miałyby poślubić jej córki? Wkrótce przekona się, czemu to takie ważne.

Ale nadal dręczył ją niepokój. Oczywiście wciąż byli silni, ich przymierze nadal obowiązywało. Na pewno będą względem siebie lojalni. Na pewno.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Statek, który przybył do wybrzeży Surattu 13 dnia września 1613 roku... został przejęty przez portugalską armadę, choć miał przepustkę od Portugalczyków.

*Early Travels in India (1583-1619),
red. William Foster*

Rahimi kołysał się na wodzie, potężne żagle wydymały się na wietrze. Statek wracał do Surat z Dżuddy, portu na Morzu Czerwonym w pobliżu Mekki.

- Łąd na horyzoncie! - krzyknął *pandżari* z bocianiego gniazda.

Na pokładzie natychmiast zaroiło się od pasażerów i marynarzy, którzy po czterech miesiącach na morzu pragnęli ujrzeć łąd choćby z daleka. Wszyscy stłoczyli się przy relingach, rozgadani, ożywieni, uśmiechnięci, szukając łądu, który ukazał się oczom *pandżariego*. Mewy zjawiły się na statku już dwa dni temu, zwiastując pojawienie się łądu. Jednak nikt nie wierzył bezwarunkowo w takie zapowiedzi, gdyż ptaki już przelatywały nad statkiem i znikały nad ogromnym, pustym morzem, a łądu jak nie było, tak nie było.

Na pokładzie *Rahimi* podróżowali głównie pielgrzymi, którzy wracali z wyprawy do Mekki. Nie było ich w domu przez długi czas - czasami nawet dwa lub trzy lata. Mężczyźni i kobiety rozmawiali z marynarzami, spacerując po wypolerowanych deskach pokładu - i czekali. Początkowo nic się nie działo, linia horyzontu wydawała się płaska, niezmieniona. Potem pojawiła się błękitnoczarna smuga, jak odcisk palca. W końcu smuga zmieniła się w łąd. Indie! Statek zatrzęsł się od okrzyków radości. Mewom rzucano w nagrodę kawałki chleba.

Po kilku godzinach, o zachodzie słońca, *Rahimi* zrzucił żagle i gładko wpłynął do ujścia rzeki Tapti, gdzie stanął na kotwicy. Następnego ranka o świcie do *Rahimi* przypłyną łodzie, na których pasażerowie i załoga przeprawia się rzeką w głąb ładu do Suratu.

W świetle słońca tonącego w wodach Morza Arabskiego *Rahimi* przedstawiał wspaniały widok. Z pełnymi ładowniami jego wyporność wynosiła do tysiąca pięciuset ton, żagle miał tak ogromne, że można je było rozpoznać na wiele kilometrów, a mieścił tysiąc pięciuset pasażerów. Podczas tego rejsu na jego pokładzie znajdowało się siedmiuset pielgrzymów z Mekki oraz pełna załoga. Ładownie pod pokładem wypełniały jedwabie, przyprawy i inne towary. Był to największy statek, jaki pływał po Morzu Arabskim, lecz pomimo ogromu nie tracił godności czy elegancji. Żagle miał utkane ręcznie z grubego włókna i centymetrowych pasków złotej przędzy - w pogodny dzień zdawały się płonąć. Wszystkie okucia wykonano z najbardziej lśniącego brązu, a drewniany pokład zmywano codziennie.

Wszystko to na rozkaz cesarzowej wdowy Rakajji. *Rahimi* stanowił jej własność.

Po zapadnięciu nocy pasażerowie odeszli do swoich kabin, uradowani powrotem, by czekać na następny dzień, kiedy wreszcie postawią stopę na ojczystym lądzie. Kapitan i marynarze także wypoczywali po długim, męczącym rejsie. Cały statek spał, a tymczasem wokół niego stanęło bezszelestnie pięć portugalskich fregat.

Wraz z pierwszymi promieniami słońca samotny wartownik obudził się, zdjęty wyrzutami sumienia. Zasnął po winie; sam kapitan przyniósł mu kielich. Noc była spokojna, nie wróżyła kłopotów. Wartownik podniósł się z pokładu, roztarł obolałe plecy i ziewnął. Tuż przed nim na falach kołysała się fregata. Przez chwilę nie pojmował, co widzi. Potem odwrócił się na pięcie i puścił się pędem przed siebie.

- Kapitanie! - krzyknął, dopadając kapitańskiej kabiny. - Otoczyli nas Portugalczycy!

Jego głos poderwał cały statek. Po paru chwilach na po-

kładzie zaroilo się od pasażerów i marynarzy. Wszyscy stanęli wpatrzeni z podziwem w potężne okręty. Z burty fregaty spuszczone szalupę i niewielka grupka Portugalczyków powiosłowała w ich stronę.

- Zrzućcie drabinę! - krzyknął kapitan Portugalczyków.

- O co chodzi? Zapłaciliśmy za *cartaz* i nie złamaliśmy żadnych zakazów - odparł kapitan *Rahimi*.

Na dźwięk znieprawidzonego słowa pielgrzymi zadygotali, lecz się nie odezwali. *Cartaz* był przepustką, jaką musiały mieć wszystkie statki odbijające od wybrzeży Indii. Był to paszport statku, opisujący jego porty przeznaczenia i trasę, jaką zamierza przemierzyć Morze Arabskie, a także zawierający szczegółowy spis towarów przeznaczonych na handel. Na pierwszej stronie znieprawidzonego dokumentu widniała pieczęć przedstawiająca Matkę Boską z Jezusem - znieprawidzonego, ponieważ dla muzułmańskich pielgrzymów nie do pomyslenia była podróż do Mekki pod opieką Boga, którego nie mogli nazwać swoim.

- Pokażcie mi wasz *cartaz*.

Spuszczono przepustkę na sznurze. Portugalski kapitan przejrzał ją pobieżnie. Potem znowu zażądał drabinki. Spuszczono ją. Portugalczycy weszli na pokład.

- Przejmujemy *Rahimi*. Pogwałciliście zasady.

- Jakie zasady? - ryknął kapitan. - Tak nie można, *Rahimi* należy do najjaśniejszej pani, cesarzowej wdowy Rakajji Sułtan Begam.

- Tego jeszcze nie wiadomo - odparł kapitan Portugalczyków. - Zbadamy wasz ładunek i sprawdzimy, czy wszystko jest zgodnie z prawem. Załoga jest aresztowana, poddajcie się bez oporu, a nikomu nie stanie się krzywda. - Zwrócił się do swojego pierwszego oficera. - Sprowadzić załogę i ruszać do Goa.

Oficer skinął głową i zaczął dawać sygnały fregacie.

- Cesarz się o tym dowie. - Kapitan *Rahimi* zwrócił się do swojego pierwszego oficera: - Wysłać wiadomość do najjaśniejszego pana w Agrze.

- Nikt nie opuści statku.

W tłumie rozległ się pomruk. Mężczyźni zaczęli napierać

na portugalskiego oficera, niektórzy krzyczeli, kobiety płakały. Kapitan *Rahimi* kazał się wszystkim cofnąć.

- Pozwólcie wysiąść pasażerom. Zbyt długo czekali na powrót do domu.

- Poczekają trochę dłużej. Mam rozkaz dostarczyć *Rahimi* do Goa z załogą, pasażerami i ładunkiem.

Za godzinę cała załoga została obezwładniona i odstawiona na portugalską fregatę. Pasażerom nakazano wrócić do kabin; posłuchali, gdyż zdjął ich strach. Byli już tak blisko domu, już widzieli stały ląd, a teraz... co teraz? Słońce dźwignęło się wyżej, a *Rahimi* podniósł kotwicę i wyruszył do Goa, do siedziby portugalskiego wicekróla w Indiach.

Mihrunnisa podsunęła swój zeszyt Siddhikandrze.

- I co sądzisz?

Przeczytał uważnie, zaznaczając tekst tu i ówdzie.

- Najjaśniejsza pani, wypracowanie jest bardzo dobre, lecz popełniłaś pewne podstawowe błędy. Na przykład tutaj... - Wskazał piórem.

Westchnęła.

- Sanskryt jest trudniejszy, niż sądziłam. Tyle gramatycznych pułapek...

Siddhikandra uśmiechnął się.

- To tylko kwestia czasu i cierpliwości, najjaśniejsza pani.

Dwudziestoczteroletni mnich miał młodą twarz i gładką skórę. Natura była dla niego hojna; mięśnie na plecach, ramionach i brzuchu miał wyrzeźbione niczym ostrym nożem, policzki i brodę wyraziste, głowę ogoloną czaszkę gładką. Nosił szafranową szatę, luźno udrapowaną chodził boso, rzadko wkładał sandały i na ogół pojawiał się z cienką muślinową maską na nosie i ustach, by nawet oddechem nie zagrozić życiu owadów, które mogłyby wciągnąć do płuc.

Siddhikandra wyznawał dżinizm. Była to religia założona przez Mahawirę i obecna w Indiach na wiele setek lat przed pojawieniem się chrześcijaństwa czy islamu. W Indiach wyznawali ją głównie *baniyas*, w Gudżaracie - klasa kupiecka. Głównym założeniem dżinizmu była dobroć okazywana

wszystkim stworzeniom dużym i małym, co oznaczało wegetarianizm, a w przypadku Siddhikandry nawet wystrzeganie się niszczenia życia stworzeń niedostrzegalnych gołym okiem.

Ale to zachowanie mnicha urzekło Mihrunnisę. Siddhikandra poruszał się, jakby zawsze był wypoczęty. Nigdy nie widziała go w gniewie czy choćby zdenerwowanego. Był bardzo młody, niemal zbyt młody na takie opanowanie. Zaprosiła go do *zenany*, by uczył ją sanskrytu, logiki i poezji, w których osiągnął wielką biegłość.

Pomimo całej swej łagodności Siddhikandra nie mógł przekraczać progu haremu i zasiadać z kobietami, ponieważ nie należał do rodziny cesarskiej. Mihrunnisa przestrzegała tej zasady - choć nie do końca. Kazała zbudować rusztowanie przed balkonem swych apartamentów i raz w tygodniu Siddhikandra wyjeżdżał na rusztowanie na czymś w rodzaju ławeczki i w ten sposób udzielał jej lekcji. Był oddalony od niej o parę kroków, lecz wisiał w powietrzu - i nie przekroczył progu *zenany*.

Pracowali w milczeniu. Podczas gdy Mihrunnisa z mozołem uczyła się odmiany czasowników, Siddhikandra czytał przyniesioną ze sobą książkę. Chciała, by był jej nauczycielem, ponieważ wszędzie, gdzie się pojawił, wnosił ze sobą spokój. Prawdopodobnie nigdy nie będzie jej dane osiągnąć biegłości w sanskrycie, choć będzie próbować, lecz najbardziej pragnęła się dowiedzieć, jak to możliwe, że cały świat walczy i niszczy się wokół, a on jakby tego nie dostrzegł. Siddhikandra nie miał żadnych pragnień, naprawdę żadnych. Wydawało się, że nic nie jest mu potrzebne.

- Powiedz, jak się czujesz, otoczony przez ludzi nieskających sobie wszystkich ziemskich rozkoszy, sam się ich wyrzekając? - spytała Mihrunnisa.

Siddhikandra odłożył książkę.

- Najjaśniejsza pani, do tego potrzeba siły umysłu. Przez lata trenowałem rozum, by był posłuszny zasadom mojej religii. Nie ma on połączenia z tą zewnętrzną skorupą - wskazał swoje ciało - i dlatego nie kuszą go cielesne przyjemności.

- Czy nigdy nie pozwoliłeś sobie na odstępstwo? Choćby drobne?

- Nie, najjaśniejsza pani, to nie było konieczne. Nie czułem potrzeby.

Do komnaty wszedł cesarz Dżahangir. Mnich natychmiast skłonił głowę.

- Najjaśniejszy panie, właśnie karciłam Siddhikandrę za ten nierozsądny celibat - powiedziała. - I to przy tak młodym i pięknym ciele...

- Więc pomogę ci go przekonać, by porzucił drogę cnoty. - Cesarz spojrział na młodzieńca. - Dlaczego się upierasz? Czy nie widzisz wszędzie wokół siebie luksusu i zmysłowości dobrego życia?

- Poza tym powściągliwość jest jedynie dla tych, którzy zaznali już dość zmysłowych przyjemności - dodała Mihrunnisa. - Czym się różni dżinizm od hinduizmu? Asceza, której muszą się poddawać hindusi, dotyczy tylko czwartego etapu ich życia: w pierwszym są dziećmi, potem uczniami, następnie mężami i gospodarzami, a w końcu, na starość, wyrzekają się świata dla Boga. Ale hindusi doświadczyli przyjemności w młodości i rezygnują z nich dopiero w podeszłym wieku. Jak możesz odrzucać ziemskie przyjemności, nie poznavszy ich smaku? Skąd wiesz, że jedna droga jest lepsza od innej, jeśli podróżowałaś tylko w jedną stronę?

- Najjaśniejsza pani - odparł Siddhikandra - w twoich słowach brzmi prawda. Jednak zastanów się przez chwilę nad światem, w którym żyjemy. Czy przyznasz w zgodzie z samą sobą, że współcześni starcy są tak zdyscyplinowani jak parę pokoleń temu? To młodzi bardziej panują nad swymi umysłami i ciałami i mają dość sił, by zrezygnować z cielesnego spełnienia.

Mihrunnisa zamilkła. Jak to? Czy była zbyt stara, by osiągnąć spokój? Władza, którą zdobyła, którą dał jej Dżahangir, przejmowała ją uniesieniem. Ale wraz z nią nadszedł niepokój. Mihrunnisa nieustannie się o coś martwiła - zawsze znalazło się coś, co ją niepokoiło. Teraz był to Churram. Nie miała od niego żadnych wiadomości, nie widywała się z nim ani na *darbarach*, ani w swoich komnatach. Czy jej unikał? Dlaczego nie odpowiedział na jej sugestię?

Nigdy nie uda się jej naśladować Siddhikandry, obojętnego

na wszystko z wyjątkiem Boga. Nawet tutaj, w *zenanie*, kiedy patrzył na mięsiste perskie kobierce i otomany kryte jedwabiem, nie czuł pokusy, by się na nich położyć. Skąd się bierze ta siła woli? Był przecież ledwie o dwa lata starszy od księcia Churrama, lecz różniło ich wszystko. Milczała, przysłuchując się, jak cesarz i mnich ścierają się w dyskusji. Często tak rozmawiali, ponieważ cesarz nie potrafił sobie wyobrazić, że można nie słuchać pragnień ciała, ignorować jego potrzeby. Jak inaczej mogliby się rodzić następcy tronu? Bez pragnień niczego się nie osiągnie. Ambicja jest potrzebna. A Siddhikandra upierał się, że miłość do Boga zaspokaja wszystkie jego potrzeby.

Cesarz odwrócił się do Miharunnisy.

- Przekonaj go, że potrzebna mu żona. Dlaczego ma być pozbawiony tego, co mamy my? - Położył rękę na jej ramieniu, a ona oparła się o niego.

- Co to? - spytał, odsuwając małżonkę nieco od siebie, by spojrzeć jej w oczy. - Co cię gnębi?

Zapomnieli o mnichu, siedzącym przed nimi na rusztowaniu. Nie zwracali uwagi na to, że nadal patrzy i słucha, co mówią.

- Spytałam Churrama, czy chce poślubić Ladli. Oczywiście nie teraz, lecz wkrótce.

- Czy masz z tym jakieś kłopoty?

- Nie wiem - odrzekła z wahaniem. - Churram nie odpowiedział.

Opisała mu całe spotkanie w Zahara Bagh. Wszystko, o czym rozmawiali. Dżahangir spytał, czy powinien interweniować. Zastanowiła się i pokręciła głową. To ona była matką Ladli i powinna załatwić tę sprawę sama. Poza tym nie mogła wołać cesarza na pomoc za każdym razem, gdy czegoś potrzebowała.

Rozmawiali tak przez chwilę, nadal nie pamiętając o mnichu. W końcu poprosił o pozwolenie odejścia. Dwa razy pociągnął za liny i robotnicy zaczęli opuszczać kładkę. Przed odejściem powiedział jeszcze do Miharunnisy:

- Najjaśniejsza pani, żaden człowiek nie da sobą powodować wbrew swej woli. Jeśli się waha, to nie za podszeptem żony lub teścia, lecz dlatego że decyzję tę dyktuje mu jego wola.

- Tak jak ty opierasz się rozkazowi cesarza, by pojąć żonę - powiedziała Mihrunnisa, przechylając się przez parapet.

- Tak, najjaśniejsza pani. - Siddhikandra uniósł dłoń w pozdrowieniu. Kładka spłynęła na ziemię.

Cesarz i Mihrunnisa patrzyli za nim.

- Najjaśniejszy panie, myślisz, że ma rację? - spytała Mihrunnisa. - Czy Churram nie słucha niczyich podszeptów?

Dżahangir pokręcił głową.

- Churram nie ma surowości Siddhikandry ani też jego siły charakteru. Jak wszyscy moi synowie. Może popełniłem błąd, zbyt im pobłażając, ale - skrzywił się, przypominawszy sobie własne przewiny - nie mogę zaprzeczyć, że i we mnie kryje się słabość. Zrób z Churramem, co zechcesz. Byłbym najszczęśliwszym człowiekiem na świecie, mogąc nazywać Ladli swoją synową. Ale mam jeszcze trzech innych synów.

Po raz pierwszy roześmiała się szczerze, a z serca spadł jej ciężar. Oczywiście! Żaden z tych trzech nie miał uroku Churrama, ale urok można przecież wypracować, prawda?

Hoszijar stanął za ich plecami. Odwrócili się do niego.

- Cesarzowa wdowa Rakajja Sułtan Begam prosi o audiencję. Mihrunnisa pocałowała cesarza w policzek.

- Powinnam do niej pójść.

- Cesarzowa wdowa - odezwał się Hoszijar - zaprasza także najjaśniejszego pana.

Rakajja wyszła im na spotkanie w drzwiach swoich apartamentów. Odsłonięto okna, komnaty wypełniły się światłem i wietrzykiem. Nigdzie nie zostało ani śladu mroku, ospałości i niedbałości, które tak lubiła cesarzowa wdowa. Od śmierci cesarza Akbara Rakajja trwała w niezmiennej pozycji na otomanie, z fajką wodną tłącą się w dłoni, bulgoczącą esencją opium, czekając na nowe wieści, na wiedzę. Utraciła szybkość ruchów, nabrała więcej ciała, a jej włosy posiwiwały jeszcze bardziej. Dlatego jej dzisiejsze zachowanie oznacza wielką zmianę, pomyślała Mihrunnisa, gdy wraz z cesarzem skłoniła się Rakajji.

- Wejdźcie, wejdźcie!- zawołała cesarzowa wdowa. - Nie stójcie w progu.

Posadziła ich na otomanach, a sama spoczęła naprzeciwko. Kiedy jej mały pekińczyk podbiegł i skubnął jej palce, odtrąciła go z irytacją i krzyknęła na eunucha, żeby go zabrał.

- Wzywałaś nas, najjaśniejsza pani? - spytał Dżahangir. Zawsze był tak uprzejmy; uważał, że wszystkie kobiety, jakie poślubił jego ojciec, zasługują na szacunek. Wszystkie były w pewnym sensie jego matkami. Rakajja była faworytą Akbara i Dżahangir o tym nie zapominał. Poza tym opiekowała się Mihrunnisą w czasie jej wdowieństwa, umożliwiła jej małżeństwo i za to po wsze czasy miał darzyć ją wdzięcznością. Nie zawsze był jej posłuszny, nawet jako książę, ale to już inna sprawa. Był na tyle uprzejmy, że zachowywał pozory posłuszeństwa.

Cesarzowa wdowa zmarszczyła brwi.

- Dostałam wieści z Suratu. *Rahimi* dostał się w obce ręce.

- Czyje? - poderwała się Mihrunnisą.

- Portugalskiego wicekróla w Goa. Statek zabrano z załogą ładunkiem, nawet pasażerami. - Nagle Rakajja wydała się stara i zmęczona. Pogrzebiona. Niegdyś na takie wiadomości zareagowałyby wściekłością ciskałyby drogocennymi bibelotami i obrzucała przekleństwami każdego, kto stanąłby jej na drodze. Ale pojmanie *Rahimi* naprawdę ją złamało.

- Dlaczego...? - zaczął Dżahangir i urwał. Odwrócił się do Mihrunnisy; patrzyła na niego. Oboje wiedzieli dlaczego. Chodziło o cesarski *farman*, pozwolenie na handel, który Thomas Best zawiózł do Anglii. Nie mogąc pokonać Anglika, Portugalczycy zemścili się na indyjskich statkach.

- Nigdy więcej nie zobaczę mego ukochanego statku - zatkąła Rakajja.

Mihrunnisą uśmiechnęła się i szybko ukryła ten uśmiech. W ciągu piętnastu lat Rakajja widziała swój statek tylko raz. Niełatwo jest, mieszkając w Agrze lub Lahaur, wyprawić się do najbardziej oddalonych na zachód rubieży cesarstwa, by ujrzeć statek. Znacznie łatwiej być jego właścicielką i wysyłać go w rejsy. Rakajja opłakiwała utratę bogatego ładunku *Rahimi*.

- Nie śmieję się - warknęła cesarzowa wdowa. - Jak byś się czuła, gdyby to był twój statek?

- Przepraszam, najjaśniejsza pani - odparła natychmiast Mihrunnisa. - Ale czy *Rahimi* pogwałcił warunki, jakie wymienia *cartaz*?

- Oczywiście, że nie - ucięła Rakajja. - Mam bardzo uczciwego kapitana i wydałam mu surowy rozkaz przestrzegania wszelkich zasad. *Cartaz Rahimi* był aktualny, zapłacono wszystkie cła. - Spojrzała na Dżahangira. - Co zamierzasz z tym zrobić? Darujesz im takie pogwałcenie prawa? Jeśli Portugalczycy mają czelność zadać cios samej *zenanie*, to może niedługo sięgną po tron?

I tak karciła ich jeszcze przez jakiś czas, a oni słuchali. Nie zawsze jej argumenty były logiczne, lecz widać było, że cesarzowa wdowa się boi. W *Rahimi* zainwestowała większość swych bogactw - choć Mihrunnisie radziła zróżnicowanie inwestycji. W podróż do Mekki włożyła prawie wszystko, co miała.

Dżahangir i Mihrunnisa opuścili jej komnaty po godzinie i wrócili do siebie. Po drodze rozmawiali. Wicekról Portugalii nie odezwał się do nich ani słowem. Nie wspomniał o porwaniu *Rahimi*, nie wyjaśnił, dlaczego tak się stało, kiedy zwolni statek i na jakich warunkach. Rakajja miała rację co do jednego: wicekról nie mógł nie wiedzieć, kto jest właścicielem *Rahimi*. Największą obelgą było to, że porwano go z wybrzeży Suratu, z wybrzeża cesarstwa. Był to powód do rozpoczęcia wojny. Zbyt długo pobłażano Portugalczykom, pozwalano im szerzyć swoją religię i panować na morzu. Zapomnieli, że pozwala im na to dobrotliwy władca. Mogli pozostać w Indiach dłużej, ale cesarz był panem ich każdego oddechu. A o tym zapomnieli.

Natychmiast wysłano *farman* żądający uwolnienia *Rahimi*. Wicekról Portugalii odpowiedział uprzejmie, lecz zuchwale. *Rahimi* pozostanie w jego rękach, dopóki nie zostaną spełnione pewne warunki: należy unieważnić przywileje Anglików, a przebywających w Indiach obywateli Anglii należy oddać wicekrólowi.

Żądania te oburzyły Mihrunnisę. Pomiędzy Agrą i Goa zaczęły krążyć listy. Żadna ze stron nie chciała ustąpić. Początkowo ton tych listów był dyplomatyczny, potem złowrogi. Cesarzowa nie chciała żądać zbyt wiele i zbyt brutalnie, gdyż Rakajji zależało na odzyskaniu statku. Cesarstwo nie mogło przystąpić do wojny z Portugalią przynajmniej nie teraz. A ponieważ Mihrunnisą nie nalegała, wicekról wysłał jej pakiet przepustek, które miała rozdać zgodnie ze swoją wolą. Wiedział, że i ona jest właścicielką statków, dlatego usiłował ją skusić przepustkami, których warunki były bardzo liberalne, a opłaty tak niskie, że statki kursowałyby po Morzu Arabskim właściwie za darmo. Fregaty nadal będą strzegły jej statków przed piratami, ona zaś może handlować z dowolnym portem. Zniesiono wszelkie cła. Mihrunnisą wiedziała, że to łapówka, ale wydała się jej tak kusząca, że nie mogła się zdobyć na odanie przepustek.

Oprócz tego, że Mihrunnisą nie potrafiła się oprzeć pokusie, pozostawało niezbitym faktem, że Portugalczycy nadal zapewniali ich statkom ochronę. Tymczasem Anglicy tylko ją obiecali, lecz obietnica miała zacząć ich obowiązywać dopiero po podpisaniu formalnego traktatu między Anglią i Indiami. Żeby móc sporządzić taki dokument, na dwór mogolski wysłano nowego i pierwszego oficjalnego ambasadora, sir Thomasa Roego. Anglicy twierdzili, że już wyruszył. Problem polegał na tym, że było to za mało. Roe musiał dotrzeć na miejsce, by podpisać traktat zapewniający bezpieczeństwo statkom indyjskim. Sama obietnica nie wystarczała.

Dlatego Mihrunnisą przyjęła „podarunek” wicekróla, lecz nadal nalegała na zwrot *Rahimi*. Wicekról wciąż protestował, mijały miesiące i gra toczyła się dalej.

Podczas gdy cesarz i Portugalczycy debatowali nad kwestią *Rahimi*, radźpucy rozbójnicy w Mewarze zbuntowali się przeciwko cesarskiej armii.

Mewar znajdował się w granicach cesarstwa mogolskiego niczym cień tkwiący w sercu. Od wielu lat, od czasów panowania cesarza Akbara, radźpuci z Mewaru sprzeciwiali się

jego rządóm. Oczywiście stracili sporo ziem, gdyż krańce ich królestwa zostały wchłonięte przez cesarstwo. Obecnie radża Amar Singh, władca Mewaru, został zmuszony do ukrycia się w górach Arawalli w Radżastanie. Stamtąd sprawował rządy, za plecami mając tylko skalny łańcuch. Kiedy jego ojciec umierał, ujrzał turban spadający z głowy syna i uznał to za proroctwo, że Mogołowie zdobędą Mewar. Jednak to proroctwo jeszcze się nie spełniło. Od śmierci radży Pratap Singha minęło dwadzieścia lat, a Amar Singh nadal rządził górkimi terenami, które obecnie nazywał swoim królestwem. Poniżej, w dolinie, lśnił błękit jeziora Pichola z niedokończonym pałacem przodków radży, kipiała bujna zieleń pól nawadnianych wodami jeziora.

Radża Amar Singh zestarzał się w swojej górskiej fortecy. Był zmęczony takim życiem, spaniem - jeśli w ogóle mógł zasnąć - pod gołym niebem, zmaganiem się z monsunami, które gnębiły jego ludzi, wychowywaniem dzieci w górach, gdzie w każdym krzaku kryły się kobry lub żmije. Nie znali luksusu murowanego dachu nad głową ani łóżka, które nie spoczywałyby na głazach. Nawet wspomnienia Amar Singha o pałacu, który miał u swych stóp, były w najlepszym razie słabe. Konflikt z Akbarem rozpoczął się w czasach jego dzieciństwa; Amar Singh pamiętał głównie upór ojca i pragnienie, by Mewar nigdy nie stał się częścią cesarstwa mogolskiego. Bez względu na to, jak daleko miały sięgać granice cesarstwa, ile królestw pochłonęło, ilu radżpuckich władców przysięgło wierność cesarzowi Mogołów, ile córek oddali do jego haremu, ten radżpucki wojownik zamierzał walczyć aż do śmierci. A to oznaczało, że jak Pratap Singh nie chciał się pokłonić przed Akbarem, tak Amar Singh nie mógł pochylić głowy przed Dżahangirem. Synowie walczyli ze sobą tak jak ich ojcowie.

Od lat ludzie radży schodzili nocą z gór, by złupić karawanę bezbronnych kupców, podłożyć ładunki wybuchowe pod mury fortu nad jeziorem, w którym obecnie rezydowała armia raogolska, lub żeby zatruć zbiorniki wodne. Mogli walczyć tylko w taki sposób. Ale tym razem radża zszedł z gór na dobre. Ar-

nia mogolska opadła z sił. Żołnierze dezertowali, codziennie coraz liczniej. Nie nęciły ich nawet obietnice awansu lub wyższego żołdu. Kiedy pojawił się radża, stanęli do walki, lecz wówczas przemyślny Amar Singh wycofał się do swojej górskiej kryjówki. Niczego nie osiągnęli. I tak, kiedy połowa armii uciekła, a połowa zobojętniała na wszystko, Amar Singh podjął ostami wysiłek - i zajął pałac swoich przodków.

Wieści o tej najnowszej rebelii dotarły do cesarskiego dworu w Agrze. Cesarz Dżahangir na chwilę zapomniał o Portugalczykach. A kiedy rozmawiał z Mihrunnisą, ona zapomniała o swojej urazie do Churrama. Mewar nie powinien budzić aż takich emocji, ale dla Dżahangira wiązał się z niemiłymi wspomnieniami.

Niegdyś Akbar wysłał go do Mewaru, lecz Dżahangirowi, który był wówczas księciem, nie starczyło cierpliwości, by dalej toczyć walki. Postanowił napaść na skarbiec w Agrze; potem nastąpiły trudne lata poróżnienia z Akbarem i Mewar poszedł w zapomnienie. Wstąpiwszy na tron, Dżahangir usiłował znowu pokonać Amar Singha, lecz akurat ten moment wybrał sobie Chusru, by zbuntować się przeciwko niemu, tak jak on zbuntował się przeciwko Akbarowi. I znowu zapomniano o Mewarze, a Dżahangir puścił się do Lahaur w pościg za Chusru. I tak ten skrawek kraju w samym środku cesarstwa zachował niezależność - i nieustannie sprawiał kłopoty.

- Nie mogę już dłużej stawać do boju, Mihrunniso - powiedział Dżahangir. - Kogo mam wysłać na czele armii? Amar Singh musi się poddać lub zginąć, co do tego nie ustąpię. Wszystko to trwało zbyt długo.

Rozmawiali o możliwych kandydatach. Parwez przebywał w Dekanie, rzekomo, by nadzorować tamtejsze działania wojenne. Nie można mu było jednak powierzyć dowodzenia wojskiem w Mewarze - już raz je otrzymał w czasie rebelii Chusru i dowiódł jedynie swej nieudolności. Chusru nie wchodził w grę - ślepy książę na czele cesarskiej armii? Nie potrafił nawet samodzielnie dosiąść konia, cóż dopiero ścigać starego wilka Amara Singha po górach i dolinach Arawalli. Szahrijar... to jeszcze dziecko. I tak pozostał jedynie Churram.

Mihrunnisą zaproponowała jego kandydaturę. Dżahangir wyraził zgodę. Książę Churram jeszcze nie sprawdził się na polu bitwy, lecz płynęła w nim królewska krew i miał jakieś pojęcie o dowodzeniu armią. A jeśli nie, to się nauczy.

I tak Churram wyjechał do Mewaru.

Wysłano go z wieloma darami: słoniami, końmi i belami jedwabiu. Nie zabrał ze sobą Ardżumand, ponieważ znowu była w ciąży. Mihrunnisą nie rozmawiała z nim o Ladli, a on także nie wspomniał o tym ani słowem. Jednak chciała, żeby zaczął myśleć; pozbawiony Ardżumand mógłby dojść do wniosku, że Ladli także byłaby dobrą żoną. Mihrunnisą wzięła sobie do serca ostrzeżenie Siddhikandry, że człowiek podejmuje decyzje z własnej woli - lecz niezbyt w nie wierzyła. Ardżumand była za bardzo podobna do niej i usidliła Churrama - Mihrunnisą przyznała to w duchu i tylko raz - tak jak ona usidliła Dżahangira.

Pamiętała także słowa Dżahangira - że ma jeszcze trzech synów. A jednak w obliczu problemu takiej wagi jak Mewar, do kogo mieli się zwrócić. Więc dlaczego miałyby brać ich pod uwagę jako kandydatów na męża Ladli? Nie, to musi być Churram. Tylko nie wiedziała jeszcze, w jaki sposób do tego doprowadzić.

Dwór rezydował w Agrze od wielu lat, głównie dlatego, że nie było powodu się przenieść. Obecnie Dżahangir zdecydował się jednak na przeprowadzkę do Adżmeru, na północ od Mewaru, by pozostawać blisko działań wojennych. Agra opustoszała. Domy zamknięto, meble nasycono olejem *neem*, by odstraszyć białe mrówki i termyty. Bazary zamknięto, gdyż handlarze przenieśli się wraz z dworem.

Wszystkie oczy zwróciły się na Mewar. Jeśli Churram pokona radzę Amar Singha, cesarstwo zostanie uwolnione od plagi gnębiącej je od czterdziestu dziewięciu lat. A co ważniejsze, książę - któremu przymierze z Mihrunnisą nagle zaczęło ciążyć - musiał zdobyć poparcie z innej strony.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Każde obozowisko potrzebuje do transportu 100 słońi, 500 wielbłądów, 400 wózków i 100 tragarzy. Poza tym zatrudniono tysiąc Farraszów... 500 zwiadowców, 100 woziwodów, 50 cieśli, rozbijaczy namiotów i nosiciele pochodni, 30 rymarzy i 150 sprzątaczy... Ze względu na ten tłum... żołnierze całymi dniami szukają swoich namiotów...

Ain-i-Akbari, tłum. H. Blochmann i H. S. Jarrett

Nie było nic dziwnego w tym, że mogolscy cesarze pakowali swoje rzeczy i przenosili się z miejsca na miejsce, całymi miesiącami, a nawet latami przebywając w drodze. W głębi serca pozostali wędrownikami. Cesarz Babur był przywódcą nomadów, podobnie jak jego przodkowie, Timur Kulawy i Czyngis-chan. Dopiero ostatnie cztery lata swego życia zatrzymał się w jednym miejscu, założył ogrody i rozpoczął budowę fortu. Jego syn Humajun miał znacznie mniej czasu. Afgańscy władcy, których wypędził Babur, wygonili go z Indii, a jego syn Akbar wychował się w namiocie, nie wiedząc, gdzie przyjdzie mu spędzić następną noc.

Toteż kiedy Akbar zasiadł na tronie, zaczął budować. Kazał kłaść fundamenty, wznosić na nowo całe miasta - w Agrze, Fatehpur Sikri, Delhi, Lahaur, Kabulu i Kaszmirze. Odcisnął swoje piętno na mapie Indii. To były wizytówki jego imperium, te wspaniałe budowle z piaskowca i marmuru, rzeki, których bieg zmieniono, by stanowiły piękniejszy widok ze sztucznie ukształtowanych tarasów. Tak wyrażała się chwała mogolskich władców.

Ale w żyłach Akbara również płynęła krew nomadów. Swoje siedziby założył we wszystkich większych miastach Indii i przenosił się z jednego do drugiego, zależnie od upodobania.

Lata spędzał w bujnym chłodzie Kabulu i Kaszmiru, zimy czasami w Lahaur, a czasem w Agrze; Fatehpur Sikri szybko zostało opuszczone. Te podróże tak bardzo weszły wszystkim w krew, że Dżahangir jeszcze przez kilka pierwszych lat swego panowania nie odstępował od tego zwyczaju. Porzucił go dopiero wówczas, gdy bunt Chusru sprowadził go do Lahaur przed wyznaczonym czasem.

Cesarza mogolskiego pod wieloma względami uważano za ucieleśnienie samego cesarstwa. Tam gdzie usiadł, stawiano tron, jego głos rządził życiem stu trzydziestu milionów mieszkańców. Kiedy więc cesarz Dżahangir postanowił ruszać do Adżmeru, dusza cesarstwa ruszyła wraz z nim.

W czasach gdy pradziadek Dżahangira był zwykłym hersztem nomadów w Kabulu, związał obozowisko w kilka godzin i wszystko - namioty, naczynia, dzbany, kobiety, dzieci, konie, wielbłądy i mleczne kozy - przenoszono na inne miejsce po parodniowej podróży.

Teraz nie było to już takie proste. Kiedy cesarz Dżahangir wyruszał w podróż, zabierał ze sobą dwór i harem. Towarzyszyła mu także cesarska armia. Jego namioty były inne, już nie płócienne, lecz z drewna i jedwabiu haftowanego złotym *zari*, jedno-, a czasem nawet dwupiętrowe.

Parę dni przed planowanym wyjazdem Dżahangira i Mih-runnisy do Adżmeru, z Agry wyruszył *paisz-chana*, obóz wstępny. Przemierzył on tę samą trasę, jaką miał pokonać cesarz. Dżahangir nie mógł czekać, aż namioty zostaną rozbite, dlatego sporządzono dwa identyczne komplety obozów. Jeden przewożono przed wyruszeniem cesarskiego orszaku, znajdowano odpowiednie miejsce i rozbijano. Po paru dniach postoju orszak ruszał dalej i znowu namioty już na niego czekały.

Karawana była tak potężna, było w niej tyle wielbłądów, słońi, kóz, krów i ludzi, że mogła pokonywać tylko trzynaście kilometrów dziennie. Na trasę przejazdu wylegały całe wioski, żeby chłonać jej widok. Dzieci zrywały się z łóżek wcześniej rano i czekały wzdłuż drogi, siedząc na kamieniach z jutowymi parasolami nad głowami, zaopatrzone w gliniane garnki z wodą oraz ryżem i zawiniętymi w liście figowca kiszonymi

owocami *ber*, by mieć czym zaspokoić głód. W ten sposób wypełniały sobie czas przez osiem godzin, gdyż tyle karawana przetaczała się przez wioskę.

Główną funkcję podczas tych podróży pełnił mir manzil, dworski kwatermistrz. Jego zadaniem było wyszukanie odpowiednio płaskiego terenu na obóz. Kiedy go już odnalazł, wyznaczano prostokąt i starannie wyrównywano. Następnie wznoszono wielkie piedestały z ziemi, na których rozbijano namioty. Cały prostokąt ogradzano *gulabarem* - wielkim płótem. Drewniane stelaże, trzymetrowej wysokości, obciążano czerwonym płótnem drukowanym we flakony z kwiatami. Ze względu na bezpieczeństwo podczas pobytu cesarza w obozie z trzech stron otaczali go żołnierze, a z czwartej znajdowały się biura i warsztaty.

Na środku obozowiska stawiano wielki, czterdziestometrowy maszt. Mocowano go do szesnastu lin, uwiązanych do wbitych w ziemię haków. Na maszcie wieszano wielką latarnię. Nazywano ją *achasz-dija*, czyli światłem na niebie. Była widoczna w promieniu wielu kilometrów; żołnierze i myśliwi mogli się kierować jej blaskiem, gdy powracali do cesarskiego obozu. Paliła się dniem i nocą, a ogień podsycano, wspinając się do niej po drabinach.

Od wschodniej strony znajdował się pawilon z płótna i drewna - *diwan-i chass*. Tutaj podczas podróży odbywały się *dżaharoki*, tutaj Dżahangir zjawiał się na poranne modlitwy. Mniejszy namiot - *guśl-chana*, sala audiencji prywatnych, służył cesarskiej parze do udzielania wieczornych posłuchań. Za nim znajdowały się cesarskie namioty, otoczone ekranami obciążonymi perkałem i malowanymi w kolorowe kwiaty.

Za cesarskimi namiotami mieściły się kwatery *zenany*. Mihrunnisa, jako Padiszah Begam, zajmowała najważniejszy z nich. Wokół jej namiotu znajdowały się sypialnie innych haremych dam, oddalone od niej zależnie od ich statusu i tytułu. Podłogi namiotów wyłożono grubymi matami z trzciny i bawełny, a następnie przykryto perskimi dywanami. Każdy namiot był wyposażony w ozdobne drewniane drzwi. Wreszcie, z boku cesarskiego obozowiska, znalazło się miejsce dla kup-

ców, którzy ruszyli za cesarską świtą wraz ze swoimi sklepikami i straganami.

Obóz był ogromny; każdą kwaterą namiotów transportowało sto słoni, pięćset wielbłądów, czterysta wołów, sto mułów i stu tragarzy. Na grzbietach słoni przewożono najcięższy sprzęt, wielkie namioty i słupy. Mniejsze namioty i bagaż niosły wielbłądy i muły, na wozy zaś ładowano naczynia kuchenne. Tragarze nieśli latarnie i cenniejsze przedmioty: porcelanę i złote talerze, używane podczas cesarskich posiłków, jak również delikatne zasłony i kobierce do cesarskiego namiotu.

Damy z haremu podróżowały na grzbietach słoni w lektkach ze złota, srebra lub drewna, ozdobionych drogimi kamieniami, osłoniętych ekranami z jedwabiu lub ałtasu. Czasem jechały także w palankinach, długich bambusowych kolkach, krytych ałtasem lub brokatem, a niesionych przez tragarzy.

Książę Churram przybył do Mewaru na czele dwunastu tysięcy jeźdźców i piechurów. W drodze, gdy pędzili z Agry co koń wyskoczy, konsultował się ze swymi dowódcami, słuchał ich rad i robił to, co wydało mu się najważniejsze. Jeszcze przed opuszczeniem Agry rozkazał, by pięciotysięczna armia wyruszyła do Mewaru. Na ogół nie byli to żołnierze, lecz zwiadowcy i szpiedzy. Specjalnie przyuczeni do tego zawodu, mieli trudne do zapamiętania twarze, władali niemal wszystkimi językami cesarstwa - nauczono ich zwłaszcza intonacji i manierizmów każdego dialektu. Nie mieli żon, dzieci ani też rodzin, które by się o nich upomniały. Wojsko było ich życiem, a jedynym panem - cesarz.

Zanim Churram przybył do Mewaru, szpiedzy wypełnili już swoje zadanie. Osiedlili się w pobliskich wioskach i miasteczkach, wmieszali w okoliczną ludność, poznali sąsiadów i dowiedzieli się o wyczynach radży Amar Singha. Wdarcie się na tereny wokół jeziora Pichola było niemal niemożliwe. Radża rozstawił strażników co dwadzieścia pięć kilometrów wokół jeziora, twardy, płaski grunt naszpikowano minami. Cesarska

armia pierzchła, zostawiając działa, które obecnie znajdowały się w posiadaniu Amar Singha i którymi można było doprowadzić do wybuchu min. Teren był tu tak płaski, że nawet w nocy wojska księcia Churrama byłyby widoczne na długo, zanim znalazłyby się w odległości strzału.

Książę ponownie wysłuchał rad dowódców. Gniewało go, że radza tak skutecznie zabezpieczył się przed jego atakiem. Zbyt długo nie pamiętano o Mewarze - położenie min musiało zająć kilka miesięcy. Potem wyparto stacjonujące tu oddziały, które porzuciły działa i muszkiety - broń, bez której zakopany w ziemi proch byłby bezużyteczny.

Mirza Aziz Koka, teść księcia Chusru, dowodził niegdyś armią, która tak haniebnie opuściła Mewar. Po przybyciu Churrama Koka usiłował mu doradzać, podsuwać możliwe plany kampanii. Starli się ostro i Churram napisał do Dżahangira list, w którym prosił, by Kokę usunięto z miejsca działań wojennych. List zastał cesarza w drodze do Adżmeru; Dżahangir wyraził zgodę i rozkazał Koce, by wyruszył na spotkanie podróżującego dworu i przedstawił historię ze swego punktu widzenia.

Następnie Churram wraz ze swymi ludźmi zaczął metodycznie pustoszyć ziemie wokół Mewaru. Wioski, które udzieliły pomocy Amar Singhowi, teraz czy w przeszłości, zostały zrównane z ziemią. Książę Churram uprzedził wcześniej mieszkańców, co się stanie. Nie chciał nikogo pozbawić życia. Spalono sady mango i gwajaw; po bujnych, zielonych drzewach, w których znajdowały schronienie papugi i których owoce syciły głód, pozostały tylko osmalone pniaki. Cesarskie słońce rozdeptały domy z cegieł i gliny. Zasypano lub zatruto studnie. Spalono łąny pszenicy i ryżu. Wojska zniszczyły stare hinduskie świątynie, które stały tu od stuleci. Przez wiele dni w powietrzu unosił się dym, od którego skóra stawała się czarna.

Amar Singh przyglądał się temu dziełu zniszczenia z nowo zdobytej fortecy na brzegu jeziora. Słyszał, jak ludzie z wiossek krzyczą i przeklinają go. Czy to zniszczenie, to absolutne unicestwienie, utrata całego majątku, ziem, krów, wołów

i kóz, całego dobytku, jest warta jego dumy? Czy nie byli radżputami jak on? Z Mewaru wyniosły się tłumy wieśniaków, by znaleźć dom w innych stronach. Nie wrócą co najmniej przez kilka lat. Musi minąć sporo czasu, zanim woda się oczyści, pola zaczną rodzić i zatrą się bolesne wspomnienia.

Radża Amar Singh słuchał tego wszystkiego - i nadal wstrzymywał się z działaniem.

Dlatego ksiązę Churram obmyślił nowy plan. Rozstawił strażę wokół Mewaru i otoczył tereny wokół jeziora. Nikogo nie przepuszczano. Skończyły się dostawy masła, mleka, pszenicy, ryżu, wody, wszystkiego.

Osłabły z głodu Amar Singh dał się wywabić ze swej warowni na krótką walkę i stracił piętnaście słońi, w tym jednego, którego sam wychował, z którym się bawił i który stał się dla niego przyjacielem bliższym niż większość ludzi. Słyszał, że słońie te wysłano cesarzowi Dżahangirowi i że teraz znajdują się w cesarskich stajniach w Adźmerze.

Radża zwołał naradę w swoim pałacu. Przybyli na nią jego dowódcy o twarzach spalonych słońcem, ciałach wynędzniałych z głodu, głosach zdartych od wydawania rozkazów po wielu miesiącach bitew. Można było tylko zawrzeć pokój lub zginąć.

Nadeszła pora kapitulacji.

Przez cały dzień w powietrzu kłębiły się wielkie chmury pyłu, który zasłonił słońce i sprowadził na ziemię przedwczesne ciemności. Kiedy wicher ustał, na namiotach, koniach, wielbłądach i ludziach, którzy nie zdążyli się ukryć, leżała gruba warstwa ziemi. A potem niebo skryło się za chmurami. Błysnęły błyskawice, zagrzmiały gromy, deszcz lunął strugami, z furją. Zmył ziemię z namiotów, aż znowu załśniły mokrą zielenią.

Padło już od dwóch godzin; Churram słyszał, jak woda spływa z szumem kanałami na zewnątrz. Prawie wszystkie miesiące, jakie spędził w Mewarze, wyglądały podobnie. Pogoda była nieprzewidywalna: kiedy padało, deszcz przeradzał się w ulewę, kiedy wiało, tumany kurzu zapierały dech w pier-

siach, kiedy prażyło słońce, przepalało skórę na wylot i wysuszało ciała. Tu nic nie było umiarkowane, przyjemne. I w tym niegościnnym klimacie Churram toczył walkę z radżą. Ale teraz, pomyślał, ta walka dobiega końca. Zwyciężyłem.

Woskowane płótno namiotu chroniło go przed ulewą, ale w namiocie, gdzie wielmoże rozmawiali i śmiali się, panowała wilgoć. Wokół krążyły kielichy z winem, głosy stawały się coraz głośniejsze. Rozmowy zeszyły na nonsensy, bajania o wyimaginowanych zwycięstwach. Niektórzy dowódcy dźwignęli się z wysiłkiem i pokazywali, jak wytropiono radżę, jak pojmano jego słońce, jak on sam dostał nauczkę. Po tak długim czasie mogli wreszcie świętować zwycięstwo. Mewar stał się częścią cesarstwa, radża przestał stanowić zagrożenie, skończyły się lata wojny. I to dzięki nim! Dżahangir nagrodzi ich hojnie, rozda wiele *dżagirów*, tytułów, bogactw i łask. W miarę jak pili, języki zaczęły się im plątać i wszystko ich śmieszyło.

Churram odwrócił się od nich i zapadł głębiej w poduszki otomany. Położył rękę na *kabie*; w wewnętrznej kieszeni poczuł pod palcami kwadratowy kawałek złożonego papieru. Wziął kielich i upił z niego łyk. Sok limonki, słodzony cukrem palmowym. Churram nie pijał alkoholu. Znowu dotknął listu. Żałował, że dowódcy ciągle nie wychodzą. Mógłby wówczas przeczytać to, co napisała do niego Ardżumand.

Ile minęło miesięcy, odkąd ją widział po raz ostatni? Osiem? Dziewięć? Tu dni zlewały się ze sobą, miesiące były do siebie podobne. Nie było zmieniających się pór roku, nic nie zapadało w pamięć. Bez Ardżumand nic go nie interesowało. Miał dowodzić armią w walce z Amar Singhem i usłuchał tego rozkazu. Nie dlatego, że kierowała nim synowska lojalność czy poczucie obowiązku, lecz ponieważ Ardżumand powiedziała, że musi jechać. Postanowili, że nie zgodzi się zawrzeć związku z Ladli, co z całą pewnością zirytuje Miharunni-sę, lecz cesarz mu to przebaczy dzięki zwycięstwu w Mewarze. Właśnie dlatego Churram walczył z radżą - nie dla cesarstwa, które pragnął odziedziczyć, nie dla chwały, nawet nie po to, by zadowolić ojca, lecz by sprawić przyjemność żonie. Wszystko, co zrobił, każda zaplanowana akcja, każdy manewr

jego dowódców, było podejmowane z myślą o Ardżumand. Im szybciej pognębi radzę, tym szybciej będzie z Ardżumand.

Spojrzał na swoich ludzi, coraz głośniejszych i bardziej ordynarnych. Jeden spadł z otomany, przewracając kielich z winem. Czerwony płyn bluznął na dywan, zaplamił jedwabne runo. Zapach sfermentowanych winogron doprowadził księcia do mdłości. Churram zapragnął, by wszyscy wyszli, lecz przecież i im należało się święto. Jutro Amar Singh zjawi się w obozie, by oficjalnie się poddać. Potem, za parę dni, najwyżej tygodni, Churram pojedzie do Adżmeru, gdzie czeka na niego Ardżumand z cesarzem i Mihrunnisą. Na tę myśl objął się ramionami. Jutro, za parę dni, tygodni... po tylu miesiącach wreszcie będzie mógł myśleć o powrocie do Ardżumand.

Raj Rajan, majodromus Churrama, dostrzegł niepokój swego pana i przerwał uroczystość.

- Jego wysokość jest zmęczony - oznajmił i wskazał kłapę namiotu. Rozochoceni wielmoże przestali rozmawiać i odwrócili się chwiejnie w stronę Churrama.

Księżę wzruszył z gracją ramionami.

- To prawda.

Kiedy ostatni szlachcic wyszedł - lub został wywleczony - i zamknięto kłapę namiotu, Churram sięgnął niecierpliwie pod *kabą*. Podniósł list do nosa, wciągnął subtelną woń wody różanej, którą Ardżumand zwilżyła krawędzie karty, przytulił go do policzka. Ardżumand dotykała tego listu, myślała o nim, kiedy go pisała, musiała wiedzieć, że on o tym pomyśli, czytając jej słowa. Ich trzecie dziecko urodziło się parę miesięcy temu w Adżmerze, kolejny syn. Cesarz nadał mu imię Aurangzeb.

Churram rozwinął list i powiódł łakomym wzrokiem po wdzięcznym, płynnym piśmie. „Z łaski Allaha wszystko jest dobrze”. Było to pierwsze uspokajające zdanie, którym Ardżumand zawsze rozpoczynała listy, umieszczając je u szczytu kartki. Nauczyła się tego od dziadka; Ghijas-beg poradził jej, by zawsze uprzedzała odbiorcę listu, że nie znajdzie w nim żadnych złych wiadomości. Brak tego zdania był ostrzeżeniem przed nadchodzącym ciosem. Ardżumand pisała:

Najdroższy mój panie

Tęsknię za tobą. Z pewnością można to wyrazić bardziej poetycznie, z większym uczuciem i dramatyzmem, lecz mnie wystarczą te trzy słowa. Nie ma cię u mego boku, codziennie, w każdej chwili odczuwam twoją nieobecność. Bez ciebie nie ma we mnie życia. Kiedy to się skończy? Dlaczego muszę rodzić dzieci, a nie przebywać z tobą? Dlaczego nie mogę rodzić dzieci tam, gdzie jesteś?

Przepraszam za te słowa i język, lecz niepokoję się o twoje bezpieczeństwo. Jeśli cię nie widzę, jeśli mnie przy tobie nie ma, jak mogę się o ciebie troszczyć?

Churram przytulił list do piersi i zakołysał się na otomanie. List od Ardżumand to za mało; pragnął ją wziąć w ramiona. To on powinien się troszczyć o Ardżumand, przysiągł to, pojmując ją za żonę. I rzeczywiście, dlaczego ich rozdzielono? Bo zasugerowała to Mihrunnisa, mówiąc, że Ardżumand jest brzemienna, nie może podróżować z wojskiem, że będzie spowalniać tempo przemarszu, że dziecko, prawdopodobnie przyszły cesarz, nie może się urodzić na poboczu drogi, bez cesarskich lekarzy. Że Churram narazi życie żony na niebezpieczeństwo, jeśli będzie się upierać, żeby zabrać ją ze sobą. Ten ostami argument przeważył i choć Ardżumand płakała i dąsała się, Churram nie dał się przekonać. W tym stanie nie mogła z nim pojechać. Lecz teraz, po wielu miesiącach rozłąki, po miesiącach, kiedy Churram czuł, że jego ciało przebywa w Mewarze, lecz wszystko inne - myśli, serce, każdy jego oddech - jest przy Ardżumand, argumenty Mihrunnisy już mu się nie wydawały rozsądne.

Cesarzowa chciała ich rozdzielić, wprowadzić rozdźwięk w ich związku, przysporzyć im smutku. Co by było złego w tym, że Ardżumand podróżowałaby z Churramem i mieszkałaby w jego obozie? Mógłby sprowadzić do siebie cesarskich *hakimów*. A jeśli chodzi o dziecko, Ardżumand urodziła bez trudu dwóch synów, jakby ją to nic nie kosztowało. A nawet jeśli Aurangzeb zostanie jego następcą - co nie wydawało się możliwe, ponieważ Churram miał jeszcze dwóch synów,

Darę Szikoha i Szudzę, których prawa do tronu były odrobinę większe, ponieważ wcześniej przyszli na świat - cesarz Akbar urodził się w namiocie podczas ucieczki Humajuna z Indii.

Znowu zaczął czytać.

Moja ciotka otrzymała od wicekróla Portugalii w Goa pięć przepustek. Poprosiłam ją o jedną, tylko jedną dla twojego statku, który wkrótce ma wyruszyć z Suratu do Dżuddy, lecz odmówiła. Powiedziała, że już je rozdała, lecz wiem, że kapitan jej statku ma co najmniej trzy. To nikczemna kobieta. Wiem, że nigdy nie poślubisz Ladli, lecz czy trzeba nas tak nękać z powodu jednej odmowy?

Dręcę się tymi myślami, lecz jedna pozostaje niezmienna: że musisz powrócić, mój panie, bez szwanku, z czołem ustrojonym zwycięstwem. Cesarz dowie się, że ma syna, z którego może być dumny, a co do mnie, żadna kobieta nie była tak szczęśliwa dzięki ukochanemu. Niech Allah będzie z tobą.

Książę ucałował list, złożył go i schował do srebrnej szkatułki, gdzie przechowywał także inne listy od Ardżumand. Raptem zdał sobie sprawę, że zrobiło się cicho - deszcz ustał równie gwałtownie, jak zaczął padać. Słychać było jeszcze szum wody z kanałach, lecz ludzie już wylegli z namiotów. Churram wyjrzał na zewnątrz. W powietrzu wisiła wilgoć. Komary bzykały wściekle, świetliki migotały w ciemnościach, a na środku obozu żołnierze wrzucali drewno *neem* do ogniska. Było zbyt ciepło, by je rozniecać, lecz gryzący, gęsty dym odstraszał owady, a po raz pierwszy od wielu miesięcy mogli rozniecić ogień, nie martwiąc się, że Amar Singh na nich napadnie.

Churram cofnął się do namiotu i usiadł przy biurku. Wyjął arkusz papieru, zaostriżył sztyletem pióro. Natychmiast napisał list do Ardżumand. Potem odsunął kartkę. Nie, przecież wkrótce ją zobaczy, dotrze do niej szybciej niż list. Zanurzył pióro w kałamarnicy i naszkicował sylwetę swego statku w Suracie. Od niedawna zaczął się zajmować handlem zamor-

skim - głównie dlatego, że Mihrunnisa tak się nim interesowała. Zarabiała się w ten sposób doskonale, Rakajja zawsze mu to powtarzała; Churram widział, jak rzuca sakiewki *mohurów* sługom, którzy przynieśli jej coś naprawdę pożądanego. Cóż, teraz Portugalczycy pojмали jej statek, zatem taki handel naprawdę musi się opłacać. Poza tym Churram potrzebował pieniędzy, jego jedyny dochód pochodził z *dżagirów* i *mansabów*, a on pragnął więcej, by kupować Ardzumand wszystkie klejnoty, o jakich zamarzyła, tyle, ile tylko zechce. W porównaniu z Mihrunnisa, pomyślał, jestem biedakiem. Cesarz ma największy dochód, i tak powinno być, lecz po nim powinien następować on, a nie Mihrunnisa.

Skoro Mihrunnisa nie dała mu *cartazu*, Churram sam napi-sze do portugalskiego wicekróla. Byłby on dobrym sojusznikiem i nie odmówi prośbie cesarskiego syna, zwłaszcza tego, który ma wszelkie szanse zostać cesarzem. Churram wziął nowy arkusz papieru i zaczął pisać.

Właśnie kreślił ostatnie zdania, kiedy Raj Rajan uniósł klapę namiotu.

- Wasza wysokość, czy zechcesz wyjść? Ludzie pragną się z tobą zobaczyć.

- Tak. - Churram przystawił pieczęć na liście, złożył go i podał eunuchowi. - Dopilnuj, żeby ten list jak najszybciej dotarł do Goa.

Wyszedł na dwór. Na jego widok żołnierze wzniesli okrzyk.

- Cześć zdobywcy! - krzyknęli, machając rękami i klaszcząc.

Churram stał, uśmiechnięty, pławiąc się w chwale. Wszyscy dowódcy byli starsi od niego, lecz to on zaplanował każdy szczegół oblężenia. A oni wykonywali jego rozkazy, zawie-rzyli jego decyzjom. Pozwolił im krzyczeć i hałasować, po czym podniósł rękę. Żołnierze ucichli, butelki wina odsunięto od ust i wszyscy zaczęli czekać, aż Churram przemówi.

- Odnieśliśmy sukces - powiedział książę. - Długo kazał na siebie czekać, lecz w końcu nadszedł. I to dzięki wam wszystkim, dzielni żołnierze i mądry dowódcy. Jutro radza zjawi się w obozie, by się poddać. - Żołnierze zaczęli śmiać

się pogardliwie i buczeć, lecz Churram im przerwał. Parę tygodni temu otrzymał list od ojca. Nawet jeśli dla wszystkich stanie się jasne, że wojna z Mewarem dobiegła końca, „okazuj radzy uszanowanie i cześć. Jest władcą i jako taki do nas przychodzi. Traktuj go tak, jak władca odnosiłby się do władcy, Churramie”.

Dlatego stojąc w kręgu palącego żaru ogniska, Churram przekazał swoim ludziom życzenie cesarza. Zamilkli, spojrzeli po sobie z zawstyżeniem i skłonili głowy. Churram klasnęła w ręce. Proszę, wystarczyło im tylko powiedzieć, a na pewno go posłuchają.

Dał znak muzykom stojącym za żołnierzami. Zaczęli grać, zza namiotów wyszły tancerki. Kołysały się przed żołnierzami, światło przeszywało na wylot cienkie muślinowe szatki i welony, tu i ówdzie obrysowując smukłe udo, kształt ledwie zakrytej piersi... żołnierze pili, rzucali tancerkom srebrne rupie, pijani sięgali w ich stronę, a one chichotały i umykały przed dłońmi. W końcu rzecz jasna się poddają, ale im dłużej się opierają, tym więcej zarabia.

Churram wrócił do swego namiotu. Ktoś dotknął jego ramienia; odwrócił się. Dziewczyna była młoda, mogła nie mieć szesnastu lat. Była piękna ciepłą ziemską urodą. Ciężkie piersi, szerokie biodra, wąska talia. Skóra w świetle ogniska wydawała się czysta i złota. Uśmiechnęła się do niego. W jej oczach odczytał wiele obietnic.

Wyciągnęła rękę, a Churram, nagle spragniony smaku kobiecej skóry, ujął ją i zaprowadził do namiotu.

Radża Amar Singh zjawił się w obozie Churrama przy ryku trąb. Cesarska armia stała wzdłuż drogi, którą miał nadejść radża, a kiedy kroczył pomiędzy nimi, kłaniali mu się. Walczyli z nim bardzo długo i choć Amar Singh został pokonany, a nawet pogiębiony, nadal był królem. Tak powiedział ich dowódca, a skoro Churram zamierzał traktować radżę z szacunkiem, im także wypadało to czynić.

Amar Singh przekroczył już sześćdziesiątkę; włosy i gęste wąsy miał zupełnie siwe, ostro kontrastowały z ogorzałą twa-

rzą, na której słońce Mewaru odcisnęło piętno. Amar Singh wszedł do obozu niemal z wahaniem, niepewny przyjęcia. Był w pełnej zbroi; jego buty i kolczuga szczękały przy każdym kroku. Jednak radża szedł dumnie wyprostowany; nawet gdyby zgotowano mu grubiańskie powitanie, nie mógł sobie pozwolić na utratę dumy.

Churram stał przed swoim namiotem. Przyglądał się radży. Amar Singh ukląkł i dotknął jego butów. Książę natychmiast pochylił się i podniósł starca.

- Nie ma potrzeby prosić o wybaczenie, wszystko zostało wybaczone - przemówił. - Przychodząc tu, okazałeś posłuszeństwo cesarstwu mogolskiemu. Cesarz będzie cię odtąd zawsze chronił, a twoim obowiązkiem jest odpowiadać na jego wezwanie, kiedy będzie cię potrzebował.

Do cesarza zbliżyli się żołnierze z ogromnym rubinem. Miał niespotykane rozmiary, był mniej więcej wielkości piłki do polo i jarzył się niczym ogniste serce. A więc plotki o jego istnieniu są prawdziwe, pomyślał Churram. Podobno rubin ten od wielu pokoleń należał do rodziny radży; dar był dowodem lojalności i całkowitej kapitulacji. Churram opanował chęć chwycenia rubinu i przesunięcia palcami po jego licznych fa-setach. Jak pięknie wyglądałby osadzony w turbanie! Słońce prześwietliłoby jego czerwień, przywodzącą na myśl owoce granatu. Jednak Churram musiał oddać ten rubin ojcu, co oznacza, że klejnot trafi najprawdopodobniej w ręce Mihrunnisy. Spojrzał tęsknie na spoczywający na czarnej aksamitnej poduszce kamień i pomyślał, że przynajmniej na razie należy do niego. Żołnierze radży przynieśli także bele jedwabiu oraz kindżały inkrustowane drogimi kamieniami. Do obozowiska wprowadzono siedem słońi i dziewięć koni w złotych i srebrnych czaprakach, z uzdą i wozkami wysadzonymi klejnotami.

- Te skromne dary zawstydzają mnie - przemówił Amar Singh - lecz jak wasza wysokość zapewne wie, tylko tyle mi pozostało.

- Jesteś bardziej niż hojny. - Churram się uśmiechnął. - Przejeliśmy inne zwierzęta z twoich prywatnych stajni. Cesarz raduje się z twojej kapitulacji. Wkrótce otrzymasz *furman* ze-

zwalający ci na noszenie cesarskiej pieczęci. *Farman* ten zapewni ci ochronę i przyzna tytuł wasala cesarstwa. A jako dowód dobrych intencji cesarza zechciej przyjąć ode mnie te dary.

Churram odwrócił się i dał znak Raj Rajanowi. Eunuch przyniósł szatę honorową i wysadzany klejnotami miecz, który książę przekazał radży. Służący przyprowadzili arabską klacz z siodłem wysadzonym klejnotami oraz słońca ze srebrną lektyką.

Radża pochylił głowę.

- Dziękuję, wasza wysokość. Doceniam twoją życzliwość.

- I jeszcze jedno - odezwał się Churram. - Nadal jesteś królem. Zachowasz swój tytuł i ziemie. Mewar zostanie ci dany jako *dżagir*, którym będziesz rządzić do końca życia.

Radża spędził w obozie parę dni; przez ten czas podejmowano go ucztami i spełniano każdą jego prośbę. Po odjeździe Amar Singha w obozie zjawił się jego najstarszy syn Karan, by zgodnie z obyczajem złożyć wizytę Churramowi. Zwyczaj wymagał, by następca tronu nigdy nie zjawił się razem z ojcem, zawsze przybywał później. Karan zamierzał wybrać się z Churramem do Adźmeru i w imieniu ojca przysiąc wierność Dżahangirowi. Churram zgodził się i nie nalegał, by towarzyszył mu sam Amar Singh. Staremu radży oszczędzono choć tego upokorzenia. Cesarz przyznał, że Amar Singh stoczył godną walkę i że on także jest wielkim królem.

Wkrótce po przybyciu Karana świta Churrama zaczęła związać obóz i wyruszyła do Adźmeru, gdzie rezydował dwór.

Książę Churram powrócił w chwale, jako zwycięzca walki, w której jego ojciec brał niegdyś udział jako książę. Dało mu to pewność siebie, jakiej przedtem nie miał. Potrafił dowodzić armią, zasługiwał więc na koronę. Teraz znajdzie sposób, by powiedzieć Mihrunnisie, iż jego małżeństwo z Ladli nie może dojść do skutku.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Książę wjechał do miasta i wszyscy wielcy mężowie radowali się w zdumieniu. Pomimo naszych oczekiwań król przyjął go, wystawiając pod niebiosa.

The Embassy of Sir Thomas Roe to India,

wyd. William Foster

Mihrunnisa patrzyła w zamyśleniu na list, który trzymała w dłoni. Z Suratu przysłano wieści. Portugalczycy spalili cztery indyjskie statki w Zatoce Kambajskiej, w akcie jawnego nieposłuszeństwa cesarskim rozkazom.

Hoszijar-chan odkasznął.

- Jaka będzie odpowiedź, najjaśniejsza pani?
- Wiesz, co jest w tym liście?
- Mam pewne pojęcie. Rozmawiałem z posłańcem.

Mihrunnisa skinęła głową. Hoszijar prawdopodobnie nie ograniczył się do rozmowy. Zanim list trafił na srebrną tacę, mógł się niechętnie rozwinąć. Pieczęć była złamana, ale Mihrunnisa nie wspomniała o tym ani słowem. W końcu, po wielu latach, zaczęła ufać Hoszijarowi. Wiedział o wszystkim, o czym wiedziała ona. Nigdy by jej nie zdradził.

Rozłożyła palce na aksamitnej sofie. Jaśminowe pnącza, nakreślone na nich henną, miały kolor bladego oranżu. Dziś, a w każdym razie niedługo, każe służącej odświeżyć wzór. Churram przybywał z Mewaru, wioząc ze sobą pojmanego księcia Karan Singha. Dwór będzie świętował, a ona musi być gotowa na uroczystości.

Westchnęła. Tak wiele kłopotów, a ona martwi się o toaletę.

Co zrobić z Portugalczykami? Od czasu pojmania *Rahimi* zdobyli jeszcze co najmniej sto innych statków. Skoro ośmielili się uprowadzić statek cesarzowej wdowy, ile minie czasu, zanim podniosą rękę na jej flotę? Rozkazała Portugalczykom oddać *Rahimi* - statek musiał wrócić do cesarzowej wdowy, nic innego nie wchodziło w grę - lecz miała związane ręce i nie mogła się zdobyć na ostre słowa ze względu na przepustki, które dostała od wicekróla Portugalii.

A Churram powróci do domu jako bohater, czczony i sławiony. On również przysparzał jej trosk, w równym stopniu jak wicekról Portugalii. Wstała z otomany i zaczęła krążyć po komnacie. Musiała podjąć decyzję, nie mogła się czuć bezradna wobec tych mężczyzn. Zatrzymała się, zacisnęła pięści. Zmusiła się, by znów poczuć gniew, by opanował jej myśli i wymazał wszystkie inne uczucia. Jeśli Portugalczycy chcą wojny, będą ją mieli.

Kilka minut później odwróciła się do Hoszijara z ustami zacisniętymi w cienką kreskę.

- Wyślij rozkaz Mukarrab-chanowi. Ma otoczyć Daman, miasto Portugalczyków.

- Najjaśniejsza pani, dlaczego Mukarrab? On z całego serca sprzyja Portugalczykom. Musisz wiedzieć, że nawrócił się na ich religię. Jest po ich stronie.

- Nie może otwarcie sprzeciwić się cesarskim rozkazom. A jeśli to zrobi, podpisze na siebie wyrok śmierci. Ten rozkaz będzie próbą jego lojalności wobec cesarstwa. Nie może liczyć na dalszą pobłażliwość. Tak - kiwnęła głową - to musi być Mukarrab-chan. Jako gubernator Gudżaratu przebywa najbliżej Damanu. Portugalczycy nie otrzymają już więcej przywilejów. Zbyt długo cieszyli się wspaniałomyślnością cesarza; źle ją wykorzystali. Daman musi zostać zdobyty.

Hoszijar skłonił się i odwrócił, lecz głos Mihrunnisy zatrzymał go.

- I przygotuj *farman* dla Agry. Kościół jezuitów ma zostać zamknięty, pensje dla księży zlikwidowane. Wyślij księdza Jerome Xaviera do Mukarrab-chana, gdzie ma pozostać w za-

mknięciu aż do nadejścia moich dalszych rozkazów. Wszystkich Portugalczyków w Indiach należy aresztować i zarekwirować ich majątek.

Po odejściu Hoszijara Mihrunnisa napisała do kapitanów jej statków; kiedy powrócą do Suratu, listy już będą na nich czekały. Przepustki od wicekróla należy odesłać do Goa z podziękowaniami od najjaśniejszej pani. Nie będą jej już potrzebne.

Przygotowano cesarskie *farmany* i wysłano do *zenany*, gdzie Mihrunnisa przeczytała je przed przyłożeniem cesarskiej pieczęci. Następnie wzięła małą pieczęć z zielonego jadeitu w kształcie róży o sześciu płatkach, zanurzyła ją w tuszu i mocno przystawiła na *farmanach*. Widniały na niej słowa: „Za sprawą blasku słońca cesarza Dżahangira pieczęć Nurdżahan olśniewa niczym księżyc”.

Rzadko używała swej osobistej pieczęci, lecz w tym wypadku chciała, by wicekról nie miał wątpliwości, że rozkaz pochodzi od niej. Że nie będzie dłużej bawić się z nim w dyplomatyczne gry, a jeśli pragnie zachować głowę, powinien ją przed nią pochylić.

Obok imienia Dżahangira Mihrunnisa napisała pewną ręką: Nurdżahan, cesarzowa.

Ulice Adżmeru były wysłane kwiatami i proporcami. W bramach paliły się pochodnie, kolumny owinięto girlandami nagietków, a kamienne chodniki umyto. Churrama witano ogniem i kolorem. Tłum mężczyzn i kobiet napierał na żołnierzy, którzy bronili im dostępu do drogi. Na balkonach domów tłoczyły się kobiety i dzieci, przechylały się przez balustrady, by ujrzeć choć czubek głowy zwycięskiego księcia - w nadziei na to, że zechce spojrzeć w górę.

Churram wjechał do miasta z klasą: na czarnej arabskiej klaczy, cały obsypany migoczącymi klejnotami, w brokatowym stroju. Wojenne przygaszone kolory zniknęły, znikła ciężka zbroja, jaką nosił codziennie przez wiele miesięcy, do przeszłości należały brudne włosy i przepocone kołnierze. Churram był wypoczęty - spał w drodze do Adżmeru na otomanach, które przysłała mu dbająca o jego wygodę Mihrunni-

sa. Kucharze z cesarskich kuchni wyjeżdżali na jego spotkanie z przysmakami ze stołu Dżahangira. Tym razem - w odróżnieniu od dzikiego galopu z Agry do Mewaru, kiedy liczyła się prędkość - podróż była niespieszna. Cesarskie łaski, jakimi obdarzono Churrama, były przeznaczone nie tylko dla niego samego, miały także olśnić księcia Karana i pokazać mu wspa- niałość cesarstwa.

A to, pomyślał Churram, powściągając rwącą się do galopu klacz, jest kolejna demonstracja tej wspaniałości. Karan jechał obok niego, odziany skromniej, lecz w szaty stosowne dla księcia. Churram zerknął na niego, potem spojrzął na balkony. Kobiety zaczęły klaskać i obrzucać go kwiatami jaśminu, które zawirowały w powietrzu niczym białe gwiazdki. Churram wystawił twarz na ich subtelną pieśczęotę; kwiaty opadały na jego ręce i konia. Tłum zaczął głośno wiwatować; księżę kłaniał się raz za razem.

Dojeżdżając do pałaców, ujrzał matkę i liczne haremowe damy, które wybiegły na jego spotkanie. Zeskoczył z konia i podbiegł do Dżagat Gosini. Objęła go.

- Witaj w domu, *beta* - szepnęła. - Jesteśmy z ciebie dumni.
- Dziękuję, najjaśniejsza pani. Gdzie mój ojciec?
- Oczekuje cię w *diwan-i am*.

Churram pobiegł do ojca. Jego nadejście zwiastowało bicie w bęben; księżę przekroczył próg sali po ostatnim uderzeniu. Dworzanie skłonili się mu, on zaś przykląkł przed Dżahangirem i ucałował ziemię u jego stóp. Dżahangir wstał i zszedł do niego.

- Uszczęśliwiłeś nas wszystkich, *babo* Churramie - powiedział. Przemówił głośniej, by mogli go usłyszeć zgromadzeni. - Oznajmiam, że od dziś księżę będzie znany jako Szahdżahan.

Churram znowu ukląkł, chwycił rękę ojca i ucałował ją z szacunkiem. Dżahangir nie wspomniał w liście o nowym tytule; Churram spodziewał się, że zostanie podjęty ucztą, jaka należy się zwyczajnie księciu, lecz to... został nazwany Szahdżahanem, Królem Świata. W głowie zakręciło mu się ze szczęścia. Od czasów Timura Kulawego tytuł szacha przy-

sługiwał panującym władcom - a on był tylko księciem. Rozpłakał się z sercem przepełnionym wdzięcznością; Dżahangir podniósł go i otarł mu oczy.

- No, no, nie wolno płakać - powiedział na poły ze śmiechem, na poły ze łzami. - Jesteś wojownikiem, Churramie. Dokonałeś tego, czego mnie się nie udało.

Stali razem na środku stali, Churram z głową na ramieniu Dżahangira. W końcu zbliżyli się do nich służący z *nadiri*, szatą honorową, którą Dżahangir sam zaprojektował dla siebie i rozkazał, by nikt w całym cesarstwie nie nosił podobnej, chyba że otrzyma ją z jego rąk. Dżahangir z miłością otulił syna szatą i zatknął mu za pas sztylet wysadzany klejnotami. Potem rozkazał, by na salę wniesiono specjalne krzesło. Postawiono je tuż poniżej tronu. Był to wielki przywilej, gdyż nigdy przedtem nikt, nawet przedstawiciel rodziny cesarskiej, nie miał prawa usiąść w obecności cesarza.

Mihrunnisa przyglądała się tej demonstracji uczuć z balkonu *zenany*. Nie wyszła na spotkanie Churrama, ponieważ uprzedziła ją Dżagat Gosini. Hoszijar już jej powiedział na ucho, że rozmowa była krótka - uścisk, parę słów, to wszystko. Obok niej siedziała rozpromieniona Ardżumand. Przyciskała twarz do ekranu. Obie widziały, że Churram zerka w stronę balkonu, ale niewiele na nim dostrzegał; marmurowy ażur krył je przed oczami ciekawskich. Ardżumand włożyła palce w otwór ekranu i zatrzepotała nimi. Churram w odpowiedzi uniósł rękę z kolan.

- Jesteśmy z niego dumni, Ardżu - odezwała się Mihrunnisa.

Ardżumand odwróciła się do niej z nagle zlodowaciałą twarzą.

- To ja jestem dumna z mego męża, najjaśniejsza pani.

Równie dobrze mogłaby spoliczkować cesarżową. Na balkonie zrobiło się cicho.

- Skąd ten brak szacunku? - spytała łagodnie Mihrunnisa. - Jestem tak samo dumna z Churrama jak ty. Jest dla mnie jak syn. Musisz o tym wiedzieć.

Ardżumand odwróciła wzrok i nie odpowiedziała. Mihrun-

nisa puściła jej słowa mimo uszu. Powiedziała do Hoszijara coś, co miało zabrzmieć dowcipnie. Damy roześmiały się posłusznie. Ladli, która podobnie jak Ardżumand tkwiła przytulona do ekranu, nie zauważyła całego zajścia. Odwróciła się z oczami iskrzącymi się śmiechem.

- Jaki on przystojny, Ardżu! - zawołała i usiadła koło kuzynki. - Masz wielkie szczęście. Obym i ja takie miała. Mamo - odwróciła się do Mihrunnisy - musisz mi znaleźć takiego męża jak Churram.

I znowu na balkonie zapanowało milczenie. Przerwała je Ardżumand.

- Tak, najjaśniejsza pani, musisz znaleźć Ladli kogoś takiego jak Churram. Kogoś do niego podobnego. Tak będzie najlepiej dla wszystkich.

Mihrunnisa skamieniała. Tym razem gniew obudził się w niej bez ponaglania. Nie mogła się odezwać, gdyż nie ufała własnemu głosowi. Ladli znowu zaczęła szczebiotać, oparta o matkę. Mihrunnisa odgarnęła córce włosy z oczu. Ladli uśmiechnęła się do niej przelotnie. Ktoś podobny do Churrama, miała czelność powiedzieć Ardżumand. Kiedy ta mysz zyskała tyle odwagi? Czy urodzenie trzech następców tronu nagle wzmocniło jej kręgosłup? Za kogo ona się uważa? Churram poślubi Ladli, to nie podlega dyskusji. A Ardżumand jest ostatnią osobą która będzie miała tu coś do powiedzenia. Czy ona i Churram są na tyle głupi, by uznać uczucie cesarza do syna za silniejsze niż jego miłość do Mihrunnisy?

Pachy jej zwilgotniały, zadrżała. Drgnęła, kiedy Ladli pocałowała ją w policzek, zarzuciła jej ramiona na szyję i powiedziała:

- Mamo, *darbar* się skończył! Idę z Ardżu, by powitać Churrama. Ty też musisz iść. To bohater!

Dziewczynka pobiegła, zatknawszy koniec *ghagary* za pasek, by się nie potknąć - jeszcze się nie nauczyła nosić z gracją obszernych spódnic. Ale przestała być już dzieckiem. Miała piętnaście lat. W tym wieku Ardżumand została zaręczona z Churramem - a zatem można by zaręczyć z nim i Ladli.

Dam mu jeszcze jedną szansę, pomyślała. Jeszcze raz po-

prosi Churrama i da mu tylko jedną szansę. Jego gwiazda wschodzi, lecz jej tkwi mocno na niebie i nie zblednie aż do śmierci Dżahangira. Jeśli Churram znowu odmówi... ona nie dopuści, by na jego głowie spoczęła korona.

Po ostatnim obrocie, kiedy niewolnica puściła jego ramię i znikła w szeleście muskających marmurową posadzkę spódnic, Churram stanął, nieco się chwiejąc. Opaska na jego oczach zasłaniała także uszy, ale jeśli natężył słuch, docho-dziły do niego pewne dźwięki. Potknął się - po prawej stronie ktoś zachichotał i umilkł. Churram oddychał równo, czekając, aż nogi przestaną się pod nim ugiąć i wróci mu równowaga.

Od czasu jego powrotu minęło kilka tygodni. Bawił się z haremowymi damami w *amch michauli* - podstęp ślepeca. To jedna z nagród od Ardżumand. Dziś była zmęczona, bliska letargu, co zapowiadało następną ciążę. Płodnością przypominała wulkaniczną ziemię, wystarczyło mu na nią spojrzeć i już w jej łonie zaczynało rosnać nowe życie. A kiedy męczyło ją noszenie dziecka - jeśli rzeczywiście była znowu brzemienna - pozwalała mu spędzać noc z którąś z haremowych dam. Lecz tylko od czasu do czasu.

Noc zapadła już dawno, a jasny księżyc wzniosł się nad pałace Churrama, rzucając na ich marmur bladoliliową poświatę. Pod łukami werand gromadził się gęsty mrok, nie zapalano lamp. Był to rozkaz księcia; skoro on miał zawiązane oczy, kobiety nie powinny mieć oświetlonej drogi ucieczki. Zanim otoczono mu głowę chłodnym płótnem, Churram stanął na mrocznym dziedzińcu, wpatrzony uważnie w niewolnice i konkubiny. Wszystkie były ubrane w biel; lśniące jedwabie, haftowane olśniewającym *zari*, ich przeguby były wolne od bransolet, a w uszach lśniły brylanty. Nie nosiły także bransolet na kostkach stóp ani butów, mogły więc przemykać obok niego, nie czyniąc najmniejszego hałasu. Zawiązano mu oczy, a potem ktoś obrócił nim parę razy, aż Churram stracił orientację.

Jakaś dłoń, miękka jak płatek róży, dotknęła jego prawego ramienia i zsunęła się na plecy. Churram odwrócił się gwał-

townie, z wyciągniętymi rękami, ale kobieta już znikła. Zrobił parę chwiejnych kroków i otarł się o czyjeś smukłe biodro. Dotknął kobiety, przesunął dłońią po linii jej talii, wsunął palec pod węzeł *ghagary*. Miała szaty z brokatu, poznawał to dotykiem, wypukły wzór dawał się wyczuć na powierzchni materiału. Kobieta znieruchomiała, kiedy przesunął dłońmi po jej twarzy. Nalini... wydatne usta, śmiałe oczy, ciało, które kiedyś miało się pod nim dziko. Ale dziś miał ochotę na kobietę łagodniejszą, która będzie raczej dawać niż brać.

Poruszał się w całkowitych ciemnościach, kierując się tylko dotykiem i węchem. Czekając na zawiązanie oczu, nauczył się na pamięć sukienek niemal wszystkich kobiet i teraz rozpoznając ich fakturę - jedwab, atłas, aksamit, brokat czy bawełnę - wiedział, którą ma przed sobą i czyjej pragnie.

Często przybiegały, by obdarzyć go pieczęcią, lecz czyniły to w zupełnym milczeniu; szedł za nimi, kierując się ich krokami. Zaangażował się w tę grę z tym samym zapałem i drapieżnością, z jaką toczył wojnę w Mewarze. Przy każdej pieczęcie jego serce zaczynało dziko galopować. A jednak nie było tu żadnej kobiety, z którą pragnął oddalić się do sypialni. Dopóki nie znalazł tej, która stała przy jednej z kolumn werandy.

Chwyił jej nadgarstek i przyciągnął do ust, a ona się nie opierała. Skórę miała gładką, mocno uperfumowaną, zapach połaskotał jego nozdrza. Co to, pomyślał, piżmo? Nie, coś bardziej intensywnego, z kamforą i kadzidłem... Zaintrygowany tym niezwykłym wyborem - inne kobiety kapały się w zapachach kwiatowych - przesunął językiem po jej dłoni. Usłyszał, że kobieta gwałtownie wzdycha. Delikatnie odebrała mu rękę. Przez jedną króciutką chwilę dotykała jego twarzy, otoczyła dłońią podbródek. Potem uciekła. Churram pobiegł za nią, nasłuchując tupotu stóp na chłodnych marmurowych płytach. Wpadł na kolumnę, inne kobiety usiłowały go zatrzymać, lecz on wciąż ścigał kobietę pachnącą tą rozkoszną perfumą.

Dogonił kobietę i przyparł do innej kolumny, otoczywszy jej talię z obu stron rękami. Teraz już jej nie puści. Jeśli ktośkolwiek ma nasycić jego głód, to tylko ona. Pod palcami

poczuł gładką skórą między stanikiem a paskiem *ghagary*. Zbadał materiał - *malmał*, najdelikatniejsza bawełna z cesarskich tkalni. Kobieta miała nagie ramiona; przesunął po nich dłońmi aż po kraniec aksamitnego stanika. Wtulił twarz w jej szyję, nasłuchując dzikiego trzepotu serca, rozkoszując się dotykiem skóry, ciałem, zapachem jaśminu we włosach.

Podniósł głowę i ujął dłoń kobiety. Wyciągnął białą różę, przyczepioną do białej *kurty*, i podał schwywanej.

- Ta - oznajmił głośno. - Ona spędzi ze mną tę noc.

Jego słowa były sygnałem do zakończenia gry. Eunuchowie wnieśli płonące pochodnie. Zapalili lampki oliwne. Churram zsunął opaskę z oczu, drugą ręką nadal przytrzymując kobietę.

Drgnął. Przed nim stała Ladli. Smukła, na wpół naga Ladli o szarych, nieprzeniknionych oczach, z białą różą w dłoni. Cofnął się, oszołomiony. Co Ladli robi między kobietami z jego haremu? Dlaczego tu przyszła? Cofnął się, ale nie mógł oderwać od niej wzroku. Spoglądał na ciało, którego tak niedawno dotykał, na smukłą talię, szyję, gruby węzeł kruczoczarnych włosów na karku.

- Oczywiście nie możesz mieć Ladli, Churramie - odezwał się za nim lodowaty głos.

Za jego plecami stała Ardżuman. Nie powiedziała nic więcej, ale wpatrywała się w kuzynkę oczami zimnymi jak kamienie. Churram natychmiast skinął głową, a kiedy Ardżumand wskazała jedną z kobiet, niemal pędem opuścił dziedziniec, ciągnąc ją za sobą. Inne kobiety także odeszły, jedna po drugiej, aż na dziedzińcu została tylko Ladli.

Wstrząsały nią dreszcze, które nie chciały ustać. Podniosła różę do ust. Osunęła się na podłogę, usiadła skulona.

- Oczywiście - powiedziała głośno w ciszy pustego dziedzińca.

Mijały tygodnie, a Mihrunnisa czekała na dogodną chwilę, by porozmawiać z Churramem. Nauczyła się cierpliwości, czekania na odpowiednią chwilę. Oczywiście często spotykała Churrama w różnych miejscach i z różnych przyczyn. Zwołała spotkanie ich przymierza; spotkali się, choć atmo-

sfera była ciężka. Mihrunnisa powiadomiła mężczyzn o tym, jak rozwiązała problem Portugalczyków. Churram buntowniczo oświadczył, że powinna okazać więcej dyplomacji. Po co to obłężenie Damanu? Cesarstwo zawsze tolerowało Portugalczyków, którzy zresztą tylko zareagowali na łaski dla angielskich kupców.

- A ty co myślisz, Abulu? - warknęła Mihrunnisa.

- Nie kłóćcie się - odezwał się Ghijas z otomany. - Nie jesteście już dziećmi. Wysłuchaj, co ma do powiedzenia jego wysokość, Mihrunniso.

A Churram, oczywiście, miał do powiedzenia jeszcze dużo więcej.

- Najjaśniejsza pani - zaczął tonem, w którym dźwięczała impertynencka nutka - Anglicy na razie tylko obiecali nam opiekę. I gdzie jest teraz ta opieka? Gdzie jest ten wielki ambasador, który na razie jeszcze nie zawitał do naszego kraju? Po co prowokować Portugalczyków, zanim zyskamy pewność, że Anglicy są po naszej stronie?

- Spalili cztery statki, Churramie. Czy nie jest to zaproszenie do odwetu? - Pochyliła się ku niemu tak blisko, że niemal dotknęła jego twarzy. - I dlaczego mamy siedzieć beczynn timer, gdy Portugalczycy robią, co się im podoba? Czy cesarz nie powinien odpowiedzieć na ten afront?

Churram odwrócił wzrok.

- Nie wiedziałem o tych statkach.

- Mihrunnisa ma rację - powiedzieli Ghijas i Abul.

- Tak - wymamrotał Churram, purpurowiejąc. - Być może.

Nie ma żadnego „być może”, pomyślała Mihrunnisa. Następnie spierali się o to, że nie skonsultowała się z nimi przed podjęciem tego kroku. Nie zrobiła tego, ponieważ rozmawiała o tym z cesarzem. To ich uciszyło na pozostałą część spotkania. Ghijas został nieco dłużej. Martwił się ich niezgodą. Mihrunnisa powinna uważać na to, co mówi, ale ona go nie słuchała. Niegdyś była posłuszna: zanim została cesarzową lub nawet w pierwszych latach panowania. Minęło jednak zbyt wiele lat. Na początku byli jej potrzebni z innych przyczyn niż łączące ich pokrewieństwo. Teraz to się zmieniło.

Poza tym Ghijas się zestarzał. Stał się zbyt tolerancyjny i nie wiedział już, na czym zależy córce. Jego życie się kończyło, jej zaczynało. Powinna zaplanować swoją przyszłość - tę po odejściu Dżahangira. To samo powiedział jej sam cesarz. Dżahangir był o dziewięć lat od niej starszy, wiedział, że prawdopodobnie jej nie przeżyje i że ona będzie pewnie żyć jeszcze wiele lat po jego śmierci. Jeśli nie będzie się mógł nią opiekować, chciał umrzeć ze świadomością, że zabezpieczył jej przyszłość. Dlatego popierał małżeństwo Churrama z Ladli - po jego śmierci to dziecko będzie jedyną więzią Mihrunnisy z cesarską rodziną.

Dla Mihrunnisy i Dżahangira te nocne rozmowy nie były ponurą koniecznością. Rozmawiali o zwykłych życiowych sprawach. Kiedy cesarz budował seraj dla zmęczonych podróżnych lub meczet, gdy pozwalał wznieść kościół lub dodawał nowy pałac w Agrze bądź Lahaur, myślał o swojej śmiertelności. On przeminie, lecz te kamienne budowle będą mówić o jego życiu jeszcze przez wiele setek lat.

Z każdym dniem czekania na rozmowę z Churramem gniew Mihrunnisy rósł coraz bardziej. Cesarzowa Dżagat Gosini wyprawiała uczyty dla swego syna - ironiczne demonstracje, które doprowadzały Mihrunnisę do wściekłości. To Rakajja była jego matką, to ona go wychowała, obdarzyła miłością. Ale Rakajja została w Agrze, wciąż przygnębiona z powodu *Rahimi*. Nie zgodziła się pojechać z nimi do Adżmeru. Dlatego Dżagat Gosini puszyła się dumnie jak przepowiadający deszcz paw i jawnie kpiła z Mihrunnisy.

Powodów do rozdrażnienia było co niemiara. Pewnego wieczoru podczas zabaw Dżahangir pochylił się nad Dżagat Gosini, wziął Mihrunnisę pod brodę i pocałował ją w usta. Był to powolny, miłosny pocałunek.

Mihrunnisa zarzuciła mu ręce na szyję i powiedziała:

- Twój oddech ma słodki zapach, najjaśniejszy panie.

Pomiędzy nimi siedziała Dżagat Gosini. Odwróciła twarz, lecz nie mogła na nich nie patrzeć.

- Co o tym sądzisz, Dżagat? - zwrócił się do niej Dżahangir.

- Mój panie, jedynie kobieta, która miała możliwość po-

znać oddech innego mężczyzny, może wyrokować o takich sprawach. Ja nie miałam takich doświadczeń i mogę jedynie powiedzieć, że dla mnie twój oddech zawsze pachnie słodko - odparła Dżagat Gosini.

Mihrunnisa zawstydziła się, a potem rozgniewała na samą siebie za to, że dała się zawstydzić. Cesarzowa przypominała jej w niezbyt delikatny sposób o poprzednim mężu, którego mogła całować. Dżahangir roześmiał się, ale nie okazał zazdrości.

I tak mijał czas. Radość z powodu zwycięstwa Churrama powoli zagubiła się w codziennych dworskich obowiązkach, które pochłaniały czas Dżahangira i Mihrunnisy. Za parę dni miały nadejść dwudzieste szóste urodziny Churrama. Mihrunnisa zaplanowała z tej okazji wiele uroczystości. Liczyła, że Churram ucieszy się okazaną mu łaską, ona zaś wtedy poprosi go, by wziął Ladli za żonę.

- Niech wasza wysokość zechce stanąć na wadze - powiedział mir tozak.

Churram zerknął na ojca. Dżahangir skinął głową. Książę skłonił się mu i ruszył w stronę złotej wagi na środku *diwan-i ant*. Szale wisiały na złotych łańcuchach, przymocowanych do potężnej drewnianej belki, ozdobionej złotymi ornamentami i rubinami. Krzyżak, na którym spoczywała waga, także był ozdobiony złotą blachą, przybitą złotymi gwoździami do drewna tekowego.

Churram przytrzymał się ramienia służącego i wspiał się na wielką złotą szalę. Zerknął na zasłonięty balkon *zenany*, usiadł ze skrzyżowanymi nogami, a służący zaczęli kłaść na drugiej szali worki złota i srebra. Churram przytrzymywał się złotego łańcucha; czuł pod palcami gładkość metalu i miał ochotę przygarnąć go do piersi. Łańcuch był z litego złota z niewielką domieszką miedzi, która nadawała mu ciemny blask. Rubiny i perły na głównej belce lśniły tak bardzo, że aż skrzyło mu się w oczach. Co za szczęście!

Cesarz Akbar rozpoczął tradycję oznaczania swojego ciężaru - w dniu swoich słonecznych i księżycowych urodzin -

w jedwabiach, złocie, srebrze, miedzi, rtęci, maśle, ziarnie i wszystkim, co uznał za artykuł luksusowy. Następnie rzeczy te rozdawano biedakom. W ten sposób Akbar wyrażał błogosławieństwo dla swego cesarstwa.

Dziś w sali zebrał się tłum widzów. Zaproszenia na tę uroczystość były bardzo poszukiwane. Eunuchowie, niewolnicy i strażnicy nabili sobie dzięki nim sakiewki.

Zaczęło się ważenie. Najpierw na szalę złożono grube jedwabne woreczki złotych *mohurów*. Churram z wolna sunął w górę, aż szale się zrównały. Był lekki, a liczba woreczków niewielka. Miesiące spędzone w Mewarze, bez przyzwoitych posiłków, wychudziły jego ciało.

- Jesteś za lekki - odezwał się siedzący na tronie Dżahangir. - Obrabowałeś potrzebujących.

Wszyscy się roześmieli, Churram również. Skłonił się z szali ojcu.

- Jeśli najjaśniejszy pan pozwoli, zjem coś, by stać się cięższy.

Ważenie trwało godzinę. Na przeciwnej szali kładziono srebro, miedź, złoto, owoce, olej gorczycowy, warzywa i masło. Cennych metali dostarczyły damy z haremu, w tym cesarzowa wdowa Rakajja, która z wdzięcznością przyjęła pomoc Dżahangira w sprawie *Rahimi*. Mihrunnisa także poświęciła nieco złota; mir tozak głośno informował o pochodzeniu każdej sakiewki. Imię Mihrunnisy często rozbrzmiewało w ciszy dworu; wielmoże zerkali na siebie. Przymierze cesarzowej zachowało swoją potęgę.

Mihrunnisa przyglądała się przez ażur ekranu, jak Churram usiłuje wstać po ważeniu. Podnosił się parę razy, upadał, aż w końcu kilku dworzan chwyciło go pod ręce i zdjęło z szali. Książę złożył cesarzowi chwiejny ukłon. Mihrunnisa uśmiechnęła się. Książę był pijany. Nieco wcześniej w *zenanie*, gdy Churram zjawił się z wizytą Dżahangir poczęstował go winem, które książę przyjął. Ze wszystkich jego synów Churram był jedynym stroniącym od alkoholu, ale po zwycięstwie w Mewarze nauczył się pić wino niczym sorbet. Dziś rano wypił trzy kielichy w dwadzieścia minut i wyszedł prosto,

z wyzywającym spojrzeniem. Widzisz, najjaśniejszy panie, wino nie ma na mnie wpływu.

Nadeszła pora porozmawiać z Churramem, uznała. Po zakończeniu *darbaru* zawołała księcia; na dźwięk jej głosu rozmowy dworzan umilkły.

Cesarz przechylił głowę i zwrócił się do Churrama, wciąż chwiejnie trzymającego się na nogach.

- Churramie, czy słyszałeś rozkaz Nurdżahan-begam?

- Tak, najjaśniejszy panie. - Księżę chciał się skłonić, ale zatoczył się na dworzanina.

Ardżumand otworzyła usta, żeby przemówić; Mihrunnisa zasłoniła jej dłońmi.

- Nie zezwoliłam ci przemówić do mnie, Ardżumand. Wracaj do swoich komnat. Przyślę Churrama, kiedy skończę z nim rozmawiać.

Ardżumand znowu otworzyła usta, ale Hoszizar wyprowadził ją z balkonu.

Churram został doprowadzony do komnat Mihrunnisy; Hoszizar i drugi eunuch musieli go na wpuść. Stał w progu, potrząsnął głową, by dojść do siebie - ale skutki wypicia alkoholu nie dały się tak łatwo usunąć. Churram zatoczył się, niemal upadł, odzyskał równowagę. Rzucił się na otomanę.

Mihrunnisa czekała, aż się do niej odwrócił. Spojrzył na nią wyzywająco.

- Czego sobie życzysz, najjaśniejsza pani? Czy konieczne było przemawianie w obecności wszystkich dworzan? Czy jestem marionetką, którą można do woli dyrygować?

- Uważaj, co mówisz - warknęła Mihrunnisa. Chciała zachować spokój i przekonać go do swoich racji, ale wobec takiej bezczelności zapomniała o umiarze.

- Czego chcesz? - powtórzył Churram z niechęcią, nagle bardzo zainteresowany własnymi dłońmi. Podniósł najpierw jedną, potem drugą, obrócił, pogłaskał palce.

Mihrunnisa się zawahała. Oględne słowa uleciały jej z głowy. Jeśli Churram zadawał jej tak bezpośrednie pytania, to i ona nie będzie gorsza.

- Kiedy poślubisz Ladli?

Książę wyciągnął zza pleców bawełniany wątek i obrócił się na brzuch, obejmując go oburącz. Wiedział, co odpowie, co ma odpowiedzieć, ale przez chwilę przywołał wspomnienie tamtej nocy. Nadal pamiętał zapach jej skóry; nie mógł minąć żadnej kadzielnicy, nie wspominając skóry Ladli. Jego palce pulsowały pragnieniem, by jej dotknąć, by zobaczyć pragnienie w jej oczach, takie jak wtedy, kiedy zdjął opaskę. A jednak... to żądza, nie namiętność. Tak powiedziała Ardżumand. A zatem to prawda. Oczywiście to, co zamierzał powiedzieć, było słuszne. Mihrunnisa nie mogła zostać jego teściową. Oczywiście, miał rację... pochylił się ku Mihrunnisie.

- Kiedy pytanie „Czy poślubisz Ladli?” zmieniło się w „Kiedy poślubisz Ladli”? Dlaczego miałbym poślubić Ladli?

- Churramie - rzuciła Mihrunnisa ostro - czy mam ci tłumaczyć zalety tego związku? Cesarz go sobie życzy i to ci powinno wystarczyć.

- Najjaśniejszy pan życzy sobie tego znacznie mniej niż ty, najjaśniejsza pani. I jakie zalety mogłoby mieć takie małżeństwo? Jakie ziemie i *dżagiry* miałbym zyskać? Jakie klejnoty ozdobią poduszki mej otomany? Jakie zawrę przymierza z wpływowymi dostojnikami oprócz tych, które już zawarłem? - Oparł głowę na wątku.

Mihrunnisa zerwała się ze swego miejsca i stanęła przed księciem. Ręka ją świerzbiła, miała ochotę spoliczkować bezczelnego Churrama. Wino nie złagodziło uporu księcia, raczej go zaostrzyło. Zasłaniał się pijaństwem, by móc jej okazać brak szacunku. Odwróciła się i zaczęła krążyć po komnacie, jak zwykle, kiedy była zdenerwowana. Więc takiego męża pragnęła dla Ladli? Więc to jest człowiek, którego stworzyła, któremu dała władzę? Ardżumand nie było przy nich, ale jej obecność dawała się odczuć - w bezczelności Churrama, w jego języku.

- Jeśli w ogóle spotykają cię zaszczyty, Churramie, to dzięki mnie. Beze mnie byłbyś nikim. O, nadal mógłbyś liczyć na tron, ponieważ w twoich żyłach płynie krew cesarza, ale na nic więcej. Pamiętaj o tym i uważaj, co mówisz, jeśli prag-

niesz zachować pozycję. Poślubisz Ladli, ponieważ tak ci rozkazuję. A jeśli nie, dopilnuję, by cesarz przestał cię darzyć łaskami.

Churram odwrócił się na wznak.

- Przeceniasz swój wpływ na cesarza, najjaśniejsza pani. Czy żona może być ważniejsza od syna?

Wzdrygnęła się. Kiedy znowu się odezwała, mówiła cicho, z odrazą. Nie było potrzeby krzyczeć.

- A ty jesteś słaby. Nie masz charakteru ani woli. Odmawiasz tej jednej mojej prośbie ze względu na Ardżumand, ale nie widzisz, że to w końcu zmieni twoje życie.

Hoszijar przyglądał się im i przysłuchiwał, oparty o ścianę przy drzwiach, z ramionami splecionymi na piersi. Mihrunnisa spojrzała na niego. Zwłókł Churrama z otomany, zarzucił sobie jego rękę na szyję i wywłókł księcia z komnaty.

Kiedy wrócił, zastał swoją panią siedzącą sztywno na otomanie.

- Zaproponowałem jego wysokości nieco wina - odezwał się, pochylając nad jej uchem. - Powiedziałem, że przepędzi jego smutki. Moja propozycja bardzo go ucieszyła. - Wyjął zza pasa cztery złote *mohury* i położył przed Mihrunnisa - Naprawdę bardzo.

Wino. Po dwudziestu sześciu latach abstynencji tyle wina w jeden dzień. Powiedzieli sobie słowa, których nie można cofnąć. Słowa goryczy, słowa nienawiści. Churram wymknął się jej spod kontroli - a przynajmniej tak mu się wydawało. Więcej już go nie poprosi - nie po tym, co się dziś wydarzyło. Churram był głupcem. Powiedział, że żona nie jest tak ważna jak syn. Czy naprawdę tak sądził? Skoro tak bardzo kocha Ardżuman, jak ma nie zauważać miłości ojca do Mihrunnisy? Czy nie zdaje sobie sprawy, że to jest jedyne prawdziwe małżeństwo jego ojca? Od czasu ich ślubu cesarz Dżahangir miał tylko jedną żonę.

Za to miał jeszcze trzech innych synów.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

*...odczułem zmianę mego zdrowia i stopniowo ogar-
nęła mnie gorączka, a także ból głowy. Ze strachu,
że kraj i boży słudzy mogą ucierpieć jakąś szkodę,
zachowałem tę rzecz w sekrecie... W ten sposób mi-
nęło kilka dni, a ja zwierzyłem się jedynie Nur-Dża-
han Begam, która - jak sądzę - sprzyjała mi bar-
dziej niż ktokolwiek inny...*

Tuzuk-i-Dżahangiri,

tłum. A. Rogers, wyd. H. Beveridge

Nad Goa i Morzem Arabskim zapadła noc; niebo lśniło złotem i oranżem. Tu, na najbardziej wysuniętym na zachód krańcu cesarstwa, słońce najdłużej ociągało się z odejściem, jakby nie mogło się rozstać z ziemią. Jeszcze długo po zapadnięciu zmroku nad płaskim horyzontem lśniła srebrna linia niczym łuna niewidzialnego miasta. Księżyc wzeszedł już parę godzin temu; kiedy słońce zgasło, on zyskał blask. Ulice to-nęły w srebrnym świetle, wieże jezuickich kościołów godziły w niebo, krzyże na ich szczytach rzucały cień na dziedzińce. Dwór wicekróla Portugalii stał wysoki i potężny, z nieotynkowanych cegieł, z łukowatymi werandami, spiczastymi dachami i oknami zakończonymi szczytami. Z balkonu dworu nad frontowym portykiem widać było port w Goa.

Za dnia piasek był biały jak sól, jakby wody ogromnego i niemożliwie błękitnego oceanu wypłukały z niego kolor. Palmy szeleściły na wilgotnym wietrze. Plaże ocieniały parasole z liści palmowych. W Goa czas się zatrzymał; dni były do siebie podobne, piękne i spokojne, cień drzew zapraszał, by w nim spocząć przy akompaniamencie usypiającego szumu fal, pełznących w głąb plaży i cofających się z żalem.

Tej nocy w porcie stało sto dwadzieścia statków. Kołysały

się na falach, duże i małe, niczym zabawki na wodzie, tak blisko siebie, że niemal stykały się burtami. Jedynym dźwiękiem, jaki niósł się do dworu wicekróla, było skrzypienie i szuranie drewna, gdy wiatr ocierał jeden statek o drugi. Żagle były zwinęte; w świetle księżyca jarzyły się bielą. Statki były na ogół małe, o wyporności zaledwie kilkuset ton, ale dziś wysoko unosiły się na wodach portu. Miały puste ładownie, zdjęte ornamenty z brązu, a ich załogi stały na plaży i patrzyły. *Rahimi* znajdował się w środku grupy. On także był ogołocoony, żałosny - nie stworzono go do bezczynnego stania na kotwicy, lecz do śmiałego żeglowania po oceanie i toczenia walk ze sztormami i piratami.

Wicekról stał samotnie na wielkim, kwadratowym balkonie. Służący pochylił się do jego ucha.

- Panie, jesteśmy gotowi.

Podał mu pochodnię. Wicekról zbliżył się do balustrady balkonu i uniósł pochodnię w powietrze. Na plaży zapaliły się inne płomienie. Po paru minutach na plażę wytoczono katapultę i podpalono nasycone olejem kłęby bawełny i drewna. Ognista kula śmignęła w powietrzu i wylądowała na statku w prawym kącie portu. Przez kilka długich sekund nic się nie działo. Potem statek buchnął płomieniem; kula trafiła w beczkę prochu. Statek wyprysnął w powietrze i zwałił się ciężko na swego sąsiada.

Katapulta znowu ożyła. I jeszcze raz, i jeszcze. Jeden po drugim, wszystkie statki w porcie zaczęły się zajmować ogniem. Płonące drewno pryskało w ciemne niebo i opadało deszczem iskier. *Rahimi* zapłonął ostatni. Jego pokład był usłany żarzącymi się kawałkami drewna, lecz statek stawiał opór aż do ostatniej chwili. Ale potem i on się poddał. Pomarańczowoczerwony ogień liźnął maszty i żagle, sięgnął chciwymi palcami na pokład, wdarł się do ładowni i kabin.

Łuna bijąca od portu kładła się na piasku i palmach, oświetlała dwór z mężczyzną na balkonie, stojącym ze smukłym kieliszkiem wina w dłoni. Wicekról przez całą noc obserwował, jak ogień z wolna trawi statki aż do poczerniałych szkieleców. O poranku nad Goa zawisła gęsta chmura dymu. Parę

statków jeszcze się tliło, lecz większość już zatonała w nagle poszarzałych i brudnych wodach Morza Arabskiego.

Kiedy wicekról wreszcie oderwał się od nocnych rozrywek i udał się na spoczynek, poczuł słaby dreszcz strachu, jakby ktoś ogłosił jego zgon. To nonsens, powiedział sobie. Cesarz Dżahangir ośmielił się zdobyć Daman, będący pod protektorem Portugalczyków. W odwecie wicekról spalił indyjskie statki. Portugalczycy byli tu na długo, zanim Mogołowie uznali Indie za swój kraj. Ich pretensje - nie, coś więcej niż pretensje - były tak samo uzasadnione. Wicekról zasnął.

Ale wieści o spaleniu statków wkrótce dotrą do Adżmeru, do Mihrunnisy i Dżahangira. Wicekról popełnił błąd, nie doceniając zaangażowania dworu w handel, nie docenił furii Mihrunnisy - i zapomniał, że mogolscy władcy mieli pozostać w Indiach, a Portugalczycy byli jedynie ich gośćmi.

Dżahangir otworzył oczy z jękiem. Głowa bolała go tak, jakby skronie ścisnęło mu żelazne imadło, co chwila bardziej dokręcane. Przełknął ślinę; język miał twardy jak drewno. Czuł bijący od niego żar. Z wielkim wysiłkiem podniósł się na łokciu.

- Czy ktoś tu jest?

Natychmiast podbiegło do niego trzech eunuchów. Złożyli mu *taslim*.

- Najjaśniejszy pan raczył się obudzić?

Dżahangir osunął się na posłanie.

- Gdzie cesarzowa?

- W swoich komnatach, najjaśniejszy panie.

- Posłać po nią - rozkazał Dżahangir słabym głosem. Mówienie przychodziło mu z trudem. Każde słowo powodowało łomot w skroniach i uszach. - I przynieście mi *chiczri*.

Eunuchowie spojrzeli na siebie. Cesarz musi być niezdrów. *Chiczri*, potrawa z ryżu i soczewicy, gotowanych z solą i pieprzem, była jedzeniem biedaków, tanim i łatwym do przyrządzenia. Dżahangir jadał ją tylko wtedy, gdy żołądek sprawiał mu kłopoty.

Cesarz poruszył się, szukając chłodnego miejsca na podusz-

ce, ale atlasowa powłoczka była przesiąknięta potem. Nieustannie wstrząsały nim dreszcze. Ręce mu drżały. Może opium złagodzi ten niepokój? Rozkazał je przynieść. Eunuchowie się zawahali. Nie była to odpowiednia pora dnia na opium, ale cesarz wydał rozkaz - więc podali mu kulkę zmieszanego z cukrem opium wielkości winogrona, którą włożył do ust.

Narkotyk zaszumił we krwi Dżahangira, opanował jego osłabione ciało w kilka minut. Dygot ustał, po twarzy cesarza zaczęły spływać potoki potu.

- Odejdźcie! - rzucił z irytacją do eunuchów, którzy się nad nim stłoczyli. - Czemu tak stoicie? - I osunął się w chłodne objęcia opium. Światło dnia stało się mrokiem i znowu owładnął nim sen.

Eunuchowie umknęli z komnat cesarza. Dwaj pobiegli do kuchni, by zamówić *chiczri*, jeden do Mihrunnisy. Właśnie wróciła z *dżharoki* i trzymała w dłoni list z Goa. Eunuch skłonił się przed nią.

- Czego chcesz? - rzuciła niecierpliwie.

Zaczął mówić, a Mihrunnisa, nie czekając, aż skończy, poderwała się z otomany i pobiegła do apartamentów Dżahangira. Co się z nim dzieje? Kiedy obudziła się tego ranka, wymamrotał coś o bólu głowy i znowu zasnął, toteż sama udała się na *dżharokę*. Przez całą noc był niespokojny, ale ona także czuła zmęczenie i obudziła się tylko raz, by uwolnić się od obejmującej ją w talii ręki, od której biło gorąco.

Weszła do komnaty. Przy łożu cesarza stała parująca czarka *chiczri*. Dżahangir nadal leżał z zamkniętymi oczami, oddychając ciężko, z wysiłkiem. Nie drgnął, kiedy położyła mu rękę na czole. Płonęło gorączką. Cofnęła dłoń.

- Najjaśniejszy panie - szepnęła mu do ucha. Nie obudził się. Potrząsnęła go za ramię.

- Hoszizar! - krzyknęła. Eunuch znalazł się u jej boku. Razem usiłowali obudzić cesarza, lecz pozostawał nieprzytomny. Mihrunnisa pochyliła się nad nim; poczuła słodkie opary opium.

- Kto podał cesarzowi opium? - wrzasnęła, odwracając się

z furią w stronę eunuchów. Cofnęli się i wskazali na siebie nawzajem. - Wynoście się. Głupcy! On jest chory, a wy dajecie mu opium? Precz!

Wybiegli, potracając się i potykając. Mihrunnisa kazała przynieść zimną wodę i ręczniki. Czekając na nie, wraz z Hoszijarem rozebrała cesarza z *kurty* i spodni. Był zlany potem i rozpalony. Obmyli go ręcznikami zwilżonymi zimną wodą i gorączka nieco spadła. Mihrunnisa przykryła Dżahangira prześcieradłem.

- Najjaśniejszy panie, obudź się - powiedziała. - Przemów do mnie!

Ale opium opanowało cesarza i nie zamierzało go wypuścić z objęć. Hoszijar zaproponował, by wezwać *hakimów*.

- To nic takiego - odparła Mihrunnisa. Nagle ogarnął ją strach. - Prawda? To tylko gorączka. Zaraz spadnie. Zobacz. - Ujęła rękę Hoszijara i położyła ją na piersi cesarza. - Widzisz, jaką ma już chłodną skórę?

- Najjaśniejsza pani, proszę mi pozwolić.

- Nie. Jeśli wiadomość o chorobie dotrze na dwór i do *zenany*, całe cesarstwo opanuje chaos.

- Cesarz bywał już chory - powiedział łagodnie Hoszijar. - Proszę mi pozwolić wezwać *hakimów*. Powiedzą nam, co mamy robić.

Odwróciła się do niego z oczami pełnymi łez.

- Co dotąd osiągnęli *hakimowie!* Wahali się, konsultowali ze sobą, stroili mądre miny. Żaden z nich nie dał najjaśniejszemu panu rady wartej zastosowania. Wszyscy się boją, że jeśli postawią złą diagnozę i cesarz umrze, na nich spadnie odpowiedzialność za jego śmierć. Co z nich za pożytek?

Hoszijar sprzeciwiał się jeszcze przez jakiś czas, ale nie słuchała. Sama sprawi, że Dżahangir wyzdrowieje. Na pewno nie umrze. Nie może umrzeć.

Przez całą noc siedziała u jego boku, czekała i obserwowała. Słońce wzeszło jak co dzień, uniosło się wysoko i osunęło ku zachodowi, lecz Mihrunnisa tego nie zauważyła. Godzinami nie odchodziła od łoża cesarza, obmywała jego ciało. W końcu znowu nastąpiła noc i cesarz otworzył oczy. Nakarmiła go świeżym *chiczri*, podała mu wody, ale wszyst-

ko zwymiotował, zbyt słaby, by choćby przechylić się przez krawędź łóżka.

Potem zapadł w sen, lecz Mihrunnisa nadal czuwała. Gorączka przychodziła i odchodziła. Mihrunnisa słyszała, jak nocny strażnik stuka laską i melodyjnie obwieszcza mijające godziny. Druga. Trzecia. Potem czwarta i piąta. Mihrunnisa milczała i nie wpuszczała nikogo do komnaty cesarza.

Rozłożyła dywanik modlitewny i uklękła twarzą w stronę Mekki. Allahu, pozwól mu wyzdrowieć. Błagała, by wyzdrowiał. Tego tylko chciała. Przez całą noc z jej oczu płynęły łzy. Bała się, straszliwie się bała. Pytania cisnęły się jej do głowy. A jeśli jednak powinna wezwać *hakimów!* Gdyby Dżahangir... nie, nie mogła nawet o tym myśleć. Położyła się przy nim, przykryła go swoim ciałem, wtuliła twarz w jego ramię, dotknęła palcami stóp jego nóg. Nie był już rozpalony, lecz lodowaty. To nie był prawdziwy zapach i smak jego skóry. Cesarz poruszył się niespokojnie, przygnieciony jej ciężarem; położyła się obok, zawstydzona. On jest chory, cierpi, a ona dręczy go, by poczuć się lepiej.

- Mihrunniso...

Chwyliła go za ramię, podniosła się, by spojrzeć mu w twarz. Znowu się ocknął.

- Najjaśniejszy panie...

- Jesteś. - I znowu zamknął oczy.

Zawołała Hoszijara, ale eunuch udał się na spoczynek. Zaczęła kraść po komnacie, pełna nowej nadziei. Dżahangir oddychał spokojniej, nadal przez usta, lecz już nie chrapliwie. Oparła się o ścianę i osunęła na ziemię. Zapadła w półsen, nadal słuchając oddechu cesarza, obejmując rękami kolana, z wyprostowaną głową.

Po godzinie się obudziła. *Księżę Churram prosi o audiencję, najjaśniejsza pani.* Przyczołgała się do łóżka cesarza i dotknęła jego ramienia. Gorączka wróciła, znowu był rozpalony. Rozkazała przynieść zimnej wody i znowu go obmyła, powoli, już bez nadziei. Allahu, co się dzieje? Dlaczego dałeś mi nadzieję i zaraz odebrałeś? Co się dzieje? Kiedy eunuch znowu spytał o Churrama, warknęła, żeby odesłał księcia. Churram

zjawił się, by sprawdzić, czy ojciec naprawdę umiera i czy tron należy już do niego.

Następnego ranka *zenana* już wiedziała o wszystkim. Nikt nie był pewien, na co właściwie choruje cesarz, gdyż Nurdżahan-begam nikogo do niego nie dopuszczała. Dlatego w Adźmerze zaczęły krążyć plotki. Cesarzowa truje swojego małżonka. Cesarz znowu zapadł na astmę i nie może oddychać, wtłoczono mu więc do nosa miedzianą rurkę, by mu pomóc. Cesarz umiera, jest już jedną nogą w grobie, przy życiu trzymają go tylko uroki, jakie Mihrunnisa rzuca w swoich komnatach. Cesarzowa walczy z demonami, które przybyły po cesarza. A tematem przewodnim tych niestworzonych opowieści było: co teraz z nami będzie?

Jeśli Dżahangir umrze, nie wyznaczywszy następcy tronu, nie uporządkowawszy spraw, co się ze wszystkimi stanie?

Dokładnie ta sama myśl dręczyła księcia Churrama, kiedy zawrócił od progu apartamentów cesarza. Jeśli Mihrunnisa nie pozwoliła mu wejść, sprawy muszą się przedstawiać bardzo poważnie. Czy ojciec umiera? Przez cały dzień wysłał do Mihrunnisy niewolników i eunuchów, prosząc, żądając i błagając o informacje. Nie odpowiedziała na żadne pytanie.

Czekając, posłał ludzi do apartamentów Chusru i innych, by sprawdzili, gdzie przebywa Szahrijar. Parwez znajdował się w Dekanie, prawdopodobnie pijany, nieświadom, że ojciec umiera. Chusru błąkał się samotnie po ogrodach, a Szahrijar ćwiczył na strzelnicy.

Tego wieczora Churram zwołał dworzan do swej sali audiencyjnej w Adźmerze. Rozmawiali przez kilka godzin, po czym poprosił ich o poparcie na wypadek, gdyby nagle zabrakło głowy, na której do tej pory spoczywała korona. Po jego słowach zapanowało zdumione milczenie. Cesarz chyba nie umiera? Nie, zapewnił ich książę. Nie teraz, ale gdyby... Książę nie zapomniał także o portugalskim wicekrólu. Spalił on sto dwadzieścia statków, lecz żaden z nich nie należał do Churrama. Książę znowu do niego napisał, domagając się

przepustek i ochrony dla swoich statków. W zamian obiecał swoje poparcie, kiedy zostanie cesarzem.

Gorączka nie opuszczała cesarza przez dwadzieścia dni. Żywiła się jego wyniszczonym ciałem i wielkimi ilościami wina i opium, które nadal przyjmował. Mihrunnisa nie chciała gwałtownie odcinać mu dostępu do alkoholu i narkotyków z obawy, że to go zabije. Po pierwszych dniach letargu Dżahangir zaczął zapadać w stany bliskie delirium; wykrzykiwał wtedy słowa bez sensu i miotał się tak bardzo, że trzeba go było związać. Nie rozpoznawał Mihrunnisy, która we łzach obejmowała jego nogi i łkała w ciemnościach, gdy mieszkańcy pałacu spali pogrążeni w niespokojnym śnie.

Dwudziestego dnia na całym ciele cesarza pojawiła się drobna wysypka. Ospa, pomyślała Mihrunnisa ze zgrozą. Czy to może być ospa? Dżahangir jej nie przeżyje, nikt nigdy jej nie przeżył. Teraz w końcu wezwała lekarzy.

Przybiegli jak przestraszone zwierzęta. Stanęli nad cesarzem, zasłaniając usta i nosy jedwabnymi chusteczkami. Mihrunnisa patrzyła na nich z obrzydzeniem. To mają być ludzie leczący innych? A co z przysięgą którą złożyli? Bali się zarażać ospą. Ona spędziła z Dżahangirem dwadzieścia dni, odchodząc tylko czasem, by się wykapać lub coś zjeść. Mocne ciało Dżahangira nikło w oczach - podobnie jak jej. Ręce miała jak patyczki, talia się zapadła, *czoli* wisało na niej, lecz siła woli nie osłabła. Przez wszystkie te dni, kiedy nadzieja pojawiała się i znikwała, wola pozostała nieugięta. Cesarz będzie żyć. Cesarz musi żyć.

Hakimowie, starzy i brodaci, pochylili się smętnie nad Dżahangirem, zbadali mu puls. *Hakim* Abdullah spojrział oskarżycielsko na Mihrunnisę.

- Najjaśniejsza pani, należało nas wezwać wcześniej.

- Czy to ospa? - spytała, lekceważąc jego wyrzut. - Na co choruje cesarz? Potraficie to uleczyć?

Abdullah pokręcił głową i serce Mihrunnisy przestało na chwilę bić. Nie ma lekarstwa. Teraz powie, że na tę chorobę nie ma lekarstwa. Podbiegła do łóża Dżahangira, odepchnęła lekarzy. Nie wolno go im dotykać! Nikt oprócz niej nie ma

prawa dotykać ciała jej męża. Przez mgłę rozpaczy dotarł do niej głos *hakima*.

- To nie ospa, najjaśniejsza pani, lecz cesarz cierpiał zbyt długo. Jeśli za parę dni gorączka nie spadnie...

- Nie ospa? - Chwyliła go za kościste ramiona i potrząsnęła. - Nie ospa? Na pewno? Bez wątpienia? - Głowa zakłótyłała mu się bezwładnie, długa broda zatrzepotała. Popchnęła go do drzwi. - Odejdźcie! Wszyscy odejdźcie! Zostawcie nas. I... dziękuję.

Pobiegła do łóża Dżahangira i padła przy nim na kolana. Cztery godziny później, kiedy otworzył oczy, po raz pierwszy od dwudziestu dni spojrział na nią przytomnie.

- Jesteś tu, Mihrunniso? - spytał.

- Gdzie indziej mogłabym być, najjaśniejszy panie?

Od tego dnia stan cesarza stopniowo się poprawiał. Powoli, z dnia na dzień, Dżahangir nabrał apetytu, posłusznie zrezygnował z nadmiernej ilości wina. Wiara Mihrunnisy w jego wyzdrowienie była lepszym lekarstwem od wszystkiego, co mogli mu zalecić *hakimowie*. Po miesiącu od pierwszego ataku gorączki Dżahangir wydozbrał na tyle, że pojawił się na *dżharoce*.

Dziedziniec u jego stóp pękał w szwach. Wszyscy, wielmoże i pospólstwo, krzyknęli z radości na jego widok.

- Chwała cesarzowi! Oby żył wiecznie!

Tego popołudnia cesarz kazał sobie przekłuć uszy na znak podzięki i zawiesić w nich dwie nowe perły. Wkrótce moda ta podbiła cały dwór i wielmoże zaczęli naśladować cesarza.

Mihrunnisa wróciła do swoich komnat i przespała cały dzień ze świadomością, że jej mąż jest już zdrowy, a ona może wreszcie zamknąć oczy bez lęku.

Cesarz przyszedł do niej w nocy, kiedy leżała pogrążona we śnie. Położył się obok i objął ukochaną. Niewiele zapamiętał z ostatniego miesiąca, jedynie krótkie wizje jej twarzy. Zawsze ją widział, ani razu nie obudził się pod jej nieobecność. Teraz wyglądała na bardzo zmęczoną, jakby oddała mu wszystkie siły, by mógł walczyć z gorączką.

Potem pomyślał o problemie z Portugalczycami - ale prze-

lotnie, ponieważ znowu dostarczono mu nowe wieści. Angielski kapitan, niejaki Downton, spotkał się Portugalczykami w kanale Suwali w okolicach wybrzeży Suratu, pokonał ich i spalił ich statki. Mihrunnisa jakimś cudem podczas jego choroby zdołała zażądać odszkodowania za spalenie *Rahimi* i wicekról przysłał Rakajji trzysta tysięcy rupii. Zażądała także następnych przepustek, które obecnie przestały mieć znaczenie. Ostatnie zwycięstwo Anglika było dobrym znakiem dla cesarstwa. Niech tylko przybędzie ten nowy ambasador. Podobno znajduje się już o dwa dni żeglugi od stałego lądu. Niech przybędzie, a razem z Mihrunnisa uporają się z tym problemem.

Dżahangir pomyślał także o Churramie - z gniewem. Jak jego syn mógł sprzeciwić się Mihrunnisie i odmówić poślubienia Ladli?

Delikatnie pocałował Mihrunnisę w czoło. Uśmiechnęła się przez sen. Spytał ją, dlaczego spędziła przy nim tyle dni, a ona powiedziała, że jest szczęśliwa tylko wtedy, gdy i on jest szczęśliwy. Mimo całej potęgi, mimo wszystkich bogactw i armii, którymi mogła dowodzić, pomimo szacunku dworzan - ostatecznie wszystko sprowadzało się do tego prostego zdania.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Zatem podajemy do wiadomości, że dla zaufania i wiary, jakie pokładamy w wierności i dyskrecji rzezczonego sir Thomasa Roe, mianowaliśmy, wyznaczyliśmy, zarządziliśmy i oddelegowaliśmy - i niniejszym mianujemy, wyznaczamy, zarządzamy i delegujemy rzezczonego sir Thomasa Roe. Niech będzie naszym prawdziwym i niekłamany adwokatem, prokuratorem, legatem i ambasadorem.

The Embassy of Sir Thomas Roe to India,
wyd. William Foster

- Panie, jesteśmy na miejscu.

Kotwica *Lwa* runęła z brzękiem i chlupotem w wody wybrzeża Suratu. Dwóch nagich do pasa marynarzy rozwijało gruby zwój łańcuchów. Ich mięśnie drgały pod spoconą skórą.

Roe patrzył z mocno bijącym sercem na tonące w mroku wybrzeże. Na razie niewiele było widać, parę drzew, dżonki i fregaty w pobliżu ujścia Tapti i jedną wielką białą wieżę, miejscową świątynię.

Odwrocił się i oparł o reling. Czy to wszystko, co zobaczy w krainie wielkich Mogołów? A gdzie te fantastyczne pałace z tysiąca i jednej nocy, gdzie kobiety strojne w klejnoty, gdzie gwarne bazyry? Miał nadzieję, że po tak długiej podróży pierwszy widok Indii będzie bardziej atrakcyjny. Rejs z Anglii trwał siedem miesięcy, był długi i męczący. Przez wiele dni Roe widział tylko wodę, jak okiem sięgnąć, czasami pod pogodnym, a niekiedy pod burzliwym niebem. Nauczył się chodzić po pokładzie *Lwa*, nie wymiotując co chwila, a w czasie sztormu, odesłany do swojej kabiny, przez wiele godzin modlił się na klęczkach o ratunek, nie wiedząc, czy przyjdzie mu spocząć na dnie morza.

A jednak wezwanie na dwór mogolski nie mogło nadejść w lepszym czasie. Fortuna przestała mu sprzyjać - zarówno na

polu polityki, jak i osobistym. Skromny spadek, jaki odziedziczył, stopniał niemal zupełnie. Przyjaciele, jakich miał na dworze - księżę Henryk i księżniczka Elżbieta - odeszli z jego życia: księżę umarł, a księżniczka wyszła za elektora czeskiego. Kiedy Kompania Wschodnioindyjska zaproponowała mu wyjazd na placówkę dyplomatyczną, Roe był członkiem Parlamentu w Tamworth. Ta propozycja spadła mu z nieba.

Z kolei Kompania nie mogła wybrać lepszego reprezentanta. Roe był w kwiecie wieku, po trzydziestce, i chętnie powitał odmianę losu. Był elokwentny, miał dystygowany styl bycia i ujmujący charakter, jak przystało na dyplomatę i ambasadora.

Roe spojrzął na inne statki floty, jakie przypłynęły z nim z Anglii. *Pieprz*, *Ekspedycja* i *Smok* kołysały się łagodnie na spokojnych wodach Suratu. Była to najwspanialsza i najlepiej zaopatrzona flota ze wszystkich, które Kompania Wschodnioindyjska wysłała do Indii.

Przesunął palcem pod uciskającym go kołnierzem. Cóż to za straszny pogański kraj, gdzie sam upaść pozbawia człowieka sił? Chronometr pokazywał dopiero ósmą, a już teraz jego ubranie było całkowicie przepecone. Kapitan *Lwa* cierpko poradził mu pozbyć się wszystkich ozdób, a choć ład był już w zasięgu wzroku, mieli na nim postawić stopę dopiero za parę dni. Mimo to Roe włożył strój, który uznał za godny ambasadora: wyczyszczone do połysku wysokie buty, wyprasowaną koszulę ze śnieżnobiałymi bufiastymi mankietami. Gdyby ktoś przypadkiem przyglądał się statkowi przez lunetę, nie zobaczy ambasadora ubranego jak zwykły marynarz. Ale teraz Roe zazdrośnie obserwował kapitana; on także się pocił, ale w obszernej koszuli i spodniach było mu chyba wygodniej. Westchnął. Nie był to jedyny jego problem. Miał dużo czasu do namysłu; zdążył kilka razy przeczytać dzienniki podróżników, którzy przed nim odwiedzili Indie. Cesarz oznajmił w słowach niepozostawiających cienia wątpliwości, że nie akceptuje zwykłego kupca jako równego sobie partnera. Podobno William Edwards, aktualnie przebywający w Adżmerze szef handlarzy, podawał się za ambasadora. Tak samo kazał się nazywać Hawkins, a jeśli Middleton lub Best zdołali stanąć

przed obliczem Dżahangira, oni także pewnie przyznali sobie ten dostojny tytuł. W jakim to go stawiało światło? On także przybywał z wysoce podejrzaną godnością „ambasadora”.

Ale nie miał zamiaru dać się pognębić. Kiedy oderwał się od relingu, w kieszeni na jego piersiach zaszeleścił list od króla Jakuba. To on jest pierwszym oficjalnym ambasadorem angielskim i jemu król przyznał wszystkie należne prawa i godności, gdyż to on przybywał jako reprezentant dworu angielskiego. Roe miał przy sobie nie tylko listy uwierzytelniające, lecz także list od króla Jakuba do Dżahangira oraz list z instrukcjami, w którym król wymieniał jego obowiązki na mogolskim dworze. Tego nie miał żaden z tych kupców, tylko on zjawiał się w glorii królewskiej łaski i wykorzysta wszystkie swoje atuty, by okazać się lepszym od Hawkinsa i Edwardsa.

Zamyślony Roe przechylił się przez reling i nagle ujrzał zbliżającą się ku niemu taflę wody. Jakaś ręka chwyciła go za kołnierz; wierzgnął dziko nogami i przewrócił się na pokład.

- E, brachu, uważaj - ryknął mu do ucha potężny marynarz i cały pokład zatrzęsł się ze śmiechu. Roe wstał i otrzepał się z największą godnością, na jaką mógł się zdobyć. Rozpalona z gorącą twarzą poczerwieniała mu jeszcze bardziej. Tak było przez cały rejs - ta bezceremonialność, ta niechciana bliskość. Teraz wreszcie dotarł do Indii i jego życie będzie znowu podlegać sztywnym dworskim regułom.

Sir Thomas Roe chciał osiągnąć zbyt wiele i zbyt szybko. Owszem, przybył z listami uwierzytelniającymi, lecz nie zgotowano mu przyjaznego powitania.

Surat, miasto w prowincji Gudżarat, znajdowało się pod rządami księcia Churrama, który obecnie otwarcie sprzymierzył się z Portugalczykami. Ponieważ Churram im sprzyjał, Portugalczycy pozwalali jego statkom na swobodny handel na Morzu Arabskim, lecz grozili odwetem, jeśli Anglicy ustanowią ambasadę na dworze.

Wiadomość o zwycięstwie Downtona nad Portugalczykami, która przed kilkoma miesiącami tak uradowała Mihrunnisę i Dżahangira, dotarła do Churrama i Roego w chwili, gdy flota

ambasadora spotkała się z *Nadzieją kupca*, jednym ze statków Downtona, zmierzającym w drogę powrotną do Anglii. Roe się uradował, Churram nie. Książę nie zamierzał dopuścić, by Anglik oficjalnie podpisał traktat handlowy, lecz dopóki był księciem, nie mógł wiele zdziałać. Ale mógł zrobić jedno - dopilnować, by Roe nie postawił stopy na indyjskiej ziemi i by jego flota wróciła do Anglii pozbawiona bogatego ładunku.

Dlatego przez następny tydzień nowy ambasador miał okazję zademonstrować cały swój dyplomatyczny talent. Statki przeszukano od bocianiego gniazda po dno ładowni, obłożono stosownymi podatkami w zależności od towarów. Załogę zrewidowano, szukając kontrabandy. Roe słał liczne listy do Mukarrab-chana, gubernatora prowincji, dopominając się poszanowania swoich praw i żądając, by zostawiono jego dobytek w spokoju. Utrzymywał, że jako ambasador nie powinien podlegać zwyczajowym prawom celnym.

Mukarrab natychmiast przysłał uprzejmy list, w którym twierdził, że wszystkie towary muszą zostać gruntownie sprawdzone, lecz w przypadku osobistych rzeczy ambasadora uczyni wyjątek - pod warunkiem że celnik oznaczy je pieczęcią, a następnie sprawdzi w rezydencji Roego w Suracie. W ten sposób wymieniali się kwiecistymi frazesami, aż wreszcie Roe musiał się poddać. Wówczas Mukarrab nie miał już powodów bronić mu wstępu na stały ład, dlatego osiem dni po tym, jak *Lew* rzucił kotwicę na wodach u ujścia Tapti, sir Thomas Roe stanął na indyjskiej ziemi.

Cztery angielskie statki były zaopatrzone w najbardziej wystawne ozdoby. Na masztach wisały kolorowe proporce, flagi i herby. Rano na brzegu zjawiono się stu angielskich żołnierzy z muszkietami. Stanęli w dwóch rzędach, ubrani w galowe mundury i jako gwardia przyboczna powitali ambasadora. Roe i czterej kapitanowie statków zeszli na brzeg przy akompaniamencie wystrzałów dział.

Angielscy żołnierze zasalutowali słuźbiście, gdy Roe minął ich w drodze do wielkiego otwartego namiotu. Na ziemi leżały liczne kobierce, a pod wspaniałą kopułą z zielonego jedwabiu czekało trzydziestu indyjskich wielmożów.

Roe zatrzymał się, niezadowolony.

- Dlaczego Hindusi nie wstają? - spytał.

- Panie, jest to zwyczajem tego pogańskiego kraju - szepnął któryś z jego ludzi.

- Absurd. Jestem reprezentantem króla Jakuba. Czy ośmieliby się siedzieć w obecności wielkiego władcy? - rzucił Roe z irytacją. - Nie wejdę, dopóki nie wstaną.

Jego adiutant pobiegł, by poinformować wielmożów o żądaniu Roego. Rozmawiali przez chwilę, a Roe stał przed namiotem, coraz bardziej purpurowiejąc z wściekłości. Wreszcie jeden z wielmożów wstał, a za jego przykładem poszli inni.

Nieco udobruchany Roe wmaszerował do namiotu i stanął na jego środku. Jeden z wielmożów skinął na tłumacza, który łamaną angielszczyzną, z ciężkim akcentem rozpoczął długą przemowę. Roe otrzymał w darze trzydzieści koni z pięknymi siodłami, a także niewolników do pomocy w domu. Roe przyjął uprzejmie dary, skłonił głowę i pomaszerował w kierunku przystani na Tapti, skąd miał zostać odwieziony do domu w Suracie.

Na miejscu przekonał się, że wbrew obietnicom gubernatora jego rzeczy nie zostały przeniesione. Podobno bagaże zostały zapieczętowane do czasu, kiedy będzie je można dokładnie przeszukać. I tak ambasador znalazł się w pustym domu bez mebli, a nawet pościeli. Znalaziono mu jutową pryczę, którą rozstawiono w jednym z pokoi. Kazał sobie przynieść obiad z jednej z ormiańskich gospód na głównej ulicy Suratatu i zjadł pikantne potrawy, popijając je morzem wody. Właśnie udawał się na spoczynek, gdy do pokoju wpadł posłaniec.

- Panie, aresztowano twojego kucharza!

Roe zerwał się z pryczy i zaczął zawiązywać sznurówki.

- Dlaczego? Gdzie on?

Przywiózł ze sobą kucharza z Anglii, nie ufając miejscowej kuchni - całkiem słusznie, pomyślał, narzucając surdut, jeśli ten wieczorny posiłek stanowi jakąś zapowiedź dań, które przyjdzie mi tu jeść.

- W więzieniu, panie. Lepiej, jeśli uwolnisz go już dziś, bo

ci poganie nie są zwolennikami długich wyroków ani procesów. Kucharz zostanie rano skazany na śmierć.

Roe jęknął. Czy to się nigdy nie skończy? Wysłał kucharza przed sobą, by przygotował dom w Suracie na jego przybycie. Kucharz po drodze wstąpił do ormiańskiej winiarni i pił przez parę godzin. Pod wieczór nagle przypomniał sobie o obowiązkach i ruszył przez bazar, szukając domu Roego. Wówczas natknął się na brata gubernatora oraz jego ludzi. Natychmiast sięgnął po miecz i krzyknął:

- Ty pogański psie!

Brat gubernatora nie zrozumiał, czego chce od niego ten *firandzi*. Dlatego spytał:

- *Kia kahta?*

Kucharz, zbyt pijany, by odpowiedzieć, wyciągnął miecz z pochwy i machnął nim niezdarnie w powietrzu. Brat gubernatora nie rozumiał po angielsku, ale zamiary kucharza wydały mu się wrogie. Jego ludzie natychmiast obezwładnili obcego i wtrącili do więzienia.

Kiedy posłaniec dotarł do tego miejsca, Roe odwrócił się na pięcie i ruszył do domu. Napisał do brata gubernatora, żeby zrobił z kucharzem, co mu się spodoba, w ten sposób odcinając się od jego czynów. Kucharz popełnił błąd, pomyślał, a jeśli on zacznie robić o niego zbyt wiele hałasu, ten drobny incydent zmieni się w aferę międzynarodową. Po kilku godzinach rozważań brat gubernatora w akcie uprzejmości wobec Roego kazał wypuścić kucharza, który wrócił do swego pana skruszony, lecz cały i zdrowy.

Ale czas próby dla ambasadora dopiero się zaczął. Bariera językowa, upał, nieznanne zwyczaje - wszystko to dało mu się we znaki. Tak, Anglicy już byli w tym kraju, ale ich wspomnienia w najmniejszym stopniu nie przygotowały Roego na to, co tu zastał. Posłał po Dżadu, pośrednika służącemu innym angielskim panom w Suracie, i rozmawiał z nim przez wiele godzin. Usłyszał opowieści o cesarzu, o jego niedawnej chorobie, która omal nie pozbawiła go życia, o jego czterech synach, mających równe prawa do tronu, o tym, że tylko księżę Churram ma jakieś poważanie na dworze. A inni? - spytał

Roe. Parwez i Szahrijar to oferry, oznajmił Dżadu. Za to książę Chusru... niegdyś miał wszystko, teraz nie ma nic. Tylko cud mógłby go osadzić na tronie. Chociaż, kto wie... cuda się zdarzają.

I tak sir Thomas Roe, pierwszy oficjalny ambasador Anglii, mieszkał w pustym domu z kuchaczem, jego meble gniły w składzie celnym, a on często prowadził na ten temat długie rozmowy z bardzo uprzejmym gubernatorem Mukarrab-CHANEM. Jednak Mukarrab twierdził, że niestety ma związane ręce. Niewiele może poradzić w sprawie zatrzymanego dobytka ambasadora. Jeszcze trochę cierpliwości. Roe więc czekał cierpliwie, zastanawiając się, czy Surat będzie jego pierwszym i ostatnim przystankiem podczas pobytu w Indiach.

Zaczął wątpić, czy kiedykolwiek dotrze na dwór cesarza Dżahangira.

Książę Chusru wpatrywał się w książkę. Litery rozplływały się mu przed oczami, kołysały się, stawały się to duże, to małe. Książę trzymał palec wskazujący na karcie i nisko pochylał głowę. Wymówił jedno słowo:

- Wierzbą...

Potem powoli przeniósł palec na następne słowo i wyteżył wzrok. Zaczął czuć słabe klucie nad oczami i ucisk wokół czauszki. Litery się zamglily; potarł lewe oko. Wreszcie odczytał całe zdanie:

- Pod falującą wierzbą mak się krwawy jawi...

Odłożył książkę i wyciągnął się na otomanie. To było wszystko, co zdołał odczytać tego dnia; codziennie, choć Chali-fa mu czytała, zmuszał się do tego ćwiczenia. Pomyślał o tym odcyfrowanym z trudem zdaniu i oczami wyobraźni ujrzął małeńkie wiosenne listki wierzby, dygoczące na wietrze, i dywan maków - niczym krew - pod nimi, i zapach fiołków na polach. Zdanie pochodziło z wiersza Bahara *Cud wiosny*. Chusru lubił go, ponieważ - w przeciwieństwie do innych - wiersz wyczarowywał w jego głowie niegdyś widziane obrazy. Inne były dziełami epickimi, opowieściami o ojcach, synach i wnukach, zawsze dzielnych i toczących bitwy, w których zwyciężali.

Gdzieś w głębi duszy pojawił się niepokój. Chusru siedział sztywno na otomanie, ale to uczucie rozlało się z jego palców na ręce i ramiona, i całe ciało, aż zaczął dygotać. Chwytał poduszkę i odrzucił od siebie. Usłyszał miękkie pacnięcie, a potem brzęk tłuczonego szkła. Do oczu napłynęły mu łzy. Pochylił się i zaczął płakać. Częściowo pozostał przy zdrowych zmysłach, lecz dręczyła go słabość, i to tak dojmująca, że mógł tylko wyć, tłuc pięściami w otomanę, drzeć paznokciami jej obicie i tarzać się po ziemi. Zaczął bić się po głowie, raz za razem.

Do pokoju wbiegła Chalifa z rozwianym welonem. Przypadła do Chusru, objęła go i przyciągnęła do siebie. Nadal się rzucał i wrzeszczał, lecz trzymała go mocno.

- Óóóó, mój panie, óóóó...

Powtarzała to monotonna, aż Churram się uspokoił. Ukrył zalaną łzami twarz na jej piersi, chwycił ją tak mocno w objęcia, że rozbolewały Chalifę zębra, lecz nie odsunęła się i dalej go kołysała.

- Dlaczego? - odezwał się Chusru.

- Nie wiem - powiedziała Chalifa twardo. - Cesarz robi to, co mu się podoba. Spodobało mu się odebrać ci wzrok.

Siedzieli tak na perskich dywanach, ręcznie tkanych, o wzorze tak misternym, że delikatne pączki jaśminu zdawały się pachnieć. Ale Chusru ich nie widział.

Księżę urodził się w 1587 roku, jako syn Man Bai, pierwszej żony Dżahangira. Był pierworodnym, ukochanym i wyjątkowym przez całe cesarstwo. Wszyscy jeszcze pamiętali cierpienie i desperację Akbara, który pragnął następcy tronu. Dlatego narodziny Chusru były błogosławieństwem.

Kiedy Chusru skończył siedemnaście lat, pojął za żonę Chalifę, córkę Chan Azama, pierwszego wielmoży cesarstwa, ministra, którego z Akbarem łączyła dawna przyjaźń, człowieka o ogromnych wpływach. Wuj Chalify także był człowiekiem o niemałym autorytecie na dworze - radzę Man Singha znano jako dzielnego żołnierza i zdolnego dowódcę, a jego potęga rosła przez wiele lat wiernej służby Akbarowi.

Ci dwaj mężczyźni, teść i wuj Chusru, obserwowali gwałtowną walkę Dżahangira i jego ojca. Jeszcze przed śmiercią

Akbara przedstawili wielmożom Chusru jako następcę tronu, kompletnie lekceważąc decyzję cesarza. Akbar był stary i chory, a także urażony zachowaniem syna, lecz przy jednym się upierał: na tronie ma zasiąść Dżahangir. Nie Chusru.

Księżę wreszcie uniósł głowę i spojrzął w twarz Chalify. Ręce już mu nie drżały, zniknęło to uczucie potwornej beznadziei, które pchnęło go do szalonego zachowania. Nie widział dobrze twarzy żony. Czy się uśmiecha? Dotknął jej ust, przesunął palcami po gładkich zębach, lśniących niczym perły nawet przez mgłę, która go otaczała.

- Jestem dla ciebie wielkim kłopotem - powiedział.

- Nie, mój panie. - Znowu się uśmiechnęła i tym razem słyszał to w jej głosie. - Nie sprawiasz mi bólu. Pragnę tylko, byś poczuł więcej spokoju.

Oparł głowę o jej czoło. Przez niego Chalifa miała nędzne życie. Powinna być cesarzową, rządzić *zenaną*, a ich synowie powinni z dumą obnosić na czołach znak następcy tronu. Tymczasem żyli na peryferiach dworskiego życia. Niegdyś uznano go za następnego cesarza, teraz stał się nikim. Był na wpół ślepy - mógł tylko wspominać blask zachodzącego słońca bądź też lśniąca sierść i wspaniałą sylwetkę swego ulubionego arabskiego konia - i tak! również na wpół obłąkany. Podobno w rodzinie matki istniała wrodzona skłonność do szaleństwa. Chusru wierzył w to, zwłaszcza że ataki desperacji spadały na niego codziennie. I w tym wszystkim znajdował oparcie jedynie w Chalifie.

Księżniczka oparła go o otomanę, wzięła książkę i zaczęła mu czytać. Chusru słuchał o cudownościach wiosny; przekonał się, w jaki sposób wers odczytany w takim trudzie i bólu spleta się z innymi: *Łany zboża się stroją w miriady klejnotów. Pod falującą wierzbą mak się krwawy jawi - cios, co go życia za chwilę pozbawi, w szkarłatnej fali zatopić go gotów.*

Wtedy przyniesiono im wiadomość. Radża Man Singh zginął w Dekanie, walcząc u boku chan-i chanana i Parweza. Jego sześćdziesiąt żon wstąpiło na stos pogrzebowy i spłonęło żywcem, stając się *sati*. Chusru nie widział się z wujem od paru lat; Dżahangir specjalnie nie pozwalał im na kontakt.

Księżę znowu zaczął płakać na całe gardło; szaleństwo jeszcze raz pochwyciło go w szpony. Jego wuj nie żyje! Teść został pozbawiony honorów i zesłany do swego *dżagiru*. Kto mu teraz pomoże wstąpić na tron?

Wszyscy mówili, że następnym cesarzem będzie Churram. Ale co z jego prawami? Dlaczego nie on? Chusru wył z bólu, a Chalifa usiłowała go uspokoić. Ona także się bała. Nie ufała swemu ojcu, więcej zaufania miała do wuja Chusru. A teraz go zabrakło. Zostali sami.

Jednak nie całkiem sami. Myślała o nich pewna kobieta z cesarskich pałaców. Postanowiła, że Churram nigdy nie zasiądzie na tronie, a jej córka musi poślubić przyszłego cesarza. Radża Mah Singh umarł, Chan Azam żył na zesłaniu. Chusru stracił dwóch swoich najzagorzalszych popleczników. Ale nadal zostało mu nieco uroku i pewien posłuch. Wielmoże nie zapomną tak łatwo o jego błękitnej krwi, a Mihrunnisa zadba, by zyskał na znaczeniu.

Sir Thomas Roe był znękany.

Ledwie się trzymał na koniu, który włókł się bitą drogą pełną kolein po kołach wózków i powozów. Nagły powiew wiatru sypnął mu piaskiem w oczy. Roe osłonił twarz szalem, zasłaniając usta i nos.

Było to jedyne ustępstwo, na jakie się zgodził ze względu na upał i kurz. Pomimo sugestii tubylczych służących uparł się nosić angielskie odzienie, całkowicie nieodpowiednie w tym klimacie. Był ubrany jak angielski dworzanin - w jedwabną koszulę z haftowanym kołnierzem, kamizelkę, długi surdut, spodnie do kolan, pończochy i buty z cholewami do kolan.

Jęknął i spojrzął na nie żałośnie. Lśniąca czern była obecnie przysypana warstwą kurzu. Kołnierz oklapł w tym upale i wyglądał jak zdechły wąż, a surdut w kolorze śliwkowego brązu stał się bury. Był listopad, lecz na równinach panował wściekły skwar. Ktoś - Roe usiłował odnaleźć w skwierczącym umyśle jego nazwisko - napisał, że w Indiach istnieją tylko dwie pory roku: upalna i mniej upalna. Roe rozpiął górne guziki kamizelki i wytarł czoło brudną ręką.

- Kiedy zatrzymamy się na obiad? - spytał Dżadu.

Dżadu był małym, żyłastym, wiecznie uśmiechniętym człowieczkiem. Teraz także uśmiechnął się, obnażając zęby zażółcone tytoniem, z dużą szczerbą z przodu, pamiątką po bójce.

- Wkrótce, *sahib*. Może upał nie dawałby ci się tak we znaki, gdybyś ubrał się jak ja - dodał podstępnie, wskazując własny strój.

Roe zerknął na niego z niesmakiem. Jakże to, miałby się ubierać jak poganin? Był oficjalnym ambasadorem w Indiach i nie mógł sobie pozwolić na nieprzystojne zachowanie, między innymi na ubieranie się jak tubylcy. Rozejrzał się. Towarzyszyła mu dziwna zbieranina żołnierzy i służących. W Swacie wynajął pięćdziesięciu afgańskich żołnierzy, by strzegli go podczas podróży do Adżmeru. Dżahangir obiecał mu ochronę, ale Roe nie ufał na razie nikomu, zadbał więc o własnych strażników do obrony przed bandytami i Portugalczykami. To Mihrunnisa - na podstawie oficjalnych *farmanów* Roe uważał, że Dżahangir - skarciła Mukarrab-chana za zatrzymywanie ambasadora, który powinien dotrzeć na dwór. Roe znowu odzyskał bagaże, w dodatku nietknięte, z nienaruszonymi pieczęciami. Mukarrab-chan przysłał mu także wiele darów, między innymi woły ze skórzanymi bukłakami do transportu wody, kosze świeżych owoców i warzyw, a także parę kur. Roe przyjął od niego także wielbłąda do przewozu bagażu. Wszystko to było bardzo dziwne: najpierw Mukarrab przemocą zatrzymuje go w Suracie i obserwuje każdy jego ruch, a potem nagle entuzjastycznie go żegna. Roe nabrał podejrzeń. O co chodzi? Czy w Suracie groziło mu mniejsze niebezpieczeństwo? Oczywiście nie mógł tu zostać - przyjechał, by spotkać się z cesarzem Dżahangirem.

Karawana sunęła drogą w tumanach kurzu. Pokonała wzniesienie; w zasięgu wzroku ukazał się Burhanpur. Roe jęknął w duchu. Co to za miasto? Domy były przeważnie lepiankami krytymi strzechą, czasem trafiał się jakiś z wypalanej na słońcu cegły. Pomędzy nimi wznosił się ogromny zamek z czerwonego piaskowca - siedziba księcia Parweza, drugiego syna Dżahangira. Burhanpur miał być jedną z warowni cesarstwa

mogolskiego - to stąd prowadzono działania wojenne w Dekanie. W oddali wznosiły się góry, nagie i nieprzyjemnie brązowe. Roe znowu spojrzął na dolinę. Była soczyście zielona, nasycona wodą z Tapti. Jak okiem sięgnąć, po obu stronach drogi ciągnęły się pola pszenicy i jęczmienia. Pośród żdźbłami przemykały szare przepiórki, dziobiące dojrzewające ziarna.

Znad doliny powiał lekki wiatr, ochłodził twarz Roego. Ambasador ponaglił konia i ruszył truchtem. W mieście znaleźli seraj, gospodę, gdzie czekały obiecane kwatery. Roe otrzymał cztery pokoje o ścianach z nagich cegieł, z małymi oknami, lecz było w nich tak duszno, że postanowił rozbić namioty w pobliskim ogrodzie.

Kilka godzin później odpoczywał w namiocie, gdy do środka wszedł uśmiechnięty Dżadu.

- Czujesz się lepiej, *sahib*?

- O wiele. Ten upał jest okropny. - Roe westchnął. - Kiedy powinienem złożyć księciu wizytę? I jaki dar mam mu ofiarować?

- Powinieneś się z nim spotkać jutro. Słyszał już o twoim przybyciu i oczekuje cię. Dobrze będzie, jeśli podczas audyencji będziesz się przyglądać dworskim obyczajom. Na dworze księcia Parweza obowiązuje taka sama etykieta, jak u cesarza w Adźmerze. To będzie dla ciebie dobre ćwiczenie przed spotkaniem z najjaśniejszym panem.

- Umiem zachować się na dworze - warknął Roe. - Pamiętaj, że przybywam z dworu...

- Wielkiego króla angielskiego Jakuba - dokończył cierpliwie Dżadu. Słyszał to już wiele razy. - Tak, tak. Wiem o tym, *sahib*. Ale tu mamy inne zwyczaje i zasady. Lepiej, żebyś się z nimi zapoznał. Musisz ofiarować księciu bogate dary, jeśli chcesz, żeby się z tobą liczył. Widzisz... - Dżadu zawahał się. - Twój honor zależy od wspaniałości darów. Im są cenniejsze, tym większy zyskasz szacunek rodziny cesarskiej.

- Rozumiem. - Roe potarł nos w zamyśleniu. - Pragnę poprosić księcia Parweza o pozwolenie na założenie tu angielskiej fabryki. Miecze z Burhanpuru dobrze posłużą angielskiej armii.

- Jeśli spodobasz się księciu, z radością spełni twą prośbę.

Następnego ranka Roe wstał wczesnie. Wyruszył do fortu ze strażnikami, których jednak musiał zostawić przed bramą. Cesarscy strażnicy wyjaśnili mu uprzejmie, że przed księciem nikt nie może stanąć w otoczeniu własnej eskorty. Za murami pałacu będzie zupełnie bezpieczny i tak prezenty, jakie przyniósł ze sobą Roe, przeszły z rąk do rąk, a cesarscy służący ruszyli w ślad za nim.

Roe dotarł płataniną korytarzy na centralny dziedziniec. Z dwóch jego stron stało stu uzbrojonych żołnierzy - straż przyboczna księcia. Na piedestale na werandzie naprzeciwko spoczywała otomana kryta czerwonym aksamitem. Osłaniał ją baldachim ze srebrnego materiału, obsyty perłami i wsparty na czterech srebrnych kolumnach. Na dziedzińcu tłoczyli się wielmoże i dowódcy wojskowi. Roe zatrzymał się na jego skraju, zahipnotyzowany bogactwami, jakie ukazały się jego oczom. Każdy miecz lśnił od rubinów i szmaragdów, niemal każdy turban i szata były z jedwabiu lub brokatu. Na palcach migotały klejnoty. Wszędzie jarzyły się kolory - intensywne, dzikie, prymitywne - jeszcze jaskrawsze w blasku słońca, którego ukośne promienie padały przez otwarty dach. Z tyłu, w miejscu, gdzie stał Roe, znajdowały się konie i słonie, oganiające się ogonami od much. Były równie wspaniale przystrojone jak wielmoże; ich uprząż ociekała złotem. Roe z poważnym wyrazem twarzy minął szereg żołnierzy, świadom, że kiedy zostanie zapowiedziany, wszystkie oczy spojrzą na niego. Podszedł do niego jeden z dworzan.

- *Sahib*, dworska etykieta wymaga, byś ukląkł i dotknął głową ziemi przed księciem - szepnął.

Roe zmarszczył brwi.

- Nie mogę tego zrobić. Jako ambasador króla Jakuba reprezentuję go w Indiach. Czy osoba królewskiej krwi mogłaby się tak zachować wobec równego sobie?

Dworzanin usiłował go przekonać, potem jednak wrzuszył ramionami i wtopił się w tłum. Roe ruszył przed siebie. Na werandę, gdzie zasiadał Parwez, prowadziły trzy kamienne schodki.

- Przywożę ci pozdrowienia od jego królewskiej wysokości króla angielskiego Jakuba. Przybywamy w pokoju, by nawiązać przyjaźń z najjaśniejszym panem cesarzem Dżahangirem.

- Witamy cię w Indiach - odparł słabo Parwez.

Roe spojrział na niego ze zdziwieniem. To ma być syn cesarza? Skórę miał oblaną rumieńcem, oczy przekrwione, wystające kości - wszędzie, na wąskich przegubach, cienkiej szyi, wydatnym czole. Haftowany klejnotami turban miał tak wielki, że od czasu do czasu osuwał mu się na oczy. Jego szata wydawała się groteskowo obszerna na wychudzonym ciele.

Roe przeniósł wzrok na mężczyznę stojącego obok księcia. To musi być chan-i chanan Abdur Rahim, oficjalny opiekun księcia. Był to mężczyzna stary, co najmniej pięćdziesięcioletni. Włosy i brodę miał zupełnie siwe, ostro kontrastujące z ciemnobrązową skórą lecz trzymał się prosto, a jego przenikliwe, inteligentne oczy przyglądały się ambasadorowi uważnie. Dżadu powiedział, że to Abdur Rahim, nie Parwez, włada Burhanpurem. Teraz Roe zrozumiał dlaczego. Chan-i chanan był najwyraźniej człowiekiem o silnym charakterze, przyzwyczajonym do rozkazywania ludziom, dlatego wydawał polecenia także księciu. Po każdym wygłoszonym zdaniu Parwez spoglądał na Abdur Rahima, jakby szukając jego aprobaty.

- Opowiedz nam o swoim królu - rozkazał Parwez.

- Co cię interesuje, wasza wysokość?

- Wszystko.

Roe opisał pokrótce życie w Anglii oraz, na ile potrafił, osobę i rodzinę króla Jakuba. Po paru minutach zrobiło mu się gorąco i stracił dech. Stanie go męczyło. Czy książę nie okaże mu chociaż tej grzeczności i nie zaproponuje, by usiadł?

- Wasza wysokość - odezwał się. - W moim kraju panuje zwyczaj, by ambasadorowi okazywać względy takie same jak władcy, którego reprezentuje. Proszę, by mi było wolno wejść po tych schodach i stanąć bliżej, byśmy znajdowali się na tym samym poziomie.

Parwez zerknął na chan-i chanana. Abdur Rahim pokręcił głową.

- To niemożliwe - odparł książę szorstko. - Nawet królowie Persji i Turcji stają przede mną w tym miejscu, które zajmujesz.

- Ale wasza wysokość wstaje ze swego tronu i schodzi do nich, by ich powitać. Czy w przypadku ambasadora dworu angielskiego będzie inaczej? - spytał Roe z lekkim rozdrażnieniem.

- Nie. Zostałeś przyjęty tak samo jak oni.

- Błagam o wybaczenie, wasza wysokość, lecz zechciej przynajmniej pozwolić, bym usiadł na krześle.

- Nikt nie może usiąść w obecności osoby krwi królewskiej, takie są dworskie obyczaje - oznajmił Parwez. Jego spojrzenie spoczęło na skrzyniach za plecami Roego, prezentach dla niego. Książę dodał łagodniej: - Lecz pozwalam ci stanąć bliżej tronu. Możesz zająć miejsce nieopodal kolumny. - Wskazał jeden z filarów podtrzymujących srebrny baldachim nad jego głową.

Roe musiał ustąpić. Nie mógł się sprzeczać z księciem. Podszedł do filaru i przykucnął pod nim. Skoro nie mógł usiąść na krześle, usiadł na piętach.

Przez dziedziniec przeleciał cichy szmer rozbawienia. Ależ ten *firandzi* jest uparty! Ciekawe, jak się zachowa na dworze cesarskim, gdzie ton nadaje cesarz?

Parwez nadal rozmawiał z ambasadorem. W końcu Roe poprosił go o łaskę. Czy jego wysokość zechce pozwolić na budowę angielskiej fabryki w Burhanpurze?

- Z pewnością - powiedział Parwez. Obejrzał się na swego *bakszi* - skarbnika. - Przygotujcie *farman* pozwalający ambasadorowi na założenie angielskiej fabryki. Przynieście mi go, bym mógł na nim przyłożyć pieczęć. - Znowu odwrócił się do Roego. - Teraz oddałę się do moich apartamentów, a po ciebie przyślę za parę minut. Tam będziesz mógł usiąść w mojej obecności i opowiedzieć mi więcej o Anglii.

- Do usług waszej wysokości. - Roe skłonił się Parwezowi i opuścił dziedziniec.

Minęły dwie godziny, a Roe nadal czekał na wezwanie do książęcych apartamentów. Wokół biegali zaaferowani służący,

ale kiedy Roe pytał ich o księcia, tylko wzruszali ramionami z uśmiechem. W południe ktoś przyniósł mu talerz jedzenia. Roe zjadł i dalej czekał... czekał... i czekał. W końcu o zachodzie słońca ujrzał zmierzającego ku niemu chan-i chanana.

Abdur Rahim skłonił się przed nim.

- Ambasadorze, księżę przesyła wyrazy ubolewania. Nie będzie się mógł dziś z tobą spotkać. Jest... hm... niedysponowany.

- Co się stało?

Abdur Rahim rozłożył ręce.

- Jeden z twoich darów okazał się... powiedzmy, nad wyraz upajający. - Uśmiechnął się. - Księżę położył się i, niestety, nie może się dziś z nikim spotkać.

Pomiędzy darami znajdowała się skrzynka angielskiej brandy. Księżę pił od chwili, gdy opuścił dziedziniec, i teraz był kompletnie pijany. Zdegustowany Roe wyruszył w drogę powrotną.

Tej nocy Roe, znużony po czekaniu na skwarze, dostał gorączki. Przez wiele dni leżał nieprzytomny, majacząc. Cesarz Dżahangir przysyłał mu wezwania na swój dwór, lecz Roe ledwie mógł je odczytać, cóż dopiero dźwignąć się z materaca i dosiąść konia. Gdy temperatura nieco spadła, Roe dał rozkaz do wymarszu. Nadal był osłabiony, lecz uparł się ruszać w dalszą drogę na dwór mogolskiego cesarza w Mandu.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

*Wśród czterech swych żon ma on jedną ukochaną,
która całkowicie nim zawładnęła.*

The Emhassy of Sir Thomas Roe to India,
wyd. William Foster

Mężczyzna wyjrzał zza drzewa; serce łomotało mu w pierś. Wydawało mu się, że ten dźwięk niesie się wyraźnie w nieruchomym nocnym powietrzu. Potem odetchnął z ulgą. Dwie kaszmirskie strażniczki zdawały się go nie dostrzegać. Stały przed wejściem do *zenany* z włóczniami w dłoniach. Gdyby go tu złapały... Dotarł tak daleko jedynie dzięki czystemu zbiegowi okoliczności. Sam nie rozumiał, jak minął ahadich i radżpuczych strażników przed pałacem. Otarł spocone czoło brudnym rękawem. Jak ma się dostać do środka?

Właśnie w tej chwili ktoś zawołał do strażniczek. Odwróciły się z nastawionymi włóczniami.

- Kto idzie? - krzyknęła jedna.

- To ja. - Z cienia wyłonił się mężczyzna. Strażniczki uspokoiły się, widząc znajomego.

Mężczyzna za drzewem nastawił ucha, przysłuchując się ich rozmowie. Strażniczki śmiały się, gawędziły ze znajomym i na kilka minut dały się namówić na zejście z posterunku na filiżankę *czaju*.

Mężczyzna wykorzystał tę szansę. Oderwał się od drzewa i puścił pędem w stronę drzwi. Klamki były zabezpieczone masywnym żelaznym łańcuchem i zamkiem. Rozejrzał się. Mur *zenany* nie był bardzo wysoki, a na całej jego długości

znajdowały się nisze na lampki olejne. W oddali rozległy się głosy. Strażniczki wracały! Mężczyzna w ułamku sekundy wspiął się na mur, wykorzystując nisze jako oparcie dla stóp. Zeskoczył bezgłośnie na drugą stronę dokładnie w chwili, gdy strażniczki wróciły na posterunek.

Nizam oparł się o mur, przyłożył ucho do kamieni, wyteżył słuch. Strażniczki niczego nie zauważyły. Uśmiechnął się. Zatem znalazł się w murach zakazanej *zenany*, gdzie mieszkały wszystkie żony cesarza i gdzie przed nim zawitało bardzo niewiele zwykłych śmiertelników. Ogród, zaczynający się tuż przy wejściu, ginął w mroku, krzewy i drzewa zasłaniały budynki przed jego oczami.

Nizam zmarszczył brwi, usiłując odtworzyć w pamięci rozmowę z tancerką. Miesiąc temu odwiedził ją po raz pierwszy; chwaliła się swoimi sukcesami w *zenanie*. Usłużyła samemu cesarzowi, powiedziała. Prawdopodobnie kłamała, pomyślał Nizam, bo było powszechnie wiadomo, że cesarz miał w swoim haremie ponad trzysta kobiet. A czy opuścił łożo cesarzowej Nurdżahan choć na jedną noc? I to dla zwykłej tancerki? Jednak dziewczyna osiągnęła swój cel, bo teraz mogła żądać więcej - wielu mężczyzn pragnęło spędzić noc z kobietą, która dzieliła łożo z cesarzem.

Nizam poszedł do niej z ciekawości. Początkowo dziewczyna nie chciała mówić, ale wystarczyło ją parę razy zdzielić po głowie, a zmieniła zdanie. Nie widziała cesarzowej, lecz zwiędziła *zenanę*. Po paru dniach podała Nizamowi wszystkie informacje, o które mu chodziło: plan *zenany*, posterunki strażniczek i, co najważniejsze, położenie prywatnych apartamentów Mihrunnisy.

Nizam poczekał, aż serce zacznie mu bić spokojnie. Jeśli wróci jutro, ujrzawszy choćby przelotnie twarz Mihrunnisy, wygra zakład. Przyjaciele namówili go, żeby zakradł się do *zenany*, by ujrzeć zawoalowaną cesarzową. Postawili sto złotych *mohurów*, małą fortunę.

Tej nocy na niebie wisiała połówka księżyca, dająca dokładnie tyle światła, żeby Nizam mógł coś dostrzec, lecz za mało, by dostrzeżono jego. Nizam był ubrany w czerń i gdyby

jakaś kobieta wyjrzała przez okno, ujrzałyby tylko poruszający się cień. Poczernił także twarz i ręce miałem węglowym. Oderwał się od muru i lekko stąpając bosymi stopami po trawie, zakradł się na otwarty dziedziniec. W oddali ujrzał wznoszący się ku niebu wielki pałac. Tam mieszkała cesarzowa Dżagat Gosini. Korytarz wzdłuż budynku był oświetlony pochodniami; dwaj eunuchowie maszerowali po nim nieustannie, w jedną i drugą stronę. Nizam obszedł budynek dookoła i znalazł się w innym ogrodzie. Czy to już ten? Nie, jeszcze następny, powiedziała tancerka.

Wreszcie dotarł do małego meczetu nad sztucznym stawem. Kopuła z białego marmuru lśniła łagodnie w świetle księżycy. Nizam szybko obiegnął staw i znalazł się na jego wschodnim krańcu. Z tego miejsca widział już pałac Mihrunnisy; wielki budynek z piaskowca, wzniesiony wokół centralnego dziedzińca. W czterech jego rogach w niebo wznosiły się minarety, każdy z okrągłym balkonem, na którym czuwał strażnik. Prywatne apartamenty cesarzowej znajdowały się od strony wschodniej. Nizam musiał wejść do pałacu i jakimś cudem dotrzeć do dziedzińca, gdzie będzie mógł się ukryć. Puścił się pędem przez oświetlony korytarz, kryjąc się za kolumną za każdym razem, kiedy usłyszał jakiś odgłos. Główne drzwi były otwarte; wbiegł przez nie na dziedziniec.

Do ogrodu prowadziły kamienne schodki. Na jego środku bulgotała fontanna. Nizam znalazł kamienną ławeczkę, na której mógł spocząć. Z tego miejsca mógł spoglądać na okna na parterze, gdzie - jak mu powiedziano - sypiała Mihrunnisa. Teraz, kiedy już się tu znalazł, nie czuł lęku. Był tak blisko cesarzowej... wystarczyłoby parę kroków i znalazłby się w jej sypialni. Otulił się szalem i przycupnął w kącie. Zasnął pod nocnym niebem.

Mihrunnisa otworzyła oczy i spojrzała w sufit. Drzwi otworzyły się cicho; Hoszizar-chan zajrzał do środka.

- Czy najjaśniejsza pani już wstała?
- Tak, wejdź. Co mamy zaplanowane na dziś?

Hoszizar wyjął z rękawa *kaby* kartkę i zaczął czytać. Mi-

hruunnisa słuchała jednym uchem, zaglądając na werandę, znajdującą się na wschodniej ścianie. Za zasłoną z cienkiego jedwabiu ciągnęły się kamienne łuki. Niebo na wschodzie za-barwiło się różem i czerwienią.

- Dobrze - przerwała Mihruunnisa Hoszizarowi. - Zajmij się moją toaletą. Reszty wysłucham, ubierając się.

- Jak najjaśniejsza pani rozkaże. - Po odejściu Hoszijara do komnaty wpadły dwie ładne niewolnice. Pomogły cesarzo-wej umyć twarz i wyczyścić zęby. Dziś była sama; Dżahangir wybrał się na polowanie i późnym popołudniem przysłał wiadomość, że pogoń za zwierzyną się przeciągnęła i noc spędzą w seraju. Czyli dziś miała samotnie zasiaść na *dżharoce*, by spotkać się z petentami swoimi i cesarza. To będzie długi i męczący dzień.

- Czy mam przygotować strój najjaśniejszej pani na *dżharokel* - spytała niewolnica.

- Jeszcze nie.

Mihruunnisa wyszła na werandę i popatrzyła na ogród. Pałac dopiero budził się ze snu. Mihruunnisa oparła łokieć na parapecie i z brodą wspartą na dłoni spojrzała na ogród. Przyglądała się złotym rybkom, pluskającym się w zbiornikach wodnych, rosie na liściach, wdychała zapach poranka. To był jej krótki moment spokoju, wyrwany z dnia pełnego obowiązków i trosk. Jak miała postępować z Chusru w sprawie Ladli? Co jej odpowie? Będzie oczywiście wdzięczny, ponieważ dzięki jej łasce zdoła się wy dźwignąć ze swego żałosnego położenia i odzyskać nieco znaczenia. Ale to trzeba załatwić ostrożnie. Jej stosunki z Churramem jakoś się zmieniły. W ich przy-mierzu coś się popsuło, coś się popsuło w nich, zanim jeszcze zauważyli to dworzanie. Wiedziała, że na dworze szepcze się, iż Churram nie potrzebuje już jej poparcia i że ich związek się rozpada. W czasie choroby cesarza zwołał coś w rodzaju nara-dy. Głupiec. Czy nie nauczył się niczego od Chusru? Czy nie pomyślał, co będzie, kiedy Dżahangir wyzdrowieje?

Ani cesarz, ani ona nie wspomnieli Churramowi o tamtym zdarzeniu, ale obserwowali go uważnie. Oboje uważali, że skoro Churram tak pospiesznie przypomniał o swoich prawach

do tronu, kiedy ojciec leżał złożony chorobą, to może teraz, gdy cesarz wyzdrowiał, nadal knuje spisek. Postępek Churrama doprowadził do konfliktu, o którym dowiedział się cały dwór. Przymierze Mihrunnisy także zaczęło się chwiać w posadach. *Bapa* nie mówił o tym za wiele; zbyt się zestarzał, by narzucać im swą wolę. Churram nadal zjawiał się na ich spotkaniach, lecz po każdym, gdy tylko dali spokój uprzejmościom, wyrastał między nimi nowy mur. A Abul... Mihrunnisa zawsze zastanawiała się nad tym, wobec kogo będzie lojalny. Łączyły ich więzy krwi, lecz Churram był mężem jego córki... Niełatwy wybór.

Oparła głowę o kolumnę.

Nizam obudził się gwałtownie, spadłszy z kamiennej ławki. Potrząsnął głową, by oprzytomnieć, i rozejrzał się. Co to za miejsce?

Usłyszał brzęk złotych bransolet i rozchylił liście jaśminowego krzaku. Na balkonie stała jakaś kobieta. Nizam wpatrzył się w nią z zapartym oddechem. Czy to cesarzowa? Z daleka widział smukłą figurę, dłonie zdobne w pierścieniu z brylantami i szafirami, spadające na ramiona kaskady lśniących hebanowych włosów. Dama poruszyła się i bransolety znowu zabrzęczały. Potarła oczy, przeciągnęła się, wznosząc dłonie nad głowę. Nizam gapił się na nią z otwartymi ustami. Właśnie dostrzegł jej oczy, błękitne niczym pięknie wypolerowany turkus. To musi być cesarzowa. Zobaczył cesarzową!

Mihrunnisa wyprostowała się i roztarta kark. Niewygodnie się jej spało. Bez Dżahangira jej łóżko było za duże, nie umiała w nim spać. Położyła się na ukos, zrzuciła poduszki, kilka razy budziła się, czując strużki potu wyciekające ze zgięć łokci i kolan. Podniosła z karku ciężki snop włosów. Gdyby mogła je obciąć, jakoś przeredzić, te letnie miesiące stałyby się znośniej sze, ale cesarz nie chciał nawet o tym słyszeć. Podobała mu się z długimi włosami. Z wolna odwróciła się do odejścia; pora ubrać się i ruszyć na *dżharokę*, wielmoże już czekają.

Kątem oka dostrzegła jakiś ruch. Spojrzała uważnie na krzaki po lewej stronie. Liście znowu zaszeleściły. Kto wyszedł do ogrodu tak wcześnie rano? Cofnęła się, jakby zamierzała odejść, schowała się za kolumnę i zaczęła obserwować zielony gąszcz. Po paru chwilach wychyliła się i z oburzeniem ujrzała wyłaniającego się zza krzaków mężczyznę. Kto to mógł być? Żaden z jej eunuchów ani innych mężczyzn, mających wstęp do *zenany*, a już na pewno do jej apartamentów. Mężczyzna ukląkł nad zbiornikiem, nabrał wody w dłoń i ochlapał twarz.

- Najjaśniejsza pani...

- Ćśśś - szepnęła, podnosząc palec do ust. Skinęła na Hoszijara, który stanął obok niej.

- Kim jest ten człowiek? - wskazała Nizama.

Hoszijar przyjrzał mu się z zaskoczeniem.

- Nie wiem, najjaśniejsza pani. To nie jest służący.

- Intruz?

W oczach eunucha ukazał się niepokój.

- To możliwe. Kto ośmielił się wtargnąć do cesarskiej *zenany* bez pozwolenia? Czy życie mu niemiłe?

- Przynies mi kołczan i łuk. Szybko! - syknęła.

Hoszijar wbiegł do sąsiedniej komnaty i wrócił ze złotym kołczanem i łukiem. Strzały były ze srebra, a ich groty ze złota. Mihrunnisa naciągnęła cięciwę. Skinęła głową Hoszijarowi.

- Hej, ty! - ryknął Hoszijar.

Nizam podniósł głowę. Na widok Mihrunnisy z napiętym łukiem twarz mu skamieniała. Zanim Nizam zdążył zareagować, strzała ze świstem śmignęła w powietrzu. Ugodziła go w pierś i przeszła serce.

Wkrótce w ogrodzie zaroilo się od ludzi. Eunuchowie, niewolnice i damy dworu wybiegli, słysząc krzyk Hoszijara, i znaleźli się na miejscu w samą porę, by ujrzeć, jak Nizam rozpaczliwie usiłuje wyciągnąć strzałę z piersi. Na ich oczach wpadł do zbiornika. Woda zabarwiła się ciemną czerwienią, ciało intruza wypłynęło na powierzchnię twarzą do dołu.

- Dowiedzcie się, kim był i rzućcie jego zwłoki psom -

rzuciła ostro Mihrunnisa. Wróciła do swoich komnat, by ubrać się na *dżharoką*. Kiedy wyszła, ciało już zabrano, a eunuhowie starannie wybierali wodę ze stawu. Wracając z *dżharoki*, ujrzała zbiornik napełniony świeżą wodą i złote rybki pływające w nim jakby nigdy nic.

Mijały dni, a w *zenanie* coraz więcej szeptano. Mihrunnisa zapomniała, że wszyscy czekają na jej najmniejsze potknięcie.

Gdyby upadła, mało kto pomógłby jej wstać. A bardzo wiele osób mogłoby ją stratować, by nigdy się nie podniosła.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

*Ach! Czy to ta sama Nurdżahan, która
za zastoną Dżahangira
była prawdziwą Władczynią swoich Czasów?
Czy to ta sama Dama,
której wystarczyło zmarszczyć brew,
by odmienić rządy?
[Niej, ta Nurdżahan
już nie jest ta sama.
Nie ma już jej rozumu, jej okrutnych wdzięków,
straszego uroku!
To przestępczyni,
nie ma żadnych popleczników, żadnych orędowników,
porzucona, bezdomna, niepotrzebna!*

Ellison Banks Findly, *Nurdżahan*

Mandu, miasto w dystrykcie Gudżarat, miało reputację najtrudniejszego do zdobycia na świecie. Leżało na szczycie góry, w murach fortu. Nie było potrzeby otaczać go fosą, gdyż zbocza góry były strome, a obok znajdował się porośnięty drzewami wąwóz, którego głębokości nigdy nie zmierzono. Do fortu prowadziły tylko dwie bramy: południowa, zwana Bramą Tarapur, i północna, Brama Delhi. Droga do obu bram wznosiła się stromo od podnóża gór i tak naprawdę dostęp do miasta był możliwy jedynie przez Bramę Delhi. Dla koni i wielbłądów taka wspinaczka była bardzo męcząca, ludzie musieli wyęczać siły i odpoczywać co kilometr, by odzyskać dech, słonie docierały do miasta z największym trudem, gdyż ciężar cielsk ciągnął je w dół. Jediną metodą zdobycia fortu było odcięcie miastu dostaw żywności i wzięcie go głodem. Bezpośredni atak na fort był przepustką na tamten świat - obrońcy musieli tylko wystrzelać wyczerpanych wspinaczką napastników, których ciała spadały w zieloną przepaść.

Sam fort miał dwieście lat i został zbudowany w połowie czternastego wieku przez Dilawar-chana Ghoriego, a rozbudo-

wany przez jego syna - na długo przed przybyciem Mogołów do Indii. Deszcze hojnie oblewały Mandu i wypełniały szesnaście ogromnych zbiorników na wodę, rozsianych po całym mieście. Gori - obaj, ojciec i syn - zbudowali potężne pałace, meczety, bazary, uczelnie, szkoły, grobowce, założyli bujne ogrody, położyli bruk. Mandu od setek lat było wspaniałym, pysznym klejnotem cesarstwa. Wokół toczono walki - choć Mandu opierało się inwazji - władcy umierali, skarbcze pustoszały, ludzie uciekali po stromych zboczach, by znaleźć dla siebie miejsce na równinach. A Mandu powoli gasło. Jego los zmienił się, gdy cesarz Akbar zdobył je i dołączył do swego cesarstwa. Jednak nigdy go nie odwiedził. Dżahangir i Mihrunnisa wydali rozkaz, by podczas ich wizyty w Adźmerze przebudować Mandu.

Po zakończeniu prac przenieśli się do Mandu. Miasto ożyło, gdy odświeżono, wygładzono i wypolerowano ściany i podłogi pałaców, wypędzono z nich duchy, które zamieszkiwały je od setek lat, ujarzmiono drzewa, krzewy i trawniki, a zbiorniki oczyszczono i wypełniono słodką deszczówką.

W dniu śmierci Nizama niebo nad Mandu pociemniało. Mihrunnisa i Dżahangir zasnęli na zewnątrz, pod kopułą usianą gwiazdami niczym konfetti. Następnego ranka jeszcze przed wschodem słońca całym pałacem wstrząsnął okropny hałas. Dżahangir jęknął i wtulił twarz w materac.

- Kto tak hałasuje? - Nakrył głowę poduszką.

Hałas narastał, aż w końcu nie mogli go dłużej ignorować. Mihrunnisa pociągnęła za poduszkę.

- Najjaśniejszy panie, musisz wstać. To Łańcuch Sprawiedliwości.

Był to łańcuch o grubych złotych ogniwach, na których zawieszono sześćdziesiąt dzwoneczków. W początkach panowania Dżahangir wiele myślał o swoich obowiązkach wobec cesarstwa, dlatego ustanowił dwanaście zasad zachowania, *dasturu-l-amal*, których mieli przestrzegać mieszkańcy jego kraju. Niektóre zasady miały praktyczne uzasadnienie - na przykład prawo bezdziedziczności, zakładające, że po śmierci szlachetnie urodzonego człowieka jego majątek powinien wracać do

skarbcza cesarstwa, a nie przechodzić na jego synów. Niektóre dotyczyły praw moralnych: cesarz zakazał konsumpcji alkoholu w cesarstwie. Sam nie przestrzegał tej zasady i wspaniałomyślnie przyrykał oko na łamanie jej na dworze lub w cesarskiej *zenanie*. Żądał jedynie, by żaden dworzanin nie stawał przed nim w *diwan-i am* lub *diwan-i chass*, cuchnąc alkoholem. Dlatego strażnicy codziennie sprawdzali nie tylko przepustki, ale i oddech gości. Było także prawo, które Dżahangir narzucił samemu sobie - Łańcuch Sprawiedliwości. Początkowo rozciągnięto go na murach Agry, jeden koniec przywiązawszy do drewnianego pala na brzegu Dżamny. Był to kolejny sposób na kontakt z ludem, pospółstwem niemającym wstępu na dwór. Każdy, kto miał jakieś strapienie i uważał, że kadi nie rozwiązał go sprawiedliwie, mógł potrząsnąć łańcuchem, a cesarz udzielał mu posłuchania. Dżahangir zabierał łańcuch w każdą podróż i kazał go rozpinąć wszędzie, gdzie się zatrzymywał.

Po latach za jego plecami wokół Łańcucha Sprawiedliwości zbudowano nowe zasady. Przed zbliżeniem się do łańcucha należało przekazać srebrne rupie; strażnicy wybierali petentów, służący zatrzymywali ich, pytając, z jaką skargą się zjawiają i dlaczego. Łańcuch na ogół pozostawał milczący - aż do dziś. Dziś brzęk sześćdziesięciu dzwonek, potrząsanych w tym samym czasie, odbił się echem od ścian fortu. Ten hałas postawił na nogi całe miasto.

Hoszijar wpadł do komnaty.

- Najjaśniejszy panie, najjaśniejsza pani, jakaś kobieta potrząsa łańcuchem!

- Powiedz jej, żeby dała spokój tym piekielnym hałasom - jęknął Dżahangir, chwytając się za głowę. - Za parę minut przyjdziemy do *dżharoki*.

- Ona nie chce przestać. Powiada, że puści łańcuch dopiero, gdy najjaśniejszy pan przybędzie.

Dżahangir i Mihrunnisa wstali w pośpiechu i pobiegli korytarzem do okna *dżharoki*. Towarzyszyła im cała *zenana* - kobiety, eunuchowie i niewolnice. Zgiełk dzwonek był niemal ogłuszający. Na dziedzińcu pod oknem *dżharoki* stał już tłum

wielmożów i dworzan, którzy także poderwali się z łóżek. Wszyscy byli zaciekawieni.

Mihrunnisa spojrzała na kobietę, która wyrwała ich ze snu. Siwiejące włosy rozsypały się jej na ramiona, welon zsunął się z głowy. A ona, nie zwracając uwagi na swój wygląd, nieustannie pociągała łańcuchem. Po głębokich zmarszczkach jej smagłej twarzy płynęły łzy. Kobieta była drobna, a łańcuch gruby, ale jakoś znalazła w sobie tyle siły, by go nieustannie pociągać i szarpać. Służący odezwał się do niej, ale musiał ją chwycić za ramiona, potrząsnąć i wskazać balkon *dżharoki*, żeby puściła łańcuch. Wokół wreszcie zapadła błogosławiona cisza.

Kobieta podbiegła do okna *dżharoki*. Rzuciła się na kolana i uniosła ręce.

- Najjaśniejszy panie, sprawiedliwości! - krzyknęła.
- Dostaniesz ją. Powiedz, co cię trapi - rozkazał Dżahangir.
- Najjaśniejszy panie, wczoraj zabito mi syna - załkała kobieta. - Był moim jedynym dzieckiem, jedynym żywicielem. A teraz nie żyje, zamordowany!

- Kto zabił twego syna? Co mu zawinił?
- W niczym nie zawinił, najjaśniejszy panie, popełnił tylko dziecinny błąd i za to odebrano mu życie.

- Kto zabił twój syna? - spytał jeszcze raz Dżahangir.

Kobieta umilkła. Starannie wytarła łzy i spojrzała na zawołaną postać u jego boku. Wskazała Mihrunnisę.

- Ona!

Na dziedzińcu rozległy się okrzyki. Mihrunnisa przytrzymała się parapetu i pochyliła się. *Co się dzieje? Co mówi ta kobieta?*

- Milczeć! - krzyknął Dżahangir, unosząc rękę. Twarz mu spurpurowiała z gniewu. - Wiesz, kogo oskarżasz o morderstwo?

- Tak, wiem. Cesarzowa Nurdżahan wczoraj zabiła mi syna! - załkała kobieta. - Obiecałeś mi sprawiedliwość. Skaż morderczynię na śmierć!

Wielmoże zaczęli szemrać. Z *zenany* za plecami Mihrunnisy rozległ się kobiecy głos:

- Sprawiedliwości od najjaśniejszego pana, Adil Padiszaha!

Czyj to był głos? Cesarzowej Dżagat Gosini? Czyjakięś jej sojuszniczki? Odwróciła się, by ją dostrzec, ale wtedy inne kobiety, a potem i mężczyźni na dziedzińcu, zaczęli skandować to samo słowo. Teraz już krzyczeli:

- Sprawiedliwości! Sprawiedliwości!

- Mihrunniso - odezwał się Dżahangir, biorąc ją za rękę. - Co mam teraz zrobić? Jak ich uciszyć? Czy to matka intruza, który wtargnął do twojego pałacu?

Musiała się pochylić, żeby usłyszeć jego głos. Słaby wietrzyk porwał głosy skandujących i rzucił nimi przez mury pałaców w miasto.

- Sprawiedliwości! Sprawiedliwości!

Mihrunnisa zaczęła dygotać; po raz pierwszy zrozumiała, że nienawidzanej niemal wszyscy. Ludzie unosili w powietrze pięści. Wszyscy spoglądali tylko na nią, nie na cesarza.

Dżahangir mocno chwycił jej dłoń.

- Co mam uczynić? - spytał znowu.

Nie mogła odpowiedzieć; strach chwycił ją za gardło. Raz, na początku małżeństwa z Dżahangirem, jeden z jej kuzynów zabił dziecko na ulicach Agry. Spiał słońca do zbyt szybkiego pędu, a dziecko wpadło tuż pod jego nogi. Rodzice dziecka także domagali się sprawiedliwości. A cesarz zapewnił im ją - na swoich zasadach. Życie za życie. Nieważne, że zabójca był jej kuzynem. Skazano go na stratowanie przez słońce. Co teraz zrobi Dżahangir?

Cesarz odwrócił się w stronę dziedzińca i podniósł dłoń. Trzymał ją w górze, dopóki hałas nie ustał.

- O jaką zbrodnię jest oskarżony twój syn? - spytał ostro kobiety.

- Najjaśniejszy panie - odpowiedziała złamanym głosem - mój syn wtargnął do *zenany*, by ujrzeć cesarzową.

Zebrani dworzanie zaszemrali z niezadowoleniem. Zareagowali spontanicznie na żądanie sprawiedliwości, lecz nie wiedzieli, o jaką zbrodnię chodzi. Teraz ucichli. Patrzenie na damy z *zenany* było zabronione - i to z każdej *zenany*, nie tylko cesarskiej. Niemal natychmiast ich sympatia znalazła się po stronie Mihrunnisy. Miała rację, zabijając prostaka; w końcu,

skoro ujrzał jej twarz, nie mógł się spodziewać nic dobrego. Gdyby Mihrunnisa go nie zabiła, kazałby to zrobić Dżahangir.

- I uważasz to za dziecięcy figiel? - spytał Dżahangir.

- Tak. - Kobieta spojrzała na niego wyzywająco. Jej łyzy wyschły, wyprostowała się. - On nie chciał nikogo skrzywdzić. Słyszał opowieści o urodzie cesarzowej i zapragnął ją zobaczyć.

- Skoro przysłaś do mnie z prośbą, rozstrzygnę tę sprawę. Cesarzowa zostanie natychmiast pojmana. Jutro sprawa znajdzie się w sądzie. Zgadzam się dostosować do wyroku kadiego... - Jego głos zadrżał. - Nawet jeśli będzie to wyrok śmierci.

Matka Nazima dotknęła ziemi czołem. Dwie kaszmirskie strażniczki podeszły do Mihrunnisy. Potknęła się; Dżahangir ją podtrzymał.

- Idź, kochanie - powiedział. - Ja zajmę się wszystkim.

Mihrunnisa wróciła do swych komnat jak zahipnotyzowana; Hoszizar podążył kilka kroków za nią. Na dziedzińcu wielmoże zaczęli bić rytmicznie w dłonie. Brzmiało to jak równo odmierzone strzały, jeden, drugi, trzeci... Nie krzyczeli już ani nie mówili, tylko klaskali.

Minął ranek i wieści o upadku Mihrunnisy dotarły do każdego zakątka Mandu. Dworzanie pobiegli do domów, by powiadomić o tym swoje żony i tych pechowych sąsiadów, którzy nie zareagowali na brzęk dzwonek. Księżę Churram także znajdował się na dziedzińcu i to on pierwszy podniósł rękę, krzyczał najgłośniej. A Abul stał przy nim, trzymając mu rękę na ramieniu. Z kolei w *zenanie* pierwszy rozbrzmiał głos Ardżumand.

Przez *zenanę* przebiegł dreszcz ekscytacji. To nie była zwykła bójka Mihrunnisy z cesarzem, teraz już nie zdoła go oمامić czarami i urokami. To już koniec, z całą pewnością koniec. Jutro kadi wygłosi jedyny wyrok, jaki może zapaść w cesarstwie Mogołów. Życie za życie, śmierć za śmierć. Inna decyzja nosiłaby piętno niesprawiedliwości, szczególnych łask dla cesarzowej. Cała *zenana* tętniła nienawiścią, plotkami i wstrętem. Parę kobiet ułożyło balladę i przeszmuğlowało ją poza mury haremu. Po południu śpiewano ją już na ulicach.

Mihrunnisa nie wychodziła ze swoich komnat. Haftowała rąbek nowej *ghagary*. Pracowała wytrwale, zanurzała igłę w miseczkę z perłami, przewlekała jedwab przez dziurkę wywierconą w każdej perle i przyszywała ją do surowego zielonego jedwabiu. Słyszała, jak mężczyźni śpiewają balladę na ulicach. Nazywali ją zbrodniarką i życzyli jej śmierci.

Hoszijar czuwał nad nią przez cały dzień. Mihrunnisa nie chciała jeść; usiłował ją nakłonić, ale odmówiła. Piła tylko wodę. Od czasu do czasu ręce zaczynały jej drżeć. Wtedy odkładała robótkę, spletała ręce na kolanach i czekała, aż dygot minie. Potem zmuszała się do dalszej pracy. Piosenka nieustannie rozbrzmiewała pod jej oknem.

Czy rzeczywiście była zbrodniarką? Czy zrobiła coś złego, zabijając człowieka, który praktycznie popełnił samobójstwo? Nie czuła się winna, nie miała gnębiącego poczucia, że popełniła błąd. Nizam - tak się nazywał - zakradł się do *zenamy*, doskonale wiedząc, że ryzykuje życie, jeśli ktoś go zauważy. Ona tylko wykonała wyrok śmierci. O co to zamieszanie? Nie lubiano jej... to już wiedziała. Stał za tym Churram, cesarzowa Dżagat Gosini i inne damy. Ale Abul, jej brat?

Ręce jej zadrżały. Odrzuciła robótkę. Abulowi zależało tylko na pieniądzach i tytułach. Czy zapomniał, że szaty, które nosił, tytuł, który czynił go jednym z największych dostojników cesarstwa, dom, w którym mieszkał, małżeństwo jego córki z Churramem - że wszystko to zawdzięcza jej?

Wzięła gruby tom *Szahnamy*, księgi królów Firdausiego. Był założony w środku zakładką - cienkim złotym drucikiem zakończonym rubinowym guziczkiem. Wyjęła zakładkę i zaczęła czytać o zwycięstwie Persji, o starożytnym cesarstwie sprzed nadejścia Aleksandra, o wielkiej stolicy Persepolis, obecnie na południu Szirazu. Firdausi przez trzydzieści lat obmyślał i pisał *Szahnamię*, a w końcu szach Mahmud wynagrodził go sumą tak nikczemnie niską, że Firdausi napisał ostrą satyrę na jego temat. Mihrunnisa zajrzała na koniec tomu, by przeczytać właśnie ów wiersz, *Satyre na Mahmuda*. „Nie sądz, o Królu, by berło i władza twa cała godzinę sądu odsunąć o chwilę choć miała...”.

Zatrzasnęła książkę, przestraszona, odłożyła ją. Teraz może ją uratować tylko cud, ale jaki? Nie miała pojęcia.

A jeśli ją zabiją, co będzie z Ladli? Spojrzała na Hoszijara. Stał oparty plecami o drzwi komnaty, od wielu godzin nie odrywając od niej spojrzenia.

- Hoszizarze - powiedziała, odpędzając strach. - Wezwij księcia Chusru.

Dwóch eunuchów przyprowadziło Chusru do komnaty Mihrunnisy, a potem wycofało się tyłem, bijąc pokłony. Cesarzowa wstała i dotknęła dłoni księcia. Cofnął się gwałtownie i stanął z pochyloną głową, jakby dzięki temu mógł ją lepiej zobaczyć.

- Dlaczego mnie tu sprowadzono?

- Pójdź, Chusru, usiądź obok mnie - odezwała się łagodnie. Przeszła obok niego, wskazując drogę. Chusru poszedł za nią. Potknął się o krawędź dywanu, wyprostował się i ruszył dalej, stopą badając teren przed sobą. Kiedy dotknął prawą stopą otomany, pochylił się, obrysował dłońmi jej krawędzie i usiadł. Odwrócił się tam, gdzie światło było najsilniejsze, ku Mihrunnisie, siedzącej w ukośnych promieniach chylącego się ku zachodowi słońca, z akwamarynami lśniącymi w uszach i na szyi.

Chusru nieco odsunął się przed promieniami słońca. Postarzał się, pomyślała Mihrunnisa. Nie widziała go od dawna, gdyż trzymano go w najdalszych komnatach, kryjąc przed cesarzem. Jego imienia nie wymieniano w obecności Dżahangira, gdyż za każdym razem, gdy cesarz przypominał sobie o nim, wracał cały gniew na niegdyś ukochanego syna. Automatycznie zmniejszono pensję, jaką wypłacano mu z cesarskiego skarbcza, i nie zapraszano go do sprawowania państwowych urzędów.

- Po co mnie tu sprowadzono? - spytał Chusru drżącym głosem. Rozkazano mu się stawić w komnatach cesarzowej i nie ośmielił się sprzeciwić. Zresztą nie mógłby. Pochylił się, by spojrzeć na Mihrunnisę, i jego broda, długa do pasa na znak niełaski cesarza, zaplątała się w fałdy stroju. Zaczął z nią

walczyć na oślep i szarpał się jak szaleniiec, dopóki cesarzowa nie pomogła mu się wyzwolić.

- Jak się miewa Chalifa?

- A cóż to cię obchodzi, najjaśniejsza pani?

Mihrunnisa zawrzała z wściekłości. Czy wszyscy książęta będą jej okazywać brak szacunku.

- Słyszałam - oznajmiła cierpko - że przebywanie w zamknięciu wraz z tobą bardzo ją przygnębiło. Że jest smutna.

- Jest moją żoną - odparł książę. - Gdzie mogłaby być, jeśli nie ze mną?

- Chalifa prosiła, by pozwolono jej przebywać wraz z tobą. Będzie musiała znieść niewygody.

Chusru pochylił głowę. Cesarzowa miała rację. Kiedy ojciec go uwięził, Chalifie zaproponowano mieszkanie w *zenanie*, lecz chciała zostać z mężem. Oznaczało to, że zastosowano wobec niej te same środki ostrożności co wobec niego, gdyż Dżahangir nie chciał jej zapewnić swobodnego dostępu do świata zewnętrznego, by nie mogła przenosić korespondencji między księciem i jego sprzymierzeńcami.

To ostatnie zdanie zabrzmiało ostrzej, niż Mihrunnisa się spodziewała. Chusru okazał się równie uparty jak Churram, a miał mniej powodów ku temu. Jednak chciała go o coś poprosić.

- Widziałeś Ladli?

- Twoją córkę? Czyją widziałem? - Chusru parsknął śmiechem. - W rzeczy samej, widziałem ją, tymi oto dwoma zdrowymi oczami, które zostawił mi ojciec. Piękna dziewczyna. Oszałamiająca. - Roześmiał się; spojrzała na niego z niesmakiem. Był zbyt rozgoryczony, nie miał wdzięku. Co też jej przyszło do głowy?

- Poślubisz Ladli - powiedziała, porzucając dyplomację. Rozkaże mu zrobić to, czego nie mogła wymusić na Churramie. Chusru nie był w tak doskonałej sytuacji jak tamten. Nie mógł odmówić.

Ramiona Chusru przestały się trząść.

- Więc dlatego mnie wezwałeś - powiedział cicho. - By mnie zmusić do małżeństwa. Dlaczego? - Zastanowił się. - Czy Churram odmówił?

- Nie możesz się nie zgodzić. Dam ci tyle wolności, ile zażyczyś. Weź Ladli za żonę, a będziesz wolny. Chalifa będzie miała pełny dostęp do *zenany*, a twoi synowie odzyskają znaczenie. Ty sam będziesz mógł się domagać praw należnych ci jako księciu. Zgódź się, Chusru.

Na dźwięk dawno nie słyszanego słowa - wolność - na twarzy Chusru pojawił się nagły uśmiech. Ale ta wolność miała być zbyt drogo okupiona.

- Ty mi proponujesz wolność? - spytał gorzko cichym głosem. Rozejrzył się. - W tej komnacie? Słyszałem, że sama nie możesz jej opuścić. A kiedy z niej jutro wyjdiesz, to na spotkanie śmierci.

Wytrącił ją z równowagi. Czy upadła tak nisko - i tak szybko - że nawet on, żaloszny Chusru, miał odwagę ją zaatakować? Czy wiedział o czymś, o czym ona nie miała pojęcia? Odwróciła się do Hoszijara, rozpostarła ręce. Co teraz?

Eunuch pokręcił głową. Usiłował jej powiedzieć, żeby poczekała ze spotkaniem do jutra, ale nie słuchała. Teraz przemówił.

- Wasza wysokość... - Chusru nastawił ucha w stronę, z której dochodził jego głos - najjaśniejsza pani jutro zostanie oczyszczona z zarzutów. Dobrze będzie, jeśli jej wysłuchasz.

- Hoszijar-chan, prawda? - odezwał się Chusru. - Najbardziej zaufany eunuch mego ojca, niegdyś prawa ręka Dżagat Gosini. Jak ci się podoba służba u nowej pani? Chyba nie potrwa już długo. - Podniósł się z otomany. - Zaprowadź mnie do moich apartamentów.

Mihrunnisa skinęła głową, pozwalając mu odejść. Oddalił się z największą godnością, na jaką mógł się zdobyć. Kiedy był już w progu, rzuciła z furją:

- Nie zapomnę ci tego.

Chusru odwrócił się. Z tej odległości mógł jedynie odgadnąć, gdzie stoi cesarzowa. Uśmiechnął się groteskowo.

- Więc zabierzesz to wspomnienie do grobu, najjaśniejsza pani.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Król był tak chwiejny i niestały, że to, co uroczyście przyrzekł zrobić dla angielskiej fabryki... zostało cofnięte i znowu obiecane, i znowu zawieszono, i po raz trzeci przyznane i anulowane...

Early Travels in India, Sixteenth and Seventeenth Centuries, wyd. J. Talboys Wheeler

- Jesteś proszony, *sahib*.

Ormiański niewolnik podszedł do sir Thomasa Roego, który czekał przed *diwan-i am*. Towarzyszył mu jeszcze inny mężczyzna; obaj byli ubrani w jednakowe spodnie z białego jedwabiu i cienkie jedwabne *kaby*. Ozdobione klejnotami turbany osuwały im się na oczy, a sztylety w pochwach inkrustowanych perłami i rubinami wisiały na szerokich pasach z białego brokatu.

Roe podniósł się z wolna. Ciało bolało go po gorączce, która dręczyła go przez ostatni miesiąc. Tak bardzo schudł, że surdut wisiał na nim jak na żerdzi.

Roe przybył do Mandu przed dziesięcioma dniami, lecz gorączka powaliła go niemal natychmiast po przekroczeniu progu domu. Choroba dręczyła go przez całą drogę z Burhanpuru; Roe czasem po prostu kładł się na karku konia i pozwalał nieść. Nie ośmielił się robić przystanków, gdyż z dworu przysyłano mu coraz więcej wezwań.

Sytuacja nie poprawiła się, kiedy znowu zachorował po przybyciu do Mandu i ponownie nie mógł się stawić przed obliczem Dżahangira. Cesarz, podejrzewając, że Roe udaje, wysłał do niego niewolnika z dzikiem, którego osobiście zabił na polowaniu. Niewolnik stanął na zewnętrznym dziedzińcu do-

mostwa Roego i nalegał, by pozwolono mu zobaczyć ambasadora. Więc wynędniały Roe zwałół się z łóóka, ledwie trzymając się na nogach, spotkał się z niewolnikiem i podziękował mu za mięso.

- Prosiłem o zezwolenie oddania cesarzowi czci na modłę angielskiego dworu - wychrypiał słabo Roe.

Niewolnicy się skłónili.

- Tak się stanie, *sahib*. Cesarz wie o twoim życzeniu.

- Więc idźmy.

Dwaj niewolnicy ruszyli przed Roem i szli ramię w ramię, dopóki nie dotarli do wielkich drewnianych drzwi *diwan-i am*. Roe strzepnął pyłek z falbanki mankietu prawego rękawa. Dałby wszystko za to, by znów znaleźć się w łóóku, lecz ostatecznie wezwanie było utrzymane w szczególnie kategorycznym tonie, bez zrozumienia dla zdrowotnych problemów ambasadora. Cesarz wyznaczył datę i godzinę jego oficjalnego przedstawienia na dworze - w czasie wieczornego *darbaru*, specjalnie zwołanego, by Roe mógł się zaprezentować. Przypadkiem wydarzyło się to w tym samym dniu, gdy Mihrunnisa została uwięziona.

Plotki o porannych wydarzeniach dotarły także do Roego. Nie zwrócił na nie uwagi, pochłónięty problemem ubrania się w stroje, uszyte dla znacznie tęższego i okazalszego mężczyzny. Nic już na niego nie pasowało. Pończochy zwiślały na nim jak obszerne spodnie, a z rękawa surduta mógł wyjąć rękę, nie rozpinając guzików. Na widok własnego odbicia w lustrze z gardła wydarł mu się jęk. Był biały jak kreda, miał zapadnięte policzki, obwisła brodę, a rude włosy nabrały burego koloru. Jak mógł się w takim stanie zaprezentować na dworze?

Zamyślony, omal nie wpadł na ormiańskich niewolników. Zatrzymali się i stali przed zamkniętymi drzwiami. Widać ktoś dał jakiś niewidzialny znak, bo drzwi zaczęły się otwierać, a Roe usłyszał własne nazwisko.

Przekroczył próg *diwan-i am*, skłónił się w pas, wyprostował się i prawie jęknął. Na szatach wszystkich zgromadzonych skrzyły się brylanty, rubiny i szmaragdy. Płaszczce i spodnie

migotały od złotego *zań*. Dwór księcia Parweza w Burhanpurze wydał mu się wspaniały, ale to, co ujrzał tutaj, odebrało mu mowę. Nie przypuszczał, że ten kraj, z pozoru tak jałowy i nieprzyjazny, o tak gwałtownych wichrach i morderczym upale, może ukrywać takie bogactwa.

Światło lampek olejnych i pochodni było jasne i czyste. Nawet dym, który od czasu do czasu się z nich unosił, był przesycony zapachem cybetu. Zewsząd bił blask - odbijał się w rozmigotanych klejnotach, lśnił chłodną bielą na *kabach* ormiańskich niewolników, podkreślał głębię ciemnej czerwieni na perskich dywanach pod stopami Roego, odbijał się od twarzy. Ambasadorowi spocily się dłonie; wytarł je o kamizelkę. Przed oczami i w głowie wirowały mu wizje tego bogactwa, bardziej fantastyczne niż cokolwiek, o czym słyszał i co mógłby sobie wyobrazić. Wielmoże milczeli, przyglądając się mu, choć byli odwróceny przodem w stronę cesarza, gdyż prawo zakazywało pokazywać mu plecy. To musi być niewygodne, pomyślał Roe. Jakby w odpowiedzi w sali wszczęło się nieznamienne, ledwie zauważalne poruszenie. Nikt się nie uśmiechał, nie wzruszał ramionami, jednak Roe, czujnie obserwujący otoczenie, zauważył to i zdał sobie sprawę, że idzie z otwartymi ustami. Zamknął je i ruszył dalej.

Był boso jak wszyscy dworzanie. Poproszono go o zdjęcie butów, co go zirytowało, lecz kiedy jego stopy zatonęły w mięsistym runie dywanów, zdumiał się ich bogactwem. I to milczenie, ta cisza..., słychać było każdy oddech... Roe jeszcze nigdy nie widział takiego zgromadzenia ludzi i zwierząt, w którym słyszałby szmer własnych stóp na dywanie.

Przez chwilę cieszył się z własnej choroby. Ponad miesiąc był pozbawiony wszystkich doznań i zbyt chory, by mu na nich zależało. Ta wizyta była jak nowe narodziny. W powietrzu unosił się zapach drewna sandałowego i paczuli. Roe wciągnął ten zapach, dotarł do pierwszej balustrady i znowu się skłonił. Dwaj niewolnicy przed nim skłonili się cesarzowi i bezszelestnie zniknęli w tłumie. Roe wreszcie ujrzał Dżahangira, siedzącego daleko przed skrzącymi się od klejnotów dworzanami. Roe dotarł do drugiej balustrady, tej z kutego

srebra, i skłonił się jeszcze raz, po czym ruszył przez ostatnią część dziedzińca. Szedł wąskim korytarzem w tłumie wielmożów, którzy odsuwali się uprzejmie, pozwalając mu przejść.

Wreszcie stanął przed cesarskim tronem. Skłonił się, wyprostował i spojrzął na Dżahangira. Cesarz miał jakieś pięćdziesiąt lat. Jego włosy - trochę było je widać pod turbanem ze złotego brokatu - oraz długie bokobrody były przyprószone siwizną. Oczy patrzyły ze spokojem, który zdawał się przenikać całe jego ciało. Cesarz siedział na otomanie po turecku, z wyprostowanymi plecami. W pasie nie był już smukły niczym młodzieniec. Cały jego strój skrzył się od drogich kamieni, w uszach, na palcach i szyi pyszniły się perły, rubiny, brylanty i szmaragdy. Parwez wyglądał jak karykatura księcia, z wielkimi ciemnymi podkowami pod rozbieranymi oczami, słabym głosem i mizernym wyglądem. Jego ojciec stanowił ideał cesarza. Roe słyszał, że jedna z jego żon zupełnie go opętała i rządziła cesarstwem, spodziewał się więc ujrzeć kogoś w rodzaju słabowitego Parweza. Tymczasem zobaczył człowieka, którego mógł szanować.

Dżahangir dał znak oficjalnemu tłumaczowi.

- Cesarz wita cię w Indiach, sir Thomasie Roe - odezwał się ten. - I pozdrawia swego zamorskiego brata, króla Anglii, Jakuba.

- Dziękuję, najjaśniejszy panie. Przybywam jako ambasador króla Jakuba i przywożę jego pozdrowienia. Jako wyraz przyjaźni przywożę te oto dary oraz list od najjaśniejszego pana, króla Jakuba. - Roe podał mir tozakowi list, przetłumaczony mozolnie na język perski.

- W liście tym król Jakub mianuje mnie oficjalnym ambasadorem angielskim na twoim dworze, najjaśniejszy panie.

Dżahangir podniósł głowę znad listu.

- Jak twoje zdrowie, ambasadorze? Byłeś niezdrów.

- Teraz już prawie wydobrzałem, najjaśniejszy panie. Dziękuję za zainteresowanie.

- To dobrze. Jeśli będziesz potrzebować pomocy, dworscy lekarze zajmą się tobą. - Cesarz odwrócił głowę i Roe znowu

się zaniepokoił. Zrobił coś złego. Jaką zasadę złamał? Potem zdał sobie sprawę, o czym zapomniał.

- Proszę, przyjmij te dary najjaśniejszego pana, króla Jakuba. - Zatoczył ręką łuk i odstąpił na bok. Jego służący wnieśli mosiężne tace z górami delikatnych koronek, angielskich mieczy, szale, pasy, skrzynki szlachtetnej angielskiej brandy, angielskie kapelusze, buty i porcelanowe naczynia.

Cesarz przyjrzał się darom.

- Coś jeszcze?

- Przywiozłem także angielski powóz dla twego użytku, najjaśniejszy panie.

Dżahangir klasnął w dłonie i uśmiechnął się jak uradowane dziecko.

- Powóz! Gdzie?

- Czeka na zewnątrz.

- Wyjdźcie i obejrzyjcie powóz - rozkazał Dżahangir. Dwaj dworzanie natychmiast wycofali się tyłem z *diwan-i am*.

Pod ich nieobecność Dżahangir rozmawiał z ambasadorem. Spytał go, kto mu towarzyszył w podróży, a Roe przedstawił Thomasa Armstronga. Był to muzyk, który przywiózł ze sobą wirginał. Jaki dźwięk ma ten instrument, zaciekawił się Dżahangir. Jeśli najjaśniejszy pan pozwoli, Thomas zagra dla niego. Słuchali muzyki, dopóki wielmoże nie wrócili pędem z wieściami o powozie. Roe usiłował zrozumieć, co mówią, lecz wychwycił jedynie parę tureckich słów. Pochylił się ku tłumaczowi, który usiłował rozszyfrować potoki zdań. Powóz został zaprzęgnięty w cztery nieskazitelnie białe konie ze stajni Dżahangira. Był przedziwnie sporządzony i miał wielkie koła, wyglądające na dość kruche. Miał też okna i drzwi jak prawdziwy dom, ale największe wrażenie robił angielski woźnica, pocący się w upale w złotej liberii.

Dżahangir znowu uśmiechnął się do ambasadora i odwrócił się. Audiencja dobiegła końca. Ostrzegano go, że nie powinien się spodziewać więcej niż parę słów, ale cesarz był bardzo łaskawy. Na inne sprawy przyjdzie czas później, co należało do zwyczaju tego kraju. Cesarz miał się spotkać z Roem jeszcze wiele razy i poznać go, zanim rozpocznie z nim po-

ważne rozmowy. Wtedy, jeśli nadejdzie odpowiednia chwila i gwiazdy będą przychylnie, Roe będzie mógł go poprosić o podpisanie traktatu handlowego. Ale dziś spotkanie dobiegło końca.

Roe znowu się skłonił i wycofał się tyłem do drzwi, kłaniając się przy każdej balustradzie. Wrócił do domu powoli, wciąż oszołomiony wspaniałością *diwan-i am*. Na frontowym dziedzińcu gorączka znowu zaatakowała. Spadł z konia; słudzy zanieśli go, mającego, do łóżka.

Po odejściu ambasadora Dżahangir zasiadł w swoim nowym powozie i parę razy objechał dziedziniec. Drobiazgowo przyjrzał się wszystkim szczegółom. Poduszki były pokryte czerwonym chińskim aksamitem, cały powóz zrobiono z lekkiego drewna zbitego ćwiekami z brązu. Dżahangir skrytykował chiński aksamit. Dlaczego król Anglii przysyła mu coś takiego? Podobno w Europie produkują znacznie lepsze materiały. A te kapelusze, szale, koronki - czy to są dary jednego władcy dla drugiego? A gdzie klejnoty i biżuteria? Nawet radża Amar Singh, podbity król, złożył w darze cesarstwu wielki rubin, konie i słońce.

Dżahangir obszedł nowy pojazd, parę razy otworzył drzwi, sprawdził koła i wreszcie spojrzął na angielskiego woźnicę. Ten skłonił się mu najniżej, jak mógł, niemal ugotowany żywcem w obcisłym ubraniu. Cesarz roześmiał się i kazał mu się przebrać w coś lżejszego. Wyzaczył mu pensję. Woźnica mógł zostać w Indiach, jak długo mu się spodoba; cesarski skarbiec będzie łożył na jego utrzymanie.

Cesarz nie wspomniał ani słowem o Mihrunnisie. Wszyscy wielmoże obserwowali go uważnie, ale on robił wrażenie bez troskiego. Czy to już koniec cesarzowej Nurdżahan? - pytali na zebraniach, które trwały całą noc. Cesarz zachowywał się, jakby nie wydarzyło się nic nadzwyczajnego, nic niecodziennego. Nie odwiedził żony - tyle wielmoże wiedzieli na pewno. Zresztą wszyscy o tym wiedzieli. Raz w ciągu dnia wezwał do siebie Hoszizar-chana, który opuścił *zenanę*.

Na długo przed nadejściem świtu na ulicach Mandu zaroilo

się od ludzi. Wielmoże przeciskali się przez tłum, ściskając w dłoniach bezcenne przepustki na *dżharokę*. Weszli na dziedziniec i czekali jeszcze parę godzin na wschód słońca.

Churram stanął w głębi dziedzińca, oparł się o ścianę i zniechęcony. Za balkonem stały kobiety z *zenany*. W tłumie nie było dziś petentów; jedynym punktem dnia miał być proces. Mężczyźni stali ciasno przy sobie, ramię przy ramieniu. Spędzili w tej pozycji parę godzin. Cesarska orkiestra zaczęła grać. Kiedy trąby uniosły się ku niemu, mir tozak krzyknął:

- Chwała cesarzowi Dżahangirovi, Adil Padiszahowi!
- Chwała! - odkrzyknęli dworzanie.

Dżahangir ukazał się na balkonie nad ich głowami. Wszyscy skłonili się w *taslimie*.

- Przyprować cesarzową Nurdżahan - zwrócił się cesarz do Hoszizar-chana. Mihrunnisa pojawiła się i stanęła na wyciągnięcie ręki od Dżahangira. Była osłonięta welonem z białego muślinu, obsypanego maleńkimi srebrnymi guziczkami. Widziała przez niego morze głów. Zjawili się wszyscy - Muhammad Szarif, Abul, Churram i *bapa*. Abul znowu stał u boku Churrama, nie tuż pod balkonem, jak powinien. Nie ważne. I tak wiedziała, że jest sama. Sama.

Amir ul-umra zajął miejsce w kącie dziedzińca. Ciekawe, czy już powiadomił o tym wydarzeniu Mahabbat-chana. Jeśli wysłał gońców, jeszcze nie dotarli na miejsce, a kiedy dotrą, będzie już po wszystkim. Ale skąd taka niechęć ze strony mężczyzn? Czym sobie zasłużyła na taką odrazę?

- Najjaśniejszy panie... - odezwała się cicho. Dżahangir spojrzął na nią, ale nie odezwał się. Miała ochotę dotknąć ręki swego męża, upewnić się, że o nią zadba. Cesarz nie przysłał jej żadnej wiadomości, nie zapewnił jej o bezpieczeństwie. Czy i on uważał ją za winną? Czy już ją potępił tak jak inni?

Ale nie utraciła dumy. Jeśli ma dziś umrzeć, umrze jak cesarzowa. Zdołała się uśmiechnąć, dostrzegłszy ironię sytuacji. Pragnęła, by ludzie pamiętali jej imię jeszcze przez wiele setek lat. Jeśli nie mogła sobie tego zapewnić czynami, to osiągnie to dzięki śmierci.

Głos mir tozaka zagrzmiął jak grom w milczeniu dziedzińca.

- Przyprowadzić kadiego!

Sędzia był stary, miał ogorzałą skórę i siwe włosy. Był znany z szybkich wyroków i zdolności do spokojnego snu po wydaniu kary śmierci. Jednak zeszłej nocy nie zaznał snu. Mógł ogłosić jedynie karę śmierci, lecz co się z nim stanie później, kiedy cesarz zacznie tęsknić za cesarzową? Kogo będzie wtedy winić?

Kadi przywłókł się pod balkon i złożył *konisz*.

- I co powiesz? - spytał Dżahangir. Nie prezentowano dowodów, nie było mowy obrońcy. Tak wyglądały mogolskie procesy.

Kadi otworzył usta, lecz nie padły z nich żadne słowa. Mihrunnisa czekała na wyrok śmierci. Przechyliła się przez balustradę.

- Najjaśniejszy panie!

Wszyscy zebrani odwrócili się w stronę starej kobiety na tyłach dziedzińca. Przebiegła między mężczyznami i padła przed cesarzem na kolana.

- O co chodzi?

- Jeśli można, najjaśniejszy panie... - Twarz matki Nizama rozświetlił chytry uśmiezek. - Nic mi po śmierci cesarzowej. Straciłam syna, który mnie utrzymywał. Co mam teraz zrobić?

Dżahangir wychylił się ku niej.

- Czy zatem mogę zaproponować karę pieniężną? Cesarzowa Nurdżahan zapłaci ci dwa tysiące srebrnych rupii za życie twojego syna. - Odprawił kadiego gestem ręki. - Twoje usługi nie są nam już potrzebne. Jak wszyscy widzicie, ta kobieta nie domaga się śmierci cesarzowej.

Na dziedzińcu zapanowała cisza. Nikt się nie odezwał.

Mihrunnisa się cofnęła. Pieniądze zamiast jej życia. Tylko dwa tysiące rupii. Jej stroje kosztowały więcej. Co tu się dzieje?

- Pójdź, moja droga. Chodźmy do apartamentów. - Cesarz objął ją ramieniem i wyprowadził z balkonu.

Po ich odejściu wielmoże znowu zaczęli bić brawo. Wszystko było wyreżyserowane niczym sztuka: kadi z drżącymi usta-

mi i spoconymi dłońmi, stara kobieta, która jeszcze wczoraj przeklinała i domagała się życia Mihrunnisy, łatwość, z jaką Dżahangir przystał na jej warunki. Kto jej poradził, co ma robić? Hoszizar-chan. Na rozkaz Dżahangira. W ten sposób wszyscy zachowali godność. Matka Nizama otrzyma tyle pieniędzy, że nie zdąży ich wydać do końca życia - dwa tysiące to fortuna. Dżahangir zachowa tytuł Sprawiedliwego Cesarza. A Mihrunnisa - głowę.

Churram odwrócił się z niesmakiem. Słyszał o propozycji, z jaką Mihrunnisa zwróciła się do Chusru. Wiedział, że jego głupi brat odmówił. Ale i tak go to niepokoiło.

A jeśli teraz Chusru się zgodzi?

- I jak było? - spytał Coryat. - Co powiedział Wielki Mogoł?

- Óóó... wiem, że żartujesz, ale inni mogą cię źle zrozumieć. Jesteśmy tu, by zawrzeć przymierze z cesarstwem - powiedział Roe, mijając Coryata.

Ten roześmiał się i poszedł za nim do domu. Thomas Coryat rozpoczął karierę jako dworski błazen, potem zaś dołączył do świty księcia Henryka jako jego osobisty trefniś. Parę lat temu zszedł pieszo całą Europę, a teraz znalazł się w Indiach. Kiedy Roe spotkał go w Mandu, Coryat miał już na koncie wizytę w Konstantynopolu, Betlejem, Jerozolimie, Damaszku i prawie całej Turcji. Zamierzał przemierzyć Indie w drodze do Samarkandy w Uzbekistanie, a tam ucałować kamień na grobie Timura Kulawego, po czym wrócić do domu w Odcombe w Somerset. Coryat spisywał wrażenia ze swych podróży, lecz były one tak obszerne, że przed podróżą do Indii część musiał zostawić u konsula w Aleppo.

W Anglii Roe i Coryat nie mieli wspólnych tematów do rozmowy, lecz tu szukali swojego towarzystwa, obcy w obcym kraju. Coryat zamieszkał u ambasadora.

- *Pani lao sahib ke liye* - krzyknął Coryat do miejscowego służącego.

- Co powiedziałaś? - zaciekał się Roe.

- Kazałem temu poganinowi przynieść ci wody do umycia rąk.

Roe pokręcił głową. Coryat władał płynnie niemal wszystkimi miejscowymi językami Indii. Nawet stał się podobny do tubylców. Ubierał się w indyjskie stroje i sandały, a słońce nadało jego skórze orzechową barwę. Zapuścił włosy do ramion i wyglądał jak fakir.

Coryat pociągnął Roego na dziedziniec.

- Aaach... - Roe osunął się na krzesło. - Jak dobrze usiąść na prawdziwym meblu. Nie rozumiem, jak ci tubylcy mogą przez cały czas siedzieć na ziemi.

- To łatwe. - Coryat porzucił krzesło i usiadł na podłodze po turecku.

- Wracaj, Tom, wystarczy błazenady. Gdzie ten człowiek? Chcę zmyć kurz z rąk.

- Co się wydarzyło na dworze? Czy cesarz dobrze cię przyjął?

- Bardzo dobrze. Był uprzejmy, uprzedzał każde moje życzenie. Nie mógłbym marzyć o lepszym przyjęciu. Muszę przyznać - Roe przechylił w zamyśleniu głowę - że wszystko poszło jak należy. Nie spodziewałem się, że cesarz znowu będzie dla mnie tak łaskawy.

- Mniejsza o cesarza. - Coryat machnął ręką. Nadal siedział na ziemi. - Czy widziałeś ją? Przemówiła?

- Kto? - zdziwił się Roe.

Zjawił się służący z wodą różaną. Roe opłukał ręce i otrzepał surdut. Przyniesiono dwa schłodzone kielichy sorbetu z limonki. Coryat pociągnął długi łyk i wytarł usta dłonią.

- Cesarzowa Nurdżahan.

- Czy to nie ją niedawno aresztowano?

- Tak. - Coryat pochylił się, kryjąc uśmiech. - To było tylko przedstawienie, Roe. Cesarz jest zbyt w niej zakochany - to ona praktycznie rządzi cesarstwem i podejmuje wszystkie decyzje. On jest tylko pionkiem w jej rękach. Jeśli chcesz zawrzeć ten swój traktat, lepiej zwróć się do niej.

- Naprawdę? - zdziwił się Roe. Słyszał takie plotki od Dżadu i innych, ale sam nie widział na to żadnych dowodów. Jeśli Nurdżahan naprawdę miała taką władzę, dlaczego go nie wezwała przed swoje oblicze? Welon? Tak, to rozumiał, mniej

więcej wiedział, jakimi zasadami rządzi się harem. Ale czy zasłona odgradzała ją od świata? Ile może powiedzieć kobieta, która musi zasłaniać twarz?

- Czy przywiozłeś dary i dla niej?

- Nie potrafię powiedzieć - wyznał Roe niepewnie. - Była tam piękna koronka i kobiece kapelusze... cesarz specjalnie prosił o kapelusze z Anglii. Myślisz, że to cesarzowa ich sobie zażyczyła?

- Bez wątplenia. Jeśli cesarz wyrazi niezadowolenie, możesz być pewien, że dary właśnie jej się nie spodobały.

Roe potarł podbródek. Oto nowy temat do rozmyślań. Nie dalej jak wczoraj odwiedził go Abul Hasan - powiedział, że to wizyta kurtuazyjna, lecz zdradził coś więcej. Przekazał mu, że Dżahangir nie był zadowolony z darów. Bardzo podobał mu się powóz, którego często używał, lecz inne dary były zbyt skromne, niegodne króla Anglii. Po odejściu Abula Roe napisał do dyrektorów Kompanii, prosząc, by na następnym statku płynącym do Indii znalazły się znamienitsze prezenty. Jeśli Roe dobrze sobie przypominał, ów dostojnik, Abul Hasan, był bratem cesarzowej. Tej samej kobiety, która tak sprytnie uniknęła śmierci. Po pierwszej audiencji u cesarza Roe chorował przez tydzień i miał zbyt wiele spraw na głowie, by zastanawiać się nad wzlotami i upadkami Mihrunnisy. Teraz odtworzył w pamięci ostatni *darbar*. Po prawej ręce cesarza znajdował się balkon, osłonięty ażurowym ekranem. Podobno zasiadały na nim damy z *zenany*, które obserwowały wydarzenia na dworze. Jednak żadna się nie odezwała.

- Czy cesarzowa ma wielkie wpływy? - spytał Roe.

- Ogromne. Nawet większe niż cesarz. Jej słowo jest prawem. Gdybyś zwracał na to uwagę, spostrzegłbyś, że cesarz nie rozstrzygnął dziś ani jednej sprawy. Wielmoże zgłaszają swoje petycje cesarzowi, lecz decyzje podejmuje cesarzowa w *zenanie*. - Coryat wyciągnął się na ziemi i spojrzał w czyste, rozgwieżdżone nocne niebo. - Jak tu pięknie.

- Tak... - przyznał z roztargnieniem Roe. Za jego plecami odkaszlnął służący. - O co chodzi?

- *Sahib*, przybył posłaniec od cesarza.

- Wprowadź go. - Roe wstał i obciągnął surdut.

Wysoki eunuch, z lekką tendencją do tycia, skłonił się przed nim.

- *Sahib*, najjaśniejszy pan prosi, byś przysłał mu swoje pełnomocnictwo.

- Jak się nazywasz?

- To Hoszizar-chan, Roe, zarządca cesarskiego haremu i jeśli mnie pamięć nie myli, osobisty eunuch najjaśniejszej pani Nurdżahan-begam - rzucił od niechcenia Coryat.

Hoszizar skłonił się w jego stronę.

- To prawda - odparł uprzejmie i zwrócił się do Roego. - Zatem pełnomocnictwo...

Roe sięgnął do kieszeni na piersiach i wyjął list. Obrócił go w dłoniach.

- To oryginał. Nie mam kopii. Jeśli zginie...

- Nie martw się, *sahib* - powiedział Hoszizar. - Zadbam o niego. Najjaśniejszy pan... hmm... pragnie znowu odczytać ten dokument, to wszystko. Jutro otrzymasz go z powrotem.

- Bardzo dobrze. Ale proszę, dopilnuj, by jutro do mnie wrócił. - Roe wręczył list Hoszizarowi. Eunuch skłonił się i wyszedł. Ledwie zniknął, Coryat wyciągnął się na chłodnej kamiennej podłodze.

- Już się zaczęło. Uważaj na cesarzową.

- Co ona ma z tym wspólnego?

- Hoszizar jest jej głównym eunuchem. To ona go przysłała. Sprawdza twoje pełnomocnictwo, Roe. Chce się upewnić, czy jesteś tym, za kogo się podajesz - oficjalnym ambasadorem. Niestety, byli tu nasi rodacy, którzy także podawali się za ambasadorów, dlatego cesarzowa jest podejrzliwa.

Następnego ranka zgodnie z obietnicą Hoszizar oddał ambasadorowi pełnomocnictwo. Do papieru przywarł ulotny zapach olejku różanego, co potwierdziło podejrzenia Coryata. Cesarzowa przestudiowała starannie list i zbadała pieczęć królewską.

Teraz sir Thomas Roe zaczął rozumieć, że Coryat miał rację. Jeśli Mihrunnisa będzie zadowolona, cesarz podpisze traktat. Dlatego poprosił o przysłanie jedwabnych szali, filcowych

kapeluszy myśliwskich ze złotym szamerunkiem, koronkowych welonów, wszystkiego, co spodobałoby się kobiecie. Niegdyś uważał, że zasłona krępuje ruchy Mhrunnisy, ale to on miał skrępowane ręce. To, że jej nie mógł zobaczyć, a nawet usłyszeć jej głosu, wytrącało go z równowagi. Walczył z nieznanym przeciwnikiem.

I tak zмагаł się z przeciwnościami losu, wprowadzając nieustanne poprawki do traktatu.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Lecz wyjeżdżając ani on, ani też jego świta nie uważali się za bezpiecznych, dopóki sułtan Corsoronne (Chusru) pozostawał w rękach Annaraha, gdyż pod jego nieobecność król mógłby wyzbyć się urazy, a wówczas chwała i nadzieje jego frakcji mogłyby zginąć...

The Embassy of Sir Thomas Roe to India,
wyd. William Foster

W marcu rozpoczęło się święto Nauroz, a przebywający w Mandu Roe miał okazję podziwiać wspaniałość mogolskiego dworu. Na środku *darbaru* postawiono ogromny namiot. Ambasador przekonał się z zaskoczeniem, że jedną ścianę ozdobiono przywiezionymi przez niego portretami króla, królowej, hrabin Somerset i Salisbury, a także gubernatora Kompanii Wschodnioindyjskiej, sir Thomasa Smytha. Honorowe miejsce na środku ściany zajmowała Frances Howard, hrabina Somerset, ze względu na swą wielką urodę. Jednak hrabina i jej mąż, lord Somerset, oczekiwali właśnie na proces pod zarzutem zamordowania sir Thomasa Ovenbury'ego. Cesarz nie zważa na takie drobiazgi, pomyślał Roe, wystarczyło mu, że uroda hrabiny cieszy jego oko.

Obdarowywanie się stanowiło główną atrakcję święta Nauroz. Sir Thomas Roe przetrząsnął swój skromny dobytek w poszukiwaniu odpowiedniego daru, który zrobiłby wrażenie na cesarzu. Podarował Dżahangirovi długi złoty łańcuch o podwójnych ogniach, z wielkim szmaragdem rzeźbionym w kształcie kupidyna z łukiem. Dżahangir był zachwycony. Wezwał wszystkich dworskich malarzy i złotników i spytał, czy kiedykolwiek widzieli tak wspaniałe dzieło sztuki. Po raz pierwszy dar ambasadora spodobał się cesarzowi aż tak, dlate-

go Roe poczuł przypływ nadziei. Być może wkrótce będzie mógł porozmawiać o traktacie? Łańcuch i szmaragd stanowiły jego prywatną własność - od dawna przestał się spodziewać, że Kompania Wschodnioindyjska wyśle jakieś hojne prezenty.

Roe spytał cesarza otwarcie o traktat, po raz pierwszy nie omijając tematu. Czy najjaśniejszy pan zechce go podpisać? Tu nie ma czegoś takiego jak pilna sprawa, zdał sobie sprawę Roe. Cesarz wydał liczne *farmany* i edykty, zapewniające Anglikom ochronę przed Portugalczykami oraz indyjskimi urzędnikami celnymi w Suracie i Ahmadabadzie, ale na razie nie zamierzał przystać na nic więcej. Zostań z nami dłużej, powtarzał mu nieustannie Dżahangir. Zostań, ciesz się pobylem w naszym kraju. O sprawach państwowych będziemy rozmawiać później.

Jeśli chodzi o Mihrunnisę, miał nieco więcej szczęścia. Poprosiła o angielską ochronę dla swoich statków pływających po Morzu Arabskim. W zamian jej brat częściej zabierał go na audiencje. To wszystko.

Cesarz zaczął wspominać o powrocie do Agry. Kiedy już przygotowywano się do powrotu, do Mandu dotarły wiadomości o zarazie morowej w Agrze. Zarazę przywleczono do zachodniej części Pendżabu z Azji Środkowej, a w zimie choroba rozprzestrzeniła się szybko na Delhi, Lahaur i Agrę. Jej pierwszą oznaką było pojawienie się szczura, biegnącego na oślep przez dom i rzucającego się na ścianę. Jeśli natychmiast zdychał, mieszkańcy domu uciekali, pozostawiając cały dobytek. Agra nie była już bezpieczna. Codziennie umierały setki osób. Nikt nie znał lekarstwa na zarazę. Można było tylko czekać.

Dlatego Dżahangir i Mihrunnisa zostali w Mandu. A Roe został wraz z nimi, choć nadzieja coraz bardziej go opuszczała.

Zimowe słońce skłaniało się ku zachodowi nad Mandu, malując niebo rdzawym różem i czerwienią. W dalszej części cesarstwa szalała zaraza, kładąc pokotem całe dystrykty. Domy zabijano deskami, w powietrzu wisiał smród gnijących ciał, ludzkich i zwierzęcych. Nikomu nie pozwalano na wstęp do Mandu ze strachu, że przybysz przywlecze ze sobą chorobę.

W całym mieście płonęły ogniska, z których unosiły się szarobłękitne spirale dymu. Mury wokół miasta spurpurowiały, potem zaś nabrały nocnych kolorów - czarnych, błękitnych, indygo. Przez chwilę niebo lśniło złotem. Powietrze było przejrzyste i chłodne, krystaliczne, niemal namacalne.

Mihrunnisa wbiła łopatkę w żyzną ziemię; ramię przeszył jej ostry ból. Potrząsnęła dłonią i zaczęła kopać ostrożniej. Wkrótce spod ziemi wyłonił się mały, gładki kamień. Wygrzebała go z ziemi i wytarła. Był owalny, śliwkowobrazowy, z białymi pręgami biegnącymi przez środek. Rzuciła go na stertę innych i dalej kopała.

- Mamo!

Podniosła głowę z uśmiechem. Pod łukiem werandy stała Ladli.

- Tu jestem!

Ladli podniosła sute fałdy *ghagary* i ruszyła przez trawnik. Mihrunnisa przyglądała się jej; przez chwilę poczuła takie szczęście i spokój, że prawie nie mogła oddychać. Kiedy minęły te lata? Jak to się mogło stać? Ladli miała teraz siedemnaście lat; nie była już tym rozbieganym dzieckiem, które domagało się jej uwagi, gdy pracowała w ogrodzie. Sunęła przez bujny, zielony trawnik, gęste włosy spływały po delikatnych ramionach, wąziutkiej talii, łagodnie zaokrąglonych biodrach. To tak, pomyślała Mihrunnisa, jakbym patrzyła na własne odbicie sprzed lat. Ladli miała nawet taką samą cerę, gładką i lekko zabarwioną szafranowym blaskiem.

- Mogę przy tobie usiąść? - spytała Ladli.

- Tak. - Mihrunnisa popatrzyła na córkę z uśmiechem. - Ale gdzie? Tu jest tylko błoto, a ty nie lubisz się brudzić.

Ladli pokręciła głową. Blask zachodzącego słońca przez chwilę rozświetlił jej szare oczy.

- Nieważne. - Rozejrzała się, znalazła kamień, wytarła go ręką, dmuchnęła na nią i usiadła, przyciągając kolana do piersi.

- O co chodzi? - spytała łagodnie Mihrunnisa. Usiadła na ziemi, wpatrzona w córkę.

- O nic. - Ladli spuściła głowę. - Dlaczego zajmujesz się ogrodem? Dlaczego nie chcesz, by wyręczyli cię *mali*?

- Zawsze to lubiłam, pamiętasz? - Mihrunnisa zerwała mlecz, ciągnąc powoli, aż z ziemi wyłonił się jego długi koreń. Wrzuciła go do jutowego koszyka i zanurzyła palce w świeżej ziemi. Ochłodziła dłonie, wbiła się pod paznokcie.

- Przecież jesteś Padiszah Begam - powiedziała Ladli. - Czy musisz to robić?

- Ja nic nie muszę. Ale chcę. - Mihrunnisa znowu spojrzała na smukłą postać Ladli. Naciągnęła na ramiona welon, chroniąc się przed chłodnym wieczornym powiewem. Nie czuła tego chłodu, pracując. Kiedy kopała i ruszała się, pot ciekł jej po karku i szyi.

- Czy zawsze robisz to, co chcesz? - spytała Ladli żałośnie. Przerzuciła warkocz przez ramię, rozplotła go częściowo, potem znowu sprawnie zaplotła. I znowu rozplotła. Mihrunnisa wiedziała, że jest to oznaka niezadowolenia. Ona krążyła po komnatach - i w ten sposób przemierzyła wiele kilometrów, nie wychodząc poza mury *zenany* - a Ladli bawiła się włosami.

- Chodź do mnie - powiedziała ciepło. Ladli niemal sfrunęła z kamienia. Rzuciła się w jej ramiona. Mihrunnisa usiadła na ziemi, trzymając Ladli na kolanach, a ta oparła jej głowę na ramieniu.

- Powiedz - poprosiła. - Jeśli nie powiesz mamie, to komu?

Ladli długo milczała. Jej *ghagara* zaplamiła się, ale ona nie zwracała na to uwagi. Kolejna oznaka strapienia. Ladli dbała o swoje stroje, zawsze zachowywała się elegancko, z wdziękiem wszystko robiła.

Podniosła głowę i spojrzała matce prosto w oczy. Ich głęboki błękit nieco spłowieł, ale nadal lśnił.

- Tęsknię za tobą, mamo.

Mihrunnisa mocniej objęła córkę. Zaczęła ją kołysać jak dziecko.

- Czy opuściłam cię, byś za mną tęskniła? Jestem przy tobie i zawsze będę. Wiesz o tym. Co się dzieje, *beta*?

W odpowiedzi Ladli znowu zaczęła się kołysać.

- Mamo - spytała po chwili - czy Churram wyjedzie do Dekanu?

Mihrunnisa wzięła łopatkę i zaczęła okopywać ogórki. Ziemia ukazywała wilgotne, żyzne wnętrza.

- To jeszcze nie zostało postanowione. Cesarz i ja musimy o tym porozmawiać.

Z Dekanu, gdzie trwały działania wojenne, przybyły wieści. Ambar Malik, abisyński niewolnik, który ogłosił się dowódcą, odrzucił warunki najnowszego paktu pokojowego z cesarstwem. Nigdy nie będzie władcą, choćby podbił wiele królestw; zawsze pozostanie prostakiem. Dlatego zadowalał się ustanawianiem królestw i marionetkowych władców, którymi mógł sterować. Teraz doprowadził do przymierza między Bidżapurem i Golkondą. Wojska mogolskie straciły wielkie połacie terenu na południowych granicach cesarstwa, uciekając przed Malikiem. Parwez nadal pozostawał w Burhanpurze, rzekomo po to, by móc dowodzić działaniami wojennymi. Jednak ani Mihrunnisa, ani Dżahangir nie mogli się łudzić, że księżę nadaje się na dowódcę. Znajdował się w Burhanpurze, ponieważ należało go gdzieś umieścić. Gdyby nie przebywał tam, musiałyby się pojawić na dworze.

I znowu powstał problem - tak jak w Mewarze - kogo wysłać do Dekanu?

Kiedy Dżahangir wysłał Churrama do Mewaru, Mihrunnisa uznała to za sprzyjającą okoliczność, by skłonić księcia do małżeństwa z Ladli. Rozdzielony z Ardżumand mógłby docenić plusy tego związku. Jednak teraz nie mógł on dojść do skutku. Mihrunnisa nie miała ochoty pozwolić Churramowi na wyprawę do Dekanu. Gdyby wrócił okryty chwałą, tak jak po kampanii w Mewarze, byłoby jej trudno wydać za niego Ladli.

Przez jakiś czas myślała; obudziło ją pytanie Ladli:

- Więc jak myślisz, czy Churram wyjedzie?
- Tak - odpowiedziała. - Chan-i chanan potrzebuje dowódcy z rodziny cesarskiej. Churram musi pojechać.
- Czy zabierze z sobą Ardżumand?

Zaskoczona Mihrunnisa podniosła głowę.

- Nie wiem. Może.
- Ach, tak. - Ladli zaczęła kreślić linie palcami stóp. - Mamo...

- Tak?

- Czy... czy to możliwe... czy mogłabym... czy mogłabyś poprosić cesarza, bym poślubiła Churrama? - Ladli wyrzuciła z siebie te słowa gorączkowo, zarumieniona aż po linię włosów.

Mihrunnisa wyprostowała się zdumiona. Jak mogła tego nie zauważyć? Ladli spędzała większość czasu z Churramem i Ardżumand, bawiąc się z ich dziećmi lub po prostu leżąc na otomanie. Książę był przystojny, a jeśli mu na tym zależało, potrafił być także czarujący, co Mihrunnisa wiedziała z doświadczenia. Miał poczucie humoru Rakajji i jej błyskotliwy umysł. Potrafił narzucać innym swój nastrój. I, koniec końców, był także następcą tronu. Choć od czasu ich rozstania minęły lata, Mihrunnisa nie potrafiła znaleźć wśród jego braci nikogo, kto by mu dorównywał. Churram, ukochany wnuczek cesarza Akbara, był także ulubieńcem dworzan. Dlaczego Ladli miałaby go nie pokochać? I jak miała powiedzieć swojej córce, że Churram miał okazję ją poślubić, ale odmówił? I że prawdopodobnie zrobił to z poduszczenia ukochanej kuzynki Ladli, Ardżumand?

Ladli zaczęła płakać, upokorzona, że tak otwarcie musiała o to pytać. Po jej policzkach spływały łzy i skapywały z kształtnego podbródka.

- Przepraszam - powiedziała cicho. - Wiem, że Churram jest zbyt wspaniały, by spojrzeć na mnie, lecz myślę, że gdyby wyjechał do Dekanu, nie wróciłby przez parę lat... i zapomnieliby o mnie.

- Chodź, *beta*. Muszę ci coś wyjaśnić - powiedziała Mihrunnisa. Serce jej się łamało na widok łez Ladli. Wiedziała, że nieodwzajemniona miłość potrafi zabić.

Ladli pokręciła głową.

- Mówiłaś, że możesz robić wszystko, co chcesz. Codziennie widzę, jak robisz rzeczy, o których inne kobiety nie mogłyby nawet marzyć. Cesarz cię słucha. Poprosisz go, żeby wydał mnie za Churrama?

- Ladli... - Mihrunnisa zawahała się; wytarła pot przesycający rąbek jej *czoli*. - To po prostu niemożliwe.

- Dlaczego? Musisz tylko poprosić. Dlaczego tego nie zrobisz?

- *Beta*, istnieje wiele powodów. Nie mogę ci ich wyjaśnić. Jesteś za młoda...

- Już nie jestem młoda - odparła z goryczą *Ladli*. - Mam siedemnaście lat, tyle samo, ile ty miałaś, gdy wychodziłaś za mego ojca. *Ardzumand* została zaręczona w wieku piętnastu lat; nie wyszłaby za męża, gdyby sprawy potoczyły się inaczej. Jeśli mogłaś zaaranżować jej małżeństwo, czemu nie możesz mojego? Czy kochasz ją bardziej niż mnie?

Mihrunnisa wstała i podeszła do córki. Usiłowała ją objąć, ale *Ladli* zeskoczyła z kamienia i stanęła, odpychając matkę wyciągniętym ramieniem.

- Wiesz, że możesz to sprawić.

- *Ladli* - odezwała się *Mihrunnisa* najsurowiej, jak potrafiła. - Musisz zapomnieć o *Churramie*. Nigdy za niego nie wyjdiesz. Rozumiesz?

Ladli opadła z sił. Zgarbiła się jak staruszka.

- Rozumiem, mamo.

Po jej odejściu *Mihrunnisa* rzuciła się do pracy. Kopała z furią wyrwała z ziemi parę pnączy, cięła łopatą gęste, mięsiste i prawie dojrzałe ogórki. Była zła, zła, zła, nie na *Ladli*, lecz na *Churrama*! To on sprawił, że jej córka się w nim zakochała. To on był za to odpowiedzialny! Wyjedzie do Dekanu natychmiast i zabierze ze sobą *Ardzumand*. Swoich trzech synów zostawi na dworze jako gwarancję, że nie odważy się na rebelię. Co do *Ladli*, istnieje dla niej tylko jedno lekarstwo - małżeństwo z kimś innym. *Chusru* mógł jej odmówić. Tym razem, postanowiła, następny książe nie będzie mógł tego zrobić.

Churram krążył po komnacie. Kiedy dotarł na jej koniec, strzała słonecznego światła rozjarzyła brylanty na jego turbanie i szerokim pasie. Odwrócił się i pomaszerował w stronę otomany, na której siedziała *Ardzumand*.

- Nie pojedę do Dekanu!

Ardzumand podniosła głowę znad robótki. *Churram* wpadł do jej apartamentów pół godziny temu. Dopiero teraz się odezwał, ale *Ardzumand* dobrze знаła swego męża. Kiedy się

wściekał, lepiej go było zostawić samemu sobie. Dlatego się nie odzywała.

- Kto mówi, że masz pojechać? - spytała.

- Cesarz, lecz wyraźnie widać, skąd naprawdę pochodzi rozkaz.

- Ciszej... Podobno ma szpiegów nawet w naszym pałacu.

Churram rozejrzał się i pochylił ku niej. Dziś rano Dżahangir wezwał go do siebie. Ambar Malik znowu się zbuntował, a Parwez jest kiepskim dowódcą, dlatego Churram powinien go zastąpić.

- I co odpowiedziałeś?

- A co mogłem powiedzieć? Musiałem się zgodzić. - Z troską przeczesał palcami włosy. - Dlaczego ona chce mnie odesłać?

Ardżumand zmarszczyła brwi.

- Rzeczywiście, dlaczego? Czy Ambar Malik naprawdę zagraża cesarstwu?

- Nie sądzę. Odebraliśmy mu ziemie, które nam ukradł. Nie podbił nowych, ale jest zbyt blisko. - Churram usiadł na otomanie i oparł dłonie o kolana. - Dlaczego mam jechać, Ardżumand?

Pogłaskała go po karku; wtulił się w jej rękę.

- Ponieważ jako dowódca nie masz sobie równych. Musisz pojechać. Jeśli usłuchasz cesarza i powrócisz jako zwycięzca, a na pewno tak będzie, znowu znajdziemy się w łaskach najjaśniejszego pana. A wtedy nie odbierze nam tego nikt, nawet cesarzowa.

- Myślisz, że za tym rozkazem nie kryje się nic więcej? Dekan jest daleko, a będzie jeszcze dalej, kiedy najjaśniejszy pan wróci do Agry.

- Czym się trapisz?

- Tobą - powiedział, biorąc jej dłoń i kładąc ją sobie na piersi.

- Pojadę z tobą - oznajmiła ze śmiechem. - Tym razem pojadę. I nikt mnie nie powstrzyma.

- Na pewno? - spytał z niepokojem. - Nie będzie ci wygodnie.

- Pojadę. - Ardżumand wyprostowała się sztywno. - Pojadę.

Churam potarł jej dłonią o jedwabny brokat swego *nadiri*. Po powrocie z Mewaru otrzymał ten strój od cesarza jako oznakę łaski - z której Mihrunnisa najchętniej by go odarła. Dlatego nosił tę szatę codziennie - ten, komu raz ją przyznano, mógł sobie uszyć wiele podobnych. On miał ich trzysta.

Ardżumand powiedziała, że musi pojechać do Dekanu. Sam Churram także rozumiał, że to może być dla niego wielka szansa. Wróci na dwór i zostanie obsypany darami, może nawet dostanie nowy tytuł. Jego prawa do tronu się umocnią. Churram często towarzyszył cesarzowi i z poczuciem coraz większej zgrozy obserwował Mihrunnisę. Naginała zasady, omijała prawa, lecz jej wpływ na Dżahangira był równie silny jak dotąd. Wszystko uchodziło jej na sucho. Churram zaczął się niepokoić, czy słusznie odrzucił Ladli. Teraz nie mógł już zwrócić się do Mihrunnisy z prośbą o zawarcie tego związku - to by było jak prośba o przebaczenie. Znowu przysłała mu do głowy niepokojąca myśl.

- Nie mogę zostawić tu Chusru - odezwał się nagle, przerywając Ardżumand. - Jeśli tu będzie, cesarzowa każe mu poślubić Ladli.

Ardżumand się wyprostowała.

- Więc zabierz go ze sobą.

- Ze sobą... - Churram uśmiechnął się do niej z zachwytem. - Tak, zabiorę go. Ze mną będzie bezpieczniejszy niż z cesarzową. - Pocałował ją w usta. - Jesteś wspianała.

Następnego dnia Churram podszedł do ojca po popołudniowym spotkaniu w *diwan-i am* i udał się z nim do *zenany*. Pojadę, powiedział, jeśli Chusru będzie mi towarzyszyć. Dlaczego? - spytał cesarz. Skąd te nagłe uczucia braterskie? Churram odparł z urazą, że wcale nie są nagłe. Chusru jest ślepy, stanowi ciężar dla najjaśniejszego pana. Taka podróż wszystkim wyjdzie na dobre.

Dżahangir szedł, pozwalając Churramowi dreptać za nim. Stracił sympatię dla obu swoich synów. Obrazili Mihrunnisę, a zatem obrazili jego. W końcu zgodził się na prośbę Churrama.

I tak ksiączę z wielką pompą wyruszył z Mandu do Dekanu.

Jechał w kopii angielskiego powozu, który Roe podarował Dżahangirowi, z nowym inkrustowanym klejnotami mieczem wartym sto tysięcy rupii oraz z krótkim sztyletem wartym czterdzieści tysięcy rupii. Rzemieślnicy sporządzili dwie kopie pojazdu - po jednym dla Mihrunnisy i księcia Churrama. Oryginał został rozłożony i wyposażony w nowe obicie z brokatu i jedwabiu wyszywanego klejnotami. Ćwieki z brązu zostały zastąpione srebrnymi, a podłogę wyłożono srebrną blachą.

Churram był w drodze zaledwie od dziesięciu dni, gdy dogoniła go wiadomość o śmierci cesarzowej Dżagat Gosini. Choroba zaatakowała ją nagle: gorączka przyszła wieczorem, majaczenie następnego dnia, a rano śpiączka, z której cesarzowa już się nie obudziła. Po wygnaniu Mahabbat-chana do Kabulu Dżagat Gosini żyła w odosobnieniu. Straciła nawet Churrama - straciła go niemal w pierwszych chwilach jego życia. Najpierw odebrała go jej Rakajja, potem - Ardżumand. Kobieta, która go jedynie wydała na świat, nie była mu droga, i cesarzowa wreszcie to zrozumiała. Rakajja ją pokonała.

Być może znalazłaby pocieszenie w wieściach, które dotarły do Mandu tuż przed jej śmiercią, lecz zmarła, nie dowiedziawszy się o nich. Miesiąc temu w Agrze zmarła także Rakajja Sułtan Begam. Postanowiła nie jechać do Adżmeru i Mandu z dworem. Pewnego dnia w pałacach *zenany* Rakajja ujrzała straszny widok: szczur przemknął z piskiem przez jej komnatę i wpadł na ścianę. Zaraz potem zaatakowała ją zaraza. Ale Rakajja zmarła tak, jak żyła - odważnie.

Mihrunnisa opłakiwała jej odejście z rozpaczą, której się nie spodziewała. Nie rozpacziała codziennie, gdyż Rakajja od paru lat przebywała w Agrze i nie spotykały się często, lecz zawsze służyła jej radą, otuchą, choćby listownie... a teraz nie będzie już listów.

Parwez nadal mieszkał w Dekanie. Tylko księżę Szahrijar przebywał na dworze. Churram ruszył w podróż z lekkim sercem, pewien, że ukradł Mihrunnisie kolejną strzałę z kołczanu. Ale zapomniał, że jego młodszy brat, rówieśnik Ladli, skończył siedemnaście lat.

Był już wystarczająco dorosły, by wziąć sobie żonę.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Dochód króla z jego ziem wynosi pięćdziesiąt crou; każde crou wynosi sto lecków, a każdy leck to sto tysięcy rupii; w naszej walucie jest to pięćdziesiąt milionów funtów, niewiarygodna suma, przekraczająca te, które przypisuje się Chinom.

Early Travels in India, Sixteenth and Seventeenth Centuries, wyd. J. Talboys Wheeler

Sir Thomas Roe przebywał w Indiach już od dwóch lat i czuł, że znalazł się u kresu sił. Był równie daleki od podpisywania traktatu jak wtedy, gdy po raz pierwszy zjawił się na dworze cesarskim. Gorączka, która zaatakowała go zaraz po przybyciu, nigdy tak naprawdę nie wypuściła go ze szponów - pojawiała się z przerażającą regularnością. Roe przeważnie czuł się źle. Nie zadał sobie trudu nauczenia się miejscowych języków; znał perski w podstawowym zakresie, dzięki czemu mógł się od biedy porozumieć z cesarzem. Kiedy przychodziło do samego traktatu lub rozmów o nim, Roe musiał się wyręczać tłumaczem. Męczyło go, że nie wie, czyjego oficjalny język i ton szacunku zostały zachowane. Mógł jedynie obserwować reakcje cesarza, a Dżahangir przeważnie zachowywał kamienny wyraz twarzy i zawsze odpowiadał uprzejmie. Dyplomacja była męczącym, czasochłonnym i irytującym zajęciem. Roe czuł, że kończy mu się czas i cierpliwość.

Jednak cesarz był bardzo uprzejmy. Niemal codziennie Roe otrzymywał świeże łupy z polowań - dziki, świnie, nilgau, sarny, przepiórki. Mihrunnisa wysłała mu także niewolnice, które odesłał z pełnymi szacunku podziękowaniami. Wyjaśnił jednak, że w jego kawalerskim domostwie niewolnice nie miałyby nic do roboty. Cesarzowa podarowała mu złociste, doj-

rzałe melony, które wyhodowała w ogrodach *zenany* - Roe uznał je za przepyszne i odświeżające podczas letnich miesięcy.

Ambasador sumiennie rewanzował się za każdy dar. Kompania przysłała do Indii wielkie zapasy podarunków w nadziei, że w ten sposób wkradnie się w łaski cesarza. Jednak Roe nie mógł dorównać hojnością Mihrunnisie i Dżahangirowi.

Cesarzowa grała na zwłokę. Nigdy nie wspominali o tak pożądanym przez ambasadora traktacie, choć zawsze mu sprzyjali. Cesarzowa otrzymała od niego to, czego chciała - ochronę przed Portugalczykami na Morzu Arabskim. Jej statki były na wszelki wypadek wyposażone także w portugalski *cartaz*. Pewnego razu Roe ocknął się z gorączki i przekonał, że jezuita znowu odzyskali wpływy na dworze i wysłali nowego posła od wicekróla Portugalii. Mihrunnisa zabezpieczyła się z obydwu stron. Anglicy i Portugalczycy strzegli jej statków, życząc sobie nawzajem wszystkiego najgorszego i nie wiedząc, jak zaszkodzić konkurentom.

Roe nie zareagował. Zrozumiał, że został sprytnie wystawiony do wiatru. Oczywiście nadal poruszał temat traktatu. Z kolei Mihrunnisa nie spytała go, o jaki rodzaj układów handlowych chodzi.

Nie było to głupie pytanie. Co Anglia mogła zaoferować cesarstwu w zamian za to, czego od niego chciała?

Na angielskim rynku nie było dosłownie żadnego towaru, na który byłby w Indiach odpowiedni popyt, by uzasadnić nawiązanie stosunków handlowych. Anglicy produkowali grube sukno, które początkowo dla mieszkańców Indii było ciekawostką, lecz w rezultacie okazało się niepraktyczne, zupełnie niedostosowane do upałów tego kraju. Przewaga znajdowała się po stronie cesarstwa. Roe nie był jedynie przedstawicielem dworu angielskiego, lecz także Kompanii Wschodnioindyjskiej. Polecono mu kupić wiele artykułów - kauczuk, miedź, brąz, srebro, bawełnę, indygo, saletrę potasową, opium i przyprawy, na przykład pieprz, kurkumę i szafran. Najważniejsze było indygo i bawełna.

Indygo to ciemnoniebieski barwnik, jakim nadawano kolor

jedwabowi, wełnie i bawełnie. Otrzymywano go z rośliny rosnącej na mokradłach w Bayanie na południowym zachodzie Agry. Barwnik ten był bardzo ceniony; nazywano go *nil* - błękit - choć Roe mówił o nim tak, jak wszyscy: indygo, czyli „kolor Indii”. Liście rośliny przez dwa dni namaczano w wielkich kadziach z wodą, aż puściły błękitny pigment. Wówczas wodę zlewano, a barwnik osiadał na dnie kadzi. Czekano, aż wyschnie, po czym robiono z niego kulki i przechowywano w glinianych słojach. Magazyny, w których przechowywano cenne kulki indygo, były wielkie, ze świetlikami w dachach, przez które wpadały promienie słońca, z masywnymi półkami aż pod dach, gdzie trzymano pojemniki z indygo.

Anglicy rywalizowali z Portugalczykami i niedawno przybyłymi Holendrami o większość indyjskich produktów. W rezultacie cena indygo wzrosła do niebywałego poziomu, zależnie od popytu na niego lub zapasów, które z kolei zależały od zbiorów. Roe niemal codziennie otrzymał wiadomości z Bayany o cenie indygo; kiedy spadała, kupował wielkie ilości, które najbliższym statkiem odpływały do Anglii.

Anglicy, nie mając nic do zaoferowania w zamian za to, co zabierali z cesarstwa, zaczęli zasypywać Indie złotymi i srebrnymi monetami. Angielskie kufry z wolna pustoszały, a skarbiec mogolski pęczniał od złota i srebra. Angielskie monety natychmiast przetapiano i bito na nich cesarską pieczęć. Roe słał liczne listy do Kompanii Wschodnioindyjskiej, ostrzegając przed konsekwencjami dostarczania Indiom zbyt wielkiej ilości srebra. Cesarski skarbiec był tak doskonale zaopatrzony, że wstrzymano prace w kopalniach srebra, a górnicy musieli znaleźć inne zajęcie. Gdy cesarstwo potrzebowało tego kruszcu, Anglicy praktycznie mu je podarowali. Dlatego mimo niepokoju o działania dyplomatyczne i zachowanie na dworze, Roe zaczął się martwić o coś jeszcze. W końcu Kompania postanowiła zacząć handlować towarami importowanymi.

Sprowadzono porcelanę z Makao, kamforę z Borneo, korzenie z Achin i Bantim, surowy jedwab i aloes z Syjamu, kość słoniową z Afryki, a srebro z Japonii. Na rynkach w Agrze po-

jawiło się mnóstwo osobliwości z różnych krajów całego świata, do których handlarze z Indii nigdy nie zawitali.

I tak wyglądały dni Roego w Indiach. Ambasador usiłował przykładnie wypełniać swoje obowiązki, nieustannie tęskniąc za chłodnym, wilgotnym klimatem Anglii. Pewnego popołudnia leżał w hamaku w ogrodzie, kiedy służący przyniósł mu wiadomość, że świta Dżahangira właśnie mija jego dom. Ambasador pospieszył na spotkanie cesarza. Kiedy Dżahangir zrównał się z nim, Roe skłonił mu się w pas. Cesarz zatrzymał konia.

- Jak się miewasz, ambasadorze?

- Bardzo dobrze, najjaśniejszy panie.

- Co masz dla mnie? - Dżahangir spojrzał ciekawie na książkę w dłoniach Roego.

Ponieważ etykieta nakazywała zawsze mieć jakiś dar dla cesarza, Roe wybiegł z domu z najnowszym wydaniem atlasu. Nie miał nic innego, co mogłoby posłużyć jako odpowiedni dar; nadal czekał na najnowszą przesyłkę towarów z Anglii. Po przybyciu do Indii Roe porównał atlas Mercatora z miejscowymi mapami i przekonał się, że atlas wyznaczał niewłaściwe miejsce Indusu, który uchodził do Zatoki Kambajskiej zamiast Sind. Lahaur nie leżało w pobliżu Rawi, a o Agrze, stolicy cesarstwa, w ogóle nie było żadnej wzmianki.

Podał atlas cesarzowi.

- Ponieważ władasz tak wielkim krajem, najjaśniejszy panie, zechciej przyjąć te mapy. Oddaję je potężnemu władcy.

- Wszystko, co dostaję od ciebie, wielkie czy małe, witam z równą radością, sir Thomasie. - Dżahangir położył dłoń na piersi. - Powiedz, czy okręt już przybył?

- Spodziewam się go w każdej chwili.

- Gdzie mieszkasz? - Dżahangir rozejrzał się. Roe wskazał zrujnowany meczet, który służył mu za dom.

- Pięknie - powiedział uprzejmie cesarz i dał świcie znak do odjazdu. Roe skłonił się i zaczekał, aż Dżahangir zniknie mu z oczu.

Parę dni później powiadomiono go, że do brzegów Surat przybił angielski statek. Pomiędzy darami dla Dżahangira znajdowały się dwa mastyfy. Edwards przysłał niegdyś cesarzowi psa tej rasy. Mastyf okazał się nieustraszonym łowcą i zabił lamparta i dzika, podczas gdy psy z Persji uciekły z podkulonymi ogonami. Zachwycony Dżahangir poprosił o więcej takich psów. Wysłano ich z Anglii sześć; podróż przeżyły dwa.

Dżahangir rozkazał, by dwa mastyfy zawsze towarzyszyły mu w podróży, noszone w złotych i srebrnych palankinach. Każdemu przydzielił czterech służących i kazał sporządzić złote szczytce, by mógł je osobiście karmić bez obawy, że go pogryzą.

Z Anglii przysłano także kapelusze, surduty i obrazy, które cesarz tak lubił. Dżahangir i Mihrunnisa wybrali obrazy, które spodobały im się najbardziej i wysłali je do atelier, by malarze wykonali ich wierne kopie. I tak angielskie polowania, bitwy i portrety dam dworu króla Jakuba ozdobiły wszystkie pałace haremu i domy wielmożów w Mandu.

Parę dni później Dżahangir wezwał Roego i pokazał mu jeden z obrazów. Przedstawiał Wenus i rogatego satyra o śniadej skórze.

- Zachowaj milczenie, Roe - powiedział Dżahangir. - Spytam teraz dworzan o interpretację tego wspaniałego malowidła, które sprowadziłeś dla nas z Anglii.

Odwrócił się do zebranych.

Zaczęli gorliwie przedstawiać swoje wyjaśnienia, ale żadne go nie zadowalało.

- Nie, nie, nie macie racji - powiedział, gdy ostatnia osoba skończyła mówić. - Powiedz nam, co oznacza ten obraz, wielebny - zwrócił się do wielebnego Terry'ego, towarzysza Roego i kapelana.

- Najjaśniejszy panie - powiedział Roe - wielebny jest kapłanem, duchownym. Niewiele wie o takich sprawach.

- A zatem dobrze, sir Thomasie, ty nam to wytłumacz.

Roe zawahał się. Coś tu było nie tak, ale co?

- Najjaśniejszy panie, malarz po prostu zamierzał zaprezentować swoje mistrzostwo, lecz znaczenie tej sceny nie

jest dla mnie jasne. Pierwszy raz widzą taki obraz - rzeki ostrożnie.

- Przyjmuję twoje słowa i sam opowiem, jak rozumiem to malowidło - odparł Dżahangir. Mówił równie dystyngowanym tonem jak zwykle, lecz jego słowa z nim kontrastowały. - Znaczenie tego obrazu jest takie: malarz kpi z mieszkańców Azji. To jasne, że śniady satyr reprezentuje nas. Spójrz tutaj - wskazał - Wenus, biała kobieta, trzyma go za nos. Malarz zamierzał okazać pogardę wszystkim Azjatam, portretując nas jako jeńców białych ludzi.

- Ależ nie, najjaśniejszy panie - pospieszył z tłumaczeniami Roe. - Błagam o wybaczenie, jeśli artysta cię obraził. To nieporozumienie.

- Nie szkodzi. - Cesarz machnął ręką. - I tak przyjmuję ten dar. Możesz odejść, ambasadorze.

Roe się skłonił.

- Ach, i zabierz atlas. - Dżahangir podał mu mapy. - Pokazałem go mułom, którzy nic nie potrafią z niego zrozumieć. Nie mógłbym cię obrabować z takiego klejnotu.

Roe skłonił się, zgrzytając zębami. Popełnił dwa błędy, choć żadnego z własnej winy. Pobiegł do domu i napisał do Kompanii Wschodnioindyjskiej wściekły list, opisując incydent z obrazem i ostrzegając przed przysyłaniem innych scen alegorycznych, które mogłyby obrazić cesarza.

Atlas подарował cesarzowi sam, lecz tylko z braku innego daru. Jego mapy przedstawiały cesarstwo mogolskie jako skromny skrawek ziemi. Były na nich inne wielkie kraje, niektóre odkryte, inne nie. Cesarz po wstąpieniu na tron nazwał się „Zdobywcą świata” - czemu atlas przeczył. Roe znowu popełnił nietakt.

Cesarz nie wspominał więcej o malowidle. Osiągnął swój cel - dał ambasadorowi do zrozumienia, że został urażony i jeśli Anglicy chcą dłużej zostać w Indiach, nie powinni sobie pozwalać na takie błędy. Z Anglii zaczęto wysyłać malowidła olejne i pastele, przedstawiające wyłącznie pogodne sceny, miłe oku, pod żadnym względem nieobrażające uczuć.

I tak mijał czas. Zaraza ustąpiła i wreszcie wygasła. Następ-

nej zimy oczekiwano z przerażeniem, ale nie, Agra, Delhi i Lahaur przeżyły. Dżahangir i Mihrunnisa postanowili wrócić do Agry, a stamtąd udać się do Kaszmiru - po raz pierwszy od zawarcia małżeństwa.

Cesarz złożył Roemu taką samą propozycję jak Williamowi Hawkinsowi - jeśli chce zostać w Indiach i porzucić Kompanię Wschodnioindyjską, wystarczy powiedzieć tylko słowo. Otrzyma dobrą pensję, wyższą niż ta, którą dostaje obecnie, zostanie prawowitym *mansabdarem* cesarskim, dowódcą tyśiąca jeźdźców, i w końcu otrzyma tytuł chana. Sir Thomas Roe-chan. Albo chan Thomas Roe. Jak mu się spodoba.

Roe napisał ostatni list do dyrektorów Kompanii Wschodnioindyjskiej, w której zrzekał się swojej godności. Doradził, by na jego miejsce przysłano kogoś innego. Nie można nakłonić cesarza podstępem do podpisania traktatu - jest zbyt sprytny, by utracić przewagę, jaką miał, wygrywając przeciwko sobie Anglików i Portugalczyków. 17 lutego 1619 roku od wybrzeży Surat odbiła flota statków, wyruszających w rejs do Anglii. Sir Thomas Roe znajdował się na pokładzie *Anne*.

Chciał wrócić do domu.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Jedno cesarstwo nie mogło pomieścić dwóch tak wybitnych osobowości jak Nurdżahan i Szahdżahan. Oboje znali się na tyle dobrze, że nie mieli złudzeń. Sytuacja była całkowicie jasna: Nurdżahan albo powinna się szybko wycofać z życia publicznego, albo też zastąpić Szahdżahana bardziej posłusznym narzędziem. Z typową dla siebie brawurą i ambicją wybrała ten drugi wariant. Czekały ją wielkie trudności, lecz ona nie należała do osób, które się tym zrażają.

Beni Prasad, *History of Jahangir*

W tym roku monsuny naciągnęły nad Agrę o właściwej porze. Turkusowe chmury nabrały barwy indygo, indygo pociemniało do śliwkowego, obrysowanego świetlistą obwódką słońca. Upał się zmniejszył, niebo w południe nie wyglądało już jak rozżarzone do białości. Dżamna zwolniła bieg. Przez miasto przemykały cudownie chłodne powiewy wietrzyka, który trzepotał jedwabnymi *ghagarami*, pieścił zmęczone upałem twarze, podnosił na duchu i przywoływał uśmiechy.

Miasto było przystrojone w najpiękniejsze ozdoby. Ulice zamieciono miotłami z liści palmowych, świeżo wymyte brukowane ulice lśniły, domy pobielono, wypędzono smród zarazy, okadzono pokoje, dziedzińce i ogrody. Bazary Agry kipsiały od zdrowych, dobrze wyglądających ludzi. Nie przyglądano się sobie z ukosa, sprawdzając, czy człowiek tuż obok nie jest chory, nie uciekano na widok czerwonych, rozjątrzonych plam na rękach czy ropiejących nóg, nie przeciskano się przez bazar z nosem i ustami zasłoniętymi długą szarfą turbanu. Plaga opuściła miasto. Agra znowu mogła żyć. A miała powody, by się radować - po pięciu długich latach oddalenia cesarz Dżahangir wracał do stolicy!

W południe dnia cesarskiego przejazdu przez Agrę monsu-

nowe chmury rozdarły się i lunęły potokami deszczu, ciepłego i kojącego. Ludzie podnosili twarze ku niebu, otwierali usta, pili wodę. Był to dobroczynny deszcz, który przynosił życie miastu i polom dokoła. Deszcz witany radośnie, gdyż mógł zmyć wspomnienia zarazy, strasznej śmierci, która wybiła całe rodziny, tak że nie pozostał nikt, kto mógłby odprawić ceremonię pogrzebową. Cesarz Dżahangir sprawił, że na Agrę zaczął padać deszcz. Zaprzagnął powrócić, deszcz więc wyszedł na jego spotkanie.

Ulice były zatłoczone; ludzie stali wzdłuż trasy przejazdu cesarskiego orszaku, kordon żołnierzy chronił ich przed wpadnięciem pod nogi słońi i wierzchowców. Kiedy zza rogu ulicy wyłonił się pierwszy słoń, tłum wydał okrzyk:

- *Padiszah salamat!* - Wszyscy oddają cześć królowi!

Pod nogi słońi rzucono gałązki jaśminu, z balkonów sypano płatki róż. Dżahangir i Mihrunnisa siedzieli na słońiu w lektyce ozdobionej złotą i srebrną blachą. Słoń kroczył brukowaną ulicą, deptając kwiaty, a cesarska para sięgała do haftowanych sakiewek i rzucała srebrne rupie w tłum.

Mihrunnisa śmiała się na widok zebranych ludzi, śmiała się razem z nimi, nagle bardzo szczęśliwa z powodu powrotu do Agry. Welon przywarł jej do twarzy tak, że ujawniał rysy, zmokła tak samo jak ludzie u jej stóp, deszcz przemoczył jedwabne *czoli* i *ghagare*, ale ona na to nie zważała. Ludzie pozdrawiali także ją. Witali ją z taką samą miłością jak cesarza. Dobrze jest wrócić do domu, a Agra była jej domem.

W pałacach nic się nie zmieniło. W ogrodach uschło parę drzew, które wycięto. W *zenanie* po przejściu zarazy spalono wszystkie dywany i otomany, lecz poza tym wszystko było jak dawniej. Wypolerowane marmurowe posadzki lśniły, w komnatach i korytarzach unosił się ciężki, przyjemny zapach piżma. Dywany, niedawno utkane w warsztatach w Agrze, olśniewały tysiącem kolorów. Jeszcze przed chwilą opustoszałe ogrody i korytarze rozbrzmiewały echem radosnych głosów kobiet, które zostały w Agrze, a teraz przybiegły, by powitać Dżahangira i Mihrunnisę. Cesarska para spotkała się z tyloma z nich, z iloma mogła, odwiedziła starsze damy i udała się do

swoich apartamentów. Tam Mihrunnisa zaczęła planować ślub Ladli.

W przypadku Ladli ominięto tradycyjne formalności związane ze ślubem. Na ogół zawarcie związku zaczynało się od wezwania swatki. Była to zwykle bardzo stara kobieta o pomarszczonej twarzy, z siwymi, rzednącymi włosami, przez które prześwitywała łysa czaszka, i zębami pożółkłymi od żucia tytoniu i liści *paanu*. Swatanie przynosiło spore dochody; każdy wcześniej czy później musiał się ożenić, dlatego swatki były bardzo poszukiwane. Niemal od urodzenia dziecka odwiedzały domy w okolicy, przyglądając się dzieciom troskliwie jak kwoki. Jak sobie radzi podczas lekcji z mułką? Czy dobrze haftuje, czyjej ścieg przypomina sznurek drobnych pereł? Jeśli nie, winowajca dostawał burę. Nie chcesz zawrzeć dobrego związku? Dlatego, kiedy nadchodziła właściwa pora, kiedy rodzice zaczynali się rozglądać za dobrą narzeczoną dla syna, najpierw zwracali się do swatki.

Gdy książę Churram wyjechał do Dekanu, Mihrunnisa miała dużo czasu na zastanowienie się nad zamażpójściem Ladli. Książę od czasu do czasu przysyłał wieści o swoich drobnych sukcesach. Podbił pewne rejony kraju, chwycił lub przepędził ludzi Ambara Malika, a cesarskie wojska odpoczywały przed przystąpieniem do następnych walk. Od wyjazdu Churrama minęło wiele miesięcy, a Ladli stawała się coraz bardziej milcząca i smutna. Wszystko zrozumiała. I nagle jakby dorosła. Już nie biegała po korytarzach, jej śmiech nie przeszkadzał Mihrunnisie przygotowywać *farmany*, a oczy straciły blask.

Właśnie wtedy, gdy Mihrunnisa walczyła z domagającym się traktatu Roem, a Ladli nagle zobojętniała na wszystko, cesarz Dżahangir znowu zachorował. Nowy atak astmy wyglądał podobnie jak poprzednio. Mihrunnisa spędziła wiele godzin u łoża Dżahangira, żałując, że nie może oddychać za niego, nasłuchując jego rżenia. Czytała mu, gdy chciał usłyszeć jej głos, spała, siedząc na podłodze, oparta o otomanę, z jego ręką spoczywającą koło jej głowy. Wystarczyło, że jej dotknął lub

się poruszył, a natychmiast się budziła. Ladli także odwiedzała Dżahangira. Nie wspominała o Churramie, ale kiedy przynoszono od niego wieści, wychodziła z pokoju.

I tak Mihrunnisa znalazła się między kochanym mężem i ukochaną córką, trzymając w dłoniach losy cesarstwa. To ona każdego ranka chodziła na *dżharokę*; nie było *darbarów* w *diwan-i am* ani *diwan-i chass*, wszystkie sprawy państwowe załatwiano pod balkonem *dżharoki*. I tak mijał dzień za dniem. Dżahangir wkrótce wyzdrowiał, o wiele szybciej, niż się spodziewała, ale nadal miał wielkie problemy z oddychaniem. A kiedy odzyskał zdrowie, ofiarował Mihrunnisie nowy dar: pozwolił, by biła monety ze swoim imieniem. Był to niewiarygodny przywilej, gdyż w historii panowania Mogołów żadna kobieta nie umieściła swojej podobizny ani imienia na monetach. Mihrunnisa osiągnęła i to. Kazała wybić w cesarskiej mennicy złote i srebrne monety z dwunastoma znakami zodiaku po jednej stronie, a po drugiej z napisem „Z rozkazu króla Dżahangira to złoto jest stokroć wspanialsze, ponieważ zdobi je imię królowej Nurdżahan”. Dzięki tym monetom zyskała mocne miejsce w strukturze cesarstwa. Teraz i ona stała się suwerenem. Zjawiała się na *dżharoce*, miała monety z własnym imieniem, była cesarzem pod każdym względem, tylko nie z tytułu.

I tak właśnie było. W Indiach mogolskich istniały trzy oznaki suwerenności - prawo do pospisywania *farmanów*, bicia monet ze swoim imieniem lub podobizną oraz *chutba*. Mihrunnisa miała dwie pierwsze. Trzecią było prawo do wypowiedzenia imienia cesarza w ogromnych ziemiach mogolskich, gdzie wiele osób miało żyć i umrzeć, znając jedynie jego imię, nigdy go nie widząc i nie znając jego osiągnięć. *Chutba* brzmiała następująco: Wszyscy oddają cześć Dżahangirovi Padiszahowi, Światłu Wiary, Zdobywcy Świata, Najpotężniejszemu Panu. Co piątek w porze południowych modlitw muezini w każdym meczecie na terenie całego cesarstwa wykrzykiwali imię cesarza Dżahangira. A kiedy ucichło echo ich dźwięcznych głosów, inny głos szeptał cicho imię Mihrunnisy.

Cesarstwo zaczęło rozumieć, że ona i Dżahangir stanowią

jedność. Wszyscy zapomnieli już o domysłach, jak i dlaczego Mihrunnisa zdobyła serce cesarza - zdobyła je i była mu równie cenna jak życie. Nie obchodziły go obelgi pod adresem jego męskości, skoro pozwolił kobiecie wypełniać męskie obowiązki. Był na tyle pewien swojej męskości, by nie dbać o takie uszczypliwości. Ufał tylko Mihrunnisie i dawał to do zrozumienia dworzanom, wielmożom i dowódcom.

Mihrunnisa kwitła, a tymczasem Ladli gasła w oczach. Stała się cieniem, zawsze obecnym w komnatach matki, zawsze w zasięgu wzroku, zawsze milczącym. Wychudła, oczy zrobiły się jej ogromne, ale nadal się uśmiechała, a na widok każdego jej uśmiechu Mihrunnisie łamało się serce. I narastała niechęć do Churrama, który niemal z rozmysłem igrał z uczuciami jej córki.

Na parę dni przed wyruszeniem w długą podróż powrotną do Agry z Mandu Mihrunnisa weszła do komnaty Ladli. Dziewczyna malowała przy oknie. Siedziała na podłodze, ze stopami wsuniętymi pod otomanę, ze sztalugami opartymi na kolanach. Wokół siebie na kamiennej posadzce rozstawiła gliniane miseczki z farbami. Nieco czerwonego pigmentu rozsypało się i lśniło na kamiennych płytach niczym krew. Ladli podniosła głowę, zarumieniona od upału, z kosmykami włosów wymykającymi się z warkocza.

Mihrunnisa usiadła koło niej.

- Co malujesz, *beta*?

- Widok z tego okna. - Ladli wskazała pędzlem. Palce miała usmarowane zielenią i błękitem. Mihrunnisa rozpoznała zarys drzew mango o gęstych i ciemnych liściach, sowę siedzącą ze stoickim spokojem na niskiej gałęzi. Pocałowała Ladli w czoło.

- Masz dla mnie czas, mamó? - spytała z obawą Ladli.

- Niewiele, *beta*. Zaraz muszę iść.

Ladli zanurzyła pędzel w dzbanku z wodą, otrząsnęła go energicznie i rozcapierzyła włosie, by oczyścić je z zielonej farby. Potem mocno je ścisnęła, tak że utworzyło ostry czubek, i zanurzyła je w smużce czerwieni na podłodze. Oczy sowy zalśniły.

- To nocny kolor - zauważyła Mihrunnisa, pochylając się nad ramieniem córki. - Za dnia oczy sów są brązowe i żółte.

Ladli się uśmiechnęła.

- Wszystko zależy od punktu widzenia, prawda? Dla mnie sowa czy to za dnia, czy w nocy, ma lśniące oczy. Mułła twierdzi, że sowy nie widzą za dnia - ale ja daję jej wzrok. - Odwróciła się poważnie do matki. - Więc który, mam? Parwez czy Szahrijar?

Mihrunnisa objęła szczupłą talię córki i położyła głowę na jej ramieniu. Ona także czuła się staro. Może jeszcze nie tak naprawdę, lecz nieustanne walki o utrzymanie cesarstwa na właściwym kursie były męczące. Ladli z dala od niej stała się młodą kobietą. Kiedy zyskała tę łagodną mądrość? Zawsze ją miała, nawet przed epizodem z Churramem. Ale wtedy maskowała ją wesołością i żartobliwością, obecnie przytłumionymi przez smutek. Ladli spytała, którego z książąt ma poślubić. Jakoś dowiedziała się o odmowie Churrama. Mihrunnisa wtuliła twarz w chłodne ramię córki, żałując, że Ladli w ogóle poznała Churrama.

- Szahrijar, *beta* - odparła. - Parwez to słabeusz.

Ladli roześmiała się cicho.

- Nie było wielkiego wyboru, prawda? Parwez może i jest słabeuszem, ale Szahrijara zwa *naszudanim*. Ofermą. - Pogłaskała policzek matki i przytuliła ją mocniej. - Czy... czy się zgodził?

Tylko przez chwilę w jej głosie zabrzmiało drżenie. Tylko przez chwilę.

- Tak.

Mihrunnisa nie wyjaśniła, że Szahrijar zgadza się na wszystko. Nie miał własnego zdania, a jeśli nawet, nikt go nie znał, bo książę nie raczył go ujawniać. To będzie bardzo niešťęśliwy związek, lecz co jej pozostało? To musiał być Parwez albo Szahrijar. Parwez był pijakiem i Mihrunnisa tylko tyle o nim wiedziała, ponieważ zbyt długo go nie widziała. Przynajmniej Szahrijar dorastał na dworze... Jego dziwactwa były zrozumiałe. Stanowił mniejsze zło.

- Kiedy odbędzie się ślub?

- Gdy wrócimy do Agry. - Mihrunnisa objęła Ladli obiema rękami; córka odwróciła się do niej. I tak, siedząc ramię w ramię, objęte, milczały przez parę długich chwil.

Mihrunnisa dostrzegła za Ladli tomik w brązowośliwkowej skórzanej oprawie ze złotym liściem. Podniosła go z dywanu. Wiersze Firdausiego. Na palcach zostały jej drobiny złotego pyłu.

- Lubisz Firdausiego? - spytała.

Ladli uśmiechnęła się łagodnie, bez wyrzutu.

- Zawsze lubiłam.

Wyciągnęła rękę po książkę.

- Kiedyś nie lubiłaś poezji, *beta*.

- Kiedyś. - Ladli skłoniła głowę. - Dawno temu. - Odłodziła pędzel na brzeg miseczki z farbą. - Oddasz mi ją mamó?

- Tak, oczywiście. - Mihrunnisa ujęła książkę za grzbiet i podała ją Ladli. Kartki o złotych brzegach rozchyliły się pośrodku książki; po chwili okazało się dłaczego. Między kartkami znajdował się ususzony kwiat. Wypadł na dłoń Mihrunnisy, która uniosła go za łodyżkę. Był to pąk róży na chwilę przed rozkwitem, teraz na zawsze zatrzymany w tym stadium, z wciąż doskonałym kształtem płatków, lecz spłowiały.

Drobny strzępek płatka oderwał się od pąka i opadł na dywan.

Ladli chwyciła matkę za przegub.

- Daj mi to, mamó.

Mihrunnisa upuściła ususzoną różę na dłoń córki, zaskoczona gwałtownością jej dotyku.

- Suszysz kwiaty, *beta*?

Ladli pokręciła głową i ostrożnie zamknęła pąk w dłoni.

- Tylko ten.

Dłaczego, chciała spytać Mihrunnisa, czemu akurat ten? Córka jakby znalazła się wiele kilometrów od niej, na jakiejś zapomnianej granicy cesarstwa. Z kart książki uniósł się słodki aromat róży. Nie można go było pomylić z żadnym innym - była to perska róża piżmowa, z gatunku służącego do wyrobu olejku. Była cenna ze względu na intensywny zapach. Takie róże są drogie, pomyślała Mihrunnisa. Hoduje się je w cesar-

skich ogrodach wyłącznie na olejek, nie mają innych zastosowań. A jednak w Adźmerze, w apartamentach, pod murem dziedzińca Churrama rósł jeden taki krzak o gałęziach uginających się pod ciężarem białych ciężkich pąków, w świetle księżycy podobnych do pereł. I tylko w jego apartamencie, nigdzie indziej.

Miała ogromną ochotę spytać, czy ta róża jest dla Ladli tak droga dlatego, że dostała ją od Churrama. I jak? W jakich okolicznościach?

Ale tylko ujęła w dłonie twarz córki, pocałowała ją w czoło, policzki, brodę i nos.

- Wszystko będzie dobrze, *beta*.

Ladli skinęła głową.

- Tak, wiem. Kiedyś muszę wyjść za mąż. I niewiele z nas ma tyle szczęścia, by wybrać sobie tę osobę. - Zabrzmiało to filozoficznie jak słowa mędrca, nie kogoś tak młodego jak ona. W jej wieku Mihrunnisa by się zbuntowała, przynajmniej wewnątrz, i okazałaby to otoczeniu, *kapie*, Abulowi, matce. Ale Ladli bardziej panowała nad sobą, zawsze nosiła cienką zbroję, którą osłaniała się przed wszystkimi, nawet matką.

Delikatnie pocałowała córkę w czoło i wstała. W drzwiach zatrzymał ją głos Ladli. Odwróciła się, ale Ladli patrzyła na pąk ususzonej perskiej róży.

- Mamo, czy kiedykolwiek spytałaś Churrama?

Zaślubiny odbyły się w kwietniu 1621 roku, gdy dwór wrócił do Agry. Jako obietnicę małżeństwa Szahrijar przysłał Ladli obrączkę z grubego złota z setką maleńkich, idealnie oszlifowanych brylancików. W zamian Ladli posłała mu pięć liści *paan* - betelu - z małą kulką kurkumy, orzechami betelu i kostkami cukru, zawiniętymi w chusteczkę z czerwonego jedwabiu. *Z okazji naszych zaręczyn pragnę przynieść ci słodycz, mój panie.* Pod drzewami *czonar* stały zespoły muzyków, ogrodnicy skrupulatnie przycinali kolce róż, by nie podarł się o nie żaden jedwabny welon. W dniu ślubu ogrodnicy wstali o świcie, by nazbierać nagietków i lili na girlandy. *Z zenany do mardany*, gdzie mieszkał Szahrijar, przysłano

dary - jedwabie, klejnoty, siodła wysadzone szmaragdami, arabskie konie o nieskazitelnym rodowodzie, słodycze z cesarskich kuchni, złote i srebrne dzbany z winem i *farmany* od Mihrunnisy dla księcia. Podniesiono mu *mansab* i podwojono dochody. Szahrijar został obecnie dowódcą z *mansabem* ośmiu tysięcy kawalerzystów i czterech tysięcy piechurów - niemal dorównując Churramowi. Mihrunnisa osobiście podpisała *farmany*. Książęta byli bogaci, lecz żaden nie posiadał tyle bogactw co ona - jej dochód równał się dochodowi dowódcy trzydziestu tysięcy konnych, tylko że w całym cesarstwie nie było człowieka, który co roku dostawałby tyle pieniędzy.

Podczas ceremonii Mihrunnisa siedziała za zasłoną, oddzielając kobiety z cesarskiej *zenany*, obserwowała i słuchała. Kadi zapytał Szahrijara, czy weźmie Ladli za żonę. Odpowiedział od niechcienia, niemal bez zainteresowania. Siedział niedbale na otomanie, z wyglądu wspaniały książę - dłonie skrzyły mu się od brylantów i szmaragdów, jedwabna *kaba* była wyszywana najwspanialszym złotym *zań*, migoczącym przy każdym ruchu, na turbanie pyszniła się brosza z rubinów i brylantów, przytrzymująca egretę, lecz wyglądało na to, że książę nie ma w sobie życia.

Kadi odwrócił się do Ladli i zadał jej to samo pytanie.

- Tak. - Odpowiedziała cicho, lecz z mocą. Głos jej nie zadźwięczał. Szahrijar odwrócił się, by spojrzeć na kobietę, która miała zostać jego żoną. Siedziała za zasłoną, koło Mihrunnisy, od stóp do głów okryta czerwonym szyfonem. Nie widział jej od wielu lat. Choć dorastali w tych samych pałacach, równie dobrze mogli być od siebie oddaleni o wiele kilometrów; Ladli była z Mihrunnisa i Dżahangirem, Szahrijar w jakimś dalekim zakątku z coraz to nową opiekunką.

Kadi wezwał wszystkich do modlitwy, którą odmówili ze spuszczonej głowami. Ladli zaczęła gwałtownie dygotać; Mihrunnisa mocno ścisnęła jej rękę i przycisnęła do swego serca, nagle rozgniewana. To wszystko przez Churrama. To przez niego siedzą w domu Ghijas-bega i aranżują to nieudane małżeństwo. Wybrała go na męża dla córki. Nie lubiła go, ale Ladli tak... i to przeważało. Była pewna, że traktowałby jej

córkę dobrze. A co do Ladli, wystarczyłoby jej, gdyby rzucił jej czasem dobre słowo i odwiedził, kiedy Ardżumand czułaby się niezdrowa. Nie miała ambicji swojej matki.

Mihrunnisa pocałowała dłoń córki i przytuliła do policzka. Modlitwa się skończyła, mężczyźni i kobiety wstali po obu stronach zasłony, wykrzykując gratulacje i najlepsze życzenia, biorąc się w objęcia. Ladli siedziała nieruchomo, z pochyloną głową. Mihrunnisie wydawało się, że wszystkie głosy, nawet jej, brzmią nieszczerze. Uśmiechała się, wybuchała śmiechem, usiłowała nie patrzeć na córkę, kiedy mówiła o jej szczęściu. Wysłała niewolnice z wieściami o ceremonii do Asmat, która była chora i nie wstawała z łóżka. Już sam fakt, że babka Ladli nie mogła uczestniczyć w ślubie, stanowił zły znak, o którym Mihrunnisa starała się nie myśleć.

Po drugiej stronie zasłony Ghijas-beg podszedł do syna i wyciągnął ramiona. Uścisnął Abula.

- Gratulacje, *bapo* - powiedział Abul.

- I dla ciebie, Abulu. Twoja siostrzenica wyszła za męża.

Tu umilkli i zerknęli na Mihrunnisę. Skinęła głową, pilnie obserwując wyraz ich twarzy. Ghijas wyglądał staro, jakby był bardzo zmęczony. Uroczystość była radosna, lecz on nie robił wrażenia szczęśliwego. Abul napisze o tym małżeństwie list do Churrama. Wobec kogo będzie lojalny? Wybierze ją czy swego zięcia? Ich przymierze się rozpadło; to małżeństwo stanie się ostatecznym ciosem.

Komnaty sprzątnięto i wniesiono potrawy. Mihrunnisa jadła powoli, nie czując smaku złotych *naanów*, bochenków chleba dopiero co odklejonych od ścian pieca. Ladli nie jadła, jej potrawy wracały do kuchni nietknięte, pełne chleba, jagnięciny i koźlęciny. Płakała bezgłośnie.

Mihrunnisa odsunęła talerz. Tak bardzo chciała wziąć Ladli w objęcia, jak w dzieciństwie, i obiecać, że wszystko będzie dobrze. To był okropny początek i po raz pierwszy od dawna zwątpiła w słuszność swojej decyzji. Ale czy miała inny wybór?

Kilka tygodni później Dżahangir znowu zaczął mieć gwałtowne ataki kaszlu. Choroba zaatakowała ponownie. Mihrun-

nisa postanowiła, że wyjadą do Kaszmiru. Może czyste górskie powietrze pomoże cesarzowi odzyskać zdrowie.

W Dekanie Churram przede wszystkim odbił z rąk nieprzyjaciela Burhanpur, gdzie Parwez po spotkaniu z ambasadorem Roem wypił cały zapas najszlachetniejszej angielskiej brandy, na jaką było stać Kompanię Wschodnioindyjską. Stamtąd ksiązę popędził na południe do Chirki, stolicy Ahmadnagaru, i podpalił ją, by nigdy więcej nie można jej było nazwać miastem. Domy zmieniły się w poczerniałe szkielety, uwięzieni w nich mężczyźni, kobiety i dzieci spłonęli żywcem, studnie i zbiorniki wodne zasypano piaskiem i kamieniami. Na ulicach leżały cuchnące szczątki spalonych wołów i krów. Churram popędził za Ambarem Malikiem do Daulatabadu, otoczył go i czekał cierpliwie, aż Malik umrze lub się podda. I właśnie tam dotarł do niego list.

Ksiązę Churram usiadł na kamieniu przed namiotem i przeczytał wieści o małżeństwie Ladli. Rzucił list do ognia. Jak można kogokolwiek wydawać za tego *naszudaniego!* Ladli zasługiwała na kogoś takiego jak on, Churram - księcia godnego tego miana, człowieka, który zostanie cesarzem... Zawsze była uroczym dzieckiem. I nagle stała się uroczą kobietą o lekkich ruchach i tajemniczym uśmiechu. Po tamtej nocy w Adźmerze Churram niemal przestał ją widywać. Nadal przychodziła do ich apartamentów, ale znacznie rzadziej i zachowywała się o wiele bardziej płochliwie. Pokusa, by ją pojąć za żonę i wprowadzić do swego haremu, była niemal miazdząca. Ale nie zrobił tego... a ona musiała za kogoś wyjść. Ale za tego nieudacznika?

To zmieniło wszystko. Zabrał Chusru ze sobą, żeby Mihrunnisa nie mogła go zmusić do ślubu z Ladli. Ale postawił na niewłaściwego księcia. Cesarzowa pewnie planowała to małżeństwo od czasu jego wyjazdu do Dekanu.

Pociągnął się za włosy tak mocno, że parę zostało mu w dłoni. Rzucił je do ognia. W powietrze uniół się swąd. Churram odkaszlnął i odwrócił się. Co teraz? Cesarz znowu zachorował. Jeśli umrze... na tronie zasiądzie Szahrijar, a on,

Chusru, będzie za daleko, żeby coś zdziałać. Ambar Malik miał się lada chwila poddać. Jeśli Churram teraz wyjedzie, wszystkie te miesiące walk pójdą na marne. Ale jeśli odniesie zwycięstwo, a ojciec przeżyje, znowu może liczyć na jego łaski. Jeszcze długo w nocy, gdy cały obóz spał, a ognisko prawie zupełnie wygasło, Churram siedział pod rozgwieżdżonym niebem i rozmyślał.

Z nastaniem ranka napisał do Abul Hasana. Nie bawił się w subtelności. Wiedział, że teść będzie lojalny wobec niego, nie siostry. W razie śmierci Dżahangira Abul ma zabezpieczyć tron dla niego.

Posłaniec wybiegł z obozu, niosąc list. Wydanie takiego rozkazu było łatwe, ale wykonanie go stanowiło przerażająco złożone wyzwanie logistyczne. Jak Abul miałby bronić tronu Szahrijarowi, który miał na nim zasiąść? Churram musiał wrócić do Agry.

Jakby na zawołanie, Ambar Malik poddał się niespełna tydzień później, wzięty głodem. Negocjacje potrwały nieco dłużej - podpisywano traktaty, dyskutowano o warunkach, rozmawiano, pito i świętowano. Zniecierpliwiony Churram postanowił zgodzić się na łagodne warunki dla Bidżapuru, Golkondy i Ahmadnagaru: pięć milionów rupii dla cesarza Dżahangira.

Następnie Churram popędził co koń wyskoczy do Burhanpuru i napisał długi list do ojca. Barwnie - nieco zbyt barwnie - przedstawił szczegóły walk z Ambarem Malikiem. Bardzo mu się spieszyło do powrotu na dwór. I zaczął czekać na odpowiedź.

Nadeszła, lecz nie zawierała zaproszenia na dwór. Cesarz mu dziękował, Mihrunnisa dziękowała mu za to, co uczynił dla cesarstwa, rzeczywiście, jest bardzo dzielny, lecz może... klimat Burhanpuru odpowiada mu bardziej?

Churram skarżył się Ardżumand i wszystkim, którzy ze chcieli go słuchać, wyprawiał się na polowania, pił tak, że co noc służący musieli go nieść do sypialni. A więc nie zostanie przyjęty na dworze, nie będzie tryumfującym, zwycięskim

księciem, powracającym w łaskawe ramiona ojca. Szahrijar, ten nieudacznik, zajął jego miejsce.

Miesiąc później Churram wytrzeźwiał. Szahrijarem zajmie się później. Jeśli chce zasiąść na tronie, musi zrozumieć, że wszyscy jego kuzyni są zagrożeniem. Wolny od oparów alkoholu i opium, znowu zaczął myśleć. Poprosił o prawo opieki nad Chusru nie tylko ze względu na Ladli. Jego brat, choć na wpół ślepy i szalony, nadal był najstarszym synem cesarza, nadal był tym, który zostałby powitany radośnie, gdyby zapragnął rządzić krajem. Stanowił zagrożenie.

Cesarz Dżahangir powiedział niegdyś, że władza nie zna pokrewieństwa.

Książę Churram zamierzał potwierdzić słuszność tego twierdzenia.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

*Szodżahan przez jakiś czas udawał, że traktuje nie-
szczęsnego Chusero z uwagą i respektem... Lekce
sobie ważył rozkazy z dworu w A grze i... wkrótce
potem, zyskawszy tytuł cesarza, skapał swój tron
w braterskiej krwi.*

Alexander Dow, *The History of Hindostán*

Churram przyglądał się swoim dowódcom, wchodzącym do zewnętrznej komnaty audiencyjnej w *zenanie*. Każdy zatrzymywał się w progu, wykonywał *konisz* i podchodził do księcia, gdzie kłaniał się jeszcze raz. Abdur Rahim przybył ostatni. Churram nalegał, by głównodowodzący armią mogolską wspomógł go w kampanii - był to jeden z warunków, jaki przedstawił cesarzowi. Dlatego Abdur Rahim opuścił Parweza, przy którym tkwił od tylu lat, i dołączył do Churrama. On także skłonił się księciu. Kiedy się wyprostował, jego twarz nic nie wyrażała. Wszyscy wielmoże byli niespokojni, czujni. Zostali tu wezwani, by stać się świadkami wiekopomnych decyzji, to wiedzieli na pewno, gdyż Churram osobiście wezwał ich do *zenany*. Tę salę audiencyjną rzadko odwiedzali mężczyźni spoza rodziny cesarskiej. Książę okazał im łaskę, ale dlaczego? Czego zażąda w zamian?

Churram usiadł na otomanie i skinał dłonią.

- Usiądźcie.

Zebrani zerknęli na siebie. Kolejny przywilej - osoby królewskiej krwi pozwalały na coś takiego tylko podczas wojen, w warunkach polowych. Ale wojna już się skończyła, a oni mieli traktować księcia Churrama jak samego cesarza. Zawahali się; potem przysiedli niepewnie na piętach, z rękami wspartymi na kolanach.

- Wszyscy musicie zachować tajemnicę. To, co zostanie powiedziane, nie może opuścić tej sali.

Zebrani skinęli głowami.

- Dowiedziałem się, że cesarz umiera - powiedział Churram. Mężczyźni spuścili wzrok, ukradkiem zerkając na siebie. Oni słyszeli tylko, że Dżahangir zachorował, ale już odzyskał zdrowie. - Cesarz Akbar miał do mnie wielką słabość - odezwał się książę cicho. - Życzył sobie, by tron należał do mnie...

- Wasza wysokość - przemówił Abdur Rahim, zajmujący miejsce po jego prawicy. - Książę Szahrijar jest przy cesarzu. Ogólnie uważa się, że ma on poparcie cesarza i cesarzowej.

- Ale to wbrew życzeniom cesarza Akbara - odparł Churram, obserwując reakcję starego żołnierza. Rahim siedział z trudem, zaatakowane artretyzmem kolana sprawiały mu kłopoty, lecz jeśli cierpiał, nie zdradził tego ani głosem, ani wyrazem twarzy. Jeśli w moich planach zajdzie zmiana, pomyślał książę, to właśnie przez tego człowieka.

- Słusznie - rzekł Rahim. - Najjaśniejszy pan pragnął, byś to ty, książę, wziął na swoje barki ciężar cesarstwa. Ale to było dawno.

- Kto jeszcze pozostaje? - zaperzył się Churram.

- Oto interesujące pytanie. - Stary żołnierz spojrział księciu prosto w oczy. Zbyt długo żył, żeby się czegoś bać. Całe życie spędził wśród wojowników; zły humor księcia nie robił na nim wrażenia. - Jesteś jednym z czterech cesarskich synów.

- Parwez i Szahrijar? Jakie mają znaczenie?

Abdur Rahim uśmiechnął się.

- Prawie żadne.

- Chusru? - rzucił z pogardą Churram. - Jest szalony.

Abdur Rahim skinął głową.

- Książę znalazł się w niefortunnych okolicznościach.

- Nadal go popierasz? - spytał Churram, robiąc aluzję do udziału Rahima w buncie Chusru. - Jeśli tak, lepiej odejść. To, co mam do powiedzenia, nie jest przeznaczone dla ciebie.

Rahim rozłożył ręce. Był to gest pojednania.

- Powoli, wasza wysokość. Musisz działać powoli i dys-

kretnie. Ja tylko zauważyłem, że choć możemy ci przysiąc lojalność, są też i tacy, którzy popierają innych twoich braci. Książę. Chusru nie spełnił pokładanych w nim nadziei...

Zawiesił głos. Churram skubnął drżącymi palcami szarfę na ramieniu. Właśnie o to mu chodziło. Właśnie po to sprowadził Abdur Rahima. Po tak jawnej demonstracji poparcia reszta dowódców powinna zaakceptować zwierzchnictwo Churrama.

Książę przedstawił im swoje plany. Nikt nie zaprotestował, nawet nie otworzył ust. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że kiedy Churram zasiądzie na tronie, nie zapomni, kto znajdował się w tej komnacie. Wszyscy wstali i jeden po drugim klękali przed księciem, całując ziemię. Po ich odejściu Churram zawołał niewolnika Razę.

Parę dni później Chusru zaczął cierpieć na kolkę. Churram usłużnie przysłał mu lekarzy. *Hakimowie* przyrzekli się bladej, wykrzywionej cierpieniem twarzy księcia, zbadali mu zamierzający puls i stanęli w kącie komnaty, kręcąc głowami. Nie ośmielili się zastosować lekarstwa - nie da się uleczyć jednego brata z pragnienia zabicia drugiego. Już od dawna w cesarstwie krążyły takie plotki. Kiedy Churram poprosił o możliwość zabrania ze sobą Chusru, damy z *zenany* zaczęły dręczyć Dżahangira. Dlaczego Churram tego zażądał? Z pewnością coś knuje. Cesarz wysłuchał lamentów kobiet, ale wziął pod uwagę zdanie tylko jednej - Mihrunnisy. Chusru musi wyjechać, powiedziała. Jeśli nie poślubi Ladli, nie ma znaczenia, czy przebywa na dworze, czy też z Churramem. Nie podejrzewała, że Churram będzie usiłował zamordować brata. Coś takiego nie przysłoby jej do głowy. Było zbyt niewiarygodne. Churram musiałby oszaleć, żeby się na coś takiego odważyć. Brat był pod jego opieką; gdyby zmarł w podejrzanych okolicznościach, książę zapłaciłby za to głową.

Hakimowie snuli się po komnacie, jak najdalej od księcia, usiłując nie słyszeć szeptu Chalify, klęczącej u łoża męża. Księżniczka się modliła. Od czasu do czasu dotykała dłoni Chusru, ale zbyt cierpiał, by zareagować. Nawet nie zauważał jej obecności.

Jeden z *hakimów* odłączył się od grupy i ukląkł koło Chali-
fy. Podniósł ręce, jakby się modlił, i spytał, nie patrząc na nią:

- Wasza wysokość, jakie potrawy ostatnio jadł ksiączę?

Zerknęła na niego z zaskoczeniem.

- Takie jak zwykle. Dlaczego pytasz?

- Nie - rzucił pospiesznie. - Proszę na mnie nie patrzeć.

- Dobrze.

- Może... - *Hakim* zawahał się. - Może byłoby lepiej, gdy-
by wasza wysokość osobiście doglądała sporządzania jego po-
siłków.

- Trucizna! - rzuciła głośniejsz. - Myślisz, że go otruto.

Lekarz wstał.

- Powiedziałem już za dużo. Muszę odejść.

Niemal wybiegł z pokoju, zostawiając oszołomioną księ-
żniczkę. Tego wieczoru rozkazała, by przed ich apartamentami
zbudowano piec z gliny i cegieł. Każdy kawałek mięsa i każde
warzywo przechodziły przez jej ręce. Księżniczka myła do-
kładnie wszystkie artykuły, osobiście je przyrządzała i próbo-
wała każdego dania, zanim nakarmiła nim Chusru. Tak do-
glądała go przez kilka tygodni, aż powoli bóle ustąpiły, Chus-
ru przestał cierpieć i nabrał sił. Wyzdrowiał.

Nad Burhanpurem zapadła noc; ciepłe, wilgotne ciemności
okryły miasto. Minęło parę godzin, w mieście kolejno gasły
lampy. Na ulicach zapanowała głucha cisza, którą mąciło jedy-
nie stukanie laski nocnego strażnika i jego głos oznajmiający
godzinę. Księżyc wyglądał jak połówka melona; rzucał na tyle
jasne światło, by pod drzewami mango i tamaryndowcami
gromadziły się czarnosrebrne cienie.

W murach fortu panował spokój. Pałac Chusru znajdował
się na jego południowym krańcu, gdzie słońce przez cały dzień
spopielało mury. Strażnicy przed pałacem spali pod ścianami,
z włóczniami opartymi o kolana.

Od drzewa oderwały się dwa cienie i zakradły się do bramy.
Pchnęły ją i znieruchomiały, gdy skrzypnęła. Strażnicy się nie
poruszyli. Cienie wśliznęły się na dziedziniec, zamykając za
sobą bramę.

- Dlaczego strażnicy się nie obudzili? - szepnął jeden.

Raza Bahadur spojrział na swojego pomocnika.

- Dostali narkotyk. Moglibyśmy zatańczyć im na brzuchu i też by się nie obudzili. - Uśmiechnął się; jego zęby błysnęły w świetle księżyca. - Jednak bądź ostrożny, może ktoś jeszcze nie śpi.

Ruszyli po schodach do apartamentów księcia. Byli boso, szli bezgłośnie. Raza wytarł rękawem spoconą twarz. U szczytu schody naparli na drzwi sypialni Chusru. Były z grubego i masywnego drewna, z okuciami z brązu. Nie poddały się. W ciemnościach korytarza zamigotał płomyk lampki oliwnej.

- Kto idzie? Przedstaw się - krzyknął strażnik, unosząc latarnię.

- To ja, Raza Bahadur. Przynoszę dar od cesarza dla księcia Chusru - odpowiedział Raza, zdejmując turban.

- Jaki? - spytał strażnik, podchodząc chwiejnie. On także dostał narkotyk, ale jakimś cudem zdołał nie zasnąć. Nie spytał, dlaczego przyszli tak późno, dlaczego z wręczeniem daru nie można poczekać do jutra. Wyciągnął dygocącą rękę po pakunek i pochylił się nad nim. Raza stanął za jego plecami. Jego sztylet załśnił przez chwilę w blasku lampy; Raza chwycił strażnika za włosy i poderżnął mu gardło. Trup zwałił się ciężko na ziemię. Lampka potoczyła się po podłodze i zgasła. Zapadły zupełne ciemności. W powietrzu rozszedł się zapach świeżej krwi. Pomocnik Razy się zakrztusił.

- Czy to naprawdę konieczne? - wydyszał, walcząc z mdłościami.

- Tak. Nikt nie może nas rozpoznać. A teraz idziemy do księcia - rzucił Raza szorstko.

- Poczekaj. A jeśli w komnacie jest księżniczka? Nie chcę odpowiadać za jej śmierć.

Raza pociągnął go do okna, gdzie blask księżyca wyłonił ich twarze z ciemności.

- Mamy rozkaz, który musimy wypełnić, bez względu na to, kogo jeszcze trzeba będzie zabić. Jeśli księżniczka Chalifa śpi przy mężu, będziemy musieli się pozbyć także i jej. Ale

nie lękaj się, podobno dziś wróciła do swoich komnat. - Raza ruszył do drzwi apartamentu Chusru przez kałużę krwi.

Chusru spał. Obudził się na dźwięk pukania i automatycznie sięgnął pod poduszkę po sztylet.

- Kto tam?

- Wasza wysokość, to ja, Raza Bahadur. Przychodzę od najjaśniejszego pana, cesarza Dżahangira.

- Czego chcesz? - rzucił książę z irytacją. - Z jakiego powodu budzisz mnie w środku nocy?

- Wasza wysokość, cesarz przysyła ci szatę honorową.

- Zostaw ją u strażników.

- Mam ją doręczyć do rąk księcia - sprzeciwił się Raza. - Proszę otworzyć.

- Odejdź! - ryknął Chusru. - Straż! Zabrać tego szaleńca!

- Strażnicy śpią - wyjaśnił Raza. - Wasza wysokość, będzie lepiej, jeśli otworzysz drzwi. Nie będziemy musieli ich wywazać.

Książę Chusru przywarł do ściany, podciągnawszy prześcieradło pod brodę.

- Precz! - krzyknął. *Co się dzieje? Gdzie strażnicy i kim jest ten człowiek? Dlaczego przyszedł pod osłoną nocy? Zaczął dygotać. Wtulił się w kamienny mur. Coś głucho łupnęło. Drzwi jęknęły. Znowu uderzenie. I kolejne.*

Chusru mocno ścisnął sztylet i wstał. Mężczyźni działali w ciemnościach, tyle wiedział na pewno. Jeśli nie mieli lampy, mógł z nimi walczyć. Znał każdą otomanę i dywan w tym pokoju, potrafił się po nim swobodnie poruszać. Stanął przy drzwiach, oparty o ścianę, z bijącym sercem. Drzwi po raz ostami zadrżały i zwały się na podłogę.

Napastnicy wpadli do pokoju i przez chwilę usiłowali się zorientować w sytuacji. Zanim zdali sobie sprawę, że Chusru nie leży w łóżku, książę skoczył na pomocnika Razy. Nóż wszedł w ramię mężczyzny jak w masło. Napastnik krzyknął z bólu, Chusru dostrzegł jakiś ruch i poczuł cios, który trafił go w brodę. Zatoczył się, oszołomiony; mężczyźni chwycili go pod pachy i podnieśli z podłogi.

Zaczął krzyczeć: „Ratunku! Na pomoc! Kim jesteście?”. Nikt go nie usłyszał. Raza przygniótł Chusru do ziemi, wbił kolano w jego wątłą pierś. Jego pomocnik zarzucił prześcieradło na grubą belkę pod sufitem. Podnieśli księcia, zaciągnęli na środek komnaty. Zarzucili mu na szyję pętlę z prześcieradła i mocno pociągnęli za drugi koniec. Chusru oderwał się od ziemi, krzyząc i rzucając się. Szarpał za zaciskającą się pętlę - potem jego ręce opadły. Chwyciły go drgawki. Życie z wolna zaczęło go opuszczać.

Mordercy w milczeniu opuścili go na ziemię. Zanieśli go do łóżka, położyli, przykryli zmiętym prześcieradłem. W świetle księżycy, wpadającym do komnaty przez okno, księżę wyglądał, jakby spał. Jakby wreszcie zaznał spokoju.

Chalifa ocknęła się, drgnąwszy, i spojrzała zdezorientowana na sufit. Gdzie się znalazła? Odruchowo wyciągnęła rękę, szukając Chusru, ale napotkała jedynie pustkę. Księżę uparł się, by dzisiejszą noc spędzić w swojej komnacie. Krzyczał i rzucał się przez sen, nie pozwalając jej spać, dlatego powiedział, że choć przez tę jedną noc powinna wypocząć po wielu tygodniach opieki nad nim. Księżniczka wyszła na zewnętrzną werandę. Poranne powietrze było chłodne; zadrżała. Niebo już różowiało, ptaki zaczęły ćwierkać, powiał chłodny, świeży wietrzyk. Zerknęła na frontowy dziedziniec, spojrzała na niebo, znowu popatrzyła w dół. Coś się nie zgadzało... brama była otwarta. Dlaczego?

Pobiegła do sypialni. Po paru chwilach pędziła już korytarzem. Wypadając zza zakrętu, wdepnęła w coś mokrego, lepkiego. Zatrzymała się, dotknęła bosej stopy. Na palcach została jej gęsta płyn, dziwnie podobny do krwi. Na podłodze rozlewała się kałuża. Chalifa wpadła do komnaty Chusru. W progu leżał martwy strażnik, z głową wykrzywioną pod groteskowym kątem. Przeskoczyła go i dopadła do łóżka.

Chusru leżał, odwrócony do niej plecami. Chalifa pochyliła się nad nim, głośno się modląc. Dotknęła skóry zimnej i gładkiej jak kamień.

- Chusru! Wstań! - krzyknęła.

Usiłowała odwrócić mu głowę, ale kark zeszywniał. Przyłożyła ucho do jego piersi; nie usłyszała kojącego bicia serca.

- Chusru... - szepnęła łamiącym się głosem. - Obudź się, mój najdroższy panie. Obudź się.

Churram był na polowaniu w lasach pod Burhanpurem. Wiadomość dotarła do niego na drugi dzień po śmierci Chusru. Posłaniec, spocony i zdyszany, dopadł do niego w chwili, gdy książę podnosił muszkiet, by strzelić do spokojnie skubiącego trawę nilgau. Słyszając tupot stóp, nilgau uciekł, a Churram odwrócił się z irytacją.

- O co chodzi?

Posłaniec podał mu list. Nie mógł mówić, tak bardzo brakowało mu tchu. Ani razu nie zatrzymał się w biegu.

Churram oddał muszkiet mir szikarowi i rozwinął list.

- Książę Chusru zmarł nagle w Burhanpurze. - Zerknął na dowódców. Nie patrzyli mu w oczy. Spoglądali na stopy lub w lufy muszkietów.

- Muszę jechać do mego brata! - Książę podbiegł do konia, wskoczył na siodło. Spiał go piętami. Reszta jego świty także popędziła do wierzchowców. Ruszyli co koń wyskoczy do Burhanpuru. Zatrzymywali się w serajach tylko na popas i wymianę koni. I tak, zmęczeni i niemal omdlewający, wjechali do Burhanpuru. Tłum na ulicach płakał i zawodził. Na widok Churrama wrzawa jeszcze się wzmogła. Książę kiwał głową do zebranych, a po policzkach płynęły mu łzy. Zeskoczył z konia na dziedzińcu i wbiegł do apartamentów Chusru. Ciało księcia leżało na wielkim lodowym bloku, z wolna się roztapiającym. Chalifa siedziała w kącie komnaty, wpatrzona we własne dłonie. Nie podniosła głowy, kiedy wszedł Churram, nie odezwała się, gdy przykląkł obok niej i ucałował jej rękę.

Następnego ranka Chusru został pochowany w ogrodach fortu. Churram niósł jego trumnę; opuścił zwłoki brata do grobu i przyglądał się, jak na trumnę padają pecyny błota, jak zakrywa ją marmurowa płyta. Potem poszedł do siebie, by napisać do ojca. Skończywszy pisać, wezwał do siebie dowódców

i odczytał list. Chusru zmarł na kolkę; cierpiał przez cały miesiąc. Churram nie może wysłać jego zwłok do Agry, by zapewnić im odpowiedni pogrzeb, gdyż w tym upale zaczęły się szybko rozkładać.

W grupie wokół księcia znajdował się Matab Nuruddin Kuli. Był on także obecny podczas konferencji zwołanej przez Churrama w sali audiencyjnej w *zenanie*. Nikt nie wspomniał wprost, że Chusru został zamordowany, lecz wszyscy wiedzieli, że są współwinni. A jednak Kuli poczuł, że coś w nim pęka. Chusru był księciem królewskiej krwi, popełniono straszliwą zbrodnię. W środku nocy Kuli poszedł do sypialni Chusru, by spojrzeć na jego ciało. Stał na środku kałuży z topniejącego lodu, rozluźnił kołnierz księcia. Na jego szyi zobaczył wymowne czerwone pręgi, których nie sposób było pomylić z niczym innym. Kuli spojrzął na księżniczkę. Chalifa zasnęła, sama w komnacie, czuwając nad zwłokami męża. Na jej policzkach widniały ślady łez. Nie usłyszała wejścia Kulego.

Kuli zapiął kołnierz księcia i przez jakiś czas stał w półmroku wpatrzony w księżniczkę. Potem wrócił do domu, ale nie zasnął.

Książę Churram zapieczętował list i wezwał posłańca.

Ten nocy do Agry ruszyli dwaj z nich. Mihrunnisa i Dżahangir właśnie wracali do stolicy po pobycie w Kaszmirze. Obaj posłańcy nieśli list do cesarza.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Podzieliła się swymi podejrzeniami z Dżehangirem: powiedziała mu, że należy powściągnąć zakusy Szodżehana, że jawnie aspiruje on do tronu, wszystkie jego czyny mają mu przydać popularności, jego ostentacyjnie demonstrowane cnoty są na pokaz i że nie jest potomkiem serdecznym i uczciwym, że czeka on tylko na dogodną chwilę, by zrzucić maskę zwodniczej praworządności i udawanego posłuszeństwa.

Alexander Dow, *The History of Hindostán*

Służący czekali rzędem u wejścia do obozu, niespokojnie spoglądając w kierunku zachodnim. Najjaśniejsi państwo nadal nie wracali. Łagodne pagórki, maleńkie w porównaniu z Himalajami, które niedawno opuścili, ciągnęły się aż po horyzont, za którym zachodziło słońce. Cesarska świta zatrzymała się w Bahlwanie w drodze powrotnej do Agry z Kaszmiru. Tego ranka Dżahangir i Mihrunnisa wybrali się na polowanie do pobliskich lasów.

Służący nie odrywali oczu od falistych grzbietów pagórków i w końcu na horyzoncie dostrzegli maleńką chmurkę, zasłaniającą złote światło zachodzącego słońca. Wówczas jeden wyrwał się z grupy i miarowym truchtem pobiegł w stronę cesarskiej świty, oddalonej o jakieś trzy kilometry.

Mihrunnisa i Dżahangir jechali razem na czele grupy. Byli zmęczeni, lecz szczęśliwi. Nie było to tylko uniesienie związane z polowaniem, zapachem zwierzyny, celnymi strzałami muszkietów, ale także swobodą której nie mieli w kołyszącym się pałankinie.

Mihrunnisa zerknęła na Dżahangira z uśmiechem. Robiła to tak często, że w końcu się do niej odwrócił.

- O co chodzi?

- Dobrze się dziś czujesz, najjaśniejszy panie. - I rzeczy-

wiecie, po wielu miesiącach choroby cesarz wyglądał wreszcie dobrze. Powietrze Kaszmiru, uderzające do głowy i czyste, prosto z Himalajów, wyszło na zdrowie im wszystkim, a zwłaszcza jemu. Kiedy porzucili pyliste równiny, astma i kaszel znikły.

Dżahangir się uśmiechnął.

- Czuję się, jakbym był znowu młody.

- Ależ jesteś.

- Pochlebiasz mi. - Roześmiał się. - Spójrz, jakie mam siwe włosy. - Poklepał się po okrągłym brzuszku. - Widzisz? Moje pasy są coraz dłuższe, pewnego dnia krawiec przyśle mi wiadomość, że w całym cesarstwie nie ma dość materiału!

Wyciągnęła do niego rękę; ujął ją, patrząc żonie w twarz, której nie zasłoniła, twierdząc, że jest zbyt gorąco, a muślin przeszkadza oddychać - podniosła go więc i złożyła na ramionach. Jechali daleko przed swiątą która widziała tylko smukłe, wyprostowane plecy cesarzowej, jej nogi, szyję wyłaniającą się spoza muślinowej chmury i czasem zarys profilu, gdy odwracała się do Dżahangira.

- Jesteś równie piękna jak tego pierwszego dnia, kiedy cię zobaczyłem - powiedział cesarz.

Na jej czole zarysowały się drobne zmarszczki troski.

- Czy nie sprawiłam ci w niczym zawodu, najjaśniejszy panie?

- Dlaczego...? Z powodu Ladli?

Skinęła głową zmartwiona.

- Nadal nie jestem pewna...

- To nie może być nic złego. Jak słyszę, urodzi się im dziecko.

- Być może. Na razie jeszcze za wcześnie, lecz... być może.

- Zatem czym się tak zadreczasz, moja droga? - Pochylił się i roztarł jej kark. Ich konie wpadły na siebie i odskoczyły. - Ja także tęsknię za Asmat. Była dla mnie niczym rodzona matka.

Mihrunnisa pozwoliła wierzchowcowi oddalić się kilka metrów w prawo, ale kiedy spróbował zejść ze ścieżki, szarpnęła

wodze. Nie odezwała się, słuchała tylko, jak cesarz mówi o jej matce. Asmat zmarła w październiku, pół roku po ślubie Ladli. Była zbyt chora, by zjawić się na uroczystości, ale nikt nie przypuszczał, że już nigdy nie wstanie z łóżka. A Mihrunnisa zbyt interesowała się tym, czy córka jest szczęśliwa, zadowolona, a przynajmniej mniej smutna, by czuwać nad matką. Asmat zmarła tak, jak żyła, łagodnie, nie zatruwając złością czy złośliwością życia otaczających ją ludzi. Przez wiele lat była zawsze obecna i cicha - odeszła równie cicho.

Mihrunnisa nie mogła się nawet rozpłakać; potrzebowało jej zbyt wiele osób. Ladli była smutna, Dżahangir zachorował, Abul przyszedł do niej z płaczem, Ghijas wycofał się z życia i stał się cieniem człowieka, którym niegdyś był, zagubiony bez swojej żony. Mihrunnisa roztoczyła nad nimi opiekę. Przywiozła Ghijasa do Kaszmiru, ale on ledwie dostrzegał kwitnące wiśnie, których kwiecie puszyło się na gałęziach jak różowobiała piana, nie dawał się namówić na pierwsze truskawki, nie chciał się wygrzewać w łagodnym słońcu poranka. Nie wychodził ze swoich apartamentów i opuszczał je tylko na wyraźne życzenie córki. Rozmawiał z nią, ale bez przekonania.

- Ktoś biegnie - odezwał się Dżahangir, wskazując pejcem w kierunku obozu.

- *Bapa!* - Mihrunnisa wbiła pięty w boki konia i popędziła przez pylistą równinę; welon sfrunął jej z szyi na ziemię. Tuż za plecami słyszała tętent konia Dżahangira.

- Jakie wieści? - krzyknęła, zatrzymując się koło posłańca.

- *Diwan* jest chory, najjaśniejsza pani - odparł ze wzrokiem wbitym w jej ozdobione brylantami sandały.

Pochyliła się i krzyknęła mu do ucha:

- Chory był dziś rano, czy teraz czuje się gorzej?

Niewolnik nawet nie drgnął, gdy Mihrunnisa i Dżahangir stanęły z obu jego stron. Ale także nie odpowiedział.

Mihrunnisa spojrzała na cesarza.

- Jedźmy - powiedział i zawrócił konia w stronę obozowiska.

Dopadli go, minęli żołnierzy za ogrodzeniem, prowizorycz-

ny *diwan-i am*, warsztaty i pracownię malarską i dotarli do namiotów na samym środku obozu.

Mihrunnisa zeskoczyła z konia i wbiegła do namiotu, w którym leżał jej ojciec. Wewnątrz było chłodno i jasno; białe płótno namiotu chroniło przed słońcem. Ghijas leżał tam, gdzie go zostawiła rano, na otomanie pośrodku namiotu. Obok niego klęczał Abul. Usłyszawszy jej wejście, odwrócił się i przyłożył palec do ust.

- Czy *bapa...l* - spytała szeptem. Czy umarł? Nie widziała, żeby jego pierś się poruszała, wydawała się nieruchoma jak kamienna płyta. Leżał wyciągnięty na otomanie, przykryty prześcieradłem po pachy, jego siwe włosy były niemal białe, a złożone na brzuchu dłonie bardzo chude po dobrowolnym poście, jaki narzucił sobie po odejściu Asmat.

Abul pokręcił głową. Nie odezwał się. Po policzkach spływały mu łzy, ginęły w zaroście. Wyciągnął ręce. Mihrunnisa uklękła przy nim i uściskała go ze wszystkich sił. Zaczął płakać, wtulając twarz w jej szyję. Żadne z nich nie słyszało, jak do namiotu wszedł cesarz. Usiadł na stołku w kącie, plecami do płóciennej ściany namiotu.

Ghijas poruszył się, mruknął coś. Mihrunnisa i Abul podnieśli głowy. Mihrunnisa pospieszyła na drugą stronę otomany i każde wzięło ojca za rękę.

- *Bapo...* - odezwała się cicho. - Jak się czujesz? Odpoczywaj, jestem przy tobie.

Siedzieli w ten sposób kilka godzin, pochyleni, przyglądając się ojcu, czekając, aż otworzy oczy i przemówi do nich. Oboje oparli głowy o otomanę, nadal mocno ściskając dłoń ojca. Słońce zaszło, niewolnik wszedł cicho, by zapalić lampy w namiocie i powiesić latarnię na środkowym słupie. Raptem przerwał pracę i skłonił się ceremonialnie, gdy ujrzał cesarza siedzącego o parę kroków od pozostałych. Otworzył usta, ale Dżahangir odprawił go niecierpliwie.

Mihrunnisa poczuła na głowie rękę Abula.

- Jak długo jeszcze, Niso?

Podniosła oczy i znów ogarnęło ją wzruszenie, jak zawsze kiedy zwracał się do niej przydomkiem z dzieciństwa. Już

dawno tak nie robił. Zbyt wiele się między nimi wydarzyło. Małżeństwa, inne obowiązki... a jednak Abul był zawsze jej najukochańszym bratem.

- Nie dożyje poranka. - Głos miała jasny i czysty. Czuła, że ojciec ma w sobie niewiele życia. Przynajmniej mogła - mogli - być przy nim. Ghijas odejdzie ze świadomością, że jego dzieci trwają u jego boku.

- Niso...

- Co?

Abul zawahał się i niemal niedostrzegalnie odsunął się od otomany. Mihrunnisa czekała; wzruszenie już ją opuściło. Czego od niej chce?

- Książę Churram powinien być na dworze - wyrzucił z siebie jednym tchem. - Chciałby być obecny na pogrzebie naszego ojca.

Mihrunnisa wyprostowała się jak struna.

- To niemożliwe. Churram ma obowiązki w Dekanie. Musi dopilnować, by Ambar Malik znowu się nie zbuntował.

- Ardżumand powinna być na pogrzebie dziadka - powiedział z uporem.

- Dlaczego? Jej miejsce jest przy mężu. Tam gdzie Churram, tam i ona.

Abul milczał przez chwilę, skubiąc haft na pościeli.

- Kiedy Churram wróci na dwór?

- Nie wiem.

- Wiesz, wiesz - odparł podniesionym głosem. - To ty nie pozwalasz mu się zbliżyć do cesarza.

Dżahangir, siedzący za plecami Abula, poruszył się. Mihrunnisa przez chwilę patrzyła na męża. Nie wstał, poprawił się wygodniej na stołku. Skinęła głową. Znowu spojrzała na brata. Abul, jako czwarty z ich rodziny, szczycił się obecnie tytułem Asaf-chana. Jego *mansab* wynosił dwanaście tysięcy jeźdźców, tylko odrobinę mniej niż książąt królewskiej krwi, a był zaledwie jej bratem czy też zaledwie teściem Churrama. W jego żyłach nie płynęła królewska krew, a jednak przypadł mu wspaniały tytuł i ogromna pensja. Abul nigdy się nie zastanawiał, dlaczego spotkała go aż taka łaska - dzięki niej,

dzięki temu, że był jej bratem. Przez lata prosiła Dżahangira o zaszczyty dla Ghijasa i Abula. A on o tym zapomniał i miał odwagę na nią krzyknąć.

- Churram jest głupcem - powiedziała cicho.

- Dlaczego? - zapienił się Abul. - Bo nie chciał poślubić Ladli?

Wreszcie powiemy sobie to, co od dawna pozostaje niewypowiedziane, pomyślała Mihrunnisa. Teraz w końcu się okaże, wobec kogo jest lojalny Abul. Ojciec umrze dziś w nocy i jego kojący wpływ, rozsądny głos znikną na zawsze.

- Tak, dlatego - rzekła w końcu. - Churram powinien poślubić Ladli. Wiesz o tym. - Kiedy znowu otworzył usta, powstrzymała go gestem ręki. - Nie opowiadaj mi znowu, że tak bardzo kocha Ardżumand i nie chce pojąć za żonę żadnej innej kobiety. Kocha także inne. Twój zięć uwielbia swój harem - zawsze tak było. A Ladli nie jest byle kim. Jest moją córką.

Czarne oczy Abula załśniły.

- Nie zamierzałem tego powiedzieć, ale teraz powiem. Churram jest mężczyzną. Jego prawem jest cieszyć się swoim haremem, a Ardżumand nie może się temu sprzeciwić. Moja córka zna swoje miejsce. Nie wtrąca się ani do przyjemności, ani do pracy swego męża.

- Nie wtrąca się? - prawie krzyknęła Mihrunnisa. - To ona nakłoniła go, żeby nie brał Ladli za żonę. Jesteś idiotą, jeśli myślisz inaczej. Co by Churram stracił na związku z Ladli? Powiedz!

- Jesteś złą kobietą! - krzyknął Abul. - Myśl sobie, co chcesz, ale następnym cesarzem zostanie Churram.

Oboje podnieśli się z klęczek i stali nad umierającym ojcem. Abul pierwszy odwrócił spojrzenie, nie mogąc znieść błękitnego ognia oczu Mihrunnisy. Miała rację, a on o tym wiedział. Od wielu miesięcy usiłował przekonać Ardżumand i Churrama, że książe powinien poślubić Ladli. Jednak Ardżumand była zazdrosna, kapryśna, przemęczona licznymi ciążami i bała się, że Churram bardziej niż ją pokocha Ladli. Abul usiłował wytłumaczyć, że to niemożliwe, ale nie chciała słuchać. To małżeństwo by ich zbliżyło, tak jak powinno.

A teraz... teraz, gdy Ladli była żoną Szahrijara, wszystko się zmieniło.

- Nie kłóćcie się - odezwał się Ghijas szorstkim, świszczącym głosem. Natychmiast pochylili się ku niemu, chwycili go za wychudłe dłonie, ucałowali.

- Mówiłeś coś, *bapol* Jak się czujesz? Och, *bapo*, powtórz! Co chciałeś powiedzieć? - odezwali się jednocześnie.

Ale wiedzieli, że napomniał ich jak niegdyś, w dzieciństwie, kiedy się ze sobą kłócili. Zawstydził ich, lecz gniew ich nie opuścił - nadal tkwili po dwóch stronach otomany, omijając się wzrokiem.

- Gdzie najjaśniejszy pan? - spytał Ghijas, tym razem cicho, niemal szeptem.

Dżahangir wstał i dotknął ramienia Abula. Kiedy ten odsunął się, cesarz ukląkł przy Ghijasie i ujął jego dłoń.

Przez następne dwadzieścia minut Ghijas mówił, a Dżahangir słuchał go, pochylony. Nie odezwał się już do swoich dzieci, nie miał im nic więcej do powiedzenia. Ale Dżahangirovi dziękował raz po raz, w chwili śmierci wspominając, jak wielką wspaniałością okazał mu Akbar i Dżahangir. Był perskim uciekinierem, ten kraj go przygarnął jak matka, lecz nic - to, że jego córka wyszła za cesarza, a wnuczka za księcia, że on sam został skarbnikiem cesarstwa - nie mogłoby się wydarzyć, gdyby nie najjaśniejszy pan. I to właśnie Ghijas mówił cesarzowi, który pocieszał go, gdyż własne dzieci nie mogły go pocieszyć.

Ghijas umarł chwilę potem, w połowie zdania. Oddech w jego piersi ustał, przerywając potok słów. Ghijas zastygł z otwartymi oczami; to Dżahangir mu je zamknął. Mihrunnisa i Abul, rozgoryczeni, wściekli i jednocześnie smutni, zostali na swoich miejscach - ona przy ojcu, on w głębi namiotu, gdzie musiał się cofnąć, gdy Dżahangir zajął jego miejsce przy otomanie. Cesarz wstał i wezwał niewolników, by przygotowali ciało skarbnika do ceremonii pogrzebowej. Potem wyprowadził z namiotu oszołomioną Mihrunnisę. Na Abula nie spojrzął ani razu.

*

Zgodnie z prawem bezdziedziczności znaczny majątek Ghijas-bega wrócił do cesarza. Było to stare prawo - nikt w całym cesarstwie nie miał niczego na własność. Dzięki temu niszczo- no w zarodku ewentualne przewroty: tam gdzie nie ma pry- watnej fortuny, nie rodzi się także rebelia. Jeśli Dżahangir tak postanowił, a zwykle tak czynił, majątek przechodził na naj- starszego syna, po zabezpieczeniu przyszłości wdowy i pozostających dzieci. Hojność cesarza wobec rodziny zmarłego zale- żała od jego zasług. Jeśli były duże, jego rodzina żyła w do- statku, jeśli nie, musiała się zadowolić skromną pensją.

W ten sposób majątek Ghijasa powinien przejść na Abul Hasana, najstarszego z żyjących synów. Kilka tygodni po śmierci skarbnika cesarz i Mihrunnisa leżeli w swoich aparta- mentach. Wachlarz *panka* kołysał się z wolna nad ich głowami na naoliwionych zawiasach, poruszany linką przez eunucha siedzącego pod drzwiami.

- Jak się czujesz? - spytał Dżahangir, mocniej ją tuląc do siebie. Dotknął twarzy żony i poczuł łzy. Starł je, pocałował ją w ramię. We włosach ukochanej zostało parę zabłąkanych płatków jaśminu, zwędłych i zbrązowiałych. Wyjął je łagod- nie, strzepnął na podłogę. W świetle latarni siwe nitki we wło- sach Mihrunnisy lśniły jak srebro. Nadal miała gęste, sięga- jące talii sploty, tak jak lubił, ale czas potraktował ją tak samo jak jego. Zmarszczki ujmowały jej usta w dwa łuki, pojawiły się w kącikach oczu i na czole. Dżahangir znał je wszystkie na pamięć, przyglądał się jej, kiedy spała, a on budził się przed wschodem słońca. Przyglądał się jej, gdy czytała, śmiała się, płonęła gniewem - i nigdy mu się nie nudził ten widok.

Ale nie wiedział, co robić, kiedy tak płakała, kiedy wstrzą- sało nią tak gwałtowne łkanie. Martwił się, że po śmierci Asmat nie uroniła ani jednej łzy. Chodziła z kamienną, nieru- chomą twarzą bardzo długo - aż do dziś. On także był smutny, bo Ghijas i Asmat umarli tak szybko po sobie.

Zaczął powoli masować ramię Mihrunnisy. Jej oddech się wyrównał. Dżahangir odwrócił się na plecy i spojrzął na wa- chlarz. Pomyślał o majątku Ghijasa, który teraz należał do nie- go. Zgodnie z prawem - no, niepisany prawem, któremu on

sam był posłuszny - majątek ten powinien przejść na Abula. Ale Abul jasno wyraził swoje sympatie, tak bezwstydnie kłócąc się z Mihrunnisą. Ona mu nie przebaczyła, toteż i Dżahangir nie mógł tego zrobić.

Z Burhanpuru dochodziły wieści, że Churram bawi się w Dekanie w cesarza. Dżahangir nadał mu tytuł Szahdżahana, Króla Świata, a on zachowywał się tak, jakby naprawdę nim został - choć na ziemiach swego ojca. Churram to *bidaulat*, kanalia, pomyślał Dżahangir. Przynął się do Mihrunnisy i zasnął. W apartamencie wisiał ciężki upał, *panka* tylko mełł gorące powietrze, ale Dżahangir mógł zasnąć jedynie wtedy, kiedy dotykał żony. W nocy budzili się wiele razy, zlni potem, ale na w pół śpiąc, ocierali go, znajdowali nową pozycję i znowu tulili się do siebie. Splecione ręce, nogi, ramię wsparte o biodro, choćby muskające się palce, nieważne. Musieli się dotykać.

Następnego ranka Mihrunnisą wróciła do pałacu z *dżharoki* i znalazła Dżahangira klęczącego twarzą w stronę Mekki. Tak jak wtedy, gdy go zostawiła.

- Co się stało, najjaśniejszy panie? Nie poszedłeś na *dżharokę*?

Spojrzał na nią oszołomionym, mętnym wzrokiem.

- Przyniesiono list... nie mogłem iść... Chusru nie żyje.

Przez parę chwil milczała. Potem wyciągnęła rękę. Znowu śmierć. W jaki sposób umarł Chusru? I dlaczego? Był szalony, lecz zdrowy. Churram chyba się nie ośmielił... A może? Dżahangir podał jej list, który do tej pory ścisnął kurczowo w dłoni. Przeczytała go. Kolka, pomyślała. Bardzo wygodna wymówka.

Do drzwi zapukał Hoszizar. Skłonił się.

- Najjaśniejszy panie, przybył posłaniec z Burhanpuru z wiadomością od Matab Nuruddina Kulego. Nalega, że musi się widzieć z samym cesarzem.

- Później - rzuciła Mihrunnisą.

- Teraz, najjaśniejsza pani - odparł eunuch, przestępując z nogi na nogę. Wiadomość musiała być ważna.

Dżahangir dźwignął się z klęczek i ruszył do sali audiencyjnej. Posłaniec, młodzieniec mogący sobie liczyć osiemnaście lub dziewiętnaście lat, był smukły i muskularny. Cały opływał potem; *kurta* przylgnęła mu do piersi, spodnie do łydek. Chłopiec wykonał *konisz*, dygocąc jak w febrze, i ukląkł przed cesarzem, wznosząc list nad głowę. Przyniósł wiadomość na miejsce przeznaczenia, lecz Kuli nakazał mu dostarczyć ją wprost do rąk cesarza.

- O co chodzi?

- Najjaśniejszy panie. - Głos chłopca dygotał - Proszę, przeczytaj to.

- Idź do kuchni - polecił Dżahangir, kładąc mu dłoń na ramieniu. - Dostaniesz coś do jedzenia i picia. I wypocznij przed dalszą drogą.

Posłaniec dotknął czołem podłogi. Kiedy kroki Dżahangira umilkły, wyprostował się i położył rękę na prawym ramieniu. Ruszył do kuchni, nie zdejmując dłoni z miejsca, którego dotykał cesarz.

Dżahangir wrócił do swoich apartamentów. Obrócił list, przyjrzał się pieczęci Kulego. Wieści będą nieprzyjemne. Ale jakie? Mihrunnisa nadal siedziała na podłodze. Otworzył list i usiadł obok niej. Przeczytali go razem. Chusru nie zmarł z powodu kolki; został zamordowany. Życie odebrał mu rodzony brat.

Dżahangir krzyknął, by Hoszijar przyniósł mu przybory do pisania. Siedząc na dywanie, ledwie mogąc utrzymać pióro, napisał dwustronicowy list do Churrama. Syn ma ekshumować ciało Chusru i wysłać je do Allahabadu, gdzie należy go pochować obok matki. A co z Chalifą i jej dwoma synami? Czy nadal przebywają w Burhanpurze? Należy ich wysłać do Lahaur, by tam zamieszkali w pałacach fortu. Czy w tych strasznych oskarżeniach jest ziarno prawdy? Czy Churram naprawdę ośmielił się zabić rodzonego brata? Ma natychmiast po otrzymaniu tego listu opuścić Burhanpur i zjawić się w Agrze, by odpowiedzieć na oskarżenia Kulego.

Następnie Dżahangir wezwał nowego *diwana* i rozkazał, by Chalifą i jej synowie do końca życia otrzymywali duże i regu-

larne wypłaty ze skarbcza, a także by mogli korzystać dowolnie z cesarskich pałaców.

Mihrunnisa zaglądała Dżahangirowi przez ramię. Głupi, głupi Churram, pomyślała. Wydawało mu się, że nie musi się przed nikim opowiadać? Że nie dosięgnie go gniew ojca? Że w ten sposób zabezpieczy tron dla siebie?

Churram odczytał list ojca. Większość jego dowódców opuściła już fort; byli teraz w drodze do Dżahangira, by mu zreferować swój udział w zajściu z Chusru. Książę od wielu dni czekał w przerażeniu, zastanawiając się, jak ma stanąć przed ojcem i bronić się. Nie mógł nie pojechać. Przed piętnastu laty był świadkiem kary wymierzonej zbuntowanemu Chusru, a chodziło jedynie o bunt - jak Dżahangir zareaguje na morderstwo?

Dlatego książę napisał do cesarza, usiłując się jak najlepiej wytłumaczyć. Wszystkim oskarżeniom zaprzeczył. Chusru zmarł na kolkę, koniec, kropka. On zaś, niestety, nie może opuścić Dekanu, bo cesarska armia nie może zostać bez dowódcy.

Cesarz wpadł w furję. Napisał do syna kolejny list, żądając jego powrotu na dwór. W razie niesubordynacji książę może uznać, że nie ma już rodziny ani ojca. Następnie Dżahangir oddał cały ogromny majątek Ghijas-bega Mihrunnisie. Abul go nie dostanie, postanowił, nie będzie swymi bogactwami wspierać tego *bidaulata*. Rozkazał także, by orkiestra Mihrunnisy grała tuż po jego orkiestrze. Mihrunnisa pozostawała niewidoczna, ukryta za marmurowym ekranem balkonu *zenany*, lecz wielmoże nie będą mogli zapomnieć o jej obecności.

Teraz dworzanie Churrama, którzy postanowili z nim zostać, także uciekli na dwór cesarski. Zrozumieli, że książę ma kłopoty. Nie zamierzał powrócić przed oblicze ojca, o co niegdyś był gotów błagać. Mihrunnisa, wzbogacona o ogromny majątek Ghijasa, stała się niesamowicie bogata i wpływowa. A dworzanie wiedzieli o jej niechęci do Churrama. Wrócili, by błagać o darowanie życia, by wytłumaczyć, że nie mieli zamiaru uczestniczyć w morderstwie. A czekała ich długa droga,

ponieważ Mihrunnisa i Dżahangir byli już w drodze do Kaszmiru.

Kiedy dwór cesarski jechał do Kaszmiru, w Kandaharze zaczęły się kłopoty.

Od pierwszego perskiego oblężenia Kandaharu w 1606 roku na granicy północno-zachodniej panował spokój. Przez ostatnie dziesięć lat na dworze mogolskim przebywał perski ambasador, przywożący bogate dary i zapewnienia o braterskim uczuciu szacha Abbasa. Obecność Persów na dworze stanowiła codzienność - do tego stopnia, że dla ambasadorów zbudowano specjalne bogato wyposażone apartamenty.

Kiedy Mihrunnisa i Dżahangir zatrzymali się w Rawalpindi w drodze z Kaszmiru, po raz pierwszy dowiedzieli się o kolejnej perskiej napaści na Kandahar.

Problem Kandaharu pojawił się dwa pokolenia przed czasem panowania Humajuna, ojca Akbara, drugiego mogolskiego władcy Indii. Kiedy Humajun został cesarzem - cztery lata po tym, jak jego ojciec podbił Indie - mieszkańcy kraju nie znosili zdobywców i mieli nadzieję się ich pozbyć. Humajun został pokonany przez Szer-szaha Sura w walkach pod Chausą i Kanaudż i wypędzony z Indii.

Cesarz znalazł schronienie u szacha Tahmaspa Safawiego w Persji i przy jego pomocy wypędził afgańskiego władcę z Kandaharu. Założywszy w mieście bazę wypadową, podbił Kabul i w końcu wkroczył do Indii jako zwycięzca, by znowu ustanowić je cesarstwem. Humajun zawarł z szachem Tahmaspem porozumienie; obiecał mu, że kiedy Indie zostaną podbite, Kandahar zostanie oddany Persji. Jednak tak się nie stało. Humajun go nie oddał, podobnie Akbar, w czasach Dżahangira Kandahar należał już do cesarstwa.

Podczas oblężenia w 1606 roku, jeśli w ogóle można je tak nazwać, wystarczyło otoczyć Kandahar z wojennymi sztandarami i flagami. Teraz nie było już wątpliwości co do zamiarów szacha. Napisał on do Dżahangira, przypominając mu o obietnicy dziadka. Dżahangir odpisał, pytając, dlaczego szach jest tak zainteresowany nędzną wioską, skoro sam ma potężne ce-

sarstwo. Oba listy były utrzymane w wytwornym tonie, lecz nikt nie dał się oszukać. Szach zamierzał napaść na Kandahar, Dżahangir zamierzał go bronić.

Na dwór cesarski dotarła kolejna plotka, tuż po oficjalnych wieściach o napaści na Kandahar. Szach rozkazał niewolnikowi zabić swego najstarszego syna. Odbyło się to w najokropniejszy sposób: pewnego deszczowego wieczoru książe został zasztyletowany na bazarze, a jego ciało leżało w błocie ulicy przez dwa dni, zanim je pochowano. Dlaczego i jak, dziwił się Dżahangir, ojciec może rozkazać zabić własnego syna? Szach jest szalony i dlatego postanowił wszcząć wojnę. Należy go powstrzymać. A jedyną osobą zdolną poprowadzić wojska do zwycięstwa jest książe Churram. Cesarz jeszcze raz napisał do syna. Ma ruszyć na północ i rozwiązać problem Kandaharu. Jeśli to zrobi, otrzyma przebaczenie.

Churram się nie zgodził. Nadeszła pora monsunowa; nie mógł zmusić całej armii do długiej podróży i łudzić się, że kawaleria i piechota dotrą na miejsce w odpowiedniej kondycji, by stawić opór ludziom szacha. Pozostanie na miejscu, dopóki deszcze nie ustaną.

Dżahangir wysłał kolejny gniewny list. Natychmiast przyjedź na dwór!

Tego książe nie zamierzał robić pod żadnym pozorem. Ojciec był na niego wściekły, a on nie był aż takim głupcem, żeby wystawiać się na gniew cesarza.

Miał rację. Dżahangir podupadał na zdrowiu, astma znowu go dręczyła, migreny utrudniały życie, wszystko go irytowało. Gdyby książe przybył na dwór, szybko pozbawiono by go głowy. Dżahangir podjął już decyzję. Cesarstwo miało należeć do Szahrijara.

Precedens już zaistniał. Jeśli jeden władca mógł zabić syna, to dlaczego on nie?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Wróżbici wyznaczyli pomyślny dzień, w którym można było przenieść skarbiec ze złotem i srebrem i, zgodnie z rozkazem Króla, przekazać go w ręce Asaf-chana. Etibar-chan, który strzegł cesarskiego skarbcza, zabrał go z powrotem do fortu, a Asaf-chan odjechał z pustymi rękami.

A Dutch Chronicle of Mughal India,
tłum. B. Narain, wyd. S. Sharma.

Zima roku 1623 z wolna zbliżała się do doliny Śrinagaru. Topole wokół jeziora Dal stały się pomarańczowe i ciemnobrązowe. Zarośla i trzciny pożółkły i zwisły nad liśćmi lilii wodnych. Ostatnie dynie dojrzewały na wschodnim brzegu jeziora Dal w dryfujących ogrodach - wielkich płatach ziemi wykopanych z okolicznych terenów i zakotwiczonych na dnie jeziora. Słońce zataczało na niebie niski łuk, ledwie wyglądając zza niebosiężnych Himalajów. W powietrzu czuć było chłód; na bazarach palono małe ogniska, które rozdmuchiwał wiatr. W miarę jak zbliżał się listopad, ulice pustoszały coraz bardziej, sklepy zamykano wcześniej; ledwie zaczynało zmierchać, sklepikarze i klienci i wracali pospiesznie do domów, gdzie czekały na nich ciepłe posiłki i *czaj*.

Wzgórze Hari Parbat wznosiło się na zachodnim brzegu jeziora Dal; na tle ogromnych sąsiadów robiło wrażenie mrówczego kopca, jednak widok, jaki się z niego rozciągał, był wspaniały. Jezioro było niebieskozielone, wokół wznosiły się drewniane domy, majestatyczne Himalaje rysowały się na tle nieba i odbijały w wodzie. To tutaj cesarz Akbar zbudował fort z pałacami z drewna i kamienia. Nadszedł grudzień, zaczął padać śnieg, który przysypał przełęcz w dolinie Śrinagaru trzymetrowymi stertami. Aż do czasu odśnieżenia dróg miasto

było odcięte od świata. Zwykle mieszkańcy miasta czekali, aż śniegi stopnieją, lecz tej zimy nic nie działało się jak zwykle. Cesarz Dżahangir postanowił zostać w Kaszmirze i nie wracać do Agry.

Mihrunnisa stała na balkonie swych apartamentów w forcie Hari Parbat. Padał śnieg, białe płatki osiadały gęsto na gładkim lustrze jeziora i spiczastych dachach domów. Mihrunnisa przytuliła twarz do chłodnej szyby. Pokój za jej plecami był wyłożony grubymi dywanami, spod których nie wyglądał ani centymetr kamiennej posadzki. Od węglowych piecyków, rozstawionych w całej komnacie, biło ciepło. Mihrunnisa odwróciła się do córki.

Ladli siedziała na otomanie, podwinąwszy pod siebie stopy. Chwilę potem zmieniła pozycję, ale i ta była niewygodna, toteż znowu się poruszyła i rozmasowała krzyż.

- Pomasować cię, *beta*? - spytała Mihrunnisa.

Ladli poklepała otomanę koło siebie. Mihrunnisa usiadła i zaczęła ugniatać mięśnie na plecach córki. Ladli położyła głowę na jej ramieniu.

- Tak lepiej.

Mihrunnisa lekko musnęła jej brzuch.

- To będzie chłopiec, jestem pewna. Już teraz sprawia same kłopoty.

- Nie chcę chłopca. To będzie dziewczynka.

- Dlaczego? - spytała Mihrunnisa z uśmiechem.

Ladli podniosła głowę.

- Żeby nie musiała walczyć o tron. Nie oddam mojego dziecka cesarstwu.

Mihrunnisa wstała, odsunęła się.

- To głupie. Jaki pożytek z dziewczynki? To musi być następca tronu.

Ladli poruszyła srebrnymi szczypcami węgle w piecyku. Ogień zasyczał. Ladli zanurzyła dłoń w brokatowym woreczku i wrzuciła w płomień garść strużyn z drewna sandałowego. W powietrze uniosły się aromatyczne spiralki dymu.

- Jaki pożytek z dziewczynki, mammo? Taki jak z ciebie i ze mnie. Czy nie mamy żadnego znaczenia?

Mihrunnisa westchnęła i znowu usiadła, tym razem koło stolika w rogu. Leżały na nim *farmany*, których pergaminowe zwoje łagodnie lśniły w blasku lampki. Musiała je przejrzeć i postanowić, który podpisać, a który wyrzucić.

- Wiesz, co mam na myśli, *beta* - powiedziała, opierając się o ścianę. - Kiedy Szahrijar zostanie cesarzem, musi mieć następcę.

- To nie będzie chłopiec! - Ladli wyprężyła się; na czoło wystąpiły jej kropelki potu. Otarła je ręką.

Mihrunnisa przyjrzała się córce. Przyszłe macierzyństwo odebrało jej spokój. Jej emocje stawały się coraz większe - podobnie jak brzuch. Ale nadal była śliczna. Cerę miała złocistą i gładką, oczy straciły niezmienny smutek, a poruszała się z gracją, jaką Mihrunnisa widziała u niewielu kobiet w jej stanie. Dziecko dało szczęście Ladli i zadowolenie jej matce. Teraz związek z Szahrijarem zyskał wreszcie jakąś wartość, pomyślała Mihrunnisa. Wreszcie postąpiła wobec Ladli tak, jak powinna.

Ladli mruknęła coś pod nosem, zaplotła włosy i osunęła się na otomanę. Ciężko oddychała, jakby przebiegła spory kawał drogi.

- Nie chcę, by moje dziecko zostało wciągnięte w tę walkę, mamo. Nie chcę, żebyś je wykorzystowała do zdobycia tronu.

- Nie chcesz być matką cesarza? - spytała Mihrunnisa. Jej oczy zmieniły się w kawałki intensywnie niebieskiego lodu. Ladli pokręciła głową i objęła rękami brzuch, podtrzymując go od dołu. - Nie chcesz zasiadać na balkonie *zenany* w cesarskim pałacu i spoglądać na plecy swego syna, kiedy najpotężniejsi wielmoże w kraju będą mu bić pokłony? Powiedz - cesarzowa pochyliła się, oparłszy ręce na kolanach - powiedz, że tego nie chcesz! Możesz mieć to, czego ja nie miałam. Dziecko, które będzie nosić koronę, którego imię przejdzie do historii i dzięki któremu również o tobie będą pamiętać przyszłe pokolenia.

Wstała i podeszła do córki. Spojrzała na jej ciemną głowę z wąską linią przedziałka. Dotknęła jej, ale Ladli odsunęła się na tyle szybko, na ile pozwalało jej rozdęte ciało. Mihrunnisa

się odwróciła. Ze sterty aksamitnych płaszczy w kącie komnaty wzięła dwa, zarzuciła je na ramiona i głowę i wyszła na balkon.

Na zewnątrz było jasno jak w dzień; śnieg skrzył się w świetle domów i ulicznych latarni. Powietrze było krystalicznie czyste, przesycone lodowatym zimnem. Mihrunnisa wychyliła się na zewnątrz i zaczerpnęła głęboki haust powietrza. Dlaczego Ladli tak się zachowywała? Przecież wszystko to dla jej dobra. Chyba o tym wiedziała? Tak, Szahrijar był głupi, ale w jego żyłach płynęła cesarska krew, warta całego złota tego kraju. Dziecko w jej łonie także będzie tak cenne. Ladli nie pamiętała, nie mogła tego pamiętać, ale pochodziła z rodziny uciekinierów. Ghijas przybył do Indii bez grosza przy duszy. A w żyłach Ladli płynęła również krew jej ojca, zwykłego żołnierza, a przedtem służącego szacha Persji. A ona nosiła w łonie przyszłego cesarza. Dlaczego nie okazywała wdzięczności?

Gwałtownie zgarnęła śnieg z parapetu. Jej dłoń posiniała z zimna; roztarła ją o biodro. Ladli nadal miała do niej żal o to, że nie zwróciła się do Churrama. Ale przecież to nieprawda. Ladli nie wiedziała o tym, ponieważ Mihrunnisa jej nie powiedziała. A jednak... Ladli miała do niej żal. Czy obecnie Churram był coś wart?

Parę dni temu, zanim zaczął padać śnieg, Mihrunnisa otrzymała kolejny powód, by gniewać się na Churrama. Dała jeden ze swoich *dżagirów* Szahrijarowi i poleciła *diwanowi*, by przekazał dokumenty jej zięciowi. Churram wysłał do skarbnika oficjalną petycję w sprawie tego samego *dżagiru*, który oczywiście trafił w ręce Szahrijara. Jednak Churram, jak zwykle porywczy i pewien, że Dholpur należy już do niego, wysłał swoich ludzi. Służący Churrama spotkali się ze służącymi Szahrijara, rozpętała się walka, podczas której zginęli czterej mężczyźni. Mihrunnisa zażądała, by Dholpur wrócił w ręce Szahrijara, ale była pewna, że Churram odmówi, tak jak nie zgodził się przyjechać do Kandaharu.

Mijał czas, wymieniono listy pełne żądań i pogróżek, a tymczasem fort wpadł w ręce szacha perskiego. Dżahangir

nazwał Kandahar wioską, lecz miał on strategiczne znaczenie dla cesarstwa jako ośrodek handlu i twierdza. Teraz został oderwany od północno-zachodniego skraju cesarstwa. Churram, wbrew swoim słowom, wyraźnie zamierzał pozostać w Burhanpurze, dlatego Mihrunnisa rozkazała Szahrijarowi, by pojechał zamiast niego. Na jesieni został uroczyście wyeksponowany w drogę, lecz nawet cesarzowa nie wierzyła, że czegokolwiek dokona. Powierając mu dowodzenie armią cesarską, zademonstrowała całemu dworowi, kto jest teraz faworyzowanym synem. Wiedziała, że Szahrijar w najlepszym wypadku zdobędzie się na parę niemrawych ataków, a potem wróci do domu. Na szczęście niedługo urodzi się jego dziecko. Ten chłopiec zostanie następcą tronu. To on dawał Mihrunnisie nadzieję. Allahu, to będzie chłopiec, prawda?

Płatki padały na jej głowę, osiadały na rzęsach i fałdach płaszcza, ale nie schodziła z balkonu. Stopy jej zmarzły, skóra butów z wolna zaczęła rozmiękać. A ją cieszył widok tego niemożliwie białego świata, w którym znikły wszystkie grzechy i brudy Śrinagaru. Wszędzie panowała głęboka cisza i spokój. Tu nie była już cesarzową, nie była nikim, nawet matką i przyszłą babką. Tu nie była nawet żoną, choć i tak stojąc na balkonie, przechylała głowę ku drzwiom z prawej strony, za którymi spał Dżahangir. Zakaszła; przymknęła oczy i wyjężyła słuch. Zakaszła jeszcze trzy razy, raz cicho, drugi raz płytko, trzeci - jakby z głębi płuc. Zostali w Śrinagarze w nadziei, że jego astma ustąpi w czystym, mroźnym powietrzu doliny. Klimat nieco złagodził przebieg choroby, ale Mihrunnisa zrozumiała, że cesarz nigdy nie pozbędzie się kaszlu.

Dżahangir umierał. Może uda się mu pozostać na świecie jeszcze parę lat, ale jego ciało nie zniesie dłużej takiego cierpienia. Mihrunnisa widziała to z przerażającą wyrazistością. Od czasu tamtego strasznego ataku, który niemal pozbawił go życia, przygotowywała się na jego odejście. W owym czasie ta myśl wydała się jej straszna, ale z czasem, gdy nieustannie powracała, stała się łatwiejsza do zniesienia.

W końcu chłód przeniknął ją na wylot; zaczęła szczerkać zębami. Rzuciła się do pracy: każdy *farman* nosił jej pieczęć,

występowała na *dżharoce*, rządziła, podczas gdy Dżahangir wypoczywał. To ona wysłała Szahrijara na wojnę. Jeśli Churram nie chce zrezygnować z Dholpuru, który tak bezprawnie dla siebie zagarnął, ona skonfiskuje jego posiadłości w północnej części cesarstwa. Niech gniją na tym południu. Niech cała jego rodzina, synowie, żona, teść... ale nie, przecież był z nim Abul. W końcu oddalili się od siebie, zawstydzeni do głębi duszy świadomością, że Ghijas umarł podczas ich kłótni. Ale Abul nie opuścił cesarskiego dworu, nie pojechał do Churrama.

Mihrunnisa skuliła się pod osłoną płaszcza, oplotła się rękami w tali. Czy powinna odesłać Abula? Ale pod jakim pretekstem? I jak zareagują dworzanie? Ostatnio podczas audyencji na *dżharoce* byli sztywni, nerwowi. Z wielu powodów: przez problem Kandaharu, obdarzenia łaskami Szahrijara z pominięciem Churrama, nieustającą chorobę Dżahangira. Czuli się niepewnie. Mihrunnisa także. Tak naprawdę nie wierzyła, by Szahrijar mógł być cesarzem i by zdołał długo utrzymać się na tronie, ale mając syna, mógłby przez chwilę rządzić... na to przyjdzie jeszcze czas. I cokolwiek Mihrunnisa postanowi w sprawie swego brata, nie może tego zrobić bez aprobaty wielmożów. Zastanawiała się nad tym. Przyszedł jej do głowy pewien pomysł: należało wyprawić Abula w drogę.

Drgnęła; z komnaty obok znowu dobiegł kaszel. Zaczęła nasłuchiwać. Tym razem cesarz zakaszał cztery razy, za ostatnim - głośno i charcząco. Ruszyła przez zaśnieszony balkon w stronę apartamentów Dżahangira.

- Co mam zrobić? - spytał Abul z niedowierzaniem.

- Sprowadzić skarbiec do Lahaur - powtórzyła cierpliwie. Położyła dłoń na słupie palankinu, by zachować równowagę. Siedzieli blisko siebie w zamkniętej przestrzeni, stykając się podciągniętymi kolanami. Zasłony z zielonego jedwabiu były zaciągnięte. Słońce prześwietlało je, wypełniając palankin świetlistą zielenią.

Abul patrzył na siostrę. Źle mu się siedziało, bolały go uda, ale tego nie okazywał. Cesarska świta wracała do Lahaur po

zimie spędzonej w Śrinagarze. Nastała już wiosna - śnieg stopniał, ale nadal było zimno i ślisko. Podczas ostatniego postoju Mihrunnisa poprosiła, żeby dotrzymał jej towarzystwa. Musiał się mocno przytrzymywać słupa, kiedy ośmiu tragarzy tuszyło przed siebie z palankinem.

- Chcesz przenieść cały skarbiec? Wiesz, co w nim jest? - Potarł brodę i poczuł kępkę włosów, którą balwierz dziś ominął. - I dlaczego?

Oczy Mihrunnisy błysnęły.

- Będzie bezpieczniejszy przy cesarzu.

Abul pokręcił głową.

- Tak, ale...

- Nie chcesz? - rzuciła ostro.

- Nie, oczywiście, jeśli cesarz każe, ja zawsze... jak to: bezpieczniejszy? Kto ośmieliłby się napaść na skarbiec cesarstwa? W Agrze jest zupełnie bezpieczny.

- Churram - powiedziała cicho Mihrunnisa. Abul zerknął na nią i odwrócił wzrok. Za zasłoną przesunęły się zielone, mgliste sylwetki żołnierzy. Ich konie kroczyły jakby w jednym rytmie, a przynajmniej tak mu się wydawało. A więc tak oglądała świat Mihrunnisa podczas długich godzin podróży, gdy postanowiła jechać w palankinie.

- Co znowu zrobił? - spytał ostrożnie. Czyżby coś nowego? W ostatnim liście Ardżumand nie było żadnej wzmianki o jego zamiarach. Ale córka rzadko przekazywała mu coś na piśmie; zbyt wiele ciekawskich oczu mogłoby zerknąć na list, zbyt wiele rąk mogłoby go zanieść Mihrunnisie.

- Za bardzo oddaliliśmy się od Agry. - Siostra znowu mówiła do niego z rezygnacją, jak do dziecka. - Cesarz pragnie powrócić do Kaszmiru, kiedy obowiązki mu na to pozwolą. Dwór nie odwiedzi stolicy jeszcze przez jakiś czas. Jeśli mamy przebywać tak daleko na północy, skarbiec nie jest bezpieczny przed Churramem.

- Churram nie napadłby na niego.

- Tak? - Pochyliła się, chwyciła go za rękę. - Skąd wiesz? Abul wyrwał dłoń i cofnął się pod ścianę palankinu.

- Nic nie wiem. Od wielu lat nie miałem styczności z księ-

ciem Churramem. - Tylko z córką, ale o tym nie zamierzał informować Mihrunnisy.

- Wyjedziesz jutro. Etibar-chan otrzymał rozkaz, by przekazać ci skarbiec wraz ze strzegącymi go strażnikami. Uważaj na niego.

- Dobrze - wymamrotał.

Mihrunnisa stuknęła wachlarzem w jedną z kolumn. Tragarze się zatrzymali, Abul zeskoczył na ziemię. Palankin zakołysał się i znowu ruszył. Żołnierze przejeżdżali obok, niektórzy się kłaniali. Abul Hasan zaczekał, aż służący przyprowadzi mu konia. Wskoczył na niego i pojechał za orszakami. W jaskrawym słońcu zielone i złote ozdoby na palankinie migotały. Abul pochylił głowę. Co zamierza jego siostra? Dlaczego wysłała po skarbiec akurat jego? Czy nie rozumie, że on nigdy nie opuści swojej Ardżumand?

Nie zaprotestował, kiedy majątek ojca przeszedł na własność Mihrunnisy. Zresztą co miałby powiedzieć? Nie mógł się sprzeciwić; rozkazów cesarza nikt nie kwestionował. Ale nienawiść, zazdrość i chciwość nie dawały mu spać. To były jego pieniądze, a oddając je Mihrunnisie, cesarz zrobił z niego eunucha. Amirowie śmiali się z niego, niektórzy otwarcie, pytając, czy w związku z tym nagłym zubożeniem nie chciałby prosić o pożyczkę. Kiedy wyruszyli do Lahaur, murarze i architekci pracowali gorliwie w Agrze nad budową grobowca Ghijas-bega. Abul zobaczył jego plany, kiedy podekscytowana Mihrunnisa je przed nim rozłożyła.

Spójrz! Więc spojrzął, ujął dokument w dłoń. Piękny budynek na ozdobnym postumencie. Kwadratowy, z czterema ośmiokątnymi wieżami i ostro zakończonymi okapami. Jedwabście cienkie ażury z marmuru w głównej komnacie, gdzie mieli spocząć Ghijas i Asmat. Wokół ogród, podłużne trawniki, drzewa dające cień i owoce, woda płynąca kanałami. Grobowiec miał być zrobiony z marmuru, nieskalanie białego jak świeży śnieg. A każda powierzchnia inkrustowana *pietra dura*. Czym? - spytał Abul. A Mihrunnisa opowiedziała mu, jak kamieniarze wycinają niewielkie kawałki marmuru i na ich miejsce wciskają jaspis, krwawniki, topazy, onyksy, lapis-lazuli,

wypolerowane tak, by jak najbardziej podkreślić ich urodę. A potem jeszcze raz polerowano powierzchnię, by sprawiała wrażenie, jakby została wycięta z jednorodnego kamienia.

- Gdybyś położył na niej rękę i zamknął oczy, nie potrafibyś powiedzieć, gdzie znajdują się inkrustacje - dodała.

- Pewnie dużo kosztuje - powiedział. Z planów wynikało, że wszystkie powierzchnie grobowca mają być pokryte inkrustacjami - przeplatającymi się okręgami i sześciokątami, tulinpanami o smukłych łodygach, liśćmi betelu.

Mihrunnisa się roześmiała.

- Chciałam, żeby zewnętrzne ściany były ze srebra, ale architekci przekonali mnie, że ten marmur wytrzyma dłużej. Więc koszt nie jest taki wysoki. A pieniądze nie mają dla mnie znaczenia. Jestem bogata.

Tamtego dnia poczuł się bezsilny. To on powinien zbudować grobowiec swemu ojcu; to on był najstarszym synem. Teraz imię Mihrunnisy stanie się znane. To ona będzie chwalona za piękno budowli. To ona ma środki na jej wzniesienie. Wrócił do domu, dygocząc z gniewu. Wiedział, że tylko ktoś z rodziny cesarskiej ma prawo zostawić swój ślad w historii kraju. Wiedział, że poślubiając cesarza, Mihrunnisa weszła do jego rodziny.

On nigdy nie zdoła tego dokonać. Urodził się mężczyzną w rodzinie niespokrewnionej z cesarzem. Dlatego nigdy nie zdoła zmienić swojego statusu. W najlepszym razie mogą być teściem przyszłego cesarza, pomyślał, szarpiąc cugłami, gdy jego koń usiłował zboczyć ze ścieżki.

Zanim następnego ranka wyruszył na czele małej armii do Agry, napisał do Churrama.

Księżę Churram przeczytał jego list i szybko podjął decyzję. Powiadomił dworzan, że udaje się na polowanie, które będzie trwało miesiąc. W trakcie przygotowań rozkazał wojskom przygotować się do wymarszu. Wyjechał z miasta, kierując się na południe w stronę terenów łowieckich - a kiedy dołączyła do niego kawaleria, licząca siedemdziesiąt tysięcy jeźdźców - ruszyli na północ w stronę Agry.

Jego plan nosił ironiczne piętno - dwadzieścia lat temu Dżahangir zrobił dokładnie to samo - porzucił bezsensowną wojnę w Mewarze, by napaść na skarbiec w Agrze w nadziei, że w ten sposób pokona Akbara i zdobędzie koronę, która i tak mu się należała. Jadąc dniami i nocami ku Agrze, książę Churram zdawał sobie sprawę, że ma niewielkie szanse na objęcie rządów nad cesarstwem... a jednak musiał to zrobić, w przeciwnym razie cesarzem zostałby Szahrijar.

Abul Hasan dotarł do swojej posiadłości w Agrze z zapadnięciem zmroku. Zmusił się do przeczekania nocy; przeleżał ją bezsennie, wpatrzony w łopoczącą *panka*. Na długo przed świtem wstał i przygotował się. Zjadł lekkie śniadanie - połowę *chappati*, jajecnicę z gęsich jaj z cebulą, imbirem i kminkiem, i popił je kubkiem *czaju*. Do urzędu Etibar-chana wszedł wolnym, odmierzonym krokiem. Wkrótce, pomyślał, już za chwilę będę strzegł największego skarbu świata. A gdy przybędzie Churram, także cesarstwo będzie nasze. Cesarz Dżahangir nie zdoła z nimi walczyć, pozbawiony bogactw, za które będzie można kupić tysiące żołnierzy, całe miasta i wsie, każdego dworzanina. Podczas podróży do Agry w towarzystwie niewielkiego oddziału miał czas, żeby to wszystko przemyśleć.

W chwili gdy posłaniec z listem do Churrama przekroczył jego próg, stało się jasne, że Abul przeciął ostatnie więzy z siostrą. Mihrunnisa zachowała się jak idiotka, pomyślał, powierzając mi pieczę nad skarbcem, choć od śmierci ojca nieustannie mnie obrażała. Oczywiście nachodziły go także chwile przerażenia... a jeśli jego plan się nie powiedzie, jeśli Churram nie przybędzie, jeśli coś się nie uda? Jeśli jego list do Churrama trafił w niepowołane ręce, a poprzez nie - do Mihrunnisy? Lecz kiedy pędził do Lahaur, a potem do Agry, nic się nie wydarzyło.

Etibar-chan wyszedł mu na spotkanie na próg drzwi. Skłonił się.

- *As-salam alajkum*, mirzo Abul Hasanie. Czym sobie zasłużyłem na ten zaszczyt?

W cesarstwie mogolskim, gdzie życie każdego człowieka zależało od kaprysu cesarza, Etibar-chan zaskakująco długo - od ponad trzydziestu lat - pełnił funkcję strażnika cesarskiego skarbcza. To właśnie on, stojąc z założonymi na piersi rękami przed fortem w Agrze, bronił cesarzowi Dżahangirowi dostępu do skarbcza, który wtedy nie należał jeszcze do niego.

- *Walajkum as-salam* - odparł Abul. - Przybywam od cesarza. Mam odstawić skarbiec do Lahaur.

- Oczywiście. Jednak czy mogę dostać jakiś dowód na potwierdzenie... - powiedział Etibar i zaraz dodał: - Proszę o zrozumienie. Muszę włączyć ten list do akt.

- Naturalnie. - Abul Hasan podał mu cesarski *farman*.

Skarbnik powoli odczytał dokument. Cesarz wyraźnie nakażywał mu oddanie zawartości skarbcza. Abul przestąpił z nogi na nogę. Miał ochotę chwycić staruszka za ramiona i potrząsnąć nim. Churram pewnie już wyjechał z Burhanpuru, a jeśli podróżuje na czele armii, z pewnością wkrótce dowie się o tym całe cesarstwo.

- Cały skarbiec! - Etibar rozłożył ręce. - Spisanie wszystkiego zajmie całe tygodnie.

- To niemożliwe. Muszę wyruszyć za pięć dni - powiedział Abul szybko. - Tak rozkazał cesarz.

- *Farman* o tym nie wspomina. - Etibar dotknął dokumentu palcem. - Nie mogę cię wyprawić w drogę za pięć dni.

- Najjaśniejszy pan mógł nie wspomnieć nic o pośpiechu, lecz powiedział, że pragnie, by skarbiec znalazł się w Lahaur możliwie szybko.

- Z pewnością nie pozwolimy czekać najjaśniejszemu panu. - Etibar objął Abula i zaprowadził go na otomanę. - A na razie zechciej skorzystać z naszej gościnności.

Abul usiadł. Nie miał ochoty odpoczywać. Chciał znaleźć się w skarbcu pełnym ogromnych skrzyń ze złotymi i srebrnymi monetami, sznurów pereł wielkich jak ziarna grochu, brylantów, szmaragdów i rubinów oprawnych w złoto. Ale milczał.

- Natychmiast rozkażę, by rozpoczęto spis.

Przez następne dwa tygodnie Abul Hasan przyglądał się,

jak skarbnik osobiście liczy złote *mohury*. Zamówiono nowe skórzane woreczki na monety. Każdy przedmiot ze skarbcza drobiazgowo opisano w księgach. Przeliczono drogie kamienie, ponownie nawleczono je na nici i zapieczętowano w jedwabnych sakiewkach.

Pod koniec drugiego tygodnia Abul Hasan postanowił zabrać skarbiec bez dalszego spisu, a za ewentualne straty osobiście odpowiedzieć przed cesarzem. Etibar-chan nie krył oburzenia. Taka niedbałość jest niedopuszczalna! Abul wycofał się, przeprosił i znów wrócił do gładkich dyplomatycznych frazesów. Był bezsilny do chwili przybycia Churrama, a jakoś nie miał żadnych wiadomości o księciu. Przynajmniej to było pocieszające. Skoro do niego nie dochodziły żadne wieści, to do Etibara prawdopodobnie także nie. Modląc się, by tak właśnie było, Abul czekał i czekał, a dni dłużyły się w nieskończoność.

Wreszcie nadszedł dzień przejścia skarbcza z rąk Etibar-chana. Służący Abul Hasana spakowali jego bagaże; zamierzał opuścić Agrę natychmiast po otrzymaniu cesarskich bogactw i oddalić się jak najszybciej, bo miasto było dobrze zabezpieczone przed atakiem.

Przed główną bramą fortu powitały go fanfary. Na widok wytoczonych na mury dział poczuł lekki dreszcz. Co zamierzał Etibar-chan? Na jego spotkanie wyszedł niewielki oddział żołnierzy. Na głównym dziedzińcu postawiono dwie otomany pod złotym baldachimem.

Etibar i Abul przyklękli na otomanach, zwrócenii do siebie twarzami. Skarbnik rozpoczął przemowę na temat zwyczajów związanych z przeniesieniem skarbcza.

- Po co tyle ceregieli? - spytał niecierpliwie Abul. - Oddaj mi skarbiec i będzie po wszystkim.

Etibar-chan pokręcił siwiejącą głową.

- Mój drogi przyjacielu, na wszystkie okoliczności istnieją odpowiednie przepisy. Jeśli my, dworzanie, zapomnimy o etykiecie, jak moglibyśmy stanąć przed obliczem najjaśniejszego pana?

- Masz rację - wymamrotał Abul. Był na skraju wytrzymałości. Nie spał od kilku nocy, zastanawiając się, czy wreszcie nadeszła odpowiednia chwila. Etibar-chan był starcem myślącym tylko o przepisach i formalnościach, które stanowiły całe jego życie. Czy parę minut zwłoki może zaszkodzić jego sprawie? Usiadł i przybrał równie poważną minę jak Etibar. Ceremonia potrwała kilka godzin.

W końcu pojawiła się długa procesja służących obładowanych ciężkimi skórzanymi woreczkami, szkatułkami i drewnianymi skrzyniami. Abul przyglądał się, jak ładują je na wozy zaprzęgnięte w słonie, wielbłądy i woły. Etibar pokazał Abulowi księgi. Abul odepchnął je, skłonił się skarbnikowi i wskoczył na konia.

Już spinał go do galopu, gdy Etibar zawołał:

- Mirzo Hasanie, o czymś zapomniałeś!

Abul odwrócił się powoli. Co znowu?

- Zapomniałeś podpisać pokwitowanie - dodał Etibar. Abul chwycił pismo i nagryzmolił na nim swoje imię. Potem, już się nie kłaniając, wypadł galopem z dziedzińca. Słonie i wielbłądy ruszyły wolniejszym krokiem. Przejechali przez fort do bramy Hathi Pol na zachodnim krańcu miasta. Serce Abula łomotało niczym młot. Jeszcze parę kroków i znajdą się na zewnątrz. Jeszcze parę dni, a cesarska armia nigdy go nie dogoni.

Zbliżając się do bramy, zauważył, że nie widzi dziennego światła. Zwodzony most podnosił się powoli. Abul podjechał do strażników.

- Co to ma znaczyć? - ryknął. - Wypuście mnie. Jadę do cesarza.

Żołnierz wzruszył ramionami.

- Rozkaz skarbnika. Skarbiec nie opuści fortu.

- Co? Opuście most!

Strażnicy odwrócili wzrok. Abul zawrócił konia i dziko pognął z powrotem, wymijając wozy i strażników. Etibar stał samotnie na środku dziedzińca. Czekał na niego.

- Co to znaczy? - ryknął Abul, zeskakując z konia.

- Skarbiec nie opuści fortu, mirzo - odparł Etibar. - Książę Churram zbliża się do Agry.

- I co z tego? - Abul potrząsnął go za ramiona. Starzec bez trudu oderwał jego palce od swoich barków. Już się nie uśmiechał, przestał być uprzejmym gospodarzem.

- Ale... ale... mam rozkaz od cesarza - wyjąkał Abul. - Każe ci ściąć głowę!

- Niewątpliwie najjaśniejszy pan kazałby mnie ściąć, gdyby skarbiec wpadł w ręce księcia - zgodził się Etibar. - Ale na szczęście mam okazję, by go obronić.

- Lepiej będzie, jeśli skarbiec opuści Agrę. Nie rozumiesz? Jeśli książę tu jedzie, skarbiec należy wywieźć!

- Nie mogę się z tym zgodzić. Fort jest nie do zdobycia. Skarbiec będzie tu bezpieczniejszy niż w drodze do cesarza. - Skarbnik zwrócił się do służącego. - Poinformować cesarza o czynnościach księcia. Zapewnijcie go, że skarbiec jest dobrze strzeżony w Agrze.

Abul przyglądał się bezsilnie, jak służący rozładowują wozy i zabierają skarby do piwnic i lochów. Etibar uprzejmie zapewnił mu uzbrojoną eskortę, która odprowadziła go do domu. Od tej pory Abulowi na każdym kroku towarzyszył strażnik. Nieustannie go obserwowano; nie mógł wysłać Churramowi wiadomości. Dopiero wtedy zrozumiał, że wszystko to plan Mihrunnisy. Oszukała go siostra, którą uważał za głupią.

Nierozważnie wywabił Churrama z bezpiecznego fortu w Burhanpurze. Mihrunnisa i Dżahangir jechali z Lahaur do Agry. Za murami ogrodu Abula cesarscy strażnicy ćwiczyli strzelanie. Tysiące stóp maszerowało obok jego domu, broje i tarcze szczękały, a Churram coraz bardziej zbliżał się do Agry.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

*Drzewo gorzkie z natury
posadzone w rajskim ogrodzie
podlewane z wiecznego źródła
O korzeniach syconych czystym miodem
w końcu zdradzi, jakie jest naprawdę
I urodzi te same gorzkie owoce.*

Tuzuk-i-Jahangiri,

tłum. A Rogers, wyd. H. Beveridge

- Nic z tego, wasza wysokość.
- Nikt nie zaproponuje nam gościny? Zupełnie nikt?

Radża Bikramdżit, głównodowodzący armią Churrama, pokręcił głową. Obaj spojrzeli na opustoszałą uliczkę wioski oddalonej od Agry o sześć kilometrów. Sklepy były pozamykane, wszystkie domy zaryglowane od wewnątrz. Ludzie Churrama przez dwie godziny najpierw pukali do drzwi, potem się do nich dobijali. *Koi hai?* Jest tam kto? Zupełnie jakby wioska wymarła, jakby przeszła przez nią zaraza. Na zewnątrz nie było żywej duszy: kotów, psów, grzebiących w piachu kur, krów wylegujących się wygodnie na samym środku dróg. Wszędzie panowało głucho milczenie.

- Skąd się dowiedzieli o naszym przybyciu? Opuściliśmy Burhanpur w tajemnicy.

Radża Bikramdżit się skrzywił.

- Złe wieści szybko się rozchodzą.

Podobnie jak księżę, radża miał twarz przysypaną grubą warstwą pyłu. Stanowimy piękny widok, pomyślał Churram. Przemierzyli całe cesarstwo, zatrzymując się nocą na dwie, czasem trzy godziny. Konie zmieniali w serajach, ale przez parę ostatnich dni podróżowali na tych samych wierzchowcach. W miarę jak zbliżali się do Agry, napotykali mur mil-

czenia, odwrócone plecy, oczy pełne nienawiści. Churram nie zwracał na to większej uwagi - był zbyt zmęczony. Ale teraz, stojąc na ulicy wioski, zrozumiał, że ojciec musiał wyruszyć na jego spotkanie.

- Co robimy? - spytał. *Gdzie studnia?* Znajdowali się w pobliżu rynku, ale jeśli gdzieś w okolicy znajdowała się studnia, to została sprytnie ukryta. - Żołnierze są głodni i spragnieni. Idziemy na Agrę?

Bikramdżit pokręcił głową.

- Agra także jest przygotowana na nasze nadejście.

- Dlaczego Abul Hasan mnie o tym nie powiadomił?

- Jest w areszcie domowym, wasza wysokość. Etibar-chan zamknął skarbiec w lochach.

Churram spojrział zmrużonymi oczami w ciemność. Nawet uliczne latarnie były zgaszone. Wioska prędzej zginie, niż go powita. Oparł się na siodle, zamyślony. Musieli jechać dalej, teraz nie mógł już zawrócić. Nie może wrócić do Ardżumand pokonany.

- Musimy ruszyć na Agrę i spróbować ją zdobyć.

- Odradzam, wasza wysokość. Żołnierze są zmęczeni.

- Teraz nie mogę zawrócić - oznajmił uparcie Churram.

Włożył stopę w strzemień i wyprostował się. - Dać żołnierzom rozkaz wymarszu.

Ale Etibar-chan nie próżnował. Mury fortu wzmocniono zaprawą i kamieniami. Główną bramę zamurowano, nigdzie nie zostawiono ani jednego drewnianka. Na mury wytoczono działa, skierowane ziejącymi paszczami w stronę armii Churrama. Za nimi stali żołnierze w pełnych zbrojach.

Churram i jego ludzie nabili muszkiety i oddali salwę, ale kiedy odpowiedziały na nie działa, w szeregach powstały wielkie wyrwy. Żołnierze wyrwali drzewo z korzeniami i użyli go jako tarana, ale zamurowana brama się nie poddała. Wreszcie, późno w nocy, gdy za fortem płonął ogień, w powietrzu unosił się swąd palonego ludzkiego i końskiego mięsa, a żołnierze leżeli na ziemi, krzycząc w agonii, Churram zawrócił konia i poprowadził resztki armii do odwrotu.

Ledwie trzymał się w siodle; jakaś kula rozorała mu ramię, obwiązał je kawałkiem szmaty, by powstrzymać krwotok. Był wyczerpany, podobnie jak jego ludzie. Uciekali wczepieni w końskie grzywy. Ukryli się na północy. Postanowili napaść na fort w Delhi. Churram nie mógł wrócić do Dekanu z pustymi rękami. Nie wiedział tylko, że świta jego ojca - a także znaczna część armii - już przybyła do Delhi.

Abul został wprowadzony do komnaty Mihrunnisy w kajdanach na rękach i nogach.

- Co to ma znaczyć? - ryknął. - Skandal! Dlaczego traktuje się mnie jak przestępcę?

Mihrunnisa robiła *paan*. Nie spojrzała na brata, a Abul nie podszedł bliżej. Za pierwszym razem, kiedy spróbował się poruszyć, Hoszizar położył mu rękę na karku w bardzo nieprzyjemny sposób.

- Proszę zostać tutaj, mirzo Hasanie.

Mihrunnisa siedziała na otomanie. Przed nią stały srebrne tace z liśćmi i orzechami betelu, limonkami i rodzynkami. Zanurzała kolejno sercowate liście betelu w miseczce z wodą, płukała je, wycierała i wypełniała zawartością tac. Następnie starannie robiła z nich kwadratowe paczuszki, obwiązywała mocno i spinała goździkami.

Abul zadrżał. Przeguby go paliły, żelazne kajdany ocierały skórę do żywego. Co Mihrunnisa chce z nim zrobić?

- Mihrunniso - odezwał się prosząco. Tym razem podniosła głowę. Twarz miała bez wyrazu, ani zagniewaną, ani wrogą. Otworzyła usta, włożyła do nich *paan* i zaczęła żuć, nie odrywając spojrzenia od brata. To on spuścił głowę.

- Kto powiedział Churramowi o przenosinach skarbcza, Hoszizarze?

Abul podniósł szybko głowę.

- Nie ja! Musisz mi uwierzyć!

- Więc skąd się dowiedział?

- Nie wiem - odparł, nie mrugnawszy nawet powieką. Jednak znowu zaczął dygotać, aż zaszczekały kajdany.

- Zdejmij je, Hoszizarze - rozkazała Mihrunnisa, opierając

się na poduszkach. Zestawiła tace z otomany na podłogę. -
Podejdz, Abulu, usiądz.

Abul rozmasował nadgarstki i kostki, po czym pokuśtykał do siostry.

- Wierzysz mi? Mihrunniso, Churram jedzie właśnie do Delhi, by na nie napaść. Musisz powiadomić o tym cesarza.

Uniosła brew.

- Naprawdę?

- Tak. Dowiedziałem się wczoraj.

- Więc staniesz na czele wojsk w starciu z Churramem?

Nie wahał się nawet przez chwilę. Zgodził się, zanim zdążyła dokończyć zdanie. Patrzył jej w oczy. Chyba mu uwierzyła.

Mihrunnisa kazała mu odejść. Nie postąpiłam źle, pomyślała, sprowadzając go tutaj w kajdanach. Teraz już wiedziała, że Abul nigdy nie stanie po jej stronie. Zawsze wybierze Churrama. Ale będzie z nim walczyć, a jeśli zdradzi się, że zamierza przejść na jego stronę, Mihrunnisa każe dowódcom go zabić, zanim zdąży dotrzeć na miejsce. Książę maszerował na Delhi; Abul powiedział to tak, jakby sądził, że to dla niej coś nowego, co odwróci od niego podejrzenia. Ale ona oczywiście od dawna o tym wiedziała. Nie tylko o planach Churrama, ale także o miejscu jego pobytu.

Kazała Szahrijarowi porzucić Kandahar. Abul stanie na czele innej armii. Kto poprowadzi trzecią? Churram miał u swego boku dwóch mężczyzn, których Mihrunnisa chętnie ujrzałaby na czele cesarskiej armii - radzę Bikramdžita oraz chan-i chana. Przez chwilę zastanawiała się; przypomniała sobie, że chan-i chana nieustannie występował przeciwko niej w pierwszych latach małżeństwa. To on zwrócił się do Dżahangira z jawną skargą na nią. Wykazał się odwagą i, na swój sposób, lojalnością wobec cesarza, jaką okazało niewielu poza nim.

Mihrunnisa napisała list do przebywającego w Kabulu Mahabbat-chana, proponując, że uwolni go od obowiązków gubernatora, jeśli zgodzi się stanąć na czele cesarskiej armii. List sformułowała w tonie prośby, lecz w rzeczywistości był to rozkaz. Mahabbat nie mógł się łudzić, że zostawiono mu moż-

liwość wyboru - dlatego też się zgodził. A nawet rozpaczliwie chwycił się tej szansy. Spędził dziesięć lat poza cesarskim dworem, a postarzał się o dwadzieścia. Nie miał na co spożytkować swojej energii, w Kabulu miał niewiele obowiązków. I wreszcie nadarzyła mu się okazja do powrotu.

Trzy cesarskie armie pod wodzą Mahabbata, Szahrijara i Abula spotkały się z wojskami Churrama na południe od Delhi. Wynik potyczki był z góry wiadomy - ludzie Churrama w żaden sposób nie mogli się przeciwstawić potędze sił cesarskich. Książę uciekł do Dekanu pod osłoną nocy, radża Bikramdżyt zginął. Odcięto mu głowę, wypchano ją sianem i zatknięto na pikę na murach fortu Delhi. Rodzina radży od wielu pokoleń posiadała dwie identyczne perły rozmiaru małych wiśni. Bikramdżyt nosił je w uszach, lecz zanim zatknięto jego głowę na pikę, odcięto małżowiny z rodzinnym skarbem.

Churram uciekł do Dekanu, ale oczywiście nie mógł liczyć na darowanie win. Mihrunnisa nagrodziła wszystkich wielmożów, którzy brali udział w walce, lecz Abula pominęła. Za to rozkazała mu pozostać na dworze; nie chciała spuszczać z niego oka. Wysłała list do księcia Parweza, każąc mu porzucić życie w pijaństwie i nieróbstwie. Wzywała go do Delhi, by wyruszył w pościg za Churramem.

Mahabbat-chanowi powierzyła dowodzenie kampanią do spółki z Parwezem. Cesarz znowu leżał złożony chorobą; nie wstał, by osobiście wydać rozkazy, ale przysłuchiwał się Mihrunnisie. Podsunął, że mogliby się udać do Adżmeru i tam czekać na wiadomości o pościgu Mahabbat-chana i Parweza.

I tak dwór przeniósł się do Adżmeru. Niegdyś Mihrunnisa i Dżahangir zjawili się tu, by wspierać Churrama prowadzącego oblężenie Mewaru. Teraz mieli nadzieję usłyszeć o jego zgonie.

Pod Burhanpurem Churram stoczył walkę z armią Parweza - a raczej Mahabbat-chana. Został bez trudu pokonany; musiał uciekać na południe, w stronę rzeki Tapti. Tym razem zabrał ze sobą Ardżumand i synów. Towarzyszyła mu żałośnie szczupła świta - Mahabbat dał popis swoich talentów dypl-

matycznych i wysłał tajne listy do wielmożów z dworu Churrama, obiecując im przebaczenie cesarza, jeśli staną po jego stronie.

Z nieba lały się nieprzerwanie potoki wody. Grzmoty zagłuszały wszystkie dźwięki. Błyskawice oświetlały karawanę, z wolna brnącą błotnistym zboczem góry.

Churram jechał na czele grupy; po twarzy spływały mu strugi deszczu. Nie podnosił głowy, bo wówczas strumienie zalewały mu oczy. Pochylił się nad końską szyją i modlił się, by wierzchowiec się nie potknął. Koń brnął przez błoto, z wysiłkiem wyszarpując z niego kopyta i miotając Churramem na wszystkie strony. Księżę obejrzał się na palankin. Ardżumand także musiała być przemoczona do suchej nitki. Monsunowe wichry porwały zasłony i materiał kryjący lektykę; zapomniano o skromności i Ardżumand przywarła do szkieletu palankinu, odgarnawszy z twarzy ociekający wodą welon. Churram zaklął pod nosem. Proszę, cesarski syn musi uciekać jak prostak. Nagle ktoś krzyknął. Churram wstrzymał konia.

Jeden ze słoni zapadł się w błoto. Dziko szarpał się i trąbił, usiłując się wyzwolić, lecz grzązał coraz bardziej.

Do księcia podbiegł służący.

- Musimy zostawić tego słonia, wasza wysokość - krzyknął mu do ucha.

- Zróbcie to, szybko! - odparł Churram, usiłując zagłuszyć szum deszczu.

Zdjęto bagaż z grzbietu zwierzęcia, a następnie rozłożono na i tak bardzo obciążone słonie i konie. Churram odwrócił wzrok; rozległ się strzał. Ryk słonia umilkł nagle. Rozległo się ciężkie plaśnięcie, gdy wielkie cielsko padło.

Tapti przekroczyli dwa dni temu. Rzeka była wezbrana po deszczu, jej przemierzenie zakończyło się niemal tragicznie. Nurt rozwścieczonej Tapti porwał całe barki pełne bagaży; ludzie ledwie zdołali się przeprawić na drugi brzeg. Monsuny zaczęły się w chwili, gdy Churram opuścił Burhanpur, ale księżę nie mógł czekać, aż deszcze przeminą - nie miał czasu.

Nawet teraz, gdy brnęli w stronę południowej granicy cesarstwa, armia podążała za nimi, oddalona o dwa dni drogi.

Ruszyli znowu, choć głodne i zmęczone zwierzęta protestowały przeciwko zwiększonemu obciążeniu. Churram postanowił, że w żadnym wypadku nie zostanie więźniem cesarza, choćby miał zapłacić najwyższą cenę. Był świadkiem losu Chusru i wiedział, że jego czeka coś gorszego. Uniósł rękę i wskazał południe.

- W drogę! - ryknął.

Ardzumand skuliła się w kącie palankinu, szukając schronienia i ciepła. Było jej niedobrze. Zdążyła się już przyzwyczaić do tego uczucia; serce ścisnęło się jej, bo zrozumiała, że znowu jest w ciąży. Co za życie będzie miało to dziecko, zrodzone w rodzinie uchodźców, uciekających przed gniewem cesarza? I jakie życie będą wiodły jej pozostałe dzieci? Niegdyś wydawało się całkiem pewne, że Churram zostanie cesarzem, ale teraz...

Tej nocy nie wydarzyło się nic niemiłego. Po południu Churram i Ardzumand minęli granicę z królestwem Golkondy. Niegdyś, pomyślał Churram, walczyłem z jego wojskami. Czy dziś znajdę tu schronienie?

Mahabbat-chan ścigał uparcie Churrama w siekącym deszczu. Od trzech dni nie zdołał wysuszyć ubrania. Jego barka przewróciła się na Tapti, Parwez i on wpadli do rzeki. Trzymali się korzeni, dopóki żołnierze ich nie wyłowili. Mahabbat także był zmęczony. Nie był już młody, nie mógł jechać godzinami i dniami, by zwyciężyć. Ale Dżahangir wydał rozkaz.

Mahabbat-chan uniósł łysiejącą głowę i zaczął pić deszczówkę. Kiedy schwyta księcia Churrama, zostanie bohaterem. Dżahangir znowu przyzna mu miejsce na dworze, u boku Szarifa. Znowu będą przyjaciółmi, tak jak kiedyś. Mahabbat zapadł w półsen w siodle; jego koń włókł się w mroku i deszczu. Te same błyskawice, które oświetlały świętą Churrama, błyskały i nad nim. Widział wyraźnie swoich żołnierzy, przemoczonych i żałosnych, zziębniętych, zakatarzonych, kaszlących. Znowu zatonał w półśnie. Korespondował z Szarifem;

listy z czasem stały się coraz rzadsze, gdyż Mahabbat zazdrościł przyjacielowi sukcesów. Przyjęcia, festiwale, ważenie cesarza podczas urodzin... niedbałe zdania Szarifa odmalowywały każdy szczegół tych wspianiałych uroczystości. Amir ul-umra zachował swoją pozycję, ponieważ potrafił trzymać język za zębami. Mahabbat wiedział, że sam nie potrafiłby znieść audyencji podczas *dżharoki*, kiedy Mihrunnisa od niechcenia, zza zasłony, nagięła wielmożów i książęta do swej woli. Czytając listy Szarifa, często myślał, że lepiej mu w Kambulu, z dala od pokus, by walczyć z Mihrunnisa. Na dworze musiałby zmagać się z tym pragnieniem w każdej chwili dnia. Ale jego miejsce było przy cesarzu. Teraz chyba będzie mógł wrócić?

Koń Mahabbata z trudem brnął przez błoto. Dowódca siedział ze spuszczoną głową; w mroku widział obrazy przyszłej chwały. Dreszcze, które nim wstrząsały, ból nóg od siedzenia w siodle i nieustanne pragnienie snu nie miały znaczenia.

Wojska ciągnęły drogą, którą przemierzył książę Churram. Minęły martwego słonia w błocie, wreszcie dotarły do granic cesarstwa. Tu ślady wiodły w stronę Golkondy. Mahabbat wraz z armią objechał granice, wypatrując innych śladów - miał nadzieję, że tamte były fałszywe, a Churram ruszył w innym kierunku. Ale nie, książę udał się do wrogiego królestwa wraz z żoną, dziećmi i wojskiem.

Mahabbat stał na granicy przez dwa dni, po czym zawrócił do Burhanpuru, ciągnąc za sobą wiecznie narzekającego księcia Parweza. Jednak było to pewne zwycięstwo. Churram nie stanowił już zagrożenia - i tak też Mahabbat napisał w liście do Mihrunnisy i Dżahangira, wysłanym natychmiast po dotarciu do Burhanpuru. Pomiędzy wierszami zdołał przemycić wiadomość, że pragnie wrócić na dwór w zamian za udział w kampanii.

Kilka miesięcy później Churram wysłał do ojca list, w którym błagał o wybaczenie. Nie chce już mieszkać na wygnaniu, choć król Golkondy okazał mu, swemu dawnemu wrogowi, gościnność, a nawet hojność. Ale Golkonda nie była jego domem.

Mihrunnisa wysłała z Lahaur surowe warunki kapitulacji.

Churram miał przekazać do skarbcza milion rupii. Jego dwaj synowie mieli się znaleźć na dworze jako zakładnicy, w razie gdyby książe postanowił się znowu zbuntować. Churram miał się zrzec praw do fortów Asir i Rohtas. Książe zgodził się i zabrał rodzinę do Nasik nad Morzem Arabskim. Oficjalnie znalazł się na wygnaniu, choć był na terenie cesarstwa.

Wiadomości o zwycięstwie Mahabbata nad księciem Churramem rozeszły się w całym kraju. Dowódca miał pięćdziesiąt pięć lat, a pokonany książe - o połowę mniej. Był dzielnym żołnierzem. Niegdyś, kiedy Dżahangir zasiadł na tronie, ludzie wymawiali jego imię jednym tchem z Mahabbatem i Szarifem. Mihrunnisa to zmieniła. Teraz imię Dżahangira łączono tylko z jego dwudziestą, najważniejszą żoną.

Nad wschodnim horyzontem Lahaur wstawał upiornie szary świt. Sprzątacze ruszyli do pracy; chlustali wodą na bruk i jutowymi miotłami zmywali brud. Mleczarze przyprowadzili krowy przed drzwi domów, budzili zaspane służące i lali ciepłe, spienione, słodkie mleko do glinianych dzbanków. Godzinę później zjawili się zapalacze lamp, którzy zgasili płomyki ulicznych latarni i oczyścili knoty.

Tego chłodnego poranka wiele pałaców w forcie Lahaur było jeszcze pogrążonych we śnie. Gdziegdzie migotały płomyki lamp: pod łukami werand w niszach piaskowcowych murów, koło zachodniej bramy fortu, Hathi Pol, wzdłuż wałów obronnych.

W jednym pałacu lampki na sezamowy olej płonęły od poprzedniego wieczoru. To była długa i ciężka noc.

Ladli krzyczała głosem, który dobiegał jakby z głębi serca. Krzyk odbijał się od ścian luksusowego apartamentu, luster, okien. Ladli zacisnęła powieki, wstrzymała oddech, naprężyła całe ciało. Potem opadła bezsilnie na otomanę.

- Mamo...

- Jestem, *beta*. - Mihrunnisa pochyliła się nad córką, lekko pogłaskała ją po twarzy.

Ladli chwyciła ją mocno za rękę.

- Mamo, to boli! Boli!

- Wiem, *beta* - powiedziała Mihrunnisa. Oparła czoło o głowę Ladli. Żałowała, że nie może przejąć tego bólu. Przepoczone włosy Ladli przylgnęły gładko do głowy. Jeśli temperatura spadła w nocy, nikt tego nie zauważył; w komnacie unosił się odór potu i krwi, przesycających białe atłasowe prześcieradła pod Ladli. Poród rozpoczął się wiele, bardzo wiele godzin temu. Najpierw wszystko szło niemal bez wysiłku; skurcze narastały, wszyscy wypatrywali dziecka, które miało się pojawić lada chwila. Zebrani rozmawiali i śmiali się. Jak będzie wyglądać? Czy będzie miał dużo włosów? Miało się narodzić nowe życie, które będzie należeć tylko do nich. W tych pierwszych godzinach Mihrunnisa poczuła, że spada z niej ciężar minionych miesięcy. Zapomniała o Churramie, nawet o cesarstwie, choć na kolanach nadal trzymała niepokojące listy z Burhanpuru.

Ladli jadła garściami smażone na *ghi* orzechy i rodzynki, piła świeże bawole mleko, by nie opaść z sił. Akuszerki uwiły się wokół niej, Hoszizar stał w kącie tak dumny i wyprostowany, jakby to on był szczęśliwym ojcem. Mihrunnisa pamiętała narodziny Ladli - szybkie i przerażające. I pamiętała, jak bardzo pragnęła wreszcie zobaczyć swoje dziecko po tak wielu poronieniach. I jak żarliwe było to pragnienie. Teraz powróciło, lecz łagodniejsze, gdyż na świat miał przyjść chłopiec. Książę, przyszły cesarz.

A wtedy bóle stały się częstsze. Mihrunnisa odłożyła listy i usiadła przy córce. Krzyknęła na akuszerki, stojące razem u nóg otomany. Co się dzieje? To naturalny bieg porodu, najjaśniejsza pani, nie należy się niepokoić. Mijały godziny, Ladli krzyczała tak głośno, że zagłuszała kaszel Dżahangira dobiegający z sąsiedniej komnaty. Mihrunnisa słyszała tylko jej głos, nie mogła myśleć ani o Burhanpurze, ani o tym strasznym rżeniu męża.

Kolejny skurcz poderwał Ladli do pozycji siedzącej, przyciągnął jej kolana do piersi. Krzyknęła z bólu niemal prosto w ucho Mihrunnisy. Nie chciała puścić ręki matki.

- Zrób coś! - ryknęła Mihrunnisa na akuszerkę.

Kobieta skuliła się, ale znalazła dość odwagi, by odpowiedzieć:

- Nie do mnie należy działanie, najjaśniejsza pani. Księżniczka musi przeć, dziecko uwieźć.

Sięgnęła między nogi Ladli, przesunęła palcami po śliskiej ciemnej główce. Dlaczego dziecko nie wychodzi? Na tym etapie powinno iść względnie łatwo. Parę wysiłków i dziecko mogłoby się pojawić na świecie. Ale główka tkwiła w tym samym miejscu, a brzuch Ladli nabrzmiwał i drżał w konwulsjach.

Na prześcieradła trysnął kolejny strumień krwi. Akuszerka, stara i siwa, w oszołomieniu podniosła zakrwawioną rękę.

- Nie mogę chwycić dziecka - powiedziała i zadrżała na widok płomiennego spojrzenia Mihrunnisy. - Proszę, by księżniczka nadal siedziała, w ten sposób łatwiej je wyciągniemy.

Mihrunnisa machnęła dziko na akuszerkę, usiłując jej zasignalizować, by nie pokazywała Ladli zakrwawionych rąk, ale było za późno. Ladli na nią spojrzała. Zaczęła głośno szlochać.

- Och, mamó! Ja umieram! Zobacz, umieram!

- Wyprowadź ją - rzuciła Mihrunnisa Hoszजारowi, który bezceremonialnie wygonił akuszerkę. Jej miejsce zajęła inna, młodsza, lecz o mądrych oczach.

- Co zrobimy? - spytała Mihrunnisa.

- Księżniczka musi usiąść, najjaśniejsza pani. Ale za chwilę... - Pochyliła się, dotknęła Ladli i kryjąc ręce, podniosła głowę i skinęła.

Mihrunnisa i Hoszजार podnieśli Ladli i podparli ją poduszkami. Przy następnym skurczu Mihrunnisa objęła córkę, pochyliła się do jej ucha i powiedziała:

- Teraz, *beta* Najmocniej, jak możesz. Jestem przy tobie. I Hoszजार też. Nic ci nie będzie. Dobrze?

Ladli skinęła głową, wpatrzona w jej oczy, naprężyła ciało. Przez ból i konwulsje czuła, jak wyslizgują się z niej ramiona, korpus, a potem nóżki dziecka.

Akuszerka sprawnie przecięła pępowinę i umyła dziecko. Ladli opadła bezwładnie na otomanę, dysząc.

Mihrunnisa spojrzała na akuszerkę.

- Czy dziecko żyje?

- Tak, najjaśniejsza pani - mruknęła kobieta, nadal obmywając małe ciało. Trzymała je głową do dołu, z dala od Mihrunnisy. Lekko klepnęła je po pupie. Komnatą wstrząsnął potężny, zdrowy krzyk. Hoszijar roześmiał się głośno; jego krzaczaste wąsy musnęły uszy. Ladli przywarła do Mihrunnisy, jedną ręką obejmując eunucha. Jej łyzy moczyły *czoli* matki. Tulili do siebie głowy, śmiali się, modlili i płakali.

- Dzięki, Allahu - powiedziała Mihrunnisa. - Dziękuję za ten cudowny dźwięk. - A potem dodała: - Przynieś go, chcemy go zobaczyć.

Akuszerka owinęła dziecko w czerwoną bawełnianą chustkę i podniosła. Ręce jej drżały.

- Najjaśniejsza pani, to dziewczynka.

Przez kilka minut nikt się nie odzywał. Ladli, nadal szlochająca ze szczęścia, nie usłyszała. Mihrunnisa i Hoszijar zamilkli. Akuszerka zadrżała, tuląc w ramionach dziecko, po które nikt nie wyciągnął ręki. Było szczelnie owinięte, nad materiałem widniały ciemne włosy, jego krzyk ucichł.

Minęła długa chwila. To jakiś podstęp, pomyślała Mihrunnisa... Nie zrozumiałam akuszerki, a może to pomyłka? Ale nie, akuszerka nie ośmieliłaby się popełnić błędu, od którego zależało jej życie. A jednak to podstęp; los podstępnie pozabawił ją wnuka.

- Daj mi ją. - Ladli wyciągnęła ręce.

Mihrunnisa przyglądała się, jak jej córka dotyka ze zdumieniem twarzy dziecka, leciutko, badawczo muskając doskonale ukształtowane uszko, pukiel włosów, jeszcze mokry od wód płodowych, delikatne brwi, różowe usteczka i śmiesznie zadziorny podbródek. Oczy dziecka miały kolor ciemnego błękitu - jak Mihrunnisy. Malutka rączka chwyciła za rąbek chusty, a kiedy Ladli rozgięła jej palce, mała chwyciła jej dłoń. Ladli roześmiała się ze szczęścia.

- Patrz, mamó! - Podniosła twarz rozświetloną taką radością, że Mihrunnisa mimo woli roześmiała się razem z nią. A wtedy napięcie ulotniło się, jakby spłoszył je złoty blask po-

ranka. Ladli ostrożnie rozwinęła chustę i uśmiechnęła się jeszcze raz.

- Cudna mała dziewczynka. Nazwę ją Arzani. Co o tym myślisz, mamó?

- Śliczne imię, *beta*. Śliczne. - Mihrunnisa, nagle wyczerpana, pocałowała córę w policzek i musnęła ustami gładziutką skórę stopek dziecka. Potem wstała i wyszła. Hoszijar poszedł za nią do komnat cesarza Dżahangira.

Mihrunnisa położyła się obok męża i położyła głowę na jego piersi. Słyszała wyraźnie chrapliwy szmer jego oddechu, ale przynajmniej zasnęła. Sen przynosi wypoczynek ciału i umysłowi. A ona nie mogła zasnąć. Tak wielkie nadzieje wiązała z tym dzieckiem. Marzenia, pragnienia... A teraz wszystko stracone.

Stracone także dla Szahrijara. Księżę sam niewiele znaczył. Pojechał do Kandaharu i usiłował odzyskać miasto, ale szach perski poczuł się w nim pewnie i nie dał się wypędzić. Jeśli cesarz umrze teraz lub wkrótce, ten *naszudani* jest skończony. A w dodatku nie miał następcy, który by podtrzymał jego prestiż.

- Są jeszcze młodzi, Mihrunniso.

Spojrzała przez łzy na Dżahangira. Wiedziała, że nie powinna płakać z tak niemądrego powodu, ale pragnienie ją osłabiło. Nie potrafiła się powstrzymać.

Cesarz otarł jej twarz.

- Narodzą się inne dzieci - powiedział.

- Skąd się dowiedziałeś?

- Od niewolnic. Ale będą jeszcze inne dzieci, niedługo. Syn Ladli i Szahrijara.

- Tak, najjaśniejszy panie. - Miał rację. Trzeba liczyć na dzieci, które się dopiero narodzą.

- Przeczytałaś listy z Burhanpuru?

Z południowych granic cesarstwa nadchodziły kolejne wiadomości. Na ogół słały zwycięstwo Mahabbat-chana nad Churramem. Nawet tu, w Lahaur, Hoszijar od czasu do czasu szeptał im do ucha opowieści o Mahabbacie.

Mihrunnisa zaczęła się zastanawiać, czy rzeczywiście do-

brze zrobiła, stawiając na Mahabbata. Najbardziej zaniepokoił ją list od niskiego rangą dowódcy z Burhanpuru. Mahabbat i książę Parwez, nominalny przywódca kampanii, stali się sobie... bliscy. Parwez, pomimo swego braku woli, picia, uległości - a może właśnie ze względu na nie - w niezwykle sposób przyciągał potężnych ministrów. Najpierw chan-i chanana Abdur Rahima, a teraz, o dziwo, Mahabbat-chana. Lekceważony na dworze Parwez nieodmiennie zyskiwał sympatię swoich opiekunów. Mahabbat odnosi się zbyt przyjaźnie do księcia, donosił dowódca. A jeśli widzi w nim przyszłego cesarza?

Mihrunnisa i Dżahangir, którzy tak niedawno pozbyli się Churrama, nigdy nie brali pod uwagę Parweza jako rywala Szahrijara.

- Trudno mi uwierzyć w ten list - odezwała się powoli Mihrunnisa.

Dżahangir się roześmiał.

- Kiedy w grę wchodzi korona, należy wziąć pod uwagę każdą plotkę, choćby najmniej wiarygodną. Mahabbat nie może dłużej zostawać w Dekanie z Parwezem. Razem staną się zbyt silni. Przygotuj *farman* wzywający go na dwór.

- Ale nie zgodziliśmy się na jego przyjazd wcześniej, kiedy o to prosił. Pod jakim pozorem wezwiemy go teraz?

Cesarz potarł brodę.

- Hoszizarze, wezwij balwierza - rzucił podniesionym głosem. - Jakimkolwiek... - powiedział do Mihrunnisy. Czy list nie wspominał o jakimś pogwałceniu zasad?

- Tak... - Mihrunnisa wstała i splotła włosy na karku. Uśmiechnęła się do męża. - Dobrze się dziś czujesz?

- Tak - odparł, także się podnosząc. - Po raz pierwszy od dawna. Gdzie Hoszizar?

- Pobiegnij wypełnić twój rozkaz, najjaśniejszy panie. - Pocałowała go lekko w policzek; jej usta musnęły jednodniowy zarost. - Muszę napisać do mirzy Mahabbat-chana.

Pobiegła do stolika z przyborami do pisania. Przez chwilę przyglądała się w małym lusterku umieszczonym w pierścieniu, który nosiła na kciuku. Kiedy zbliżała je do twarzy, widziała jej fragmenty - brew, ciemne cienie pod oczami, świad-

czące o nieprzespanej nocy, zmarszczki wokół ust. Dziś została babką. Allah pobłogosławił ją zdrową wnuczką i szczęśliwą, zadowoloną córką. I mężem, który ją uwielbiał. I, w końcu, cesarstwem na jej rozkazy.

Napisała list do Mahabbat-chana. Doszły ją słuchy, że fundusze na kampanię w Dekanie trafiły do jego kufrów. I że schwyte słońce zatrzymał we własnych stajniach. Czy to prawda?

Mahabbat wreszcie doczekał się zaproszenia na dwór, napisanym w tonie lekceważenia i pogardy.

Ale Mihrunnisa i Dżahangir zapomnieli, że Mahabbat-chan nie znosił cesarzowej z powodu licznych uraz, prawdziwych i wymaganych, a także dlatego, że była kobietą obdarzoną władzą w świecie mężczyzn. Pragnienie powrotu na dwór i dziesięć lat bezczynności w Kabulu zmęczyły go, lecz nie złamały jego dumy. I nie ugasiły nienawiści do Mihrunnisy.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Mohabet miał bardzo wielu wrogów; jego panu brakowało sił. Zdolności tego pierwszego budziły zazdrość, a natura nadała drugiemu zbyt wielką skłonność do wygody i ustępliwości, by mógł być odporny na niewłaściwą interpretację.

Alexander Dow, *The History of Hindostan*

W marcu 1626 roku Mihrunnisa i Dżahangir postanowili opuścić Lahaur i udać się do Kabulu. Zaczęło się lato, toteż tym razem schronili się w chłodnych, zielonych ogrodach Kabulu, a nie w Kaszmirze. Przed podbiciem Kabul był dla mogolskich władców miejscem letniego wypoczynku. Tu znajdował się grobowiec Babura, pierwszego mogolskiego cesarza i pradziadka Dżahangira. Cesarski orszak rozbił namioty na wschodnim brzegu rzeki Dźhelamy. Właśnie otrzymano wieści o przybyciu Mahabbata. Minister zjawił się na czele pięciuset radżpuckich żołnierzy, z dwoma setkami bojowych słoni, by pokłonić się cesarzowi.

Dżahangir oburzył się na ten pokaz siły. Wysłał Mahabbatowi wiadomość - ma zostawić swoją armię. Jeśli oskarżenia są fałszywe, można to bez trudu udowodnić. Prawda go obroni.

Mahabbat usłuchał życzenia cesarza. Zależało mu, by oczyścić imię. Jako emisariusza wysłał swego zięcia chwadżę Barkhurda, a także dwieście słoni. Zamierzał zademonstrować swoją lojalność, lecz nie pozwolił się zaciągnąć przed oblicze cesarza jak pospolity przestępca.

Chwadża Barkhurdar został dopuszczony przed oblicze Dżahangira i Mihrunnisy. Skłonił się nisko w *taslimie* i nie

podnosząc głowy, podał cesarskiej parze list Mahabbat-chana. Słonie stały na zewnętrznym dziedzińcu obozu, ustawione w szeregu. Machały ogonami, oganiając się od rojów much.

Cesarz przeczytał list.

- Dlaczego Mahabbata tu nie ma?

- Zjawi się, najjaśniejszy panie - odparł młodzieniec. Wzrok miał nadal wbity w dywan, nie ośmielając się spojrzeć na Mihrunnisę, choć była zasłonięta welonem. - Kiedy mu przebaczysz.

- Dziwny sposób proszenia o przebaczenie - rzuciła ostro Mihrunnisa. Ściągnięcie Mahabbat-chana z Burhanpuru zajęło im pół roku. Najpierw nie usłuchał rozkazu - a raczej Parwez poprosił listownie, by Mahabbat mógł przy nim zostać... przyzwyczał się bowiem do jego opieki.

Czekając przez pół roku na przybycie Mahabbata, Mihrunnisa otrzymywała codziennie wiadomości od szpiegów, śledzących poczynania Mahabbata. Raporty brzmiały niepokojąco. Mahabbat najwyraźniej spiskował. Ale dlaczego? Wreszcie wysłała kolejnego opiekuna, bo księżę nie mógł się bez niego obejść. A Mahabbata wezwała niezwłocznie do przyjazdu.

- Najjaśniejszy panie - powiedziała szybko, kładąc rękę na ramieniu Dżahangira - zanim zdecydujesz cokolwiek, powinieneś się zastanowić, kim jest emisariusz Mahabbat-chana.

Dżahangir spojrział na nią zaskoczony.

Opowiedziała mu. Abul stał za jej plecami i dopowiadał to, czego nie wiedziała o zięciu Mahabbat-chana. Kim jest jego ojciec, jaka jest jego pozycja na dworze i inne szczegóły na temat *dżagirów* i posiadłości. Abul Hasan przez cały czas stał koło niej, ponieważ go wezwała. Wiedziała, że brat nie lubi Mahabbat-chana, a ta antypatia datuje się z czasów jej pierwszych lat małżeństwa z Dżahangirem. Kiedy jej znaczenie na dworze rosło, podobnie działo się z pozycją Abula. Był jej bratem, wziął udział w przymierzu, które odebrało znaczenie Mahabbatowi i Szarifowi. I jak Churram ich rozdzielił, tak Mahabbat ich pogodził.

- Wspomniały młody człowiek - uznał cesarz. - Obie rodziny mają szczęście, że mogły się sprzymierzyć.

Barkhurdar denerwował się. Usiłował zachować wymagany przez etykietę spokój, ale nie potrafił. Widział, że coś jest nie tak, ale co?

- Niewątpliwie, najjaśniejszy panie, ale... - Mihrunnisa zawiesiła głos - To małżeństwo nie zostało przez ciebie usankcjonowane.

- Czy rzeczywiście?

Obyczaj mogolskiego dworu nakazywał, by wszystkie rodziny zwracały się do cesarza o pozwolenie na zawarcie związku małżeńskiego. Tej formalności nie można było pominąć. Mahabbat-chan, zapomniany w dalekim Kabulu, nie poprosił Dżahangira o zgodę na ślub swej córki z chwadżą Barkhurdarem.

- Najjaśniejszy panie, wysłanie tego człowieka jako emisariusza, choć nie dałeś pozwolenia na jego małżeństwo, to obelga - dodał Abul, pochylając się nad Dżahangirem.

- Wtrącić go do lochu - rozkazał Dżahangir. Niezależnie od zamiarów Mahabbata, poznawszy prawdę, nie mógł zachować się inaczej.

Barkhurdar chwycił nagle za sztylet, lecz ahadi skoczyli na niego i obezwładnili. Dobytek młodzieńca, zwłaszcza posag żony, został skonfiskowany i włączony do cesarskiego skarbcza.

W obozie rozbitym parę kilometrów dalej w górze rzeki Mahabbat-chan krążył niespokojnie po mięsistym perskim dywanie. Podszedł do kłapy namiotu, uniósł ją i wyrzucił na zewnątrz. Nigdzie nie było widać jego zięcia. Zamknął kłapę. Co tak długo zatrzymało Barkhurdara? Do tej pory zdążyłby się rozmówić z cesarzem i dwadzieścia razy.

Od strony rzeki dobiegł go tętent końskich kopyt. Wybiegł z namiotu i stanął wśród żołnierzy. Jeździec był zbyt daleko, ukryty w chmurze pyłu. Kiedy się zbliżył, rozpoznali w nim jednego z cesarskich kornaków.

- Co się stało? - krzyknął Mahabbat, zanim zmęczony człowiek zdążył zsiąść z konia.

- Mój pan, cesarz, uwięził twój zięcia - wykrztusił kor-

nak, niezgrabnie zsiadając z konia. Nie był przyzwyczajony do tak niewygodnej jazdy.

- Dlaczego?

- Nie... nie poprosiłeś o zgodę na jego małżeństwo. Cesarz skonfiskował cały jego majątek.

- Czy coś mu grozi?

Kornak, wciąż zdyszany, pokręcił głową.

- Na razie nie. Walczył, więc zakuto go w kajdany. Ale żyje. Widziałem go.

Wściekły Mahabbat odwrócił się od posłańca. Powinien iść do cesarza osobiście, wyjaśnić wszystko. To nieporozumienie... ale chciał się zobaczyć z Dżahangirem sam na sam, bez Mihrunnisy. A ona z kolei nie rozstawała się ze swoim zniemawidzonym bratem.

- Niezwłocznie pojedę do cesarza - oznajmił. - Siodłać konia.

- Nie, panie. To nierozważna decyzja. Straż przyboczna otrzymała rozkaz, by aresztować cię, gdy cię tylko zobaczy - powiedział kornak. - Obóz dziś przenosi się na zachodnią stronę Dźhelamy.

- Gdzie będzie cesarz? - spytał Mahabbat z odrobiną nadziei.

- Tu, po wschodniej stronie, z cesarzową. Zbyt niedomaga, by dziś ruszyć w drogę.

Jeśli obóz się przenosi, to strażnicy także. Mahabbat odwrócił się do swoich żołnierzy. Nagle w jego głowie pojawił się plan. Zaczął go przedstawiać.

Miękkie ciemności ukryły Dźhelamę, nadając jej wodom kolor indygo. Abul Hasan nadzorował rozbijanie obozu wstępnego na zachodnim brzegu. Nieco wcześniej dopilnował przejazdu przez most cesarskiej *zenany*, dworzan, bagażu, arsenału i cesarskiego skarbcza, który obecnie podróżował z obozem. Po napaści Churrama został sprowadzony z Agry do cesarza. Kilkuset ahadi i radżpuckich żołnierzy zostało na wschodnim brzegu rzeki, by strzec cesarza i Mihrunnisy.

Kiedy zgasły ostatnie promienie słońca, na obu brzegach

rzeki zapłonęły ogniska; w obozach zaczęto przygotowywać kolację. Zapach pieczonej dziczyzny z dzisiejszego polowania oraz curry z gęstym sosem zmieszał się z dymem. Noc była pogodna i dość chłodna. Na czystym niebie płonęły gwiazdy.

Na wschodnim brzegu rzeki przed cesarskim namiotem za tętniły końskie kopyta.

- Jesteśmy prawie na miejscu - odezwał się cicho Mahabbat-chan do jednego z dowódców. - Weź dwustu żołnierzy i idź na most na Džhelamie. Dopilnuj, żeby nikt nie przeszedł przez niego od zachodniej strony. Jeśli ktoś będzie próbował, spalcie most.

Dowódca skinął głową w milczeniu i dał znak żołnierzom. Ruszyli w mrok. Mahabbat i jego ludzie odczekali w milczeniu jeszcze godzinę. Teraz most powinien być już zabezpieczony. Chwytał za wodze i podjechał do namiotu Džahangira.

Strażnicy przed namiotem na wpół drzemali. Zjedli obfitą kolację i popili ją wieloma kielichami wina. Cesarzowi nic nie groziło, mogli więc sobie pozwolić na krótką drzemkę. Ocknęli się, czując ostrza mieczy na gardłach. Rzucili włócznie, muszkiety i sztylety na ziemię i podnieśli ręce.

Służący, który nadszedł z głębi obozu, by zapalić *bidi*, ujrzał Mahabbata i wrzasnął:

- Mahabbat-chan w obozie! Powiadomić cesarza!

Rzucił się do namiotu. Jeden z żołnierzy rzucił w niego sztyletem. Ostrze przecięło powietrze z cichym świstem i ugodziło służącego w kark. Upadł, a żołnierze przeszli po jego zwłokach do namiotu. Ahadi usłyszeli jego krzyk, ale było za późno. Radżpucy żołnierze już przed nimi stali.

Džahangir spał, gdy Mahabbat-chan się do niego zbliżył. Obudził się, czując jego dotyk.

- Mahabbat - powiedział, otwierając oczy. Potem się poderwał. - Co tu robisz? - Wokół stali żołnierze. - Co to ma znaczyć?

- Najjaśniejszy panie, przyszedłem odeprzeć stawiane mi zarzuty.

- Dlaczego nie za dnia? - Cesarz opadł na poduszki.
- Musisz pójść do mojego obozu, najjaśniejszy panie - oznajmił Mahabbat. W ręce nadal trzymał sztylet.
- Nie było potrzeby wdziierać się tu podstępem. Chętnie udzieliłbym ci audiencji.
- Proszę wstać, najjaśniejszy panie - odparł Mahabbat - albo będę zmuszony ci pomóc.

Dżahangir wstał. Co się dzieje? Gdzie ahadi? Jak to możliwe, że Mahabbat zapuścił się tak daleko w głąb obozu, nie napotykać oporu? I gdzie jest Mihrunnisa? Na tę myśl przeszedł go dreszcz. Miał nadzieję, że nic jej nie jest, że nie próbowała walczyć - trudno było zgadnąć, do czego jest zdolna, jeśli wpadnie we wściekłość.

Zastanowił się szybko.

- Nie pójdę, jeśli nie będę mógł jechać na moim ulubionym arabskim koniu.
- Zgodnie z życzeniem najjaśniejszego pana. - Mahabbat skinął na służącego.
- Panie, konia zabrano na zachodni brzeg. Mogę się po niego przeprowadzić - powiedział służący.
- Nie, to niemożliwe. - Mahabbat skłonił się Dżahangirowi. - Najjaśniejszy panie, proszę wybrać innego rumaka. Każdy z moich żołnierzy chętnie ci go użyczy.
- Chcę mojego araba - uparł się Dżahangir. - Nie mogę bez niego wyjechać z obozu.

- Proszę się zastanowić - rzekł zdesperowany Mahabbat. Armia na zachodnim brzegu w każdej chwili mogła się dowiedzieć o jego obecności w obozie. Jak długo jego żołnierze zdołają odpierać atak? Nie będzie bezpieczny, dopóki cesarz nie znajdzie się w jego obozowisku.

Dyskutowali przez dziesięć minut i wreszcie Dżahangir bardzo niechętnie ustąpił. Zajął miejsce w lektyce na grzbiecie słonia. Radżpucy żołnierze Mahabbat-chana otoczyli go pierścieniem i wyprowadzili z obozu na oczach ahadich. Dżahangir rozglądał się, ale nigdzie nie widział ani śladu Mihrunnisy. Może uciekła? Jeśli tak, poprowadzi armię przeciwko Mahabbatowi. Cesarz zaczął głośno mówić o nieważnych sprawach,

głównie o Mahabbacie i pierwszych latach ich dziecięcej przyjaźni, o grach, w jakie się bawili, o najbardziej udanych polowaniach. Mahabbat zaczął się uśmiechać, jego twarz złagodniała. Przynajmniej odwróciłem jego uwagę, pomyślał Dżahangir.

Do obozu dotarli bez żadnych wypadków. Dopiero pomagając cesarzowi zsiąść ze słonia, Mahabbat przypomniał sobie 0 Mihrunnisie. Wepchnął Dżahangira na powrót do lektyki i znów ruszył w stronę cesarskiego obozu. Cesarz narzekał, starając się mówić jak najgłośniej. Wiedział, że Mahabbat nie ośmieli się go skrzywdzić, za to Mihrunnisę - tak. Ale Mahabbat także się uparł. Nie mógł zostawić Dżahangira nawet we własnym obozie, bo cesarzowa mogła już zebrać armię i ruszyć na odsiecz mężowi.

Gdy Mahabbat-chan wracał do cesarskiego obozu, do radz-puckiego strażnika na wschodnim brzegu Dżhalemy zbliżyła się staruszka z synem. Strażnik zatrzymał ją włócznią.

- Kto idzie?

- To ja, Saliha, i mój syn Szarif- rozległ się drżący głos.

- Nie możecie się przepawić - rzucił ostro strażnik. - Wracaj do domu, stara.

- *Sahib*, ja muszę przejść na drugi brzeg - powiedziała kobieta błagalnie. - Niosę świeże owoce dla dam z *zenany*. - Pokazała mu koszyk pełen jabłek i gruszek.

Strażnik podniósł latarnię, by przyjrzeć się zawartości kosza. Światło padło na twarz staruszki; strażnik odskoczył jak oparzony. Była brzydka i pomarszczona, lecz znacznie bardziej przerażyły go sinofioletowe wrzody na jej czole i policzkach. Czy to zaraza?

- Nie zbliżaj się! - ryknął, znowu wznosząc włócznię.

- Przepuść mnie, *sahib*... - jęknęła. - Muszę zarabiać na życie.

Strażnik zastanowił się pospiesznie. Jeśli kobieta jest chora, zarazi cały obóz. Lepiej przepuścić ją na zachodni brzeg.

- Idź. - Odstąpił i zawołał do swoich towarzyszy. Wśród strażników rozeszła się wieść o chorej staruszce; cofnęli się

i pozwolili jej przejść przez most. Przekuśtykała przez niego z wysiłkiem, ciężko wspierając się na ramieniu syna.

Ledwie znikła im z oczu, przestała kuleć, wyprostowała się i ruszyła szybko do obozu wstępnego, ciągnąc za sobą syna.

Mihrunnisa rzuciła koszyk na pobocze drogi i uśmiechnęła się do swego towarzysza.

- Łatwo poszło, Szahrijarze, prawda?

Mihrunnisa wdarła się do namiotu Abula. Początkowo nie chciał jej wpuścić; dopiero kiedy przemówiła, rozpoznał siostrę.

- Czemu się tak przebrałaś? - spytał, wołając o wodę, by mogła umyć twarz. Opowiedziała mu, energicznie zmywając makijaż.

- Wezwij wielmożów, Abulu. To ty za to odpowiadasz. Teraz muszę to naprawić.

Abul złodowaciał.

- Niby w jaki sposób miałbym za to odpowiadać?

Odwróciła się, wycierając twarz rąbkiem welonu.

- Ty dowodzisz obozem wstępnym. Sprowadziłeś tu większą część armii. Zostawiłeś cesarzowi zbyt skąpe oddziały.

Zerwani ze snu wielmoże weszli chwiejnie do namiotu. Staruszka w łachmanach, o dłoniach brązowych i stwardniałych, zaczęła mówić. Dostojnicy otworzyli usta. Dlaczego ceszarzowa tak się przebrała? Kiedy usłyszeli, co ma im do powiedzenia, spoważnieli. Niech nie próbują przechodzić na drugi brzeg, powiedziała Mihrunnisa. Mahabbat postawił na wschodnim brzegu dwustu radżputów, którzy podpałą most, kiedy zobaczą nadciągające wojska.

Zbudzono żołnierzy. Na zachodnim brzegu rzeki rozgorzały ognie, przez ciemne wody poniosły się okrzyki i rozkazy. Mihrunnisa przygotowywała żołnierzy do walki.

Dżahangir stał na wschodnim brzegu, przyglądając się poruszeniu w obozie. Wiedział, że jeśli Mihrunnisa będzie miała taką szansę, osobiście poprowadzi wojska do boju. Wysłał jej list ze swoim sygnetem. Prosił, by nie przygotowywała regimentów, ponieważ Mahabbat nie zamierza nic złego.

Oczywiście wiedział, że Mihrunnisa go nie posłucha. Kiedy posłaniec wrócił do obozu Mahabbata, jego żołnierze podpali-
li most.

O świcie z obozu wstępnego wyruszyła potężna armia pod wodzą Abul Hasana. Zwiadowcy mieli znaleźć bród, przez który będzie się można przeprawić. Po pewnym czasie kapitan łodzi odszukał odpowiednie miejsce.

Wybrał źle: bród okazał się pełen głębokich rozpadlin. Grząskie błoto wciągało stopy żołnierzy - a na drugim brzegu czekali żołnierze Mahabbata, uzbrojeni we włócznie i miecze. Żołnierze Abula wycofali się, zmęczeni jeszcze przed rozpoczęciem walki. Usiedli na ciepłych kamieniach na zachodnim brzegu.

Mihrunnisa, widząc, że żołnierze dają za wygraną, popę-
dziła swojego słonia do rzeki. Towarzyszyły jej Ladli, Arzani i niańka - nie chciała ich zostawiać w obozie, gdzie mogliby wtargnąć ludzie Mahabbata. Na widok wchodzącego do rzeki słonia cesarscy żołnierze znowu poderwali się do ataku. Kilku dotarło na wschodni brzeg, gdzie powitały ich strzały i włócz-
nie. W dole rzeki znaleziono inne brody; niewielkie oddziały zdołały przedostać się na drugą stronę.

Mihrunnisa rozejrzała się dokoła. Kilkaset metrów dalej na niewielkiej wysepce między dwoma odnogami rzeki stał Mutamid-chan. Dlaczego się nie przeprawia? Czy to piknik?

Odwróciła się i krzyknęła do Hoszijara:

- Wyślij do Mutamida posłańca! Spytaj go, co robi! Musi się przeprawić na drugi brzeg!

Eunuch popłynął do Mutamida. Ten skłonił się jej i jego ludzie znowu wskoczyli do rzeki. Ale cesarskie oddziały zbyt się rozproszyły, żeby skutecznie zaatakować. Od czasu do czasu paru żołnierzy docierało na wschodnie wybrzeże, gdzie żołnierze Mahabbata bez trudu ich zabijali. Nurt porwał konia Abula; pozostali dowódcy brnęli naprzód, lecz połowa ich żoł-
nierzy utonęła, zanim zdołali dotrzeć na drugą stronę.

- Mamo - szepnęła Ladli, gdy nad lektyką świsnęła strza-
ła. - Tylko nie rób nic głupiego... Niech mężczyźni walczą.

Mihrunnisa odepchnęła dłoń córki.

- Musimy, *beta*. Pilnij Arzani.

Ladli położyła dziecko na podłodze i otoczyła je poduszkami. Arzani zaczęła płakać.

- Ćśśś... - Ladli spojrzała nagle na niańkę. To było jej zadanie, dlaczego nic nie robi, tylko się trzęsie? Niańka zwiłała przez niską ściankę lektyki, cicho pojękując.

- Zajmij się dzieckiem! - krzyknęła Ladli. Wciągnęła dziewczynę do środka i położyła jej ręce na dziecku. - Za to ci płacą!

- Masz. - Mihrunnisa wcisnęła w ręce Ladli muszkiet i naciągnęła łuk. Obie związały końce welonów tak, że zasłoniły ich twarze jak maski. Słoń powoli brnął w stronę wschodniego brzegu, a Ladli i Mihrunnisa niezmordowanie strzelały. Nagle jakaś strzała trafiła niańkę w ramię. Dziewczyna zaczęła bełkotać modlitwy, jęcząc i płacząc. Arzani także się rozpłakała; ich głosy złąły się z krzykami mężczyzn, trąbieniem słońi, wystrzałami muszkietów.

Mihrunnisa odłożyła łuk, zdarła welon z twarzy i przewiązała nim ramię niańki.

- Cicho! - rozkazała. - To tylko draśnięcie.

Odwróciła się i zdała sobie sprawę, że Ladli nie może dłużej stawiać oporu. Na falach rzeki unosiło się kilka trupów, ale żołnierze byli coraz bliżej. Wypuściła jeszcze parę strzał. Radżpuci otoczyli jej słońia.

- Najjaśniejsza pani, proszę się poddać!

Zawahała się. Ladli była zaczerwieniona, umazana prochem. Arzani płakała. Mihrunnisa strząsnęła z siebie poduszki i wychyliła się z lektyki. Długie kędziory opadły jej na oczy.

Rzuciła łuk, chwyciła wnuczkę. Spojrzała na Ladli, która zerknęła na nią przelotnie, nadal celując z muszkietu.

- Będzie, jak rozkażesz, mamó - powiedziała cicho.

Mihrunnisa, trzymając wrywającą się Arzani - niańka szlochała cicho w kącie lektyki - krzyknęła:

- Poddajemy się!

Jeden z żołnierzy wspiął się na trąbę słońia, strącił kornaka do wody i zaprowadził jeńców do obozu Mahabbata.

Ale walki trwały jeszcze przez cały dzień. Wieczorem, gdy

słońce skłaniało się ku zachodowi, wody Dźhelamy były czerwone od krwi. Ciała cesarskich żołnierzy leżały na płycznach albo piaszczystych łachach na środku rzeki. Konie i słonie szarpały się w grząskim błocie, przerażone i cierpiące; rzenie i trąbienie mieszało się z ludzkimi głosami, dopóki ktoś litościwie nie przerwał ich męki. Dwa tysiące cesarskich żołnierzy utonęło podczas przeprawy, kolejne dwa tysiące padło w starciu z armią Mahabbata.

Abul uciekł na długo przed końcem bitwy. Widział, jak Mihrunnisa pędzi swego słonia w nurt rzeki; wówczas skoczył na konia i zbiegł do swojej położonej nieopodal posiadłości, ani razu nie dobywając broni. Mahabbat-chan kazał go ścigać i przywiódł go z powrotem, w kajdanach. Teraz miał już Dżahangira, Mihrunnisę, Szahrijara, Ladli oraz syna Chusru, Bula-kiego.

Zabrał ich do Kabulu, tak jak zamierzał. W drodze wreszcie do niego dotarło, co uczynił. Chciał tylko porozmawiać z Dżahangirem, a dokonał przewrotu. Gdyby Mihrunnisa nie postanowiła walczyć... Miałby czas, by prosić cesarza o posłuchanie i wszystko dobrze by się skończyło. A teraz...

Teraz to on rządził cesarstwem. Wbrew własnej woli, wbrew rozsądkowi, gdy sprawy wymknęły się mu spod kontroli, nagle znalazł się na czele państwa Mogołów.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Ale Nur Dżahan Begum zaczęła odzyskiwać ducha. Codziennie pozyskiwała wielu mężów i naradzała się z potajemnymi wrogami Mahabbat-chana, by znaleźć najlepszy sposób na jego usunięcie...

A Dutch Chronicle of Mughal India,
tłum. B. Narain, wyd. S. Sharma

W Kabulu dwór zaczął funkcjonować jak zwykle. Mahabbat nie pozwalał Mihrunnisie zbliżyć się do Dżahangira - na ile to było możliwe - zdecydowany nie dopuścić jej do rządów. Nie pozwalał jej zasiadać na *dżharoce*, upierał się, by cesarz potwierdzał jego decyzje i usiłował się zachowywać jak despota. Jednak nie miał do tego serca. Pragnął tylko, by Dżahangir wybaczył mu wyimaginowane błędy. Jednak chory cesarz, który prawie cały dzień spędzał w łóżku, nie chciał go wysłuchać. Odwracał twarz, kiedy minister wchodził do komnaty, spoglądał na ściany, nie zwracał na niego uwagi. Podpisywał podsuwane *farmany* i pytał o Mihrunnisę.

- Jest zajęta, najjaśniejszy panie - odpowiadał Mahabbat. Dżahangir rzucił w niego poduszką.
- Chcę się widzieć z cesarżową.

I tak powtarzał za każdym razem. *Chcę się widzieć z cesarżową*. Minister usiłował go uspokoić. Chciał mu wytłumaczyć, że księżę Churram będzie najlepszym następcą tronu. Szahrijar to słabeusz, jak mógłby rządzić?

Podczas pobytu w Kabulu doszła ich wiadomość, że Parwez zmarł w Burhanpurze. Mahabbat postanowił oddać swoje usługi Churramowi, którego niegdyś ścigał. Nie zamierzał popierać Szahrijara, *naszudaniego* - oferty - ponieważ był on

zięciem Mihrunnisy. Za to Churram to *bidaulat*, kanalia, odpowiadał Dżahangir. Przyślijcie do mnie cesarżową.

Mahabbat był nieugięty. On sam także nie zgadzał się na spotkanie z Mihrunnisą, choć wzywała go do siebie wielokrotnie. Spotykał się tylko z jej bratem Abulem. Ten przekazywał obu stronom wyrazy pogardy i pretensji, bo Mahabbat nie pozwalał Mihrunnisie opuścić apartamentów.

Dusiła się - dosłownie - zamknięta w czterech ścianach. Jeśli zapragnęła wyjść - zgodnie z rozkazem Mahabbata, który przysłał żołnierzy, by skłonili ją do posłuszeństwa - to tylko pod osłoną welonu. Nie przejrzystego szyfonu, przez który widać było błysk zębów, uśmiech czy nawet błękit jej oczu, lecz grubej czarnej bawełny, odbierającej jej tożsamość. Nie wolno jej było odzywać się publicznie; kobiety Mogołów były milczące. Wszystko, czego Mahabbat żądał niegdyś od Dżahangira - by powściągnął Mihrunnisę, nie pozwalał jej rządzić cesarstwem - teraz się urzeczywistniło. Wziął na niej odwet za te dziesięć lat w Kabulu, za to, że musiał się tam zestarzeć.

Mihrunnisą krążyła po pokoju tak intensywnie, że wytarła ścieżkę na dywanach. Kipiała z wściekłości. Mahabbat odebrał jej wszystkie obowiązki, małe i wielkie. Z każdym dniem jej irytacja narastała. A oprócz gniewu codziennie towarzyszył jej ból. Rozpaczliwie tęskniła za Dżahangirem - co noc łóżko wydawało się jej zbyt wielkie, zbyt puste. Bała się o niego - czy dobrze się czuje? Czy kaszel nie powrócił? Czy dobrze się odżywia, czy nie pali zbyt wiele opium, nie pije za dużo wina?

Mahabbat zezwolił im na jedno spotkanie, podczas którego był obecny.

Mihrunnisą stanęła przed drzwiami Dżahangira; wstrząs odebrał jej swobodę ruchów i mowę. Dżahangir postarzał się raptownie w czasie, kiedy go nie widziała. Nie potrafił już oddychać bez rżenia, słyszała, jak męczą się jego biedne płuca. Na jej widok zaczął płakać; ona także się rozpląkała, uklękła u jego łoża, objęła drżącymi rękami twarz męża. Rozmawiali, zbliżywszy do siebie twarze, nie zwracając uwagi na Mahabbat-chana.

- Proszę, pozwól mi zostać. Cesarz jest niezdrów - odezwała się Mihrunnisa. Nie podobał się jej błagalny ton własnego głosu.

Eunuch pomógł wstać cesarzowej i wyprowadził ją z komnaty. Przystanąła przed Mahabbatem i rzekła cicho i z furją:

- Jeśli najjaśniejszy pan umrze pod twoją pieczęcią, każę cię obedrzeć żywcem ze skóry.

Nie odpowiedział, odwrócił się tylko, unosząc brwi, ale przez chwilę dostrzegła niepewne drżenie jego ust.

Pozostała jej tylko furia. Nie była już udręczona, niespokojna czy przestraszona - lecz wściekła. Dżahangir umiera, a ona nie może z nim być. Zniszczy Mahabbat-chana. Nie pozwala jej opuszczać komnat, więc unicestwi go, nie przekraczając ich progu.

- Hoszjarze... - rzuciła.

Eunuch wstał ze swego miejsca przy drzwiach i podszedł. Zaprowadził ją do łóżka; oparła się o niego. Strażnicy przy drzwiach dostrzegli jedynie, że cesarzowa jest zbyt zmęczona, by iść o własnych siłach. Nie dostrzegli - Mihrunnisa była odwrócona do nich plecami - że kiedy oparła głowę na ramieniu eunucha, jej usta zaczęły się poruszać.

Tydzień później, w środku nocy, gdy Kabul leżał cichy i uśpiony, ahadi - cesarska gwardia przyboczna - zaatakowała obóz żołnierzy Mahabbat-chana.

Zanim żołnierze zdążyli się obudzić, polała się krew, głowy upadały na kamienie, życie ulatywało z ciał. Ahadi metodycznie masakrowali przeciwników. Pod koniec trzeciej godziny krzyki umilkły. Tych, którzy mieli szczęście ocaleć - ukryci w skrzyniach ryżu czy w kufrach pod prześcieradłami i ubraniami - znaleziono, zakuto w kajdany i sprzedano w Kabulu jako niewolników.

Wieści dotarły do Mahabbata następnego dnia, kiedy jadł śniadanie z Muhammadem Szarifem. Przez dziesięć lat poglądy i zachowanie dwóch dawnych przyjaciół uległo zmianie. Nie dzielili obecnie swoich zapatrywań. Kiedy Mihrunnisa i Dżahangir wezwali Mahabbata na dwór, by wytłumaczył się

z zarzutów, napisał on do Szarifa, prosząc o pomoc. *Idź do cesarza, przemów mu do rozsądku. Tylko ty, mój drogi przyjacielu, potrafisz tego dokonać.*

Ale Szarif nie odpowiedział. Milczał przez wiele miesięcy. A tego ranka powiedział:

- Źle postąpiłeś.

Mahabbat się zaperzył.

- A ty? Co uczyniłeś? Żyłeś na dworze jak świnia w chlewie, zadowolony, bo nażarty, pławiąc się we własnym smrodzie i brudzie. Brałeś pożywienie z ręki kobiety. Całe cesarstwo jest tknięte rozkładem!

Szarif nie podchwycił jego tonu. Pokręcił głową z dezaprobatą niczym surowy mułła.

- Źle postąpiłeś. Nie jesteś cesarzem. To nie twoja rzecz. Sam Allah wyznaczył, kto będzie królem, a kto sługą - i nie wolno tego zmieniać.

Mahabbat zamilkł przerażony. Właśnie wtedy zjawił się służący z wieściami o masakrze w obozie. Osobą odpowiedzialną za to była Mihrunnisa, co do tego nie miał wątpliwości. Jak zdołała zmobilizować cały oddział cesarskiej straży przybocznej?

Odwrócił się do przyjaciela. Po policzkach potoczyły się mu łzy.

- Szarifie...

Ale Muhammad Szarif wstał, skłonił się i opuścił jego dom. Nie chciał w tym brać udziału. Zostawił za sobą niewypowiedziane oskarżenia: ci ludzie zginęli przez ciebie. Przez ciebie, bo pogwałciłeś naturalny porządek rzeczy.

Mahabbat-chan otarł twarz i pobiegł do komnat cesarza Dżahangira. Zaczął się skarżyć na ahadich. Domagał się odszkodowania.

Dżahangir, oparty o poduszki, by łatwiej mu się oddychało, nie ugiął się. Zdołał się nawet uśmiechnąć do rozdygotanego ministra. Jego ciało osłabło, ale nic nie zdołało mu odebrać godności osoby królewskiej krwi. Wydał mu dwóch ahadich, którzy podobno byli przywódcami ataku.

- Jeśli jeszcze raz powiesz coś o kimś w to zamieszany -

dodał - każe ci wyrwać język. - Potem oddalił Mahabbata. - Jeśli twoi żołnierze nie potrafią się bronić, może powinni poszukać innego dowódcy.

Pod koniec lata, we wrześniu 1626 roku, cesarski dwór wyruszył z Kabulu. Mahabbat-chan nadal sprawował nominalną władzę. Od Rohtas dzielił ich dzień drogi, kiedy Mihrunnisa uznała, że minister jest już wystarczająco słaby. Pewnej nocy wkradła się do namiotu Dżahangira, rozciąwszy płócienną ścianę. Strażnicy byli tak nieuważni, że nie zauważyli jej odejścia; nikt nie ośmielił się jej zastąpić drogi. Po masakrze radżpuckiego obozu układ sił się zmienił. Mahabbat był dowódcą tych ludzi, a jednak nie potrafił ich ochronić.

Następnego ranka Abul zjawiał się w obozie Mahabbat-chana, by poinformować go o życzeniu Dżahangira.

- Cesarz pragnie odłożyć podróż do Rohtas - powiedział.
- Dlaczego? - zaniepokoił się Mahabbat.
- Postanowił zostać w obozie, by dokonać przeglądu kawalerii najjaśniejszej pani. Ty, panie, masz ruszyć do Rohtas.

Mahabbat usłuchał. Od trzech miesięcy tkwił u boku cesarza, gdyż wiedział, że jeśli odejdzie, straci wszystko. A jednak pragnął odejść. To nie było życie dla niego. Nie pragnął nienawiści Dżahangira, a tylko tyle mógł dostać. Zmęczyło go odgrywanie władcy. Nie chciał dokonać przewrotu, nie pragnął władzy, która przyszła wraz z nim. Kiedyś... wiele lat temu, za młodu, potrafiłby ocenić tę sytuację. Szarif miał rację - w jego żyłach nie płynęła cesarska krew, a korona należała tylko do pobłogosławionych przez Allaha. Naprawdę postąpił źle.

Zebrał żołnierzy, którzy przy nim pozostali, i uciekł jak najdalej od Rohtas.

Dla Mihrunnisy klęska Mahabbata nie znaczyła wiele. Pozostało jeszcze dużo do zrobienia. Dżahangir umierał... i koniec był bliski. Szahrijar musiał się jak najszybciej nauczyć obowiązków cesarza, co nie było łatwe. Przez ostatnie miesiące księżę krył się w komnatach, robił wszystko, co rozkazał mu Mahabbat, bawił się w wojnę. I, co martwiło Mihrunnisę, coraz częściej zapadał na zdrowiu. Dręczyły go dziwne, nagłe

ataki gorączki, które pojawiały się z nienacka i szybko znikwały, zostawiając wysypkę na rękach i twarzy.

Ale Mihrunnisa nie zauważyła jeszcze jednej rzeczy związanej z buntem Mahabbata. Kiedy była uwięziona, Abul pełnił funkcję jej rzecznika, nosząc jej rozkazy na dwór, do wielmożów. Dworzanie nie widywali jej na *dżharoće*, a przez to stracili w nią wiarę. Przewrót Mahabbata, choć w rezultacie nieskuteczny, podkopał jej pozycję.

Gdyby Dżahangir wkrótce umarł, wielmoże zwróciliby się do Abula, nie do kobiety, która rządziła nimi od szesnastu lat.

A gdyby zwrócili się do Abula - to i do księcia Churrama.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Objąwszy rządy, Dżahangir stał się bardzo surowy. Karał wszystkich złoczyńców, wskutek czego zyskał miano Adil Padiszaha, czyli „sprawiedliwego” władcy. Tak było, dopóki nie wpadł w szpony kobiety, która odarła go z dobrego imienia.

A Dutch Chronicle of Mughal India,
tłum. B. Narain, wyd. S. Sharma

Cesarski dwór pozostał w Lahaur aż do następnego roku, lecz Mihrunnisa nie zaznała spokoju. Dżahangir cierpiął przez wszystkie miesiące władania Mahabbat-chana. Z trudem usiłował zachować spokój, kiedy Mahabbat zmuszał go do podpisywania *farmanów*, gdy musiał je wszystkie przeczytać i spierać się o to, czy przyznać majątki krewnym i przyjacielom Mahabbata. Przez te lata Mihrunnisa uwolniła go od tego ciężaru. Tylko jej ufał bez reszty. Mahabbat nie mógł zająć jej miejsca.

Noce były samotne i straszne, zwłaszcza kiedy nie mógł odychać i z wysiłkiem tłoczył powietrze do płuc. Rozpaczliwie tęsknił za Mihrunnisą, chciał się do niej przytulić, usłyszeć, jak mówi, że wyzdrowieje.

Dlatego bardzo długo dochodził do siebie, choć Mahabbat-chan już uciekł. Nie pozwalał Mihrunnisie oddalić się od siebie, a był zbyt chory, by codziennie zjawiać się na *dżharo-ce* lub w *diwan-i chass*. Mihrunnisa dostrzegła jego stan i wysłała swego brata za Mahabbat-chanem. Miał go sprowadzić żywcem, a wówczas ona zamierzała się zastanowić nad karą. Abul wyjechał i ruszył za człowiekiem, który niedawno pojmał go tak haniebnie. Przemierzali kolejne dystrykty i *dżagiry* wzdłuż północno-zachodniej granicy cesarstwa, ale Mahab-

bat zawsze go o dzień wyprzedzał i wkrótce Abul dał za wygraną.

Wrócił i przyznał się siostrze do przegranej: Mahabbat-chan był nieuchwytny. Mihrunnisa postanowiła zemścić się inaczej. Skonfiskowała wszystkie ziemie Mahabbata, postawiła strażników na jego polach i w domach, zagarnęła wszystkie karawany, które podróżowały z jego polecenia. Sprawiała, że stał się poszukiwanym zbiegiem.

Oczywiście w cesarstwie był jeszcze jeden dysydent - teraz już z długim stażem - księżę Churram. Początkowo spokojnie przebywał na zesłaniu w Nasik, na wieść o przewrocie Mahabbata zebrał w końcu armię i ruszył na północ. Nikt nie wiedział - a on sam najmniej - o co mu chodzi. Rozumiał tylko, że Mahabbat w jakiś sposób zdołał pokonać Mihrunnisę, zdołać być tron... być może gdyby udało mu się zagarnąć skarbiec, który obecnie znajdował się w Lahaur... albo napaść na sam dwór... albo strącić cesarski turban z głowy ojca. I tak, otumaniony mrzonkami Churram nadciągnął na północ, otoczył miasta i wioski, domagając się przysięgi lojalności od tych władców, których ziemie przemierzył po drodze. Niektórzy zgodzili się go wspomagać - inni nie.

Potem bunt dobiegł końca i Churram znowu uciekł do Nasik, a stamtąd do Dekanu. Podróżował wzdłuż południowej granicy cesarstwa, usiłując znowu postawić stopę na mogulskich ziemiach. Męczyła go bierność, nie znosił siebie za tchórzostwa, ale nie potrafił zaryzykować. Ardżumand znowu zaszła w ciążę, dzieci były małe. Poza tym dręczyła go gorączka. Ale nieustannie myślał o cesarstwie. Nadal pragnął korony.

I właśnie wtedy napisał do niego Mahabbat, proponując mu swoje poparcie we wszystkich działaniach. Żaden z nich nie uznał tego przymierza za śmieszne - w Indiach, gdzie gra szła o tak wielkie bogactwa i władzę, układ sił zmieniał się z chwili na chwilę. *Mansaby*, *dżagiry*, tytuły, złote *mohury* i szaty honorowe stanowiły aż nadto wystarczające wynagrodzenie za nienawiść i wrogość.

Mihrunnisa spędzała długie godziny u łoża Dżahangira, usiłując bronić go przed wszelkimi troskami. Nie powiedziała

mu, że Mahabbat-chan spiskuje z księciem Churramem, ale kazała się informować o każdym ich ruchu - nieważne, czy wstali, umyli zęby, krzyknęli, czy ruszyli do walki. Wiedziała, kiedy udawali się na spoczynek, z kim i dlaczego. Znała ich myśli, zanim przyszły im do głowy.

W pierwszym tygodniu lutego 1627 roku Mihrunnisa wydała ogromne, wspaniałe przyjęcie w swoich ogrodach w Lahaur. Nadała Szharajarowi zwiększony *mansab* - i tak samo uczyniła z każdym zaproszonym dostojnikiem. Zza zasłony przyglądała się, jak mężczyźni kłaniają się księciu i z wolna cofają się do wyjścia, nie prostując karków. W ten sposób upewniła się, że dworzanie oddadzą serca i umysły temu, który zostanie następnym cesarzem.

W marcu astma zaczęła dręczyć Dżahagira bardziej niż do tej pory. Znowu ruszyli do Kaszmiru w nadziei, że czyste, chłodne powietrze ulży jego cierpieniu.

Służący lekliwie przysunął zwierciadło Szahrijarowi.

Księżę opadł na poduszki i zasłonił głowę.

- Co się ze mną stało?

Wyjrzał zza rąbka haftowanego prześcieradła. Znowu przysunął lustro do twarzy. Patrzyła na niego biała małpa. Głowę miała gładką niczym lśniący orzech kokosowy. Wypadły mu wszystkie włosy - na miejscu brwi znajdowała się lekko wybrzuszona różowa skóra. Z policzków znikły baki i zarost. Nawet oczy wyglądały jak małe ciemne dziurki w oprawie bezwłosych powiek. Nos i kark upstrzyły mu brzydkie białe plamy.

- Kto to jest? - ryknął. - Kim jest ten ktoś? Co się stało?

Cesarscy lekarze ze spuszczonymi oczami rzędem stali u stóp jego łóżka. Wreszcie jeden skłonił się w *taslimie*.

- Wasza wysokość - przemówił, nie prostując się - to rodzaj trądu.

Szahrijar upuścił lustro. Trąd! Straszliwa, nieuleczalna choroba atakująca kończyny! Uniósł drżącą rękę do twarzy i policzyl palce. Pięć, paznokcie nadal tkwiły mocno pod skórą, nadal były zdrowo różowe, z białymi półksiężycami Jeszcze

nie wypadły... jeszcze. Schował dłonie pod pachami, jakby mógł je w ten sposób uchronić przed chorobą. Nie chciał, by jego ręce zmieniły się w kikuty. Jęknął, skulił się, objął się rękami i zaczął się kołysać. Miał ochotę płakać, krzyczeć, przeklinać los, który go tak potraktował. Kątem oka zauważył, że eunuchowie cofają się o krok. Ukradkiem zasłaniali nosy rękami, jakby mogli się w ten sposób zarazić.

Popatrzył na *hakimów*. Wreszcie spojrzeli mu w oczy. Przynajmniej nie boją się być przy mnie, pomyślał.

- Zróbcie coś!

Była to prośba, nie rozkaz.

Hakimowie znowu się skłonili.

- Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy, wasza wysokość. Nic nie skutkuje.

- Nic? Zupełnie nic?

Oczywiście mogą spróbować i spróbują, co odważniejsi spędzą godziny u jego wezgłowia, ale już zapewnili mu najlepsze leczenie. A jednak włosy wypadły i trąd będzie się rozwijać.

Do komnaty wśliznął się służący.

- Najjaśniejsza pani przybyła z wizytą.

Szharijar zakrył twarz prześcieradłem, które owinał wokół głowy niczym turban.

- Nie mogę jej przyjąć. Powiedzcie, żeby odeszła.

- Ona nalega...-zaczął eunuch.

- Rzeczywiście - przerwała mu Mihrunnisa, wchodząc do komnaty. Tuż za nią kroczył Hoszijar. - Co się z tobą dzieje? Co to za choroba? Nie pokazałeś się na dworze od maja. Czy tak wypada się zachowywać przyszłemu cesarzowi?

Hakimowie padli na kolana, spuścili wzrok. Paru usiłowało na nią zerknąć - nie mogli się oprzeć pokusie ujrzenia twarzy cesarzowej, która z pewnością nie nosiła welonu. Jednak ledwie unieśli głowy, Hoszijar ciężko położył rękę na ich ramionach.

- Lepiej, by mężczyźni nie spoglądali na najjaśniejszą panią - powiedział cicho.

Po tych słowach nikt się na to nie odważył.

Szahrijar schował się pod prześcieradłem.

- Odejdź - wymamrotał. - Nie mogę cię przyjąć.

Mihrunnisa zerwała z niego okrycie. Zamarła. W pierwszym odruchu pomyślała, czy Ladli go takiego widziała. Zaraz potem: więc to kogoś takiego poślubiła moja córka? Wzdrygnęła się i upuściła prześcieradło.

Szahrijar roześmiał się; jego zęby wydawały się bardzo białe na tle pstrokatej, chorej skóry.

- Czy najjaśniejsza pani się boi?

Mihrunnisa nie zwróciła uwagi na drwiący ton. Spojrzała na *hakimów*.

- Co się z nim stało? Dlaczego nikt mnie nie poinformował? - rzuciła ostro.

- Najjaśniejsza pani, księżę prosił, by ci o tym nie mówić.

- Co to jest?

Lekarze milczeli. Szahrijar znowu się roześmiał. W tym cichym śmiechu brzmiała nutka szaleństwa.

- Trań, najjaśniejsza pani. Mąż twojej córki zachorował na trań. Spójrz. - Wyciągnął ręce. Mihrunnisa nie mogła oderwać od nich wzroku. - Te ręce będą dotykać twojej córki. Módl się, by Allah nie zesłał i na nią tej choroby.

Odwróciła się z wysiłkiem, przejęta obrzydzeniem. Dlaczego wszyscy księżęta sprawiają jej zawód? Szahrijar, idiota, lecz nigdyś dający sobą kierować, stał się uparty jak osioł. Wszystko, co miał, pochodziło od niej - jeśli był dowódcą **0** wysokim *mansabie*, jeśli posiadał wiele ziem w cesarstwie, to ona mu je nadała. A robiąc tak, zwiększyła jego znaczenie, nadała mu prestiż. A on, tak jak Churram i Chusru, postanowił ją zlekceważyć. Jacyż głupi są ci chłopcy, pomyślała.

- Czy księżę może podjąć swoje obowiązki? - spytała.

- Jego wysokość jest zupełnie zdrowy. Jego umysłowi nic nie dolega.

Szahrijar spojrział na nią spode łba.

- Nie pokażę się publicznie w takim stanie.

- Musisz. Cesarz jest niezdrów, ludzie zaczynają się niepokoić. Muszą zobaczyć następcę tronu. Możesz włożyć perukę i sztuczne brwi.

- Nie - oznajmił buntowniczo. - Nie opuszczę moich komnat. Nie możesz mnie zmusić. Odejdź.

Spojrzała na niego z desperacją. Jakie znaczenie ma parę włosków w porównaniu z cesarstwem? Dlaczego Szharrijar nie rozumie, o jaką stawkę idzie gra? Pragnął rządzić, często to powtarzał, ale czy sądził, że dostanie koronę bez żadnego wysiłku?

- Porozmawiamy jutro.

Odwróciła się i wyszła.

Następnego dnia Szahrijar wysłał do ojca list, w którym prosił o pozwolenie powrotu do Lahaur. Liczył na to, że ciepły klimat przyniesie mu ulgę. Dżahangir wyraził zgodę i przekonał Mihrunnisę, żeby pozwoliła księciu jechać. Jednak nie zgodziła się na wyjazd Ladli i Arzani.

I tak Szahrijar wyjechał ze swoją świętą do Lahaur, a kilka dni później Mihrunnisa i Dżahangir ruszyli za nim - nie mogli mu pozwolić, by się zanadto oddalił.

Obóz rozbito w Bairam Kala, na ulubionych terenach łowieckich cesarza. Miasto tuliło się do stóp Himalajów; zbocza gór porastały gęste lasy sosnowe. Była to brama Indii - nazywano ją tak, kiedy Kaszmir i góry leżały poza granicami cesarstwa. I choć od podboju Kaszmiru minęło trzydzieści lat, Dżahangir i Mihrunnisa mieli wrażenie, że w Bairam Kala znaleźli się na obcym terenie. Cesarz, zbyt słaby, by jechać konno, otworzył oczy, gdy palankin się zatrzymał.

- Gdzie jesteśmy? - spytał.

- W Bairam Kala, najjaśniejszy panie - odpowiedziała Mihrunnisa.

- Ach... - Opadł na poduszki. - Kiedyś tu polowałem. To były dobre czasy...

- Rzeczywiście, były - przyznała łagodnie. - Jeśli wypoczniesz, odzyskasz zdrowie i wrócimy tu na polowanie.

- Chciałbym zapolować już dziś.

- Dziś nie. - Pokręciła głową. - Później, gdy poczujesz się lepiej.

- Dlaczego odmawiasz mi ostatniej przyjemności?

- Ćśśś... nie mów tak. - Przynęła się do niego na klęczkach, położyła się obok. Było późne popołudnie, słońce prażyło niemiłosiernie. Mihrunnisa oparła głowę na ramieniu Dżahangira; on dotknął jej twarzy. Oboje spojrzeli przez cienkie zasłony na powietrze drżące z upału nad górami. Sosny wyglądały jak morze zieleni, w powietrzu unosił się wonny zapach zgniecionych igieł.

- To już koniec, Mihrunniso - odezwał się cesarz cicho. - Poradzisz sobie?

- Tak - odparła po długiej chwili. - Będę za tobą tęsknić, najjaśniejszy panie.

- Pozwól mi zapolować.

Wezwała mir szikara i rozkazała zorganizować nagonkę. Służący ruszyli w las i zaczęli spędzać jelenie i inne zwierzęta. Dżahangir przybył na polowanie na krześle, niesionym przez czterech tragarzy. Postawili je na ziemię, podali cesarzowi muszkiet. Dżahangir nie miał nawet siły, by podnieść broń czy usiąść prosto.

Mimo to zdołał złożyć się do strzału i strzelić w stojącego przed nim jelenia. Trafił go w tylną lewą nogę; zwierzę rzuciło się do ucieczki.

- Za nim! - ryknął cesarz z oczami rozświetlonymi ożywieniem.

Służący puścił się pędem za jeleniem. Na skraju przepaści stracił równowagę. Przez chwilę jakby zamarł, zawieszony w powietrzu, po czym runął w dół. Jego przenikliwy, żałosny krzyk odbił się echem od gór.

- Ratujcie go! - krzyknęła Mihrunnisa.

Kilku służących podbiegło do skraju przepaści i spojrzało w dół. Wrócili do cesarskiej pary, kręcąc głowami. Dżahangir zaczął dygotać.

- To znak, że wkrótce umrę, Mihrunniso.

- To wypadek - odparła. Dała znak służącym, którzy zanieśli Dżahangira do obozu. Po drodze śmiała się i mówiła trochę za dużo, uparczywie odwracając ku sobie jego twarz. Nie chciała, by zastanawiał się nad tym znakiem. *To nic nie znaczy, najjaśniejszy panie. Wyzdrowiejesz, a wtedy przyjedziesz*

tu na następne polowanie. Podała mu wino, ale nie mógł utrzymać go w ustach, co dopiero przełknąć. Po godzinie chwyciła go gorączka i zaczęły się majaki.

Tej nocy wydusił z siebie tylko jedno słowo:

- Wody...

Mihrunnisa nalała mu wody do kielicha, który przystawiła do jego ust. Napił się i opadł na posłanie. Zasnął; już tak nie rzeził. Czuwała przy nim. Wspominała ich młodość, pierwszy pocałunek przed apartamentami Rakajji, kiedy serce pękało jej z pragnienia, ich ślub - cichy, ponieważ o to prosiła... Ich kłótnie, czasami bójki; i jak się po nich godzili, jakby nikt inny się nie liczył. I tak właśnie było, pomyślała. W nim ulokowała całą swą miłość. A po nim... cóż, nawet przed nim nie było nikogo innego.

O świcie służący zaczęli przybywać do namiotu z wiadomościami, ale Mihrunnisa nikogo nie wpuszczała. Na zewnątrz zaczęli się gromadzić dworzanie. Wielmoże stali w białych, żałobnych strojach. Milczeli. Przyglądali się namiotowi. Już nie słyszeli głosu Dżahangira.

Noc zmieniła się w bladoszary świt, kiedy Dżahangir wziął głęboki oddech. Jego ciałem szarpnął spazm, płuca walczyły o powietrze, a on wyciągnął rękę, nie otwierając oczu. Opuścił ją na dłoń Mihrunnisy, ucisnął.

Był to jego ostatni oddech.

Nastał dzień 28 października 1627 roku. Cesarz miał pięćdziesiąt osiem lat.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Testament Dżehangira otwarto natychmiast po jego zgonie. Za namową Sultany na swego następcą wyznaczył syna Szariara, lecz księżę parę tygodni wcześniej udał się do Lahaur.

Alexander Dow, *The His tory of Hindostán*

Mihrunnisa siedziała, trzymając stygnącą rękę Dżahangira. Jego palce nadal otaczały jej dłoń, pierścień z rubinem wielkości orzecha betelu chłodził jej skórę. Ten pierścień dał mu Akbar, przekazując koronę. Pochyliła się, przytuliła policzek do twarzy męża. Obudź się, mój panie. Obudź się i przemów do mnie. Z kim teraz będę rozmawiać? Nie mogła znieść tej strasznej pustki. Zwłoki, które leżały obok, należały do człowieka, którego żoną była od szesnastu lat, którego kochała ponad wszystko, odkąd skończyła osiem lat. Jak ma teraz żyć bez niego?

Objęła męża za szyję i położyła głowę na jego piersi. Haft białej *kaby* drapał ją w policzek. Czuła się dziwnie, nie słysząc znajomego bicia serca, szmeru powietrza w astmatycznych płucach. Gdyby mógł przemówić tylko raz, Allahu, tylko raz, jedynie o to prosiła. Podniosła głowę i odgarnęła mu włosy z czoła. Kiedy łysina tak mu się powiększyła? Kiedy bokobrody tak posiwiały? Gdy życie uszło z tego ciała - z uśmiechu, oczu, dotyku - nagle to wszystko stało się bardziej widoczne. Dotknęła pereł, które od czasu swego wyzdrowienia nosił w uszach, co stało się obecnie modne. Ludzie nie zapomną wielu związanych z nim rzeczy. Nie mogą zapomnieć. Był sprawiedliwym władcą, dobrym i hojnym, chętniej wysłuchu-

jącym prósb swego ludu niż jakikolwiek cesarz przed nim, nawet jego ojciec. I o tym nikomu nie wolno zapomnieć.

Podniosła się ze zmęczeniem. Nie płakała, nie mogła, coś się w niej zacisnęło, nie dawało ulgi. Odwróciła dłoń Dżahangira, przesunęła palcami po jego paznokciach, włosach na wierzchu ręki, po cesarskim pierścieniu z rubinem, który niegdyś należał do Akbara, potem do Dżahangira, a teraz... Odwróciła wzrok. Musi wezwać Szahrijara. Koronacja powinna się odbyć jak najszybciej. Po raz ostatni pocałowała rękę męża i wstała. Chwyciła leżący koło otomany welon z błękitnego szyfonu i zarzuciła na głowę. Przy wyjściu zawahała się. Musiała zebrać w sobie wszystkie siły. Jej głos nie może zdrzeć, plecy muszą się wyprostować, głowa unieść, bo tylko wtedy zdoła przekonać dwór, że następcą tronu musi być Szahrijar. Wyszła z namiotu.

Nad obozem wisiała nisko mgła, dotykała twarzy, przeinaczała turbany, ubrania - a jednak wielmoże nadal stali wokół namiotu cesarza. Czekali, jakby znajdowali się w *diwan-i am*, z założonymi rękami, palcami ułożonymi w przepisowy sposób na łokciach. Tutaj także obowiązywała etykieta - zebrani stali według tytułów, rang i *mansabów* - ci mniej możni na samym końcu, tak daleko, że widzieli tylko czerwono-złotą flagę z lwem na tle wschodzącego słońca.

Hoszijar-chan uniósł klapę namiotu i utworował drogę Mihrunnisie. Potknęła się lekko, a on szepnął tak, jak przed laty:

- Odwagi, najjaśniejsza pani.

Wyszła w poranną mgłę. Chłód otulił ją łagodnie, przyjemny po duszącym ciepłe ogrzewanego namiotu. Dworzanie byli ubrani w białe *kurty* i spodnie, głowy mieli obnażone; w półmroku wyglądali jak duchy. Wokół dopalały się pochodnie, z których unosiły się smużki błękitnego dymu. Mihrunnisa stanęła przed zebranymi mężczyznami, splótłszy ręce pod welonem. Gdzieś w oddali zarżał jakiś koń; zaczęła, aż umilknie.

- Cesarz Dżahangir odszedł z tego świata, by zamieszkać w raju.

W tłumie zerwało się westchnienie niczym powiew wiatru,

zaraz potem umilkło. W oczach niektórych dostojników stanęły łzy, lecz nikt nie ośmielił się ich wytrzeć. Na ich widok Mihrunnisa poczuła narastający w niej szloch. Zdławiła go. Czy przekonam ich, pomyślała, tych mężczyzn, którzy nade mną górują, którzy stoczyli tyle walk, nie lękając się niczego, a zwłaszcza śmierci, którzy oddaliby życie na skinienie cesarza? Czy zrobią dla mnie to, czego chcę?

Znowu zaczęła mówić mocnym, dźwięcznym głosem.

- Najjaśniejszy pan życzył sobie, by jego następcą został książę Szahrijar. Jestem tu, by prosić was o przysięgę w imieniu najjaśniejszego pana.

Nadal nikt się nie poruszył. W pierwszej chwili w tłumie zerwał się szmer, niemal niedostrzegalny ruch, ale ona dodała dobitnie, że taka właśnie była wola Dżahangira. Co oni na to? Spojrzała na nich przenikliwie, ale stali z nieprzeniknionymi twarzami. Wiedziała, że prosi ich o wiele - Szahrijar nigdy nie budził i nie będzie budzić zaufania. Ale ona mu pomoże. Da mu swoją siłę, swoje wpływy. Wytrzymała spojrzenie zebranych, nie drgnąwszy. Ci amirówie byli wojownikami, jak przystało na dostojników cesarstwa, lecz pozbawieni mieczy, sztyletów, muszkietów i łuków stali się politykami. Wreszcie spojrzała na mężczyznę stojącego najbliżej niej.

- Abulu, czy zechcesz wejść ze mną do namiotu?

Abul Hasan skłonił się.

- Tak, najjaśniejsza pani.

Podszedł do niej; oparła się na jego ramieniu. Chciała, żeby wielmoże zobaczyli w niej także kobietę pragnącą wsparcia w trudnym czasie, kiedy straciła nie tylko cesarza, ale i męża.

Hoszijar zamknął za nimi klapę namiotu i stanął na zewnątrz na straży. Przez parę minut dostojnicy zostali na swoich miejscach. Potem otarli łzy i zerknęli na siebie. Cesarstwo straciło stabilność, ich życie - cel. Nie wiedzieli, komu się mają kłaniać. Spojrzeli na Hoszijara, ale eunuch stał z nieprzeniknioną twarzą.

Mihrunnisa zaprowadziła Abula do Dżahangira. Dotknął czołem bosych stóp cesarza.

- Najjaśniejszy pan zaznał spokoju - powiedział.

Odsłoniła twarz.

- Abulu, musimy jak najszybciej wyjechać do Lahaur. Przed upływem tygodnia należy koronować Szahrijara. Chcę, byś zajął się przygotowaniami.

- Oczywiście - odparł szybko, niemal zbyt szybko. - Zajmę się tym. Powinnaś zostać tutaj, przy cesarzu, dopilnować pochówku. To jest twoje zadanie.

Skinęła głową. Przez te kilka chwil, które spędziła poza namiotem, także zdała sobie z tego sprawę. Wielmoże słuchali jej słów, ale czuła, że jakby się od niej odsunęli. Tak jakby jej głos nie miał siły, gdy nie rozbrzmiewał zza pleców cesarza. Abul miał rację, teraz powinna się stać wdową kryjącą twarz przed światem zewnętrznym. Ach, gdybyż tylko Szahrijar był tutaj, a nie w Lahaur. To tylko dwa dni drogi od zmarłego ojca, choć równie dobrze mógłby być oddalony o tysiące kilometrów. A ona musiała się zwrócić o pomoc akurat do Abula, wykorzystać jego głos, by przekonać zebranych. Abula, który nieustannie ją zdradzał. Na szczęście Churram był oddalony o więcej niż tysiąc kilometrów. Zanim zdoła coś uczynić, cesarski turban spocznie na głowie Szahrijara. Ale...

- Zdradzisz mnie, Abulu? - spytała.

Pokręcił siwiejącą głową. Spojrzał jej w oczy bez strachu.

- Nie. Jesteśmy jednej krwi, nie zdradzę cię.

Podeszła do drewnianej skrzyni w kącie namiotu, otworzyła ją i wyjęła niewielki woreczek. Rozsupłała jego sznurki i wyjęła dwa bure ziarna.

- Przysięgnij na *daturę* - powiedziała, podając mu trujące nasiona.

- Dobrze. - A potem, tak jak ona przed piętnastu laty, dodał: - Czy to mądre? Możemy umrzeć, a wtedy wszystkie nasze plany na nic.

Wygrzebała z kufra moździerz.

- I tak będzie warto, bo teraz chcę twojej wierności, nie korony. Jeśli będą ją miała, nie umrzemy.

- Dobrze - powtórzył. Utłukła ziarna na drobny biały pył.

I tak, stojąc przy zwłokach Dżahangira, zwilżyli palce wskazujące, zanurzyli je w pyłe i poczuli żrącą gorycz *datury*.

- Dziękuję, Abulu - powiedziała, kiedy wychodził.

Potem zaczęła gwałtownie wymiotować do srebrnej miednicy, klęcząc przy zwłokach męża. Oparła spoconą twarz na ręce cesarza.

- Będzie tak, jak chciałeś, najjaśniejszy panie.

Nie zauważyła, że choć Abul zanurzył w *daturze* palec wskazujący, do ust włożył środkowy.

Abul wezwał swego służącego Iradat-chana i rozkazał strzec Mihrunnisy. Nie wolno cesarzowej z nikim rozmawiać ani wysłać wiadomości do Szahrijara - jeśli jej się uda, dwudziestu strażników wokół tego namiotu nie doczeka następnego dnia.

Odszedł, wycierając palce o jedwabną *kurtę*. Oddanie korony Szahrijarowi nie wchodziło w grę; dobrze, że księcia nie ma w Bairam Kala. Gdyby tu był, trudno by było go powstrzymać. Dzięki temu Abul zyskał nieco czasu.

Wezwał najszybszego posłańca i pchnął go do Dekanu z ustną wiadomością: cesarz Dżahangir nie żyje, Churram ma natychmiast ruszyć do Lahaur.

Ale jak obronić pusty tron przez trzy miesiące? W cesarstwie rozgorzeje wojna domowa. Abul zastanowił się nad innymi pretendencjami. Bulaki, najstarszy syn Churrama, także do nich należał - przed wieloma laty ksiądz przysłał go na dwór jako zakładnika. Abul nie zamierzał osadzać na tronie innych synów Churrama; musieli poczekać na swój czas - po jego śmierci. To musi być Bulaki.

Dzień zmienił się w noc. Służący wynieśli z namiotu ciało Dżahangira, by przygotować je do pochówku. Mihrunnisa pozwoliła im na to. Nie wezwała Ladli. Chciała się zastanowić w samotności. Nie pozwoliła sobie na zwątpienie w Abula, co kosztowało ją wiele siły woli, bo wszystko w niej krzyczało, że brat nie zasługuje na zaufanie. Jednak nie miała innego wyjścia. Ich ojciec nie żył, Szahrijar był w Lahaur - nie miała się do kogo zwrócić. A w tym świecie, gdzie przyszło jej żyć, w chwili śmierci lub narodzin władcy najbardziej liczyli się

mężczyźni. Brali udział we wszystkich publicznych ceremoniach. Teraz pozostało jej usunąć się na ubocze.

Wieczorem wstała wyczerpana z otomany i wyszła. Abul powinien już mieć wiadomości od Szahrijara. Gdzie się podziewa? Uniosła klapę namiotu. Natychmiast otoczyło ją dwudziestu strażników.

- Co to ma znaczyć?

Jeden z nich wystąpił naprzód, trzymając włócznię tuż przy piersi.

- Proszę wejść do namiotu, najjaśniejsza pani. Nie wolno ci wychodzić.

- Z czyjego rozkazu?

- Mirzy Abul Hasana. Proszę wejść do środka, bo będziemy zmuszeni wprowadzić najjaśniejszą panią siłą.

Ach, Abulu, pomyślała, więc jednak jesteś zdrajcą. Podłym tchórzem, który przysięga na krew i truciznę, że nie zdradzi, a potem zdradza. Teraz zrozumiała, że nie powinna tracić czasu na opłakiwanie męża, nie trzeba było słuchać rad Abula, wielmożów czy duchownych, którzy pouczali ją o kobiecych obowiązkach. Przeklinanie Abula także nic nie da. Skinęła na jednego ze strażników w ostatnim rzędzie. Był właściwie chłopcem, jego twarzy jeszcze nie tknęła brzytwa balwierza, nad górną wargą dopiero zaczynał się sypać wąsik.

Kiedy chłopiec zrobił krok w jej stronę, strażnik zastąpił mu drogę.

- Najjaśniejsza pani ma z nikim nie rozmawiać.

Mihrunnisa spojrzała mu w oczy.

- Chcę wysłać tego strażnika z wiadomością do mojego brata. Uważaj, jak się do mnie zwracasz, bo twoje życie może się stać nic niewarte.

Strażnik zawahał się; pozwolił chłopcu wejść z cesarzową do namiotu. Mihrunnisa zdjęła trzy pierścionki. W łagodnym złocistym blasku *diji* i piecyków zamigotały brylanty, rubiny i szmaragdy.

- Zanieś wiadomość księciu Szahrijarowi w Lahaur.

Młodzieniec zrobił krok do tyłu.

- Najjaśniejsza pani... nie mogą. Mirza Hasan każe mi ściąć głowę.

- Ja także, kiedy Szahrijar zostanie cesarzem - rzuciła ostro. - Bądź rozsądny. Myślisz, że mirza Hasan wygra? Księżę Churram jest wiele kilometrów stąd. Zanim dotrze do Lahaur, księżę Szahrijar zasiądzie na tronie. Ale nie dokonam tego bez twojej pomocy.

Chłopiec zerknął pożądliwie na pierścienie.

- Zastanów się - ciągnęła. - Pomożesz osadzić księcia Szahrijara na tronie. Pomyśl o *mansabach* i *dżagirach*...

Strażnik wpadł jej w słowo.

- Zrobię to, najjaśniejsza pani. Co mam powiedzieć księciu?

Mihrunnisa w dwie minuty naszkicowała list; nie chciała zatrzymywać chłopca w namiocie dłużej niż to konieczne. Jej rozkazy były jasne. Księżę miał zabezpieczyć fort w Lahaur i zebrać armię, by ruszyć do walki z Abul Hasanem. Co ważniejsze, Szahrijar ma napisać do Kasim-chana, gubernatora Agry, i ostrzec go, co się dzieje. Kilka lat temu spora część cesarskiego skarbcza wróciła do Agry, a Kasim-chan sprawował nad nim pieczę. Należy się upewnić, że Churram nie ma do niego dostępu - bez skarbów tron, korona, cesarski turban nie miały znaczenia.

Po odejściu chłopca Mihrunnisa usiadła, żeby się zastanowić. Do kogo jeszcze mogłaby się zwrócić? Jacy dostojnicy jej pomogą, komu w ostatnich latach przyznała zaszczyty?

Tej nocy także się modliła, zwrócona twarzą w stronę Mekki. Allah, niech Szahrijar udowodni, że ma charakter. Jeśli tak się stanie, będzie naprawdę wart korony. Niech ten list dotrze do niego.

Strażnicy przyglądali się jej sylwetce, rysującej się przez płótno namiotu. Widzieli, że się modli i krąży po namiocie. Mieli rozkaz ją uwięzić, ale czuli, że choć fizycznie jest przy nich, potrafi sięgnąć dalej niż jakikolwiek śmiertelnik.

Następnego dnia odprawiono ostatnie obrządki nad zwłokami cesarza Dżahangira. Był to ogromny krok, gdyż do tego momentu panowanie Dżahangira nie było oficjalnie zakończo-

ne. Abul rozkazał przenieść zwłoki cesarza do Lahaur i tam pogrzebać. Mihrunnisa, nadal strzeżona, nie odstępowała mar na krok. Wyruszyła jednak dzień po Abulu i Bulakim. Ku zdziwieniu Abula Mihrunnisa nie protestowała. Nie starała się nawet wysłać mu wiadomości przez strażników.

Ledwie wypowiedziano ostatnią modlitwę nad zwłokami Dżahangira, zaniepokojony Abul doprowadził do koronacji księcia Bulakiego w Bhimbarze. Odczytano *chutbą*, oficjalnie ogłaszającą go władcą cesarstwa. Był 29 października 1627 roku, dzień po śmierci Dżahangira.

Szahrijar krążył niespokojnie po swoich komnatach w Lahaur. Zerknął na list. Cesarz zmarł, Mihrunnisa żądała, by zebrał wojska i bronił swoich praw. Zszedł z dywanu, stanął bosymi stopami na zimnej kamiennej posadzce. Wkrótce zostanie cesarzem! Już teraz był cesarzem Hindustanu! Teraz wszyscy go docenią. Przestaną go nazywać *naszudanim*. Od czasu zapadnięcia na chorobę czuł się jeszcze bardziej niewydarzony. Ale z tym już koniec! Zaczął tańczyć po pokoju, aż peruka opadła mu na oczy. Poprawił ją. Koniec z tym wszystkim! Wezwał służących.

- Poinformować miasto o zgonie cesarza - rozkazał. - Następnie oznajmić, że następcą jestem ja!

Wezwał strażników i rozkazał im przejąć cesarski skarbiec, który nadal znajdował się w Lahaur i zawierał tyle skarbów, ile można było utrzymać w forcie. Dla zapewnienia sobie poparcia wojskowych rozdzielił zawartość skarbca między żołnierzy. Wojska zostały wysłane nad rzekę Ravi, by przygotowały się do walki z Abul Hasanem.

Abul i jego żołnierze przemaszerowali szybko z Bhimbaru do Lahaur. Jego wojska spotkały się z armią Szahrijara pięć kilometrów za miastem. Jeszcze nie zaczęli dobrze walczyć, kiedy ludzie Szahrijara, przerażeni ogromem cesarskiej armii, wzięli nogi za pas. Abul tryumfalnie wmaszerował do Lahaur.

Na wieść o klęsce Szahrijar uciekł do fortu i zabarykadował

się w nim z dwoma tysiącami piechurów. Następnego ranka wielu dworzan Szahrijara przeszło na stronę Abul Hasana i wpuściło go do fortu. Abul ruszył na poszukiwanie księcia, który ukrył się w komnatach *zenany*, dosłownie pod spódnicami kobiet. Zawłókł go przed oblicze Bulakiego i zmusił do oddania hołdu nowemu cesarzowi. Potem kazał go oślepić i wtrącić do lochu.

Wszystko to wydarzyło się, zanim Mihrunnisa dotarła z pogrzebowym orszakiem do Lahaur. Znowu uwięziono ją w areszcie domowym. O wszystkich jej poczynaniach, każdym posiłku, każdym słowie, każdym oddechu donoszono Abulowi. Mihrunnisa usiłowała się spotkać z Szahrijarem, dowiedzieć się, co się stało, jak mogło do tego dojść. Usiłowała także wezwać Abula, ale on nie przyjmował jej listów.

Kilka dni później odbył się pogrzeb cesarza Dżahangira w ogrodach Dilkusza na brzegu rzeki Ravi. Abul nie pozwolił Mihrunnisie w nim uczestniczyć.

Przez trzy miesiące Mihrunnisa usiłowała opracować nowy plan, ale nie zdołała kupić niczyjej lojalności. Cesarstwo miało cesarza, ona zaś została jedynie cesarzową wdową. A tymczasem Churram pędził z Dekanu ku Agrze.

Kiedy był już blisko, wysłał wiadomość teściowi. Abul nadal przebywał w Lahaur, gdzie czuwał nad Bulakim i Mihrunnisa. W początkach stycznia 1628 roku Abul wszedł do komnaty Bulakiego, zdarł cesarzowi turban z głowy i wtrącił go do więzienia. Tego dnia nad Lahaur rozległy się głosy muezinów, wciąż słodkie, lecz sławiące imię już innego cesarza. Wszyscy pozdrawiają cesarza Szahdżahana, władcę cesarstwa mogolskiego.

Abul otrzymał list od Churrama. 23 stycznia 1628 roku na wielkim dziedzińcu Lahaur odbyła się egzekucja. Czterej mężczyźni z opaskami na oczach i rękami związanymi na plecach stanęli pod ścianą. Abul zajął miejsce z boku, koło łuczników ustawionych w dwa rzędy. Żołnierze napięli cięciwy, założyli strzały z kutego srebra i czekali na znak. Abul dygotał w chłodzie poranka, ale jego uniesiona dłoń nie zadrżała. Strzały

śmignęły przez dziedziniec, odbierając życie Bulakiemu, Szahrijarowi i dwóm kuzynom Churrama.

Od śmierci cesarza Dżahangirę trzykrotnie odczytano *chutbę*: najpierw ogłaszając imię Bulakiego, potem Szahrijara - przez jeden krótki dzień - a teraz Churrama. Zdumieni poddani nie rozumieli, co się dzieje. Więc kto w końcu został cesarzem? Komu teraz należy się kłaniać?

Jednak gdy w kraju rozeszła się wieść o śmierci książąt, wszelkie wątpliwości znikły. Teraz nie pozostał już żaden pretendent do tronu, który nie byłby bezpośrednio spokrewniony z Churramem i Ardżumand.

I tak Churram tryumfalnie wkroczył do Agry, wiedząc, że korona należy do niego. A gdy jego świta przejeżdżała główną ulicą fortu, Ardżumand wychylała się z lektyki na grzbiecie słonia i rzucała srebrne rupie w tłum. Wreszcie skończyło się wygnanie. Nie będą się już tułać po cesarstwie niczym zbiegowie, nie będą już mieszkać w namiotach, nie będą się pośpiesznie pakować i uciekać, kiedy nadejdą złe wieści. Churram został cesarzem, tak jak być powinno.

Abul Hasan wyszedł im na spotkanie przed bramę miasta. Ardżumand pociągnęła go za rękaw *kaby*.

- *Bapo*, cesarzowa...

- Teraz ty jesteś cesarzową, *beta* - odparł łagodnie. - Musisz przywyknąć do tego tytułu.

- Czy jest strzeżona?

Wziął ją za ramiona.

- Tak. Nie martw się o to, Ardżu. Bezpieczeństwem cesarstwa zajmiemy się my, mężczyźni.

Wtedy ukryła się w lektyce i zaciągnęła zasłony. Została cesarzową dzięki Churramowi i ojcu, nie dzięki własnemu działaniu. Przynajmniej ciotka nie stanowiła już zagrożenia. Jednak to osiągnięte z trudem zwycięstwo nad Mihrunnisą nie dało jej wiele szczęścia. Kiedy usiadła za Churramem, z dumą patrząc na czaple pióro na jego turbanie, padł na nią cień śmierci.

Ardżumand Banu Begam, nowa cesarzowa Mumtaz Mahal, miała umrzeć już za cztery lata - i za każdym razem, gdy

ośmieliła się wprowadzić jakąś innowację, wyjść poza granice *zenany*, wszyscy delikatnie odwodzili ją od tego zamiaru. *To nie dla ciebie, najjaśniejsza pani*, albo: *To zanadto w stylu cesarzowej wdowy. Rób to, co potrafisz najlepiej, i bądź zadowolona*. Więc była posłuszna. Miała ogromne dochody, które poświęcała na dobroczynność, klejnoty i stroje. Otrzymała pieczęć i tytuł Padiszah Begam haremu Churrama. Urodziła także kolejne dzieci - niemal co rok nowe. A kiedy na świat przyszło jej czternaste dziecko, Ardżumand umarła podczas porodu.

Mihrunnisa przeżyła bratanicę o wiele lat, zesłana do swej posiadłości w Lahaur, niby ciągle w cesarstwie, lecz jakby poza jego granicami.

Ardżumand nie spodziewała się, że Churram zbuduje dla jej upamiętnienia Tadž Mahal i że budowla ta stanie się symbolem kraju, który jej dziadek wybrał na swoją ojczyznę. Ani też, że choć tak zazdrościła święta róż, które cesarz Dżahangir wyprawił dla jej ciotki, potomność zapamięta właśnie ją, choć była cesarzową przez cztery krótkie lata - i nie zapomni o niej jeszcze po dwóch, trzech, a nawet pięciu wiekach.

EPILOG

18 grudnia 1645 roku budowa Tadź Mahal była już niemal na ukończeniu. Ardżumand zmarła w 1631 roku w Burhanpurze, ale miejscem jej wiecznego spoczynku miała być Agra. Zwłoki cesarzowej ekshumowano i przewieziono na brzegi Dżamny, na tereny, które Churram kupił od pewnego radży. Do budowy Tadź zaangażowano dwadzieścia tysięcy mężczyzn i kobiet. Wokół budowy wzniesiono całe miasto namiotów - Mumtazbad - gdzie murarze, kamieniarze, woźnice, złotnicy, inżynierowie, architekci i robotnicy mieszkali przez wiele lat, wychowując dorastające dzieci w cieniu Tadź Mahal. Na budowę wydano majątek, gdyż prace były prowadzone na ogromną skalę. Churram kazał wypełnić kotliny, zrównać z ziemią pagórki, ściąć wszystkie drzewa, by Tadź Mahal prezentował się jeszcze wspanialej. Zmieniono nawet bieg Dżamny, żeby otaczała mauzoleum łagodnym łukiem, wydarła z koryta, którym płynęła od tysiącleci. Grobowiec wyłożono arkuszami złotej blachy, drzwi zrobiono z litego rytego srebra, sarkofag otoczono złotą balustradą, lampy na ścianach wykuto ze złota, a nad śpiącą Ardżumand rozpostarto aksamitną kołpę haftowaną perłami, brylantami, rubinami i szmaragdami.

Ściany z zewnątrz i od wewnątrz były wyłożone marmurowymi płytami, przywiezionymi do Agry z oddalonego o setki kilometrów Dżodhpuru. Każda była starannie inkrustowana półszlachetnymi kamieniami: turkusami z Tybetu, jaspisami z Cambay, malachitem z Rosji, lapis-lazuli z Cejlonu, krwawnikami z bazarów Bagdadu, a także jadeitami, czarnym marmurem, ametystami i kwarcem.

W pierwszą rocznicę śmierci Ardżu Churram wydał ekstrawaganckie przyjęcie, podczas którego wino tryskało z fontann, rzucano biedakom garście pieniędzy, muezinowie dniem i nocą śpiewali wersety z Koranu, a Churram skłonił się w stronę Tadż Mahal.

Mihrunnisa parsknęła śmiechem. W ciszy jej apartamentów, gdzie słychać było tylko cichy trzask płomieni w piecyku i pochrapywanie Hoszijara w kącie, jej chichot zabrzmiał jak szmer wody kamienistego strumyka. Codziennie, gdy Churram skłaniał głowę w stronę Tadż Mahal, kłaniał się Mihrunnisi, bo projektując budowlę, naśladował jej styl. Oczywiście nie widziała mauzoleum - Churram nie pozwalał jej wyjechać z Lahaur. Za bardzo się jej obawiał, by mogła poruszać się swobodnie po cesarstwie. Jednak dowiedziała się o wspaniałych inkrustacjach *pietra dura* czy fantastycznie kolorowych kamieniach półszlachetnych osadzonych w marmurze z Dżhodpuru, o tym, jak długo trwają takie prace, jakie są trudne i jak oszałamiający jest efekt końcowy. Całkiem jak w mauzoleum jej ojca na brzegu Dżamny...

Hoszijar poruszył się, odchrząknął przez sen. Jego siwa głowa opadła na piersi. Mihrunnisa zdusiła śmiech i tylko uśmiechnęła się w poduszkę. Inkrustacje *pietra dura* były jej pomysłem - jeśli Tadż okaże się piękną budowlą to dzięki kobiecie, którą budowniczy wypędził z cesarstwa.

Drewniane drzwi jej komnaty otworzyły się z rozmachem i do środka zajrzała Ladli. Uśmiechnęła się na widok jasnych oczu Mihrunnisy.

- Nie śpisz, mamó?
- Wejdz, *beta*. - Mihrunnisa skinęła na nią. - Gdzie Arzani?
- Ze mną - powiedziała Ladli cicho, by nie obudzić Hoszijar-chana.

Weszły bosy do komnaty. Przez te osiemnaście lat Ladli bardzo się postarzała. Podobnie jak Mihrunnisa miała sieć zmarszczek na twarzy, wolniejsze ruchy, cichszy głos, ale nadal zachowała tę samą łagodność, ten sam niewzruszony spokój. Po śmierci Szahrijara w 1628 roku otrzymała wiele ofert małżeństwa, ale żadnej nie przyjęła, nawet kiedy o jej rękę

ubiegał się minister dworu Churrama, gotów wyjednać łaskawość cesarza. Nie chciała już żadnego męża, i tyle. Za pierwszym razem spełniła obowiązek, teraz już nie musiała. Miała matkę, córkę i Hoszijara. I to jej wystarczyło.

Mihrunnisa zerknęła na wnuczkę i przez chwilę wydawało jej się, że widzi samą siebie, młodszą o czterdzieści lat. Arzani miała jej błękitne oczy, dumnie wyprostowane plecy, gęste, sięgające pasa włosy... ale brakowało jej niepokoju babki. W jej wieku Mihrunnisa zawsze czegoś pragnęła, za czymś tęskniła. Arzani odziedziczyła spokój swojej matki. Ileż radości dało jej to dziecko, pomyślała Mihrunnisa. Przypomniała sobie, jak bardzo chciała, żeby Arzani okazała się chłopcem... Ale gdyby tak było, zginęłaby razem z Szahrijarem. Churram darował jej życie tylko dlatego, że nie stanowiła dla niego żadnego zagrożenia. W tym roku skończyła dwadzieścia jeden lat; już dawno powinna wyjść za mąż, ale - podobnie jak Ladli - nie znalazła nikogo interesującego. Zainteresowanie przyjdzie po ślubie, zganiła ją Mihrunnisa, ale nie miała serca ani siły nalegać. Wyciągnęła do nich ręce; obie ukłękły przy jej łożu na biało-złoty perskich kobiercach. Ladli miała czerwone oczy, ale uśmiechała się, by nie zasmucać matki.

- Poradzisz sobie, *beta*? - spytała Mihrunnisa, biorąc ją pod brodę.

- Oczywiście. - W głosie Ladli nie było wahania. - Wygodnie ci, mamę? Mam zmienić pościel? Poduszki?

- Nie. - Mihrunnisa była głęboko wdzięczna, że tak łatwo przychodzi jej umierać, że widzi swoją córkę i wnuczkę, może z nimi rozmawiać. Słuchała opowieści Arzani - plotek z sąsiedniego domu o dziecku bardzo niepodobnym do ojca i zbyt przypominającym wujka - przy czym obaj mężczyźni byli przyrodnimi braćmi.

Ladli otuliła matkę bawełnianym *razai*, owinęła jej ramiona. Musi być zimno, pomyślała Mihrunnisa, bo Lahaur było w okowach zimy. Śmiała się z opowieści Arzani o głupiej kobiecie, która urodziła dziecko mężczyzny tak niepodobnego do męża. O ileż byłoby łatwiej, gdyby byli trochę podobniejsi.

Było jej spokojnie i dobrze. Leżała wśród ukochanych lu-

dzi, nie pragnąc niczego. Nadeszła pora, by odejść - nie dlatego, że czuła się chora, nie widziała już powodu, by żyć. Zakończyła budowę grobowca cesarza Dżahangira i własnego, walcząc z Churramem o każdy rachunek, ponieważ jej majątek zasilił cesarski skarbiec. Abul także umarł, już cztery lata temu; został pochowany w Lahaur, ale Mihrunnisa nie odwiedziła grobu brata ani nie wysłała kondolencji jego dzieciom.

Dopiero w ostatnim roku poczuła ten spokój. Każdego ranka wstawała, czując czystą radość. Wreszcie zrozumiała, o co chodziło mnichowi Siddhikandrze, kiedy mówił o spokoju płynącym z braku pragnień. Siddhikandra odnalazł tę drogę, mając niewiele ponad dwadzieścia lat. Mihrunnise zajęło to niemal całe życie.

A jednak nawet mając tę świadomość, nie przestawała się zastanawiać nad swoim życiem. Czy mogłaby w nim coś zmienić? A gdyby Ladli jednak wyszła za Churrama? A gdyby Ardżumand zgodziła się na to małżeństwo? Oto gdzie popełniła błąd: powinna poprosić Ardżumand, nie Churrama. Ale nigdy nie prosiła kobiet o pomoc ani radę, z wyjątkiem Rakajji w czasach młodości. U żadnej nie szukała wsparcia, zawsze zwracała się o nie do mężczyzn. *Bapa*, Abul, Churram, Hoszijar i oczywiście cesarz, bez którego tamci nie mieliby znaczenia. Być może właśnie tutaj popełniłam błąd, pomyślała: nie szukając poparcia kobiet w kobiecym świecie, w którym żyłam.

- Chciałabym przeżyć swoje życie jeszcze raz.

Ladli pocałowała jej rękę; dopiero wtedy Mihrunnisa zdała sobie sprawę, że przemówiła na głos.

- Żyłaś za dziesięć kobiet, mamó - powiedziała Ladli.

I zaczęła płakać, obejmując matkę w talii.

Mihrunnisa zamknęła oczy; przypomniała sobie, jak nie potrafiła się rozpłakać po śmierci Dżahangira. Jak te łzy zjawiły się później - z każdym kładzionym blokiem marmuru w jego mauzoleum, z każdą zapaloną lampą kiedy klęczała, modląc się przy sarkofagu. *Wkrótce znowu będziemy razem, najjaśniejszy panie.*

Godzinę później Ladli otarła łzy i spojrzała na Hoszijara,

który nadal siedział z głową spuszczoną na piersi. Przestał chrapać i trwał dziwnie nieruchomo, choć szyja musiała mu zdrętwieć. Potem zdała sobie sprawę, że eunuch nie czuje już bólu. Jego pierś się nie poruszała. Wstała, by podejść do człowieka, który był jej ukochanym wujkiem i ojcem - a wtedy popatrzyła na matkę.

W komnacie zrobiło się zimno; ogień w piecykach wygasł, trzeba do nich dołożyć węgla. Mama pewnie zmarzła, musi włożyć rękę pod *razai*. Ladli ujęła dłoń matki i upuściła ją na pościel. Twarz Mihrunnisy była nieruchoma, jej pierś również. Cesarzowa Nurdżahan odeszła.

POSŁOWIE

Mihrunnisa jest obecnie znana jako cesarzowa Nurdżahan. Dżahangir przyznał jej najpierw tytuł Nurmahal - „Świątłości pałacu”, a potem, około roku 1616, zmienił go na Nurdżahan - „Świątłość świata”. W Indiach Mogołów tytuły były (tak jak w ówczesnej Europie) dowodem łaski. Dworscy wielmoże i kobiety z *zenany* korzystali z tego przywileju, w niektórych wypadkach - pośmiertnie.

Słowo *nur*, oznaczające światło, ma swoje korzenie w czasach cesarza Akbara - znano go jako czciciela słońca, a nawet założyciela nowej religii. Dżahangir po objęciu rządów wykorzystał symbol słońca w swoim tytule, nazywając się Nurud-dinem Muhammadem Dżahangirem Padiszah-ghazim, przy czym pierwsze imię oznaczało „Świątłość wiary”. Nic dziwnego, że również Mihrunnisie przyznał ten wzniosły tytuł, nazywając ją „Świątłością świata” - cesarskiego świata.

Zdecydowałam się pozostać przy imieniu Mihrunnisa - z jakim się narodziła - z różnych powodów. Przede wszystkim dlatego, że sama się do niego przyzwyczaiłam, pisząc *Dwudziestą żonę* - historię jej życia do czasów małżeństwa z Dżahangirem. Sądzę, że Dżahangir prywatnie także ją tak nazywał. Tytuł Nurdżahan był przeznaczony raczej dla świata zewnętrznego.

Jeśli inne postaci *Święta róż* wydają się obce, to być może dlatego, że są lepiej znane pod nadanymi im później tytułami. Na przykład Ghijas-beg, ojciec Mihrunnisy, jest znany jako Etimaduddaula, który to tytuł nadał mu cesarz Dżahangir. A jego mauzoleum w Agrze, położone po przekątnej od Tadż

Mahal (i, w moim przekonaniu, będące jego pierwowzorem, na co wskazuje efektowne użycie inkrustacji *pietra dura*) jest nazywane grobowcem Etimaduddauli. Pierwszy mąż Mihrunnisy, Ali Kuli-chan Istajlu jest znany jako Szer Afghan. Jej brat Abul Hasan - jako Asaf-chan IV. Jej siostrzenica Ardżumand to Mumtaz Mahal - kobieta, dla której zbudowano Tadz i której tytuł został uwieczniony w nazwie mauzoleum. Churram to cesarz Szahdżahan; bardzo rzadko kojarzy się go z tym imieniem.

Święto róż stanowi fikcyjne wyobrażenie życia Mihrunnisy jako cesarzowej Nurdżahan, lecz w zasadzie jest zgodne z faktami historycznymi. Mihrunnisa rzeczywiście zorganizowała rodzaj przymierza między ojcem, bratem i księciem Churramem. Dla dworzan i podróżników było jasne, że to ona rządzi zza zasłony poczynaniami tych trzech mężczyzn. Ale tylko do pewnego momentu, gdyż w połowie jej panowania przymierze się rozpadło.

Istnieją udokumentowane dowody na to, że Mihrunnisa usiłowała wydać Ladli za Chusru i Churrama, choć historycy uważają te ostatnie za fałszywe. Ja wierzę w obydwu, gdyż argumenty przeciwko Churramowi brzmią następująco: książę był tak zakochany w Ardżumand, że nie brał pod uwagę następnego małżeństwa, w dodatku z kuzynką żony. Churram bez wątpienia uwielbiał Ardżumand; dał tego dowód, budując na jej cześć najwspanialszy światowy pomnik miłości - Tadz Mahal. Ale ożenił się jeszcze raz, mniej więcej pięć lat po małżeństwie z Ardżumand. Co więcej, czy Mihrunnisa poprosiłaby najpierw Chusru, pomijając Churrama? Najwyraźniej to właśnie jego przysposabiała do roli następcy tronu. Dlaczego miałaby szukać gdzie indziej męża dla swojej córki? A zwłaszcza Chusru, na wpół ślepego, szalonego, nielubianego przez ojca. Szahrijar był niemal z całą pewnością ostatnim w kolejności kandydatem, gdyż jeszcze za życia znano go pod niepochlebnym przydomkiem *naszudani* - oferma.

Sir Thomas Roe zamieścił w swoich pamiętnikach kilka skrupulatnych wzmianek o Mihrunnisie, gdyż wkrótce po przybyciu do Indii zorientował się, że „ukochana żona” stano-

wiła szarą eminencję. Pamiętniki te stanowią także doskonałe źródło wiadomości o angielsko-indyjskich stosunkach w czasach Dżahangira, a także interesujących uwag na temat dworskiej polityki i działalności przymierza Mihrunnisy.

Bunt Mahabbat-chana także został odnotowany przez źródła historyczne. W owych czasach Mihrunnisa dobiegała pięćdziesiątki. Była cesarzową od szesnastu lat. Bunt Mahabbata zaszkodził cesarzowej pod wieloma względami, doprowadzając do jej szybkiego upadku po śmierci Dżahangira.

Inne wydarzenia - polowanie na lwa z Dżagat Gosini, publiczna bijatyka Mihrunnisy i Dżahangira, Mihrunnisa zabijająca intruza w cesarskiej *zenanie* - także zostały zaczerpnięte z dokumentów, choć nie wiadomo, czy są to rzetelne informacje, czy też legendy i plotki.

Pozwoliłam sobie także nagiąć parę faktów historycznych. Statek *Rahimi*, który pośrednio sprawił tyle kłopotów wicekrólowi Portugalii oraz, co za tym idzie, całej ambasadzie portugalskiej w Indiach, należał do matki Dżahangira, Mariam Muzzamani - nie cesarzowej Rakajji Sultan Begam. Rakajja miała własne statki handlowe, podobnie jak Mihrunnisa, ale dla dobra akcji postanowiłam jej podarować *Rahimi*.

Ponadto Churram otrzymał tytuł Szahdżahana po walkach w Dekanie (w których brał udział niejednokrotnie), a nie po kampanii w Mewarze. Jednak jego udział w zamordowaniu księcia Chusru oraz masakrze mężczyzn z rodziny cesarskiej wydają się niewątpliwe.

A skoro dotarłeś tak daleko, drogi Czytelniku, muszę Ci podziękować, że zechciałeś mi towarzyszyć podczas tej podróży w przeszłość Indii. *Święto róż* kończy opowieść o Mihrunnisie. Mam nadzieję, że i ta historia, i *Dwudziesta żona* sprawiły Ci tyle przyjemności, ile mnie opowiedzenie ich Tobie.

Indu Sundaresan

październik 2002r.